

Ł U K A S Z
MALINOWSKI

Skalid



WĘŻOWY JĘZYK TOM 1

Ł U K A S Z
M A L I N O W S K I

Skald

WĘŻOWY JĘZYK TOM 1

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Spis treści

Karta redakcyjna

Opowieść o miłości 1

Księga I: Konung kłopotliwy

Opowieść o miłości 2

Księga II: Thera

Opowieść o miłości 3

Księga III: Luperkalia

Opowieść o miłości 4

Dodatek od autora: Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych
wyrażeń

Przypisy

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: JACEK RING
Mapy: MICHAŁ SZWAGUŁIŃSKI
Projekt okładki: MARIUSZ KULA
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ

Copyright © by Łukasz Malinowski, 2016
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2016
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65310-58-3

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl
Oficjalny sklep www.tetraErica.pl

Odwiedź Ainara Skalda w sieci:
ainarskald.pl
facebook.com/AinarSkald

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

Dotychczas w cyklu „Skald” ukazały się książki:

„Skald. Karmiciel kruków”

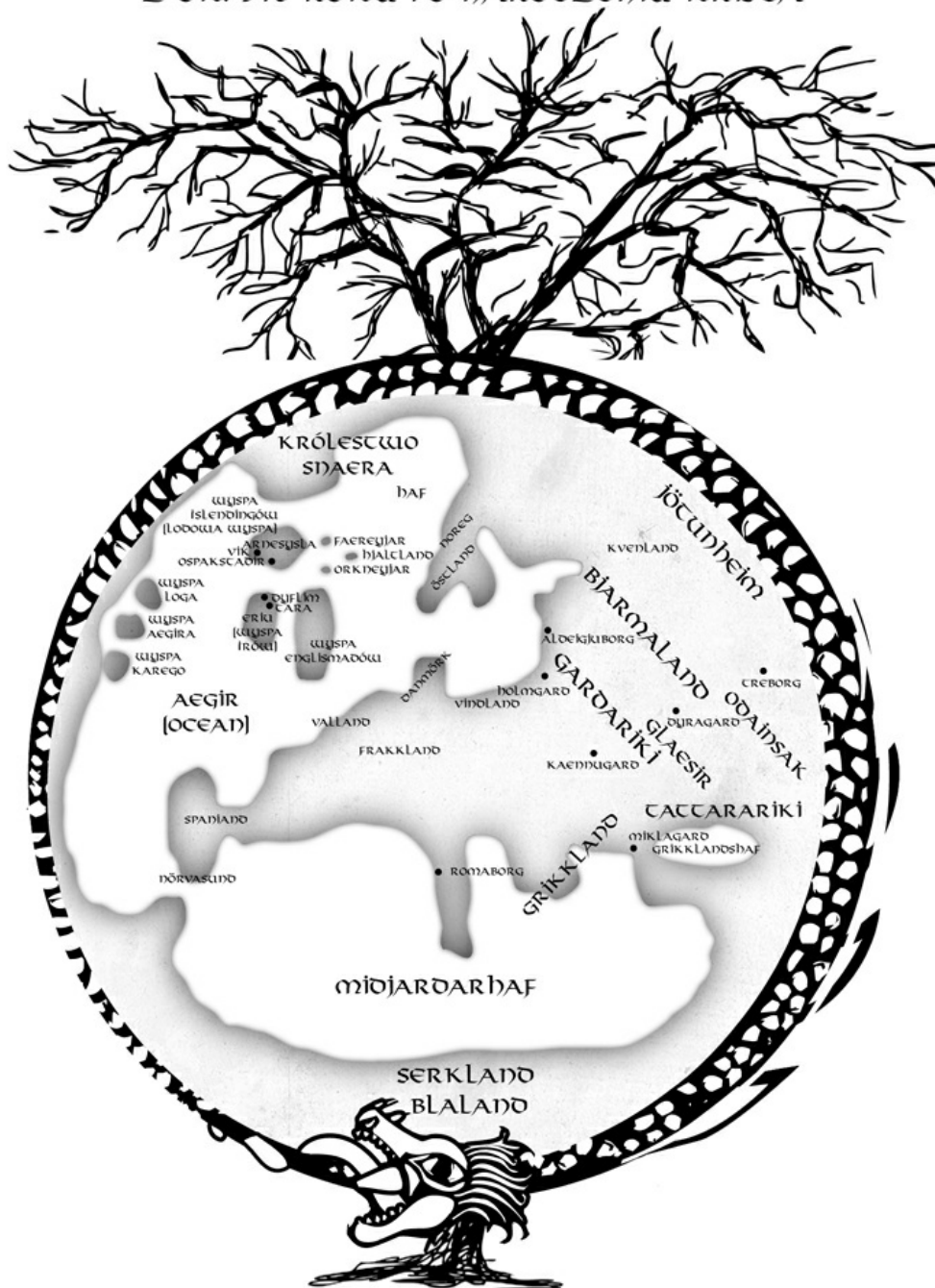
„Skald. Kowal słów, tom 1”

„Skald. Kowal słów, tom 2”

„Skald. Wężowy język, tom 1”

Kolejne tomy w przygotowaniu.

MAPA AINARA SKALDA
Z OK. 940 ROKU PO NARODZENIU KRISTA



Opowieść o miłości 1

Na słupie mieszkał święty mąż. Siedział tam od lat i nikt dokładnie nie wiedział, kiedy i dlaczego wlaźł na górę. Przyzwyczajono się do cudaka i szybko uznano go za jednego ze słupników, którym przynosiło się chleb i wodę, w zamian prosząc o rady i napomnienia. Czasem odwiedzali pustelnika pijani młodzieńcy. Sikali na pal i drwiąc z chudzielca, wrzucali mu do kosza dzban z winem. Tak na pokuszenie.

Pewnego dnia zauważono zepsute jedzenie w leżącym na ziemi koszyku, który od dawna nie był wciągany na górę. Gdy zapytano Słupnika, dlaczego marnotrawi jałmużnę, nie odpowiedział. Nie przejęto się tym zbytnio, bo święty mąż już wcześniej bywał gburem i zdarzało mu się całymi dniami gardzić tak mową, jak jadłem. Jednak po kilku tygodniach milczenia pustelnika pewien zatroskany młodzieniec wspiał się na wieńczącą pal platformę, gdzie znalazł przegniłe zwłoki starca. Wtedy ludzie jeszcze bardziej utwierdzili się w przekonaniu, że mieli do czynienia z prawdziwym hagiosem^[1], świętym, którego ciało po śmierci zostało cudownie pozbawione przykrego zapachu, przez co nikt nie wyczuł, że mędrzec odszedł. Nie zwracano uwagi na bezbożnego pijaka opowiadającego przy kielichu, że to mocny zimowy wiatr wywiewał z platformy smród rozkładu, dzięki czemu ten nie docierał na ziemię.

Słup nie pozostawał długo wolny. Był to w końcu dobry słup, jeden z najlepszych, jakie stały w okolicach Byzantionu. Gruby jak dąb, z solidną i szeroką na dwa kroki platformą, która miała nawet barierkę osłaniającą przed wiatrem, a także niewielki daszek. Podniebną konstrukcję łączyła ze światem jedynie lina, po której można było wspiać się na górę lub którą wciągało się kosz z jedzeniem.

Któregoś postnego dnia przed dziewięćset pięćdziesiątymi ósmymi urodzinami Kristosa słup zyskał nowego pustelnika. Post był okresem, w którym wielu mnichów wiodło życie w czasowym odosobnieniu, ale ten człowiek został i po świętach. Uznano go zatem za stałego mieszkańca platformy i przyjęto jak własnego.

Głowę mężczyzny stale skrywał kaptur, ale po głosie można było poznać, że był młodszy od swojego poprzednika i z pewnością nie pochodził z okolic Byzantionu. Podobnie jak staremu Słupnikowi, także i jemu przynoszono jedzenie oraz picie, po czym pytano go o sprawy świata tak doczesnego, jak wiecznego. Wszystko wyglądało tak, jak dawniej, przez co wielu rybaków niemal zapomniało, że na palu dokonała się zmiana. Niemal, ponieważ młodszy pustelnik odpowiadał wszystkim chętnie i życzliwie, mimo iż powtarzał, że wolałby więcej czasu spędzać w samotności. O dziwo, szczególnie dużo miał do powiedzenia nie o pokorze, piekielnych karach czy ubóstwie – na czym znać się winien najlepiej – ale o miłości. Sława mnicha szybko rosła, a że jego rady nader często okazywały się skuteczne, zaczęli do niego przybywać pielgrzymi z sąsiednich temów.

Trzy niedziele po Wielkiej Nocy odwiedzili Słupnika goście z samego Basilis Polis, miasta autokratora. Przyszli w południe, kiedy pod palem zgromadziła się już spora grupa miejscowych. Wędrowców było sześciu, a każdy mógł się pochwalić odzieniem wartym więcej niż cała pobliska osada rybacka. Trzech nosiło kunsztowne zbroje – jak żołnierze wojsk tagmaty, lecz nie dzierżyli zwyczajowej broni gwardzistów, ale siekiery na długich styliskach, jakich używają drwale. Pozostali mieli przypasane miecze, ale nie nosili kolczug. Ich wygląd wskazywał, że żaden nie został zrodzony z kobiety o romejskim pochodzeniu.

Przybysze rozłożyli się przy słupie.

Tego dnia zadawanie pytań zaczął rybak z wielką krostą na nosie.

– Hagiosie Słupniku, ty, który ryb nie łowisz, ale z Kristosem rybakiem jesteś przyjacielem. Powiedz, co mam zrobić, gdy kobieta odrzuca moje zaloty?

– Nie zabieraj czasu świętemu, tylko nos sobie pokrzywami wypoleruj! – rzucił pewien młodzieniec, na co wielu zebranych odpowiedziało śmiechem, a pytający zaczerwienił się, jakby całą noc owymi pokrzywami się nacierał.

Słupnik wstał z kolan, poprawił kaptur, by nie było widać jego twarzy, rozłożył ręce i spojrzał na ludzi zgromadzonych u swych stóp.

– Źle czynicie, śmiejąc się z sąsiada. Pytacie o miłość, a okazać jej nie umiecie bliźniemu. A bratu mojemu nieszczęśliwie kochającemu odpowiem: cierpliwości! Kobiece serce bywa bowiem jak skała, więc nie kruszmy jej siłą, ale za przykładem wody drażmy w niej otwory dla naszej miłości. Upór i łagodność mężczyzny doceni bowiem każda niewiasta.

– Ale kiedy ja czekać nie mogę – odrzekł brzydał z krostą. – Ojciec nakazał się ożenić do przyszłego roku, bo inaczej wyśle mnie do klasztoru!

– Miłość wystawia nas na próby, ale warta jest starania. Ręka króla Salomona przez Boga natchniona napisała przecież w świętej księdze, że miłość jest przedniejsza od wina, a radosna jest chwila, gdy wprowadzamy niewiastę do swoich komnat^[2].

– Jeszcze weselej jest, gdy to mężczyzna wchodzi do dziewczęcych komnat! – rzucił ktoś ze zgromadzonych i znów rozległ się rubaszny śmiech.

Pustelnik poczekał, aż zgromadzenie się uspokoi, po czym – o dziwo wcale nie będąc oburzony na tak liche żarty – ciągnął:

– Staraj się więc, bracie, pokazać swój upór i zdecydowanie nie tylko łani, która skradła twoje serce, ale i ojcu, któremu winien jesteś synowską miłość. Nie sprzeciwem, ale posłuszeństwem wobec rodzica zyskasz jego szacunek i możliwość wyboru!

Tym razem roześmiał się jeden z przyjezdnych, choć w jego głosie nie słychać było wesołości. Rechot wydawał się raczej szyderczy i złośliwy. Mężczyzna w końcu się uspokoił i krzyknął:

– Co ty możesz wiedzieć o miłości?! Siedzisz na słupie, patrzysz na wszystkich z góry i mądrzysz się mądrością cudzych ksiąg!

Odpowiedziały mu buczenia zebranych. Nie godziło się tak mówić do

świętego męża, który przecież tak blisko nieba siedzi i w modlitwach z samym Kristosem oraz jego apostołami rozmawia! Słupnik wcale nie przejął się szyderstwem i ze zrozumieniem odpowiedział:

– Nie pouczam, nie wygłaszam kazań, tylko radzę jak przyjaciel. A skąd wiem tyle o miłości? No cóż. Nie zawsze mieszkałem na palu.

Księga I
KONUNG
KŁOPOTLIWY

Późne lato,
6466 rok po stworzeniu świata
wedle rachuby Grikkmadów

1

Dzień zapowiadał się krwiście. Mówiły o tym zarówno czerwien południowego słońca, odbijająca się purpurą w wodach zatoki, jak też trzy długie łodzie zbliżające się do Złotego Rogu.

– Wolniej! Zwińcie żagiel i przejdźcie na wiosła.

Załoga „Niegrzecznego Niedźwiadka” żwawo wykonała rozkazy. Podczas podróży Ainar Skald przekonał wszystkich, że nie warto mu się przeciwstawiać. Był morskim królem – władcą bez ziemi, ale za to bogatym w sławę łupieżcy i niszczyciela królestw.

– I uśmiechać się. Pamiętajcie, że jesteśmy kupcami.

Polecenie nie dotyczyło Alego. Pieśniarz najchętniej schowałby Czarnego Berserka w ładowni, ale ta była już pełna włóczni, mieczy i tarcz załogi. Albo w rozbitym na pokładzie namiocie, ale tam kryli się hamramirzy, których nie potrafiliby zmienić w kupców nawet zmiennokształtny bóg Arnhöfði. Vaering musiał więc zadowolić się tym, że Ali ukrył swoje potężne mięśnie pod płaszczem, a groźnie wyglądającą twarz – pod kapturem.

– Na razie wszystko idzie zgodnie z planem.

Jeśli słowa czarnego wojownika miały kogoś uspokoić, na pewno nie podziałały na Ainara. Dla Skalda zabrzmiały jak ostrzeżenie, że spokój to stan przejściowy, a sytuacja rychło zmieni się na gorsze. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym mocniej czuł, że ich plan jednak nie jest doskonały. A powzięli go za sprawą opowieści Alego, który odwiedził już Miklagard.

Pierwotnie poeta chciał postąpić tak, jak nakazywała północna tradycja. Błyskawiczny atak, szybki rabunek, pośpieszny gwałt i rychły odwrót: te

cztery zasady udanej wyprawy łupieskiej znał każdy szanujący się Vaering. Ainar miał dwanaście szybkich i zwrotnych snekkji, które świetnie nadawały się do składania niespodziewanych wizyt. Problemem leżał jednak w tym, że Grikkmadowie byli w przeszłości często odwiedzani przez łupieżców z Gardariki i nauczyli się skutecznie zamykać dostęp do własnych portów.

– Nie strasz mi ludzi tym czarnowidztwem – odezwał się Skald, trącając przyjaciela w ramię. – Powinniśmy już minąć łańcuch. Zatoka stoi przed nami otworem.

– Rzeczywiście. O ile dobrze pamiętam, łańcuch powinien ciągnąć się od tej wieży – Czarny Berserk wskazał na jedną z baszt morskich murów miasta, po czym wycelował palec w jej kamienną siostrę, która wyrastała z zabudowań na przeciwległym brzegu wąskiego gardła wód Złotego Rogu – aż do tamtej. Ale nie ciesz się tak. Mogą jeszcze podnieść łańcuch i zamknąć nas w zatoce.

Pieśniarz wciąż nie mógł sobie wyobrazić, jak można było wykuć tak długi i gruby łańcuch, by przecinał wody całej zatoki, albo zbudować tak silne maszyny, by zdołały podnosić całe to żelastwo. Wobec relacji Alego, a także innych swoich ludzi, musiał jednak uwierzyć w istnienie metalowej zapory i zmienić swój plan. Przyplłynięcie całej floty do miejskiego portu zapewne skłoniłoby obrońców do podniesienia łańcucha, ale kilka statków handlowych nie powinno wzbudzać podejrzeń. Dlatego wydzielił trzy najlepsze snekkje, które były odrobinę bardziej pękate od pozostałych długich łodzi, więc przy dużej dozie grikklandzkiego lekceważenia mogły uchodzić za kupieckie knörry. Reszcie jednostek kazał ukryć się w niewielkiej zatoczce Morza Grikklandzkiego, znajdującej się dzień żeglugi od miasta. Plan był prosty. Codziennie miały przybywać do Miklagardu trzy statki Ainara, których załogi będą udawać kupców. Skald nie liczył na to, że mieszkańcy miasta cztery razy nabiorą się na tę samą sztuczkę, ale nawet wojownicy z sześciu okrętów wpuszczonych do portu wystarczą, by w razie kłopotów zająć wieże, z których podnoszono łańcuch, i wpuścić resztę floty Vaeringów.

Szybko się okazało, że opuszczenie łańcucha nie oznaczało bezgranicznego zaufania do przybyszy. Do płynącego na przedzie „Niegrzecznego Niedźwiadka” zbliżały się dwa grikklandzkie okręty – napędzane wiosłami galeidy, które budziły przerażenie nie rozmiarami, ale wyrzeźbionymi na dziobnicach łbami ryczących kotów.

– Pamiętajcie, że jesteśmy kupcami. – Poeta poprawił szary płaszcz, pod którym nosił kolczugę. – Jeśli uznają, że jest inaczej, wkrótce zmienimy się w pochodnie.

Ali wielokrotnie ostrzegał, że te kocie paszcze mają bardzo gorący oddech. Tajemny mechanizm wyrzucał z ich gardeł grikklandzki ogień, który podobno był trzy razy niebezpieczniejszy od oleju skalnego. Skald widział w Dyragardzie, co olej skalny zrobił z solidnym drewniano-ziemnym wałem, więc nie łudził się, że ich statek okaże się odporny na tę czarodziejską broń.

Kiedy okręty zbliżyły się na odległość głosu, stojący na dziobie galeidy krzykacz rozpoczął rozmowę.

– Pyta, kim jesteśmy – wyjaśnił Ali.

Skaldowi wydawało się, że Czarny Berserk włada wszystkimi językami świata, a w każdym z nich czuje się tak swobodnie, jak ryba w przerębli. Ainar zawsze uważał, że lepiej mieć coś do powiedzenia w jednej mowie, niż bredzić głupoty w wielu, ale ostatnio zaczął przełamywać swoją niechęć do obcych języków. Zmierzali w końcu do Miklagardu, największego miasta świata, nie mógł zatem oczekiwać, że wszyscy będą tu znali mowę ludzi Północy. Dlatego w czasie podróży Blamad zaczął go uczyć grikklandzkiego. Postępy nie były jednak tak szybkie, jak oczekiwał poeta.

– Powiedz mu, że jesteśmy Vaeringami z Glaesiru i mamy do sprzedania zboże, skóry, miód i bursztyn.

Czarny wojownik wykrzyczał, co miał powiedzieć, i szybko uzyskał odpowiedź. Ainar zrozumiał co drugie słowo, ale domyślił się, że straż portu przyjęła wyjaśnienia.

– Mówią, że przybyliśmy w złą porę. Nikt w mieście nie będzie miał

ochoty handlować w czasie wyścigów. Możemy wpłynąć do portu, ale dla własnego bezpieczeństwa mamy nie opuszczać statków. Podobno jacyś zieloni mogą sprawiać kłopoty.

Pieśniarz nie miał pojęcia, kim są owi zieloni, ale korciło go, by odpowiedzieć, iż nie zwykł ani szukać bezpieczeństwa dla siebie, ani zapewniać go innym. Udawali jednak kupców, więc uśmiechnął się do strażników równie serdecznie jak obłudnie i pomachał przyjaźnie.

– Powiedz tym pokurczom udającym mężczyzn, że będziemy grzecznie czekać w porcie, jeśli nas do niego wprowadzą.

Rozmowa między Alim a strażnikami trwała jeszcze chwilę, ale w końcu grikklandzkie galeidy zawróciły i popłynęły w kierunku przystani.

Skald odetchnął z ulgą. Najniebezpieczniejszą część planu mieli za sobą. Polecenie zostania na statkach działało nawet na ich korzyść. Nie będą musieli udawać, że handlują, co było o tyle dobre, że nie mieli zbyt wielu rzeczy do sprzedania, a na zakazanych mordach jego ludzi trudno się było doszukać życzliwości, tak przecież niezbędnej kupcom. Teraz wystarczyło spokojnie poczekać do jutra, aż pojawią się kolejne statki.

– Widzisz, Ali. Mówiłem, że wszystko się uda. Rozchmurz się i rozejrzyj. Wkrótce będziemy najbogatszymi łupieżcami na świecie.

Czarny Beserk mruknął coś gniewnie, ale pieśniarz nie zwracał uwagi na jego grymasy. Oparł się o burtę i rozmarzył.

Widok miasta zapierał dech w piersiach. Był wręcz porażający w swoim przepychu i nedorzeczny w bogactwie, sprawiając, iż wszystkie grody, jakie Ainar dotychczas odwiedził, wydały mu się domostwami biedoty.

Miklagard leżał na półwyspie otoczonym z trzech stron wodami. Od północy zatoką Złoty Róg, od wschodu Cieśniną Grikklandzką, a od południa Jeziorem Grikklandzkim. Wodne otoczenie czyniłoby miasto podatnym na ataki morskich łupieżców, gdyby nie mury, które otaczały je ze wszystkich stron. Płynąc przez cieśninę i wpływając do Złotego Rogu, pieśniarz dostrzegał tylko część tych umocnień, ale i tak nigdy wcześniej nie widział tylu kamieni ułożonych w jednym miejscu wedle ludzkiego pomysłu. Blankowany mur był wysoki na blisko dwadzieścia łokci

i rozciągał się tak daleko, jak sięgał wzrok Skalda. Miał zmyślną, warstwową konstrukcję, co widać było po wąskich, czerwonych pasach, które przedzielały szerokie białe rzędy kamieni. Okienka strzelnicze na całej jego długości zdradzały, że w środku mieściły się pomieszczenia dla straży. Umocnienia przywodziły na myśl nieprzyzwoicie grubego węża Jörmunganda, który zjadając własny ogon, opasywał cały świat. Jednak nie kamienny gad zrobił na pieśniarzu największe wrażenie, ale to, co wzmacniało jego cielsko. Wieże. Powiedzieć, że było ich wiele, to jak przyznać, że w mrowisku mieszka sporo mrówek. Co kilkadziesiąt kroków z muru wyrastały kwadratowe lub okrągłe baszty, których było więcej niż sto, choć Ainar nie był aż tak znudzony, by chciało mu się je dokładnie policzyć. Zdawał też sobie sprawę, że widzi twierdzę tylko od morza, a według zapewnień Alego najpotężniejsze umocnienia miasto miało od strony lądowej. Z całą pewnością opowieści o Miklagardzie jako mieście o stu wieżach były błędne. Baszt musiało być co najmniej trzy razy tyle!

– Nie istnieje na świecie armia, która mogłaby zdobyć ten kamienny gród – wtrącił Blamad, bezbłędnie odczytując myśli kowala słów.

– Nasze szczęście, że my tego nie spróbujemy. Chcemy je tylko trochę obrabować.

Odpowiedź była śmiała, ale myśli nie były tak odważne jak język. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym plan ataku wydawał się poecie mniej błyskotliwy. Musiał przyznać, że ich trzy niewielkie stateczki wyglądały żałośnie w porównaniu z ogromem twierdzy. Strażnikom na murach musiało się wydawać, że płyną do nich dziecięce łódki, jakimi wyrostki bawią się w sadzawce. Załoga każdej snekkji liczyła około pięćdziesięciu wojów, a Miklagard był tak wielki, że mógłby pomieścić mieszkańców całego Noregu. Już samo obsadzenie jego umocnień wymagało kilkudziesięciu tysięcy zbrojnych. Jeśli taka siła rzeczywiście przebywała w Carogrodzie, Vaeringowie nie mieli co marzyć o wygraniu walnej bitwy. Pieśniarz wiedział jednak, że wielkie armie są jak stare wyleniałe byki, które wilk zdąży trzy razy ugryźć, nim te go ubodą. Wziąwszy mieszkańców miasta z zaskoczenia, zdołają napełnić statki łupami i odpłynąć, zanim straż

zewrze szyki i ruszy do ataku. A sądząc po widokach, nie będą musieli długo szukać rzeczy godnych zrabowania. Za murami można było dostrzec tuziny wysokich iglic i dachów pokrytych miedzią, a to niechybnie oznaczało domostwa bogatych kupców, naczelników i władców miasta. Nad zabudową dominowała kopuła, olbrzymia niczym góra, która za sprawą jakichś czarodziejskich mocy nie zapadała się pod swoim ciężarem. Skald podejrzewał, że właśnie pod nią zgromadzono największe skarby miasta, ponieważ z jej szczytu wyrastał wielki krzyż. Z pobytu na Wyspie Irów zapamiętał, że wyznawcy Krista trzymają najwięcej złota właśnie w swoich świątyniach.

Już wcześniej dowiedział się, że miasto wyposażone jest w cztery porty, ale dla kupców dostępne były jedynie dwa od strony Złotego Rogu. Galeidy poprowadziły ich do pierwszego z nich, osłoniętego groblą, na której murarze nie zapomnieli wznieść muru, choć nie tak wysokiego jak umocnienia miasta. Statki, które ich pilnowały, zawróciły, gdy tylko snekkje przepłynęły przez bramę przystani i znalazły się na jej spokojnych wodach. Tutaj rolę przewodników przejęły dwie łódki. Ich wioślarze dali im znać gestami, że wskażą miejsce do zacumowania. Pomoc przewodników okazała się cenna, gdyż nie było łatwo przepłynąć między dziesiątkami statków przebywających w porcie. Mijali przede wszystkim niewielkie jednostki kupieckie i rybackie o pękatych kadłubach i dużym zanurzeniu, których widok wywoływał pogardliwe grymasy na twarzach żeglarzy z Północy.

– Tyle złota, tyle wiedzy, a i tak nie potrafią zrobić dobrego statku – oznajmił głośno Ainar, a głośny śmiech załogi utwierdził go w przekonaniu, że wszyscy myśleli podobnie. Może i ich długie łodzie wyglądały niepozorne w porównaniu z ogromem tego miejsca, ale były najlepszymi jednostkami pływającymi na południowych morzach. Świadomość tego dodawała otuchy, zwłaszcza że musieli się liczyć z szybkim odwrotem na obciążonych łupami okrętach.

Gdy „Niegrzeczny Niedźwiadek” przybił do drewnianego pomostu, dwaj snekkjamadowie rzucili do wody *akkeri* – linę obciążoną wielkim

kamieniem. Kolejny żeglarz przywiązał okręt do palika za pomocą *festr* – solidnego sznura z wielorybiej skóry. Pozostałe dwie jednostki zacumowały przy sąsiednich pomostach.

Pieśniarz długo czekał na tę chwilę. Wyobrażał sobie, jak to będzie zobaczyć od środka ogromne miasto i usłyszeć gwar tysięcy mieszkańców porozumiewających się w dziesiątkach różnych języków. Dlatego gdy po drewnianym trapie zszedł ze statku, poczuł się mocno zawiedziony. W porcie panowała cisza i nie dało się dojrzeć nawet jednego Grikkmada. Słyszał tylko świst wiatru i stukot burt objających się o pomosty.

– To łatwiejsze, niż podejrzewaliśmy. Moglibyśmy ograbić portowe domy i spokojnie odpłynąć. Tamtym galeidom łatwo uciekniemy.

Poeta obejrzał się, by zobaczyć, któż wpadł na tak znakomity pomysł. Tak jak przypuszczał, był to Gaut, który ostatnio miał zbyt wiele do powiedzenia i za często rzucał różne propozycje za plecami Skalda. W wolnej chwili Ainar będzie musiał z nim porozmawiać o pierwszeństwie i szacunku, jakim powinno się obdarzać morskiego króla.

– Stoimy u progu największego skarbcza na świecie, a mamy zadowolić się sprzętami z jego przedsiönka? Nie. Będziemy się trzymać planu. Najpierw się jednak rozejrzemy. Ali! Weź sześciu drengów i za mną! Reszta ma grzecznie czekać.

Pieśniarz zastanowił się, czy nie kazać ludziom wziąć tarcz i hełmów, ale doszedł do wniosku, że wystarczą miecze ukryte pod płaszczami. W razie niebezpieczeństwa będzie im łatwiej udawać zagubionych kupców.

Ruszył przodem, bo konung zawsze powinien napełniać serca ludzi odwagą. Za plecami miał Blamada, co nie było jednak podyktowane zaufaniem, ale wiedzą, że Czarny Berserk nigdy nie zajmie jego miejsca. Vaeringowie nie wybraliby czarnego wojownika na swojego wodza. Poza tym zwalista postura szaleńca rzucała nieco cienia na plecy kowala słów.

Przedsiönek. Skald uświadomił sobie, że użył właściwego słowa. Nieopodal widać było mur morski, który oddzielał port od miasta i zagrażał drogę do prawdziwych bogactw. Pierwsze domy od strony przystani były drewnianymi chałupami. Ich ściany łączyły się ze sobą,

tworząc zwarte, ogrodzone kompleksy. Możliwość znalezienia w nich czegoś cennego była duża, ale jednak wydawały się niewarte uwagi wobec kolejnych sadyb. Te musiały należeć do bogatych kupców, gdyż wzniesiono je z kamienia. W słońcu ich białe ściany świeciły się niczym lód, a kolumny podpierające wysunięte do przodu dachy dodawały budynkom dostojności. Ludzie Ainara chcieli zajrzeć do środka, ale im zabronił. Na razie mieli tylko namierzyć domostwa warte późniejszego złupienia.

Skald zwrócił uwagę na wielki budynek znajdujący się nieopodal. Jego dolna połowa była kamienna, a górna – drewniana. Najciekawsze jednak, że stało przed nim dwóch strażników, którzy – na szczęście – nie zwracali na Vaeringów uwagi.

– Muszą tam trzymać coś cennego – oznajmił poeta i rzucił czarnemu przyjacielowi pytające spojrzenie.

– Z pewnością, choć niekoniecznie dla nas. To spichlerz na zboże.

Poszli dalej. Wychodząc z zaułka, natknęli się na staruszkę z trzema nogami – dwiema ludzkimi i laską – która stanęła i zmierzyła ich wzrokiem. Wyglądała na równie zdziwioną, jak przestraszoną.

– Którędy być kościół? – zapytał Skald, kalecząc mowę grikklandzką.

Odpowiedziała potokiem słów. Ainar nic nie zrozumiał, jednak z ruchu dłoni kobiety, która raz dotykała głowy, a raz wskazywała wielką kopułę świątyni zbudowanej na wzgórzu, pojął, że starowinka tłumaczyła im drogę, wątpiąc równocześnie w ich mądrość. Gdy odeszła, Ali wyjaśnił:

– Wydawała się poruszona i ucieszona, że w końcu spotkała młodych mężczyzn zmierzających do świątyni, a nie do satanodromu, tego siedliska grzechu i rozpusty.

– Do czego?

– Do satanodromu. Musiało jej chodzić o Hipodrom, w którym organizuje się zabawy dla ludu.

Pieśniarz miał ochotę wrócić do staruszki, by zapytać, w którą stronę do tego przybytku uciech, gdyż wiedział, że to, co dla wyznawców Krista jest grzechem, zwykle oznacza dobrą zabawę. Nie miał jednak czasu na

wygłupy, tym bardziej że usłyszał dziwny hałas dobiegający z oddali. Zatrzymał ludzi i zaczął nasłuchiwać. Szybko stało się jasne, że dobiegał ich krzyk setek ludzkich gardel. Naszły go złe przecucia. Zdążył się już przyzwyczaić, że gdy fylgja – boska dawczyni szczęścia – za długo całuje go w usta, zaraz potem jakaś przynosząca pecha disa wali go w pysk.

– Co oni tam wołają?

– Trudno wychwycić w tych wrzaskach, ale chyba coś jak: „Zawsze nad wami! Niebieskimi rzezańcami!” – wyjaśnił Blamad.

Zanim Skald zdążył zapytać, kim mogą być owi niebiescy, zobaczył pierwszych krzykaczy. Byli to mężczyźni o słusznej posturze, może nie tak wysocy jak Vaeringowie, ale za to krępi i barczyści. Mieli łyse głowy, grube nosy i tępy wyraz twarzy. Wszyscy ubrani byli w zielone kyrtille bez rękawów, które w tych stronach zwano tunikami. Niektórzy nosili zielone opaski na głowach, szyjach lub ramionach, a jeszcze inni dzierżyli coś na kształt wojennych sztandarów przedstawiających chyba wiosenną trawę – tak przynajmniej zdawało się poecie, gdyż nie było na nich nic oprócz zielonego tła. Mężczyźni uzbrojeni byli w pałki, młotki, noże i cepy, przez co wyglądali jak skrzyżowanie rolników z pomocnikami kowalskimi i berserkami. Stanowili rodzaj straży przedniej, gdyż za nimi wyłonił się z zaułka tłum podobnie ubranych, choć nie tak postawnych ludzi, wśród których były i kobiety.

– Wycofujemy się do statków – rozkazał Ainar i nie znalazł się nikt, kto miałby inne zdanie.

Wyciągali nogi, ale nie biegli, by nikt nie mógł zarzucić im tchórzostwa. Pieśniarz obejrzał się i ujrzał, że gawiedź ich zauważyła i ruszyła w pościg, coś przy tym pokrzykując. Nakazał swoim ludziom przyspieszyć. Na szczęście dla żeglarzy tłum zatrzymał się przy składzie ze zbożem i zaczął szturmować jego bramę. Strażnicy budynku nie wykazali się odwagą wioślarzy z Północy i zamiast honorowego odwrotu wybrali ucieczkę w popłochu.

Żeglarze odetchnęli z ulgą. Kilkadziesiąt kroków przeszli nie niepokojeni. Wtedy z zaułka po prawej wypadła setka ubranych na zielono

osiłków. Obie grupy zatrzymały się i zmierzyły niepewnym wzrokiem.

Rozmowę zaczął jeden z miejscowych.

– Pyta, czy trzymamy z niebieskimi? – wyjaśnił Ali.

Na szczęście żaden z ludzi morza nie nosił niebieskiego płaszcza, gdyż najwyraźniej w tym mieście nienawidzono tego koloru.

– Powiedz, że jesteśmy prostymi kupcami z Północy, którzy właśnie wpłynęli do portu.

Gdy Blamad przetłumaczył słowa poety, twarze barczystych Grikkmadów rozpromieniły się uśmiechami. Skald zrozumiał, że mógł popełnić błąd.

– Mówi, żebyśmy im pokazali, gdzie cumują nasze statki.

Tego ostatniego Czarny Berserk mógł nie tłumaczyć. Zamiaru mężczyźni można się było domyślić, widząc, jak pałkami wskazują Vaeringów i przystań.

– Powiedz, że chętnie sprzedamy im nasze towary. Niech idą za nami.

Ali przetłumaczył jego słowa, co zaowocowało śmiechem i radosnymi pokrzykiwaniami zielonych.

– Tak. My zrobić dobry handel – odezwał się jeden z osiłków, zaskakując kowala słów szczątkową znajomością mowy Północy.

Ainar ruszył przodem, gestem powstrzymując swoich ludzi od zdobycia broni i nakazując im, by trzymali się blisko niego. Dłuższym spojrzeniem zmroził berserka, który był wyraźnie rozdrażniony. Odkąd kilka tygodni temu zjadł pewnego kagana, coraz łatwiej popadał w gniew.

Wioślarze z „Niegrzecznego Niedźwiadka” zauważyli ich z daleka, więc pieśniarz zawołał:

– Będziemy handlować. Przygotujcie nasze wyroby do pokazania!

Starannie wybrał załogę swojego najlepszego statku, dlatego wiedział, iż snekkjamadowie poznają się na jego zamiarach. Nie pomylił się. Vaeringowie zachowali spokój i posłusznie wpuścili na okręt najpierw Skalda i jego ludzi, a potem dziesięciu barczystych młodzianów, którzy chcieli obejrzeć towar przed wyładowaniem.

– Pytają, czym handlujemy – przetłumaczył pytanie Czarny Berserk, choć z gniewu zgrzytał już spiłowanymi zębami.

– W ładowni pod pokładem mamy zboże, skóry i miód, ale największe skarby trzymamy w namiocie. To skrzynie wypełnione bursztynem. Jeśli chcecie je zobaczyć, opuście statek i schowajcie broń. W naszych stronach handluje się bez ostrzy przy gardłach.

Poeta poczekał, aż czarny przyjaciel powtórzy wszystko w mowie Grikkmadów i spokojnie wysłuchał rechotu osiłków. Od dziecka był pijany miodem mądrości Mimira, dlatego z łatwością przewidywał zachowanie głupców. Pozwolił nawet, by jeden z rabusiów go odepchnął, a reszta zielonych przeszła koło niego. Gdy pierwszy z mieszkańców Miklagardu odchylił poły namiotu, Ainar krzyknął:

– Do broni!

W namiocie rzeczywiście ukryto skarb. Był on jednak przeznaczony do tego rodzaju handlu, który pozwalał kupującemu wziąć wszystko, co chciał, nic za to nie płacąc. Osilek, który zajrzał w czeluść wejścia, zostawił głowę w środku. Ciało padło na deski, a krew z szyi siknęła na łydki pozostałych Grikkmadów.

Pierwszy z namiotu wyskoczył Gaupahedin z dwoma toporkami w rękach. Z jednego zlizywał juchę, drugim rzucił w stojącego trzy kroki przed nim zielonego. Ostrze wbiło się w pierś aż po sam trzonek. Pozostali miejscy rabusie rzucili się na bestialskiego wojownika, ale temu z odsieczą przyszli bracia, którzy ze zwierzęcymi okrzykami na ustach wybiegli z namiotu. Urrhedin pchnął żelazną kulą w brzuch najbliższego napastnika, Svinhedin nadział na włócznię kolejnego. Ulfhedin zasłonił się tarczą przed ciosem młotka i uciął mieczem nogę innego wroga. Berhedin przeciągnął się leniwie, jak niedźwiedź po zimowym śnie, wznosił ogromną maczugę zakończoną czaszką niedźwiedzia o żelaznych włosach, ale chwilowo nie miał jej na kogo opuścić. Pozostali wojowie pieśniarza, ci trochę mniej szaleni od hamramirów, też nie gryzli węgla^[3] i zajęli się resztą przeciwników.

Poeta wykorzystał to, że chciwi mieszkańcy Miklagardu zostawili go za

swoimi plecami. Dobył miecz i wbił go pod pachę łysego grubasa. Dla Kvernbita, Gryzącego Kamień, cienka wełniana tunika i spora warstwa tłuszczu nie były żadnymi przeszkodami.

Czarny Berserk w końcu uwolnił swój gniew i gołymi rękami zatłukł na śmierć barczystego krzykacza, który zamachnął się na niego pałąką. Pozostali rabusie zostali podziurawieni saksami i mieczami załogi.

Tharbrand, sternik „Niegrzecznego Niedźwiadka”, wraz z kilkoma snekkjamadami zablokował trap przed wdzierającymi się na pokład zielonymi. Inni żeglarze zdążyli już otworzyć ładownię i rozdawali między sobą tarcze, hełmy, topory, łuki i włócznie.

– Nacierać! – rozkazał Skald, gdy wszyscy napastnicy na pokładzie zostali już zgładzeni.

Nie było to trudne. Vaeringów może i było dwukrotnie mniej niż przeciwników, ale stanowili drużynę wprawionych w zabijaniu drengów. Motłoch nie mógł się z nimi równać. Szybko posuwali się naprzód, tak że wszyscy żeglarze zdołali opuścić statek i utworzyć zwarty „świński łeb”, który klinem wdarł się w Grikkmadów i wytrwale ich wyrzynał.

Załogi pozostałych dwóch okrętów zorientowały się w sytuacji i pośpieszyły z pomocą. Oddziały snekkjamadów uderzyły na tłum młodych bandytów z obu stron. Kilkadziesiąt trupów wystarczyło, by reszta zielonych zachowała się jak dmuchawiec na wietrze. Rozpierzchli się na wszystkie strony.

– Może wrócimy na statki i odbijemy od brzegu? – zaproponował Gaut.

– Nie zdążymy – powiedział Ainar i wskazał mieczem nabrzeże.

Gawiedź, która dotychczas zajęta była grabieniem magazynu ze zbożem, zobaczyła śmierć swoich pobratymców i rzuciła się do ataku. W pojedynkę każdy z nacierających miał taką wartość bojową jak kobieta z motyką, ale razem byli niebezpieczni niczym sfora wygłodniałych kundli. Tysiąc napastników przeciw stu pięćdziesięciu wojownikom. To zrobiło wrażenie nawet na pieśniarzu.

– Skjaldborg! – rozkazał. Wiedział, że ściana tarcz była ich jedyną

szansą. Miał nadzieję, że jeśli uda im się zabić odpowiednią liczbę zbirów, reszta ucieknie jak ich poprzednicy.

Ustawili się w trzy rzędy. Wojowie z mieczami stanęli w pierwszym i postawili zaporę z tarcz, łącząc je na zakładkę. Żeglarze z drugiego szeregu także mieli drewniane osłony i w razie potrzeby mogli nimi wzmocnić pierwszą linię. Teraz jednak trzymali je zawieszane na plecach, szykując się do ataku, a nie obrony. Wyposażeni byli bowiem we włócznie i topory na długich styliskach, którymi mogli zabijać przeciwników, nie przepychając się do przodu. Ostatni rząd był mniej liczny i tworzyli go Vaeringowie z łukami, procami i lekkimi oszczepami do rzucania.

Bitewny szyk ludzi Północy wyglądał schludnie i groźnie. Nie tyczyło się to jednak hamramirów. Skald już dawno zaprzestał prób wyjaśniania im korzyści płynących z walki w zwartym szeregu, ponieważ szaleni wojownicy zawsze robili to, do czego zmuszał ich zwierzęcy zew. Dziś ustawili się w luźnym oddziale na prawo od snekkjamadów. Dołączył do nich Ali, który nie lubił walczyć z tarczą. Kowal słów pomyślał, że może to i lepiej, gdyż ostatnio zdarzało się berserkowi ranić w gniewie własnych towarzyszy.

Poeta ustawił się na przedzie skjaldborga i krzyknął:

– Teraz!

Strzały, kamienie i włócznie powaliły pierwszych napastników, oddalonych o trzydzieści kroków. Kolejne pociski poleciały już bez rozkazu, a na trzecią kolejkę nie starczyło czasu. Wojownicy weszli w zwarcie z rozwrzeszczaną tłuszcą.

Ciosy młotków, pałek i noży zastukały o drewniane, wzmocnione skórą i żelaznymi umbami osłony, ale napór tłumu był tak duży, że fałszywi kupcy cofnęli się trzy kroki. Topornicy i włócznicy z drugiego szeregu zrobili jednak swoje – u stóp wojowników z Północy zaczęły padać martwi zieloni, a nic tak nie przeszkadza w natarciu, jak konieczność deptania zwłok własnych rodaków. Napór gawiedzi zelżał, dzięki czemu Vaeringowie znów zwarli szyki. Na miejsce poległych z pierwszego rzędu weszli wojownicy z tyłu.

Zieloni ginęli, ale tłum nie wydawał się mniejszy, gdyż ciągle był zasilany przez kolejnych Grikmadów. Na szczęście zapal atakujących szybko spadał. Co innego znaleźć chętnych na obrabowanie bezbronnych kupców, a co innego przekonać ludzi, by walczyli ze świetnie uzbrojonym i wyszkolonym wojskiem. Oraz z hamramirami, którzy skutecznie przekonywali, że lepiej nie wchodzić im w drogę.

Szaleni wojownicy uważali, że skoro ich boski opiekun sam przybił się włócznią do drzewa, tym bardziej raduje go okrucieństwo zadawane innym. Czynili więc zadość pragnieniom Göllnira. Zabijali niczym wściekłe bestie, wzbudzając przerażenie wśród przeciwników. Rozdzielili się zaraz po rozpoczęciu potyczki. Gaupahedin i Ulfhedin pobiegli wzdłuż nabrzeża, po czym przedostali się na tyły wroga. Wybierali najłabsze sztuki w stadzie, zajęte serca, którym nie było śpieszno do pierwszego szeregu. Siekli tchórzy na kawałki, ucinali głowy, wyrywali wnętrzności, a krwawe ochłapy rzucali w tłum. Spowodowali tym spory popłoch w tylnych liniach, które szybko zaczęły rzednąć wskutek masowych ucieczek.

Svinhedin, Urrhedin i Berhedin trzymali się razem nieopodal prawego skrzydła Vaeringów i po prostu wdzierali się w tłuszcę, zabijając każdego, kto znalazł się w zasięgu ich broni.

Ainar przyjął na tarczę uderzenie grabi, po czym pchnął mieczem. Trafił w czyjś brzuch. Równocześnie towarzysz po prawej uszczelnił ścianę swoim skjaldem i osłonił lewe ramię pieśniarza przed uderzeniem cepa. Poeta pomyślał niemal z urazą, że przyszło im walczyć z głupcami, którzy nie wiedzą, iż skjaldborg najskuteczniej atakować od dołu, mierząc w nogi tarczowników.

Kowal słów, podobnie jak Czarny Berserk, nie lubił walczyć w ścisku, gdzie każdy wojownik jest sobie równy i trudno o pojedyncze popisy. Wprawdzie czuł się zobowiązany dawać przykład swoim ludziom, ale zabijanie szybko mu się znudziło. Wolał się trochę porozglądać.

– Zastępstwo! – krzyknął i cofnął się. Dreng stojący za jego plecami zajął miejsce w pierwszym szeregu. Skald poszedł na tyły i wspiął się na pomost, by mieć lepszy widok.

Było lepiej, niż przypuszczał. Spora część zielonych doszła do wniosku, że lepiej odpuścić sobie uzbrojonych kupców i poszukać łatwiejszego łupu. Grupki Grikklandczyków wycofywały się z bitwy, a następnie wdzierały do pobliskich domów. Gorzej, że niektórzy zmierzali w stronę statków. Dwie snekkje, zacumowane kilkadziesiąt kroków od miejsca walki, a teraz pilnowane tylko przez garstkę żeglarzy, były zagrożone. Poeta zaczął machać, by ich załogi odbiły od brzegu. Po chwili zauważył, że został zrozumiany.

Poszukał wzrokiem Alego i skrzywił się z obrzydzenia. Życiu Blamada raczej nic nie zagrażało, lecz zawładnął nim berserksgrangr. Czarny wojownik trzymał w jednej ręce miecz, zwany wymownie Ludożercą, a w drugiej uciętą w kolanie czyjąś nogę, którą raz uderzał niczym maczugą, a raz pogryzał. Zgubił swoją skórę z grzywiastego kota, przez co odsłonięty został wytatuowany na plecach i głowie Blamada błękitny wąż, który przy każdym ruchu wojownika prężył się i wił niczym prawdziwy gad. Wokół szaleńca rychno zrobiło się luźno, bo ani Vaeringowie nie chcieli bić się u jego boku, ani napastnicy nie śpieszyli się z nim walczyć. Poeta martwił się jednak o towarzysza, bo po ostatnich atakach gniewu coraz trudniej było przywołać go do porządku.

Bitwa wyglądała na wygraną. Ponad połowa zielonych wycofała się z walki, a pozostałym brakowało tylko małej zachęty, by pójść w rozsypkę. Okazała się nią śmierć największego osiłka, któremu czaszkę zgmiotła maczuga Berhedina.

– Stać! Trzymać szereg!

Rozkaz Ainara powstrzymał kilku bardziej zapalczywych snekkjamadów, którzy przejawiali ochotę na ściganie pierzchających miklagardczyków. Wojowie musieli trzymać się razem, albowiem była ich tylko garstka wobec ciżby pustoszącej port. W takiej sytuacji należało się zadowolić lżeniem przeciwników i zwycięskimi okrzykami.

Skald, stojący najwyżej, pierwszy dostrzegł nowe niebezpieczeństwo. Zaklął, ubliżając odpowiedzialnym za szczęście i pecha fylgjom, hamingjom i disom, które ciągnęły za jego wojskiem. Po chwili wszyscy

drengowie dołączyli do przekleństw.

Przenikliwy wódz powinien się domyślić, że uciekinierzy sprowadzą pomoc. Poeta uważał się właśnie za takiego dowódcę, ale miał nadzieję, że odsiecz nadejdzie trochę później, gdy Vaeringowie będą już na morzu. Tymczasem zza portowych domów wyszli zbrojni i zaczęli ustawiać się w dwóch rzędach. Widać było, że to karni, dobrze wyszkoleni żołnierze, którzy nosili szyszkowate hełmy i długie kolczugi. Pieśniarz naliczył cztery setki. Za dużo, nawet jak dla jego ludzi. Część snekkjamadów mogła spróbować przedostać się na „Niegrzecznego Niedźwiadka”, ale że pozostałe dwa okręty odbiły już od brzegu, reszta ludzi Północy zostałaby skazana na śmierć.

Grikklandzkie wojsko ruszyło do ataku.

– W końcu się przekonam, ile jesteście warci! Z tamtym motłochem poradziłyby sobie wasze matki!

Drengowie nie dali się nabrać na tę prostą sztuczkę. Karmiciel kruków pojął, że grzebanie mieczem w ich zranionym honorze nie wystarczy. Był jednak sprawny w strof składaniu, więc i przedbitewna mowa nie była dla niego wyzwaniem. Zawsze trzymał na końcu języka kilka słów, które potrafiły omotać prostych zabijaków.

– Co czeka was w domu? Oranie pola, wypas bydła i wmawianie sobie, że bachor, który urodził się zaraz po waszym powrocie, jest jednak wasz! Co czeka was tutaj? Dobrze rąbanie i upijanie się krwią Grikkmadów! Pokażcie męstwo i dumę! Zdobywajcie sławę, by jej blask oślepił wrogów. A jeśli będziecie mieć szczęście i polegniecie w boju, zyskacie możliwość dalszej walki w Gmaszysku Zarżniętych, gdzie czeka na was morze piwa i miodu oraz tabun zawsze chętnych dziewczek! Wiem, że niektórzy okażą się pechowcami i przeżyją, ale niech i oni się nie martwią! Na osłodę dostaną obietnicę zemsty i tyle złotych monet, ilu przeciwników zabiją! Czy zatem jesteście gotowi do...

Urwał przemowę, widząc, że grikklandzkie wojsko niespodziewanie skreśliło i obrało nowy cel. Zaatakowało grabieżców!

Vaeringowie nadal trzymali szyk, ale nie bardzo wiedzieli, co począć.

Zew krwi, który obudziła w nich przemowa Skalda, kazał im szykować się do natarcia, ale dziwne zachowanie obrońców miasta zatrzymywało ich w miejscu.

– Pozycje obronne! – Ainar natychmiast dostosował działania do nowej sytuacji. Straż najwyraźniej nie miała zamiaru z nimi walczyć, choć mogła zmienić zdanie, jeśli pomyli ich z motłochem.

– Wycofujemy się?

Poeta bez patrzenia wiedział, że to znów Gaut. Młodzieniec nie gadał głupio. Mogli skorzystać z zamieszania i wrócić na okręty. Wystarczyło dać znać żeglarzom na snekkjach, by po nich przypłynęli. Tak byłoby bezpieczniej i rozsądniej. W żyłach pieśniarza płynęły jednak krnąbrność, bezczelność i zamiłowanie do kłopotów.

– Zostajemy! Plecy prosto, pierś do przodu, broń w gotowości! Macie wyglądać jak doborowa straż samego gardskonunga Miklagardu!

Stali zatem, umilając sobie południe obserwacją lania, które dostawali zieloni. Okazało się, że straż z rzadka używała ostrej broni, a uspokajała grabieżców za pomocą pałek i batogów. Opór tłuszczu, przetrzebionej wcześniej przez Vaeringów, nie trwał długo. Gdy ostatni zieloni uciekli, wojsko znów stanęło w dwóch równych liniach i pomaszerowało na snekkjamadów.

Morski konung zszedł z pomostu i wyszedł przed pierwszy szereg swoich ludzi.

– Opuśćcie broń, ale jej nie chowajcie!

– Jakże to? – W głosie Gauta słyhać było nie tylko zdziwienia, ale i gniew.

– Wykonać!

Ostrza mieczy skierowano w dół, a groty włóczni wycelowano w niebo. Na szczęście także hamramirzy sami się uspokoili, gdy zabrakło im ludzi do zabijania, choć ich zachowanie dalekie było od poprawności. Berhedin ocierał się o pal przy nabrzeżu, Svinhedin tarzał się w błocie i krwi, Urrhedin przeżuwał kawałek mięsa, Gaupahedin ostrzył toporki, a Ulfhedin

obsikiwał jedyne drzewo, które rosło w porcie. Najgorzej jednak było z Alim, który z mieczem i uciętą nogą w dłoniach stał nad stosem trupów. Dyszał przy tym jak młodzieniec na pokładzinach i z szalonym błyskiem w oku szukał kolejnych przeciwników.

– Do wody z nim – zdecydował Ainar.

– Ale jak?

– Użyjcie wiosła.

Trzech ludzi pobiegło na „Niegrzecznego Niedźwiadka”, wróciło z drągami, a następnie ostrożnie podeszło do Czarnego Berserka i spróbowało wepchnąć go do morza. Szaleniec nie dał się łatwo zrzucić z pomostu. Potężnym uderzeniem Ludożercy wytrącił broń jednemu wioślarzowi, a w drugiego rzucił uciętą nogą, trafiając go w czoło. Trzeciemu udało się w końcu zepchnąć berserka do zatoki. W samą porę, ponieważ grikklandzkie wojsko właśnie zatrzymało się dziesięć kroków od Vaeringów, przepuszczając bogato, choć niezbyt praktycznie odzianego mężczyznę. Nosił krótki pancerz zrobiony z zachodzących na siebie żelaznych łusek, które były zabarwione na biało (pieśniarz dowiedział się później, że taki typ zbroi nazywano *klivanion*), niebieską tunikę (w języku miejscowych: *chiton*) zdobioną na brzegach złotą nicią oraz błękitne spodnie nakrapiane białymi plamami. Plecy okrywał mu biały płaszcz zapięty na prawym ramieniu złotą fibulą. O dziwo jasne okrycie tylko nieznacznie było pobrudzone krwią, co znaczyło, że żołnierz nie uczestniczył w walce.

Dowódca, bo niewątpliwie był nim czyścioch w rybiej zbroi, przywitał ich w tutejszej mowie. Skald odruchowo czekał na tłumaczenie Alego, ale ten zajęty był próbami wydostania się na brzeg. Użytecznością wykazał się Gaut:

– Mówi, że nazywa się Orestes Parsakoutenos i jest trybunem Noumeroi. Dziękuję nam za pomoc w tłumieniu zamieszek i pyta, kim jesteśmy.

Ainar uniósł dłoń w północnym geście powitania i zrobił obrażoną minę. Nie wiedział, kim są owe „numerki” ani co kryje się pod nazwą „trybun”, ale babka zawsze mu prawiała, iż „człek bystry kryje się z niewiedzą,

a matoł szczyć się głupotą”. Göllnir krzyknął mu do ucha szalony pomysł, a Mimir kapnął mu miodem mądrości do ust, by umiał ładnie ubrać myśli w słowa.

– Zwą mnie Ainarem Skaldem i jestem konungiem Vaeringów. Z mocy bogów jestem prawowitym dziedzicem wszystkich krajów Północy, a kristiańscy władcy Vallandu co rok płacą mi daninę. Jestem tym, który spustoszył Wyspę Irów, spopielił domostwa Noregu i zniszczył potęgę Odainsaku. Władca Glaesiru oddał mi swoje bogactwa i armię, bym mógł przypląć do Miklagardu i rozmówić się z samym gardskonungiem!

– To już nie jesteśmy prostymi kupcami?

– Mów, jak powiedziałem.

Chwilę trwało, zanim Gaut wszystko powtórzył. Nie był tak biegły w mowie Grikkmadów jak Czarny Berserk. Na odpowiedź musieli poczekać, bo czterech miklagardzkich żołnierzy podeszło do dowódcy i chwilę się naradzali. W końcu mężczyzna w białym płaszczu przemówił.

Tym razem Gaut na chwilę wstrzymał się z tłumaczeniem, jakby chciał podkreślić, że powodzenie rozmów zależy od jego zdolności językowych. Pod groźnym spojrzeniem pieśniarza zrobił jednak to, co do niego należało.

– Prosi o wybaczenie. Z powodu brudu i łachmanów, które mamy na sobie, wziął nas za drobnych handlarzy. Pyta też, kim są szaleńcy, którzy zachowują się jak zwierzęta.

W porównaniu z lśniącymi kolczugami straży oraz ich hełmami zdobionymi białymi kitami odzienie drengów rzeczywiście wyglądało marnie. Większość wojowników nie zdążyła nawet przywdziać zbroi przed walką.

– Gdyby gościnnie powitano nas w tym mieście, ubralibyśmy się bardziej stosownie. Trudno mieć czyste kyrtille, gdy musisz bronić swojego życia. A ci szaleńcy to ogary, którymi szczuję swoich wrogów. Ten czarny demon, który właśnie wychodzi z wody, jest najstraszniejszy z nich.

Ali jak zwykle wyczuł odpowiednią porę na uśmiech. Otrzeptał się z wody niczym mokry kot i zaprezentował przybyszom dwie piły w ustach.

Orestes przyjął uszczypliwości z kamienną twarzą. Po chwili Gaut przekazał jego odpowiedź.

– Jeśli złożymy broń, pozwolą nam stanąć przed obliczem władz.

– Nikomu nie oddamy naszych mieczy. Raczej wsiądziemy na statki i odpłyniemy, by rozpowiadać po całym świecie, że w Miklagardzie żelazem wita się władców, podróżników i kupców.

Wśród żołnierzy, zwłaszcza tych strojniej odzianych, zapanowało poruszenie. Ainar dobrze wiedział, że bogactwo miasta pochodzi z handlu i jego władca zrobi wszystko, by Carogród uchodził za miejsce przyjazne kupcom.

– Nikomu nie musimy oddawać broni. – Gaut był ucieszony, jakby to on zmusił Grikkmadów do ustępstw. – Po prostu mamy ją schować na statkach. Prawo miasta mówi, że tylko wojsko Rómverjar może chodzić po ulicach z orężem przy pasie.

Skald wygrał i dobrze wiedział, że nie uzyska niczego więcej. Przez chwilę stał jednak w milczeniu, dumnie zadzierając nosa jak urażony konung. Uznał, że miejscowym przyda się trochę niepewności. W końcu skinął głową i już bez niczyjej pomocy oznajmił:

– My się zgadzać.

2

„*Pandokeion* nie jest złym miejscem na spędzenie nocy” – tak przynajmniej twierdził Czarny Berserk, który podczas swoich podróży odwiedził wiele oberż, a poprzez obserwację i porównania poznał liczne murarskie tajemnice. Patrzenie na stabilne konstrukcje, które mimo pośpiechu świata pozostawały dostojne i nieruchome, zawsze go uspokajało. Okazały dwupoziomowy budynek z czerwonego kamienia wyglądał na siedzibę bogacza. Od przodu zdobiły go dwa rzędy ustawionych na sobie kolumn, które wraz z kamiennym daszkiem

i wysuniętymi do przodu narożnikami gospody tworzyły u góry uroczy ganek, a na dole niewielką galeryjkę. Jak większość budynków w mieście, również i ten przykryty był czerwoną dachówką, zabrudzoną odchodami gołębi, które przesiadywały na kalenicy. Wejście znajdowało się między dwoma wrośniętymi w ścianę pilastrami, stanowiącymi podstawę kamiennego łuku. Był on rozciągnięty nad dębowymi drzwiami, na których skrzydłach wyrzeźbiono przekrzywione ku sobie kielichy. Pilastry i łuki otaczały też okna, które tworzyły dwa równe szeregi na każdej ze ścian budynku.

Oberża była przestronna, solidna i bezpieczna, mimo to goście nie wyglądali na zadowolonych. Ali spojrział z politowaniem na Skalda, który z ponurą miną siedział przy stole i rzeźbił. Drewniana ryba z rogiem na czole była już prawie gotowa – brakowało jej tylko ogona.

– To ty kazałeś wrzucić mnie do wody – stwierdził, a nie zapytał Blamad. Wiedział, że nikt inny by się na to nie odważył. Vaeringowie bali się go i prędzej strzeliliby mu w plecy z łuku, niż próbowali uspokoić.

– Aha.

Ainar nawet nie podniósł wzroku znad figurki.

– Dobrze zrobiłeś. Wielu zabiłem?

– Kilku. Razem padła może setka Grikkmadów. Ale na razie nikt nam tego nie wypomniał.

Na razie. Mieli do czynienia z kupieckim ludem, którego przedstawiciele uśmiechali się i zbywali machnięciem dłoni wszelkie urazy, ale przypominali je sobie w odpowiednim dla siebie czasie. Zwykle wtedy, gdy winowajca czegoś od nich chciał.

– Nadal trzymamy się planu?

– Tak. Czekamy do południa, aż przy płyną trzy kolejne statki.

– Jak każesz, konungu całej Północy.

Poeta w końcu oderwał oczy od drewnianej rybki i przywołał jedną ze swoich gniewnych min. Uniósł brwi, zatańczył nimi i wykrzywił usta na wilczą modę. Czarny Berserk dobrze wyczuł, że dla Ainara jest to drażliwa

sprawa. Dumny pieśniarz oczekiwał, że gdy tylko ogłosi się władcą całej Północy, Grikkmadowie otworzą przed nim wierzeje pałacu i wyprawią ucztę na jego cześć. A tymczasem kazano im czekać. Najpierw całe popołudnie w porcie, a potem noc w pandokeionie o wdzięcznej nazwie „Słodkie Winogrona”. Owoce rzeczywiście były tu słodkie, ale nie zatarły goryczy zawodu. Tym bardziej że Skald zabronił ludziom uczyć winem poległych towarzyszy, ponieważ jutro mogła ich czekać kolejna bitwa. Przez całą wieczność naburmuszeni Vaeringowie wpatrywali się tylko w kielich z winogronami, ułożony z malutkich kamyczków na środku głównej sali gospody. Najdłużej mozaikę oglądał sam Ainar, jakby próbował zapamiętać ułożenie wszystkich części układanki. Czarny Berserk nie napominał go, że ozdobę można wydlubać nożem, ale nie da się jej ukraść. Bawiła go sama myśl o przyjacielu próbującym odtworzyć ów wzór w jakimś domu na dalekiej Północy.

– Nie drwij sobie ze mnie, czarna maso. Mój umysł był pełen dobrych pomysłów, gdy ty jeszcze ssalesz cycki kozy, nazywając ją matką.

Tym razem to Ali przybrał swoją groźną minę – uśmiechnął się. Wcale się jednak nie gniewał. Od tygodni obrażali się w ten sposób, ćwicząc swoją cierpliwość i zacieśniając dziwną przyjaźń, która ich połączyła. Braterstwo zawarte poprzez wzajemne dzielenie się w pysk miało swoje prawa.

– Ale jednak prościej byłoby udawać kupców. Teraz będą na nas skierowane oczy połowy mieszkańców miasta – wtrącił się do rozmowy Gaut, za co poeta zaszczycił go przelotnym i na pozór nic nieznaczącym spojrzeniem. Młody żeglarz zdawał się nie zauważać, że to spojrzenie było o wiele groźniejsze niż poprzednia mina konunga. Gaut nie był Czarnym Berserkiem, nie mógł więc pozwalać sobie na wymianę złości ze swoim władcą.

– Jako kupcy musielibyśmy handlować, zamiast bawić w tym pięknym przybytku. Poza tym nasza opowieść stała się bardziej wiarygodna. Miklagardczycy prędzej uwierzą, że skoro nie jesteśmy kupcami, to nie mamy nic wspólnego z handlarzami, którzy przypłyną dzisiaj.

Była to prawda, choć jutro i tak czekał ich ten sam problem – czy straż po raz kolejny nabierze się na kłamstwo o trzech kupieckich statkach, które nie mają nic wspólnego z tymi poprzednimi? Inna sprawa, że w oczach mieszkańców miasta dostojęństwo konunga Północy mocno osłabło po wczorajszej nocy. Co prawda dzięki trzeźwości obyło się bez bijatyk, ale zachowanie Vaeringów dalece odbiegało od tutejszego wyobrażenia o nich i ich władcach. Żeglarze odrzucili bowiem propozycję Grikkmadów, by tylko Ainar i jego najbliżsi ludzie zamieszkali w pandokeionie, a reszta zanocowała w pobliskiej długiej drewnianej chacie. Nie zwracając uwagi na zdziwienie straży, wszyscy wojowie ulokowali się w kamiennym budynku i jeszcze prawili o niezwykłej przestronności wnętrza. Tylko hamramirzy wzgardzili gościnną i na nocleg wybrali przylegającą do oberży stajnię, z której zaraz po ich wejściu uciekły wszystkie zwierzęta. Tak samo postąpili miejscowi goście karczmy, przerażeni widokiem ponad setki brodatych wojów rozkładających posłania nie tylko na sypialnianym piętrze, ale i na dole, w jadalni. Blamad ani myślał wspominać snekkjamadom, że za nocleg i wyżywienie w tego typu przybytkach drogo się płaciło. Wolał poczekać na minę Skalda, kiedy gospodarz będzie próbował wymóc na nim należność.

– A skoro już jesteśmy przy kupczeniu... – podjął rozmowę rzeźbiarz. – Bergthor i Runolf, skoczcie zobaczyć, jak wygląda sytuacja w porcie!

W końcu jakaś słuszna decyzja – pomyślał Blamad. Na statkach została ich broń oraz wszystkie towary przeznaczone na handel, a choć tych nie było wiele, jednak należały do cennych. Zwłaszcza bursztyn wart był tu podobno swojej wagi w złocie. Łodzi pilnowało kilku snekkjamadów, którzy pechowo wyciągnęli najkrótsze losy. Przy okrętach pozostawiono również grikklandzką straż, a jej przywódca zapewnił, że zamieszki zostały już stłumione i sam basileus gwarantuje kupcom nienaruszalność ich dóbr. Jednak, jak mawiało się w ojczyźnie Alego, „przezornego hieny nie zeżrą”.

Słońce już dawno wzeszło, by chwalić wielkość Allaha lub, jak wolą inni, Ormuzda. W dawnych czasach Ali byłby już po *salat as-subh*, a w czasach nieco bliższych – po jaszcie na cześć Wertragny, lecz ostatnio

nie miał ochoty na modlitwy. Zaczynał wierzyć, że nigdy nie zdoła pozbyć się gniewu, przestał więc prosić bogów o łaskę spokoju. Chęci do śpiewania hymnów nie przejawiał też żaden ze snekkjamadów, którzy coraz liczniej podnosili się z podłogi sali jadalnej albo schodzili z piętra.

– Kogo trzeba tu zabić za śniadanie?! – krzyknął Skald, a kiedy nikt się nie zgłosił na ochotnika, skierował wzrok na berserka. – Przydaj się na coś, Ali, i popędź naszego gospodarza.

Czarny Berserk już dawno przywykł do roli straszaka. Przeszedł się po domu, ale nie znalazł ani oberżysty, ani nikogo z jego rodziny. Pomyślał, że właściciel pandokeionu zmańdował po wczorajszej kolacji i ulotnił się, ponieważ rzeczywiście oszczędniej było zostawić cały przybytek w rękach snekkjamadów, niż spełniać wszystkie zachcianki takich gości. Należało się zatem samemu ugościć.

Zapachy doprowadziły go do spizarni. Wojownik z dalekiego Wagadou sięgnął po kosz z czerstwym chlebem i dzban z kozim mlekiem. Kiedy wrócił do jadalni, spotkała go niewybaczalna potwarz – jego miejsce po prawicy Skalda było zajęte przez rudego drenga. Blamad stanął za plecami zuchwalca. Czarne ciało wojownika rzuciło cień na pół stołu, a oddech Alego stał się ciężki i nieco chrapliwy. Taka zaczepka zwykle wystarczała, by snekkjamad sięgnął po miecz, ale nikt z nich nie miał broni, nikt też nie chciał denerwować Czarnego Berserka. Rudzielec, widać przywykł do słońca, długo nie wytrzymał siedzenia w cieniu. Wstał, chwycił się za przyrodzenie i wyszedł z budynku, udając konieczność pójścia za potrzebą. Wytatuowany olbrzym usiadł na należnym mu miejscu.

– Dawniej nie bawiły cię takie gierki. – Ainar zmarszczył brwi i uniósł prawy kącik ust.

To prawda. W czasach, gdy starał się panować nad gniewem, Ali unikał wszelkich zaczepek. Teraz nie tylko szybko dopuszczał, by opanowała go furia, ale lubił denerwować innych – niemal tak samo jak pieśniarz.

– Jeszcze w Dyragardzie ostrzegałem cię przed złością Czarnego Berserka.

– Dalej się wściekasz o tego Tirusa? Powinieneś to już przetrwać.

Przetrawić. Blamad docenił żart słowny, ale się naburmuszył. Wspomnienie małego kagana tkwiło w jego głowie jak kość w gardle.

Niegdyś gorliwy wyznawca Allaha, czciciel Wertragny i pokorny sługa Bidy położył jadro na stole. Kosz i dzban zaczęły krążyć najpierw wokół tych, którzy siedzieli na ławach, a potem dotarły do mężczyzn podpierających ściany i wycierających spodnie o kamienie posadzki. Nie starczyło tego nawet na zaspokojenie pierwszego głodu wojowników. Ali już miał się podzielić z Vaeringami informacją, gdzie znajdują spiżarnię i więcej jedzenia, gdy drzwi otworzyły się z hukiem, a do środka weszło trzech ludzi.

– Nie, nie, nie. Tak nie może być. Moje drogie brodate misiaczki jeszcze nic porządnego nie papusiały?

Człowiek, który wypowiedział te słowa w mowie Północy, miał wysoki, słowiczy głos, a nosił zielono-niebieską tunikę, sandały ze sznurowaniem aż do kolan i żółty płaszcz zapinany na ramieniu, nazywany tutaj *chlamys*. Osobnik był szczupły, miał wąskie ramiona, długie nogi, a także bardzo długie ręce, które sięgały kolan. Bujne, zaplecione w dziesiątki warkoczyków włosy opadały na ramiona, odsłaniając różową twarz, gładką jak tyłek niemowlaka. Roztaczał wokół siebie woń piżma i oliwy, co było miłym powiewem świeżości w zestawieniu z zapachem spoconych żeglarskich ciał. Ali domyślił się, z kim mają do czynienia, ponieważ niegdyś w Serklandach zetknął się z podobnymi ludźmi. Vaeringowie nie byli jednak tak przenikliwi. Kłótnie o resztki chleba stały się jakby cichsze, a większość żeglarzy wyprostowała plecy. Snekkjamad, który stał najbliżej przybysza, szczytnął go w tyłek, na co ten zareagował piskiem i chichotem. Nie było wątpliwości, że wyposzczeni wioślarze brali go za kobietę.

Dwóch pozostałych mężczyzn nie wzbudziło już takiego zainteresowania. Byli w końcu tylko strażnikami z włóczniami.

– Taką lichą gościnę nam tu okazują – odpowiedział Skald, który nigdy nie chował ręki przed darczyńcami i zawsze potrafił ich zachęcić do hojności.

– Wybaczcie mi, dzielni wojowie o rumianych licach. To się zaraz

zmieni. Teofanesie!

Przybysz wyjął sakiewkę spod płaszcza i rzucił ją szerokim łukiem, niemal pod sufit. Wszyscy Vaeringowie utkwili w niej wzrok i śledzili lot mieszka, zastanawiając się pewnie, gdzie wyląduje. I wtedy stały się czary. Jak spod ziemi pojawił się w sali oberżysta, który pewnym chwytem złapał sakiewkę, zważył ją w dłoni i rzekł:

– Jaki to zaszczyt gościć władcę Północy i przyjaciela naszego autokratora!

Ali uśmiechnął się, ale inni nadal mieli niepewne miny, ponieważ karczmarz wygłosił te słowa w mowie Grikkmadów.

– Mówi, że dostaniemy jadła, jakim nie wzgardziłby sam konung Carogrodu – wyjaśnił Blamad.

Pandokeion rozbrzmiał wesołymi okrzykami, choć wielu Vaeringów, zamiast się cieszyć, spoglądała łakomie na przybysza. W ich oczach musiał być wymarzoną materiałem na żonę – bogato odzianą i śmiałą kobietą o dwornych manierach, a do tego chowającą pękate sakiewki pod płaszczem. Ta ostatnia zaleta przysłaniała wszelkie niedostatki jej urody.

Niemal tak szybko, jak sam Teofanes, w gospodzie pojawili się jego pomocnicy, którzy zaczęli wnosić potrawy. Przed gośćmi stanęły misy z *ptisáne*, *póltos* i *pyroí hefthoí*. Podawane przez gospodarza nazwy dań nic Alemu nie mówiły, ale po smaku poznał, że są to zupy gotowane z różnego rodzaju zbóż z dodatkiem octu winnego i oleju. Wniesiono też więcej chleba, a według zapewnień niosących go chłopców były to: *ártos kríthinos*, *ártos pýrinos*, *ártos ázymos*, *ártos zymítes*, *ártos katharós*, *ártos synkomistós*, *ártos ryparós* i *ártos dípyros*. Vaeringowie nie byli ciekawi, czym różnią się od siebie te rodzaje pieczywa, tylko ładowali do ust po ćwierć bochenka naraz, popijając kęsy olejem z ziołami, który podawano w drewnianych miseczkach. Berserk, który jako jedyny wiedział, że chleb jest tylko przystawką przed lepszymi daniami, nie obżerał się, ale urywał kawałki pieczywa i przed zjedzeniem maczał je w oleju, jak prawdziwy Grikkmad. Smak i wzrok odpowiedziały mu, że spożywa wypieki z jęczmienia i pszenicy, zarówno przaśne, jak

i fermentowane, białe i ciemne, a nawet takie, które były dwukrotnie wypiekane.

– Siadaj z nami, pani. – O dobrych obyczajach przypomniał sobie Gaut, który starał się konkurować w dostojności z Ainarem. Pieśniarz przeżuwał chleb, spokojnie kończył rzeźbić swoją figurkę i uśmiechał się kpiąco, jakby przeczuwał nieuchronne kłopoty.

– Zapraszamy – zachęcił przybysza Skald. – Przysiądź u boku mojego dzielnego doradcy.

Darczyńca uczył zachichotał jak trzpiotka i potruchtał do stołu. Vaeringowie posłusznie zrobili mu miejsce.

– Pani? No nie wygłupiajcie się, chłopcy. Zachowujecie się, jakbyście nigdy nie widzieli mężczyzny bez brody. Oj, wy łobuziaki – powiedział i pogroził im palcem.

Przy stole zapanowało poruszenie. Ali spokojnie sięgnął po *boukelláton* – bułkę w kształcie pierścienia – i namoczył ją w oliwie. Kątem oka zauważył, że poeta wreszcie skończył rzeźbić i kładzie przed sobą gotową drewnianą rybkę.

– Jak... jak to mężczyzny? – wyjąkał Gaut i z obrzydzeniem zerwał się na nogi.

– Misiaczki, misiaczki. Chłopiec, który w dzieciństwie został rozbrojony, nadal może zostać mężczyzną. Nazywam się Slavomirus i należę do domu samego autokratora Byzantionu!

– Jak... jak to mężczyzny? – powtórzył młody Vaering, jakby miał kamienie w głowie. – To znaczy, że ty... – Nie dokończył, tylko chwycił przybysza za ubranie, postawił na nogi i rozerwał mu tunikę. Nikt nie dostrzegł tam śladów kobiecych piersi.

– Nie tak ostro, misiaczkę. Uczono mnie, jak zaspokoić jurnego woja, ale potrzeba do tego nieco spokoju.

Gaut poczerwieniał na twarzy i zacisnął pięści. Denerwując go, rzezaniec wykazał się tym rodzajem odwagi, który płynie z niewiedzy i głupoty. Jeśli myślał, że obroni go dwóch strażników przy drzwiach,

grubo się mylił. Ludzie Północy byli co prawda bez broni, ale ani myśleli rozstępować się przed Grikkmadami, którzy z nastawionymi włóczyniami szykowali się do obrony wyrośniętego chłopca.

– Stój! – Słowo pieśniarza w ostatniej chwili powstrzymało pięść młodego snekkjamada. – Posadź go na miejscu.

– Nie będzie mnie obrażał jakiś Grikkmad bez młota!

– Już więcej nie będzie. Prawda?

Eunuch zatracił całą wcześniejszą wesołość i teraz był bliski płaczu.

– Moim zamiarem nigdy nie było obrażanie gości naszego basileusa! Przyjmij moje przeprosiny, jeśli ci czymś uchybiłem. A wy, dzielni włócznicy, wymierzcie groty w sufit i nie brudźcie juchą podłogi tego zacnego pandokeionu.

Gaut burknął coś w odpowiedzi i pchnął Slavomirusa na ławę. Sam opuścił swoje miejsce i przeszedł w głąb sali, jakby chciał pokazać, że brzydzi się każdym kontaktem ze zniewieściałym dziwolągiem. Czarny Berserk musiał przyznać, że bogowie przychylnie spoglądają na pieśniarza. Kował słów świetnie rozegrał to zamieszanie i złowił dwa pstrągi jednym rzutem oszczepu – pozbawił grikklandzkiego rozmówcę animuszu oraz ośmieszył zuchwałego żeglarza.

– W naszych stronach też spotyka się mężczyzn w sukienkach. – Konung mówił głośno, by usłyszeli go ludzie w najdalszych zakątkach jadalni. – Ale są to krótkie i gwałtowne spotkania, kończące się śmiercią zniewieściałego woja. Na morzu przywiązujemy takiego do wiosła i wyrzucamy za burtę, a na lądzie wieszamy, po czym stawiamy mu słup hańby, by wszyscy ludzie i bogowie wiedzieli o jego wstydzie. – Pomieszczenie rozbrzmiało uderzeniami pięści w stół i okrzykami zgody. Rzeźbiarz poczekał, aż jego ludzie trochę się uspokoją, po czym przesunął drewnianą rybkę w stronę rzezańca i powiedział: – Twoje szczęście, że nie jesteśmy w naszych stronach. Co więcej, przybyliśmy tutaj jako goście, dlatego odwdzięczę ci się podarunkiem za podarunek. W zamian za ucztę dam ci tę wspaniałą figurkę.

Czarny Berserk uśmiechnął się, ale jak zwykle wyszedł mu brzydki

grymas, który jeszcze bardziej wystraszył rzezańca. Tymczasem Alemu rzeczywiście było wesoło, gdy patrzył na Slavomirusa, który z udawaną, podyktowaną strachem wdzięcznością przyjmował rzeźbę wartą najwyżej trzy miedziane follisy. Pieśniarz nie lubił mieć długów, więc właśnie spłacił ucztę w najtańszy sposób, jak to było możliwe.

– A teraz opowiedz nam o sobie. Tylko pamiętaj, że jeśli jeszcze raz nazwiesz któregoś z nas misiaczkiem, osobiście zapoznam cię z tradycją Północy.

– Źle to wszystko zaczęliśmy, moje drogie mi... znaczy się, moi mili. Przecież wielu z was jest moimi rodakami. W dzieciństwie porwano mnie z Gardariki, sprzedano w niewolę i usunięto mi barbarzyństwo płynące z chuci. Miałem to szczęście, że trafiłem do domu Konstantyna Porfirogenety i dzięki temu mogę służyć basileusom biegłą znajomością języków Północy.

– Do rzeczy! Czego od nas chcesz?

– Kiedy ja niczego od was nie chcę. Wręcz przeciwnie. Autokrator przysyłał mnie, bym zaoferował wam wszelką pomoc. Mam dbać, by dobrze was traktowano i niczego wam nie brakowało. Jestem tłumaczem, przewodnikiem i strażnikiem waszej wygody. Wasza wola jest moją powinnością, wasze słowa – moimi rozkazami, a...

...a moje oczy – oczami basileusa – dokończył w myślach Ali, nie słuchając dalszych wyjaśnień Grikkmada, gdyż chodziło w nich tylko o zamaskowanie tej jednej prawdy, że eunuch miał pilnować każdego ich kroku. Zrozumiał to i Skald, który tonem nieznoszącym sprzeciwu oznajmił:

– Poradzimy sobie bez ciebie. Możesz odejść!

Zbity z tropu rzezańiec spojrział niepewnie na pieśniarza, a kiedy napotkał jego srogi wyraz twarzy, wbił wzrok w posadzkę, po czym cicho wymamrotał:

– Jeśli nie odpowiada wam moja osoba, zastąpi mnie inny mężczyzna bez brody. Wiedz jednak, że zgodnie z wolą autokratora żadna grupa obcych nie może przebywać w mieście bez opiekuna.

Blamad prędeż by się spodziewał Ainara modlącego się w kristiańskiej świątyni niż proszącego o radę. A jednak pieśniarz poszukał wzrokiem spojrzenia Alego, kiedy zaś ten skinął głową, rzekł:

– Zostań, jeśli chcesz.

Trzebieniec najwyraźniej chciał, nawet jeśli jego chciejstwo brało się jedynie z poczucia obowiązku wobec gardskonunga, ponieważ uśmiechnął się nieśmiało i delikatnie zaklaskał w dłonie.

– Wspaniała decyzja. Jestem pewien, że moja osoba zadba o każdą waszą zachciankę. Zacznę może od tego, że zorganizuję wam coś do picia. *Oínos kai brýton*, Teofanesie!

Poeta uczył się od Blamada języka grikklandzkiego, a choć nauka szła mu opornie, dwa słowa przyswoił sobie błyskawicznie: wino to *oínos*, a piwo to *brýton*.

– Nie. Moi ludzie nie będą dzisiaj pić – oznajmił krótko wódz snekkjamadów, co stało się przyczynkiem do ogólnego jęku zawodu.

– To może chociaż *foúska*?

– Fouska?

– To mieszanka wody i octu winnego z domieszką anyżu i mięty. Wspaniały kwaskowaty napój, który przegna każdą senną słodycz i przygotuje człowieka na trudy dnia powszedniego.

– Niech będzie.

Na polecenie rzezańca gospodarz z pomocnikami wnieśli dzbany i postawili je na stole. Vaeringowie po raz kolejny udowodnili, że rzeczywiście muszą być potomkami ludu Jaguga i Maguga, których nie da się nauczyć dobrych obyczajów. Brudnymi łapskami sięgali po naczynia, żłopali zachłannie napój i z nieodłącznym beknięciem przekazywali sobie dzbany. Nikt z wyjątkiem Alego, eunucha i Skalda nie skorzystał z ustawionych na stole cynowych kubków. Jako że pieśniarz i trzebieniec dostali własny niewielki dzbanuszek z napojem, Blamad musiał wyrwać inne naczynie z rąk siedzącego obok drenga.

Fouska rzeczywiście była kwaśna i podobnie jak goryczkowate piwo

zaostrzała głód. Na szczęście nie zapomniano również o jedzeniu. Wniesiono półmiski z gotowanym, pieczonym i smażonym mięsem. Kury, gołębie, kaczki i wróble walczyły o uwagę śniadających z sarniną, baraniną i koziną. Nie brakowało ryb, choć Ali nie znał się tak dobrze na stworzeniach zamieszkujących okoliczne wody, by umiał dokładnie rozpoznać dania. Zapamiętał jednak, że drobnicę morską podawaną w miskach z olejem i ziołami Grikkmadowie nazywali *afýe*, a zgadywał, że *galeós* to jakiś tutejszy rekin. Gospodarz musiał mieć więcej spizarni niż tę jedną, którą wcześniej znalazł berserk, a najpewniej posłał też kogoś po świeże produkty, skoro tak szybko zorganizował aż tyle jadła.

– Jeśli już jesteś naszym niewolnym thraellem, to opowiedz o wczorajszych zamieszkach – zaproponował eunuchowi pieśniarz, zajadając się tłustymi wróbelkami w śmietanie.

– To brodacze z Północy nic nie wiedzą? A wszyscy w mieście mówią tylko o tym, że Błękitni mają nowych potężnych stronników. Zieloni nie są ostatnio lubiani.

– My na Północy też znamy różne kolory. Taki czerwony, dajmy na to, to ładna barwa. Praktyczna, bo nie znać na niej krwi i plam po winie, a jednocześnie dostojna i uroczysta. Zawsze noszę kyrtyll w takim kolorze, bo dobrze wygląda zarówno podczas bitwy, jak i między ściągniętymi z ciała kochanki ubraniami. Ale nawet nasze kobiety niezbyt baczą na kolory, w jakich noszą się ich mężowie, synowie i ojcowie.

– Och, jak to dobrze, że nasz autokrator, zrodzony w purpurze trzynasty apostoł Kristosa, w swojej nieskończonej mądrości oddał mnie do was na służbę... nie w niewolę – delikatnie pokreślił Slavomirus, po czym splótł dłonie, podstawił je sobie pod brodę i załamał w kolebkę. Głośno westchnął. – Tyle rzeczy muszę wam wyjaśnić. Wczoraj w Hipodromie odbyły się wyścigi kwadryg. Większość zgromadzonych w cyrku ludzi dopinguje wedle zachcianki dnia, ale część najzagorzalszych widzów podzielona jest na cztery demy, czyli stronnictwa, które organizują poszczególne zawody i noszą się w określonych kolorach. Mamy zatem Zielonych, wiosennych chłopców, którzy na nocnym niebie wyszukują

Wenus i w ziemskim żywiole dostrzegają możliwość wzmocnienia swojej potęgi. Ich zagorzałymi przeciwnikami są Błękitni, dzieci jesieni, którzy w mściwym Saturnie i kapryśnym morzu widzą swoich sojuszników. Tak jak wiosna zapowiada nastanie upałów, tak Zieloni objęli swoją opieką Czerwonych: miłośników lata, ognia i Marsa. Uwielbiający pożółkłe liście Błękitni również mają sprzymierzeńców, a są nimi Biali, którzy miłują zimę i powietrze oraz wyczekują władzy Jupitera na nieboskłonie. Jako że mamy jesień, a słońce znajduje się między gwiazdozbiorami Wagi i Skorpiona, co daje nam dominację żywiołów powietrza i wody, Błękitni i Biali wydają się mieć przewagę. Mimo to Zieloni wiedzą swoje i nie przejmują się złym układem planet, ponieważ mają świetnego woźnicę.

Ali wystarczająco długo przebywał w Serklandach, by poznać kilka tajników nocnego nieba i przeczytać pracę Abu Masara Gafara Ibn Muhammada Ibn Umara al-Balhiiego^[4], za to sroga mina Ainara świadczyła, że ten nie ma pojęcia, o czym mówi trzebieniec. Astrologiczna wiedza pieśniarza ograniczała się do tego, że znał położenie Gwiazdy Przewodniej, a w innych ciałach niebieskich widział kaganki, które oświetlały mu drogę podczas nocnych wędrówek po pijanemu.

– Błękitni trzymają z Białymi, a Zieloni z Czerwonymi. Ale o co się wadzą? – ponaglił rzezańca, gdyż zanosilo się, że ten ma ochotę przekazać im całą swoją niepraktyczną wiedzę.

– Jak już mówiłem, w Hipodromie odbywały się wyścigi. Najlepsze zaprzęgi wystawili Zieloni i Błękitni. W głównej gonitwie konie szły łeb w łeb i końcową linię przekroczyły niemal równocześnie. Zieloni uważali, że wygrał ich zaprzęg, przeciwnicy byli odmiennego zdania. Na szczęście kombinografowie dobrze śledzili zawody i ocenili, że zwyciężył woźnica Błękitnych. Przegrani poczuli się oszukani i ruszyli w miasto. Jak zwykle w takich sytuacjach dołączyło do nich sporo rzezimieszków mających nadzieję na łatwy łup.

Czarny Berserk ugryzł jedną z *loukánika* i odkrył, że niewielkie kiełbaski zrobione są tak, jak lubił – na ostro. Udał, że nie widzi gniewnej miny poety i nie ma pojęcia, dlaczego ten rzuca mu karcące spojzenia.

Przywykł już do nich, tak jak i do tego, że kowal słów wiecznie ma do niego o coś pretensje.

Vaering nie dał się jednak zbyć obojętnością przyjaciela.

– To doprawdy zdumiewające. Wydaje się, że te... demy są bardzo ważne dla mieszkańców Miklagardu, a mimo to mój doradca nic mi o nich nie powiedział.

Podczas ostatniej wizyty w Carogrodzie Blamad spędził w mieście kilka tygodni, szukając kupca, który zabierze go na północ. Słyszał wtedy różne pogłoski, także i o demach, ale musiał trafić na okres wolny od wyścigów, ponieważ w Hipodromie nic się wtedy nie działo. Nie mógł więc poznać niesnasek między kibicami. Jednak teraz, w imię spalonego braterstwa, które łączyło go z rzeźbiarzem, nie zamierzał się przyznawać do niewiedzy i tracić okazji na podrażnienie towarzysza. Dlatego cmoknął, podrapał się po łysej głowie i oznajmił:

– Prawdę może poznać tylko ten, kto zadaje właściwe pytania. Twój węzowy język wpełzł do wielu jam mojego umysłu, ale nie odwiedził tej, w której ukryte było jajo z tajemnicą demów.

– Czarne i pokrętne są myśli Blamadów. Z Gestumblindim wygrywam w turnieju na zagadki, ale nie wpadłem na to, że nie da się dotrzeć do łba Czarnego Berserka inaczej niż nożem. Powiedz, w którym miejscu ukryłeś to jajo z odpowiedzią, a sam je sobie wykroję.

– Nie ma takiego żelaza, które przebiłoby mój czerep.

– A kto mówi o przebijaniu? Do środka głowy można się przecież dostać przez oczy, usta i uszy. Wystarczy odpowiednie cienkie ostrze i biegła ręka.

– Nie strasz stracha.

– Nie drażnij drażliwego.

Przez trzy uderzenia serca próbowali się na siłę spojrzeć. Siedzący najbliżej nich Vaeringowie ucichli i czekali na wybuch złości któregoś z zawodników.

– Oj! Chyba ktoś dostanie klapsa w buzię! – ucieszył się trzebieniec i zaklaskał.

Celowo lub nie, zniewieściało mężczyzna rozładował napięcie. Snekkjamadowie ryknęli śmiechem, a Ainar i Czarny Berserk obdarzyli się brzydkimi uśmiechami, które były kpina z wesołości.

Zalegające w kątach pomieszczenia kości, które nieobyczajni żeglarze rzucali za siebie po uprzednim obgryzieniu, pozostały na swoich miejscach, ale leżące na stole resztki jedzenia zostały uprzątnięte. Zamiast nich niewolnicy przynieśli kosze z *méla* – różne owoce dzielące wspólną nazwę. Blamad rozpoznał gruszki, jabłka, brzoskwinie, pigwy i granaty, ale było tam o wiele więcej okrągłych owoców średniej wielkości, które w środku miały pestkę lub pestki. Czarny Berserk wielbił prawdę ukrytą w słowach, cenił więc grikklandzką oszczędność nazewnictwa, które w jednym pojęciu – *mela* – potrafiło zamknąć tak wielką różnorodność.

Pojawiły się również miski z oliwkami marynowanymi w occie, solance i ziołach. Także tym razem Vaeringowie nie zawiedli wytatuowanego olbrzyma i pokazali, że ich obyczaje przy stole mają tyle wspólnego z poprawnością, co sami wojownicy ze skromnością. Ludzie Północy bez opamiętania wlewali zawartość naczyń do ust, przeżuwali oliwki, po czym wypluwali pestki, próbując trafić do drewnianych kubków. Bardziej zadziorni celowali w czoła swoich towarzyszy, co groziło rychłym wybuchem pestkowej wojny ze sporą szansą przekształcenia konfliktu w bitwę na pięści.

Trzask drzwi i powiew wiatru znad morza oznajmił, że do pandokeionu znów ktoś wszedł. Byli to Vaeringowie, których Ainar wysłał do portu. Podeszli do stołu, zatrzymali się i niepewnie spojrzeli na rzezańca, który rozsiadł się u boku konunga, jakby był jego nowym zastępcą.

– Zamierzacie sterczeć jak dwa słupy hańby czy powiecie, co słyhać w porcie? Nim się nie przejmujcie. – Skald wskazał na rzezańca kaczym udkiem. – To mój nowy thraell.

Posłańcy wahali się przez dwa uderzenia serca, ale w końcu większy z nich oznajmił:

– Te podłe grikklandzkie psy nas zdradziły. Port został zamknięty łańcuchem.

W sali zapanowało poruszenie. Na budowniczych miasta posypały się obelgi nawiązujące do ich wątpliwej odwagi, która każe im się chować za grubymi murami i łańcuchami. Kilka dzbanów zostało rozbitych o posadzkę, a drewniane naczynia popękały od rzucania nimi o ściany. Blamad również był zły, ale niezbyt zdziwiony. Nauczył się czerpać przyjemność z tarapatów, jakie ściągał na siebie Ainar. Z najeźdźców stali się zakładnikami miasta i już tylko kłamliwa opowiadka pieśniarza o jego wysokim pochodzeniu dzieliła ich od pewnej śmierci. Opowiadka, której wiarygodność gwałtownie spadała wobec krewkiego zachowania snekkjamadów. Jeśli jednak jakaś umiejętność Skalda dorównywała jego zdolnościom do wpadania w kłopoty, była to biegłość w odnajdywaniu się w nowej sytuacji.

– Uspokójcie się! – krzyknął poeta. – Nie godzi się, by ludzie morskiego konunga byli tak podejrzliwi i gniewni. Jestem pewien, że zamknięcie portu nie ma nic wspólnego z nami. Bo dlaczego Grikkmadowie mieliby okazywać wrogość władcy całej Północy?

Eunuch wyczuł, że pytanie jest skierowane do niego, dlatego wstał i wykrzyczał swoim piskliwym głosem:

– Wrogość? Och, nie rozumiem, dlaczego się ekscytujecie jak mnich podczas kazania! Chodzi o ten łańcuch? To tylko dla waszego i naszego bezpieczeństwa. Jestem pewny, że nic poważnego nie grozi Byzantionowi, ale komes Teichistai zawsze zamyka port, gdy do miasta zbliżają się obcy.

Vaeringowie nie mieli pojęcia, o czym mówi rzezaniec, ale widząc, że Ainar zachowuje spokój i pociąga Slavomirusa za rękaw, nakazując mu siadać, przestali się gorączkować i wrócili do jedzenia. Niektórzy rzucali jednak podejrzliwe spojrzenia w kierunku swojego wodza.

– Co za komes? – Kowal słów wskazał swoim kozikiem mężczyznę bez brody, by nikt nie miał wątpliwości, do kogo kieruje pytanie.

– To dowódca Teichistów, czyli straży, która trzyma pieczę nad murami.

– Zatem wasz komes uznał, że miasto jest zagrożone. A wiadomo coś o obcych, którzy zbliżają się do Złotego Rogu?

– Hmmm... – zaczął Slavomirus, po czym chrząknął. – Właściwie

polecono mi zapytać o to was. Wybacz, że od tego nie zacząłem. Nasza flota doniosła, że zbliżają się kolejne okręty Vaeringów. To wasi ludzie?

Wojownicy pieśniarza posiadli wiele umiejętności. Biegle rąbali mieczami i toporami, byli wprawni w zabijaniu i niezli w handlu. Ale to w kłamstwie nie mieli sobie równych, dlatego można było podejrzewać, że słabość do oszustwa wyszali z mlekiem matki. Gdy usłyszeli pytanie rzezańca, żaden się nie zaśmiał ani nie zdradził najmniejszym grymasem, że na statkach płyną ich towarzysze. Prawdziwym władcą kłamstw był jednak Ainar, który – jak zwykle zresztą – wziął na siebie obowiązek mamienia ludzi swoim węzowym językiem.

– Jestem władcą całej Północy, więc nie jest wykluczone, że są mi winni posłuszeństwo. Ale nic mi o nich nie wiadomo. Jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że to jacyś kupcy. Zapewne nie ma powodów do obaw, a jeśli zaczęliby sprawiać kłopoty, zawsze możecie poprosić mnie o pomoc. Jako konung Vaeringów dobrze wiem, jak z nimi postępować.

Płowy Lis był znienawidzonym przez mieszkańców Wągadou oszustem, który wykradł bogom ziarna prawdy i rozsiał po ziemi kłamstwa. W rodzinnych stronach Alego lękano się tego stworzenia i pogardzano nim. Skald opowiedział mu kiedyś, że w Noregu mają podobną istotę o imieniu Lopt. Słuchając teraz kłamstw Ainara, Czarny Berserk po raz kolejny uznał, że poeta musiał być wcieleniem tego bóstwa.

– Pewnie masz rację, to zapewne kupcy, ale łańcuch pozostanie podniesiony. Jako władca Północy musiałeś przecież słyszeć o porozumieniu basileusów Leona i Aleksandra z konungiem Olegiem z Gardariki, które zawarto już kilka, eee... dokładnie pięćdziesiąt i jeden wiosen temu, a które przed trzynastoma laty zostało odnowione. Wedle jego postanowień do Złotego Rogu nie mogą wpływać statki gardarikańskich Rhosów. Winny one cumować nieopodal świątyni hagiōsa Mamasa i tam czekać na wysłanników autokratora. Dopiero kiedy urzędnik spíše ich imiona, kupcy mogą wejść do miasta – i to bez broni oraz w oddziałach nie większych niż pięćdziesięciu ludzi. Nie powinienem może tego zdradzać konungowi Północy, ale nawet wy nie mieliście prawa wpływania do

Złotego Rogu. Komes naszej floty, który dopuścił się tego zaniedbania, stracił już swoje stanowisko, a niebawem może stracić i życie.

– Pierwsze słyszę o tym porozumieniu. Pewnie dlatego, że Gardarikańczycy nie mają nic wspólnego z Noregiem, gdzie mam swoją siedzibę, a z obecnymi władcami Kaennugardu, stolicy Rhosów, łączą mnie raczej oschłe relacje.

– Ja to rozumiem, ale dla innych mieszkańców miasta wszyscy jesteście z Północy i dotyczą was te same prawa. Wcześniej zdarzało się bowiem, że wasi rodacy wykorzystywali naszą otwartość do handlu, by łupić Basilis Polis.

– Sami bogowie nakazują, by gość przestrzegał zasad gospodarza domu. Musisz jednak zrozumieć moich ludzi. Odpowiadają za moje bezpieczeństwo, a łańcuch sprawia, że czują się ograniczeni. Co będzie, gdy postanowimy odpłynąć?

– Opuścić najpiękniejsze miasto świata? A któż by tego chciał? Zapewniono mnie jednak, że jesteście panami swoich statków i możecie odpłynąć w stosownej chwili. Musicie tylko zwrócić się do zarządcy portu, a łańcuch zostanie dla was opuszczony. Oczywiście bardzo niegrzecznie byłoby wymknąć się z Byzantionu, wzgardzając zaproszeniem od samego basileusa. Co prawda Konstantyn, siódmy tego imienia, ma już siwe włosy i woli spędzać czas przy winie i księdze, ale wciąż potrafi się rozgniewać.

Groźby ukryte między słowami rzezańca musiały być widoczne dla każdego, kto nie używał głowy jako młotka do wbijania gwoździ. Ali zdał sobie sprawę, że lekceważenie eunucha ze względu na jego zniewieściałość i dziecinny głosik byłoby skrajną głupotą. Do podobnych wniosków musiał dojść poeta, gdyż ciągnął grę w kłamstwa:

– Nie odmówiłbym sobie możliwości odwiedzenia władcy tego pięknego kraju i powitania go jak brata. Tylko swoich marnych doradców mogę winić za to, że nie powiadomili mnie o zasadach panujących w waszym mieście.

Skald nie dzielił się z nikim swoim trunkiem, a mimo to można było odnieść wrażenie, że pił do Czarnego Berserka. Spośród jego ludzi tylko

Ali mniej więcej orientował się w sytuacji panującej w mieście, ale przecież nawet on nie mógł znać zasad dotyczących pobytu Vaeringów w Carogrodzie. Szczerze dzielił się z pieśniarzem swoją wiedzą na temat Miklagardu, ale ten – z wrodzoną słabością do obarczania innych winą za własne błędy – ciągle miał do Blamada pretensje o jakieś niedopowiedzenia. Wytatuowany wojownik zaczął już mieć tego dość.

– Żli doradcy są utrapieniem każdego konunga. Nie karć ich jednak zbyt surowo, bo przecież nadal cieszy się pełnym zaufaniem autokratora i jesteście jego osobistymi gość... gość... gość... – Slavomirus poczerwieniał, otworzył szeroko usta i zachłysnął się powietrzem. Poeta zdzielił go w plecy, podejrzewając zakrztuszenie, ale nie pomogło. Rzezaniec chwycił się za szyję, zastękał i padł na posadzkę. Z rozbitej o kamienie głowy popłynęła wąska strużka krwi, która skierowała się ku przedstawionemu na mozaice kielichowi, jakby grikklandzki bóg opilstwa chciał go napełnić gęstym czerwonym winem.

Vaeringowie popatrzyli po sobie zdziwieni, ale żaden nie wyglądał na przejętego. Los trzebieńca obchodził ich tyle, co żywot spożywanych przez nich wieprzy. Zaniepokojenie okazali tylko Ainar i Blamad.

Ali, jak na berserka przystało, był prędki w działaniu. Zerwał się z miejsca i z całej siły walnął Skalda w brzuch. Lewym przedramieniem zablokował uzbrojoną w nożyk prawicę konunga i wyprowadził kolejny cios w wątrobę. Poeta zgiał się wpół i splunął gęstą plwociną. Czarny Berserk nie popuścił. Wziął pieśniarza pod pachę i wsadził mu swoją dłoń do ust. Nie przejął się ławką, którą ktoś boleśnie uderzył go w plecy. Poszukał palcami nasady języka Skalda i połaskotał kowala słów po gardle. Wyjął rękę i pozwolił, by strumień wymiocin obmył mu stopy. Teraz musiał się już zająć Vaeringami, którzy pośpieszyli z pomocą dowódcy. Na szczęście żaden nie miał broni, a strażnicy z włóczniami beczynnie stali przy drzwiach, zastanawiając się pewnie, czy powinni zająć się eunuchem, czy uciec. Żeglarze otoczyli ciasnym pierścieniem Alego i wymiotującego obok niego pieśniarza.

– Stójcie, głupcy! – Poeta ciężko oddychał, próbując zmusić żołądek do

pozostania w brzuchu. – Fouska musiała być zatruta.

Wieść zatrzymała Vaeringów, którzy szykowali się już do skoczenia czarnemu olbrzymowi na plecy. Niektórzy zaklęli, a byli to zapewne ci, którzy również pili kwaskowaty napój. Głupcy jeszcze nie do końca kojarzyli, co się stało. Berserk od razu zorientował się, że zatruty musiał być jedynie trunek w dzbanku, z którego raczyli się Ainar i eunuch. Kubek trzebieńca był prawie pusty, ale Skalda, który tego ranka wyjątkowo oszczędnie pił, był pełny w trzech ćwiartkach. Gdyby jad pływał we wszystkich naczyniach, trupem musiałaby do tej pory paść większość drengów, którzy zapamiętali osuszali dzban za dzbanem.

Ali poszukał wzrokiem tego, kto – jak mu się zdawało – przed chwilą przywalił mu ławką.

– W Serklandach nauczyłem się, że porządne obicie wątroby wycisnie z ciała każdą truciznę.

– I jeszcze trochę krwi – dodał konung i już bez dalszej zachęty włożył sobie palce w usta. Tym razem rzeczywiście wymiotował na czerwono.

– Inni chętni na kurację mistrza Alego?

3

Noc była niemal bezgwiezdna.

– Kici, kici, kici.

– Miau.

– Kici, kici, kici.

– Miau.

– Kici, kici, kici.

– Miau.

Kotek nie chciał do nich przyjść. Grikkladzka kicia bała się ich, bo nie znała zapachu lasu i krwi, który towarzyszył Gaupie i Hedinowi.

Ryś i jego ludzki brat o imieniu Hedin siedzieli na kalenicy dachu z czerwonej dachówki, który przykrywał kamienną hallę nazywaną pandokeionem. Nienawidzili tego miasta, tak ohydnie nadmorskiego i tak obrzydliwie nieleśnego. W jego zachodniej części, gdzie znajdowały się bogate dwory i świątynie z wielkimi kopułami, było trochę drzew, ale takich dziwacznych, mało leśnych, rosnących w ogrodowym szyku, owocowych, ozdobnych i wstrętne ładnych. Brrr. Gaupa i Hedin naprężyli niezgrabny ludzki grzbiet i prychnęli na samą myśl o grikklandzkim traktowaniu dzikich, nieokiełznanymi pniami oraz konarów. Ale i tak mieli lepiej niż ich jeszcze bardziej miłujący puszcę hamramirscy bracia. Ryś i jego ludzki brat Płaszcz mogli przynajmniej łązić po dachach, tych nieudolnych, ale jednak namiastkach koron drzew.

Przeskoczyli na kolejną kalenicę. Przy lądowaniu zaboląły ich kolana i o mało nie spadli. Kilka tygodni temu głąz wystrzelony z maszyny połamał im tylne łapy. Kiedyś swobodnie biegali i wspinali się na najwyższe drzewa. Teraz kuleli, a ich skoki były nieporadne niczym płasy suma wyciągniętego na brzeg. Tylko liściom, których moc została objawiona hamramirom przez samego Göllnira, oraz przychylności zmiennokształtnego boga Arnhöfdiego zawdzięczali to, że w ogóle mogli chodzić. Liście i boskie szaleństwo pozwoliły też wylizać się reszcie braci, albowiem każdy hamramir stracił coś ważnego w dniach poprzedzających śmierć Haukrhedinna: Urrhedin turzy nos, Ulfhedin wilcze kły i uszy, Svinhedin połowę męskości, a Berhedin ulubionego podopiecznego.

Spojrzeli w dół. Ich ludzkie oczy nie świeciły w ciemności, ale i tak widzieli lepiej niż większość dwunożnych pokrak, które musiały rozjaśniać mroki nocy ogniem, aby cokolwiek dostrzec. Ulicą szedł jakiś śmierzący kapustą pijak, zataczając się od ściany do ściany. Skromne ubranie mówiło, że był to biedak albo nawet żebrak. W pewnej chwili człowiek padł na czworaka i powlekł się do wodopoju – kamiennej miseczki przytwierdzonej do ściany domu. Litościwi, bo słabi, mieszkańcy Miklagardu umieszczali podobne michy przy głównych ulicach, by wracający do domu pijacy nie skonali z pragnienia.

Gaupa i Hedin pozwolili odejść człowiekowi dosłownie upadłemu. Nie jego szukali.

Następna była ludzka kocica, suczka, która podnosiła ogon za pieniądze. I ona nie piła tej nocy mleka, bo pachniała tanim winem i piwem. Duże wymiona ledwo mieściły się w wydekoltowanej sukni, a zmarszczki nieudolnie przykryte barwnikami wskazywały, że niebawem minie przydatność tej kici do zaspokajania kocurów.

Nie jej szukali.

Wrócili do rozmyślań, mrużąc cicho pod nosem i pokręcając wąsa. Ich konungiem był teraz Ainar Skald, ale to mogło się wkrótce zmienić. Pieśniarz leżał bez ducha na piętrze pandokeionu, cierpiąc słuszne katusze za swoją głupotę. Gaupa i Hedin, gdyby mogli, pomogliby truciznie. Nie lubili poety i obiecali mu kiedyś odpłacić toporem za jego zdradę. Uważali, że saekonung jest oszustem, ale nie takim miłym wściekłemu Göllnirowi, tylko przebrzydłym, zwyczajnym kłamcą. Wyczuwali, że na dnie głowy Vaeringa ukrywa się prosty gospodarz, któremu marzy się skrawek ziemi, kobieta przy boku, bachory w chałupie i spokój na stare lata. Konung Ainar wcale nie był takim sprawcą kłopotów, za jakiego chciał uchodzić, i tylko udawał śmiałka, który w pogardzie ma śmierć, opinię innych oraz zadzierzgiwanie więzów zależności z ludźmi. Nie, nie, nie. Dla węzowego języka nie liczyła się sława, mord ani krzyk Göllnira. On tęsknił za zwyczajnym życiem i wcale nie rozumiał szaleństwa bogów. Ryś i Płaszcz byli tego wszystkiego pewni, jednak Berhedin uważał inaczej. Gaupa i Hedin musieli się więc podporządkować. Nie, żeby się bali gniewnego pomruku Niedźwiedzia i jego przyciężkawej łapy, którą przywodził rodzeństwo do porządku. Po prostu Berhedin był ich starszym bratem i nie wolno mu było pyskować. Nie chcieli podzielić losu Haukrhedina, który wyrzekł się braci i został sam. Gaupa i Hedin musieli pokazać, że dbają o rodzinę i dlatego na znak zgody chcieli wręczyć konungowi jakiś koci, miły drapieżnikowi podarunek.

Przeskoczyli na następny dach, a potem jeszcze na następny i kolejny, aż znaleźli się daleko od oberży, na kopule, która przykrywała niewielką

kristiańską świątynię. Przsiedli na skraju tego dziwaczego dachu, na gzymśie znajdującym się między ścianą a podstawą wielkiego kamiennego jaja.

Mała dziewczynka późno wracała do domu. O wiele za późno. Rodzice pewnie się o nią martwili. Podskakiwała wesoło, jakby nie wiedziała, że w ciemnościach mogą skrywać się potwory. W ręku trzymała szmacianą lalkę, a jej prosta lniana sukieneczka była ubrudzona błockiem. Może się zgubiła, a może uciekła, by pobawić się w mroku. Może miała jakiegoś chłopca, z którym łapała świetliki. Jej wąty karczek byłby tak łatwy do złamania. Hedin chciał to zrobić, tak dla przyjemności, dla uciechy szalonego Göllnira, ale Gaupa się sprzeciwił, nie rozumiejąc radości znęcania się nad młodymi. Ryś był czasem miękki niczym futerko pod brzuszkiem.

Za dziewczynką szedł mężczyzna. Postawny, w hełmie, białym płaszczu, kolczudze. Miał miecz i tarczę. Należał pewnie do straży, do Numerów, a to oznaczało, że jego towarzysze byli niedaleko. Niebezpieczny przeciwnik. Gaupowi podobał się taki wróg, a Hedin przystał na wybór rysiego brata. Zeskoczyli wprost na plecy żołnierza. Nie mieli broni, bo lękliwy Skald kazał im zostawić toporki na statku. Byli jednak bestią i mordercą mieszkającymi w jednym ciełe, nie potrzebowali więc żelaza, by poradzić sobie z marnym człowieczkiem. Spadając, trafili nogami w ramiona wojownika. Upadli. Odtoczyli się w przeciwną stronę niż strażnik. Wojownik długo zbierał się z bruku, bo solidnie się poobijał. Ryś i Płaszcz wstali szybko, zwinnie. Dorskoczyli do podnoszącego się żołnierza i kopnęli go w twarz. Ten ponownie padł na kamienie, a oni zaszli go od tyłu, po czym podrapali mu twarz paznokciami. Zbrojny mężczyzna chciał krzyczeć, ale ścisnęli mu gardziółek, a kiedy wojownik zrobił się czerwony, puścili go. Strażnik charczał, próbując na nowo nauczyć krtań oddechu. Nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Gaupa schował się głęboko w ich wspólnej głowie, bo choć lubił walczyć i polować, okrucieństwo wołał zostawić swojemu ludzkiemu współbratu. Hedin wyszczerzył zęby i oblizał wargi. W końcu jasno myślał,

bo Ryś przestał na niego mrużyć. Chwytał oburącz głowę zbrojnego i ją ścisnął. Kciuki włożył do oczodołów, palce wskazujące do nozdrzy, a pozostałe paluchy do ust, pod policzki. Naparł i wcisnął pazurki najgłębiej, jak mógł, aż poczuł pod opuszkami rozlewające się białko oczu i krew z nosa. Wtedy pociągnął, rozrywając twarz wojownika Numerów. Przez chwilę Płaszcz cieszył się widokiem ran, które wyglądały jak ślad pazurów olbrzymiego kota, ale że konający jęczał trochę za głośno, hamramir znów chwycił go za głowę i skręcił mu kark jednym szarpnięciem. Trupa zaciągnął do pobliskiej szopy i zamknął się tam z ciałem ofiary. W ciemności nie widać było krwi na bruku, więc do rana zwłoki powinny pozostać niezauważone. Hedin wziął do ręki miecz zabitego i odrobinę poćwiartował mięsko. Wziął sobie ładną, męską dłoń, schował ją za pazuchę i przywołał zwierzęcego brata.

Wrócili do oberży, skacząc po tych samych dachach co poprzednio. Czekali na kalenicy, aż w pokoju Skalda nikt nie będzie czuwał przy łóżku chorego poety. Potem zsunęli się po kolumnie, zeskoczyli na ganek pierwszego piętra, zajrzeli przez okienko i wrzucili do środka dłoń strażnika. Ten niewielki podarunek niechybnie ucieszy zarówno konunga, jak i hamramirowych braci. Nikt nie będzie wiedział, od kogo pochodzi, ale jego znaczenie powinno być dla wszystkich jasne. Na Północy znakiem wierności była odgryziona przez wilka dłoń boga Tyra. Pieśniarz zrozumie, że gdzieś tam w nocy czuwa nad nim wierny opiekun, który jest gotów odjąć sobie własną dłoń, a jeszcze bardziej uciąć ją każdemu, kto ośmieli się podnieść rękę na wodza Vaeringów. Kot zawsze dba o zdrowie i bezpieczeństwo swojego pana.

Wskoczyli na dach, a potem przeszli na sąsiedni, kryjący o wiele mniejszy i skromniejszy budynek, czyli stajnię, w której nocowali ich bracia. Nim do nich dołączyli, przysiedli na kalenicy i wylizali klejące się od krwi łapki. Ryś lubił być czysty, a jego ludzki brat przepadał za smakiem posoki.

4

Jeden sen ustępował miejsca drugiemu, a drugi pierwszemu, tworząc niekończący się łańcuch mar, który niczym prawdziwe żelazne ogniwa więził rozum w klatce ułudy i bezmyślności. Wizje zazwyczaj były ulotne niczym para z ust w mroźne dni, ale część z nich rzezało w głowie ślad wspomnień, których nie dało się zapomnieć, nawet mimo gorączki, pulsującego bólu głowy, mroczków przed oczami i oślepiającej jasności. Zanurzona w miodzie głowa Mimira, która wiedziała o wszystkich minionych zdarzeniach, niechętnie zsyłała łaskę niepamięci. Dla Skalda też nie zrobiła wyjątku. W pierwszym śnie pływał w krwistym jeziorze, morzu lub oceanie, a nieznaną kobietą, umazaną czerwoną posoką, wynurzała się z topieli, chwytając go za gardło i ciągnęła na dno, szamoczącego się, duszącego się i wyjącego z bólu. W drugim zjawia seidkony o imieniu Hvita uśmiechała się do niego, kręciła biodrami, gładziła się po piersiach, wypinała i runicznymi znakami pisała na ziemi „Miklagard”. Kiedy oszalały z pożądania chciał w nią wejść, zniknęła, nie dając nawet klepnąć się w tyłek.

Obudziło go słońce. Usiadł na łóżku, ale zrobił to zbyt gwałtownie i zakręciło mu się w głowie. Problem ze wzrokiem nasilił się w ostatnich tygodniach. Częściowa ślepotą dokuczała mu już nie tylko wieczorami i nocami, ale też wczesnym rankiem. Widział coraz więcej czarnych plam. Jedna z nich poruszyła się, a nawet przemówiła:

– Już kiedyś byliśmy w podobnej sytuacji. Pamiętasz? Gdy znalazłem cię zapitego w Holmgardzie i włączyłem do Tirusa Wielkiego. Wtedy też czuwałem, aż się ockniesz, a ty po przebudzeniu patrzyłeś na mnie jak na dżina.

– Od tej pory nie wypiękniałeś.

– A ty nie poprawiłeś swoich obyczajów. Wtedy przynajmniej mówiłeś do mnie, a nie tak jak teraz, do cienia, który rzucam na ścianę.

Poeta zamknął oczy i potrząsnął głową. Pomogło. Gdy je otworzył,

otoczenie rozjaśniło się, a przedmioty nabrały kolorów i ostrych krawędzi. Oczy na spółkę z pamięcią powiedziały mu, że znajdował się w izbie na piętrze pandokeionu, w rozległym łóżu z futrami i pierzyną. Jako Östmad z Noregu był przyzwyczajony do grupowego spania w halli, a jako smakosz cielesnych rozkoszy – do dzielenia pośłania z kobietą. Samotne nocowanie było wygodą godną konunga, ale przecież za takiego się tutaj przedstawił.

- Jak długo spałem?
- Cały wczorajszy dzień i minioną noc.
- Tylko nie mów, że cały czas mnie pilnowałeś.
- Powiedzmy, że byłem w pobliżu.

Ali siedział na zydlu naprzeciw łóża i dłubał nożem w zębach. Pieśniarz z obrzydzeniem zauważył, że czarny wojownik używał jego kozika do rzeźbienia. Blamad zwrócony był tyłem do okna, przez co rzucał ogromny cień na ścianę z drzwiami. Dzięki tej pozycji miał dobry widok zarówno na wejście do pokoju, jak i na łóżko, znajdujące się po jego prawicy.

- Gdzie moi ludzie?
- Nastąpiła mała różnica zdań. Część uznała, że nie będzie czekać, aż ktoś ich otruje. Pod wodzą Gauta wrócili na statki, by się uzbroić i tam czekać na rozwój wydarzeń. Pozostałych udało mi się przekonać, że twój stan nie jest poważny i lepiej będzie trzymać się planu. Ci są na dole. A jeśli chodzi o hamramirów: ich przywódca oznajmił, że lepiej im w pachnącej zwierzęcym łajnem stajni niż na zatłoczonym statku.

- Jeśli kiedyś najdzie mnie ochota na dziękowanie, zacznę od ciebie.
- Prędzej wyschnie woda w Nigrze, nim to nastąpi. Przecież jesteś gburem kochającym tylko siebie.

I jeszcze setki kobiet – dodał Ainar w myślach. Prawdą było jednak, że nienawidził zaciągać u kogoś długów wdzięczności, bo tylko słabi szukają pomocy innych. Wolał polegać na sobie, bo nawet bogom nie można było ufać.

- Ktoś rozmówił się z oberżystą?
- Uciekł, gdy waliłem cię po brzuchu.

Samozwańczy konung lubił rozmawiać z Czarnym Berserkiem, który błyskawicznie nie tylko wpadał w gniew, ale i myślał. Pieśniarz nie musiał mu wyjaśniać, że gospodarza należy przesłuchać w sprawie otrucia, a nie z powodu przypalonego mięsa czy niedopieczonego chleba. Nawet jeśli nie sam właściciel pandokeionu dolał mu jadu do trunku, musiał to zrobić któryś z jego pomagierów.

– A co z rzezańcem? Nie zjadłeś go czasem?

Blamad wydlubał nożykiem z zębów kawałek mięsa i wypluł go na podłogę. Niepotrzebne już narzędzie rzucił na łóżko. Ostrze wbiło się w siennik, dwa palce od nogi Ainara.

– Jego mięso mogło być zatrute. A zresztą strażnicy go wynieśli, nim zdążyłem to sprawdzić. Chyba jeszcze dychał. Truciciel zawałił sprawę i dobrał za małą dawkę.

Skald nie był tego taki pewny. Jemu z pewnością pomogło szybkie opróżnienie żołądka, a i tak zaraz po wymiotach stracił przytomność. Ostatnie, co pamiętał z wczorajszego ranka, to kłótnie swoich ludzi, którzy szukali broni i chcieli spalić oberżę. Sam był za słaby, by ich od tego odwieść, ale najwyraźniej udało się to Alemu.

– Tylko dlaczego ktoś chciałby mojej śmierci?

Rosły berserk podrapał łeb węza, który miał wytatuowany na głowie, a poeta zmarszczył brwi, unosząc przy tym lewą część górnej wargi. Gdy słowa wybrzmiały w pokoju i zmieniły się w nicość, pożegnali je solidną porcją śmiechu.

– Pytanie powinno brzmieć nie dlaczego, ale czemu tak szybko? Zwykle dłużej zajmuje ci zrażanie do siebie ludzi.

– Widocznie robię postępy. Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego właściciel gospody chciał nas zabić?

– Teraz już nas?

– Przecież z dzbana mogłeś pić i ty. Kubek, który dałem trzebieńcowi, mogłem podsunąć tobie. A w robieniu sobie wrogów jesteś prawie tak dobry jak ja. Masz tylko tę przewagę, że część z nich zjadasz.

Blamad nie zareagował na nieświeży żart. Sięgnął za to po zawiniątko leżące przy jego stołku i rzucił je pieśniarzowi. Vaering odwinął szmaty. Trzymał w rękach uciętą ludzką dłoń. Skrzywił się na poły z obrzydzenia, a na poły z zaciekawienia.

– Czyja to?

Berserk wzruszył ramionami.

– Nie wiadomo. Znalazłem ją w nocy przy twoim łóżku. Ktoś wrzucił ją przez okno, ktoś dający wyraźnie do zrozumienia, że nie poprzestanie na truciznie. Bez wątpienia ty jesteś jego celem, więc nie wciągaj mnie w swoje łotrostwa i tarapaty, które ciągle wywołujesz, skaldzie kłopotliwy! Ja nikogo nie znam w Miklagardzie. Ale ty? Czuję, że coś ukrywasz. Za bardzo chciałeś tu przyplłynąć.

Sen o kobiecie piszącej na ziemi nazwę stolicy Grikklądu prześladował Ainara już od miesięcy. Pieśniarz nie miał jednak zamiaru dzielić się nim z Blamadem, tak jak nie chciał zwierzyć się ze swoich problemów ze wzrokiem. Okazywanie słabości jest dobre dla kobiet i kristiańskich munków.

– Pieśniarza zawsze ciągnie tam, gdzie może zdobyć złoto i sławę. Dla nich przecież żyje. Ale wróćmy do truciciela i obcinacza rąk. Może to ktoś z Zielonych? Wyróżniliśmy ich trochę, więc mają powód, by nas nienawidzić.

– Niewykluczone, choć mieli bardzo mało czasu, by coś takiego zorganizować. Będiesz jednak mógł zapytać o to w pałacu. Zdaje się, że ten nieudany zamach przyspieszył bieg wydarzeń. Jeszcze wczoraj pojawił się tutaj posłaniec z wieścią, że oczekują twojego przybycia zaraz, gdy tylko wydobrzejesz. Obejrzał cię nawet pałacowy lekarz, ale odprawiłem go, bo kazał obkładać cię końskim gównem i błotem, by ich chłód wyciągnął ciepło z twojej głowy. Pomysł może i niegłupi, ale nie miałem zamiaru znosić tego smrodu. Czytywałem zresztą i Galena, i Abu-Bakra ar-Raziego^[5], więc odnoszę wrażenie, że mam większe pojęcie o humorach i przywracaniu równowagi *modus* w organizmie niż ten grikklądski medyk. By ciepło i suchość wyrównać z zinnem i wilgotnością, należy...

Skald przywykł już do przytaczania przez Czarnego Berserka dzieł serklandzkich czy grikklandzkich mędrców, nie miał więc ochoty na słuchanie tego wywodu. Wstał, zaczerpnął wody ze stojącego przy łóżku dzbana, przepłukał nią usta i wypluł przez okno. Moką dłonią przygładził półdługie włosy i rozczesał krótką brodę. Przywdział czerwony kyrtil, naciągnął niebieskie spodnie, wytarł nożyk do rzeźbienia, a następnie schował go do pochwy na szyi. Był gotowy do drogi, a tymczasem Ali prawił dalej...

– ...nie tylko ciepła krew jest odpowiedzialna za gorączkę, ale i czerwona żółć, która gromadzi się w wątrobie i czasem wytwarza opary zatrujące...

– Chodźże wreszcie!

Zeszli do jadalni, gdzie pozostali w karczmie snekkjamadowie nagradzali samych siebie za wierność konungowi. Gospodarz co prawda zniknął, ale to nie powstrzymało Vaeringów przed poczęstowaniem się jego zapasami. Po suto zastawionym stole można było wnosić, że znaleźli i opróżnili większość spiżarni, schowków i magazynów z żywnością znajdujących się w oberży. Pod nieobecność Ainara upadł też zakaz niespożywania wina i piwa, więc część z drengów była już – jak to mówią Englismadowie – *beordruncen*, czyli pijana w trupa. Inni nadal żłopali, ale z obawy przed otruciem zachowywali środki ostrożności. Gdy napoczynali nową beczkę czy dzban, rzucali kośćmi, a przegranego obdarzali pierwszeństwem kosztowania trunku. Następnie trzy razy śpiewali pieśni o grubej Heldze, która nie chciała dawać za srebro, masło ani tkaniny, a rozłożyła nogi przed starcem, który wyznał jej miłość. Jeśli śmiałek nie zmarł podczas śpiewania, reszta osuszała naczynie. Jak dotąd nikt jeszcze nie stracił życia, choć kilku biesiadników było tak urżniętych, że tylko krok dzielił ich od usługiwania pani śmierci Hel.

Skald przyglądał się temu pijackiemu barłogowi z mieszanką niezadowolenia i żalu. Ominęła go huczna zabawa. Stłumił jednak wrodzone zamiłowanie do uczt, gdyż jako konung musiał być surowy i wymagający. Chwycił do połowy wypełniony winem dzban, podszedł do

drzemiącego przy stole Vaeringa i rozbił mu naczynie na głowie. Żal było patrzeć, jak czerwony napitek marnuje się na koszuli żeglarza i spływa na kamienną posadzkę, ale jak mawiała babka poety: „Trunek jest dobry na wszystko, zwłaszcza gdy się go wylewa”. Ainar rzadko hołdował tej mądrości, choć tutaj się sprawdziła. Oblany wioślarz zerwał się z miejsca, wierzgnął jak mokry kot i zacisnął pięści do bójk. Zaraz je jednak rozluźnił, widząc, że to sam saekonung wcielił się w rolę przyzwoitej żony. Inni żeglarze, obudzeni zamieszaniem, też zaczęli podnosić się z miejsc.

– Wystarczy na chwilę wyjść, a wy od razu przemieniacie się w sfore pijanych psów! Wstawać! Wróg u bram!

Żadnego nieprzyjaciela oczywiście nie było, ale ludzi Północy cechowała zdumiewająca zdolność trzeźwienia na myśl o dobrej walce. Nawet ci najbardziej pijani zdołali wstać i mimo że białka oczu mieli czerwone, zaczęli rozglądać się za bronią. Skald wybrał sześciu najtrzeźwiejszych drengów i wysłał ich po morską wodę. Każdy wrócił z dwoma wiadrami, a wtedy pieśniarz kazał wylać po jednym cebrzyku na głowy wybranych przez siebie pijaków. Starczyło dla dwunastu, więc konung kłopotliwy wysłał oblanych, by napełnili wiadra, a po powrocie nakazał urządzić kąpiel kolejnym opilcom.

Do południa wszyscy doszli do siebie i strząsnęli całą swoją nieschludność na *pandokeion*. Na posadzce zrobiły się kałuże z wody i błota, mozaikowemu kielichowi brakowało kilku wydlubanych nożem winogron, przy ścianach wały się sterty ogryzionych kości, marmury kleiły się od wina, a wszędzie widniały rozbite naczynia, połamane miski i kawałki desek z ławy – zniszczonej zapewne w jakiejś pijackiej próbie siły.

Kowal słów nie zapomniał o snekkjamadach, którzy czekali w porcie. Wysłał do nich dwóch ludzi z wyraźnym rozkazem, by połowa z nich z Gautem na czele wróciła do oberży, a reszta czekała spokojnie na statkach i nie podejmowała żadnego działania, a zwłaszcza nie wzniecała pożaru. Zgodnie z tym, co powiedział im Slavomirus, od wczoraj na pobliskich wodach czekały trzy długie łodzie, a dzisiaj miały przybyć kolejne.

Łańcuch blokował dostęp do portu, ale Ainar przewidział i taki rozwój wypadków, ustalając, że w razie kłopotów znakiem do ataku będzie pożar w porcie. Teraz pozostało mu mieć nadzieję, że Magnolf Krwawa Siekiera, który dowodził siłami Vaeringów poza miastem, nie zrobi niczego na własną rękę, bo oznaczałoby to wyrok śmierci dla drengów uwięzionych w Miklagardzie.

Zgodnie z zapewnieniem Alego posłaniec gardskonunga czekał przed oberżą wraz z dwoma żołnierzami. Ainar wyszedł do niego, gdy jego ludzie brali kąpiel, i kazał zanieść do pałacu wiadomość: „Konung Vaeringów i władca Północy jest gotów spotkać się ze swoim krewniakiem, który panuje w Złotym Mieście”. Mandator, jak tutaj nazywano ludzi roznoszących wiadomości, najwyraźniej znał język pieśniarza, gdyż pobiegł bez zadawania dalszych pytań. Wrócił w samo południe wraz z dwudziestoma zbrojnymi.

Skald obserwował ich nadejście przez okno na piętrze pandokeionu. Musiał przyznać, że wszyscy żołnierze nosili się pysznie. Poeta znał konungów, którzy pozazdrościliby im bogactwa. Mieli przednie kolczugi, hełmy z niebieskimi czubami i zakrywającymi twarze żelaznymi maskami, błękitne chitony, czyli tuniki, i takiegoż koloru spodnie oraz płaszcze. Nawet sznurowane na całej łydce sandały wykonane były ze znakomitej skóry. Gwardziści dzierżyli włócznie i okrągłe tarcze, a u ich boku wisały krótkie miecze. Ustawili się w dwóch szeregach, tworząc korytarz dochodzący pod drzwi oberży. Mandator zniknął w najbliższej uliczce, a w powstały tunel wszedł dowódca zbrojnych, który trzykrotnie zastukał w drzwi osobliwą maczugą, całą wykonaną z żelaza i złota.

Otworzył mu Ali, który nie potrzebował żadnego wyszukanego stroju, by zadziwić. Wystarczyły mu do tego przerzucona przez ramię skóra grzywiastego kota, niebieskie szarawary, wytatuowany na głowie i z tyłu ciała wąż oraz spiłowane w szpic zęby. Karmiciel kruków, spoglądając z góry na minę dowódcy żołnierzy, uznał, że dobrze wybrał odźwiernego.

Skald nie do końca zrozumiał słowa Grikknada ani odpowiedzi Alego, ale założyłby się z Sigurdem o złoto Völsungów, że ten pierwszy domagał

się widzenia z konungiem Północy, a ten drugi udawał głupka. Pieśniarz zszedł do jadalni i wybrał sześciu snekkjamadów, którzy najlepiej się prezentowali – może nie ubiorem, ale wzrostem, tężyzną i lodowatym spojrzeniem zabójców. Jednym z nich był Gaut, gdyż Ainar trzymał się zasady naprzemiennego karania i nagradzania swoich ludzi. Miał nadzieję, że dzięki temu żaden nie zdobędzie tak mocnej pozycji, by mu zagrozić, ani nie będzie na tyle niezadowolony, by wszcząć bunt.

– Powtórz mu, że władca Północy, najdzielniejszy dreng i najbieglejszy poeta Noregu, jest gotów na spotkania z gardskonungiem. – Pieśniarz stanął za Blamadem, ale zaraz go przepchnął, gdyż zza jego szerokich pleców niewiele widział.

Dowódca zbrojnych skinął mu głową na powitanie. Był wysokim, jak na tutejszych ludzi, mężczyzną – sięgał Skaldowi do nosa. W przeciwieństwie do swoich ludzi nie nosił zbroi, ale długi błękitny kaftan z rękawami, zapinany na złote guziki, a na piersiach miał wyhaftowane białe grzywiaste koty zamknięte w złotych obręczach. Skaramangion – bo taką nazwę nosiła paradna szata – był droższy od ubioru i pancerzy wszystkich Vaeringów Ainara razem wziętych, a jakby tego było mało, wysłannik basileusa nosił na szyi połączony kołnierz i także cheiromanikony, czyli rurkowate osłony na przedramionach. Całości stroju dopełniały białe spodnie w niebieskie paski. Jediną wskazówką, że mężczyzna ma jednak więcej wspólnego z człowiekiem wojny niż strojnym rzezańcem, był długi miecz, który wisiał na złotej szarfie przewieszanej przez ramię. Skromnie odziany pieśniarz wyglądał przy dowódcy gwardzistów jak wróbel przy pawiu.

– To Geta Florencjusz, znaczny przywódca w Scholai, który nosi tytuł topoteretesa. – Ali przetłumaczył odpowiedź miklagardczyka. – Mówi, że czekają już na nas w pałacu.

Składacz strof lubił bawić się słowem, ale tej rozmowy nie chciał przeciągać. Był gotów iść od razu, ale okazało się, że swobodny przemarsz to rzecz zupełnie nieznaną dla lubiących porządek i ceremonie Grikkmadów.

Najpierw uformowano orszak. Otwierał go Geta, a za nim szli Ainar

i Czarny Berserk, którzy przewodzili stojącym w parach Vaeringom. Po bokach maszerowały dwa rzędy zbrojnych, którzy mieli chronić gości przed gromadzącym się już tłumem.

Ruszyli równym krokiem w wolnym tempie nadawanym przez topoteretesa Scholi.

„Niepilnowane stado czyni złodzieja” – mawiało się na Północy, zatem i poeta nie przepuścił okazji – oczywiście nie na kradzież, bo na tę nie było żadnych szans, ale zaistniała sytuacja otwierała dla niego inne, nie mniej cenne możliwości. W końcu mógł przyjrzeć się tutejszym bogactwom.

Pandokeion znajdował się wprawdzie w obrębie murów miejskich, ale jednak w dzielnicy portowej, czyli na uboczu Miklagardu. Teraz poeta wkraczał do serca Byzantionu, jak miejscowi nazywali stolicę Grikklandu. Już ze Złotego Rogu zauważył, że miasto zostało zbudowane na siedmiu wzgórzach, może nie tak wysokich, jak góry w jego rodzinnych stronach, ale jednak solidnie wpływających na zabudowę. Domy znajdowały się na różnej wysokości, a zbocza wzgórz usiane były schodami i tarasami, na których znajdowały się grządki lub ogrody. Geta przeprowadził ich pomiędzy dwoma wzniesieniami. Mijali biedniejsze domostwa z drewna, wokół których kręciły się kury i kozy, jak również bogate oikosy – kamienne siedziby bogaczy. Wszędzie było pełno ludzi, którzy zatrzymywali się i wytrzeszczali oczy nie tylko na obcych z Północy, ale i na bogato odzianych strażników. Prawdziwy tłum gapiów napotkali jednak dopiero po dotarciu do Mese. Dowódca Scholi wyjaśnił konungowi za pośrednictwem Alego, że była to główna ulica miasta, która przecinała je w poprzek. Skald, jak na mistrza wystąpień przystało, lubił przykuwać uwagę, więc wypiął pierś, zmarszczył brwi, zadarł nos i pozwolił na siebie patrzeć do woli. Było mu tym łatwiej, że większość zbrojnych była niższa od niego o głowę, a wzrostem przewyższali go tylko Blamad i dwóch Vaeringów.

Pieśniarz zgadzał się z opinią swojej babki, że bogactwo danego ludu można ocenić po okazałości rzeczy niepraktycznych. Sądząc po budowlu, do której właśnie dotarli, Grikkmadowie musieli być najbogatszym ludem

świata. Cztery grube nogi unosiły czworoboczny blok z białego kamienia zwieńczony spadzistym dachem. Budowla była masywna i olbrzymianicznym kristiańskim świątynię, choć jej toporność łagodziły cieńsze lub grubsze słupy, które przylegały do niej od zewnątrz, oraz ślepe półokrągłe okna. Dowódca gwardzistów poprowadził ich wprost na ten dziwaczny pomnik ludzkiego zbytku. Idąc pod brzuchem budynku, Ainar odchylił głowę i zobaczył, że łuki między podporami tworzą zmyślne sklepienie, w którym wykuto dziesiątki kamiennych kratek.

– To nasz Milion – mówił Geta, a Blamad tłumaczył. – Widzicie te litery i cyfry? – Gdy ponownie znaleźli się pod gołym niebem, strojny mężczyzna zatrzymał cały pochód i wskazał na kamienne łapy znajdujące się za ich plecami. – Napisano tu, jaka odległość dzieli to miejsce od najważniejszych miast naszego imperium.

– A nie wystarczyłyby palik i drewniana tablica?

Grikkmad popatrzył najpierw na Alego, który przetłumaczył słowa pieśniarza, a potem na Skalda.

– Takie proste konstrukcje znajdziecie w naszych wsiach. Tutaj, w najwspanialszym miejscu całego *Oikoumene* – „czyli we wszystkich krajach kristiańskich”, wyjaśnił Czarny Berserk, tłumacząc słowa przewodnika – należy pokazywać, że właśnie od naszego miasta powinno się mierzyć wszelkie odległości. Od Basilis Polis, miasta autokratora i centrum świata!

Kowal słów pojął, że ten Milion musiał być odpowiednikiem północnego drzewa Laerad, które rosło w samym środku Midgardu. Kowal słów zwiedził już kawał świata i wiedział, że niemal każdy konung pragnął mieć takie centrum na swoich ziemiach. Nigdy jednak nie widział, by jakiś lud w swoim zadufaniu sam budował sobie środek świata, zamiast szukać go w wiekowym i odpowiednio okazałym drzewie.

Topoteretes Scholi wyjaśnił, a Blamad przetłumaczył, że po ich prawicy widzą Hipodrom. Ogromny budynek w kształcie wydłużonej podkowy służył do wyścigów konnych zaprzęgów. Był pozbawiony dachu, za to jego wysokie ściany wyposażono w setki kolumn, łuków i ślepych okien. Po

lewej stronie wędrowców znajdowała się największa świątynia w mieście – słynna Hagia Sophia – szokująca widzów nedorzecznością rozmiarów, lekkością skalnej kopuły i wielością brył, które tworzyły tę wyciosaną z kamieni budowlę.

Morski konung pojął, że postój nie był przypadkowy. Także na Północy władcy pokazywali gościom wspaniałości własnego domostwa, by przekonać ich o swojej potędze i majętności.

Ruszyli dalej, wkraczając na Regia, która była przedłużeniem Mese, ale zdążyli ująć zaledwie kilkadziesiąt kroków, gdy Geta pokazał im kolejną wspaniałą konstrukcję. Augustation, czyli plac wyznaczony przez podwójne rzędy kamiennych słupów, które podtrzymywały dach i tworzyły coś na kształt podłużnych hall. Na środku placu wyrastał pokryty brązem słupek stanowiący podstawę dla kamiennej rzeźby. Posąg wyobrażał siedzącego na koniu wojownika, który podniesioną dłonią pozdrawiał wschód. Wyposażona w dziwaczny hełm głowa figury służyła za siedzisko dla trzech gołębi paskudzących jej właśnie na twarz.

– To Justynian Wielki, najwspanialszy basileus Romejów, który żył czterysta lat temu – wyjaśnił Grikkmad.

Ainar był pod wrażeniem pamięci tego ludu o własnych przodkach, choć stawianie ich podobizn na słupach uznawał za mocno podejrzaną. Na Północy też stawiano kamienne lub drewniane pale z ludzkimi podobiznami na szczycie, ale oznaczały, że ten, któremu poświęcono konstrukcję, był zhańbionym wszetecznikiem o wątpliwej męskości. Umiłowanie mieszkańców Miklagardu do twardych kamiennych kolumn było więc co najmniej zastanawiające.

Przerwał rozmyślenia, gdy dotarli do Chalke. Wyjaśniono mu, że była to zaledwie główna brama *tó pátation*, czyli Wielkiego Pałacu, choć sama bardziej przypominała siedzibę konunga niż obudowę wykonanych z brązu wierzei. Wejście znajdowało się pod łukiem rozciągniętym między dwiema szerokimi na dziesięć chłopa nogami, a cała konstrukcja była tak olbrzymia, że na jej szczycie stała mała okrągła świątynia, nazywana przez miejscowych kaplicą. Zapewniono poetę, że są tam przechowywane

doczesne szczątki jakiegoś świętego męża.

Brama była otwarta, choć strzeżona przez czterech strażników z włóczniami, którzy byli równie bogato odziani, jak ludzie Gety. Wszyscy mieli niebieskie czuby na hełmach. Widząc topoteretesę, bez słowa przepuścili gości, ci jednak musieli się zatrzymać za bramą, gdzie czekał strojny młodzieniec o rumianych licach i przydługawych kończynach. Pachniał oliwą i piżmem. Bez wątplenia kolejnym rzeźnikiem. Jego cienki głosik utwierdził Skalda w przekonaniu, że obrzędu ciachania dokonano na nieszczęśniku, zanim jeszcze urosła mu broda.

Geta zamienił z nim dwa słowa, po czym odsunął się na bok i stanął w jednym szeregu ze swoimi ludźmi, wskutek czego trzebieńca znalazł się przed poetą. To, co wydarzyło się później, bardzo pochlebiło pieśniarzowi. Niemęski młodzieniec zwinnie kucnął, pochylił plecy, klęknął i dotknął czołem oraz wewnętrzną stroną dłoni kamiennych płyt ulicy. Wytrzymał w tej pozycji trzy uderzenia serca, po czym wstał i przemówił w języku Północy:

– Pozdrowienia dla Ainara Skalda, konunga Vaeringów i przyjaciela basileusa Konstantyna. Pokornie proszę o przebaczenie niedostatków gościnności, które wyniknęły z naszej niewiedzy, a nie złej woli. Gdy bowiem jakiś namaszczony przez Christosa władca lub poseł zawiadomiał nas o swojej wizycie, wysłaliśmy ku granicom urzędników, którzy przez sto i trzy dni towarzyszą mu w podróży przez ziemie imperium, dbając o jego bezpieczeństwo i wygody. Potężny konung Vaeringów przybył wszakże niespodziewanie, więc nie było czasu na należyte przygotowanie jego pobytu. Jednak gdy tylko Zrodzony w Purpurze usłyszał, że tak znamienita osoba gości w jego mieście, natychmiast wydał stosowny *mandaton*, by zgromadziła się rada *silentium*. Na niej dbający o ciszę w pałacu *silentiusze* postanowili bezzwłocznie zorganizować uroczystą wizytę dla przybyszy z Północy.

Nie uszło uwagi kowala słów, że mężczyzna bez brody mówił o nim tak, jakby go tutaj nie było, na dodatek nie patrzył mu w twarz. Było to nieco denerwujące, ale uznał, że jest częścią grikkländzkiego obyczaju.

– Wasze zachowanie, choć lekceważące, zostało wam wybaczone. Prowadź do swojego pana.

– Proszę o jeszcze trochę cierpliwości. Pragnę udzielić rad srogiemu władcy mórz, które pomogą uniknąć uchybienia czci autokratora Konstantyna.

– A kim jesteś, by mi doradzać?

– Swoje imię i godność pominąłem, gdyż jestem tylko pokornym sługą i niewolnikiem Trzynastego Apostoła na ziemi. Jeśli wola konunga jest je znać, nazywam się Niketos i sprawuję urząd praipositosa, czyli opiekuna pałacowego ceremoniału. Moje wskazówki będą krótkie i pomogą we wzajemnym okazywaniu sobie szacunku.

Vaering lubił marnować swój czas w wybranym przez siebie czasie i miejscu, ale nie cierpiał, gdy robili to za niego inni. Zrozumiał jednak, że pytanie o zgodę jest tylko zwrotem grzecznościowym, bo nikt ze Scholi nie miał zamiaru się ruszyć, dopóki rozmowa nie dobiegnie końca.

– Mów, byle szybko.

– Nie jestem godny, by napominać konunga Północy, ale dobrze jest okazać szacunek gospodarzowi poprzez stosowny ukłon. Gest, jaki wykonałem na samym początku, zwie się u nas *proskynesis* i goście imperatora winni go wykonać trzykrotnie. Pierwszy raz przy progu, drugi na środku sali, a trzeci przed tronem autokratora. Podczas wychodzenia z komnaty ukłony należy powtórzyć w tych samych miejscach, jak również trzeba pamiętać, by nie odwracać się tyłem do imperatora. Oczywiście szacowny konung Vaeringów, w przeciwieństwie do swoich ludzi, nie musi wykonywać pełnego *proskynesis*, lecz samo ukłęknięcie – rzezaniec spojrział na Ainara, a kiedy zobaczył jego uniesioną brew i wykrzywione usta, dodał – lub chociaż skłon poniżej pasa należą do dobrego obyczaju i zaświadczą o szacunku, jakim darzą się obaj władcy.

– Jeśli ten ergi myśli, że będziemy się przed kimś płaszczyć, to nie tylko maczugi mu brakuje w spodniach, ale i rozumu w głowie. – Rzeźbiarz poznał po głosie, że narzekającym był Gaut.

W zasadzie zgadzał się z młodym żeglarzem, ale jako wódz musiał

pokazać, kto tu rządzi.

– Nie będziemy zaczynać naszej wizyty od obrażania gospodarza. Zrobicie, jak radzi wam rzezaniec, albo osobiście dopilnuję, by żaden z was już nigdy nie wstał z kolan.

Vaeringowie zaczęli się krzywić i burczeć pod nosem. Niketos odwrotnie – pokiwał głową z zadowoleniem.

– Mądry jest władca, który słusznie karci swoich poddanych. – Eunuch podzielił się swoją mądrością, po czym wrócił do omawianego tematu. – Autokrator ROMEJÓW jest przedstawicielem Boga na ziemi i to on decyduje, kiedy obdarzyć nas łaską swojej przemowy. Na szczęście basileus niejedne ma usta i w jego imieniu będzie się do was zwracał *logothetes*. Konung Północy może też dostąpić zaszczytu osobistej rozmowy z autokratozem, ale pod żadnym pozorem nie wolno mu, jako gościowi, odezwać się pierwszemu. Nigdy też nie może zwracać się bezpośrednio do władcy, kiedy ten siedzi na tronie.

– Zatem do kogo mam mówić?

– Do Zrodzonego w Purpurze, ale tak, jakby go nie było.

Głupota grikklandzkich obyczajów była niewyobrażalna, ale Skald zrobił wszystkowiedzącą minę i pokiwał ze zrozumieniem. Czuł, że okazanie wątpliwości co do tych zasad naraziłoby ich na kolejną zwłokę.

– Władcę Północy też łatwo obrazić. Na przykład czekaniem. Ufam, że i ono nie jest miłe gardskonungowi Miklagardu.

Mężczyzna bez brody skinął głową. Ainar domyślił się, że w ten sposób rzezaniec oddawał hołd jego mądrości lub po prostu okazywał grzeczność. Pieśniarz wolał wierzyć, że to pierwsze.

Na znak Niketosa szyk na powrót się uformował. Tym razem prowadzili go Geta i trzebieniec.

Minęli kamienne halle ozdobione łukami i kolumnami, przy których stali porządnie uzbrojeni strażnicy w białych, niebieskich, zielonych lub czerwonych tunikach, płaszczach oraz kitach na hełmach. Wódz Vaeringów z lekceważeniem spoglądał na grikkmadzkich wojowników, którzy dzielili

się na oddziały wedle swoich przyodziewkowych upodobań.

Przeszli przez zamknięty ogród, który ze wszystkich stron otoczony był portykami – korytarzami utworzonymi przez dwa rzędy kolumn podtrzymujących dach. Prowadzono ich kamienną drogą, obok której ułożono krzyże i korony ze ściętych kwiatów.

Drzwi były zamknięte. Wszystkie trzy. Największych, środkowych, pilnowało czterech strażników w niebieskich strojach, a tych po bokach strzegło po dwóch wojaków. Więcej by się pewnie nie zmieściło, bo wejścia były od siebie oddalone zaledwie o krok. Ainar uznał, że rzemieślnicy musieli planować ten pałac na trunkowym natchnieniu, bo wszystko wybudowali potrójnie i mało praktycznie. Cała przednia ściana czerwonego budynku podzielona była na trzy podłużne, zaokrąglone u góry bloki, a w każdym z nich znajdowały się trzy rzędy okien, po trzy sztuki na poziom. Ze środka falistego dachu wyrastała pękata, choć niewysoka wieża przykryta okazałą kopułą. Pieśniarz był biegły w rzemiośle, a choć znał się głównie na rzeźbieniu w słowie i drewnie, potrafił określić, że pałac z czerwonego kamienia był zbudowany na planie krzyża, tak jak kristiańskie świątynie.

– Oto Magnaura, czyli Magna Aula. – Tym razem w rolę przewodnika wcielił się eunuch.

– Na Północy też mamy równie okazałe domostwa – skłamał przywódca gości.

– Zapewne. Ale to tylko gmach, w którym wybrańcy dostępują zaszczytu obcowania ze Zrodzonym w Purpurze. Posiadłości autokratora są tam – trzebieniec machnął ręką w prawo – za Oktagonem.

Kowal słów zawsze zapamiętywał takie rzeczy. Umiejętność szybkiego znalezienia cennych przedmiotów była głównym warunkiem udanej grabieży, a bogacze mieli to do siebie, że zwykle gromadzili największe skarby w pobliżu swojej sypialni. Już wcześniej się zorientował, że zbudowany na wzgórzu Wielki Pałac to tak naprawdę kilkadziesiąt murowanych budynków, zamkniętych ogrodów, magazynów i stajni, wzniesionych na różnej wysokości i połączonych ze sobą schodami,

korytarzami i portykami.

Czekanie dobiegło końca, nim Vaeringowie zaczęli się denerwować. Środkowe drzwi otworzyło dwóch odzianych w barwne skaramangiony mężczyzn, z których każdy popychał jedno ciężkie skrzydło. Znak do wymarszu dał Niketos, który wysunął się naprzód i poradził:

– Trzymajcie się trzy kroki za mną.

Świadcami majestatu gardskonunga nie mieli być Geta ani jego ludzie, którzy zostali na zewnątrz. Ainar i Blamad ruszyli za trzebieńcem, a ich śladem podążyli ustawieni w pary drengowie.

W środku było jasno, ale i tak minęło trochę czasu, zanim nawykłe do słońca oczy przyzwyczyły się do sztucznego światła pochodzącego z tuzina zwisających ze sklepienia świeczników, jakich pieśniarz nigdy wcześniej nie widział. Właściwie nawet nie świeczników, bo świec na nich nie uświadczyłeś. Później Skald dowiedział się, że były to polykandelony – okrągłe, srebrne tarcze z wydrążonymi w środku krzyżami i liściastymi wzorami, które służyły za uchwyty szklanych lampek oliwnych. Wszystkie zostały zapalone, co było kolejnym przykładem grikklandzkiego przepychu, jako że liczne okna i tak przepuszczały wiele dziennego światła.

Próg – zaświtało w głowie Ainara, kiedy wszyscy znaleźli się w środku. Trzebieniec wykonał pełen *proskynesis* i leżąc twarzą przy posadzce, bardzo niegrzecznie chrząkał, przypominając gościom, co powinni teraz zrobić.

Kamienna posadzka to bardzo ciekawa rzecz – pomyślał kowal słów i schylił się, by lepiej jej się przyjrzeć. Na ten znak ukłonili się też pozostali żeglarze, choć również w ich wykonaniu była to drwina z grzeczności. Dwóch odczuwających jeszcze nocne wznoszenie rogów zważyło się na bok przy próbie przejścia z kłęczek do czołobicia, czterem udało się zachować względną równowagę, ale poprzestali na ukłęknięciu lub pokłonie. Tylko Ali dał przykład dobrych obyczajów i przywarł nosem do kamieni w sposób, jakiego nie powstydziliby się sam opiekun ceremoniału.

Jeśli Grikkmadom wyrwały się jakieś głosy niezadowolenia, zostały

zagłuszone przez muzykę. Gdy goście leżeli, udawali leżących lub tylko zginali kark w celach poznawczych, salę wypełniły miłe dla ucha dźwięki przywodzące na myśl szum oceanu, odgłos fal rozbijających się o fiord i powiew górskiego wiatru. Pieśniarz rozejrzył się za źródłem tych brzmień i dojrzał dziwaczne instrumenty, które rozpały jego umiłowanie rzeczy cennych.

– To organy – burknął Ali. Wyglądało, jakby mówił do posadzki.

Organy w liczbie trzech stały po ich lewej stronie, równo przy ścianie. Środkowe były ze złota, a te po bokach miały srebrne piszczałki.

Muzyka ucichła po jednym gościu strojnego trzebieńca sprawującego funkcję jednego z silentuszy, o których wspominał Niketos. Cisza była zarazem nakazem powstania, o czym przypomniał im podnoszący się z kolan eunuch.

Kiedy ruszyli dalej, rozbrzmiał śpiew. Główną rolę odgrywały cieniutkie głosiki, które niechybnie musiały należeć do rzezańców, ale towarzyszyły im też męskie głosiska, ponieważ wszyscy Grikkmadowie śpiewali.

– Co oni tam wyją? – szepnął poeta do Blamada.

– Wiele lat..

– Wiele lat czego? Tak długo musieli ćwiczyć równe śpiewanie, wznosić ten budynek czy znosić niewierność swoich żon?

– Tylko tyle śpiewają. Obstawiam, że to życzenia długich rządów dla ich kagana.

To podejrzenie wydało się Skaldowi słuszne. Oceniał też, że życzących było około sześćdziesięciu. Każdy stał wedle ustalonego szyku – tak by jeden pasował do drugiego ubiorem. Miłośnicy poszczególnych barw tworzyli własne grupy, podobnie jak ci, którzy na skaramangionach mieli wyhaftowane różne wyobrażenia: rogi byków, głowy lwów, trójzęby czy orły. Zupełnie nie przejmowano się natomiast przynależnością do poszczególnych ludów, bo w Magnaurze znajdowali się zarówno Blamadzi, jak śniadoskórzy koczownicy czy kędzierzawi Grikkmadowie. Połowa zgromadzonych była uzbrojona, a oręż trzymano obnażony. Niektórzy ze

stojących dzierżyli miecze i tarcze, inni włócznie, szable czy topory na długich styliskach. Największe wrażenie robili odziani na biało wojownicy ze złotymi różgami w dłoniach, którzy stali najbliżej tronu. Ali wytłumaczył szeptem pieśniarzowi, że takich białasów nazywano tutaj kandydatami, a ich różgi manglabionami. Pozostali zbrojni w sali należeli do Hetairii – osobistej straży autokratora.

Niketos zatrzymał się w połowie odległości między wejściem a tronem, po czym znów wykonał pełen *proskynesis*. Tym razem Skalda zaciekawiał unoszący się nad posadzką zapach, zgiął więc plecy i zaciągnął się przyjemną wonią olejku różanego. Pozostali Vaeringowie też posłusznie oddali cześć gardskonungowi i choć żaden z nich już się nie przewrócił, jednemu wypadło z rękawa kacze udko. Snekkjamad podniósł je, dmuchnął na mięso, ugryzł kawałek, a resztę schował za pazuchę, nie przejmując się chichotami pobratymców i oburzonymi spojrzeniami Grikkmadów.

Znów rozległa się organowa muzyka. Tym razem uciszył ją nie silentiusz, ale ryk grzywiastego kota. Ludzie Północy zerwali się na nogi, a poeta mimowolnie napiął mięśnie do walki. Tylko Ali wstał spokojnie, uśmiechając się do wszystkich dookoła. Lwów nigdzie nie było widać, za to przy tronie stały dwie mosiężne rzeźby przedstawiające właśnie te zwierzęta. Czary nie skończyły się na tym, bo gdy tylko w Magnaurze wybrzmiał ryk, rozległ się śpiew ptaków, co nie byłoby może dziwne, gdyby dźwięków nie wydawały złote posążki skowronków, które na dodatek zerwały się do lotu z rosnących po bokach tronu srebrnych drzewek.

Większość wojów Ainara była blotmadami – ludźmi ofiar, dlatego zaczęli pluć przez ramię, wzywać imiona bogów i przeklinać czarodziejską sztukę trolli, która musiała stać za tymi dziwami. Pieśniarz w bogów wierzył, ale ufać wołał sobie, dlatego uważnie przyjrzał się latającym skarbowi. Widoczność utrudniał dym z wonnych kadzideł, a także obłoczki pary, które wydobywały się z dziur w podłodze, lecz zdało mu się, że do ptasich grzbietów są doczepione cienkie sznurki. Nie był tego jednak pewny, gdyż jego problemy ze wzrokiem nasiliły się w zamkniętym

pomieszczeniu.

Ptaki – żywe czy nie – wiecznie latać nie mogły. Gdy zabawki gardskonunga w końcu wylądowały na swoich miejscach, pochód mógł ruszyć dalej.

Na ostatniej prostej w wędrówce ku boskiemu majestatowi gardskonunga Ainar mógł w końcu dokładnie przyjrzeć się tronowi. Znajdował się w przestrzeni utworzonej przez cztery grube filary, między którymi rozwieszono haftowane kobierce, jedwabne zasłony oraz złote i srebrne łańcuchy. Te ostatnie wisiały też nad głowami Vaeringów, tworząc pod sklepieniem drogę od drzwi wejściowych do utworzonej z zasłon salki bez przedniej ściany. Grikklandzki odpowiednik północnego *öndvegi* umieszczony był na platformie, do której z każdej strony prowadziło dziewięć stopni. Samo siedzisko zostało wykonane ze złota i kości jednorożców.

– Nieliczni widzieli Tron Salomona w pełnej okazałości – szepnął do poety Czarny Berserk.

Pieśniarz pomyślał, że kimkolwiek był ów Salomon, potomni chyba niezbyt go cenili, skoro jego imieniem nazwali stołek, o który regularnie wycierali tyłek.

Goście zatrzymali się kilka kroków od stopni, na okrągłej czerwonej płycie posadzki. Tak jak poprzednio z ukazaniem odpowiedniej grzeczności najlepiej poradzi sobie eunuch i Ali, natomiast Skald postanowił się schylić tylko po to, by lepiej przyjrzeć się podstawie *öndvegi*. Nie zobaczył tam nic ciekawego, gdyż został rozproszony przez swych ludzi. Wprawdzie trzeci *proskynesis* wyszedł im najlepiej, lecz zarazem ujawnił ich naturę. Jednemu z drengów wypadła zza pazuchy mała biała kulka, którą musiał ukradkiem oderwać od stroju jakiegoś dworzanina. Perła potoczyła się po kamieniach do innego Vaeringa, który nakrył ją dłonią i włożył sobie do ust, udając, że to jakiś przysmak. Pieśniarz wątpił, by ktoś dał się na to nabrać, ale nikt nie powiedział słowa i tylko jeden ze strażników zaczął się bacznie przyglądać swojemu skaramangionowi.

Organy zagrały po raz trzeci. Tym razem muzyka brzmiała dłużej i nie

została przerwana przez żaden gest ani ryk. Posłużyła jednak za oprawę kolejnego dziwu.

Tron zaczął się unosić. Buchała spod niego para, przez co nie można było dostrzec, co znajduje się pod siedziskiem, zwłaszcza że wraz z nim podnosiła się również jedwabna tkanina, dotychczas leżąca u jego podstawy. Öndvegi zatrzymał się w połowie filarów. Organy zabrzmiały jeszcze głośniej, a dym kadzidełek zgęstniał i zaczął lekko szczypać w oczy. Vaeringowie pewnie padliby na posadzkę z wrażenia, ale że i tak już na niej klęczeli, skulili się tylko i przywarli do kamieni^[6].

Czary podziały. Co prawda nikogo nie zabiły, nie zraniły ani nawet nie uzdrowiły, ale uczyniły coś znacznie potężniejszego: wyłobiły w głowach zeglarzy trwałe ślady potęgi grikklandzkiego władcy i zasiały w nich myśl, że nie warto się opierać takiej mocy. Wódz snekkjamadów dostrzegł wrażenie, jakie wywarło na jego ludziach przedstawienie. Jako że jednak świetnie znał się na występach przed tłumem, był nieufny co do tych sztuczek. Latający tron wydał mu się trochę dziecinny i choć robił wrażenie, był popisowym marnotrawstwem czarów lub machin, które winny być używane do kruszenia murów nieprzyjacielskich miast. Przecież nikt nie wymyślił lepszego sposobu na ugoszczenie i olśnienie przybyszy niż poczęstunek mocnym napitkiem oraz zapewnienie im towarzystwa chętnych dziewczek.

„Co się uniosło, musi opaść, a co leży, zaraz stanie” – powtarzał Skald kochankom, a jego łózkowa mądrość tym razem sprawdziła się w pałacu gardskonunga. Nabrzmiały dumą i pyszniący się swoim bogactwem władca powoli zjechał wraz salomonowym krzesłem, dając tym znak gościom, by podnieśli się z posadzki. Zakończenie gry w „padnij – powstań” obwieściły organy, które wydały długi niski dźwięk i zamilkły.

Stojąc tak blisko tronu, jak się dało, Ainar uważnie przyjrzał się gospodarzowi. Był to starzec w szóstej dziesiątce życia, wysoki, szeroki w ramionach i sztywny w plecach jak tutejsze drzewo cyprysowe. Nos miał orli, policzki rumiane niczym u pijaka, za to skórę bladą. Sprawiał wrażenie pocziwego starca, który najchętniej uciekłby z Magnaury do

kielicha i samotnych rozmyślań, ale obowiązki zmusiły go do prężenia się na tronie. Poeta miał ochotę do niego zagadać, ale przypomniał sobie ostrzeżenie mistrza ceremoniału, że gość nie powinien zaczynać rozmowy. Był jednak węzowym językiem – człkiem, z którego ust może wychodzić kłamstwo, ale zawsze podszyte gadzim sprytem i mądrością zdolną oczarować każdego słuchacza. Był też konungiem kłopotliwym, który zarówno siebie, jak i innych potrafił wciągnąć w największe tarapaty.

– Pozdrawiać władca Północy chce autokratora Grikkmadów – skaleczył mowę tutejszych ludzi.

W gmachu rozbrzmiały głosy oburzenia. Strażnicy ze złotymi różgami mocniej ścisnęli manglabiony, jakby na karku pieśniarza chcieli pokazać, iż nie są to tylko ozdoby. Zimną krew i dostojeństwo zachował jednak gardskonung, który uśmiechnął się pobłaźliwie i gestem wskazał na trzebieńców przebierających nogami po jego prawicy.

– Łaska Naszego Pana w niebiosach i życzliwość basileusa Romejów niech spłynie na rexa Nordmanorum, konungiem Północy się zowiącym! – Gruby mężczyzna bez brody był równie strojny, pachnący i czysty jak pozostali rzezańcy. I tak samo drażnił saekonunga, który uzmysłowił sobie, że dworak musiał być jednym z owych logothetów, którzy wyręczali gardskonunga w rozmowie. Dobrą stroną jego pośrednictwa było to, że znał mowę Północy. – Stoicie przed obliczem autokratora, cezara i basileusa całej *Oikumene*, którego sam Kristus namaścił na swojego ucznia i ziemskiego przedstawiciela!

Östmad z Noregu ziewnął. Zanosił się na długą i nieciekawą rozmowę, w której nie miał ochoty uczestniczyć. Na szczęście miał u swego boku kogoś, kto mógł go świetnie zastąpić.

– Macie przed sobą konunga Vaeringów, pogromcę Tattarów i umiłowanego poetę Göllnira. A po mojej prawicy stoi Ali Czarny Berserk, który opowie wam resztę.

Wyznawca Allaha, Wertragny czy Bidy – Skald już dawno się pogubił, które bóstwo obecnie czcił jego przyjaciel – burknął coś niemilego po blamadzku, ale zaraz się opanował i przeszedł na język Vaeringów:

– Mój Pan i władca, słyszący ze swej łaskawości, waleczności i hojności, mądrze zawierzył ustom swojego najwierniejszego sługi.

Tutejsi ludzie z pewnością niejedną dziwą w życiu widzieli, ale nawet na nich zrobił wrażenie uśmiech berserka oraz to, że czarnoskóry osiłek odziany w proste szarawary i skórę grzywiastego kota potrafi tak dwornie prawić. Większość nie rozumiała co prawda mowy Północy, ale inny *logotheta* głośno i wyraźnie tłumaczył każde słowo wojownika, by nic nie umknęło uszom gardskonunga ani jego przybocznych.

Po przedstawieniu swoich panów rozmówcy przeszli do pytań o zdrowie i samopoczucie. Eunuch bardzo chciał poznać szczegóły ich podróży, więc Ali wytłumaczył, że z Dyragardu ruszyli w dół Itilu, w Chazarii przenieśli swoje okręty po ziemi i zwodowali je w Tanaisie, dotarli do jeziora Muwatas, pożeglowali na Morze Grikklandzkie i po czterech tygodniach podróży znaleźli się w Miklagardzie, zwanym przez Rusów Carogrodem, a tutaj po prostu Miastem lub Byzantionem.

Władcy, rozmawiając ustami swoich sług, przyglądali się sobie. Konstantyn Porfirogeneta patrzył dyskretnie i lekko się uśmiechał. Skald gapił się bezczelnie. Wykrzywił brwi i oceniał, ile złota może ugrać na znajomości z gardskonungiem. Sądząc po stroju tamtego – dużo.

Starzec nosił najpiękniejszą czapkę świata. Cała ze złota, miała kolisty kształt, a wraz z głową właściciela wyglądała jak łeb śniegowego bałwana. Jej powierzchnię ozdabiały pędy, listki i kiście złotych winogron, a na samym środku miała blaszkę przedstawiającą Krista na tronie. O pobożności właściciela czapki świadczył również krzyż na jej czubku, a o zasobności jego skarbcza wiele mówił podszyty futrem, haftowany złotymi nićmi i zdobiony drogocennymi kamieniami płaszcz, który okrywał całe ciało basileusa. Inne oznaki majątności, potęgi i męstwa autokratora – berło i miecz – trzymali stojący po bokach tronu odziani na biało mężczyźni ze złotymi kołnierzami. Mieli takie miny, jakby dzierżenie złotych przedmiotów było dla nich największym zaszczytem.

– W imieniu basileusa przyjmijcie te skromne dary. – Słowa logothety od razu przykuły uwagę Ainara. Na znak dany przez trzebieńca podeszło do

Skalda i Alego dwóch chłopców i wręczyło im złożony w kostkę materiał. Vaering poznał, że były to skaramangiony podobne do tych, które nosili dworzanie. Jego odzienie okazało się całe czerwone – co przyjął z wielkim zadowoleniem – a Czarnego Berserka biało-niebieskie, co z kolei skwitował uśmiechem, wyobrażając sobie przyjaciela w takim stroju.

Do dobrych obyczajów należało, by darem odpłacić za dar. Przewrotny poeta już rankiem kazał przynieść ze statku niewielką skrzynkę wypełnioną bursztynami. Jeden z Vaeringów trzymał ją teraz przed sobą. Pieśniarz cenił hojność, jednak głównie u innych, a sam niechętnie dzielił się swoim bogactwem. Zwłaszcza gdy miał pomysł, jak się wyłgać z wymiany.

– Konung Północy też ma dar dla gardskonunga – rzekł. – Ale opowie mu o nim tylko osobiście, gdy pan Złotego Miasta zaszczyci go brzmieniem swojego głosu. – Ainar stosował się do zasady, że jak rozmawiać, to tylko z najpotężniejszymi. Nie miał ochoty wykuwać zmyślnych słów dla byle eunucha.

Logotheta z zapalem godnym podziwu przekładał na grikklandzki każde zdanie, nie bacząc na jego znaczenie. Po gmachu przebiegł szmer oburzenia. Sam gardskonung wyglądał jednak na bardziej rozbawionego niż zezłoszczonego.

– Władca Romejów ma wszystkie skarby świata, ale chętnie zobaczy podarunek od konunga Vaeringów. – Głos autokratora zaskoczył wszystkich, zwłaszcza że basileus przemówił w języku Północy.

Skald lekko skłonił głowę.

– Ofiaruję ci moją przyjaźń i przymierze, dzięki którym poskromisz wszystkich swoich nieprzyjaciół.

W Magnaurze znów podniosła się wrzawa, ale tym razem jej najgłośniejszym źródłem nie byli oburzeni bezpośredniością rozmowy Grikmadowie, ale drengowie.

„Nie taki był plan” – Ainar usłyszał szept dochodzący zza swoich pleców. Rzeczywiście, mieli grabić i niszczyć Złote Miasto, ale dobry przywódca zmienia plany, by osiągnąć zamierzony cel. Nigdy odwrotnie. Obserwując bogactwo Carogrodu i liczebność jego obrońców, pojął, że

łatwiej będzie zdobyć złoto dzięki przyjaźni z gardskonungiem niż przez złupienia jego posiadłości. Do tego drugiego można było wrócić, gdy przyjaźń osłabi czujność Grikkmadów.

Władca Miklagardu machnął dłonią w podzięce, ale nie był na tyle olśniony propozycją sojuszu, by dalej samemu prowadzić rozmowę. W jego imieniu przemówił logotheta:

– Basileus z radością przyjmuje dar. Wasze trzy okręty będą cennym uzupełnieniem naszej potężnej floty.

– Potężnej? – Do rozmowy wtrącił się Tharbrand, sternik „Niegrzecznego Niedźwiadka”. – Dziw, że wasze galeidy wytrzymują miłosne objęcia córek Aegira. W zapasach z bałwanami północnych mórz pękłyby na pół niczym drewniany mieczyk na ojcowskim kolanie. Nasze okręty mają giętkie kile, smukłe burty i mocne maszty, a...

– A na dodatek jest ich dwanaście, a nie trzy – poeta dokończył przemowę rozdrażnionego sternika. – Poza miastem czeka jeszcze dziewięć moich statków.

– Proszę o wybaczenie – odezwał się zdziwiony logotheta. – Doniesiono nam, że okręty, które nie zostały wpuszczone do portu, należą do vaerińskich kupców. Podobno sam konung Północy tak twierdził.

– Wasz człowiek widocznie nie zrozumiał, co powiedziałem. – Skald szedł w zaparte. To zawsze popłacało, gdy wszyscy inni chcieli uwierzyć w nieprawdę, a przecież gardskonung z pewnością wolałby mieć we flocie dwanaście najemnych statków niż trzy. – Jestem w końcu konungiem całej Północy i na moje wezwanie mogą tu przypłynąć jeszcze trzy tuziny okrętów!

Zgromadzeni w Maignaura ludzie przestali patrzeć na Ainara jak na ubogiego krewnego, a zaczęli mu się przyglądać z wielkim zaciekawieniem.

– Lichy strój naszego przyjaciela nie pozwolił nam dostrzec, jak znakomitego władcę gościmy. – Niespodziewanie do rozmowy ponownie włączył się autokrator. – Tak znaczny konung musi chyba znać vaerińską królową Olgę? Gościliśmy ją w Maignaurze kilka lat temu. Czy wiara

w Kristosa rzeczywiście szerzy się w jej ojczyźnie, jak nam zapowiadała?

Östmad zmarszczył brwi, po czym rozpromienił się w uśmiechu. Szybko się zorientował, że został poddany próbie pochodzenia, zrobił więc uradowaną minę, jakby usłyszał o dawno niewidzianej przyjaciółce.

– Moja droga kuzynka ze strony mojej babki wspominała mi o tej wizycie. Niestety nie ostrzegła, bym uważał na ucięte dłonie wpadające przez okna i jady w trunkach, za które płacą niewolnicy gardskonunga.

„Szybko pęka tarcza, gdy wojownik się jeno broni” – mawiała babka Skalda, więc idąc za jej radą, pieśniarz zaatakował, by chronić swoją lichą osłonę kłamstw. Podziałało. Wszyscy Grikkmadowie zaczerwienili się, nadęli i niemal pękli z oburzenia. Rzecz jasna, nikt już nie miał ochoty badać pokrewieństwa poety z władcami Północy.

– To doprawdy szokujące! – Grubas nawet krzyknąć nie umiał jak mężczyzna, dlatego jego uniesiony głos zabrzmiał jak pisk trzpiotki. – Jeszcze nikt tak nie obraził naszego basileusa. Wymyśli, że ktoś z pałacu miał udział w haniebnej próbie otrucia naszego gościa, są poza wszelkimi granicami dobrego smaku! Już prędzej któryś z Vaeringów postanowił zgładzić swojego konunga, bo wiadomo, że są oni ludem nieznanym praw.

Grikkmadowie zareagowali na zniewagę kowala słów w osobliwy sposób. Większość odwróciła wzrok od konunga i spojrzała na strażników autokratora, za wszelką cenę starając się zachować pozór, że nie są gwarną cizbą, ale wysoko postawionymi urzędnikami. Z kolei na zniewagę logothety żeglarze odpowiedzieli, nie dbając o pozory – miotali wściekłe spojrzenia, gotowi od razu pomścić obrazę. Zaczęli też przeklinać, a jeden dosypał jeszcze soli do otwartej rany na grikklandzkim honorze, krzycząc:

– Tylko kobiety i Romejowie są mordvargami trującymi i mordującymi ludzi w nocy!

W Magnaurze zrobiło się cicho jak w kurhanie, choć większość miklagardczyków nie pojęła znaczenia ostatniej obelgi, a eunuchowie byli zbyt zszokowani, by ją tłumaczyć. Poddani basileusa rozumieli jednak bez słów, że są obrażani.

Pieśniarz pożałował, że rozmowa toczyła się w mowie Północy, a nie po

grikklandzku. Wtedy przynajmniej jego ludzie by się nie burzyli. Jednak piwo już się rozlało i teraz należało ratować sytuację. Nie lubił się cofać, ale wiedział też, że niekiedy w boju należało zrobić krok w tył, by potem móc postąpić dwa do przodu.

– Wybaczcie mojemu człowiekowi ten wybuch. Zostanie ukarany we właściwym czasie. Tak jak i człowiek, który dolał mi jadu do dzbana.

– Dołożymy wszelkich starań, by sprawa została wyjaśniona. – *Logotheta* wyczuł pojednawczy ton Skalda i z wprawą biegłego kupca opanował wzburzenie. – Właściciel pandokeionu został już zatrzymany, a dochodzenie niebawem wyjaśni, kto tym podłym uczynkiem chciał rzucić cień na sojusz basileusa z konungiem Północy.

Morski król skłonił się uprzejmie gardskonungowi.

– Pozostaje nam ustalić, przeciwko komu wymierzymy przymierze.

– W swojej mądrości Zrodzony w Purpurze przewidział i taki rozwój wypadków. Zostało ustalone, że jeśli zgodzicie się wzmocnić armię Romejów, wasze okręty zostaną wysłane na wyspę Thereę. Straszna plaga piractwa spadła bowiem na nasz kraj, a nikt nie nadaje się lepiej do poskromienia kussarów niż dzielni żeglarze z Północy. Dołączycie tam zresztą do swoich pobratymców, którzy jeszcze tej wiosny zaciągnęli się na służbę u autokratora.

Poeta, który już w duchu chwalił swój pomysłuńek za wybrnięcie z opresji, wykrzywił twarz w gniewnym grymasie. Wcale mu się nie spodobało, że miklagardczycy z góry założyli jego służbę u gardskonunga, jak również i to, że będzie musiał opuścić miasto. Wolałby być blisko tutejszych bogactw, nawet jeśli na razie miał je tylko ochraniać. Zaciekawili go też wspomniani vaerińscy najemnicy, ale teraz miał ważniejsze sprawy do omówienia.

– Daleka wyprawa to niezwykle kosztowne przedsięwzięcie. Trzeba wyżywić wielu ludzi, a moi drengowie potrafią mieć apetyt. Skoro zagrażają wam morscy grabieżcy, bezpieczniej będzie dla was, gdy zostaniemy w porcie.

Logotheta naradzał się chwilę z innymi trzebieńcami, ale musiał to być

pozór, ponieważ cały czas spoglądał na swego władcę, wyczekując jego reakcji. Dopiero gdy ten prawie niezauważalnie machnął dłonią, zginając przy tym trzy palce, eunuch odpowiedział:

– Żadna obca armia nie może zimować w naszym mieście. Ale wasz trud zostanie sownie wynagrodzony. Konung Vaeringów co miesiąc będzie dostawał *roga*, którą podzieli wśród swoich poddanych wedle własnego uznania.

Klasnął i zza jego pleców wyszło czterech niewolników dźwigających dwie ciężkie skrzynie. Postawili je przed Skaldem i otworzyli wieka.

Złoto to najlepszy przyjaciel karmiciela kruków. Wódz tuzina okrętów niby od niechcienia zerknął na kufry wypełnione po brzegi przyjaciółmi, którzy świecili się w blasku polykandelonów. Obawiał się, że Vaeringowie zakrzyczą z radości, zaprzepaszczając wszelkie targi, ale po raz kolejny przekonał się, że są naprawdę dobrzy w trzech rzeczach: walce, żeglowaniu i kupczeniu.

– To godziwa zapłata dla załóg statków, które mam w porcie. Ale co przekażę ludziom z pozostałych jednostek?

– Żaden najemnik nie dostał nigdy więcej! – zachnął się grubas, odchodząc od ceremoniału. Popatrzył jednak na autokratora, a gdy ten skinął głową, kazał przynieść kolejną skrzynię.

– Złoto z trzech kufrow będzie wasze jako zapłata za dwa miesiące. Oczywiście, jeśli je przyjmiecie, będziecie musieli się oczyścić w sakramencie *baptismos*, bo Trzynasty Apostoł nie opłaca pogan.

Skald zakrzuszył się swoją wcześniejszą radością. Niebawem nastanie zima, nie miał więc ochoty na kąpiele. Równie wstrząśnięci byli snekkjamadowie, którzy spluwając na posadzkę, sięgali po maczugi Magniego lub toporki Peruna, jakie mieli zawieszane na szyi. Tylko Ali był dziwnie spokojny.

– A skąd przekonanie, że nie znamy nauk Krista? Ja sam kilka lat temu spędziłem ładnych parę tygodni w klasztorze, gdzie zapoznałem się z naukami Eriugeny i Orygenesesa. Inni przyjęli już *primsigna*. Chrzest nie jest nam do niczego potrzebny.

Wymienione imiona, zasłyszane dawno temu od irskich munków, zrobiły wrażenie nawet na Czarnym Berserku. Niczego jednak nie zmieniły.

– Tym lepiej, że znacie prawdę głoszoną przez Pana w Niebiosach. Nasz pobożny autokrator życzy sobie jednak, byście potwierdzili swoją wiarę przez zanurzenie w wodzie. Tak dla pewności.

Kowal słów spojrzał na eunucha z nienawiścią i przeniósł wzrok na gardskonunga. Grimmir, bóg masek, użyczył całego swojego kunsztu pieśniarzowi, ale Porfirogeneta nie speszył się żadnymi minami. Dał się jednak nakłonić do zabrania głosu.

– Basileus Romejów przygotował niespodziankę dla swojego przyjaciela konunga. – Tym razem autokrator przemówił w ojczystym języku, a jego słowa przetłumaczył rzezaniec. – W pałacu gościmy uczonego męża z Północy, który zna wasze obyczaje i z chęcią wyjaśni wam wszystkie tajniki wiary w Christosa.

Na znak władcy Złotego Miasta z gromadki mężczyzn stojących nieopodal tronu wysunął się strojniś w zielonym skaramangionie. Na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby miał dobrze po czterdzieście, ale po dokładniejszych oględzinach pieśniarz odjął mu dziesięć. Przyprószone siwizną włosy oraz broda kłóciły się z młodą, choć zatroskaną twarzą. Ainar nie poznałby go, gdyby dworzanie nie uśmiechnął się porozumiewawczo i nie pokazał mu swoich dłoni. Poeta miał przed sobą znajomego z dawnych lat, Finloga Siedmiopalczastego Mnicha z Wyspy Irów.

Smakosz trunku Mimira myślał szybko. Finlog mógł go łatwo zdemaskować, wyznając, że Ainar był co najwyżej konungiem banitów i włóczęgów. Życzliwe przyjęcie w Magnaurze wskazywało co prawda, że uczone kaleka jeszcze go nie wydał, ale morski wódz nie chciał liczyć na niczyją łaskę.

– Przyjmujemy szczodre dary i warunki postawione przez basileusa. Możecie nas myć do woli. – Pieśniarz nie zważał na gniewne pomruki za swoimi plecami ani na nerwowy chichot Alego.

– Znakomicie. Ja, Konstantyn, siódmy tego imienia i pierwszy

Porfirogeneta, oznajmiam zawarcie przymierza z Ainarem Skaldem, konungiem wszystkich Vaeringów.

Praipositos ponownie pojawił się u boku kowala słów i padł na twarz przed obliczem autokratora. Oznaczało to koniec wizyty. Wódz żeglarzy pochylił się nad skrzynią, by widok złota ocieplił mu myśl o nadchodzącej zimnej kąpieli. Również Vaeringowie wykonali nieudolną kopię *proskynesis*. Podczas wychodzenia Ainar pamiętał, że nie powinien odwracać się tyłem do basileusa. Miał już jednak trzy skrzynie ze złotem – teraz niesione przez jego ludzi – oraz przymierze z gardskonungiem. Z rozmysłem zlekceważył więc dobre obyczaje.

Opowieść o miłości 2

Słupnik odpowiedział już na wiele pytań. Większość dotyczyła problemów zwyczajnych rybaków. Jak rozkochać w sobie kobietę? Jak dziewczyna może zwrócić na siebie uwagę mężczyzny? Jak miłować psotnego syna? Odpowiedzi padały krótkie, zachęcające głównie do modlitwy, wytrwałości i cierpliwości w kochaniu.

Jedni miejscowi przychodzili pod słup, inni odchodzili, ale przybysze z Byzantionu tkwili przy palu niewzruszenie niczym najwytrwalsi słuchacze. Tyle że wcale nie słuchali, ale drwili sobie z rad i z ludzi, którzy zadawali pytania. Wyglądali na takich, którzy na coś czekają, a szyderstwami zabijają wolny czas.

– A co zrobić, gdy brat mój weźmie żonę moją? – zapytał jeden z przyjezdnych. – Mam ja ich oboje miłować czy może pokarać i znienawidzić?

– Gniew i nienawiść do niczego nie prowadzą, ale nie będę o tym pouczać. Masz bowiem rację, bracie, że miłość może pociągnąć kochanków do czynów straszliwych, których w żaden sposób usprawiedliwić nie można. Co innego zrozumieć. Człowiek jest bowiem istotą słabą, podatną na różne namiętności! Jeśli jednak pochodzą one z waszego miłującego serca, możecie być pewni, że sam Kristus błogosławi waszym czynom i do żadnego zła to kochanie was nie doprowadzi. Jeśli jednak zazdrość czy chęć cielesnych przyjemności was napędza, oznacza to, że słuchacie podszeptów diabła, który mając fałszywą miłością, do złego człeka prowadzi. Uczucie do kobiety musi być bowiem czyste, pełne poświęceń i niewymagające niczego w zamian, zupełnie tak jak uwielbienie, którym winniście obdarzać Waszego Stwórcę w Niebie.

Przyjezdni z Basilis Polis jedli właśnie drób, który upiekli na rozpalonym nieopodal słupa ognisku. Jeden wyjął z ust ogryzione gęsie udko i rzucił nim w kierunku świętego męża. Kość przeleciała nad barierką i wylądowała pod nogami hagiośa.

– Słowa, słowa, słowa! – krzyknął rzucający. – Czcze gadanie, które nijak się ma do życia. Kobiętę należy kochać właśnie z powodu kształtów jej ciała! Dlatego nikt nie chce się żenić ze starymi i brzydkimi. I co to w ogóle znaczy, że nic nie mamy dostać w zamian? Tam, skąd pochodzę, w Noregu, sprawy mają się o wiele prościej. Szukasz urodziwej córuchny Gefny, płacisz jej monetami i oczekujesz przedniej uciechy. Albo idziesz do chętnej panny czy mężatki, ofiarowujesz jej dobre słowo i w zamian dostajesz, co zechce dać. I w końcu można też wypłynąć na wyprawę łupieską, znaleźć uciekającą dziewczkę i samemu zabrać, na co przyjdzie ochota. To jedyna miłość, jakiej potrzebuje dreng. Nie udawajcie, że u was, w Grikklandzie, jest inaczej. Dość pornasek tutaj odwiedziłem!

– Nie udawaj, przybyszu, że na Północy małżeństw nie macie.

– Niestety, nawet na Północy zdarzają się ci porządni, co dbają o prawo i dobre obyczaje. Ale małżeństwo to też kupiecka umowa. Szukasz właściwej kobiety, idziesz do jej ojca, płacisz za niewiastę *mundr*, bierzesz ją do siebie i już jako żonie dajesz klucze od domu. W zamian wymagasz gotowania strawy, rodzenia bachorów, sprzątanania i zajmowania się gospodarstwem podczas twojej nieobecności. To tylko znacznie bardziej rozbudowany rodzaj ugody, jaką zawierasz z pornaską, płacąc jej za spółkowanie.

– To, o czym mówisz, nie jest miłością, chyba że do samego siebie. Właśnie taka wynaturzona, pusta miłość prowadzić może do zbrodni największych. Byście lepiej to zrozumieli, przytoczę wam historię Fedry i Hippolytosa. Większość was ją zna, bo przecież to opowieść z tych ziem, jeszcze z czasów, gdy wasi przodkowie nie znali Kristosa, choć już potrafili wyczuć, co dobre, a co złe. Wiem ja dobrze, że niektóre dziewczyny nawet w naszych czasach obcinają w dzień ślubu pukiel włosów na cześć Hippolytosa, strażnika czystości. Ale wracając do

opowieści... Fedra była piękną królową Krety i żoną wielkiego władcy oraz bohatera o imieniu Tezeusz. Miała wszystko, o czym mogła zamarzyć. Dom, służbę i słynnego męża. Ale jej było mało. Podczas nieobecności męża zapalała miłością do jego syna zrodzonego z innej kobiety. Hippolytos miał na imię i zaprawdę był urodziwym człkiem. By go uwieść, uciekła się do swojego sprytu, ale i do czarów diabelskich, afrodytowymi wtedy zwanymi. Wiedząc, że Hippolytos został zrodzony z Amazonki i miłe mu są kobiety wojowniczo usposobione, zaczęła konno jeździć i włóczyć się przed nim popisywać. Inne też podstępny wymyślała, ale wszystkie one zawodziły, bo nie żył wtedy w Grikklandzie cnotliwszy młodzieniec od Hippolytosa. Na koniec kobieta posunęła się do tego, że w przebraniu chciała się oddać pasierbowi. Chłopak przejrzał jednak także to knowanie i ze słusznym gniewem skarcił żonę ojca swego. Nie chcąc też dłużej przebywać w domu zhańbionym przez jego gospodynię, wyjechał i wrócił dopiero razem z ojcem. Wzgardzona Fedra postanowiła się zemścić. Powiesiła się na powrozie, ducha swego na wieczne potępienie oddając. I gdybyż tylko to uczyniła, słuszną karę sama sobie by wymierzyła. Ale jej było mało zła, jakie już wyrządziła, dlatego w pożegnalnym liście do męża nakłamała, że to jego syn próbował ją skalać, więc odebrała sobie życie, by ratować honor Tezeusza. Rozpacz wdowca była straszliwa. Nie słuchając żadnych wyjaśnień, skazał Hippolytosa na wygnanie, a posłuszny syn na banicję się udał. Nie był to jednak koniec jego nieszczęść, ponieważ konie w powozie spłoszyły się i zdeptały młodzieńca na śmierć. W ten oto sposób Tezeusz stracił i żonę swoją, i najukochańszego syna. Co zaś my, poprzez mądrość mistrzów Eurypidesa i Seneki, możemy z tej opowieści wyciągnąć?

– Kobieta zawsze winna? – Przybysz po raz kolejny zaśmiał się złośliwie.

– Nic nie rozumiał wojak, co przez pół życia w hełmie łeb miał zakuty! Takie pouczenie płynie z tej opowieści, by w miłości nie o sobie myśleć i nie o swoim honorze, ale o dobru bliskiej osoby. Fedra nie z czystej miłości pokochała pasierba, ale z próżnej chęci zaspokojenia swoich żądz

i z pragnienia, by inni oddawali hołd jej pięknu. Sama natomiast za nic miała dobre imię męża i jego syna. Ale ja oceniać nikogo nie będę, bo namiętność potrafi kusić i sam nie zawsze postępowałem zgodnie z przykazaniami Kristosa.

Księga II

THEŃA

Jesień,
6467 rok po stworzeniu świata
wedle rachuby Grikkmadów*

* Jako że w kalendarzu bizantyjskim nowy rok zaczynał się 1 września, zarówno wcześniej ukazane wydarzenia z lata 6466 roku, jak i bieżące wydarzenia z jesieni 6467 roku rozgrywają się w tym samym 958 roku wedle rachuby stosowanej w łacińskiej Europie (przyp. autora).

5

- Zabij go, zabij go, zabij go!
- Cicho!
- Zjedz go, zjedz go, zjedz go!
- Zamknij dziób!
- Skald musi umrzeć, Skald musi umrzeć, Skald musi umrzeć!

I tak przez całą noc. Każdą od dziesięciu tygodni. Gdy tylko Ali przymykał oczy, do pokoju wlatywała biała sowa i pohukiwała na Blamada. Nie zatrzymywało jej zamknięte okno, fale uderzające o burzę, stukot końskich kopyt czy towarzystwo innych ludzi. Przenikała przez ściany, wynurzała się z wody, wlatywała spod trawy i przybywała do Czarnego Berserka, dla innych pozostając niewidzialna.

Nie była zwykłym ptakiem ani też urojeniem. Zanim Serklandczycy przyjęli nauki Muhammada, mieli starsze, o wiele mroczniejsze wierzenia, które nadal pokątnie pielęgnowali. Przekazywano sobie opowieści o *hama* – duszy zabitego, która pod postacią sowy przychodzi do spadkobierców ofiary i nawołuje do zemsty. Ali słyszał te historie dawno temu w Bagdadzie, dlatego wiedział, jak nazwać ducha, który się u niego zjawiał. Białego ptaka o upiornie ludzkiej twarzy, którego sam do siebie zaprosił. Trzy miesiące temu obiecał Tirusowi Wielkiemu, że duch władcy będzie mógł go nawiedzać przez cały kolejny rok, bo tyle jeszcze miała trwać służba Blamada u kagana. A potem ludożerca zjadł swojego byłego pana.

Podczas odbytych podróży Ali zetknął się z wieloma wierzeniami, ale nic nie zatarło w nim wyniesionego z domu przekonania, że człowiek składa się z *gozu nama*, *kikinu say* i *nyama*, czyli z ciała, ducha i płynącej

we krwi energii życiowej. W chwili śmierci człowiek traci moc życia, oddaje mięso i kości na zmarnowanie, a ducha uwalnia z cielesnej powłoki. Wszystko jednak się zmienia, jeśli zostaje zjedzony. Wtedy wigor i ciało zmarłego wzmacniają krew ludojada, a *kikinu say* staje się duchem, który nawiedza swojego pożercę.

Sowa była małomówna, za to wredna, mściwa i pomysłowa. Chciała tylko jednego: śmierci Skalda, który był głównym sprawcą upadku Tirusa Wielkiego i własnoręcznie poderżnął konungowi gardło. Pragnęła nasycić się uciętą głową, wybebeszonymi trzewiami, zmiażdżonymi kośćmi i wycieczoną krwią. Przekazywała te obrazy prosto do głowy Czarnego Berserka, kręcąc ptasim łbem i wpatrując się w niego wielkimi oczami o czerwonych źrenicach z żółtą obwódką. Blamad domyślał się, a może nawet sam ptak mu ten domysł podsuwał, że wobec niego samego duch ma inne plany. *Hama* zamierzała go wpędzić w szaleństwo, a potem sprawić, by miłośnik prawdy złamał przysięgę braterstwa i zabił przyjaciela.

Zdarzały się chwile, gdy głos pojawiał się również na jawie i był tak natarczywy, że Ali gotów był mu ulec. Tak jak w noc otrucia Skalda, kiedy czarny wojownik siedział przy łóżku poety i bawił się nożykiem do rzeźbienia. Niewiele brakowało, by wstał i wbił ostrze w oko śpiącego. Na szczęście Vaering obudził się w porę i swoim beczelnym głosem odegnał sowie pohukiwanie. A potem jeszcze poprosił, by Blamad pomógł mu rozwikłać zagadkę tajemniczego zamachu na jego życie.

Berserk, jak co rano, wstał skoro świt, odganiając od siebie sny i wspomnienia. Rozłożył płaszcz na podłodze, uklęknął twarzą do okna i odśpiewał swoją wersję *salat as-subh*, czyli modlitwy porannej muhammadan, tyle że używał w niej słów jaszty – pieśni pochwalnej na cześć znanego w Indialandzie boga Wertragny. Nie robił tego z pobożności. Wierzył co prawda w istnienie bogów, ale powątpiewał w ich wpływ na człowieczy los. Stałe rytuały oraz powtarzanie zgrabnych, rytmicznych wersów pomagały mu się jednak uspokoić. A ostatnio po przebudzeniu często zdarzało mu się być rozdrażnionym.

Pomieszkiwał na poddaszu niewielkiego, acz schludnie prowadzonego

domu w dziesiątej dzielnicy nieopodal Mese, dokładnie między kościołkami świętego Polyuktosa i świętej Eufemii. Prowadziła go starsza wdówka, której płacono srebrnymi miliaresionami za wynajmowanie pokoi dla tych gości lub urzędników autokratora, którzy nie byli wystarczająco znamienici, by dostać kwatery w obrębie pałacu. Kobiecina skrupulatnie wywiązywała się ze swoich obowiązków, więc także tego poranka śniadanie czekało, gdy tylko Ali zszedł do jadalni.

Zjadłszy posiłek, udał się do pałacu. Robił tak od dwóch tygodni, od dnia, w którym Skald wraz ze swoimi Vaeringami odpłynął na wyspę Thereę. Jemu samemu kazano zostać, podobno na życzenie samego basileusa, urzeczzonego wiedzą o świecie czarnego podróżnika. W pałacowej pracowni miał pomagać skrybom w tworzeniu ksiąg opisujących północne i wschodnie kraje świata.

Przeszedł przez Chalke i minął stojących tam strażników. Tym razem byli to błękitni żołnierze ze Scholi, więc przepuścili go bez ociągania, życząc nawet miłego dnia. Inaczej sprawa wyglądała w dni, kiedy porządku pilnowała zielona gwardia Exkoubitoi. Jej żołnierze przetrzymywali go u bram, przepytывali, dokąd i po co się udaje, spoglądali spode łba, jakby im matka zarębał albo dzieci pożarł.

Spacer po lesie kolumn, łuków i kopuł zakończył się przy niewielkim budynku z czerwonej cegły. Zapach pergaminu, papirusu, papieru bagdadzkiego i atramentu dotarł do nozdrzy Alego, gdy tylko otworzył drzwi i przekroczył próg. Na parterze znajdowało się sporo ludzi, ale panowała cisza. Kopowano księgi, porządkowano pisma w skrzyniach i wydawano stosowne dokumenty urzędnikom. Znano tutaj wytatuowanego olbrzyma, więc nikt nie zwrócił uwagi, gdy drewnianymi schodami udał się na piętro.

Na górze panował większy gwar, chociaż przebywało tu znacznie mniej osób. Wszystko przez to, że w tych pomieszczeniach nie kopowano ksiąg, a je tworzone, co wykluczało milczenie. Już w rodzinnej wiosce uczono berserka, że świat został stworzony przez Słowo, które samo się wypowiedziało. Podobnie twierdzili wyznawcy Allaha i czciciele Eloaha,

tylę że według nich to jedyny Bóg wypowiedział pierwsze dźwięki, które powołały świat do życia. Dlatego cisza nie szła w parze z tworzeniem. Z tego właśnie powodu w skryptorium jedni tworzyli, mówiąc, a inni utrwalali zasłyszane słowa, zapisując je w księgach.

Finlog pozdrowił go uniesioną ręką i przywołał do siebie. Nazywany był przez miejscowych Bardem albo Mnichem, bo mówiono, że w młodości był kapłanem, a później stał się wędrownym pieśniarzem. Teraz odgrywał rolę mędrca i znawcy całej Północy, będąc jednym z tych, którzy dyktowali, a nie pisali. Temu drugiemu zadaniu trudno byłoby mu zresztą sprostać, bo u prawej dłoni brakowało mu trzech palców.

– Nad czym dzisiaj popracujemy? – zagadnął Czarny Berserk. – Znowu poprawki?

Przed nimi, na pulpicie, spoczywało *De Administrando Imperio*. Dzieło było już ukończone i przez ostatnie dni Finlog czytał mu je na głos, prosząc o uwagi, które jeden z niewolników zapisywał na papierze w celu późniejszego naniesienia na brzegi kart właściwego kodeksu.

– Nie. Pamiętasz, jak wczoraj czytałem ci o przeprawie Rusów do Carogrodu rzeką Danpar? Basileus był tak zachwycony twoją opowieścią o waszej podróży, że zapragnął dołożyć nowy rozdział do swojego dzieła. Mamy w podobny sposób opisać trasę przeprawy Vaeringów rzeką Itil. Potem sam autokrator zapozna się z pisemną wersją twojej opowieści i osobiście podyktuje nam ostateczną wersję rozdziału.

Przez pół dnia Ali opowiadał, Finlog dopytywał go o szczegóły, a niewolny skryba zapisywał.

– To mówisz, że Ainar Skald jest konungiem Północy? A tak dokładniej? Jakimi krajami włada? – zapytał Bard, po czym szczerze się roześmiał.

Blamad odpowiedział mu uśmiechem. Już pierwszego dnia ich wspólnej pracy Irskmad przyznał, że zna Ainara z dawnych czasów, nie chciał jednak wiele opowiadać o Skaldzie.

– Napiszcie, że jest konungiem ludzi, a nie ziemi, a panuje wszędzie tam, gdzie może sięgnąć zbrojną ręką.

– Nie. Basileus nie byłby z tego zadowolony. Napiszemy, że władca Noregiem. Podobno stamtąd pochodzi.

– Nie wiesz tego na pewno?

– Gdy poznałem go czternaście lat temu, był gościem w naszym klasztorze. Wtedy jawił się nam jako włóczęga. Sam wspomniał, że pochodzi z Noregu. Chwalił się też związkami z tamtejszymi władcami, dlatego nie można wykluczyć, że rzeczywiście wywodzi się z jakiegoś możnego rodu.

Skryba zapisał słowa podyktowane przez Finloga. Ostatnie litery były nieco wyblakłe, więc po skończeniu niewolnik udał się po nowy kałamarz.

– Musisz być jego dobrym przyjacielem – Ali ściszył głos, by nikt inny ich nie słyszał – skoro tak dbasz o Skalda. Nie powiedziałaś chyba autokratorowi, że pochodzenie Ainara budzi pewne wątpliwości?

Mnich spojrzał na gościa pobłaźliwie i poklepał go po ramieniu.

– Oczywiście, że jestem jego oddanym przyjacielem. Kiedyś uratowałem życie moim ukochanym. Dlatego w ogóle nie wspomniałem Zrodzonemu w Purpurze, że kiedyś znałem Ainara. Nie śmiałybym zniszczyć tak wspaniale zapowiadającego się przymierza, a ponad wszystko nie chciałem pozbawiać duszy poety szansy na zbawienie, jaką daje chrzest.

– A tak. Chrzest. To rzeczywiście był niezapomniany widok.

– Jeszcze długo będą o nim opowiadać.

Ali zwiedzał świątynię razem z wieloma innymi gapiami. Urzędnikom cesarskim podał się za wyznawcę Allaha, więc jego nikt nie zmuszał do kąpieli. Tutejsi mieszkańcy byli bardzo wyrozumiali wobec innych religii czy kultur, a z niechęcią patrzyli tylko na *al-magus*, których nazywali poganami. Obserwując przygotowania do obrzędu, podziwiał wnętrze Hagia Sophia, świątyni poświęconej Mądrości Bożej. Poeta szydził, że mędrcy powinni zakopywać skarby w ziemi, zamiast wystawiać je na widok chciwego ludu, ale Blamad doceniał grikklandzki pomysł na

wzbudzenie zachwytu u ciżby. Duchowni pokazywali, że Bóg jest potężny, a jego królestwo – tak ziemskie, jak niebieskie – obfituje we wszelkie bogactwa. Poza tym pieczę nad kosztownościami sprawowało powszechne w Grikklandzie przeświadczenie, że ukraść coś ze świątyni to tak, jakby samemu wbić gwóźdź w dłoń Krista. Marmury, mozaiki, złote świeczniki, wysadzone drogimi klejnotami krzyże i jedwabne obrusy były tu więc całkiem bezpieczne.

Sam chrzest miał się odbyć nie w świątyni, ale w budynku, który do niej przylegał i był jej pomniejszoną kopią. Czerwone *baptismatos oikos*, czyli baptysterium, wcale nie było małe, ale jednak niewielkie w porównaniu ze Świątynią Mądrości Bożej. Wyrastająca z czteroramiennej podstawy fasada chrzcielnej budowli miała osiem ścian i podtrzymywała okrągłą kopułę. Przed wejściem zgromadziły się załogi trzech vaerińskich statków. O wyznaczonym czasie żeglarze mieli dwunastkami wchodzić do środka. Więcej by się ich jednocześnie w baptysterium nie zmieściło, ponieważ wewnątrz przebywali już duchowni i przedstawiciele basileusa. Do wybrańców, którzy mogli z bliska przyglądać się niecodziennemu wydarzeniu, należał Ali, jako prawa ręka Skalda, oraz Finlog, jako zaufany człowiek autokratora i nauczyciel wyjaśniający poganom z Północy niejasności wiary w Krista. Pozostali ciekawscy, a można ich było liczyć w setkach, czekali w świątyni, gdzie nowo ochrzczeni mieli zjawić się po kąpieli.

Kiedy dzwon oznajmił początek obrzędów, Blamad przerwał zwiedzanie kościoła i zajął swoje miejsce w baptysterium, chowając plecy w półokrągłej wnęce jednej z ośmiu niewielkich apsyd. Pierwszy do grona kristmadów miał wstąpić Ainar, który jako władca winien dać przykład swoim ludziom.

Obrzęd był poprzedzony śpiewami i modlitwami, których Czarny Berserk nie miał ochoty wysłuchiwać. Wolał chłonać zapach kadzideł i balsamów oraz cieszyć oko nieszczęściem, jakie spotykało poetę. Konung Północy rozebrał się i stanął w baptysterium w samej bieliźnie, pokazując wszystkim szeroki i naznaczony bliznami tors. Nie był tym jednak speszony,

jakby uważał, że nawet półnagi jest wart więcej niż bogato odziani Grikmadowie. Główny kapłan, zwany tutaj patriarchą, zadawał mu pytania, tłumaczone później przez Finloga, a pieśniarz szydlerczo odpowiadał, nie próbując nawet udawać szczerości swojego nawrócenia. Od czasu do czasu dodawał też złośliwe komentarze w mowie Północy, które odnosiły się do wystrojonego patriarchy o imieniu Polyeuktos. Ten był bowiem eunuchem, i to najpewniej od czasów chłopięcych, gdyż na jego pomarszczonej starczej twarzy nie było śladu zarostu, a głos miał wyjątkowo piskliwy. „Nie dziw, że ich boga ukrzyżowali, skoro tak dawniej, jak dziś jego dobrego imienia bronią kapłani ze złamaną bronią!” – tak brzmiała jedna z mniej obrazoburczych zniewag konunga. Koniec końców pieśniarz oznajmił jednak przy świadkach, że wyrzeka się dawnego życia w grzechu i pragnie narodzić się na nowo jako dziecko Boga Jedyne. Zapytany, jakie imię chce nosić, oznajmił, że jest tylko jedno kristiańskie imię, które może pasować do jego sławy i wielkości. Konstantyn. Słyszając to, patriarcha o mało nie osunął się na posadzkę, ale uratowało go dwóch innych duchownych, którzy podtrzymali starca za ramiona. Kiedy doszedł do siebie, rozpoczął odmawianie modlitw i kreślenie znaków krzyża nad zbiornikiem z wodą.

Źródło chrzcielne, w języku Romejów zwane *fons babtismi*, tkwiło umieszczone na kamiennym podeście z dwoma schodami. Marmurowa sadzawka była długa na cztery kroki, szeroka na trzy, a wysoka na dwa. Miała kształt wydłużonego koła zwieńczonego z przodu i z tyłu czworobocznymi blokami, przez co przywodziła na myśl rybę. Zarówno przy głowie, jak i ogonie kamiennego zwierza znajdowały się trzy schodki, którymi od zewnątrz wchodziło się na górę. Pokonując tyle samo stopni, tylko że położonych wewnątrz zagłębienia, schodziło się do sadzawki. Na znak dany przez patriarchę Skald wszedł do niecki od strony głowy marmurowej ryby i przykucnął na dnie, zanurzając się w wodzie aż po szyję. „Zimna” – powiedział, a następnie zaczął szorować sobie pachy, nie zważając na wypowiedane chłopięcym głosem modlitwy głównego kapłana i okrzyki oburzenia innych duchownych. Mycie przerwał mu sam patriarcha, który podszedł do chrzcielnicy, położył pieśniarzowi dłonie na

głowie i próbował ją zanurzyć. To nie spodobało się Östmadowi. Chwycił za przegub dłoni starca, a następnie wstał, wykręcił trzymaną rękę i pociągnął do siebie. Odziany w pozłacany płaszcz patriarcha fiknął koziółka i z pluskiem wpadł do sadzawki, gubiąc po drodze okrągłą czapkę przypominającą koronę basileusa. Przerażeni duchowni rzucili się na pomoc swojemu zwierzchnikowi, a Ali roześmiał się w głos, zauważając przy okazji, że nawet poważny dotychczas Finlog pozwolił sobie na przelotny uśmiech.

Kaszląc i dławiąc się poświęconą wodą, patriarcha zdołał wyjść z chrzcielnicy, a inni kapłani wyłowili czapę, symbol sprawowanej przez niego godności. W ogromnym zamieszaniu udało się w końcu wyjaśnić Skaldowi, że całkowite zanurzenie w wodzie – i to potrójne – nie miało na celu utopienia go, ale było częścią chrzcielnego obrządku. By uniknąć dalszych nieporozumień i mając na uwadze, że podobną ceremonię trzeba było jeszcze przeprowadzić na pozostałych Vaeringach, zgodzono się, by zamiast nurkowania zastosować polewanie wodą. Zły, mokry i upokorzony patriarcha wylał więc trzy złote misy wody na głowę poety, a ten skorzystał z okazji i umył sobie włosy. Duchowny, nie zwracając już uwagi na lekceważące zachowanie pieśniarza, nakreślił mu na czole znak krzyża.

Po kąpieli Ainar wyszedł z sadzawki, wytarł się wręczoną mu tkaniną i przywdział biały płaszcz, który miał symbolizować jego narodziny w nowej wierze. Następnie stanął u boku Alego, bo choć zwyczaj nakazywał, by od razu udał się do świątyni, jednak organizatorzy uroczystości woleli, by został w baptysterium i dopilnował chrztu swoich ludzi.

– Dziwne czucie ja mieć! – powiedział wódz przybyszy z Północy w swoim nieudolnym grikklandzkim. – Chyba jakiś duch muska moje plecy.

Patriarcha popatrzył na niego zaskoczony, jakby na chwilę odzyskał wiarę w prawdziwość nawrócenia poganina, ale ów płomień nadziei został natychmiast zdmuchnięty ustami Ainara:

– Zamknąć okno, bo jakiś troll dmie tu wiatrem.

Okien było osiem, po każdym na jednej ścianie budynku, i jedno z nich

rzeczywiście było uchylone. Nikt nie pokwapił się, by spełnić prośbę bezczelnego neofity.

Kolejni Vaeringowie też nie okazywali powagi wobec uświęconego przez wieki obyczaju, tym bardziej że chrzczono ich szóstkami. Śmiali się, żartowali, podmywali, puszczała bąki w chrzcielnicy, pili wodę, smarkali do niecki. W efekcie kolejni wykazywali coraz większe opory przed kąpielą w zabrudzonej przez poprzedników wodzie. Resztki dostojności święta zostały zachowane tylko dlatego, że ani mury dostojnej budowli, ani większość zgromadzonych nie rozumiała wyzwisk i pokrzykiwań wojowników, takich jak: „Po Olafie nie chcę. On myje się tylko na Yule” lub „A kiedy wpadną dziewczyny?”. Nikt nie pytał o imiona, jakie wybierają sobie wojownicy – kapłani zdawali się w tej kwestii na pomysłowość Finloga. Najwyraźniej ta nie była zbyt wielka, bo Vaeringów chrzczono na zmianę Anastazym, Cyrusem, Janem i Teodorem. Wszyscy, ze Skaldem na czele, otrzymali też wspólnego ojca chrzestnego – Finloga Barda.

Prawdziwe zniesmaczenie Grikkmadowie poczuli jednak dopiero wtedy, gdy zjawili się hamramirzy.

Ali nie mógł pojąć, w jaki sposób poeta przekonał ich do wzięcia udziału w obrzędzie, było bowiem nie do pomyślenia, by bestialscy wojownicy mogli świadomie wyrzec się swojego szalonego boga Göllnira albo jego zmieniającego kształt brata Arnhöfdiego. Piątka hamramirów nie raczyła się rozebrać, a że nikt nie ośmielił się ich o to poprosić, podeszli do sanktuarium odrodzenia w ubraniu. Najodważniejszy był Urrhedin, Tur w ciele człowieka, który najpierw zanurzył łeb w wodzie i napił się jej, a następnie wskoczył z pluskiem do niecki, nie korzystając ze schodów. Berhedin przed kąpielą wytarł się plecami o ścianę, a Ulfhedin wylizał sobie dłonie, po czym z mrukiem i powarkiwaniem wszedł do sadzawki. Svinhedin, który ze wszystkich szalonych wojowników był najbrudniejszy, przed wstąpieniem do chrzcielnicy wrzucił do niej dwie garście ziemi, jakby zawartość niecki jeszcze nie dość przypominała bajoro dla świń. Najdłużej ociągał się Gaupahedin. Ryś najpierw zanurzył dłoń w wodzie,

a następnie wzdrygnął się z obrzydzenia i wyprężył grzbiet niczym kot. Do towarzyszy dołączył dopiero wtedy, gdy Berhedin groźnym pomrukiem przywołał go do porządku.

Nikt ze zgromadzonych nie miał wątpliwości, że chrzest był tylko symbolicznym obmyciem ciała z występków. O rzeczywistym pozbyciu się brudu nie mogło być mowy w wodzie, z której skorzystała ponad setka Vaeringów. Mimo to po zakończeniu obrzędu żeglarze prezentowali się dosyć schludnie, przyodziali się bowiem w białe chitony, a światło wpadające przez osiem okien sprawiało wrażenie, jakby rzeczywiście Bóg czy inna niebiańska istota zesłała im łaskę duchowego nieskalania. Gdy wszyscy snekkjamadowie byli już obmyci, na czele z Ainarem Konstantynem Skaldem ruszyli do świątyni Hagia Sophia, gdzie Grikkmadowie mieli śpiewem i modlitwą przyjąć ich do wspólnoty wierzących.

– Ludzie mówią, że z ołtarza baptysterium znikły złote świeczniki, a w czapce patriarchy, która wpadła do wody, brakuje teraz czterech szafirów – powtórzył plotki Finlog.

Blamad nie dostrzegł żadnej kradzieży, choć znał przecież doskonale vaerińską chciwość. Wiedział też, jak zręczne palce mają żeglarze. Pod szerokimi tunikami można było schować niejedną świecznik, choć jeszcze więcej mogło się ich zmieścić w wyobraźni gapiów ubarwiających tę historię. Machnął więc tylko ręką, dając do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać.

– Lepiej powiedz mi coś więcej o młodości Skalda. Wieczorem owego dnia, gdy zobaczyliście się w Magnaurze, długo i rzewnie ze sobą rozmawialiście. Pewnie mieliście co wspominać.

– Stare dzieje, do których nie mam ochoty wracać. Ale jedno rzeczywiście mnie zastanawia. Wydaje się, że Ainar odnalazł na wschodzie źródło młodości, które zasila wody przepływających przez raj rzek Pizon, Gichon, Chiddekel i Peret, gdyż nie postarzał się nawet o dzień przez te

czternaście lat. Nadal wygląda, jakby był w połowie trzeciej dziesiątki życia, a przecież tyle lub niewiele mniej musiał mieć, gdy poznałem go na Wyspie Irów. Ja na ten przykład jestem od niego przynajmniej pięć lat młodszy, a moje włosy albo są przyprószone siwizną, albo powypadały, tworząc tonsurę świętego Columbana. – Bard pogładził się po łysinie, która ciągnęła się przez cały przód głowy i wyglądała niedorzecznie w zestawieniu z przydługawymi włosami z tyłu.

Blamad przeliczył podane liczby i mocno się zdziwił. Mnich chyba opowiadał głupoty, bo według jego słów Ainar musiałby mieć dzisiaj ze trzydzieści osiem czy dziewięć wiosen na karku, co oznaczało, że byłby starszy od Alego o siedem lat. Uwaga czarnego wojownika została jednak szybko oderwana od liczb, bo ze skrzyni z kodeksami wyleciała biała sowa i przysiadła na głowie Barda.

– Zabij go, zabij go, zabij go! – zahuczało ptaszysko.

– Cicho! – warknął berserk.

Finlog spojrział na niego ze zdziwieniem, ale zauważył wracającego z nowym kałamarzem eunucha, mrugnął więc porozumiewawczo w stronę Blamada, zapewne dając znak, że na ten temat powinni rozmawiać z dala od obcych uszu.

Powrócili do pracy. Ali opowiadał, Irskmad układał to w ładne słowa, a skryba zapisywał.

– Zjedz Skalda, zjedz Skalda, zjedz Skalda – nie dawała za wygraną sowa.

Czarny Berserk zamknął oczy, ale to nie powstrzymało pohukiwań.

– Zapytaj, zapytaj, zapytaj.

Czuł rosnące rozdrażnienie. Żelaznoboki odyniec złościł racicami bruzdy w jego mózgu i kwicząc, nakazywał słuchać ptasiej hamy. Szaleństwo zawsze przyciąga szaleństwo. Blamad dobrze wiedział, czego ptak chce. Aby Ali wypytał o przeszłość Skalda, znalazł jego słabości, a potem je wykorzystał. Wzdrygnął się i niechcący, a może wręcz przeciwnie, przewrócił kałamarz na posadzkę. Drewniane naczynie ocalało, ale jego

zawartość rozlała się po kamieniach. Czarna maź nazywana przez Finloga *atramentum libarium* utworzyła kleistą sadzawkę, która przyciągnęła uwagę wszystkich pracowników skryptorium. Eunuch, który zapisywał opowieść, wznosił ręce, jakby skarżył się Bogu na konieczność pracy z niezdarą. Mężczyzna bez brody nie miał jednak innego wyjścia, jak udać się po szmatę i wiadro z wodą.

– Wystarczy tych tajemnic – powiedział berserk, gdy został sam na sam z Bardem. – Wiem, że Ainar coś ukrywa. Pieśniarz chce uchodzić za lekkoducha, który lekceważy wszelkie przeciwności losu, ale niewiele może się ukryć przed moimi czarnymi oczami. Pieśniarz źle sypia. Nocami nie oddala się od ludzi i ogniska, jakby bał się ciemności, a rano budzi się zmęczony niczym ktoś dręczony przez koszmary. Ciągnęło go do Miklagardu jak chichoczącego psa do padliny i ani przez chwilę nie wierzyłem, że przybył tu tylko dla złota. Coś go trapi. Coś z przeszłości. A na dodatek ty zjawiasz się przed jego obliczem, kłócisz się z nim, po czym nabierasz wody w usta i udajesz, że to twój najlepszy przyjaciel. On nie ma przyjaciół. Tylko ja jestem na tyle szalony, by nazywać się jego bratem krwi.

– Nie jest tak, że chcę coś zataić... – Finlog się zawahał. – Chodzi o to, że sam Ainar zażądał, bym o nim nie opowiadał. Możesz mi też wierzyć lub nie, ale poeta ma we mnie przyjaciela, nawet jeśli ja nie mogę liczyć na to samo z jego strony.

– Nieufność, jaką Skald darzy innych, jest równie sławna, jak jego pieśniarskie umiejętności. Ale dla dobra naszych przyjaciół czasem robimy rzeczy, które im się nie podobają. Ainar prosił mnie... – Czarny Berserk uśmiechnął się do sowy, słysząc swój dobór słów. Prośba nie przeszłaby przez zakłamanie gardło poety, który umiał tylko żądać. Ptak zrozumiał uśmiech i zahuczał: „uduś go, uduś go, uduś go” – ...bym pomógł złapać mordercę, który usiłuje go zgładzić. A ja mam przeczucie, że powodu zamachu należy szukać w przeszłości konunga Vaeringów.

Trzebieniec wrócił z zestawem do czyszczenia i pokazał, że jego dłonie nadają się nie tylko do pióra. Finlog spuścił wzrok i milczał, zapewne

przemysłiwując odpowiedź. Dla uspokojenia nerwów Ali przypatrzył się mozaice na północnej ścianie skryptorium. Przedstawiała młodego Grikmada o kędzierzawych włosach, w złotym wieńcu i czerwonej tunice, który trzymał rozłożoną księgę.

Kiedy posadzka świeciła już marmurem, rzeźniczek poszedł odnieść wiadro i przynieść nowy kałamarz.

– Platon pisał, że Ziemia jest kulą, a przebywając w tym mieście kopułę, zaiste można się przekonać, że jest to najdoskonalsza figura geometryczna. Tak jak lato odchodzi, by stać się zimą, a mroźne miesiące ustępują miejsca gorącym tygodniom, tak wszystko w naturze zatacza krąg. Gdy poznałem Skalda, też ciągnęli za nim ludzie, którzy chcieli go zabić. Widać to u niego codzienność. Z tamtych czasów pamiętam jedną osobę, która chciała jego śmierci. Tyle że ona nie może być odpowiedzialna za ostatni zamach na Ainara.

– O tym zadecydujemy później. Najpierw opowiedz mi o tym człowieku.

Mnich wzruszył ramionami i zerknął na swoją okaleczoną dłoń, jakby wspomnienia dawnych wydarzeń przypomniały mu o ranie. Czyżby pamiątka po poecie – pomyślał Ali. A może sowa zahuczała mu te słowa do ucha?

– Jego imię nic ci nie powie. To Diarf Nawlekacz.

– A czym mu pieśniarz zawinił?

– Niczym. Diarf to tylko łotr zwabiony wysoką nagrodą za głowę Skalda. Bo widzisz, nasz przyjaciel jest znaną osobą na Północy, tyle że niekoniecznie z rzeczy dobrych i chwalebnych. Nazywają go nawet „banitą Północy”, bo niemal w każdym tamtejszym kraju wyjęto go spod prawa za morderstwa i grabieże. Szczególnie nienawidzą go jednak na Wyspie Irów. Czternaście lat temu zabił tam pewnego podłego opata.

Bard zamilkł i uczynił znak krzyża. Powiedział coś w mowie, której Ali nie znał, domyślił się jednak, że był to język używany na Wyspie Irów.

– Martwi się nie mszczą – pocieszył uczonego, ale sam siebie zapytał, czy aby na pewno, na co sowa z twarzą Tirusa Wielkiego odpowiedziała:

„zarźnij go, zarźnij go, zarźnij go”.

– Tak, ale ten opat pochodził ze słynnego rodu Ui Neill, co znaczy, że był spokrewniony z wieloma władcami Irów. I ci królowie obiecali zapłacić złotem za głowę pieśniarza. Mówiąc dokładniej: kulą złota o wadze równej ciężarowi jego pyszałkowatego łba. Do zadania zgłosił się oczywiście dreng z Północy, bo nie ma na świecie ludzi bardziej chciwych niż Vaeringowie.

– Zabił, ukradł, uciekł. Opowieść jego życia – burknął wytatuowany wojownik.

Mnich westchnął i pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Ale w gruncie rzeczy to dobry człowiek.

– Ta. Z pewnością dla siebie. Ale dlaczego mówisz, że to nie ten Diarf próbował go otruć?

– Bo nie ma go w Miklagardzie.

– Skąd ta pewność? To duże miasto.

– Zgadza się. Diarf nawet tu przypłynął po tym, jak usłyszał, że Ainar udał się na wschód, bo spodziewał się, że wcześniej czy później pieśniarza zwabią bogactwa Miasta. Tyle że zjawił się tu wiosną, a kiedy nie znalazł poety, zaciągnął się na służbę u basileusa i jeszcze przed nastaniem lata został wysłany do pilnowania wyspy Thery. Tak – potwierdził Finlog, widząc minę Alego – tej samej wyspy, na którą udał się Skald. I właśnie przed Nawlekaczem ostrzegałem karmiciela kruków podczas naszej ostatniej rozmowy.

6

Ainar wierzył, że świat powstał z krzyków Göllnira, boskiego skalda, którego wrzeszcząca pieśń miała moc sprawczą. Na Północy żyli jednak sagnamadowie, którzy opowiadali tę historię inaczej. Mawiali, że jak garncarz potrzebuje gliny do pracy, tak bóg potrzebował materiału do

tworzenia. Bitewny Krzyk zwrócił więc swoje wszechwidzące oko na olbrzyma Aurgelmira, który nie był ani mężczyzną, ani kobietą, a mimo to zapoczątkował ród lodowych olbrzymów. Z pomocą swoich braci Göllnir zabił starca, zaciągnął jego cielsko na środek Ginnungagapu, jak zwano odwieczną pustkę, zanurzył dłonie we wnętrznościach wielkoluda i zaczął lepić świat. Z juchy uczynił morza i wody, z ciała ziemię i lądy, a z kości góry. Zęby rozrzucił, czyniąc z nich kamienie, a czaszkę podrzucił, nakazując jej tkwić w górze jako sklepienie nieba. Włosy wyrwał i zdmuchnął z dłoni, a kłaki rozprzestrzeniły się po świecie, stając się drzewami. Mózg rozgniółł uderzeniem pięści, przeżuł go, a następnie wypluł w górę i z tej papki ukształtował chmury. Na koniec zatrzymał sobie brwi olbrzyma i umieścił je w pustce, która wtedy pustką być przestała, bo stała się Midgardem – światem ludzi.

Skald zatańczył brwiami. Jeśli w tej opowieści kryła się prawda, to wyrastająca z morza skalista wyspa Thera musiała być knykciem, chrząstką albo kostką ze stopy pradawnego olbrzyma. Dotarcie na nią zajęło im dwa tygodnie. Nie z powodu odległości – choć mała nie była – ale trudności w żeglowaniu. Vaeringowie nie znali tych wód, a nieustannie musieli mijać wysepki, mielizny, cieśniny, przewężenia, uważać na pływy, rwące prądy i wiry oraz unikać miejsc nawiedzonych przez grikklandzkie potwory takie jak Skylla czy seireiny, a na dodatek trzymać się z daleka od tych morskich odmętów, którymi władała *hafgufa*. Ainar słyszał o tym potworze już na Lodowej Wyspie. Według zapewnień tamtejszych żeglarzy na świecie żyją tylko dwa takie stworzenia: jedno na Północy, a drugie na Południu. Islendingowie powiadają, że jest to potwór wielki niczym wyspa, a kiedy chce się najeść, otwiera usta i czka. Rybom ten dźwięk przypomina odgłos wydawany przez obżartucha po uczcie, wabione więc obietnicą wspaniałej stawy wpływają do paszczy wielkiej niczym fiord. A wtedy *hafgufa* zamyka usta i tym jednym kłapnięciem najada się na kilka miesięcy.

Snekkjamadowie z załóg Skalda wiedzieli o Skylli, seireinach i innych niebezpieczeństwach, ponieważ na każdym ich statku znajdował się grikklandzki przewodnik. Bez nich nie tylko nie trafiliby na właściwą

wyspę, ale ich długie łodzie niechybnie dołączyłyby do tysięcy leżących na dnie morza statków. Większość owych zatopionych jednostek przegrało walkę z żywiołem z powodu swojej lichy – w porównaniu z vaerińskimi okrętami – budowy, ale nie znaczyło to, że ktokolwiek spośród snekkjamadów ośmieliłby się lekceważyć tutejszą pogodę. Prawdą jest, że fale i wiatry na grikklandzkich wodach były tylko niewinnymi igraszkami w zestawieniu ze sztormami i prądami Północy, lecz każdy rozsądny żeglarz miał w sobie pokorę wobec nieznanego mórz. Drengowie słuchali więc przewodników, nawet jeśli otwarcie nimi pogardzali. Przykład szedł zresztą z góry, bo i sam konung musiał być posłuszny jednemu Romejowi.

Ainar znienawidził Gyrgira od pierwszego wejrzenia, a od drugiego miał ochotę go zabić. Narzucony mu zwierzchnik był trzebieńcem, choć zupełnie innym od chłopięcego i wesołego Slavomirusa. Gyrgir miał wszystkie typowe cechy rzezańca – długie kończyny, piskliwy głos, brak zarostu oraz zapach piżma i oleju – ale był też gruby, a młodzieńczą delikatność rysów jego twarzy psuła starcza troska, odmalowana w zmarszczkach i plamach na skórze. Eunuch okazał się wyniosłym, władcym człowiekiem, który nie miał w sobie nic z niewolniczej usłużności wcześniej poznanych trzebieńców, na dodatek był bogaty jak konung. Najgorsze jednak, że autokrator osobiście mianował go dowódcą wyprawy i bezpośrednim zwierzchnikiem Ainara. Nie licząc kształtnych dziewczyn, pieśniarz nie cierpiał mieć nad sobą kogokolwiek. Próbował to wyjaśnić basileusowi, ale po chrzcie i zawarciu przymierza musiał zachować choćby pozory uległości. Zresztą i tak płynęli na wojnę, a podczas bitwy morskiej nawet dowódca może wypaść za burzę.

– Do południa powinniśmy być w porcie – oznajmił Gyrgir w mowie Vaeringów, gdy dopłynęli do wybrzeży Thery. Znaleźli się po wschodniej stronie wyspy, ponieważ wedle zapewnień przewodników od zachodu nie było żadnej dogodnej przystani, a morze uderzało o wysokie skalne ściany.

– Znakomicie. W takim razie dobijamy do plaży.

Grikklandzki dowódca, którego rodacy określali mianem topoteretes, zerknął lekceważąco na Skalda i najwyraźniej doszedł do wniosku, że

przez swoje braki językowe nie został dobrze zrozumiany, gdyż powtórzył:

– Jeszcze ćwierć dnia i będziemy na miejscu.

– Saekonung może mieć rację – wtrącił Magnolf Krwawa Siekiera. Najemnik miał wielkie poważanie wśród snekkjamadów, dlatego dowodził dziewięcioma okrętami, które nie zdołały wpłynąć do Miklagardu. Przez większą część podróży płynął na swoim własnym statku – „Bitewnym Żurawiu” – ale gdy zobaczono ląd, wsiadł do małej łódki i dobił do burty „Niegrzecznego Niedźwiadka”, by naradzić się z Ainarem i Gyrgirem. – Nasza wizyta może być równocześnie próbą obronności Emporionu. Wiemy, że służący tam Vaeringowie zabezpieczyli port, ale warto byłoby sprawdzić, jak poradzą sobie z armią nadchodzącą od strony lądu.

Eunuch zaszczycił Magnolfa wyniosłym spojrzeniem, ale w końcu niechętnie przytaknął. Poeta z zadowoleniem uniósł lewą brew. Dzięki Krwawej Siekierce nie musiał już zdradzać powodów swojej decyzji. Od Finloga wiedział, że dowódca tutejszych najemników chce jego śmierci, dlatego należało się spodziewać zasadzki. Nadejściem od strony lądu chciał zaskoczyć Diarfa Nawlekacza.

Na „Niegrzecznym Niedźwiadku” opuszczono żagiel. Dla pozostałych jednostek był to znak, że należy na wiosłach skierować się ku brzegowi. Płynący na samym przedzie Skald nie widział wszystkich okrętów, ale każdy sternik miał utrzymywać kontakt wzrokowy przynajmniej z trzema najbliższymi snekkjami. W ten sposób flota nie rozproszyła się podczas podróży.

Sprawnie dobili do brzegu. Mieli to dobrze przećwiczone, bo niektóre noce spędzali na wskazanych przez topoteretesa wyspach, gdzie uzupełniali zapasy. Dodatkowo w wybranym przez nich miejscu piaszczysto-żwirowa plaża łagodnie wylaniała się z morza, dzięki czemu statki niemal dosłownie wkroczyły wiosłami na brzeg. Snekkje o niskich dębowych burtach należało jednak wciągnąć dalej w głąb lądu, jeśli nie miał ich ukraść jutrzejszy przypływ. Żeglarze chwycili więc za grube liny wykonane z foczej i wielorybiej skóry, przywiązali je do burt i zaczęli ciągnąć. Dębowe kile i deski poszycia przyjemnie zaszurały o podłoże, żłobiąc

w piasku ślady jak po przejściu olbrzymiego żółwia lub węża z pomiotu Jörmunganda. Fale ponętne szumiały i niemrawo goniły swoich drewnianych kochanków, z którymi pieściły się w czasie pogody i kłóciły podczas sztormów. Słońce na bezchmurnym niebie przyjemnie grzało karki snekkjamadów, a lekki wiaterek nie pozwalał się nawet spociec.

Skald oglądał pracę swoich ludzi, stojąc w cieniu rozłożystego, starego i niezwykle poskręcane drzewa, które Grikkmadowie nazywali drzewem oliwnym. Pomyślał, że Thera była wyspą biedną, ale i bogatą zarazem, bo obfitowała w powszechnie tu dostępny święty spokój. W takim miejscu miało się ochotę zapomnieć o wszystkich zaszczytach i skarbach, sięść wygodnie z dzbanem wina, po czym upijać się zarówno pięknem otoczenia, jak i trunkiem – aż do kończącego świat Ragnaröku. Do pełni szczęścia brakowało tylko kobiet, albo choćby jednej, na przykład takiej Kallirroe. Ainar – uważający się za świetnego haga, czyli rzemieślnika biegłego nie tylko w słowach, ale i w rękodzielnach – wyciągnął zawieszony na szyi nożyk, sięgnął po schowane w sakiewce drewnienko i zaczął rzeźbić. Zanurzył się w marzeniach o Kallirroe, dziwując się, że są tak przyjemne i uspokajające. Kallirroe Wszechstronna nie była zwyczajną dziewczyną...

Po wizycie u gardskonunga Ainar stał się sławny w całym mieście. Wszyscy o nim mówili, a nawet zagadywali go przy różnych okazjach, chcąc osobiście poznać nowego sojusznika basileusa, słynnego konunga Vaeringów. Dopytywano się, gdzie dokładnie leżą jego ziemie, jak wielki jest jego kraj i iloma ludźmi włada, a on wszystko wyolbrzymiał i zachwycał rozmówców słowami, bo czuł, iż tego od niego oczekiwano. Przywdział też podarowany skaramangion i przechadzał się po całym Miklagardzie, pyszniąc się bogatym strojem. A że był wyższy, przystojniejszy i mężniejszy od Grikkmadów, kobiety same do niego lgnęły. Córki uciekały ojcom, matki porzucały dzieci, a żony wymykały się z małżeńskiego łóża. Wszystkie spieszyły na pierwsze piętro pandokeionu o nazwie „Słodkie Winogrona”, gdzie nadal swoją siedzibę miał Ainar

Skald. A poeta przebierał, dobierał i brał takie, które mu się podobały i tyle razy, na ile pozwalała mu chcica. Hojnie karmił ptaszyny, choć tym razem nie kruki, ale młode, piękne i wdzięcznie śpiewające sikoreczki.

Błogie chwile nie trwały jednak długo, gdyż właściciele dziewczetek poczuli się zagrożeni i poskarżyli się w pałacu na konunga uwodzicieli, jak zaczęto w Byzantionie nazywać pieśniarza. Gardskonung, albo tylko jeden z pałacowych urzędników, musiał więc działać, a że pałac słynął z dworności i dobrych obyczajów, podesłano Ainarowi eunucha, by pokazał mu inne wspaniałości miasta, mniej widoczne dla pielgrzymów i obcych. Trzebieniec zaczął go oprowadzać po mastropeionach. Przeciętny *mastropeion* był solidnym budynkiem, w którym mężczyzna mógł zaznać płatnej miłości. Na Północy dziewczyny z lubieżną słabością do rozkładania nóg zwano córkami Gefny, a tutaj – dziewczeczkami Afrodyty lub pornaskami. Oczywiście Skald wcale nie palił się do tego, by płacić za rzeczy, które zwykł mieć za darmo, ale i w tej sprawie urzędnicy basileusa okazali się przewidujący. By zachęcić poetę do korzystania z usług kobiet upadłych, choć przywykłych do wznoszenia, nakazali eunuchowi płacić za wszelką gościnność i uprzejmość, jaką pornaski okażą konungowi Vaeringów. Rzeźbiarz dał więc za wygraną i zamiast uczyć Grikklandki łózkowej biegłości, sam oddał się w ręce dziewczyn, które nauk nie potrzebowały.

Po raz pierwszy usłyszał o Kallirroo po chrzcie. Duchowni powiedzieli wtedy, że dawne występki zostały mu przebaczone, a on oznajmił, że w takim razie rychło bierze się do popełniania nowych. Noc po świętej kąpeli spędził w mastropeionie „Trzy Siostrzyczki”, którego nazwa pochodziła od głównej atrakcji przybytku: rudych trojaczek. Poeta miał nadzieję, że jak nie pierwsza czy druga, to przynajmniej trzecia z nich pozwoli mu zapomnieć o narzekaniu najemników, których zmusił do chrztu. Udało się już drugiej, ale wtedy w ucho wpadła mu piosenka śpiewana przez jakiegoś pijaka. Jej słowa były tak natarczywe, że musiał – rzecz niebywała – poprosić rudą siostrzyczkę o chwilę przerwy, zejść na dół, odnaleźć pijaka, zdzielić go po mordzie, zaprowadzić do eunucha i nakazać

rzezańcowi przetłumaczenie pieśni. Trzebieniec nie był poetą i nie umiał ułożyć słów w ładne i rytmiczne *flokkr* – stadko wersów, ale potrafił oddać ich sens w mowie Północy:

Kallirroe Wszechstronna
rozdaje sprzedajne wdzięki
w słonecznym Byzantionie,
w raju lubieżnym,
o którym nikt nie wie,
przy której mieści się ulicy.

Tomasza pobudzonego miłością
stopniało jak z wosku serce,
bo pożądanie nosił w duszy
i odnaleźć chciał Kallirroe,
której wszechstronność w miłości
ze wszech stron była znana.

Skald wrócił do rudego dziewczęcia, a potem przeszedł do ostatniej z sióstr, ale myśl o Kallirroe nie przestawała go nachodzić. Zapytał rzecz jasna pijaka, a potem trzebieńca, kim jest ta tajemnicza kobieta, ale obaj udzielili mu wymijającej odpowiedzi. Twierdzili, że to tylko biesiadna opowieść, wabik na gości tutejszych mastropeionów, takie złoto króla Salomona, co do którego istnienia nikt nie ma pewności. Ainar nalegał, by powiedzieli mu więcej, więc podzielili się z nim historią o pornasce tak pięknej i tak biegłej w miłości, że zdobyła sobie w Byzantionie władzę niemal równą autokratorowi. Swoimi udami potrafiła bowiem zmusić każdego mężczyznę do uległości, a jak kto raz zaznał miodu z jej źródła, nie cieszyły go już później cielesne igraszki z innymi kobietami. Powiadano, że dzięki swoim zdolnościom Kallirroe stała się tak bogata, że sama wybierała sobie kochanków – i to nie dla monet, ale dla własnej

przyjemności. Opowieść o słynnej dziewczeczce Afrodyty krążyła po mieście od dziesięcioleci, a jej początek miał sięgać wspomnianego w piosence Tomasza, któremu serce pękło podczas cieszenia się wdziękami tej bogini miłości.

„Nigdy jej nie znajdziesz” – mówili poecie właściciele domów uciech, gdy pytał o Kallirro. Początkowo wprost wyśmiewano się z Vaeringa, który jej szukał niczym bohater pijackich przyśpiewek. Gdy jednak obił kilku ludzi, podśmiewano się już tylko ukradkiem, ale nadal nie potrafiło mu wskazać drogi do ud pornaski. Słowa „Nie możesz jej mieć” działały na Skalda jak krew na myśliwskiego ogara. Szukał więc dalej i spotkał nawet kilku stałych bywalców mastropeionów, którzy zarzekali się, że kiedyś odwiedziła ich słynna dziewczeczka Afrodyty, ale to ona sama ich odnalazła. Mówili też, że ostatnio nikt jej nie widział w przybytkach uciech, bo za kochanków upodobała sobie synów możnych rodów, którzy za jej miłość płacili klejnotami, złotymi pierścieniami i jedwabnymi sukniemi.

Konunga kłopotliwego nie bez powodu nazywano w młodości upartym i krnąbrnym szczeniakiem. Szukał dalej, a były to przyjemne wyprawy w pulchne piersi i kształtne pośladki, wędrówki po nieznanach górach i tajemniczych dolinach, kąpiele w gorących źródłach i spacerunki po ciemnych, jasnych i rudych łąkach. Poszukiwań uciech doskonałych nie zwieńczyło jednak zwycięstwo, bo tydzień po chrzcie statki były już gotowe do wypłynięcia i Ainar musiał opuścić miasto.

Saekonung jeszcze raz spojrział na urokliwą plażę, czerwone skały, drzewa oliwne i wyciągane na brzeg statki. Przeczynał, że panujący tu spokój nie potrwa długo. Na wyspę przybyli Vaeringowie, którzy marzyli o zaświatach pełnych walk, gwałtu i pijaństwa. Wojownicy, którzy do tych zaświatów chcieli upodobnić każdą krainę, w jakiej przebywali.

– Wysłali nas do takiej dziury. – Magnolf z niedowierzaniem pokręcił głową i dosiadł się do pieśniarza. – Obiecałeś nam łupy, a tu nie znajdziemy nawet kobiet do gwałcenia.

Ainar spodziewał się, co teraz nastąpi. Kolejna porcja narzekań. Vaering z Gautlandu był olbrzymim drengiem, nawet jak na człowieka Północy, a na policzkach miał wytatuowane dwie siekiery skierowane ostrzami w kierunku nosa. Wszyscy wiedzieli, że choć przy ludziach zawsze wspierał Skalda, w rzeczywistości był przywódcą niezadowolonych. A tych przybywało po ostatnich decyzjach wodza. „Mieliśmy grabić Miklagard, a nie służyć jego władcy” – mówili ośmieleni piwem, czasem do poety, a niekiedy za jego plecami. „Po co nam konung bez ziemi, który zabrania grabić” – szeptali co bezczelniejsi. Znaczna ich część miała nadzieję na szybkie wzbogacenie się w Miklagardzie i powrót na zimę do swoich kobiet w Gardariki, Glaesirze czy Noregu. Tymczasem okazało się, że będą musieli przezimować na Południu i spędzić tu kolejne lato. Na szczęście nie brakowało też rozsądnych, do których trafiały słowa pieśniarza. Powtórzył je więc po raz kolejny:

– *Roga*, którą dostajemy, jest większa niż bogactwo, jakie zdobylibyście na wyprawie. A grabić i tak będziemy, tyle że nie basileusa, ale jego równie bogatych wrogów.

– Może i tak. Ale dopiero w przyszłym roku. Co będziemy tu robić przez całą zimę? Mamy bronić piasku i skał?

To właśnie był ich główny problem. Na razie mieli się tylko usadowić na wyspie, bo z racji zbliżającej się pory sztormowej jakiegokolwiek wyprawy staną się wkrótce niemożliwe.

– Thera jest ważna dla grikklandzkiego handlu. W tutejszych portach zatrzymuje się wiele bogatych kupców. Na razie zadbamy, by serklandzkie galeidy nie zakłócały tego szlaku. A latem przejdziemy do właściwej obrony. Takiej, jaką znamy na Północy. Poprzez atak.

Już w Miklagardzie pieśniarz zorientował się, na czym dokładnie ma polegać ich zadanie. Podczas audiencji w Magnaurze mówiono o „obronie wyspy”, ale to było tylko czcze gadanie, które łechtало obłudne grikklandzkie umiłowanie pokoju. Prawda, że serklandzcy najeźdźcy byli utrapieniem dla tutejszego handlu i nadmorskich osiedli, ale ochrony wymagało raczej wybrzeże Grikklandu, a nie skalista wysepka, którą

zamieszkiwało ledwie dwa razy więcej ludzi niż liczyła armia Vaeringów. Thera była jednak wyspą najbliższą położoną siedzib serklandzkich łupieżców z bogatej Krety. Dlatego wojskowi basileusa dali Vaeringom do zrozumienia, że ich nadrzędnym zadaniem będzie przeniesienie gwałtów, rabunków i pożogi na serklandzkie ziemie. Nie po to autokrator płacił górę złota najemnikom z Północy, by marnować ich grabieżcze zdolności na stróżowanie. Obecność grikklandzkiego dowódcy floty wskazywała ponadto, że basileus miał daleko idące plany w stosunku do Krety. Pieśniarz wcale by się nie zdziwił, gdyby na przyszłe lato szykowano podbój wyspy. Nawet na to liczył, rokując sobie, że miło byłoby zakończyć tułaczkę i zdobyć ziemię do konungowego tytułu.

– Wystarczy tego marudzenia! – Od dłuższej chwili nie słuchał Magnolfa. Nauczył się już, że skarg drengów należy wysłuchiwać, ale niekoniecznie trzeba się w nie wsłuchiwać. – Statki są już na brzegu. Wyznacz strażników, a reszta w drogę!

Dawanie ludziom zajęcia było kolejnym sposobem na oderwanie ich od narzekań. Poeta cierpliwie więc czekał, aż jego wojownicy przywdzieją kolczugi i hełmy, a Krwawa Siekiera ustawi ich w szyku marszowym.

Ruszyli jeszcze przed południem, zostawiając przy okrętach pięćdziesięciu drengów. Wielu, ale jak mawiała babka Skalda: „W zimowy dzień nie wiadomo, jaki mróz przyjdzie w nocy. Lepiej więc włożyć dwie pary spodni, by dupa nie zmarzła w ciemności”.

Wyspa sprawiała wrażenie zatopionej góry z rzadka porośniętej krzakami, winoroślami i drzewami oliwnymi. Trzymali się blisko morza. Minęli kilka wiosek składających się z nie więcej niż tuzina domostw. Ich mieszkańcy szczelnie pozamykali drzwi i okna, a saekonung, mimo że widział ochocze spojrzenia Vaeringów, nie pozwolił swoim łupieżcom zobaczyć, co znajduje się w środku. Spotkali też kilka samotnych rybackich chałup, obok których stały łódki i suszyły się rozciągnięte między palami sieci. Zdarzały się również miejsca, gdzie wędrownka stawała się wymagająca, bo na drodze napotykali czerwone skalne ściany, które musieli omijać przy wchodzeniu w głąb lądu.

Emporion był najważniejszą i najbogatszą miejscowością na wyspie. Ulokowany został na wzniesieniu, a prowadziły do niego dwie kręte drogi. Obie wychodziły z nabrzeżnych wiosek, które były wyposażone w solidne porty z pomostami, a nawet w małe stocznie. Osada położona bardziej na północ zwana była Górną Arkadią, a ta na południu – Dolną Arkadią. W pierwszej, według zapewnień Gyrgira, miał mieścić się obóz Vaeringów. Miał, bo kiedy tuż przed południem zjawiała się tam armia Skalda, po najemnikach nie było śladu.

Ainar spojrzął na postrzępione namioty, zgliszcza chat i osmalone pale wyrastające z morza, które jeszcze nie tak dawno podtrzymywały pomosty. Dostrzegł rozbite dzbany, połamane skrzynie i porozrzucane ubrania. Niektóre kamienie były splamione krwią, a między zawalonymi budynkami leżały trupy. Zapach wskazywał, że co najmniej dwudniowe.

Gyrgir wraz z dwoma tuzinami Grikmadów, którzy mu towarzyszyli, rozbiegli się po okolicy. Niektórzy musieli mieć tutaj krewnych, bo na ich twarzach pojawił się smutek, ale i zaciekłość ludzi łaknących zemsty. Poeta wysłał kilku drengów do Dolnej Arkadii, a ci po powrocie oznajmili, że i tamta wioska została złupiona i zniszczona. Pozostawało pytanie, kto to uczynił. Pieśniarz pośpiesznie obejrzał zwłoki, ale żadne z nich nie miały niebieskich oczu ani jasnych lub rudych włosów. Wśród poległych nie było przybyszy z Północy. Czyżby więc Vaeringowie wymordowali tutejszą ludność, zagrabili jej majątek i odpłynęli? Znając usposobienie swoich pobratymców, saekonung brał to pod uwagę. W takiej sytuacji jako władca całej Północy znalazłby się w kłopotliwym położeniu. W oczach Gyrgira, który zdążył już wrócić z oględzin, dostrzegł podejrzliwość, która jednak nie pociągnęła za sobą żadnych oskarżycielskich słów. Mogło się przecież okazać, że najemnicy wycofali się do Emporionu, by bronić możnych kupców. Albo uciekli przed liczniejszymi wrogami.

Skald kazał ludziom ściągnąć tarcze z pleców i dobyć broni. Nie lubił niespodzianek, a Emporion wydawał mu się podejrzliwie cichy.

Weszli na wąską drogę, w całości wybrukowaną lub wykutą w skale. Okiem doświadczonego drenga ocenił, że szlak świetnie nadawał się do

obrony, bo napastnicy mieli cały czas pod górkę. Osady nie otaczał mur ani nie prowadziła do niej żadna umocniona brama, ale wały nie były potrzebne, bo samo ukształtowanie terenu tworzyło świetną twierdzę. Z daleka wydawało się, że w Emporionie jest zaledwie kilka domów, ale z bliska było widać, że budynki zostały poukrywane za skalnymi występami i połączone ze sobą tak, by tworzyły zwartą zabudowę. Zamyśl Therańczyków był jasny. Woleli ukryć przed wrogiem liczebność i dostatek miasteczka, a ich domostwa miały być przydatne podczas obrony.

I rzeczywiście były. W tarcze kroczących na przedzie wojowników uderzyły kamienie, zapewne wyrzucone z proc. Ainar na próżno próbował dostrzec napastników poukrywanych w skalistych domkach. Vaeringowie przystanęli, czekając na rozkazy. Większość miała po prawicy skalną ścianę, na którą nie sposób się było wspiąć, a po lewicy strome zbocze. W razie czego można było po nim uciec, staczając się w dół z kamieniami i własnym wstydem. Pierwsze szeregi miały po obu stronach zabarykadowane domy, a przed sobą wóz stojący w poprzek traktu, który tutaj przechodził w główną ulicę osady. Znaleźli się w pułapce. Na szczęście dla nich rybacy nie do końca wiedzieli, co zrobić z taką zdobyczą.

Gyrgir krzyknął po grikklandzku. Odpowiedziały mu głosy w tym samym języku. Po krótkiej rozmowie wóz tarasujący drogę został usunięty, a zza barykad i z domów wyszli słabo uzbrojeni, ale bogato odziani mieszkańcy.

– Opuśćcie broń! – Rozkaz rzeźniacza brzmiał tak, jakby mówił do swoich ludzi. Nikt go nie posłuchał, dopóki poeta nie machnął ręką na zgodę. Eunuch wydawał się niezrażony tym pokazem siły saekonunga i nadal wyniośle przemawiał: – Tutejsi ludzie niedowierzają Tauroscytom.

Skald słyszał już tę nazwę w Miklagardzie. Czarny Berserk wyjaśnił mu wtedy, że mianem Tauroscytów określa się w Grikklandzie zarówno koczowników znad Itilu, jak i Vaeringów, czyli wszystkich nieokrzesanych przybyszy z Północy.

– Czyżbyśmy wzbudzali nieufność? – Pieśniarz próbował zrobić niewinną minę, ale i tak wyglądał jak lis przyłapany w kurniku.

Weszli do miasteczka będącego kopią Byzantionu, tyle że znacznie mniejszą i zbudowaną nie na siedmiu wzgórzach, a na jednej górze. Jedynym szerokim miejscem była tutaj główna ulica, która w centralnej części Emporionu przechodziła w czworoboczny i otoczony rzędem kolumn plac. Stała na nim rzeźba konnego wojownika na słupie. Od głównego traktu odchodziły ciasne uliczki, którymi dało się przemieszczać tylko gęsiego, oraz niezliczona liczba schodów wspinających się na zbocza wzniesienia i tworzących złożoną sieć stromych przejść do poszczególnych domostw. Niektóre budynki były wręcz wykute w skałach, inne dzieliły z górą tylko jedną ze ścian, a jeszcze inne były oddzielnymi konstrukcjami z ociosanych bloków oraz kopuł, które nadawały im wygląd olbrzymich mrowisk. Większość domostw wzniesiono z białego lub czerwonego kamienia, którego na wyspie było pod dostatkiem.

Przybyszy zaprowadzono do największego budynku, który stał przy głównym placu osady. Był to rozległy *oikos* – kompleks połączonych ze sobą domów o różnej wysokości, który z pewnością był siedzibą bogacza. Gospodarz przywitał ich już u progu, nisko się kłaniając. Grikkmad nosił skórzane sandały, chiton obszyty złotą nicią i ozdobiony na piersiach haftem dwóch kiści winogron. Przez lewe ramię miał przewieszoną zieloną chlamidę. Stroju dopełniała niebieska szarfa, na której wisała pochwa z mieczem o pozłacanej rękojeści. Mężczyzna o imieniu Olympiodoros został im przedstawiony jako *praitor* wyspy, rządzący Therą w imieniu basileusa.

Pałac, choć rozległy, nie był przeznaczony dla zwykłych najemników. Vaeringowie musieli zostać na zewnątrz, a do środka zaproszono tylko Gyrgira, Ainara i Magnolfa. Gospodarz wprowadził ich do zamkniętego ogrodu z marmurową sadzawką, podobną nieco do chrzcielnicy. Nie pływali w niej jednak poganie, ale rybki, i to słodkowodne, co było najdobitniejszym znakiem bogactwa właściciela domu. Skald zdążył się już zorientować, że problemem skalistej Thery był niedobór słodkiej wody, którą mieszkańcy gromadzili w wielkich kamiennych cysternach i rozprowadzali po Emporionie za pomocą kamiennych koryt, zwanych

przez Grikkmadów akweduktami.

Nieopodal sadzawki, w cieniu rozłożystego drzewa, stał kamienny stół z ławami, gdzie zaprowadzono gości. Poeta, nie czekając na zaproszenie, sięgnął po stojący na stole dzban wina i nalał sobie trunku do kubka. Ciężar wstępnych rozmów i wymiany uprzejmości wziął na siebie Gyrgir, który w zdolnościach mówienia o niczym mógł się równać z każdą babą Północy. Kiedy wszyscy obecni zostali już sobie przedstawieni, padło właściwe pytanie. Zadał je topoteretes:

– Co tu się stało?

Odpowiedzi udzielonej po grikklandzku saekonung nie zrozumiał. Wy tłumaczono mu jednak, że obie Arkadie zostały złupione przez serklandzkich piratów, którzy oblegali również Emporion, ale nie zdołali wdrzeć się do miasta. Ledwie wczoraj napastnicy odpłynęli, ale w obawie, że jest to tylko podstęp, mieszkańcy nadal pozostali zabarykadowani w największej osadzie.

– Gdzie być służący tu Vaeringowie, znaczy się po waszemu Tauroscytowie? – włączył się do rozmowy pieśniarz.

Olympiodoros wzruszył ramionami.

– Dwa dni przed napadem wsiedli na łodzie i odpłynęli. – Gyrgir tym razem na bieżąco tłumaczył słowa praitora. – Podobno, by łupić na Krecie. Nasz gospodarz prosił ich, by zostawili choć część ludzi do obrony, ale się nie zgodzili. Ludzie podejrzewają, że przeszli na stronę kussarów albo uciekli do swoich siedzib na Północy.

Dziwacznie przędły ostatnio norny, ale wyglądało na to, że korzystnie dla Skalda. Powinien się cieszyć. Wszystko wskazywało na to, że właśnie pozbył się kolejnego problemu. Diarfa Nawlekacza. Jeszcze kilka lat temu uśmiechnąłby się na tę wieść i wychylił kolejny kubek wina. Teraz jednak czuł niepokój. Myśl o najemniku nie dawała mu spokoju. Wszystko przez słowa Finloga Barda.

– Powiedz więcej o tym Diarfie. Jeśli on być zdrajcą, to jak to mawiają u nas, czeka nas z nim *mikill orrosta*, czyli wielka bitwa.

– To olbrzym o mrocznym spojrzeniu, który nikomu się nie kłania. – Gyrgir był wyraźnie niezadowolony, że pomimo swojej pozycji został sprowadzony do roli tłumacza. – Jego ludzi oskarżano o liczne gwałty i rabunki na Therze, ale gdy tu był, kussarowie nie zbliżali się do wyspy. Ma pod sobą bitnych łotrów, a sam jest najsilniejszym człowiekiem, jakiego widziano na wyspie. Niektórzy jej mieszkańcy podejrzewają nawet, iż jest bękartem tytanów, którzy tysiąc lat temu zamieszkiwali nasz świat. – W tym miejscu topoteretes z niecierpliwością postukał pulchnymi palcami o stół. – To oczywiście bzdura wymyślona przez przesądnych niewolników, bo przecież każdy wie, że nie ma innych bogów nad Kristosem, bo nawet jeśli kiedyś jacyś żyli, wszyscy zostali strąceni do piekła przez Syna Bożego. Tutejsi ludzie zarzekają się jednak, że Diarf potrafi toporem przeciąć wołu na pół.

Jak dotąd Ainar nie usłyszał nic, czego nie można było powiedzieć o połowie jego ludzi. Nie chciał zadawać wprost pewnego pytania, by nie zdradzać swojego zaciekawienia, ale zanosilo się na to, że Olympiodoros sam nie poruszy tego tematu.

– Czy towarzyszyć mu jakieś kobiety z Północy? Młoda dziewczka może?

Praitor pokręcił głową.

– Żadnej takiej nie widziano – wyjaśnił, korzystając z ust Gyrgira. – Może jakąś ukrywał, ale wątpię, bo ciągle dobierał się do córek rybaków.

Skald odetchnął z ulgą, sam dziwiąc się swojej reakcji. Odpowiedź go ucieszyła, bo oznaczała, że Finlog się mylił, choć przecież nie miał powodów, by kłamać. Irskmad nie tylko ostrzegł pieśniarza przed polującym na jego głowę Diarfem. Wyjawił mu też powody, dla których sam zjawił się w Miklagardzie. Otóż on też szukał Ainara, by błagać go o pomoc w pokonaniu... Nawlekacza. Diarf porwał bowiem dwie kobiety bliskie sercu mnicha. Pierwszą była czarnowłosa seidkona o imieniu Hvita – właśnie ona od kilku tygodni przychodziła do Skalda w snach i wzywała go do Carogrodu! Bard wyjawił konungowi, że spędził z nią kilka ostatnich lat swojego życia i wspólnie opiekowali się drugą porwaną przez Diarfa kobietą, a właściwie jeszcze dziewczyną. Niegdyś nosiła ona miano

Znajdy, a później od samego pieśniarza otrzymała nowe imię: Sela Ainarsdottir.

Poeta niemal zapomniał już o córce, którą porzucił czternaście lat temu. Nie lubił wracać myślami do przeszłości, dlatego wyśmiał prośby Finloga. Sela była już dorosłą kobietą, która sama wykuwała swój los. Powtarzał to sobie od chwili spotkania z mnichem i przekonywał sam siebie, że we właściwym czasie zabije Diarfa, ale nie da się wciągnąć w cikliwy pościg za porywaczem. Miał własne plany i zamierzał je zrealizować. Nawlekacz był głupcem, jeśli uprowadzając Selę, chciał zwabić do siebie konunga Północy.

– Co teraz zamierzacie? – zapytał Olympiodoros, wodząc wzrokiem od Ainara do Gyrgira. – Będziecie ścigać tego zdrajcę?

– Nie. Trzymamy się rozkazów basileusa – pośpiesznie odpowiedział mężczyzna bez brody, przechodząc na mowę Vaeringów. *Praitor* tak naprawdę nie liczył się w tej rozmowie, więc *topoteretes* ponad wszystko chciał narzucić swoją wolę Vaeringom.

– Zgadzam się.

Trzebieniec uśmiechnął się z wyższością, ale wprawne oko pieśniarza dostrzegło grymas zdziwienia na jego twarzy. Zapewne eunuch nie mógł uwierzyć, iż tak gładko mu poszło wymuszenie swojej woli. Nie mógł wiedzieć, że zgoda wcale nie przyszła poecie łatwo.

– Lato niebawem przejdzie w zimę i sztormy uniemożliwią żeglugę – przekonywał sam siebie konung. – Pościg nie ma sensu, a jeśli Diarf rzeczywiście przysłał do Serklandczyków, następnego lata i tak się z nim spotkamy. *Níðingr* splamiony niemęskim tchórzostwem prędzej czy później zostanie ukarany, a póki co możemy mu postawić na wyspie *níðstöng*. Kamienny słup hańby spodoba się tutejszym miłośnikom kolumn. Moi ludzie rozbiją obóz w Arkadii i przezimują na Therze zgodnie z wolą autokratora. Tak postanowił Ainar Skald, konung wszystkich Vaeringów.

Praca w skryptorium była nużąca, ale Ali bardzo ją lubił. Księgi zawsze działały na niego uspokajająco, nieważne czy je czytał, czy pomagał pisać. Słuchał słów i zdań o ustalonym rytmie, przyglądał się pisarzom stawiającym literę za literą i wers po wersie. Wszystko miało tu swój ustalony porządek i cel. Gniew opuszczał go w takich chwilach i nawet *hama* niezbyt często dziobała go wtedy po głowie. Kiedy wraz z Finlogiem stworzyli brakujące rozdziały *De Administrando Imperio*, poproszono Czarnego Berserka o podyktowanie jego własnej wersji opisanego świata, ze szczególnym uwzględnieniem Wschodu. Opowiedział więc o ludach, jakie napotkał, i wraz z pomocą Barda oraz skryby zapisał wszystko w zgrabnym dziełku, które miało wzbogacić tutejszą bibliotekę, a także pomóc grikklandzkim urzędnikom lepiej układać się ze swoimi sąsiadami. Korzystając z jego opowieści o podróżach, które odbył ze Skaldem, Finlog poprawił też swoją mapę Wschodu, którą ozdobił wielkim krzyżem.

Dwa razy dostąpili zaszczytu odwiedzin basileusa, lubiącego co jakiś czas uczestniczyć w ich pracach. Blamad często słyszał, że wszystkie księgi, nad którymi tu pracowano, są dziełem autokratora, jednak przekonał się, że w rzeczywistości rola władcy ograniczała się do dyktowania niewolnikom uwag i zatwierdzania poszczególnych ustępów. Tylko jednemu dziełu władca poświęcał więcej czasu na stare lata – *De Ceremoniis*. Księga w zasadzie była już skończona, ale basileus nakazał napisać od nowa rozdział o przyjmowaniu władców i posłów w Magnaurze. Wszystko przez Ainara Skalda, którego spotkanie z Konstantynem stało się znane jako najgorsze posłuchanie dworskie w dziejach miasta. Chcąc uniknąć podobnych sytuacji w przyszłości i ułatwić rządzenie swoim następcom, Porfirogeneta osobiście przedstawił w księdze najdrobniejsze szczegóły, jak taka uroczystość winna przebiegać.

Podczas pracy Ali zaprzyjaźnił się z Finlogiem, który zaprezentował mu kilka swoich pieśni. W odróżnieniu od pełnych przemocy i krwi utworów Skalda dzieła Mnicha traktowały o Bogu, zakazanej miłości i dzięki

naturze. Miały rytm nieco podobny do pieśni Vaeringów, tyle że spokojniejszy, przywodzący na myśl szum drzew w lesie. Niektóre były ułożone w *lingua latina*, inne w wyspiarskiej mowie Irów, a gdy Blamad ich słuchał, nigdy nie odwiedzała go *hama*, a w jego głowie nie kwiczał Wertragna. Wytatuowany wojownik miał wrodzoną zdolność poznawania prawdy ukrytej w słowach, więc szybko przyswoił sobie podstawy rodzimego języka Barda. Dzięki temu nie obawiali się już, że podsłuchają ich niewolnicy, bo w rozmowach płynnie przechodzili z grikklandzkiego na iryjski albo łacinę. Po pracy nieraz też odwiedzali *pandokeion*, gdzie gawędzili przy winie lub fousce. W dniu, w którym Mnich skończył swoją mapę, Ali wyszedł jednak sam ze skryptorium, planując odnaleźć Teofanesa – właściciela oberży, w której otruto Skalda. Od strażników dowiedział się bowiem, że mężczyzna został niedawno zwolniony z lochu, gdyż nie znaleziono żadnych dowodów jego winy.

Wyjście z pałacu wiodło obok koszar straży. Czarny Berserk zawsze mijał je z pewnym niepokojem, bo często go tam zaczepiano – złośliwie, gdy robili to zieloni Ekskubici, albo życzliwie, jeśli byli to niebiescy gwardziści. Tym razem przy siedzibie Scholi zagadnęło go dwóch żołnierzy noszących niebieskie chlamidy spięte na ramionach pozłocaną spinką.

– Wyciąga nogi ten nasz *miles*. Znów od ksiąg? Szkoda męczyć piórem rękę pogromcy Zielonych.

Blamad westchnął. Zemarch – bo tak miał na imię łysy strażnik – od tygodnia próbował się z nim zaprzyjaźnić. Ali nieczęsto patrzył w zwierciadło, ale z twarzy innych potrafił wyczytać, że nie miał pociągającego wyglądu. Ludzie zwykli go unikać, jakby był lwem czyhającym na jagnię, a zagadywali tylko wtedy, gdy mieli do niego pilną sprawę. Banita z Wagadou domyślał się, czego może chcieć Zemarch, dlatego regularnie go zbywał. Nie miał ochoty mieszać się w spory Błękitnych z Zielonymi.

– Taki los zesłał mi Allah. Dzisiaj też będziesz zapraszał na wino? Odpowiem jak poprzednio. Nie mam czasu.

– Tym razem jestem zmuszony zapraszać bardziej dosadnie, bo nie

w swoim imieniu. Do miasta przybył sam domestyk Scholi, który tego lata wślawił się w Mesopotamía wielkimi zwycięstwami nad emirem Aleppo. Tak, dobrze słyszysz. Mówię o Nikeforze Fokasie, synu Bardasa, najznakomitszym wodzu, jakiego znała ta ziemia od czasów Narsesa. I wydumaj sobie, mój czarny przyjacielu, że nasz wspaniały dowódca chce zamienić z tobą kilka słów.

Ali słyszał o Fokasach, bo po cesarskim rodzie była to najbardziej wpływowa rodzina w całym Grikklandzie. Jej przedstawiciele obsadzili ponoć wszystkie najważniejsze stanowiska w armii, toteż tylko głupiec by się z nimi nie liczył. Wygląd dawał jednak Blamadowi tę przewagę, że mógł bezkarnie uchodzić za głupca.

– Od słówka do słówka zrobi się stusłówka. – Ali mimowolnie zrymował, co wcale nie przypadło mu do gustu. Przypomniawszy mu się bowiem Skald i jego pogarda dla słów, które traktował jak zabawki. – Przekaż swojemu panu, że jestem zaszczycony, ale spieszno mi na inne spotkanie.

– Chyba nie do końca się zrozumieliśmy. Domestyk nie lubi, gdy ktoś wzgardza jego zaproszeniem.

– Jako gość basileusa nie podlegam waszym rozkazom.

– Jakim rozkazom? Przecież to przyjacielskie zaproszenie. Nie pójdiesz, twoja sprawa. Tylko się nie zdziw, jak od jutra Scholowie będą cię przeszukiwać przy Chalce i pół dnia trzymać przy stróżówce, aż ktoś z pałacu potwierdzi, kim jesteś. Tu w stolicy mamy wielu czarnych, a wszyscy wydają się jacyś tacy podobni do siebie.

Przyjacielski ton Zemarcha zniknął niczym topielec wskazujący do wody z kamieniem młyńskim u szyi. Ali wątpił w te groźby, ale dał się przekonać, że nie uniknie nagabywań, dopóki raz a dobrze nie rozmówi się z kimś znacznym wśród błękitnego demu. Miał nadzieję, że ten Fokas okaże się dowódcą, któremu można przemówić do rozsądku.

– Prowadź.

Nie zaszli daleko. Siedziba straży była okazałym kamiennym budynkiem, który jednak wydawał się prosty w porównaniu ze wspaniałym pałacem.

Zemarch zaprowadził gościa do obszernej sali, która była jadalnią mogącą pomieścić pięćdziesięciu biesiadników, ale w której teraz znajdował się tylko jeden człowiek. Siedział przy największej ławie i zjadał z miski *ptisáne*, czyli zupę z gotowanych zbóż. Na widok przybyłych wstał, podszedł do czarnoskórego olbrzyma i serdecznie uścisnął jego przedramię w powitalnym geście tutejszych żołnierzy.

– Witaj w Miklagardzie, Ali. Wiele o tobie słyszałem – odezwał się w serklandzkiej mowie, od której Blamad zdążył już odwyknąć. Bez wątplenia wojskowy chciał w ten sposób okazać uprzejmość, gdyż Ali uchodził w mieście za Serklandczyka, choć jego ojczyzną było przecież Wagadou. Mimo wszystko docenił grzeczność, tak rzadko okazywaną przez tutejszych wyniosłych urzędników. – Nazywam się Nikefor Fokas, ale mój wierny Zemarch już pewnie ci o mnie opowiedział, stanowczo przesadzając w pochwałach.

Zemarch wyprężył się z dumy, że dowódca pamięta jego imię. Ali był pod wrażeniem domestyka i tego, jak postępował z ludźmi. W miejscu, gdzie byle strażnik pysznił się swoim ubiorem, on był odziany w sposób prosty jak żołnierz, w skórzane sandały i lnianą tunikę. Obok niego, na stole, leżał pas z solidnym mieczem, który wyglądał na prawdziwe rzeźnicze narzędzie, a nie na paradną broń, jaką noszono w pałacu. Na zamożność Fokasa, ale i na jego pobożność wskazywał jedynie wielki srebrny krzyż na piersi, który wisiał na grubym łańcuchu. Nikefor był mężczyzną niewiele starszym od Blamada. Plecy miał nieco zgarbione, ale nie kalectwem, tylko bitewnym doświadczeniem, za to jego ramiona i pierś były szerokie i umięśnione jak u zapaśnika. Był niższy od berserka, choć wyższy od większości Grikkmadów. Dostojności i surowości przydawał mu duży, gruby nos, nieznacznie zadarty na czubku, oraz gęste brwi nad zamysłonymi ciemnymi oczami. Obcięty był na krótko, by czarne włosy mieściły się pod hełmem. Domestyk wyglądał groźnie i gdyby Ali nie wiedział, z kim ma do czynienia, wziąłby go za najemnego zbira, z którym większość ludzi nie chciałaby się spotkać w środku nocy.

– Zjesz ze mną? – Nikefor zapytał wprost, a przybysz z Wagadou był tak

ogłupiały życzliwością skromnego bogacza, że tylko skinął głową i usiadł na wskazanym miejscu.

Fokas klasnął w dłonie. Pojawił się służący z miską zupy i dzbanem wina. Wojskowy nie wrócił do jedzenia, dopóki Blamad nie dostał swojej porcji, a kiedy już się to stało, obaj w milczeniu popracowali łyżkami. Gdy miska domestyka była już prawie pusta, Grikkmad sięgnął po pajdę przyniesionego przez niewolnika chleba i nie zważając na dobre obyczaje, maczał kromkę w reszcie *ptisáne*, osuszając naczynie do czysta. Już sam fakt, że wódz jadł to, co prosty żołnierz, i w sposób przystojący wojownikowi, a nie dworzaninowi, podpowiadał Alemu, że Grikkmad musiał być uwielbiany przez swoich ludzi. Cierpliwość zaś, jaką okazywał przy spożywaniu zupy, wskazywała, że potrafił być również opanowanym wodzem.

Gdy obaj skończyli jeść, Nikefor nalał im po kubku wina i rozpoczął rozmowę.

– Mówią, że oddajesz wielką przysługę naszemu zesłanemu przez Boga autokratorowi, pomagając mu pisać jego księgi.

– Cieszy się to powszechnym poszanowaniem wśród pałacowej straży.

Fokas uśmiechnął się lekko.

– Nie miej im tego za złe. To, co robisz dla basileusa, jest ważne dla zarządców naszego państwa i z pewnością będzie wielką wskazówką dla przyszłych pokoleń. Jednak moi Scholowie, tak jak ich dowódca, to żołnierze, których zajmują wojskowe sprawy. Ale i ty, jak słyszałem, zdążyłeś już wyrobić sobie u nas sławę wielkiego zabijaki.

– Spokój idzie u mnie w parze z pisaniem ksiąg. Gniewowi towarzyszy zabijanie.

– Już po tych słowach poznaję, że rozmawiam z człowiekiem o wielkim pomysłu. Proszę też o wybaczenie mojej pomyłki. Teraz poznaję, że mowa muhammadan nie jest twoim ojczystym językiem.

– Rzeczywiście. Pochodzę z Wagadou, krainy dalekiego Południa, choć wiele czasu spędziłem w Serklandach. Mowy tej jednak już od dawna nie

używałem, przez co mój język może ci się zdawać nieco zdrętwiały.

– Och, mówisz wspaniale w tym języku i większość Romejów zapewne nie zorientowałyby się, że nie wyssałeś go z mlekiem matki. Ja jednak spędziłem dużo czasu na nauce języka Sarakenoi od moich jeńców. Chciałem poznać go dobrze, bo tylko poprzez mowę wroga możesz poznać jego sposób myślenia i tym samym go pokonać. Zechciałbyś w takim razie przejść na grikklandzki? Obawiam się bowiem, że niestety języka Wagadou nie miałem jeszcze okazji poznać.

– Nie mam nic przeciwko temu, gdyż i ja jestem zdania, że gdy jesteś wśród lwów, należy ryczeć jak one – powiedział Ali, spełniając prośbę domestyka.

– Trafnie powiedziane. Wróćmy jednak do ciebie. Mówiono mi, że oddałeś Byzantionowi wielką przysługę, tłumiąc powstanie Zielonych. Podobno walczyłeś wtedy w szale, niczym demon.

– Nie jak demon. Jak berserk.

– Słyszałem o nich. To szaleni wojownicy z Północy? W niejednej bitwie walczyłem i nieraz widziałem ludzi w bitewnym amoku. Większość jednak ginęła, bo gniew bywa zgubny i wprawdzie dodaje sił, odbiera jednak rozum. Osobiście karcę każdego żołnierza, który w bitwie wyrwie się przed szereg. Bo wrogie armie zwycięża się opanowaniem i wyszkoleniem oddziałów, a nie głupimi popisami pojedynczych wojaków. Powiadają jednak, że ty jesteś inny. Że nawet walcząc sam, w amoku, jesteś wart więcej niż dziesięciu ludzi, bo potrafisz władać szałem i przywołujesz go, kiedy tego chcesz. Prawda to?

Blamad pociągnął łyk wina. Zwykle unikał trunków, choć wiedział też, że kielich lub dwa mogą pomóc się rozluźnić. Stawianie koło niego całego dzbanka było jednak nierozważne.

– Był czas, gdy gardziłem szałem i uwalniałem go tylko w ostateczności. Teraz jednak korzystam z pokładów mojego gniewu zawsze, gdy się zdenerwuję. Mój konung Ainar powiedział, że gniew to moja prawdziwa natura, więc już się jej nie opieram.

– Musiałeś zatem poznać sekret *lyssa*, wilczego gniewu, który jest godny

największych wojowników. Ja sam doświadczyłem kiedyś za ledwie jego namiastki, gdy zostałem ranny w bitwie. Poeci i mędrcy opowiadają, że pierwsi z naszych wielkich przodków wpadli w *lyssa* Achilles i Hektor, gdy setki lat temu stoczyli ze sobą pojedynek u bram Troi. Później jeszcze jego tajemnicę znał Herakles i wyznawcy Zeusa Likajosa. Ale to wszystko działo się w czasach pogaństwa i nam, dobrym kristianom, nie wypada o tym rozpowiadać. Od setek lat nie widziano więc na tych ziemiach prawdziwego gniewnego milesa. Gdybyś zechciał pokazać swoje umiejętności moim ludziom, zyskałbyś nieśmiertelną sławę.

Wino, a może myśl o walce zagotowała krew Czarnego Berserka. Piękne słowa wodza okazały się tylko wstępem. Ali wyczuwał, że następna prośba będzie dotyczyć wsparcia błękitnego demu w konflikcie z Zielonymi. Biała sowa wleciała do jadalni z unoszącym się z kuchennego paleniska dymem i przysiadła na dzióbku dzbanka. „Zjeść, zabić, dusić!” – zahuczała Blamadowi w głowie i przekazała obraz martwego Skalda pod jego stopami.

– Walczę tylko dla siebie.

– I tak będzie nadal. Nie gorączkuj się tak, dopóki nie poznasz całej mojej propozycji. Słyszałeś już pewnie o zawodach w Hipodromie? Najpopularniejsze są oczywiście wyścigi kwadryg, ale w zimie, kiedy wracam do miasta z moimi ludźmi, lubię im zapewniać dodatkowe ćwiczenia, by zbyt nie gnuśnieli na wiktach swoich żon. Organizuję im więc walki na arenie, głównie z udziałem sarażeńskich jeńców, dzięki czemu tłum w stolicy mnie uwielbia. Oczywiście wszyscy walczą ćwiczebną, stępią bronią, tak że nikomu nie dzieje się większa krzywda. Chciałbym cię wystawić w takiej walce u boku kilku Vaeringów, by pokazać mieszkańcom stolicy, jak wspaniałych najemników ma nasz basileus.

– I zgaduję, że mam walczyć po stronie Niebieskich?

– Niebieskich? A tak. Z racji mojego stanowiska jestem zwierzchnikiem błękitnego demu. Ale tak między nami mówiąc, nie przywiązuję dużej wagi do tych podziałów. W młodości kibicowałem Zielonym i zdarzali się nawet

autokratorowie, którzy przedkładali to stronnictwo nad Błękitnych. Poszczególne demy nie są już takie silne jak niegdyś i teraz głównie organizują występy w Hipodromie. Nie myśl więc, że z powodu walki dla jednej faksji będziesz miał problemy z inną. Osobiście zadbam, by Ekskubici ci się nie naprzykrzali.

– Ludzie, którzy podniecają mój gniew, źle na tym wychodzą. Dlatego nie. Mam własne powody do wściekania się i nie będę wpadał w szał dla uciechy tłumu.

Fokas wychylił wino i spojrzał w pusty kubek. Milczał przez chwilę, ale jeśli czuł się zawiedziony, nie dał tego po sobie poznać. Odstawił naczynie denkiem do góry, jakby sam sobie dawał do zrozumienia, że jeden kubek wina wystarczy.

– Rozumiem. Mądrze jest unikać okazji do gniewu. Tak przecież mawiał sam nasz Zbawiciel, który też był żołnierzem w walce ze złem. Ale pozwól, że opowiem ci starą historię o Heraklesie. W młodości miał on wielki problem ze złością i w szale zabił własną żonę. Przeklęty przez bogów, włóczył się po świecie, walcząc, zabijając i niszcząc, aż w końcu nauczył się władać swoim gniewem, dzięki czemu został największym bohaterem swoich czasów.

Czarny Berserk wspomniał własną żonę. Lata temu nakrył ją na zdradzie i w gniewie zabił jej kochanka. Własnego brata. Ludzie mówili, że gołymi rękami rozszarpał też żonę. Ale on tego nie pamiętał.

– Coś jeszcze? – Nie miał ochoty silić się na grzeczność. Czuł nadchodzącą złość.

– Dziękuję, że towarzyszyłeś mi w posiłku. Możesz odejść. Chyba że chcesz mojej pomocy w znalezieniu truciciela, który chciał zgładzić twojego konunga.

Blamad dokończył wino i zastukał palcami o stół. Domestyk po raz kolejny go zadziwił, tym razem swoją wiedzą.

– Rzeczywiście. Mam wrażenie, że strażnicy nie chcą, bym się tym zajmował. Byłbym wdzięczny, jeśli nie będą już przeszkadzać.

– Przeszkadzać? Od tej chwili będą pomagać. Ale obawiam się, że nie jest to sprawa dla Scholi czy Ekskubitów, tylko dla Numerów, którzy mają pilnować porządku w mieście. Pomówię z ich domestykiem.

– Mój konung będzie ci wdzięczny.

– Zapewne. Tylko pamiętaj, by działać ostrożnie i bez rozgłosu. Jeśli dowiesz się, iż w zatruciu był zamieszany ktoś wysoko postawiony... Nie wyciągaj pochopnych wniosków i zgłoś się z tym do mnie.

Wytatuowany wojownik po raz kolejny przeklął Skalda. *Hama* podesłała mu obraz czarnych rąk – jego własnych – zaciśniętych na białej szyi pieśniarza. Ali nie wątpił już, że dał się wciągnąć w śmierdzącą sprawę. Tajemniczość domestyka i jego chęć do udzielania pomocy nie mogły być przypadkowe, więc istniała spora szansa, że próba zabójstwa barbarzyńcy z Północy zahaczała o dworski spisek.

– Jeśli w otrucie i podrzucanie uciętych dłoni zamieszany jest ktoś z dworu, dowiesz się o tym pierwszy.

– Świetnie. Mam dla ciebie pomocnika. Pamiętasz Slavomirusa? Okazało się, że i on wyszedł cało z tego zamieszania, choć tygodniami był bliski śmierci. Miał szczęście, że jest cenionym sługą w domu basileusa i wezwano do niego najlepszych lekarzy. Wydobrzył i od dziś będzie twoim przewodnikiem po mieście. Pomoże znaleźć ci właściciela oberży. Numerowie uznali go wprawdzie za niewinnego, ale mam wrażenie, że woleli, by sprawa ucichła, niż została wyjaśniona.

A trzeba było się nie wychylać – zganił się w myślach Ali. Towarzystwo Skalda miało na niego zły wpływ. Zrobił się gadatliwy, przez co bardziej podatny na wpadanie w tarapaty. Rzezaniec może i należał do domu autokratora, ale znajomość z Fokasem podpowiadała, że mógł służyć innej sakiewce. Blamad nie łudził się, że Nikefor dowie się o każdym jego kroku.

Domestyk klasnął i w jadalni pojawił się Slavomirus, który swoim drażniącym piskliwym głósikiem oznajmił:

– Jak mogę pomóc mojemu wielkiemu czarnemu misiaczkowi?

8

Gaupa i Hedin nie lubili Miklagardu, ale zaczęli już za nim tęsknić. Wszystko przez kamienistą i niemal bezdrzewną wyspę, otoczoną słoną, lepiałą futerko wodą. Ludzie byli tu tchórzliwi i zamiast wojować, woleli zbierać czerwone kamienie zwane pumeksem, tłoczyć wino, uprawiać zboże lub wyławiać z morza gąbki. Napadani nie umieli się dobrze bronić, a zabijani nie potrafili nawet porządnie wierzgać i krzyżeć, a tylko piszczeli i błagali o litość. Nie było tu jelonków i sarenek, na które można byłoby polować, których ciepłą, tryskającą z gardziółka krwią można byłoby się umazać i których świeżą, parującą jeszcze wątróbką można byłoby się posilić. Nieliczne hodowane tu kozy nie uciekały przed Rysiem i Płaszczem, tylko głupio i ufnie patrzyły na nich, kiedy wbijali pazurki w ich brzuszki. Pociechy nie przynosiły nawet skóry, które zdierali z meczących, rogatych samców, bo one nie pachniały ładnie lasem czy łąką, tylko oborą i ludzkim obejściem. Gaupa i Hedin, podobnie jak Berhedin, i tak mieli jednak lepiej niż inni bracia. Kot i Niedźwiedź mogli przetrwać między skałkami, ale co mieli tu robić Tur, Dzik i Wilk?

Hamramirzy sami byli temu winni. Ryś i użyczający mu swojej głowy człowiek ostrzegali przecież bestialskich wojowników przed zawieraniem Ainarowi Skaldowi. Saekonung obiecał im mord, krew i grabież, a wziął ich najpierw do kamiennego miasta, później zaś zostawił w skalistym więzieniu, gdzie mieli spędzić całą zimę. Gaupa i Hedin mówili to już wielokrotnie, ale zamierzali po raz kolejny wymruczeć te same słowa na spotkaniu hamramirów, które zaplanowano o północy.

Wycie wilka było znakiem, że czas udać się na miejsce. Drapieżnik w głowie Ulfhedina zawsze bezbłędnie wyczuwał, kiedy księżyc jest w połowie drogi w swojej ucieczce przed chcącym go pożreć wilkiem Hatim. Wyciu odpowiedziało muczenie Tura, kwik Dzika, ryk Niedźwiedzia i pomruk Rysia.

Miejszem spotkania był szczyt kamiennego wzgórza leżącego kilka mil na wschód od Emporionu. Kiedyś było tu miasto, ale do dziś ostały się

tylko zarośnięte krzakami ruiny. Zwalone kolumny, schody donikąd, zapadłe kopuły i samotne łuki stanowiły schronienie dla ptaków, węzów i robaków. Nieliczne budynki przetrwały, choć bez zadaszenia, a pod ziemią można było znaleźć korytarze i piwnice. Właśnie z tego ostatniego powodu miejsce to upodobał sobie Berhedin, a jego wybór z radością przyjęli Ulfhedin i Gaupahedin. Niedźwiedź był władcą jaskiń, ale i Wilk z Rysiem też lubili czasem pospać w grotach.

Gaupa i Hedin przybyli ostatni, mieli jednak niespodziankę dla ukochanych braci. Na postronku prowadzili kózkę. Wciągnęli ją na szczyt, bo meczące stworzenie opierało się i szarpało mimo pętli na szyi, tak że na górę dotarło ledwo żywe i z łatwością dało się uwiązać do resztek pokruszonej ściany.

Ryś i Płaszcz przycupnęli przy reszcie braci siedzących na kawałkach kolumn przy niewielkim ognisku. Większego nie dało się rozpaścić, bo w okolicy nie było za wiele opału i pożywką dla ognia mogły być tylko wysuszone chwasty, gałęzie krzewów i suche pędy winorośli. Dzisiejszej nocy tchórzliwy Mani cały błyszczał ze strachu, a wtórowały mu setki gwiazd, więc całe wzgórze i tak było dobrze oświetlone. Widać było nawet ohydne słone morze, które biło o podstawę masywu, na którym się znajdowali.

– Niemal spóźnieni! – ryknął Berhedin. – Czy to obowiązki pilnowania naszego konunga zatrzymały Gaupa i Hedina, czy może nadwątlili oni siły w pogoni za naszą kolacją?

Ryś i człowiek zamiauczeli i podrapali się po plecach. Spiekota na tym bezdrzewnym, przeklętym przez bogów Północy skrawku ziemi czerwieniła ich nawykłe do leśnego chłodu ciało.

– Dbamy o bezpieczeństwo Ainara, dobrodzieja, który przywiódł nas na tę wyspę. Tak jak kazaliście.

Kot i dreng dostali od przywódcy wyjątkowe zadanie. Jako że mieli z braci najlepszy wzrok, musieli baczyć na poczynania Skalda i wszystko, co dzieje się w armii Vaeringów. Innym braciom polecono, by dokładnie zbadali wyspę i oznaczyli ziemię swoim zapachem. Każdy drapieznik

musiał znać swój łowiecki teren, bo dzięki temu łatwiej było osaczyć zwierzynę. Hamramirzy wiedzieli więc dobrze, że na wyspie żyje tysiąc dwustu mieszkańców, znajduje się na niej osiem większych wiosek, kilkadziesiąt samotnie stojących domów rybackich, ponad dwieście sztuk kóz, sto siedemdziesiąt owiec. I żadnej studni. Jediną pitną wodą była ta, która spadała z nieba, oraz ta, która o poranku błyszczała na liściach roślin. Ta pierwsza była gromadzona w dwudziestu czterech kamiennych cysternach. Opanowanie ich podczas suszy mogło dać władzę nad całą Therą.

– Powiedźcie nam zatem, co widziały oczy Rysia?

– Obóz w Górnej Arkadii jest już prawie gotowy. Odbudowano też przystań i wpłynęły do niej zostawione na plaży statki oraz kilka grikkländzkich jednostek. Skaldowi nic nie zagraża, choć wyraźnie coś go trapi. Ludzie mówią, że chodzi o tego Vaeringa, który obozował tu wcześniej, ale sam pieśniarz udaje, że go to nie obchodzi. Kocich zmysłów nie można jednak tak łatwo oszukać. Rzeźbiarz pomarkotniał, mniej kłóci się ze swoimi ludźmi, za to więcej pije tego słodko-kwaśnego soku z winogron.

– Dobrze, że markotny. Zmartwienia oznaczają kłopoty, a te pociągają za sobą mord i zniszczenie. Nasz konung jest karmicielem kruków i wkrótce spowoduje jakąś bitwę albo i całą wojnę.

Berhedinowi odpowiedziły kwik i skowyt, które były pełne nadziei. W muczeniu Tura dało się wyczuć zwątpienie. Urrhedin smarknął okaleczonym nosem, wydmuchaną wydzielinę wcisnął piętą buta w ziemię, po czym wydobył z siebie słowa buntu:

– Wkrótce. Ciągłe tylko „wkrótce”. Gdyby Skald był miłośnikiem rzezi, popłynąłby w pościg za tym Vaeringiem, a nie siedział i pił.

Kwik i skowyt brzmiały jak potwierdzenie.

– Bogowie Północy nie zagląдают na tę przeklętą wyspę. – Wilk potrząsnął łbem i przejechał językiem po swoich zębach bez kłów. – Musimy być już blisko tej części Utgardu, którą rządzą olbrzymy ognia.

Gaupa i Hedin ucieszyli się, że ich bracia w końcu zaczęli wątpić.

Obłuda poety musiała zostać ujawniona, a Ryś i dreng po raz kolejny wzięli na swój grzbiet obowiązek rozdrapania ufności, jaką Berhedin żywił do Skalda.

– Jesteśmy przekłęci, bo wiedzie nas miłośnik pokoju, kłamca, zaprzedaniec własnego rodu, który wyrzekł się północnych bogów. Kazał nam się kąpać, nosić nowe imiona i mamrotać śpiewy w kristiańskiej świątyni! Bogowie nas za to przeklęli.

Kwit, skowyt i muczenie oznaczały zgodę.

– Cisza! – ryknął Berhedin, ale mało przekonująco. – Saekonung wyjaśnił przecież, że ani Vaeringowie, ani nikt z nas nie musi wyrzekać się ojcowskich wierzeń. To była tylko kpina, szyderstwo z ich ukrzyżowanego boga, które miało pokazać, że chrzest nie znaczy dla nas więcej niż obmycie się w strumyczku. I to się udało. Przysięgliśmy wierność pieśniarzowi i nie możemy jej złamać bez żadnej przyczyny. Wiecie, jakie mamy zasady.

Hedini burknęli po ludzku, ale nic nie powiedzieli.

– Mamy tylko trzy zasady! Wymieńcie je!

– Wierność braciom, wierność konungowi, wierność naszym bogom – odpowiedziały niechętnie głosy.

Gdy Niedźwiedź ryczy, bracia zazwyczaj zatykają uszy i nie drażnią go. Gaupa i Hedin byli jednak zdecydowani doprowadzić sprawę do końca, nawet jeśli mieliby to przypłacić łapą misia na swoim ludzkim grzbiecie.

– Ale czy ta wierność bogom nie została właśnie złamana?

Berhedin wstał, ryknął w ciemność i podniósł z ziemi ogromny głaz. Ryś i dreng zerwali się z miejsca, po czym schowali za rumowiskiem. Niedźwiedź nie celował jednak w nich. Rzucił pociskiem w przepaść, a ten potoczył się po skarpie, zabrał ze sobą inne kamienie i po dłuższej chwili lawina spadła z pluskiem do morza. Huk uspokoił nieco dowódcę hamramirów. Bestialski wojownik podszedł do kolumny, stanął do niej tyłem, przykucnął i wstał. Ponawiał ten ruch, aż jego plecy zostały odrapane przez kamienne, stanowczo zbyt gładkie drzewo. W końcu

z rozdartym kyrtillem wrócił na swoje miejsce.

– Tłumaczyłem, że bogowie nie mogą się czuć urażeni, gdyż nasze zaprzaństwo było udawane.

Koty bywają uparte. Dzięki zawziętości ryś wytrzymuje długie czajenie się na gałęzi w oczekiwaniu na łanie. Gaupa i Hedin wyszli z ukrycia, skrzywili górną wargę, podkręcili wąsa i cicho, niemal mruczając, powiedzieli:

– Masz rację, potężny władco puszczy. Wszyscy udawaliśmy. Ale czy bogowie znają nasze myśli, czy widzą tylko nasze czyny? Może należy ich przekonać, że nadal jesteśmy ich ofiarnikami? Może wtedy życzliwiej na nas spojrzą?

– Kwi... Auu... Muuu! – Zgodne odpowiedzi braci złąły się w jedno.

– Mów dalej. – Niski głos przywódcy brzmiał, jakby jego właściciel był już pogodzony z tym, co nastąpi.

Ryś i człowiek podeszli do kózki patrzącej się na nich nierozumiejącymi oczami. Pogłaskali ją po grzbiecie.

– Naszym bogiem jest Arnhöfdi, który potrafi zmienić człowieka w zwierzę, a bestię w wojownika i raduje się każdą cielesną przemianą. Naszym bogiem jest też szalony Göllnir, który zsyła szalę przemiany, nasz niszczycielski *hamask*, i lubuje się w krzykach umierających. Im obu należy złożyć ofiary. Krwawe dary ze zwierzęcia i człowieka. Z połączonego czworonoga i ludzkiego męża. Wszyscy wiemy, jak powinien wyglądać ten obrządek.

– Wiemy. Jest tak okrutny, że Niedźwiedź w naszej głowie uważa to za marnotrawstwo krwi i mięsa. Ale skoro taka jest wola wszystkich braci... Niech i tak będzie.

Kwik, skowyt i muczenie oznaczały zgodę. Gaupa i Hedin zamruczeli niczym kocur na widok podniesionego ogona kocicy.

– Zwierzęciem może być nasza niedoszła kolacja. – Wskazali na kózkę. – A na człowieka nada się ten, którego więzimy.

Tydzień temu, gdy zaczęli się spotykać na tej górze, dziwne odgłosy

i łuna przywołały dwóch ciekawskich rybaków. Jednego zabili na miejscu, drugiego związali i schowali w tutejszej piwnicy. Gaupa i Hedin chcieli się już wcześniej z nim zabawić, ale Berhedin w swojej mądrości zabronił im tego.

Niedźwiedź mruknął na zgodę, ale po chwili dodał:

– Wstrzymajmy się z zarzynaniem, gdyż mamy jeszcze jedną sprawę do omówienia...

Gaupa i Hedinn zatrzymali się w pół kroku. Niemal dotarli już do piwnicy z więźniem, ale na słowa dowódcy niechętnie wrócili na swoje miejsce.

– Mówicie, że boscy opiekunowie mordy i zagłady odwrócili się od nas, że są źli z powodu naszej kąpieli? Może się i gniewają, ale jeśli tak, zaczęli to robić o wiele wcześniej, jeszcze zanim dotarliśmy do Grikklandu. Czyż złym losem nie należy nazwać upadku naszego poprzedniego władcy, Kola Małego? Czyż każdy z nas nie stracił podczas oblężenia Dyragardu czegoś cennego? Uszy, zęby, nos, połamane nogi, męskość i nasz brat Haukrhedin – oto straty zesłane nam przez Göllnira jako ostrzeżenie. Nasz jastrzębi brat pokarał nas, ale i pokazał, jak kończy się utrata jedności bractwa. A wszystkim wiadomo, że bogom miła jest dwunastka i tylu też powinno być członków braterstwa hamramirów. Sześć bestii i sześć Hedinów. Dopóki nie przywrócimy tej jedności, tej równowagi między człowiekiem, bestią i bogiem, nie będzie nam się dobrze powodzić.

– Auu... Miau... Kwi... Mru. – Wszyscy bracia się z tym zgadzali.

– Ale jak to zrobić? – Wilk był drapieżnikiem i zawsze potrafił wywęszyć słabe strony ludzkiego rozumowania. – Nie mamy ani chłopców, ani Lasu Bestii, w którym szczeniak mógłby zjednoczyć się ze zwierzęcym bratem.

– Wyrostki zawsze się znajdują, a można też spróbować z dorosłymi samcami. A jeśli chodzi o las... jest jeden sposób, by się bez niego obejść. Możemy stworzyć Ormhedina.

Kwiczenie i skowyt brzmiało jak niedowierzenie.

– Czy to na pewno rozsądne? – Pytanie Urrhedina zadziwiło braci. Gdy hamramir zaczyna mówić o rozsądku, to znaczy że ludzkie cechy za bardzo w nim dominują. – To znaczy... czy szaleństwo nie pochłonie nas wszystkich?

– Niektórzy z was pamiętają, że przed Haukrhedinem naszymi braćmi byli właśnie Orm i Hedin. Łączyła nas z nimi szorstka więź pełna bójk i kłótni, ale też braterskiej miłości. Wtedy stanowiliśmy jedność. Do tej jedności musimy wrócić.

Gaupa i Hedin byli młodszymi braćmi, nie pamiętali więc Ormhedina, Węza i człowieka o imieniu Płaszcz. Słyszeli jednak o nim opowieści. Był to zuchwały okrutnik, gwałciciel, kłamca, oślizgły podrzynacz gardeł i truciciel. Obok tych zalet miał też jednak wadę. Nie był zbyt przyjacielski i niechętnie trzymał się swego rodzeństwa. Wśród hamramirów krążyły opowieści o Ormhedinach, w których zmijowa natura stłamsiła ludzką wolę, przez co we śnie zabijali własnych braci.

– Zgoda! – powiedzieli wszyscy Hedinowie, a bestie w ich głowach zawtórowały im zwierzęcymi odgłosami.

– Uczcijmy to postanowienie krwawą ofiarą, by bogowie nam błogosławili. – Człowiek w głowie Gaupahedina zaczynał się już obawiać, że bracia zrezygnują z zarzynania. Na szczęście hamramirzy potrząsnęli łbami na zgodę.

Ryś i wojownik podskoczyli z miejsca, po czym pobiegli, zapominając o bólu w nodze. Wytaszczyli z piwnicy konającego z głodu młodzieńca. Położyli go obok ogniska i przyprowadzili kózkę. Wzniesli oczy, czekając na znak od dowódcy.

– Już czas – oznajmił Berhedin.

Gaupa i Hedin wzniesli toporek zwany Pazurem i podrapali kózkę po gardle. Ciepła posoka trysnęła, ochlapując więźnia, który na ten widok ożywił się i zaczął jęczeć. Wyjęli mu knebel z ust, by chłopak mógł sobie pokrzyczeć na chwałę Göllnira, ale ten tylko tchórzliwie zapłakał. Bracia zbliżyli się do zwierzęcia i każdy umazał sobie twarz jego krwią.

– *Heilsan*^[7] Arnhöfdi! – wrzasnęli w ciemność bestialscy wojownicy, oddając cześć swojemu zmiennokształtnemu bogu.

Ryś i ludzki podrzynacz gardeł zlizali krew z Pazurka, ale zaraz i tak go pobrudzili, gdy jednym dziabnięciem przecięli ludzkie gardziółko. Więzień zacharczał i udławił się krwią. Hamramirzy wysmarowali się jego posoką, wołając na cześć szalonego boga:

– *Heilsan Göllnir!*

Ofiary były gotowe do przemiany. Hedin schował się głęboko w głowie dzielonej z Gaupem, dając mu chwilę przyjemności. Ryś sięgnął po nóż i sprawnie oskórował kózkę. Następnie znalazł sobie wygodne miejsce we wspólnym czerepie i poszedł się zdrzemnąć, oddając Hedinowi władzę nad ciałem. Człowiek o wiele wolniej zdjął skórę z martwego młodzieńca, ciesząc się każdym ruchem i radując widokiem odsłanianych mięśni. Gdy ciało było już oprawione, wziął się do dokonywania zamiany. Sięgnął po ludzką powłokę i owinął ją wokół ciała kózki. Następnie podniósł ciemne futerko i przyodział nim oskórowanego człowieka.

Przez chwilę hamramirzy stali, krzyczeli na cześć swoich bogów i dumali nad kózką przemienioną w człowieka oraz młodzieńcem zmienionym w zwierzę. Potem rozeszli się po okolicy, by zebrać opał.

Prawie już jaśniało, gdy ze zgromadzonych drewniaków i gałęzi udało się ułożyć niewielki stos ofiarny. Berhedin przyjął na siebie obowiązek podpalenia. Góra spowiła się dymem, a zaraz potem na niebie pojawiła się luna, która złączyła się z czerwienią jutrzeńki. Hamramirzy zebrali się wokół ogniska i tańcząc dookoła niego, zaśpiewali swoją pieśń:

Zarzynamy, by straszyć.

Rąbiemy, by sprowadzać łyzy.

Gwałcimy, by siać niepokój.

Kłujemy, by przebić serca.

Rźniemy dla Arnhöfdiego.

Miażdżymy dla chwały Göllnira.

9

Emporion i Arkadia budziły się do życia skoro świt. Rybacy oraz poławiacze gąbek wypływali w morze, hodowcy wyprowadzali kozy na popas, garncarze zanurzali dłonie w glinie, kamieniarze wędrowali po pumeks, winiarze szli doglądać upraw, a Vaeringowie zabierali się do prac budowlanych.

Ainar uchylił jedno oko i zobaczył czarnowłosą Therankę, która wymykała się z jego posłania, by zdążyć się jeszcze obudzić u boku swojego męża. Była chuda i niska, ale niedostatki ciała nadrabiała niezwykłą ruchliwością oraz sprawnym językiem. Nie była z pewnością Kallirroe i w niczym nie przypominała narwanej Halfridy z dawnej przeszłości Skalda, ale dawała chwilę zapomnienia. Pieśniarz był teraz konungiem, lecz nawet w czasach gdy nim nie był, nie zwykł wcześniej wstawać. Każdy węgłozerca wiedział, że przed południem rzadko dzieje się coś ciekawego. Dlatego przymknął uchylone oko i trzymał je zamknięte aż do późnego przedpołudnia, kiedy obudził go Gaut.

- Wszyscy czekają na sądy, konungu!
- Dzisiaj jest Tysdag? – zapytał zaspany poeta, choć znał już odpowiedź.
- Tak.
- Niech im wszystkim Fenrir pożre wyciągnięte po sprawiedliwość łapy – burknął.

Od początku ich pobytu na Therze ludzie mieli masę skarg i sporów, które wymagały rozstrzygnięcia. I nie chodziło tylko o Vaeringów, ale i o tutejszą ludność, którą Olympiodoros, miejscowy praitor, odsyłał do Ainara, jeśli ich sprawy dotyczyły zatargów z wojownikami Północy. Czyli bardzo często. Skald musiał więc wyznaczyć jeden dzień w tygodniu, w którym będzie wysłuchiwał tych narzekań, by przynajmniej przez resztę tygodnia mieć spokój. Tysdag wydał mu się ku temu najlepszy, bo na Północy właśnie w drugim dniu tygodnia czczono boga sprawiedliwości Tyra, który poświęcił swoją dłoń w imię praworządności, dając się

okaleczyć wilkowi Fenrirowi. Postępek boga wydawał się poecie nad wyraz głupi, ale był świetnym przykładem do naśladowania dla ludzi nawykłych do posłuszeństwa i życia według zasad ustanowionych przez kogoś innego.

– Wynoś się. Przyjdę za chwilę.

Gdy młody dreng wyszedł, Ainar podniósł się z posłania, ubrał i sięgnął po miskę z resztkami kolacji. Baranina z oliwkami i zbożową papką zalana – jak wszystkie grikklandzkie dania – octem i oliwą. Z miską w ręku wyszedł ze swojej siedziby, czyli namiotu, który mógłby pomieścić dziesięć osób, ale był niemal za ciasny dla jednego konunga.

Pieśniarz nie musiał iść daleko, ledwie zrobić parę kroków poza budowany obóz. W jego rodzinnym Östlandzie miejsce sądenia powinno znajdować się pod drzewem, najlepiej dębem, ale że tutaj nie było lasów, Skald znalazł rozwiązanie podpatrzone na Lodowej Wyspie. Kazał ustawić stół i ławę pod okazałą czerwoną skałą, którą nazwał *lögberg*, czyli kamieniem prawa. Nim dotarł na miejsce, zdążył opróżnić miskę i wyrzucić naczynie wraz z łyżką.

Gyrgir i Magnolf już na niego czekali, po raz kolejny utwierdzając saekonunga w przekonaniu, że źle zrobił, dzieląc się z nimi swoją rozjemczą władzą. Uczynił to w nadziei, że obaj odciążą go od nudnych obowiązków i będą rozsądzać mało ważne spory, ale kolejka przed stołem wskazywała, iż nie raczyli bez niego zacząć. Zasiadł pomiędzy współsędziami, nalał sobie do kubka wina z dzbana i burknął, nawet nie kryjąc niechęci:

– Zaczynajmy. Przed *lögbergiem* niech każdy rzecze prawdę, bo inaczej skała zwali mu się na głowę.

Pierwszy natręt przedstawił sprawę tak starą jak istnienie obozów wojskowych i tak częstą jak pijaństwo pośród zbrojnych.

– Któryś z waszych ludzi zgwałcił mi córkę.

Miejscowy był rybakiem, kamieniarzem lub pastuchem, co dla Skalda nie miało żadnego znaczenia. Ciekawa była dziewczyna – nieco grubiułka, ale urodziwa – którą mężczyzna wskazywał palcem. Jego słowa tłumaczył

Gyrgir i robił to nie z własnej chęci, ale z konieczności, bo na wyspie nie było wielu, którzy władaliby zarówno grikklandzkim, jak i vaerińskim.

– Który? – zapytał Ainar, korzystając z ust eunucha. Ujął rzecz krótko, bo wina któregoś ze snekkjamadów była równie prawdopodobna jak spadnięcie śniegu w zimie.

– Nie wiem, było ciemno.

– Skąd zatem pewność, że był to człowiek Północy?

– Bo gadał do niej w takim samym kwikliwym języku jak ty teraz. – Ojciec poszkodowanej splunął na ziemię.

Saekonung nabrał ochoty, by wyrwać mu język i przybić go do jego czoła. Był jednak władcą i musiał dawać przykład swoim ludziom, jak należy się układać z miejscowymi.

– Nasz wspaniały Gyrgir też mówi w naszym języku, a nie pochodzi z Północy.

Topoteretes popatrzył na kowala słów z wyrzutem, ale obojętnie przetłumaczył jego słowa. Nawykł już do tego, że poeta często się z niego naśmiewał.

– Ale nie śmierdzi tak jak Vaeringowie.

– Kto śmierdzi? – wtrącił się Magnolf, gdy usłyszał tłumaczenie. Krwawa Siekiera zwykle był opanowany, ale potrafił się zdenerwować, gdy ktoś obrażał jego ludzi. – Powiedz temu zasranemu zbieraczowi koziego łajna, że jedynym sposobem, w jaki jego córka mogła rozpoznać człowieka Północy, był ogrom jego miecza w jej pochwie.

Trzebieniec uniósł pytająco brwi, ale Skald uznał odpowiedź za zabawną i skinięciem głowy pozwolił na jej przetłumaczenie.

Ojciec dziewczyny poczerwieniał. Dwa razy otwierał usta, by coś powiedzieć, ale za każdym razem je zamykał, nie mogąc najwyraźniej znaleźć odpowiednich słów. W końcu rzekł:

– Nie zapominajcie, że jesteście gośćmi na naszej wyspie. Domagam się odszkodowania, bo nikt tego dziewczęcia nie zechce za żonę. Będę ją musiał karmić do starości!

Tych żądań było już dla Ainara zbyt wiele. Kiedy winowajca nie był znany, obowiązek uiszczenia opłaty spadał na dowódcę, a on bardzo nie lubił dzielić się swoimi monetami, nawet jeśli twarz córeczki Therańczyka wydawała mu się dziwnie znajoma.

– Oto mój wyrok. Dziewczyna dostanie wiano, jeśli rozpozna gwałciciela. Skoro nie widziała jego twarzy, może co noc odwiedzać nasze namioty i udami szukać swojego ukochanego. Wcześniej czy później znajdzie tego, który do niej pasuje. A gdy urodzi syna z niebieskimi oczami i blond włosami, niech go odchowa sześć lat, a potem przyśle do nas na wychowanie.

Gyrgir pokręcił głową z niezadowolenia, ale przetłumaczył słowa pieśniarza.

Ojciec pannicy rozpromienił się z radości i pokłonił, niemal wykonując pełen proskynesis, jakby był w pałacu basileusa. Wycofując się, powtarzał słowa, które poeta zrozumiał jako „dziękuję, panie”.

– Coś ty mu naopowiadał? – morski król zapytał podejrzenie uśmiechniętego eunucha.

– To, co powinno być powiedziane. Że autokrator z radością zapłaci mu dwie nomismy za poświęcenie i usługi, jakie oddał dla obrony Ekumeny przed hordami Sarakenów.

– Nie tak zdecydowałem. – Kowal słów mówił stanowczo, złośliwie nawet, ale w rzeczywistości był rozbawiony, że strojny rzeźniczek mu się sprzeciwił.

– Nie wtrącam się w sposób, w jaki karzesz własnych ludzi. Nie zapominaj jednak, że to mnie basileus powierzył dowództwo nad całą operacją. Nie mam więc zamiaru dopuszczać, by tutejsza ludność cierpiała więcej, niż jest to konieczne dla sprawy.

Na Północy zwykło się mawiać, że władzę sprawuje ten, kto dzierży miecz i prowadzi więcej ludzi. Pieśniarz pozwolił jednak żyć trzebieńcowi z przekonaniem, że ma na wyspie cokolwiek do powiedzenia, bo nieświadomy wróg jest łatwiejszy do pokonania niż taki, który zna swoje słabości. Powiedział więc tylko:

– Jak sobie chcesz.

Podejrzewał, że teraz co tydzień będą musieli rozpatrywać sprawy o gwałt. Sposób, jaki zaproponował, skutecznie ukróciłby wszelkie skargi tego typu, ale skoro Gyrgir zamierzał tak hojnie szafować monetami basileusa, jego sprawa.

Kolejne właśnie dotyczyły Vaeringów, więc Ainar szybko się z nimi uporał. Jednego wojownika oskarżono o kradzież miecza, a że winy nie dało się udowodnić, Skald rozkazał skłóconym walczyć o to, kto jest godniejszy dzierżenia spornej broni. Innemu zarzucono, że miga się od pracy, więc pieśniarz, pełen zrozumienia dla oskarżonego, nakazał wymierzyć mu trzy różgi. Następnie rudy wioślarz poskarżył się na towarzysza z jednej ławy, że zgwałcił kobietę, którą on upatrzył sobie wcześniej. Poeta na drugi raz nakazał im zrobić odwrotnie i odebrał im rogę za kolejny miesiąc, a to z tego powodu, iż nie kryli się ze swoimi swawolami. Byli też i tacy, którzy po prostu przyszli ponarzekać na nudę i przypomnieć, że nie przyplłynęli tu czegokolwiek budować, tylko palić i niszczyć. Skald starał się cierpliwie wyjaśniać, że zgodnie z życzeniem gardskonunga muszą ochraniać wyspę, a wynagrodzenie, jakie za to otrzymują, jest trzykrotnie wyższe od tego, co mogliby zarobić na grabieniu Emporionu.

Rola sattarmada, czyli rozjemcy, to trudne i odpowiedzialne stanowisko, więc Ainar znudził się nią już przed południem. Na jego nieszczęście właśnie wtedy przyszło mu rozsądzać najpoważniejszy spór, co gorsza z udziałem kilkudziesięciu miejscowych. Przyszli wszyscy razem, oburzeni jak żona przyłapująca męża w posłaniu swojej siostry. Ich mówcą był niski, łysy Therańczyk, którego bogaty strój i gadatliwość wskazywały, iż był kupcem.

– Wczoraj znaleziono dwa zmasakrowane ciała. Kamieniarza i jego żony. – Gyrgir z wyraźnym zainteresowaniem tłumaczył słowa oburzonego mężczyzny.

– Może spadli z urwiska?

– Nie. Zostali rozszarpani. Ale to nie wszystko. W ostatnich dniach

zaginęło czterech chłopców.

– Zaginięcia to nie moja sprawa. Vaeringowie nie porywają grikklandzkich dzieci. Są zbyt lękliwe, by trzymać topór w rękach. Udajcie się do waszego praitora. Niech zorganizuje poszukiwania. Chłopcy pewnie uciekli i utknęli w jakiejś skalnej zapadlinie albo jaskini.

Kupiec zdenerwował się, słysząc tłumaczenie eunucha. W tłumie Grikkmadów zawrzało i nie trzeba było znać ich języka, by poznać głosy pełne oburzenia.

– Nie traktuj nas jak dzieci. Poszukiwania rozpoczęliśmy w dniu zniknięcia chłopców. Wyspę da się przejść w jeden dzień, więc obszukaliśmy prawie cały teren. Prawie, bo do jednej góry nikt nie ma odwagi się zbliżyć. Mówią, że jest nawiedzona, że do kamiennego miasta na górze wróciły duchy naszych przodków. Od niedawna dochodzą stamtąd pohukiwania i wycia dzikich zwierząt. Niektórzy z nas nie wierzą jednak w te pogańskie przesady i wysnuwają inne podejrzenia. Cztery noce temu pojawiła się tam bowiem łuna ognia, po czym rozszedł się zapach pieczonego mięsa, a przecież widma nie potrzebują jeść. Nie to, co ci opętani przez szatana vaerińscy szaleńcy, którzy zachowują się jak dzikie zwierzęta i zamiast uczestniczyć w odbudowie Arkadii, włóczą się po wyspie. Ludzie zaczynają kojarzyć, że odnalezione ciała były zmasakrowane jak przez drapieżnika albo przez kogoś, kto taką bestię udaje.

Wina hamramirów była pewna jak ocet w grikklandzkiej zupie. Kupiec wyciągnął prawidłowy wniosek, a jego opowieść trzymała się kupy. Gdyby pieśniarz lubił marnować czas na rozpamiętywanie, zapewne teraz wyrzucałby sobie decyzję o najęciu szalonych wojowników. Jak dotąd zachowywali się podejrzanie spokojnie i układnie, choć poeta miał przeczucie, że mieli coś wspólnego z obciętymi dłońmi, które w Miklagardzie ktoś mu podrzucał trzy noce z rzędu w niewiadomym celu. Z szaleńcami jest jak z pogodą – cisza zwiastuje nastanie burzy. Jako dowódca Vaeringów musiał jednak iść w zaparte, bo czyny jego ludzi mogły zmatowić błysk jego własnych *tírr* i *tign*, sławy i honoru.

– Uważaj, kogo oskarżasz, pokurczu! Stoisz nie tylko przed skałą prawa, ale i przed sattarmadem, który jest przyjacielem samego autokratora i ma u niego posłuchanie.

Gyrgir milczał, marszcząc przy tym czoło.

– Powtórz mu to! – warknął Skald.

– Wstrzymaj się, konungu. To poważna sprawa. Jeśli twoi ludzie odpowiadają za te czyny, muszą ponieść karę. Najlepiej zawisnąć. Basileus nie toleruje morderców dzieci w swojej armii.

– Ainar ma rację! – Magnolf włączył się do rozmowy, znudzony widać beczynnym siedzeniem i popijaniem wina. – Nie możemy ulegać rybakom i stawać po ich stronie w sporach z naszymi ludźmi. Nastroje w obozie są kiepskie. Ludzie się nudzą i chcą krwi, ale na pewno nie własnej. Nie ręcę, jak zareagują na powieszenie kogoś ze swoich, nawet jeśli będzie to któryś z tych tańczących z bogami szaleńców.

– Chyba nie grozisz mi buntem? – Pieśniarz złączył brwi, po czym uniósł prawą z nich, wyrażając gniew, ale i zaciekawienie.

– Za kogo mnie masz, konungu? Jestem twoim wiernym sługą i każę oćwiczyć różgą każdego, kto ośmieli się zarzucić ci opieszałość w grabieżczych obowiązkach. Proszę tylko, byś bronił naszych ludzi, tak jak oni są gotowi stać u twego boku w bitwie.

Östmad uśmiechnął się brzydsko, dając Magnolfowi do zrozumienia, że pojął wszystkie jego ukryte groźby. Sam był jednak podobnego zdania co Krwawa Siekiera, więc jedynym ich problemem pozostawał topoteretes, który przerwał ich małą sprzeczkę:

– Nalegam, byś chociaż przesłuchał hamramirów. Pieniądze basileusa mogą załagodzić sytuację, jeśli zachowasz przynajmniej pozory praworządności.

Poeta dumiał przez chwilę, a że jego boski opiekun podzielił się z nim nie tylko biegłością w sztuce skaldycznej, ale i mądrością, szybko udzielił odpowiedzi:

– Dobrze. Powiedz im, by wrócili wieczorem, a ja tymczasem

przesłucham swoich ludzi. I wyjaśnij pozostałym oczekującym, że ich gęby tak mnie znużyły, iż nie będę już wysłuchiwał kolejnych narzekań. Niech przyjdą za tydzień.

„Ale już nie do mnie”. Za kilka dni Skald zamierzał odpłynąć do Miklagardu, zgodnie z wolą basileusa. Przed zimową porą sztormów wszyscy dowódcy i wpływowi możni mieli się zjawić w Byzantionie, by ułożyć plany wiosennych kampanii. Pieśniarz zamierzał korzystnie i przyjemnie wykorzystać swój pobyt w Carogrodzie na szukanie Kallirroie i naśmiewanie się z Alego, który próbował przeistoczyć się w prawego człowieka. Kilka najbliższych dni musiał jednak spędzić na przykrych obowiązkach.

Odnalezienie hamramirów wcale nie było tak trudne, jakby się mogło zdawać. Gaupahedin regularnie odwiedzał obóz, strasząc ludzi swoim kocim skradaniem się i cichym przemykaniem za ich plecami. Ainar dostrzegł go, gdy ten z dzbanem wina udawał się na popołudniową drzemkę pod drzewem oliwnym. Przywołał Rysia i kazał mu przyprowadzić braci.

Przysiadł w cieniu drzewa rosnącego na niewielkim wzniesieniu. Popijając czerwony trunek, ocenił postępy w budowie obozu. Gdyby zależało to tylko od niego, rozlokowałby ludzi na całej wyspie, nie trudząc się odbudową Dolnej Arkadii. Gyrgir zaczął się jednak mądrzyć i opowiadać o ponadtysiącletniej tradycji sztuki wojennej Romejów, która swoją doskonałość zawdzięczała właśnie umiejętności budowania obozów warownych. Topoteretes pokazał mu nawet księgę, gdzie dokładnie opisano sposób ich wznoszenia. Pieśniarz poszedł więc na ustępstwa i pozwolił rzezańcowi się trochę porządzić, bo w grę wchodziły przecież wygoda i okazałość nowej siedziby Skalda.

Obóz stanął dwieście kroków od morza. Miał kształt czworoboku chronionego z trzech stron kamiennym nasypem oraz fosą z morską wodą. Eunuch narzekał, że według planu wał powinien być ziemny i zwieńczony palisadą, ale że na wyspie było więcej kamieni niż ziemi, musiał przystać na lichą namiastkę muru. Czwarta strona, tylna, patrząc od morza, nie miała umocnień, gdyż była naturalnie chroniona przez skalny klif, do którego

przylegał obóz. Wnętrze vaerińskiej Arkadii poprzedzielane było ulicami, które tworzyły dziewięć zamkniętych pól. Ze znajdującego się na górze Emporionu obóz wyglądał jak tablica do gry, ale raczej nie w *hnefatafl*, bo była długa i szeroka na zaledwie trzy kraty. W środkowym polu stał jeden wielki namiot konunga oraz trzy mniejsze jego najwierniejszych ludzi. Pozostałe osiem kratek mieściło po dziesięć namiotów, a w każdej z nich mogło zamieszkać stu wojów. Łatwo było wyliczyć, że cały obóz mógł pomieścić o wiele więcej drengów niż pięć setek, jakie miał pod sobą pieśniarz, ale budowano go z myślą, że wiosną armia się rozrośnie. Na razie jednak wojownicy Północy zajęli trzy przednie i dwa środkowe pola, a w kratkach od strony klifu urządzono siedzibę Gyrgira i jego bandonu. Oddział Grikmadów powiększył się tydzień temu, gdy na wyspę przypłynęły dwa ogromne dromony i wysadziły setkę żołnierzy. Statki co prawda zaraz odpłynęły, ale na ich miejsce pojawiły się trzy niewielkie ousiakony, które zostały w porcie. Od tej pory topoteretes jeszcze mocniej wypinał swoją obrośniętą tłuszczem pierś i rozkazywał vaerińskim budowniczym, jakby rzeczywiście byli jego ludźmi. Zwykł też powtarzać każdemu, kto nie był na tyle szybki, by uciec, lub na tyle odważny, by kazać mu się zamknąć, że za potęgą Romejów stoją nie tylko dzielni żołnierze, ale całe pokolenia uczniów Euklidesa i Diophantosa, których *Stoicheia* oraz *Arithmetica*^[8] na zawsze zmieniły świat liczb i geometrii. Wszystko to ponoć było widać na przykładzie tego obozu, którego trzy kraty podniesione do *quadratum* dawały dziewięć pól tworzących doskonałą obronną twierdzę, tak pod względem strategii, jak i filozofii. Skald nie bardzo wiedział, kim są ci czarownicy o dziwacznych imionach i na czym polegała ich magia liczb, ale czuł głębokie przekonanie, że nie była zbyt potężna, skoro basileus wolał zatrudniać najemników niż owych wróżbitów. Przyznawał jednak, iż uporządkowany obóz robił wrażenie i lepiej nadawał się zarówno do obrony, jak do zarządzania podległym terenem niż przeciętny północny *borg*.

Dzięki sprowadzonemu statkami drewnu odbudowano też przystań, choć nie włączono jej do linii umocnień. Byłoby to trudne, gdyż nie znajdowała się w zatoczce. Stanowiły ją po prostu trapy i pomosty, które wychodziły

z plaży w głąb morza. Jedynym, acz wcale nie małym, zabezpieczeniem przystani były wbite w morskie dno pale, które otaczały półkolem port, pozostawiając niewielki wolny przesmyk. Tym sposobem w razie ataku wejście do przystani można było łatwo zamknąć łańcuchem albo zastawić je pojedynczym statkiem.

Ainar łyknął słodkiego wina, jednego z największych skarbów tej wyspy, i pomyślał, że obserwuje właśnie początek swojego pierwszego miasta. Nie było wielkie ani ludne, za to wypełnione drengami, którzy czuli głód zwycięstw i bogactw. Siłą ich oręża oraz własnym pomysłem mógł rozszerzyć swoje panowanie na sąsiednie wyspy i stworzyć morskie królestwo. W sojuszu z Miklagardem łupiłby bogactwa Serklandów. Ainar Skald konung Wysp Grikkländzkich. Taki tytuł brzmiał zacnie.

Marzenia karmione trunkiem zeszyły na plan dalszy wraz z osuszeniem dzbana i nadejściem posłańca. Powiadomiono go o czekających pod jego namiotem hamramirach.

Niechętnie cisnął puste naczynie i udał się z powrotem do obozu. Przeszedł przez bramę od strony morza, przespacerował się uliczką, zwyzywał dwóch ludzi za obijanie się i stanął przed swoją siedzibą. Okazało się, że na przesłuchanie stawili się również Magnolf i Gyrgir. Pieśniarz spochmurniał i zmarszczył czoło. Ze współsędziami nie było szans na szybkie i polubowne ułożenie się z szalonymi drengami.

Zaprosił wszystkich do środka.

– Śmierdzi od nich winą na milę – burknął do niego eunuch, odchylając poły namiotu. – Są tak głupi, że nie zmyli krwi z ubrań. To twoja wina, Skaldzie. Trzeba było ich krótko trzymać i zająć pracami budowlanymi.

Łatwo powiedzieć – pomyślał kowal słów. Na początku pobytu na wyspie chciał nawet zaproponować Berhedinowi, by jego grupa dołączyła się do pracy, ale jakoś nie mógł sobie wyobrazić hamramirów dźwigających kamienie i kopiących fundamenty pod domy. „Wilka nie nauczysz pilnowania owiec” – mawiała jego babka, więc i on nie miał zamiaru uczyć rzemiosła urodzonych zabójców.

W namiocie stały drewniany stół i ława. Prawdziwa rzadkość na wyspie,

gdzie nie było dobrego drzewa i budulec należało sprowadzać statkami. Konung machnięciem dłoni nakazał przybyszom usiąść, a sam usadowił się na swoim öndvegi – marnym odpowiedniku tronu basileusa. Drewniane siedzisko ustawione było na podwyższeniu z płaskich kamieni, przy ścianie przeciwległej do wejścia.

– Zebraliśmy się tutaj... – Pieśniarz zamilkł, słysząc, że używa zwrotów jak trzebieniec stojący na straży pałacowego ceremoniału. – ...*Helvíti*^[9]. Nie będziemy tutaj rzeźbić słowami. Mówcie, skąd krew na waszych kyrtillach!

Hamramirzy siedzieli w milczeniu i widać było, że tak ludzka poza jest im niewygodna. Dowódca szaleńców wiercił się na krześle i ocierał o ławę, ale w końcu zdecydował się na odpowiedź.

– Nie rozumiemy pytania. My nie pierzemy. Krew jest zawsze na naszych ubraniach.

– Zatem sprawa rozwiązana.

Ainar nie miał ochoty drażnić tematu, bo spór z bestialskimi wojownikami mógł mu solidnie zepsuć ostatnie dni pobytu na wyspie i wstrząsnąć podwalinami jego rodzącego się wyspiarskiego królestwa. Wolał zostawić ten problem swojemu zastępcy, Magnolfowi, oraz wścibskiemu Gyrgirowi, by załatwili go po cichu. Ten ostatni nie chciał jednak czekać do przyszłego tygodnia i zadał pytanie nasuwające się także Skaldowi:

– Te plamy wyglądają na świeże.

Opiekunem hamramirów był kłamliwy Göllnir, ale ich dowódca nie potrafił oszukiwać. Prychnął, podrapał się po głowie i już miał odpowiedzieć, gdy do rozmowy wtrącił się Gaupahedin:

– To Ryś i Hedin zawinili, nasz szalony konungu. Przyprawiliśmy braciom kózkę na kolację i krew z jej podrzynanego gardziółka trysnęła na wszystkich.

Pieśniarz ocenił okiem znawcy, że Rysiowi o wiele lepiej niż Niedźwiedziowi wychodziły kłamstwa. Zapewne tak samo dobry byłby

w nich Wilk, który uśmiechał się chytrze, wodząc językiem po dziurach między zębami. Pozostali bestialscy wojownicy zdradzali swoim zachowaniem, że coś ukrywają. Svinhedin węszył, jakby szukał żołądki, a Tur drapał się po okaleczonym nosie. Ciekawość zawsze wciągała poetę w tarapaty, ale że zwano go teraz konugiem kłopotliwym, uległ jej po raz kolejny.

– Ludzie powiadają, że macie siedzibę na jakiejś górze. Co tam robicie?

– Zwyczajne hamramirskie rzeczy. – Tym razem do kłamstw wyrwał się Niedźwiedź. – Wilk czyści futerko, Ryś oblizuje pazurki, Dzik ryje w kamieniu, a Tur szuka wśród traw czegoś, co zastąpi mu szczaw. Ber i Hedin pilnują natomiast swojej watahy.

– A czy wiecie coś o zaginionych chłopcach i zamordowanym małżeństwie? – Rzezaniec zadał pytanie, na które według Skalda lepiej byłoby nie znać odpowiedzi.

– Jako konung nakazuję wam mówić prawdę – wtrącił morski władca, nim któryś z szaleńców zdążył się odezwać. Musiał działać szybko, jeśli nie chciał, by hamramirzy pograżyli się swoimi zeznaniami. – Innym możecie kłamać, ale nie mnie. Radzę, byście uważnie przemyśleli odpowiedź na pytanie topoteretesa. Gaupahedinie?

– Młode koty zwykły chodzić swoimi drogami, ścieżkami i szlakami. Gdy Gaupa oraz Hedin nie byli jeszcze braćmi, tylko młodzikami, nic nie powstrzymywało nas od uciekania, łażenia po drzewach i uganiania się za zającami. Może ci grikklandzcy chłopcy są podobni? Uciekli? Zapodziali się? Wpadli do dziury? Zostali pogryzieni przez węże? Stali się mężczyznami i odpłynęli na inną wyspę?

– To samo mówiłem Grikkmadom! – Kowal słów ucieszył się, że wezwał do odpowiedzi właśnie Rysia, bo ten urodzony oszust świetnie pojął jego słowa. Gyrgir i Magnolf należeli do tych „innych”, którym należało kłamać. Poeta zadumał się, czy któraś z wymienionych przez Gaupahedina możliwości mogła ukrywać wiadomość zrozumiałą tylko dla niego. Może bestie w ludzkich ciałach zabiły chłopców i rzeczywiście wrzuciły zwłoki do jakiejś dziury? Teraz było to jednak bez znaczenia. –

A co z kamieniarzem i jego żoną?

– Gaupa i Hedin często patrzą, kiedy inni o tym nie wiedzą. Widzieli, jak rankami raz kamieniarz, a raz jego żona wymykają się z domu, jak biegną do pewnej osady i jak rozmawiają z jednym rybakiem, który później wypływa w morze. Widzieli też, że kamieniarz hoduje gołębie i czasem wypuszcza je z klatki i czeka, aż do niego wrócą następnego dnia. Ryś i Człowiek lubią, jak gołąbki są w ich brzuszku, a niekiedy latają po niebie. Gaupa i Hedin dbają o bezpieczeństwo swojego konunga i nie mogą pozwolić, by ktoś go potajemnie obserwował.

– Szpieczy? Tutaj? To śmieszne! Chyba nie uważasz, opętany orfiku, że ktoś uwierzy w twoje kłamstwa? Oczywiście jest, że to ty ze swymi braćmi zabiliście chłopców i niewinne małżeństwo!

Gyrgir mógł mieć rację, ale wzmianka o szpiegach pozwalała oskarżonym sprytnie wyjść z sytuacji. Pieśniarz nie był też pewny, czy Ryś zmyśla. Serklandczycy mogli tu mieć swoich ludzi, a przecież i Diarf był na wyspie wystarczająco długo, aby przekupić kilku mieszkańców. Tylko po co Serklandczycy lub Diarf mieliby chcieć otrzymywać stąd wiadomości? Takie wyspy jak Thera zwykło się łupić, a nie śledzić postępowanie jej mieszkańców. Najpewniej więc kamieniarz i jego żona wymykali się do swoich kochanków, a gołębie hodowali dla przyjemności lub na zupę.

– Uważaj, z kogo się śmiejesz, Grikkmadzie! Wolę wierzyć swoim ludziom niż skargom wrogo nastawionej ludności. Mój *sátt* jest taki, że hamramirzy są niewinni. I ta decyzja nie podlega dyskusji. Możesz jednak wynagrodzić poszkodowanym ich stratę, otwierając szkatułę basileusa.

– Uważaj, Skaldzie. Wieść o tym, jak postępujesz z Therańczykami, szybciej dotrze do uszu basileusa, niż ci się wydaje. Twojemu błyskotliwemu osądowi umknęła też jedna sprawa. Hamramirzy przyznali się do przewinienia. Ukradli kozę. Ukaż ich więc chociaż za to. Pokaż Therańczykom, że dbasz także o ich sprawy.

Poeta docenił mądrość rady, ale postanowił dać szansę hamramirom, by i z tego się wykpiłi.

– Ukradliście kozę?

– My nie kradniemy. My polujemy – tym razem odpowiedział Ulfhedin. – Czy Wilk lub Ryś mogą być winni temu, że nocą zakradają się do zagrody?

– Czyli ukradli! – krzyknął eunuch i wyglądało na to, że nie odpuści.

– Niech będzie. – Morski król był zawiedziony przyznaniem się do winy, bo musiał ustąpić Grikkmadowi. – Za kradzież owcy odbieram hamramirom miesięczną rogę. Za te monety kupimy całe stado dla naszych ludzi, a trzy kozy oddamy tutejszym gospodarzom.

– Przynajmniej w tym jednym okazałeś mądrość. – Mężczyzna bez brody nie okazał radości z wygranej. – Tylko pamiętaj, konungu, że krew kolejnych ofiar spadnie na ciebie.

Tym pieśniarz się nie przejmował, ale trapiło go coś innego. Jeśli dojdzie do kolejnych morderstw, oskarżenie znów padnie na hamramirów, a wtedy już nie będzie go w obozie, więc nie zdoła załagodzić sprawy. Gyrgir zaś na pewno postanowi schwytać szaleńców, co doprowadzi do krwawej jatki, bo topoteretes nie miał nawet mglistego pojęcia, do czego bestialscy wojownicy są zdolni.

– Jestem przekonany, że kolejnych zabójstw nie będzie – zapewnił eunucha spokojnym głosem, po czym już głośniejszym i rozkazującym tonem oznajmił: – Posłuchajcie mnie, szaleni synowie Arnhöfdiego. Jeśli na wyspie zauważycie szpiega, pochwyćcie go i przyprowadźcie do mnie lub do Magnolfa. Macie też trzymać się z daleka od tutejszej ludności i najlepiej obozujcie na tej swojej górze. O nudę się nie martwcie. W przyszłym tygodniu zorganizujemy wyprawę, na której będziecie mogli do woli zarzynać moich wrogów.

– Wyprawa? – Magnolf ożywił się. – Cieszę się, że w końcu posłuchałeś moich rad.

Gdyby pieśniarz rzeczywiście ich posłuchał, grabiliby okoliczne wyspy już od trzech tygodni. Chodziło o coś innego. Teraz obóz był już prawie gotowy, a ludziom rzeczywiście przydałoby się trochę rozrywki przed zimą. Tutejsi rybacy zapewniali, że do nastania pory sztormów są jeszcze dwa tygodnie. Akurat tyle, by Vaeringowie zorganizowali jedną wyprawę, a on w tym czasie zdążył dopłynąć do Miklagardu.

– Zawsze biorę sobie do serca mądre podszepty, Magnolfie. Weźmiesz dwa statki i zaatakujesz jakieś miasto na Krecie. Tylko nie zapomnij zabrać hamramirów. Oni zrobią tam więcej zamieszania niż wszyscy twoi ludzie razem wzięci.

– Wspaniała wiadomość, nasz ziemski opiekunie – nieoczekiwanie oznajmił Berhedin. Niewielu rzeczy można być pewnym w zachowaniu bestialskich wojowników, ale jednej na pewno: niechęci do dobrowolnej rozmowy z ludźmi. – A ty, nasz panie? Nie poprowadzisz nas do boju?

– Obowiązki konunga wzywają mnie niestety do Miklagardu. Ale nie smućcie się. Zostawiam was w dobrych rękach, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę z nowymi siłami i na wiosnę rozpętamy taką wojnę, że samo morze zapłonie!

Nie był do końca pewien, czy ręce Magnolfa rzeczywiście były tak dobre, jak twierdził. Nie ufał mu bardziej niż złodziejowi zagładającemu do cudzej sakiewki, ale wiedział też, że Krwawa Siekiera potrafił liczyć. Dopóki Skald zapewniał mu stały dochód w postaci comiesięcznej roga i do tego możliwość zdobywania łupów, można było oczekiwać od niego wierności.

– Z utęsknieniem czekamy, aż skrzywdzisz tę ohydną, słoną morską wodę – zakończył rozmowę Gaupahedin i zamruczał niczym głaskany po grzbiecie kot.

10

Pomoc Slavomirusa okazała się nieoceniona. Nie z powodu jego pomysłowości czy umiejętności śledczych, ale dzięki znajomościom. Wprawdzie Czarny Berserk sam dobrze wiedział, dokąd się udać i z kim zagadać, by znaleźć właściciela pandokeionu, ale problem polegał na tym, że nikt nie chciał z nim rozmawiać. Na jego widok wszyscy próbowali czmychnąć, a jeśli komuś się to nie udało, odpowiadał Alemu zdawkowo

i wymijająco, choć grzecznie z uwagi na pozycję berserka na dworze. Blamad nie miał co liczyć na wylewne rozmowy przy winie i przyjacielskie przysługi. Skald chwalił mu się kiedyś, że nie ma zagadki, której nie rozwiązałby za pomocą pięści i kozika do rzeźbienia. Podczas śledztwa wytatuowany wojownik był bliski wcielenia jego rady w życie. Hamował się jednak, bo bicie Grikkmadów w ich własnym mieście nie wydawało mu się rozsądne. Poza tym jedna bójka mogłaby wystarczyć, by berserks gang przemienił go w morderczą bestię. A przecież od chwili, w której rozstał się z Ainarem – konungiem złośliwców – i zaczął pracować w skryptorium, znów lepiej panował nad gniewem. Nie chciał tego zaprzepaścić. Musiał więc zdać się na wyczucie trzebieńca, który do każdego potrafił się uśmiechnąć, zagadać, wcisnąć monetę do sakiewki lub powołać się na znajomość z parakoimomenem Bazylim, który z racji stróżowania nad sypialnią basileusa miał stały dostęp do ucha władcy.

Zaczęli oczywiście od oberży „Słodkie Winogrona”, prowadzonej teraz przez kuzyna Teofanesa. Kuzyna jednak ani razu nie zastali w przybytku, którego zdawali się doglądać tylko niewolnicy. Właśnie od nich Slavomirus dowiedział się, gdzie mieści się dom Teofanesa. Na miejscu okazało się, że oberżysta nie był tam widziany od tygodnia.

Przez trzy dni ich dochodzenie stało w miejscu, ale w końcu od pewnej pornaski, którą ponoć lubił odwiedzać poszukiwany, rzezaniec dowiedział się, że właściciel gospody przebywa w domu swojego szwagra.

Popołudnie, które wybrali do chodzenia w gości, było deszczowe. Slavomirus twierdził, że to niechybny zwiastun nadchodzącej pory sztormowej, czyli czasu nieustających biesiad i igrzysk, bo właśnie wtedy do Byzantionu przybywały wszystkie znaczące rody Romejów. Ali wyszedł tego dnia wcześniej ze skryptorium, wymawiając się przed Finlogiem rwaniem w kościach, po czym spotkał się z eunuchem przy świątyni Hagia Euphemia en to Petrio.

– Po co ci ten dzban? – zapytał go na powitanie.

– No jak to, misiaczku? W gości z pustymi rękami?

Czarny Berserk prychnął, ale nic nie powiedział. Gotów był przyznać, że

jak dotąd przyjacielskie nastawienie rzeźniarza dawało lepsze rezultaty niż jego własna strategia polegająca na straszeniu rozmówców czarną gębą, spiłowanymi zębami i tatuażami. Byłby nawet polubił trzebieńca, gdyby nie jego dziecinne zachowanie.

Piętrowy dom, w którym przebywał Teofanes, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Miał warstwową konstrukcję tworzoną przez pasy białego i czerwonego kamienia. W mieście stały setki podobnych czworobocznych budynków.

Wystarczyło jedno westchnienie mężczyzny bez brody i Blamad zrozumiał, że lepiej będzie, jeśli zaczai się z tyłu, a rozpoczęcie rozmowy zostawi Slavomirusowi.

Schował się więc przed deszczem pod balkon sąsiedniego domu, by móc obserwować tył kamiennego schronienia Teofanesa. Nie widział stąd wejścia, ale słyszał głos eunucha, który na jego polecenie starał się mówić głosem donośnym, choć stanowczo zbyt piskliwym.

Drzwi otworzył jakiś mężczyzna, ale nie mógł to być poszukiwany, ponieważ rzeźniarza oznajmił:

– Witaj, szanowny gospodarzu, i pozwól, że się przedstawię. Zważ mnie Maleinosem i jestem uniżonym sługą opiekuna pałacowych piwnic.

Bardzo sprytnie – pomyślał Czarny Berserk. Slavomirus nie podał swojego prawdziwego imienia, bo rodzina Teofanesa mogła wiedzieć, iż był jedną z ofiar otrucia.

– Kristus z tobą. Czego tu szukasz?

– Proszę o wybaczenie, szanowny gospodarzu. Przychodzę w bardzo dyskretnej sprawie, właściwie z prośbą od mojego pana. Dlatego proszę, by nasza rozmowa pozostała tajemnicą.

Gospodarz musiał przytaknąć, gdyż eunuch kontynuował:

– Niedawno do miasta przyplłynęła dostawa *óinos arióúsios*, która budzi pewne wątpliwości mojego pana. Nie jest bowiem pewny, czy przywiezione mu wino na pewno pochodzi z wyspy Chios, a tylko tam wyrabia się przecież ten wspaniały gatunek trunku. Nie dopatrzył tego

u handlarza, a ten odpłynął zaraz po sprzedaży. Opiekun piwnic obawia się zatem, czy podać basileusowi wino o niepewnym pochodzeniu. Dowiedział się jednak, że w Byzantionie mieszka wybitny znawca trunku z Chios, który z całą pewnością może potwierdzić jego prawdziwość. Jest nim twój szwagier, bogobojny Teofanes, któremu Dionizos i święty Marcin muszą zazdrościć wyczucia smaku.

– Teofanes? Chyba miał to wino w „Słodkich Winogronach”, ale... musiałbym spytać. Problem w tym, że nie widziałem go od tygodni.

– Doprawdy? Och, zaprawdę wielka szkoda. Strażnik piwniczki basileusa byłby gotów odwdzięczyć się sakiewką złota za wybawienie go z kłopotów.

– Sakiewką, mówisz? Dobrze. Zostaw dzban oraz monety i wróc jutro. Może szwagier mnie odwiedzi.

– Wspaniale!

– Czekaj! Stój! Kto ci pozwolił wejść?!

Berserk domyślił się, że eunuch wziął zgodę za zaproszenie i zanurkował pod ramieniem gospodarza. Po chwili dobiegł go stłumiony odgłos dochodzący ze środka domu. Na szczęście większość okiennic było otwartych, więc Ali nadal mógł podsłuchiwać.

– Panie, tylko postawię dzban na stole, by nie nadużywać twojej pomocy. Ale co ja widzę? Wybacz. Myślałem, że jesteś sam, a masz przecież jakiegoś gościa. Bo chyba nie pijasz wina z dwóch kubków? Czy aby na pewno nie chcesz oszukać mojego pana? Czy to czasem nie twój szwagier zniknął właśnie w kuchni?

– To mój syn. Wyjdź już i weź swoje wino z powrotem, skoro mi nie ufasz.

– Dobrze, zważ tylko, że...

Blamad nie słuchał dalszej rozmowy. Przyglądał się mężczyźnie w szarym płaszczu i kapturze, który wychodził przez okno. Berserk nie chciał go wystraszyć, więc poczekał, aż otyły uciekinier wygramoli się z budynku, a następnie ruszył jego śladem.

Człowiek w szarym płaszczu minął dwa domy i wyszedł na szeroką ulicę. Jego ubranie szybko namokło wodą, przez co wyglądał jak gruba szmaciana lalka podniesiona z kałuży. Ali też był mokry. Szerokie szarawary zaczęły mu przeszkadzać w chodzie, a koszula, którą w Miklagardzie zwykł nosić zamiast lwiej skóry, opinała jego wielkie czarne ciało.

Zgromadzona na bruku woda chlupotała pod sandałami Czarnego Berserka. Przyspieszył kroku. Uciekinier musiał go usłyszeć, gdyż również zaczął wyciągać nogi.

– Dobry panie! Którędy do oikosu wielmożnego Symeona? – Blamad spróbował uprzejmie zatrzymać mężczyznę.

Grikkmad obrócił się, spojrzął na pytającego i rzucił się do ucieczki.

Czarny wojownik ruszył w pościg. Nie miał już wątpliwości, że śledzi Teofanesa, bo tylko on mógłby się tak przestraszyć, rozpoznając towarzysza Ainara Skalda.

Grubasek był szybki. Przebierał nóżkami niczym mały chrząszcz uciekający przed butem. Skręcił w uliczkę, przebiegł przez podwórze jakiegoś domu i wpadł na Mese. Na przekłętą ulicę, która w tym miejscu była jednym wielkim targowiskiem.

Ali zaklął, życząc sobie, by wąż Bida wypełznął z Nigru i oplótł nogi Teofanesa. Nic takiego jednak się nie stało, więc wyścig przemienił się w przepychanki z handlarzami i ich klientami.

– Sproszkowany róg jednoroźca postawi każdemu! – krzyknęła Blamadowi do ucha jakaś starowinka. Odepchnął ją. Poleciała na stragan z warzywami, a proszek z trzymanego przez nią woreczka wysypał się na właścicieli stoiska i rzeczywiście ich postawił, ale w gotowości do zwady.

Były wyznawca Wertragny minął powstający tumult, uciekając przed wyzwiskami. Oberżysta zniknął mu na chwilę z oczu, ale tłusty zadek Grikkmada pojawił się znowu między straganami ze świętymi obrazami.

– Ikona hagiosa Lukasa leczy wrzody!

– Święty Idzi wszystko widzi!

Sprzedawcy byli natrętni jak krowie muchy w Wagadou, więc Ali dosłownie musiał się od nich opędzać. Brukowana ulica miała szerokość trzech wozów, lecz w porze handlu stragany rozkładano nie tylko na poboczu, ale i na samym trakcie, przez co między kramami tworzyły się przejścia – wprawdzie liczne, jednak wąskie na jednego, i to niezbyt postawnego, mężczyznę. Deszcz, teraz już mniej ulewny, w niczym nie przeszkadzał sprzedającym, bo większość straganów miała daszki. W okolicy było też mnóstwo ergasterionów, które wytwarzały, magazynowały i sprzedawały różnorakie towary. Właściciele tych rzemieślniczych domów otworzyli wychodzące na ulice drzwi i wabili klientów wytworami wystawionymi w oknach wąskich fasad lub w cieniu arkad. W jednym z drewnianych ergasterionów chciał się schować Teofanes, ale gdy zorientował się, że Czarny Berserk go widzi, pobiegł dalej, strącając z okna dzban z oliwkami.

– Uważaj, grubasie! – krzyknął jakiś wyszczekany młodzieniec.

Ali przeskoczył nad rozbitym naczyniem, rozdeptał trzy czarne oliwki i rozepchnął się między dwoma osiłkami, którzy chcieli go zatrzymać. Zapewne bronili mu dostępu do kolejnego straganu – ze szklanymi wyrobami z Serklandów.

Brzuchaty oberżysta był zręczny, ale niewystarczająco. Potracił jakiegoś kupca, ten zachwiał się i podparł na ramieniu wątłego chłopca, a młodzieniec runął pyskiem na bruk, po drodze strącając szklaną figurkę. Cenną najwyraźniej, bo jej właściciel zaczął go okładać kijem. Ali dopadł do nich, złamał nos oprawcy i nie przestając biec, cisnął nim w stertę szklanych naczyń. Po odgłosach tłuczonego szkła oraz wyzwiskach mówiących o jego tępotcie, niezdarności i problemach z męskością Blamad zorientował się, że szkody były wielkie.

Uciekinier w szarym płaszczu skręcił w prawo, potem wbiegł w przejście między straganami i zniknął... Wojownik z Wagadou domyślił się, że mężczyzna zmienił taktykę – zamiast biec, wmieszał się tłum. Blamad przystanął i wpatrzył się w ciżbę. Przystawało padać, więc na Mese zjawiało się coraz więcej ludzi, wcześniej ukrytych pod balkonami

i schodami pobliskich budynków. W końcu wypatrzył Grikkmada w szarym kapturze. A zaraz następnego. Obaj byli niscy, otyli i – przynajmniej z tyłu – nie do rozróżnienia.

Aesma, święty szal, który był przekleństwem Alego, podgrzał mu krew w żyłach. Ze straganu z rzeźbami i wypchanymi zwierzętami zerwała się do lotu biała sowa. Ptasia hama siadła berserkowi na ramieniu i zahuczała:

– Zabij ich, zabij ich, zabij ich obu!

Mściwy duch Tirusa nie chciał, aby Blamad złapał żywcem oberżystę, gdyż to mogło doprowadzić do ujęcia truciciela i zażegnania niebezpieczeństwa zamachu na Skalda. Ptak zesłał mu wizję martwego poety, uduszonego, okaleczonego i sinego.

Ali puścił się biegiem, wybierając szarego Grikkmada po lewej. Przed nim znajdowało się stanowisko z kośćmi świętych mężów, a ich sprzedawca miał najdonośniejszy głos na targowisku:

– Palec świętego Georgiosa zapewni zwycięstwo w boju! Czaszka męczennika Mamanta chroni przed utonięciem, spaleniem, ugryzieniami dzikich zwierząt i...

Były ofiarnik Wertragny nie dowiedział się przed czym jeszcze, bo wyrwał czerep z ręki sprzedawcy i cisnął nim przed siebie. Czaszka poleciała szerokim łukiem. Okazało się, że z pewnością nie chroniła przed zdzieleniem w łeb, bo uderzyła w głowę mężczyzny w szarym płaszczu. Uciekinier przewrócił się na ziemię. Pobożni zaczęli się żegnać, inni chichotali.

Blamad dopadł leżącego i spojrzał mu w twarz. Była pulchna, ale nie należała do tego, którego szukał. Ze złością uderzył pięścią w belkę podtrzymującą dach straganu z koszami.

Rozejrzał się i zauważył drugiego mężczyznę w kapturze, który spokojnie oddalał się od gromadzącego się wokół czarnego wojownika tłumu. Ali dostrzegł też dwóch strażników Numerów, którzy najwyraźniej zostali powiadomieni o zamieszaniu na targu i przeciskali się w kierunku berserka.

Sowa, siedząca teraz na głowie nieprzytomnego mężczyzny, zahuczała

tak, jakby się śmiała.

Myśl! – krzyknął we własnej głowie przybysz z Wagadou, zagłuszając ptasie zawodzenie. Nie był przecież tylko zwałem mięśni, ale mistrzem gry w szatrandż, doradcą władców i miłośnikiem ksiąg. Tymczasem tłum napierał, otaczając go pierścieniem wściekłych kupców żądających zadośćuczynienia za poniesione straty – tak przynajmniej można było wnioskować po ich zaciśniętych pięściach i dzierzonych pałkach w dłoniach.

Ali uśmiechnął się do nich serdecznie, co spowodowało, że motłoch cofnął się o dwa kroki. Nie było czasu na wyjaśnianie, jeśli Blamad chciał jeszcze dogonić oberżystę. Sięgnął do woreczka zawieszzonego na szyi, wyciągnął z niego garść srebrnych monet i cisnął nimi w prawo.

– Za waszą szkodę!

Poszkodowani kupcy rzucili się w błoto szukać monet, choć przecież tak licha zapłata nijak się miała do ich strat. Potwierdzili tym porzekadło, iż chciwość jest kochanką każdego handlarza. Nieliczni, którzy swoich praw postanowili dochodzić z pałą w ręku, zostali łatwo odepchnięci przez berserka.

Teofanes zniknął w uliczce po lewej, zbiegając z Mese. Ali pobiegł jego śladem. Gdy skręcił w uliczkę, oberżysta był już na jej końcu, w pełnym biegu biorąc następny zakręt. Czarny Berserk był znakomitym biegaczem, ale znaleźli się w ciasnych zaułkach, gdzie przewagę dawała znajomość miasta. A banita z Wagadou nie mógł się w tym równać z rodowitym miklagardczykiem. Czuł, że grubas wymyka mu się z rąk.

Blamad skoczył w bok, unikając pomyj, które jakaś jędza wylewała wiadrem przez okno. Poślizgnął się przy tym na mokrym bruku i uderzył barkiem o pobliską ścianę.

Karczmarz ponownie skręcił w lewo, gdzie uliczka przechodziła w schody i wspinała się na jedno ze wzgórz miasta. Czarnoskóry wojownik zwietrzył w tym swoją szansę, bo swoimi długimi nogami mógł pokonywać po trzy stopnie na raz, a oberżysta już sapał ze zmęczenia. Właściciel pandokeionu miał jednak na tyle dużą przewagę, że zdołał dotrzeć na szczyt

schodów pierwszy i już miał zniknąć za kolejnym zakrętem, gdy na swojej drodze napotkał dzban z winem. Trzymane przez chłopięce ręce naczynie wyłoniło się zza rogu domu i zderzyło z głową uciekiniera. Zalany czerwonym trunkiem Teofanes padł na bruk.

Były czciciel Wertragny dotarł na górę i w pochylonej nad nieprzytomnym mężczyzną szczupłej postaci młodzieńca rozpoznał Slavomirusa, który szeptał do leżącego:

– Spokojnie, misiaczku.

Misiaczek nie odpowiedział, bo nadal miał zamknięte oczy. Widok ten rozbawił Alego i sprawił, że biała sowa się ulotniła.

– Skąd wiedziałeś, że będzie tędy biegł?

– Zgadłem. W pobliżu jest dom jego kuzyna, pomyślałem więc, że właśnie tam uda się szukać schronienia. Zresztą wcale nie było trudno usłyszeć, którędy biegnie czarny Achilles i jego zwierzyna.

Już kolejna osoba nazywała go imieniem grikklandzkiego bohatera, a wszystko zaczęło się od rozważań Nikefora Fokasa. Przydomek powoli zaczął do niego przylegać.

– Lepiej zabierzmy go z ulicy, zanim i straż za nami przybiegnie.

„My” oznaczało tylko Blamada. Czarny wojownik zarzucił sobie grubasa na ramię, a uczynił to z lekkością, jakby dźwigał worek pierza. Trzebieniec prowadził i szukał ustronnego miejsca.

Dotarli do niewielkiego okrągłego budynku z białego kamienia, który był otoczony rzędem kolumn i przykryty okazałą kopułą. Eunuch chciał go minąć, ale berserk skręcił w jego kierunku.

– Nie tam! – przeraził się Slavomirus. – Tam nie wypada. To martyrion hagiosa Akacjusza. Wielki ten mąż został tu zamęczony jeszcze w czasach, gdy miastem władali pogańscy władcy.

– Zamęczony? W takim razie to świetne miejsce – odpowiedział Ali i pchnął drzwi. Niewolnik podążył za nim niechętnie.

Świątynia była otwarta i pusta. W środku znajdowała się okrągła niecka zamknięta kręgiem marmurowych kolumn. Podtrzymywały sklepienie

i tworzyły galeryjkę, którą można było obejść dookoła wewnątrz martyrionu. W centrum niecki stała podłużna kamienna skrzynia, w której według zapewnień rzezańca spoczywało ciało świętego. Słońce wychodzące już zza deszczowych chmur wpadało do wnętrza budynku przez rząd okien i sprawiało, że posadzka z białego kamienia wydawała się pokryta śniegiem.

Blamad zamknął za sobą drzwi i położył oberżystę przy ścianie, ulegając prośbom rzezańca, by trzymali się z dala od świętej niecki. Uderzył Teofanesa w twarz, a kiedy ten zaczął się budzić, poprawił w drugi policzek, by grubasowi raźniej się wstawało.

– Gdzie ja jestem?... – wyjąkał właściciel pandokeionu.

– To nieistotne. Powiedz mi, kto chciał otruć Ainara Skalda?

– Po co? Przecież i tak mnie zabijecie.

Berserk pokręcił głową. Męczyła go już łotrowska sława, biorąca się głównie z jego wyglądu. Ludzie patrzyli na niego i od razu mieli przed oczami własną śmierć. A przecież był człowiekiem pełnym łagodności, który tylko okazjonalnie się denerwował, nawet jeśli ostatnio zdarzało się to trochę częściej niż zwykle. Na brzmienie słowa „zabijecie” przypomniawszy sobie ptasia hama – wleciała przez okno i przysiadła na skrzyni z ciałem hagiośa.

– Skąd te czarne myśli? Chciałem tylko uprzejmię porozmawiać, ale ty musiałeś wybrać trudniejszą drogę wyznania mi prawdy. Wszystko może się jednak dobrze skończyć. Widzisz tego eunucha? To człowiek samego basileusa. Nie musisz się niczego obawiać, tylko wyznaj nam prawdę.

– Twarz eunucha rzeczywiście wydaje mi się znajoma. Zaraz. To on tego dnia był z... – Więzień zawahał się i zamilkł.

– Tak. Dobrze poznajesz, to ja – wtrącił mężczyzna bez brody, odgadując powód milczenia oberżysty. – Nie musisz się jednak martwić. Nie żywię do ciebie urazy za otrucie.

– Do mnie? Ja nic nie zrobiłem. Mówiłem to już Numerom.

– Mówiłeś – zgodził się berserk. – Dlatego cię wypuszczono

i powiedziano nam o tym.

– Co przez to rozumiesz?

Czarny wojownik pokazał mu użębienie, jakby był na targu niewolników w Wagadou.

– Dobrze wiesz co.

Handlarz zamyślił się i potarł dłonią skroń. Z rozciętej brwi wypływała stróżka krwi, która ciągnęła się przez policzek aż do podbródka. Rany są chlubą wojownika, więc i zadraśnięcia wykonane dzbanem pełnym wina nie powinny przynieść wstydu, zwłaszcza karczmarzowi.

– Chcieli, byście mnie znaleźli i... zabili?

– Co ty tak z tym zabijaniem? My jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółmi, którzy chcą cię oczyścić z zarzutów.

– Jak to?... – spytał niepewnie.

– A tak to. Przecież wszystko wskazuje na ciebie. Jesteś właścicielem pandokeionu, w którym otruto gości basileusa.

– Drungariusz Numerów, który prowadził moją sprawę, osobiście zapewniał, że uwalniają mnie z braku dowodów. Jestem niewinny!

– A czy twoi klienci temu zawierzą? Jaki masz teraz utarg w pandokeionie? Mało coś tam ludzi, jak ostatnio sprawdzałem. Jeśli nie złapiemy prawdziwego truciciela, twoja oberża upadnie, a ty będziesz zmuszony opuścić Byzantion.

Ali dał mu czas na przemyślenie tych słów. W rozmowie, tak jak i w grze w szatrandż, każdy ruch winien być poprzedzony chwilą zastanowienia.

– A dlaczego tak ci zależy na odnalezieniu truciciela? Przecież nie ty padłeś jego ofiarą?

Blamad sam nie umiał tego dobrze wyjaśnić. Skald był dla niego kimś w rodzaju przyjaciela, brata krwi, choć nigdy nie znał drugiej osoby, która w równym stopniu by go denerwowała. Nie raz i nie dwa miał ochotę rozbić mu głowę kamieniem, wyrwać bezczelny język, ale z nikim innym tak dobrze mu się nie rozmawiało. Ani nie kłóciło. Co więcej, Ainar nie ganił go za wprawianie się w szal i nie traktował jak tępego osiłka – chyba

że w żartach.

Słabością Alego było również umiłowanie prawdy, bo zawsze dążył do jej poznania, nie uznając żadnych bocznych i tylnych słów, które omijały lub zaciemniały istotę rzeczy. Ponad wszystko chciał natomiast odnaleźć truciciela, by zrobić na złość białej sowie. Nie miał zamiaru być niewolnikiem ducha Tirusa, wydumał więc sobie, że najlepszym sposobem pozbycia się go z własnej głowy będzie sprzeciwianie się pragnieniom hamy.

– Nie wiesz, że jestem prawą ręką konunga Vaeringów?

– Słyszałem. Przepróż go więc, proszę, za wszelkie niedogodności, których zaznał w moim przybytku, i zapewnij, że to nie ja nastawałem na jego życie.

– Nadal się upierasz, że nie wiesz, skąd wziął się u ciebie dzban z zatrutą fouską?

– Nie mam pojęcia.

Blamad westchnął, pochylił głowę i pokręcił nią tak, by wyglądać na zawiedzionego. Przeczuwał, że kołysanie wężowego łba, którego miał wytatuowanego na łysinie, robi na więźniu ogromne wrażenie. Żmije zawsze syczą i bujają ciałem przed atakiem.

– W takim razie jesteś wolny. Możesz odejść.

Nie tylko Teofanes okazał zdziwienie. Slavomirus uniósł brwi i popatrzył pytająco na towarzysza.

– No co tak jeszcze siedzisz? Wstawaj i uciekaj do domu, zanim zbierze się na nową ulewę. I nie zapomnij wrócić na targ, by zadośćuczynić ludziom za szkody, jakie im wyrządziłeś podczas ucieczki.

Właściciel pandokeionu nadal siedział, jakby go przybito gwoźdźmi do posadzki.

– Puszczasz mnie wolno, panie?

– Wybacz. Myślałem, że dobrze mówię po grikklandzku. Mam ci to powtórzyć w innym języku?

– Nie. Nie trzeba. Dziękuję za waszą łaskę i grzeczność.

Oberżysta w końcu się podniósł, co nie przyszło mu łatwo, bo był cały poobijany. Pomógł mu kastrat, który jednak cały czas wypatrywał od Alego jakiegoś znaku.

– Nie dziękuj. W zasadzie żal mi ciebie. Nie będę mógł dłużej cię chronić, skoro sam tego nie chcesz. Myślę, że nie dożyjesz pierwszego śniegu.

Słyszając te słowa, gruby Grikkmad zachwiał się na nogach i ponownie usiadł, przewracając przy tym wątłego eunucha.

– Jak to „nie dożyję”?

– Mówiłem przecież, że chcę cię chronić. Ainar nakazał mi odnaleźć truciciela, a wobec twojego milczenia będę musiał mu powiedzieć, że albo ty jesteś winien, albo ukrywasz mordercę. Poznałeś Skalda. Wiesz, że nie przepuszcza zniewag. I tak żyjesz tylko dzięki temu, że straż zamknęła cię w lochu, a potem saekonung wyjechał. A wierz mi, poeta bardzo chciał się z tobą spotkać przed odpłynięciem na Thereę. Naopowiadał mi o torturach, które dla ciebie wymyślił. Chcesz posłuchać? Ciachanie męskości, dłubanie w ciele nożykiem do rzeźbienia, nabijanie na nogę od stołka, układanie pieśni pod melodię twoich krzyków...

– Przecież nie ma go w Byzantionie... – przerwał mu karczmarz ze łzami w oczach.

– Ale niedługo będzie, bo u gardskonunga ma się odbyć narada w sprawie wiosennych działań wojennych. Może tydzień, może dwa, a jego długa łódź przybije do portu w mieście. – Blamad zamilkł, dając czas grubasowi, by ten chwycił się ostatniej nadziei. Następnie pozbawił go również i jej: – A teraz, kiedy wiemy już, gdzie mieszka twój szwagier, kuzyn, ciotka i wszystkie cztery siostrzenice, łatwo będziemy mogli cię znów odnaleźć. Nigdzie się nie ukryjesz.

Złamany oberżysta zapłakał jak dziecko. Alemu nie sprawiło to przyjemności, ale przyniosło pewną ulgę. W końcu zbliżał się do uzyskania odpowiedzi.

– Naprawdę niewiele wiem. Nie znam człowieka, który przyniósł mi przednie wino i fouskę ze słowami, iż jest to podarunek od samego

basileusa dla moich gości.

– Kłamiesz! – krzyknął Slavomirus zdecydowanie za głośno. – Autokrator przysłał tylko mnie, bym dbał o jego gości. Żadnego wina nie przyniesiono z pałacu!

Wojownik z Wagadou uspokoił rozgorączkowanego trzebieńca jednym uniesieniem dłoni.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu?

– Masz mnie za samobójcę? Widziałeś, jak na tę wieść zareagował twój eunuch. Miałem powiedzieć strażnikom Numerów, że truciciela przysłał basileus? Nigdy nie opuściłbym lochu, gdybym rzucił takie oskarżenie. Zresztą młodzian z winem mógł przecież kłamać. Chociaż...

Teofanes zawahał się, jakby nie był jeszcze pewny, czy powinien wszystko wyjawić.

– Chociaż co?

– Ten młodzieniec... Wydaje mi się, że już go kiedyś widziałem. W Hipodromie. To chyba jeden z młodszych woźniców. Sam jeszcze się nie ściga, ale zdaje się, że jest pomocnikiem któregoś ze starszych powożących Błękitnych.

– Błękitnych? Jesteś pewny, że nie Zielonych?

Grikkmad popatrzył na niego z wyższością, co wyglądało żałośnie, zważywszy na krew i łzy płynące po jego pulchnych policzkach.

– Już trzylatek umie rozróżniać demy. To był człowiek Błękitnych.

Blamad uzmysłowił sobie, że w takim razie karczmarz miał jeszcze jeden powód do milczenia przed strażnikami. Numerowie trzymali przecież z Białymi, a więc stronnikami Błękitnych. Spostrzeżenie grubasa wydawało się jednak pozbawione sensu. Ali i Vaeringowie byli znienawidzeni przez Zielonych, za to wśród Błękitnych uchodzili za bohaterów, o czym zapewniał go sam Nikefor Fokas. Dlaczego ktoś z tego stronnictwa chciałby śmierci pieśniarza?

So day, Jasne Słowo, które w wierzeniach mieszkańców Wagadou uchodziło za prawdę ostateczną, wydało się teraz Alemu jeszcze bardziej

odległe niż na początku śledztwa.

11

Gaupa i Hedin trzymali się blisko masztu, bo tam było najdalej od wody. Umieli pływać, ale nie lubili, gdy zimna woda tryskająca spod piór wiosel moczyła im skórę. Woleli się ogrzać ostatnimi promieniami słońca przed nastaniem zimowych sztormów. Pozostali hamramirzy też wykazywali niechęć do morskiej wody, lecz obojętne im było, czy zostaną ochlapani, więc siedzieli bliżej burt. Wszyscy znajdowali się na „Bitewnym Żurawiu”, jednym z trzech okrętów, które brały udział w wyprawie. Trzech, nie dwóch, bo Magnolf i Gyrgir sprzeciwili się zaleceniom Ainara, gdy ten opuścił wyspę. Uznali, że większa liczba wojowników ułatwi napad, albowiem mieszkańcy Thery ostrzegali ich, że Kreta to ludna i dobrze broniona wyspa.

Przypłynąć, zrabować, odpłynąć. Cel wyprawy był prosty, ale spierano się co do sposobów jego osiągnięcia. Gyrgir proponował pokaz siły. Radził, by Vaeringowie wdarli się do bogatego miasta Chandax i tam dokonali szybkiej łupieży. Magnolf się sprzeciwił, a umiał przekonać do swoich racji nawet Grikkmada. Dlatego teraz to jego plan realizowano.

Snekkje o smukłych kadłubach i giętkich kilach wpłynęły do niewielkiej zatoki, która wedle zapewnień grikklandzkich przewodników winna być opuszczona. I rzeczywiście taka się wydawała. Drengowie ściągnęli żagle i na samych wiosłach zbliżyli się do brzegu. Dzięki małemu zanurzeniu statków mogli dopłynąć niemal do samej plaży o niemal czerwonym gruboziarnistym piasku, słabo podmywanym przez niewysokie fale.

Gaupa i Hedin z radością wyskoczyli z ohydneho, zbudowanego ze ściętych drzew morskiego rumaka. Niechęć wzbudziło w nich to, że wylądowali w sięgającej kolan wodzie. Pośpieszyli na plażę. Rozgrzany piasek i kamienie miło drażniły ich ludzkie tylne łapy. Bracia hamramirzy poszli śladem Rysia i Płaszca, podobnie jak większość Vaeringów.

Niektórzy żeglarze zostali na statkach, bo te nie miały być wyciągnięte na brzeg, ale – północnym zwyczajem – czekać zwodowane w gotowości do odpłynięcia.

– Nie zapomnieć kolczug! – krzyknął Magnolf, który pełnił funkcję dowódcy. Gyrgir został na Therze, bo choć hardy był w snuciu planów, to jednak powolny w działaniu, jak każdy człek z odgryzioną męskością.

Żaden z hamramirów nie nosił metalowej koszuli, ale większość snekkjamadów miała je na wyposażeniu i woziła w tobołkach. Nikt nie był tak głupi, by nakładać je na morską podróż, dlatego dopiero na brzegu Vaeringowie stroili się do bitwy. Z burt pościągano też tarcze, a z przestrzeni pod wioślarskimi ławkami wojownicy wydobyli miecze, topory i włócznie.

– Każdy do swojego gridu! – Magnolf raczej pospieszał, niż rozkazywał, bo wszyscy wiedzieli, w której dwunastce powinni się znaleźć.

Plan był prosty, dobry i krwawo się zapowiadający, dlatego miły dla uszu Gaupa i Hedina. Krwawa Siekiera znał się na łupieżach, jakby sam był hamramirem. Dobrze wiedział, że o powodzeniu decydowała nie siła uderzenia, ale zaskoczenie i prędkość w działaniu. Trzydziestu zbrojnych zostawił do pilnowania statków, a resztę podzielił na dziesięć dwunastek i polecił im łupić wioski oraz pojedyncze gospodarstwa leżące najdalej pół dnia drogi od statków. Rabując w wielu miejscach naraz, najeźdźcy mieli uchodzić w oczach mieszkańców Krety za olbrzymią armię, która zaatakowała całą wyspę. Zastępca Skalda przekonywał, że dzięki temu wybiegowi żadna wieś nie usłucha wezwania o pomoc od sąsiednich osiedli.

Jedenasty grid stanowiła piątka hamramirów, choć w oczach ich samych było ich dziesięciu. Jakkolwiek jednak liczyć, i tak tworzyli niekompletny oddział. Nikt nie odważył się jednak wytknąć tego tańczącym wojownikom, tak jak nikt nie wyznaczył im zadania. Magnolf ostrzegł ich tylko, by tak jak pozostałe grupy nie atakowali większych, dobrze bronionych miast. Celem wyprawy był bowiem mord, pożoga i zniszczenia, a zapłatą jedyny towar, który łatwiej zdobywać na biedakach niż na bogaczach. Niewolnicy.

Biedak nawykły jest bowiem do bata, a przy tym bywa silny, zdrowy i pracowity, podczas gdy spasiony bogacz gnuśny jest od leżenia i nie nadaje się ani do pług, ani do miecza.

– A jeśli chodzi o gwałty... – oznajmił poważnym tonem Krwawa Siekiera, gdy wszyscy byli już gotowi do wymarszu – ...to pamiętajcie o kolejności. Najpierw zabijamy hardych obrońców, potem pętamy niewolników, następnie rabujemy i dopiero wtedy gwałcimy.

– Tfu. – Jeden z brzydszych Vaeringów o twarzy chropowatej jak kora drzewa splunął na piasek. – A dlaczego nie najpierw? Wystarczy, że na Therze nie możemy się zabawiać z Grikklandkami.

– Ano dlatego, że damskie uda oferują skarby cenne, ale ulotne. Jeśli będziesz się za nimi zbyt długo uganiał, nie zdziw się, że z wyprawy wrócisz jako gołodupiec, bo towarzysze sprzątną ci łupy sprzed nosa. Zresztą możecie też przyprowadzić branki na statki i już w Arkadii cieszyć się nimi do woli.

Odpowiedział mu gromki rubaszny śmiech.

– I nie zapomnijcie podpalić wioski, kiedy już będziecie ją opuszczać. Dzięki temu inne gridy będą z daleka widzieć, że nie mają po co tam iść. Zrozumiano?

Zbiorowe „aha” należało wziąć za „tak”.

– Bram, Egil i Hall idą z drużynami na zachód. Gylfi, Frodi, Olvir rabują na północy, a ja z Igorem, Mscisławem i Hognim udamy się śladem Magniego wyprawiającego się na olbrzymy. Jeśli zaś chodzi o hamramirów... – Magnolf zamilkł, po czym machnął zrezygnowany ręką. Bestialscy wojownicy szykowali się już bowiem do boju, a w tym nie należało im przeszkadzać.

Gaupa i Hedin przewiązali sobie włosy kocim futerkiem, obnażyli pazurki i wylizali ostrza niewielkich toporków. Lubili chodzić czysti w bój. Ich bracia nie dbali o swój wygląd, ale i tak dla postronnych obserwatorów musieli się wydawać nie mniej dziwaczni. Ulfhedin biegał dookoła plaży i obsikiwał wszystko, co mógł. Znaczył teren, oznajmiając tutejszym drapieźnikom, że przybył na wyspę. Berhedin – z braku drzew –

położył się i szurał plecami o piasek. Urrhedin stał na czworakach i muczał, rzucając wyzwanie okolicznym bykom. Svinhedin rozebrał się do naga i podskakiwał, trzymając swoje dwa kły, czyli włócznie o wąskich grotach. Połowa jego brzydkiej męskości nie była tak okazała jak niegdyś, ale ciągle działała i była gotowa do boju. Gdy wszyscy hamramirzy zrobili już to, co podpowiadały im zamieszkujące w głowach duchy bestii, zebrali się i usłuchali pragnień Hedinów. Chwycili się za bary i zaczęli tańczyć w kole. Przebierali nogami coraz szybciej i szybciej, a czasem przystawali, by skakać, muczeć, wyć, miauczeć, kwiczeć i pomrukiwać.

Gdy skończyli, na plaży nie było już Vaeringów.

Berhedin mruknął i wszyscy pojęli, co mają robić.

Ryś i jego ludzki brat pobiegli, kulejąc. Za nimi ruszył Ulfhedin. Stanowili straż przednią. Kiedyś, gdy był z nimi jeszcze Haukrhedin, w rodzinie panowała większa równowaga. Wtedy trzy pary bestii i Hedinów ruszały przodem, podczas gdy trzy pozostałe trzymały się z tyłu. Haukrhedina mógłby zastąpić podstępny mistrz pełzania Ormhedin, ale tego wciąż nie udało się im stworzyć, choć próbowali. Hamramirzy porwali chłopców, którzy włóczyli się po okolicy, ale żaden z nich nie okazał się godzien zostania bestialskim wojownikiem. Jak dotąd żaden nie przeżył nawet połowy prób.

Gaupa i Hedin znaleźli drzewa, a nic nie mogło ich bardziej ucieszyć. Przytulili się do kory i wciągnęli nieznamy zapach tutejszego lasu. Widzieli, że ich brat Ulfhedin robił podobnie, z tym że on jeszcze je obsikiwał. Ta wyspa była krainą bestialskiej szczęśliwości w porównaniu z ohydą skalistą Therą. Tutaj też widzieli góry – i to wysokie – ale nie brakowało wąwozów, łąk ani lasów. Ziemia była żyzna i pachniała zbożem oraz trawą, a łąd rozciągał się tak daleko, że nawet z morza nie było widać, iż jest to wyspa. Ryś i Płaszcz wciąż tęsknili za zapachem sosen, za wykrotami w dzikich ostępach, za powalonymi przez huragan pniami, za plątaniną gałęzi i za krzakami malin, ale czuli, że na Krecie dałoby się żyć.

Położyli się na ziemi i wytarzali. Nie lubili brudu, ale jeszcze bardziej nie cierpieli, gdy ich wygląd nie pasował do okolicy. Nosili kyrtill

stworzony ze zszytych ze sobą zielonych, żółtych i brązowych łąt, który świetnie maskował ich w puszczech Glaesiru, ale nie w grikklandzkich lasach, bo tutejsze pnie były jasne, czasem nawet białawe lub srebrzyste, a trawy zżółkłe od słońca.

Przebiegali od drzewa do drzewa. Przykucali to za skałą, to za krzakiem, to w ziemnej rozpadlinie. Poruszali się tak cicho, że nie zauważył ich nawet dziwny niebieski paw siedzący między skałami. Oni zauważyli jego. Dopadli ptaka w dwóch susach, ukłębili łebek i napili się świeżej krwi. Odrzucili resztki.

Potruchtali dalej, chłonąc przyjemny ból kolan. Przyjemny, bo przypominający im o Haukrhedinie. Słyszeli, że pięćdziesiąt kroków za nimi skradali się, albo przynajmniej usiłowali to robić, Berhedin, Urrhedin i Svinhedin. Zdaniem Rysia i Płaszczka ich bracia poruszali się ociężale i niezgrabnie, bo łamali gałązki i tręcali kamienie. Ulfhedin był znacznie zwinniejszy, przez co pozostawał niewidoczny nawet dla oczu Rysia i jego brata człowieka. Ale nie dla ich nosa. Woń moczu oraz potu znaczyły trasę przejścia Ulfhedina, a on sam śmierdział przetrawionym winem i kozim mięsem.

Pięć ludzkich ciał i pięć duchów bestii wyruszyło na polowanie.

Gaupa i Hedin ujrzeli dym oraz łunę pożogi. Vaeringowie też potrafili swoimi prostackimi sposobami siać strach i zniszczenie, choć nie mogli się równać z hamramirami.

Ryś i Hedin, jako przewodnicy, mieli wybrać cel ataku. Zamiauczeli dwa razy, dając braciom znak, że skręcają na wschód od dymu.

Poszli w górę wzniesienia, a następnie w dół, gdzie mieściło się niewielkie sioło. Osiem drewnianych chat i cztery kamienne domy. Było przedpołudnie, więc ludzie kończyli poranne prace i wracali do domów na krótki odpoczynek. Gaupa wybrał sobie za cel rosnącego Serklandczyka z kosą w rękach, a Hedin wskazał dziewczynkę bawiącą się szmacianą lalką w cieniu drzewa. Klócili się chwilę w ich wspólnej głowie, aż każdy poszedł na ustępstwa i wspólnie wybrali grubą ludzką kocicę piorącą koszule w drewnianej balii.

Przywarli do ostatniego drzewa przed wsią. Kiedy nikt nie patrzył w ich stronę, przemknęli i schowali się za ścianą wychodka. Ktoś był w środku, bo śmierdziało i słychać było stękanie. Skrzywili się z obrzydzenia, a ich wąsik zaczął drgać wraz z rozdrażnionym nosem.

W dwóch susach znaleźli się za ścianą kamiennego domu. Zerknęli przez okno. W środku spał mężczyzna.

Przywarli mocniej do kamieni i obnażyli schowane do tej pory za pasem pazurki, bo usłyszeli tupot małych stóp. Zza chaty wybiegł psi szczeniak, a za nim chłopiec z drewnianym mieczykiem. Dziecko stanęło i wpatrzyło się w nich z rozdziawionymi ustami. Nie miało więcej niż sześć lat. Hedin chciał zmienić cel ataku, ale Gaupa prychnął na niego w ich wspólnej głowie, więc tylko cichutko zamiauczeli, przyłożyli palec do ust i wyszeptali:

– Ciii.

Chłopiec roześmiał się i pobiegł dalej, bo uciekający szczeniak miał już nad nim sporą przewagę.

Ryś i Płaszcz podskoczyli i wspięli się na dach. Przeszli na drugą stronę domu. W dole, na pniaczku przy drzwiach, siedziała praczka.

Zeskoczyli bezszelestnie i wylądowali za plecami kobiety, która zginała plecy nad drewnianą balią. Ciachnęli ją oboma pazurkami – mocno, wcale nie po kociemu. Ostrza toporków zanurzyły się w karku niewiasty aż po same trzonki. Zazgrzytały o siebie w środku ludzkiego ciała. Krew trysnęła, a głowa wraz z szyją spadła po tarce wprost na koszule leżące w pełnym wody pojemniku, psując czerwienią wysiłek praczki.

Plusk i cichy zgrzyt były jedynymi hałasami towarzyszącymi morderstwu. Kobieta nadal siedziała pochylona nad praniem, tyle że bez głowy. Gaupa i Hedin wycofali się do lasu, przemykając od ściany do ściany. Wiedzieli, że drugi zwiadowca gridu, Wilk, dokonuje właśnie innego krwawego czynu na cześć Göllnira i wznieca strach w owczych sercach Kreteńczyków. I na tym obaj poprzestaną. W wiosce nie było nic cennego, nie było też widać młodych, silnych, nadających się na niewolników młodzieńców. Należało udać się w ludniejsze miejsce, a mieszkańców tej małej osady zostawić

w przerażeniu, aby do końca dnia siedzieli zamknięci w swoich domach.

Hamramirscy zwiadowcy nie szukali długo. Większe osiedle składało się z kilkudziesięciu domów i jednej świątyni z wieżą nazywaną w tych stronach masdżidem. Gaupa i Hedin nie znali się na ludzkich domach, świątyniach, zdobieniach ani rzeźbach, ale ta sadyba wydała im się bogata. Większość domów została wzniesiona z białego kamienia, serklandzka świątynia była zwieńczona miedzianą kopułą, a między budynkami przechadzały się tłuste koty. Koty oznaczały myszy, myszy wskazywały na pełne zboża spichlerze, a obfitość pokarmu – na ludną i dostatnią miejscowość. Tutaj też nie było gwarnie, bo ludzie pouciekali do domów przed południowym słońcem, pewnie z letniego przyzwyczajenia, bo dziś wcale nie było gorąco. Ryś i Płaszcz zamiauczeli trzy razy, oznajmiając Wilkowi, że wybrali już cel właściwego ataku. Odpowiedziało im trzykrotne wycie, a potem, z oddali, dobiegło ich jeszcze muczenie, ryk i kwik.

Tym razem poczekali na ciężkie uderzenie. Ryś i Wilk byli najszybsi z bractwa, więc lepiej nadawali się do osaczenia i okrążania zwierzyny niż do jej wyrzynania. Gaupa i Hedin potruchtali na wschód osady, bo zawsze wybierali ten kierunek. Wiedzieli, że Ulfhedin udał się na północ, a pozostali bracia uderzą od zachodu i południa.

Ryś i człowiek wspięli się na dach wysokiego domu, by ludzki morderca w ich głowie nie przegapił nic z rzezi, a rysy łowca miał baczenie na całą okolicę. Zauważyli swoich braci wcześniej, niż dostrzegli ich mieszkańcy miasteczka.

Berhedin, Svinhedin oraz Urrhedin wybiegli zza drzew i skał. Poruszali się w milczeniu. Niedźwiedź zwrócił się w kierunku śniadego mężczyzny w brunatnej sukience i białej płachcie na głowie, który niepewnie trzymając drewniane widły, patrzył oniemiały na dziwaczego napastnika. Miś był bosy, a nosił tylko podarte spodnie. Straszyl nagim, porośniętym gęstym futrem torse, na którym dyndała zwisająca z szyi niedźwiedzia łapa. W rękach dzierzył ogromną maczugę zakończoną nabijaną żelaznymi kolcami czaszką miodożercy. Wziął zamach jedną ręką i uderzył pałą w łeb

Serklandczyka, jakby to była piłka do gry w *knattleikr*. Kolce wbiły się w ucho i skroń, a głowa odchyliła się z trzaskiem pękającego kręgosłupa, po czym ułożyła na ramieniu mężczyzny. Widły padły na ziemię, a za nimi podążyło martwe ciało. Przywódca hamramirów ryknął, oznajmiając braciom, że przelał pierwszą krew. Zaprosił hamramirów do wspólnego zabijania.

Tym razem bestialskie zawołania nie miały być tylko zwykłymi sygnałami. Miały przerażać. Wokół miejscowości rozległ się kwik, wycie oraz muczenia. Gaupa i Hedin również zamruczeli, głęboko, głośno i przeciągle, jak ranny zwierz szykujący się do ataku. Wyobrażali sobie, jak mieszkańcy truchleli ze strachu, po czym nakazywali swoim ludzkim kociakom i kocicom pozostać w domu, a sami szli sprawdzić, co się dzieje. Przynajmniej to ostatnie okazało się prawdą, bo mężczyźni wychodzili właśnie z budynków, uzbrojeni w to, co mieli pod ręką. W młotki, sierpy, włócznie, noże, a niektórzy też w zakrzywione miecze.

Następny był Svinhedin. Nagi wojownik był najmniejszy i najgrubszy spośród braci, ale wśród ludzi o zajętych sercach właśnie on wzbudzał największy postrach. Szarżował na swoich krótkich nogach, z sadłem skaczącym na brzuchu, z szablami dzika zwisającymi mu z przekłutych sutków, z okaleczoną męskością i z dwoma włóczniami trzymanymi na wysokości uszu. Zmierzał ku dwóm Serklandczykom z sierpami w dłoniach. Pierwszy z nich nie okazał się suczką z podkulonym ogonem i ruszył napastnikowi na spotkanie. Nie zdążył nawet wziąć zamachu. Groty wbiły mu się w oba barki. Szalony odyniec uniósł konającego i nawet się nie zatrzymując, pobiegł dalej, ku drugiemu wrogowi. Będąc dziesięć kroków przed nim, rzucił włóczniami, na których nadal tkwił jęczący nieszczęśnik. Drugi Kreteńczyk uskoczył, a bezwładne ciało jego towarzysza zważyło się na ziemię tuż obok. Wyznawca Maumentsa zamierzył się sierpem na rozbrojonego hamramira. Dzik szarpnął się w prawo, a zakrzywione ostrze drasnęło go w udo. Szalenię zakwicział radośnie. Doskoczył do śniadego wojownika, chwycił go za przegub uzbrojonej ręki, wykręcił ją i złamał jednym szarpnięciem. Palce Serklandczyka rozluźniły się, ale zanim sierp

dotknął ziemi, zdążył go pochwycić Svinhedin. Tańczący dreng odwrócił ostrze wewnętrzną stroną ku niebu, zaszedł mężczyznę od tyłu i skosił go między nogami, od dołu do góry. Ostrze przecięło sukienkę, wbiło się w ciało i utkwilo w kości, a wtedy hamramir napał na rękojeść, wbijając sztych broni w pępek przeciwnika. Kiedy zaś pociągnął w dół, z rozciętego brzucha Kreteńczyka wyleciały wnętrzności.

Do Urrhedina nie chciał nikt podejść. Zwalisty, odziany w czarny kaftan i podkute buty wojownik rozhuśtał swoje rogi. Żelazne kule na długich linach zataczały szerokie kręgi nad jego okrągłą łysą głową przypominającą głaz. Z braku odważnych sam podszedł do najbliższego drewnianego domu. Grzmotnął kulami w ścianę, aż zatrzęsł się cały budynek i zaczęły z niego spadać deszczułki. To poskutkowało. Drzwi się otworzyły, a ze środka wyskoczył dziadek i dwóch młodzieńców, wszyscy z siekierami w rękach. Tur od razu pobódl starego – zamachnął się kulą, miażdżąc mu czaszkę. Młodzi byli w cenie, więc dał im czas na zabawę. Pozwolił, by go otoczyli i uskoczył przed kilkoma rąbnięciami. Dla Gaupa i Hedina było jasne, że brat sprawdza zwinność, szybkość i siłę śniadych wyrostków. Jeden musiał go zawieść, bo Urrhedin wypuścił kulę przed siebie i zmiażdżył mu twarz. Drugi spełniał oczekiwania, więc Tur machnął kiścieniem w taki sposób, że lina obciążona kulą owinęła nogi Serklandczyka, a mocne szarpnięcie bestialskiego drenga zważyło go na ziemię. Hamramir kopnął jeszcze leżącego w brzuch, dobył postronek i związał młodzianowi ręce oraz nogi.

Przerażona widokiem siły, męstwa i szalonego bestialstwa zwierzyna postąpiła zgodnie z oczekiwaniem łowców. Spłoszyła się. Mężczyźni, którzy wcześniej wyszli z domów, teraz do nich wracali lub biegli na drugą stronę osady, zapewne po to, by schronić się w lesie. Część kobiet i dzieci skierowała się ku skałom i drzewom. Przewidując taki ruch zwierzyny, na uboczu czekali Gaupa i Hedin oraz ich wilczy brat.

Ryś i Płaszcz zeskoczyli z dachu, tracąc z pola widzenia pozostałych hamramirów. Zamiauczeli, mruknęli i prychnęli, ostrzegając uciekinierów, że ta strona osady jest zamknięta. Nie wszyscy posłuchali. Biegła ku nim młoda dziewczyna z obfitymi wymionami, które mogłyby wykarmić

niejedno młode. Od zapachu jej kształtnego tyłka niejednemu kocurowi zjeżyłaby się sierść na ogonie. Stworzenie ruszało się zwinnie, kołysząc zalotnie, ale skomlało niczym topiony w stawie szczeniak. Hedin pomyślał, że już dawno nie mrucał u boku kobiety, ale Gaupa zganił go, bo nie mieli czasu na ruję. Pokazali jej więc tylko swoje pazurki i dali spokój, gdy zmieniła kierunek biegu, po czym schowała w szopie. Po kocie mu przywitali natomiast dwóch uciekających w ich stronę mężczyzn, którzy wyglądali na Grikkmadów. Krzepcy Kreteńczycy biegli w samej bieliźnie, ale w rękach dzierżyli cepy. Choć dobywający się z ich ust okrzyk bojowy wskazywał na ukryte pokłady odwagi, obaj byli za starzy, by nadawali się na niewolników. Ryś i jego ludzki brat szybko ich zabili. Jednego dziabnęli w kark, drugiemu rozorali toporkiem pierś. Dwa trupy u ich stóp skutecznie odstraszyły innych uciekinierów. I taki był właśnie plan. Gaupa i Hedin zaczął powoli iść, zaganiając mężczyzn z powrotem do środka osady. Wiedzieli, że podobnie robił Ulfhedin.

Nim Ryś i Płaszcz dotarli na miejsce, zabili jeszcze trzech mężczyzn. Gdy wkroczyli na plac przed świątynią, na którym widniały ustawione w rzędzie kamienne cembrowiny trzech studni, gnali przed sobą czterech młodzieńców. Inni bracia byli już na miejscu. Na środku placu zgromadziły się dwa tuziny Kreteńczyków otoczonych przez garstkę hamramirów. Dwóch maumentsańskich tchórzy rzuciło się w kierunku świątyni, zapewne po to, by zabarykadować się w środku. Ulfhedin był szybszy. Długonogi, chudy, ubrany na szaro wojownik potrząsnął wilczym łbem, który nosił na głowie niczym czapę, i zwinnie wbiegł między uciekinierów a drzwi. Skryty za tarczą, zawarczał, zastukał mieczem o żelazne umbo, uniósł wargi i pokazał uzębienie, w którym brakowało kłów. Doskoczył do Serklandczyków i podstępny cięciem od dołu uciął jednemu z nich nogę w kostce. Podszedł do drugiego, przyjął na tarczę uderzenie kamieniarskiego młota, wywinął się, uskoczył, doskoczył i ciachnął wroga w bok.

Pozostali Kreteńczycy znaleźli w sobie tyle odwagi, by już nie uciekać. Przytomnie zbili się w kupę i z obnażoną bronią szykowali do obrony. Atak

jednak nie nastąpił. Śniadzi, ubrani w sukienki mężczyźni musieli się tym zdziwić, ale też nabrać otuchy, gdyż na własne oczy zobaczyli, że napastników było tylko pięciu. Nie mogli wiedzieć, że w głowach hamramirów siedzi kolejna piątka bestialskich zabijaków.

Wojownicy Göllnira zaczęli okrążyć Kreteńczyków, wybierając słabe sztuki w stadzie.

Gaupa i Hedin zobaczyli strach w oczach jednego ze śniadych ludzi i poczuli woń moczu spływającego po jego nodze. Doskoczyli do wymoczka i rąbnęli go pazurkiem w brzuch. Innych zniewieściałych podrostków, a nawet dojrzałych już mężczyzn, zabili pozostali tańczący wojownicy. Gdy w boju pozostało dwunastu zdrowych i odważnie broniących się młodzieńców, Berhedin krzyknął do nich po serklandzku. Wymówił jedyne słowa tej dziwacznej mowy, jakie znał, a nauczył się ich od pewnego żeglarza, który płynął z nimi na statku.

– Rzucić broń, to pójść w niewolę!

Pierwszego, który posłuchał, przywódca szaleńców zatłukł na śmierć osobiście. Pozostali zrozumieli nauczkę i nie wypuścili broni. Spadli na nich inni hamramirzy, którzy rozbierali Kreteńczyków, dotkliwie bijąc ich pięściami, trzonkami, drzewcami i rękojeściami broni.

Wkrótce wszyscy młodzieńcy leżeli na ziemi. Dwóch, którzy zaczęli płakać i błagać, zostało zabitych. Tych zaś, którzy przeklinali, pluli napastnikom pod stopy, próbowali ich gryźć i rzucali im nienawistne spojrzenia, hamramirzy skępowali i postawili na nogi. Ocalała dziewiątka wykazywała pewne zdolności do zostania bestialskimi wojownikami, choć szansa na ich udaną przemianę i tak nie była za wielka.

Pognali niewolników z powrotem do lasu – jak zwierzynę, którą w rzeczywistości byli. Schwytanych czekało jeszcze mnóstwo pracy, jeśli mieli się zmienić w łowców. Hamramirzy kierowali się z powrotem ku statkom. Wszyscy łupieżcy mieli tam wrócić późnym popołudniem, by jeszcze przed zmrokiem flota zdążyła odbić od brzegu. Powóz ze słońcem dopiero niedawno dotarł na szczyt nieba, więc szaleni wojownicy mieliby czas na złupienie kolejnego osiedla. Tyle tylko, że nie było takiej potrzeby,

bo i tak nie byliby w stanie pojmać więcej młodzieńców. Gaupa i Hedin wybrali okrężną drogę, gdyż na myśl o powrocie na skalistą Therę robiło im się niedobrze, jakby w gardle utkwiał im kłaczek. Poprowadzili braci wąwozem pomiędzy dwiema zarośniętymi lasem górami. Z oddali widać było skaliste i białe wierchy, które wysokością nie ustępowały Długim Góróm na wschodzie Odainsaku. Skrzywili się na samą myśl o spacerach po tak wysokich szczytach, ale z radością patrzyli na niższe, pokryte zielenią wzniesienia. Chcieli pokazać braciom uroki wyspy, sprawić im przyjemność zapachem iglastych drzew, widokiem dzikich ostępów i smakiem wody z wypływających ze skał strumyczków. Ryś i Płaszcz pragnęli, by tańczący wojownicy zaczęli się zastanawiać, później zaś wątpić.

Natrafili na trop dzikich koziółków, a po chwili dostrzegli je rysim okiem zaklętym w ludzką źrenicę. Gaupa i Hedin słyszeli od Grikkmadów, że rogate zwierzaki zwano kri-kri. Spodobała im się ta nazwa, bo brzmiała po kociemu. Stworzenia te nie występowały na Therze, lecz na Krecie było ich zatrzęsienie, o czym świadczyły liczne ślady racic.

Berhedin mruknął krótko, osadzając w miejscu Ulfhedina i Gaupahedina, którzy uginali już nogi do biegu za zwierzyną. Mimo iż Niedźwiedź sam wydał tę komendę, i on wyglądał na zawiedzionego. Miś też lubił kozinę.

Poszli dalej. Dotarli do rozłożystego wiekowego drzewa o niezwykle chropowatej korze. Przypominało sosnę. Berhedin rzucił się ku niemu, oparł plecami o pień i zaczął się ocierać o korę, mruczając przy tym niskim głosem. Nagi Svinhedin skorzystał z chwili przerwy, dopadł pobliskiego bajorka i rzucił się w mętną, błotnistą wodę, przeganiając stamtąd latające paskudztwa. Urrhedin też oddał się przyjemności. Podreptał na niewielką polankę usłaną wysoką trawą, pachnącymi ziołami i późnoletnimi kwiatami, położył się na tej wielobarwnej pierzynie, po czym zaczął się w niej tarzać. Dzięki grubej skórze mógł nie przejmować się użądleniami pszczoł, a tylko z rzadka odganiał ogromne końskie muchy, które zaczęły go obsiadać. Ulfhedin też nie stał w miejscu. Biegał od pnia do pnia i je obsikiwał. Gaupahedin wspinał się na wysokie drzewo i położył na jednym

z konarów. Spętani niewolnicy mogliby teraz spróbować uciec, ale z ich twarzy jasno dało się wyczytać, że zdziwienie usztywniło im nogi w kolanach.

Odpoczynek nie trwał długo. Berhedin przestał się odrapywać i ryknął na młodszych braci. Svinhedin wyszedł z bajorka i strzepnął z siebie pijawki – wszystkie oprócz jednej, którą włożył sobie do ryja. Urrhedin skończył zrywać kwiaty i wypłuł nieprzeżutą jeszcze koniczynę. Wilkowi już chwilę temu skończył się mocz, więc teraz tylko przerwał drapanie się stopą za uchem.

Gaupa i Hedin zeskoczyli z drzewa i podeszli do braci. Czuli, że zasiali już wątpliwość i nadeszła pora wypowiedzieć to, co chodziło im po głowie, odkąd tylko ich niekształtna ludzka łapa dotknęła wybrzeża Krety.

– Nie wracajmy na Therę.

Wilki zaskomlały radośnie, Dzik zakwiczął wesoło, a Tur zamuczał z nadzieją w głosie.

Berhedin ryknął wściekle.

– Wykonaliśmy zadanie. Sami je sobie wyznaczaliśmy. Dlaczego mielibyśmy tu zostać?

– Dla lasów, łąk i strumyków? – Ryś ubrał miauczenie w ludzkie słowa.
– Na Therze czekają nas tylko skały i zimowa nuda. Tutaj mamy zwierzyny w bród, łupieżczą rozrywkę na chłodne miesiące i dostęp do ludzkich kocurków. Co zrobimy, jak nikt z tej dziewiątki nie okaże się godnym zostania hamramirem? Skąd weźmiemy następne szczeniaki?

– Wszyscy wiemy, że kocia bestia w waszej głowie skłania was do niepokorności i buntu. Miarkujcie się jednak, Gaupa i Hedinie, bo ostatnio zbyt często sprzeciwiacie się naszym poleceniom oraz woli konunga Ainara Skalda! Dobrze wiecie, że pieśniarz darzy nas zaufaniem i chce, byśmy mieli pieczę nad Therą.

– Ale sam uciekł z tej przeklętej skalistej wyspy – warknął Ulfhedin.

– I słabo nas bronił przed zarzutami rzezanego Grikkmada – dodał Svinhedin, po czym głośno kwiknął.

– Obiecał wam łupież, mord i niewolników! Wszystko to dostaliśmy dzisiaj. Mało wam? Dla kilku drzewek chcecie złamać uświęcone przez tradycję prawa hamramirów? Powinniście zachowywać równowagę między Hedinem a bestią, tymczasem zachowujecie się, jakby zwierzęce duchy brały nad wami górę! Przypomnieć wam, co stało się z Haukrhedinem, który zdominował brata w swojej własnej głowie?

Bracia posłusznie spuścili wzrok. Tylko Gaupa i Hedin przekornie kręcili wąsem i burknęli pod nosem:

– Przecież stając się utrapieniem Kreteńczyków, będziemy przyjaciółmi Skalda. Czyż nie są oni jego wrogami?

Ryś i Człowiek zdążyliby uskoczyć, ale wiedzieli, iż to tylko bardziej rozwścieczyłoby Niedźwiedzia. Po męsku przyjęli cios pięścią w twarz i ze smakiem oblizali krew z rozbitej wargi.

– Jakie są nasze prawa?

– Wierność braciom, wierność konungowi, wierność bogom – hamramirzy odpowiedzieli razem.

Niedźwiedź prychnął z zadowolenia i nakazał ruszać.

Mimo iż szli okrężną drogą, dotarli na plażę jako jedni z pierwszych. Z czasem Vaeringów zaczęło przybywać, a każdy z oddziałów pędził roślących i zdrowych niewolników, wśród których nie brakowało młodych kobiet. Łowy były udane i szybko się okazało, że niewielu grabieżców zostało użyźnić kreteńską ziemią własnym truchłem.

Żeglarze dziwnie spoglądali na szaleńców. Uśmiechali się nawet pod nosem, ale żaden nie miał dość odwagi, by roześmiać się w towarzystwie hamramirów. Gaupa i Hedin wiedzieli, co było powodem ich zachowania. Dziewięciu młodzieńców popędzanych przez nagiego Svinhedina i pozostałych braci stanowiło łup, którego chciwi mieszkańcy Północy musieli zazdrościć.

Dostrzegli ich wczesnym rankiem.

– Dwa statki za rufą! – krzyknął żeglarz siedzący na *húnn* – szczycie masztu, do którego przybita była poprzeczna belka, tworząc coś na kształt gniazda.

Dobra pogoda wcale nie zapowiadała zimy. Było ciepło, a olbrzym władający grikklandzkimi wiatrami przyjemnie, niemal zalotnie dmuchał żeglarzom w twarz. Skald stał oparty plecami o dziobnicę zwieńczoną rzeźbą niedźwiedziego łba i bawił się słowami. Wymyślał kenningi na określenie tego, co kobiety miały między udami. Na razie miał: „tarcza walkirii”, „źródełko Gefny” i „wodopój żrebaka”. Może dzisiaj wychodziła mu niezbyt wyszukana poezja, ale jak mawiała jego babka „chichot lepszy jest od wiatru w unoszeniu dziewczęcych sukienek”. Ainar nieraz potwierdził słuszność tej mądrości, rozweselając kochanki oraz sprawiając, że to, co poważne i skryte, stawało się zabawne i dostępne.

– Jakie to statki? Z Miklagardu? – zapytał pieśniarz, wpatrując się w dwa niewielkie kształty wyłaniające się z pobliskiej wyspy.

– Chyba nie, ale jeszcze dobrze nie widać. To chyba... – Żeglarz na *hunnie* zamilkł i aby lepiej widzieć, stanął na poprzecznej desce, po babsku wkładając sobie maszt między nogi.

Okręty z armii basileusa powinny być dobrze widoczne, nawet z tak dużej odległości. Zwykle były to bowiem duże dromony – galeidy z dwoma rzędami wiosł po obu burtach, które przewoziły ponad dwie setki ludzi, lub nieco mniejsze, choć i tak okazałe chelandiony, mieszczące półtorej setki mężczyzn. Małe rozmiary jednostek wskazywały, że najpewniej mieli za sobą grikklandzkie ousiakony, serklandzkie shinie albo vaerińskie długie łodzie.

– To chyba nasi. – Wypatrywacz potwierdził domysł poety.

Konung zamyślił się. Czyżby Magnolf lub Gyrgir wysłali za nim statki? Mało prawdopodobne, zważywszy na to, że polecił im przeprowadzić atak na Kretę. Jeśli zatem nie oni... Zgodnie z wiedzą Östmada jedynymi północnymi okrętami na tych wodach, nie licząc jego własnych, były jednostki należące do Diarfa. Należało zatem założyć, że ścigające ich

snekkje były wrogo nastawione.

– Co robimy? – spytał Gaut.

Młody, rosły Vaering był zausznikiem Magnolfa, Ainar nie miał co do tego złudzeń, ale wolał wziąć ze sobą nieprzyjaźnie nastawionego najemnika, by nie trzymać wszystkich wrogów na Therze. Z tego samego powodu wziął na „Niegrzecznego Niedźwiadka” jeszcze kilku wioślarzy, w których wierność powątpiewał.

– Chwytać za wiosła i kroczyć po falach! Ten słaby wiaterek daleko nas nie pociągnie.

– Uciekamy? – Gaut rzucił pieśniarzowi lekceważące spojrzenie, które nie pozostawiało wątpliwości, co młody łupieżca myśli o tchórzostwie. Kiedyś Skald zachowałby się podobnie.

– Nie uciekamy, bo nikt nas nie goni. Nie znamy przecież zamiarów załóg tych statków. Może chcą się przekonać, który statek jest szybszy?

Wy tłumaczenie było słabe, ale wioślarze umieli liczyć, więc przyjęli je bez protestów. Dwie snekkje oznaczały dwukrotną przewagę liczebną przeciwników.

Styriem „Niegrzecznego Niedźwiadka” był rudobrody Tharbrand, na którego łysinie lśniły krople morskiej wody. Napał na *stýri*, duże wiosło umieszczone na rufie sterburty, i nakierował statek na bakburtę, by ominąć wysepkę, do której się zbliżali. Dwóch żeglarzy chwyciło za *aktaumar* – lejce morskiego rumaka. Szoty przywiązane były do dolnych rogów żagla i umocowane do zaczepów przy rufie, z których teraz zdjęli je snekkjamadowie, przewiązali nimi przedramiona i zaczęli ręcznie powozić statkiem. Tak ciągnęli linami, by chwycić w żagiel jak najwięcej wiatru. Kiedy ułożenie lnianego płótna uznali za zadowalające, przywiązali szoty do zaczepów, bacząc, by żagiel pozostał w dogodnej dla nich pozycji.

Pozostali Vaeringowie sięgnęli do wiosł ułożonych na widełkach wzdłuż obu burt, przysiedli na ławach tyłem do dziobu, zamoczyli pióra i zaczęli ciągnąć. Jedno wiosło, jeden mężczyzna.

Skald niemal się przewrócił, gdy statek szarpnął do przodu, napędzany

siłą czterdziestu chłopów i jednego olbrzyma wiatru. Oprócz konunga od pracy przy wiosłach uchylali się jeszcze styrir, obserwator na maszcie, kilku stojących na rufie łuczników oraz rybak z Thery, który prowadził ich po tych niebezpiecznych wodach.

Ainar szybko ocenił, że ludzie dobrze wywiązują się z obowiązków. Nakazał Tharbrandowi trzymać kurs i dbać, by goniące ich okręty nie zbliżyły się nawet na odległość strzały z łuku. Sam przysiadł na dziobie i zamknął oczy. Od dawna wołał dosypiać w dzień, kiedy było jasno, bo w nocy ciągle trapiły go koszmary, a pogarszający się wzrok budził obawę, iż nie zauważy wrogów czyhających w ciemności. A w mroku nieustannie dostrzegał nieprzyjazne cienie, lecz nie mógł rozróżnić, czy należą do zjaw, drzew, stołków czy zabójców z nożami.

Tym razem sen był przyjemny i spokojny. Poeta śnił o Halfridzie – swojej niedoszłej żonie, o Ingigerdzie Złotowłosej, o cudzych żonach i o pornaskach z Miklagardu. Wszystkie zlewały się w jeden obraz doskonałego kobiecego ciała i szeptały: „Kallirroe Wszechstronna”.

Obudził się po południu, a musiał chyba jęczeć przez sen, bo załoga dziwnie na niego patrzyła i uśmiechała się pod nosem. Człowiek nawykły do drwin pewnie oblałby się rumieńcem wstydu, ale konung nie mógł okazywać słabości. Wstał, przeciągnął się jak po udanym odpoczynku i dumnie przespacerował się po pokładzie, chwając się młodzieńczą jurnością. Stał na rufie, odwiązał spodnie i wysikał się do morza, zerkając na ścigające ich statki. Zdołały się zbliżyć, ale niewiele. Niskie burty okrętów wciąż pozostawały niewidoczne, ale już bez wchodzenia na maszt dało się zauważyć dziobnice i czworoboczne żagle, które wyłaniały się z morza i unosiły na falach, przypominając ptaki lub smoki z rozpostartymi skrzydłami.

– Muszą być mniejsze od „Niegrzecznego Niedźwiadka” – styrir zagadnął wodza. – Żaden okręt o zbliżonej do niego wielkości nie zdołałby nas doścignąć.

Kowal słów skończył nawadniać morze i schował to, co powinno być ukryte w męskim towarzystwie. Mniejsze statki oznaczały mniejsze załogi

i większą szansę na zwycięstwo Skalda, gdyby doszło do starcia. Wciąż jednak nie zamierzał do niego dopuścić.

– Zgubimy ich przed nocą?

– Nie sądzę. Ludzie są już zmęczeni wiosłowaniem. Ale to bez znaczenia. Ciemność i tak nas ukryje, tyle tylko że...

– ...jedynie szaleniec pływałby po tych wodach nocą – wszedł mu w słowo morski król, a sternik pokiwał głową, że właśnie o to mu chodziło. Nie byli na żadnym z północnych mórz, gdzie mogli żeglować w ciemnościach, korzystając ze światła i przewodnictwa gwiazd. Mówiono, że na Miðjarðarhaf jest tysiąc wysepek i trzy razy tyle mielizn oraz podwodnych skał czyhających na nieostrożnych śmiałków. Nawet miejscowi żeglarze ośmielali się na nocne podróże tylko w najbardziej gwiazdziste noce, a i to trzymając pochodnie wzdłuż burt.

Do rozmowy włączył się rybak z Thery. Mógłby nauczyć się ludzkiego języka – pomyślał saekonung, wsłuchując się w potok grikklandzkich słów. Porzucił chęć przywołania Gauta, bo nie chciał, by młody Vaering poczuł się niezbędny. Zamiast tego kazał rybakowi dwukrotnie powtórzyć jego radę, aż w końcu pojął, że brzmiała tak:

– Po co uciekać? Lepiej się schować. Ja was poprowadzę do pobliskiej ukrytej zatoczki.

Podzielił się tą wiedzą z rudobrodym Tharbrandem, a ten chrząknął, splunął, pokiwał głową i stwierdził:

– I tak musimy gdzieś przenocować. Niech pokaże drogę.

Skald też był tego zdania, więc pozwolił obrać nowy kurs.

Przed „Niedźwiadkiem” znajdowały się dwie wysepki: jedna duża, druga mała. Rybak podał im ich trudne grikklandzkie nazwy, ale Ainar nawet się nie wysilił, by je zapamiętać. W myślach nazwał je Pierś i Sutek, bo takie były mniej więcej ich różnice w wielkości, a gdyby tę mniejszą postawić na większej, wyglądałyby właśnie jak kobiecy przyrząd do zaspokajania męskich potrzeb.

Konung kłopotliwy zachwiał się, a nawet wpadłby do wody, gdyby nie

chwycił się tylnego *stag*, który łączył maszt z rufą. Statek przechylił się bowiem do tyłu, wznosząc się na jedną z większych fal, po czym ześlizgnął się po niej ostro. Kilku snekkjamadów zachichotało, widząc niepewne ruchy pieśniarza, ale zamilkło, gdy rzucił im jedno ze swoich wrogich spojrzeń. Morze nie było już tak spokojne jak rano. Widocznie córki Aegira z Południa chciały dać do zrozumienia, że są nie mniej kapryśne niż ich siostry z Północy i również zasługują na szacunek.

Minęli wyspę Pierś i wykonali mocny zwrot na bakburtę. Przy odrobinie łaskawości fylgji i hamingji – dawczyń szczęścia, ląd będzie ich ukrywał przed oczami ścigających wystarczająco długo, by udało im się schować w jednej z tutejszych zatoczek. Jeśli boginki okażą się jeszcze bardziej przychylnie, załoga wrogich okrętów pomyśli, że „Niegrzeczny Niedźwiadek” popłynął dalej i zniknął w zapadających ciemnościach.

Dotarli do zatoczki, gdy już szarzało. Rybak nie kłamał: rzeczywiście była świetną kryjówką. Wąskim przesmykiem wpływało się na spokojne wody otoczone zewsząd skalnymi ścianami. Jedynym utrudnieniem było to, że w żaden sposób nie dało się dobić do lądu. Musieli przenocować na statku.

Załoga rzuciła do wody akker. Ciężki kamień z wydrążonym okiem szybko zakotwiczył o dno i napiął sznur wiążący go z bakburtą. Statek lekko zakołysał się na falach, trzymany na postronku niczym żrebak.

Trwali w czujności aż do zapadnięcia całkowitych ciemności. Jednak nawet wtedy Ainar nie pozwolił załodze zapalić pochodni lub chociażby małego paleniska, by usmażyć złowione po drodze ryby. Kolację zjedli więc na surowo. Smakowała paskudnie. Tylko na chwilę rozweselił ich Gaut, który prawie udławił się ością.

Skald stwierdził, że wyspa jest niezamieszкана, bo i na niej nie można było dostrzec ognia. Noc przebiegła spokojnie. Przynajmniej dla załogi, bo pieśniarz wyspał się w dzień, więc w nocy niemal nie zmrużył oka. Leżał tylko na pokładzie, wpatrywał się w rozmazane smugi gwiazd i próbował myśleć o kimś innym niż o Seli. Porzucił małą wiele lat temu. Podobno porwał ją Diarf, ten sam, który teraz najpewniej go ścigał. Część umysłu

poety, ta, którą stale próbował utopić w miodzie i piwie, podpowiadała, by się nie chował, tylko dążył do starcia i za wszelką cenę próbował uwolnić dziewczynę. Mądrość doradzała jednak, że nie odpowiada za dorosłą córkę i lepiej dla niego będzie zająć się własnymi sprawami. A Nawlekacza i tak dopadnie, tyle że w bardziej dogodnych warunkach. Było to dla niego jasne, ale czuł się fatalnie. Na szczęście przypomniała mu się też Halfrida, a potem poszukiwania Kallirroe Wszechstronnej, dzięki czemu bezsenna noc stała się nieco znośniejsza.

W młodości wszyscy wołali go węgłożercą, bo lubił się wylegiwać do południa i migał się od porannych prac. Teraz to określenie jeszcze bardziej do niego pasowało, bo z powodu nieprzespanych nocy był senny za dnia. Jednak tego poranka to on wstał skoro świt i obudził załogę.

Żeglarze podnieśli akker, chwycili za wiosła i ostrożnie wypłynęli z zatoki. Nieprzyjaciela nie było nigdzie widać, za to morze powitało ich wysokimi falami, a niebo chmurami. Nie był to jeszcze zimowy sztorm, ale snekkjamadowie musieli się śpieszyć, jeśli nie chcieli, aby pierwsze burze złapały ich przed dotarciem do Miklagardu.

Przepłynęli wzdłuż wyspy i obrali kurs na północny zachód. Ainar przeszedł na rufę i z dziwnym niepokojem spojrział na powoli oddalający się ląd. Przytrzymał się burty, gdy statek zakołysał się na fali i wtedy dostrzegł vaeriński okręt wypływający zza Piersi. Jego załoga również musiała spędzić noc w jednej z tamtejszych zatoczek, tyle że po drugiej stronie wyspy.

Inni też zauważyli statek i zaczęli narzekać na przynoszące szczęście disy oraz na Aegira – władcę oceanu, który nie sprzyjał swoim najgorliwszym ofiarnikom. Pieśniarz zachował chłodniejszą głowę. Wysłał człowieka na szczyt masztu, by wypatrywał drugiej snekkji. Bo jeśli wrogowie się rozdzielili, przed morskim królem otwierały się nowe możliwości.

– Widać tylko jeden statek! – krzyknął młodzieniec siedzący na hunnie.
– Dobrze – powiedział konung do czekającego na rozkazy styrira. – Utrzymuj kurs, ale nie spiesz się. Pozwólmy mu się trochę zbliżyć.

Tharbrand uśmiechnął się chytrze, pojmując zamiar wodza. Ścigający ich

okręt był mniejszy, więc teraz „Niegrzeczny Niedźwiadek” miał przewagę.

Niespieszenie się przyszło im łatwo. Wiatr się zmienił, zatem statek poruszał się teraz tylko na wiosłach, leniwie wkładanych do morza przez załogę. Po jakimś czasie wrogi okręt wyraźnie się do nich zbliżył. Dało się już zauważyć, że na jego dziobnicy wyrzeźbiono łeb węża. Dowódca mniejszej jednostki nie miał jednak kamieni w głowie, gdyż jego statek również zwolnił. A potem zaczął zawracać.

– Za nimi! – krzyknął Skald.

Płynięcie na wiosłach miało tę zaletę, że można było dokonywać błyskawicznych zwrotów. Snekjamadowie ze sterburty unieśli pióra z wody, a ich towarzysze z bakburty przyłożyli się do pracy. Wiatr stał się teraz ich sprzymierzeńcem, więc kilku żeglarzy porzuciło wiosła i wciągnęło żagiel na maszt.

– Wypina się jak pochylona pornaska – pieśniarz zagadnął sternika, ale ten tylko prychnął, burząc się na takie porównanie. Jednak lniany materiał rzeczywiście tak się wybrzuszył na wietrze, że prawie zerwał mocujące go liny.

– Nie wyciągać wiosel! – rozkazał Östmad, przewidując zamiar żeglarzy. Wprawdzie płynęli szybko na samym żaglu, ale konung nie chciał rezygnować ani z ręcznego napędu, ani ze zwrotności, jaką dawały wiosła.

Pościg trwał. Tego właśnie poeta nienawidził najbardziej w morskich podróżach. Trwania. Nawet jeśli oba statki były oddalone od siebie o zaledwie półtorej długości strzału z łuku, zniwelowanie tej odległości musiało potrwać. Tym bardziej że i załoga wrogiego statku pomagała sobie wiosłami, więc długa łódź Ainara poruszała się tylko odrobinę szybciej. Kował słów pamiętał, że jeszcze wczoraj to jego statek był wolniejszy, ale nagle przyspieszenie tłumaczył sobie pragnieniom łupu i rzezi, które teraz dodawały sił ramionom jego ludzi.

Przeszedł na dziób. Nie było to łatwe, bo statkiem mocno kołysało, ale na szczęście już na lądzie nabył umiejętności przemieszczania się po niepewnym gruncie, urządzając sobie częste spacery po pijaku. Przytrzymał się przedniego stagu, gdy jedna z córek Aegira dostała się na statek i dała

mu mokrego całusa. Kobiety zawsze do niego lgnęły. Potarł szczypiące solą oczy i zaczesał do tyłu mokre włosy.

Okręt uciekał w stronę trzech niewielkich wysepek. Kiedy w końcu do nich dotarł, zmienił kurs i wpłynął między dwie największe. Skald podejrzewał, że dowódca wrogiej jednostki pragnie, podobnie jak oni wczoraj, schować się w jakiejś zatoczce. Pospieszył więc swoich ludzi, ale nie było to potrzebne, bo Niedźwiadki wyczuły krew i nie zamierzały odpuścić zwierzynie.

„Niegrzeczny Niedźwiadek” zawrócił na bakburkę, wpływając w wąską cieśninę między dwiema wyspami. Sunęli blisko lądu, tak jak uciekinier. Według zapewnień przewodnika nie było tutaj płycizn, a sami mogli zobaczyć, że wyspy nie miały łagodnych brzegów, lecz strome i wysokie ściany, o które rozбивały się fale.

Widok przysłoniła im skarpa, na której szczycie rosło samotne, pochylone drzewo. Na długą chwilę stracili z oczu wrogą snekkję, a gdy znów ujrzeli jej rufę, zaryczeli z radości. Umykający statek wyraźnie zwolnił. Znaleźli się na odległość strzału z łuku.

Ludzie Ainara wyteżyli siły i cztery kolejne szarpnięcia za wiosła wyprowadziły statek zza skarpy. Dopiero wtedy saekonung zobaczył wrogi okręt w pełnej okazałości. Oraz to, co znajdowało się za nim. Kowal słów prawie zawył ze złości. Zaciśnięte na wiosłach dłonie snekkjamdów rozluźniły się, gdy siedzący przodem do rufy wiosłarze zaczęli się obracać, by też ujrzeć czekającą ich zgubę.

Nieprzyjacielska smocza łódź zatrzymała się, ponieważ stały przed nią dwie serklandzkie galeidy, które blokowały wąską cieśninę. Ainar nigdy wcześniej nie widział tego rodzaju jednostek, ale był pewien, że nie pomylił się co do ich pochodzenia. Nie przypominały w niczym smukłych północnych okrętów, podobne były za to do pękatych grikklandzkich osiakonów, które zwykły walczyć z falami, a nie lekko po nich przemykać. Statki pomalowano na niebiesko, przez co z daleka trudno było je dostrzec. Jeśli posiadały maszty, teraz leżały złożone, a galeidy poruszały się na wiosłach. Trzydzieści drągów na każdej burcie shinii, bo właśnie z tymi

jednostkami mieli do czynienia – Ainar pamiętał tę nazwę z nudnych opowieści Gyrgira, jakimi eunuch raczył go podczas wspólnej podróży na Thereę. Wstępne obliczenia poety wskazywały, że każda shinia musiała mieć co najmniej setkę ludzi na pokładzie. Dogłębniejszymi obserwacjami pieśniarz wolał się nie dołować. Ciekawszym pytaniem pozostawało, czy vaeriński statek z wężem na dziobnicy był sprzymierzeńcem kussarów, czy ich wrogiem. Wszystko wskazywało na to pierwsze, gdyż długa łódź zawróciła i ustawiła się dziobem ku „Niegrzecznemu Niedźwiadkowi”.

Ogromny głaz wystrzelony z pokładu jednej shinii wylądował dwadzieścia kroków przed okrętem Östmada. Albo było to ostrzeżenie, albo obsługa strzelającej maszyny celowała po pijaku. Raczej jednak kamień miał być przestrożą, bo o ile morski konung dobrze pamiętał, dziwaczni Serklandczycy nie pili żadnych trunków.

– Zawracamy? – przytomnie zapytał styrir.

Skald już miał powiedzieć: „Czasem i niedźwiedź umyka przed watahą psów”, ale nie zdążył.

– Statek za rufą! – krzyknął nadal siedzący na szczycie masztu wypatrywacz.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku i ujrzeli, że w ich stronę rzeczywiście szybko płynie okręt. Pieśniarz nie musiał dopytywać obserwatora o szczegóły. Założyłby się z Göllnirem o wszystkie skarby, które zakopał w swoim życiu, że jest to drugi z vaerińskich statków. Dali się wciągnąć w pułapkę. Jak małe misie łapano na lep z miodu.

– To zawracamy? – zapytał już mniej pewnie Tharbrand. Musiał rozumieć to, co i pieśniarzowi chodziło po głowie.

Jeśli zawrócą, wiatr będzie ich smagał po twarzach. Jeśli utrzymają obecny kurs, wiatr z południowo-zachodniego attu wciąż będzie naprężał ich żagiel przy zaledwie niewielkim odchyleniu na sterburte.

– Nie. Cała naprzód!

Zwrotność i szybkość dawały im cień szansy w starciu z ociężałymi galeidami, choć nie było mowy o ich bezpiecznym wyminięciu, gdyż obie

stały zbyt blisko skalistych brzegów. Tharbrand uśmiechnął się jednak. Skald nie bez powodu wybrał niegdyś właśnie jego na styrira własnej łodzi. Właśnie ten szalony rudobrody Vaering zbudował rzeczny gród, dzięki któremu pokonano flotę Kola Małego. Jeśli ktoś miał poprowadzić „Niedźwiadka” podczas tego szaleńczego manewru, musiał to być właśnie Tharbrand.

– Chwytać za aktaumar! Będziemy powozić ręcznie! Do wiosła! Żwawo, żwawo! Wasze matki mocniej mi ciągnęły, niż wy szarpiecie za wiosła! – Sternik wydawał rozkazy jak opętany, więc Ainar pozwolił mu przejąć dowództwo. Nie było czasu na spory, a rudobrody znał ten statek lepiej niż własną pięść. Zamiast więc wchodzić mu w drogę, poeta zajął się tym, co umiał najlepiej. Układaniem słów. Chwycił za dziobnicę, podciągnął się i postawił nogi na krańcach obu burt. Obrócił się przodem do załogi i oparty o niedźwiadzi łeb stewy wygłosił słowa, które miały wzniecić gniew oraz pogardę dla śmierci.

– Przed nami sława i bogactwa! Za nami zostawiamy bezpieczeństwo i piętno tchórza! W którą stronę płyniemy?

– Dziób, dziób, dziób! – rozległy się niskie męskie głosy.

– Pod wodą czeka na was zatopione złoto, dzbany piwa i objęcia córek Aegira! Nad wami jest niebo, jaskółki, chmurki i tęcza! Komu chcecie służyć po śmierci? Podwodnej bogini Ran i jej mężowi Aegirowi czy niebiańskiemu Valfudowi?!

– Aegir, Aegir, Aegir!

– Jak was zwą?

– Niedźwiadki, Niedźwiadki, Niedźwiadki!

– To pokażcie, kto tu jest niegrzeczny!

Mowa tak pobudziła snekkjamadów, że Skald przez chwilę obawiał się, czy nie porzucą wiosła, by natychmiast chwycić za broń. Na szczęście całą złość przełożyli na gorliwość w wiosłowaniu. Bardzo to ucieszyło mistrza mów, ponieważ wciąż tliła się w nim nadzieja na bohaterską ucieczkę – taką z ośmieszeniem wroga i zadaniem mu poważnej szkody.

Zeskoczył na pokład, bo na statek zaczęły już spadać pierwsze strzały. Poszedł na dziób z łucznikami, ale tych było zaledwie siedmiu, więc ich ostrzał nie mógł wyrządzić Serklandczykom większej szkody. Po chwili więc kazał im porzucić łuki i zbudować z tarcz niewielki skjladborg, w którego środku się skryli. Twierdza tarcz ograniczała widoczność, ale przez szpary pieśniarz i tak dostrzegał, co się dzieje.

„Niegrzeczny Niedźwiadek” płynął wprost na serklandzkie galeidy. Na szczęście wroga snekkja nie przeszkadzała długiej łodzi Skalda, tylko starała się ją wyminąć i odciąć drogę ucieczki.

– Mocniej! – krzyknął styrir i choć zdawało się to niemożliwe, okręt jeszcze przyspieszył.

Dowódcy Serklandczyków z pewnością nie byli rzezańcami, gdyż mężnie utrzymywali kurs. Albo po prostu nie wierzyli, że Vaeringowie naprawdę chcą staranować jedną z galeid, która była o półtora długości większa od snekkji i wzmocniona na przedzie płytami z brązu.

– Teraz! – krzyknął Tharbrand i napał z całej siły na wiosło sterowe. Tyle wystarczyło, by statek odrobinę zmienił kurs. Nie płynął już na shinię, ale kierował się pomiędzy dwa statki kussarów.

Serklandczycy musieli się w końcu zorientować, co ludzie Północy zamierzają zrobić, gdyż galeidy zaczęły się do siebie zbliżać, krocząc na wiosłach niczym dwa wielkie pajaki. Myśleli jednak zbyt wolno albo to ich ociężałe statki nazbyt opieszale spełniały wolę swoich panów, bo nie zdołały zablokować przejścia.

– Mocniej, mocniej, mocniej! – Jedno słowo sternika przypadało na jedno pociągnięcie wiosła. – Z wody!

Pióra sprawnie poszybowały do góry, przez co unoszący się akurat na fali okręt przez chwilę wyglądał jak łabędź zrywający się do lotu. Niedźwiadki wciągnęły wiosła, ułożyły je pod sobą, zdjęły tarcze zawieszane na burtach i uniosły je nad głowy.

Maumentsanie nie byli tak szybcy albo też nie mogli ryzykować zbyt szybkiego wyciągnięcia drągów z wody, ponieważ płynęli pod wiatr i wiosła były ich jedynym napędem.

„Niegrzeczny Niedźwiadek” uderzył w drewniane odnóża jednej z galeid. Plan był ryzykowny, bo poszycie snekkji mogło pęknąć od uderzenia. Styrir znał jednak wartość swojego statku. Dębowy kil zatrzeszczał, a starucha, czyli drewniany kloc utrzymujący maszt w szkieletcie morskiego rumaka, zajęczała niczym wiedźma wyrzucona zimą na mróz. Długa łódź wytrzymała, za to kilka wiosł Serklandczyków zostało połamanych lub strąconych do morza. Niedźwiadki zaryczały, ale zaraz zamilkły schowane za tarczami, bo z góry spadła na nich lawina strzał i kamieni.

Głaz wielkości końskiej głowy spadł tuż obok Skalda i rozłupał kawałek burty. Inny uderzył w beczkę z wodą, łamiąc ją i sprawiając, że cały statek niebezpiecznie przechylił się do tyłu. Drzazgi latały równie gęsto jak strzały i przekleństwa. Tharbrand lekko popłakiwał, patrząc na zniszczenia, ale i śmiał się zarazem, czując, że szaleństwo może im wszystkim uratować życie.

Radość była przedwczesna.

Już prawie wyminęli galeidy, już witali się z otwartym morzem, gdy między rufami wrogich statków ktoś przerzucił linę. A potem następną i jeszcze kolejną. Shinie miały znacznie wyższe burty od długiej łodzi, a na ich tyłach znajdowały się jeszcze podwyższone platformy, więc przerzucone sznury znalazły się w połowie wysokości masztu snekkji. Pieśniarz mógł tylko patrzeć, jak sznury prześlizgują się w górę po ich przednim stagu i zahaczają o szczyt drewnianego słupa oraz żagiel.

„Niegrzeczny Niedźwiadek” zaczął zwalniać.

Groziła im wywrotka albo pęknięcie całego szkieletu statku, na którym rozkładał się ciężar masztu. Tharbrand zajęczał tak, jak cały okręt. Jako jedyny rzucił się ratować snekkję, nie bacząc na spadające zewsząd pociski. Nie było czasu wspinać się na maszt, by przecinać liny – te zresztą i tak ścisnęły żagiel oraz poplątały się z ich własnym olinowaniem, tworząc dziesiątki węzłów, których nie sposób byłoby szybko rozwiązać. Zaczął więc rąbać toporem obudowę masztu. Dostał się do staruchy umieszczonej przy samym poszyciu i tępą stroną siekiery wybił kliny utrzymujące maszt

na stojąco. Pozbawiony podparcia sosnowy drąg uległ linom oraz szarpanemu przez wiatr żaglowi, po czym padł jak ścięte drzewo, uderzając w sterburtę. Załoga zdążyła się uchylić, więc obyło się bez ofiar śmiertelnych, chociaż sznury zwały z nóg kilku ludzi. Maszt z pozwijaną lnianą płachtą wpadł w końcu do wody, ale nie oddzielił się od statku, ponieważ tylny stag i höfudbendy nadal łączyły go z burtami. Stał się ich balastem.

Związane ze sobą galeidy zostały w tyle i chwilowo nie stanowiły zagrożenia. Miały problem z nawróceniem i odzyskaniem pełnej sterowności, na dodatek musiały uważać na przybrzeżne skały. Najgroźniejsza była więc wroga snekkja, która szybko zbliżała się do „Niegrzecznego Niedźwiadka”.

Ucieczka stała się niemożliwa.

– Do broni! – krzyknął Skald.

Jako poecie marzyła mu się śmierć godna pieśni. Spojrzał na zbrojące się do boju Niegrzeczne Niedźwiadki, a potem na przeważające siły wroga – cztery statki, które ich osaczały. Pomyślał, że mógł gorzej trafić, jeśli chodzi o okoliczności zostania trupem. Bardziej martwiło go to, że w pobliżu nie było innego pieśniarza, który opowiedziałby o ostatnim boju Ainara Skalda. Nie był zresztą pewny, czy ostatnim. Wspomniał klątwę drauga i uznał, że chyba jednak nie taką śmierć przepowiedział mu umarłak. Pieśniarz nie przewidywał jednak, by jego towarzysze zdołali uciec spod topora.

Ustawili się na środku statku, gdzie jeszcze przed chwilą stał maszt. Tarcza przy tarczy, miecz przy mieczu. Nikt nie zamierzał dać się zarznąć jak potulna świnia podczas rzezi, bo podwodna bogini Ran brała na swoich kochanków tylko dzielnych topielców.

O dziwo wrogowie nie strzelali. Obcy Vaeringowie dobili do „Niegrzecznego Niedźwiadka” i przeszli na niego po przerzuconych między burtami wiosłach. Mieli przewagę liczebną, bo kilku ludzi Östmada zginęło podczas ostrzału z serklandzkich galeid.

Jeden z napastników wyszedł przed szereg, ściągnął hełm i powiedział:

– Dzielnie walczyliście, ale wasza porażka jest pewna. Daję wam jednak szansę na ujście z życiem. Poddajcie mi się.

Nikt się nie odezwał.

– Nie macie wiele czasu. Gdy na statek wejdą Serklandczycy, oferta stanie się nieaktualna. Zabiją was albo złapią, przemienią w niewolników i przykują do wiosł na swojej galeidzie!

– A kim jesteś, by oferować nam *grið*? – zapytał Gaut. Ainar miał ochotę zabić młodzieńca za samo podejmowanie rozmowy.

– Zwą mnie Diarfem Nawlekaczem i wiezcie, że nie często oferuję przeciwnikowi prawo łaski. Radzę więc skorzystać. Mam układ z Serklandczykami i jeśli do mnie przystaniecie, nie będą mogli was ruszyć. Obiecuję złoto, sławę i naprawę pięknego statku!

Przez chwilę stali w milczeniu, choć nie w ciszy. Wydawało się, że jednak dojdzie do starcia, ponieważ drengowie z obu oddziałów pewniej chwycili broń, a niektórzy zaczęli nią uderzać o tarcze. Kował słów przyjrzał się Nawlekaczowi. Był to niezwykle wysoki, a przy tym chudy jak drzewiec włócznie mężczyzna, którego łysa, jajowata głowa przywodziła na myśl błyszczący w słońcu grot. Nawet odstające uszy wyglądały jak zadziory myśliwskiego oszczepu.

– Dlaczego? – pytał dalej Gaut. – Dlaczego proponujesz nam układ, skoro masz nas w garści?

– Przecież wszyscy jesteśmy z Północy, a ja potrzebuję ludzi. Bogactwa grikklandzkiego świata mogą być wasze pod warunkiem, że wydacie mi swojego przywódcę, Ainara Skalda. Mam z nim prywatną zwałę wymagającą omówienia w cztery oczy. No, który to z was? Wyjdź, konungu kłopotliwy, zza pleców swoich ludzi i nie skazuj ich wszystkich na śmierć.

Pieśniarz wierzył Diarfowi tak, jak kupczącej tyłkiem córuchnie Gefny, która zapewnia kochanka o wierności. Niewolnicy z Północy byli w cenie i najemnik chciał ich zapewne pojmać, by później sprzedać Serklandczykom. Poeta nie miał jednak ochoty tłumaczyć tego swoim ludziom. Zamiast tego wyrwał jednemu z nich włócznie i nią cisnął.

Chybił. Nawlekacz uchylił się, a włócznia trafiła w innego napastnika, dziurawiąc mu brzuch.

– Niezły rzut! – pochwalił wódz napastników. – Też spróbuję.

Rzucił trzymaną w rękach włócznią. Ainar nawet się nie ruszył. Bitewna igła trafiła w tarczę stojącego obok Vaeringa i przybiła ją do przedramienia oraz brzucha wojownika.

– Mogę tak długo – oznajmił Diarf, trzymając już kolejny pocisk w dłoni.
– Albo zamiast tego zapłacę trzydzieści nomism temu, kto wyda Skalda. Zgaduję, że to ten, który przed chwilą chciał mnie zabić. Sami widzicie, że wasz konung myśli tylko o sobie, nie dbając o wasze życie.

Saekonung uchylił się, dzięki czemu głowica miecza, którą wycelowano w tył jego głowy, trafiła go boleśnie w ramię. Upuścił miecz na pokład, ale drugą ręką chwycił dłoń napastnika i obrócił się, wykręcając dłoń Gauta. Następnie kopnął młodziana w tyłek i wyrzucił za burtę. Chciał go zabić, ale przeczuwał, że to doprowadziłoby załogę do buntu. Snekkjamadowie stali niepewni, co czynić, ale pozwolili Ainarowi schylić się po miecz.

– Trzydzieści nomism dla każdego, kto przeżyje to starcie! Sto za głowę Diarfa!

– Trup nie potrzebuje monet. Ale jeśli nie chcecie po dobroci...

– Zaczekaj! – wtrącił styrir. – Poddamy się, jeśli te same warunki, co nam, zaoferujesz Skaldowi. To nasz konung.

Poeta poczułby się wzruszony, gdyby chodził w spódnicy. Dobrze wybrał swojego styrira i ulubiony statek.

– Tego obiecać nie mogę.

– Zatem na śmierć – oznajmił Tharbrand.

– Na śmierć – odpowiedział Nawlekacz, wskazując sternika włócznią.

Tak to powinno wyglądać. Krwawa jatka na wzburzonym morzu, kąpiel zimnego żelaza w gorącej krwi. Dobre vaerińskie zakończenie żywota, równie piękne i kuszące, jak dla kobiet pocałunek o wschodzie słońca. „Niech to wszystko Magni trzaśnie, Göllnir walnie i Fenrir połknie” – zaklął w myślach pieśniarz. Robił się słaby, a nienawidził tego. Żał mu się

jednak zrobiło Niegrzecznych Niedźwiadków, które były gotowe za niego zginąć. Sam nie byłby zdolny do takiego poświęcenia. Ale mógł przynajmniej spróbować wykpić ich z tego swoją bezczelnością.

– Czekać, Misie! Nie dajcie się sprowokować tym szczekającym psom! Poddam się, ale tylko temu, kto pokona mnie w walce. Niech Diarf stanie do boju z konugiem wszystkich Vaeringów.

Przywódca wrogów zaśmiał się głośno. Wydawał się szczerze rozbawiony.

– A mówili, że Skald dzielność zna tylko w słowach. I mieli rację! Bo przecież wie, że wasz ciasny okręt nie nadaje się do pojedynku.

– Możemy stoczyć walkę na pobliskiej wyspie.

– I dać wam szansę na ukrycie się w lesie? Nie. Skończył się czas gadania. Właśnie przybyli Serklandczycy.

Rzeczywiście. Jedna z galeid zdołała nawrócić i podpłynęła, prawie ocierając wiosłami o burtę snekkji. Maumentsanie spoglądali na ludzi Północy z góry, trzymając łuki, proce, włócznie i kamienie. A także coś o wiele groźniejszego.

Ainar obrócił się i dostrzegł spadającą z góry rybacką sieć. Sztuczka nie udałaby się, gdyby na długiej łodzi pozostał maszt. Ale już go nie było, więc sieć spadła prosto na głowy Niedźwiadków.

Pieśniarz próbował się uwolnić, siekąc mieczem. Inni też tego próbowali i niektórym pewnie by się udało, gdyby nie wiosła.

– Żywcem ich brać, żywcem! – krzyczał Diarf i śmiał się zarazem, pouczając swoich ludzi, którzy chwycili za drągi i łoilili nimi plecy Niedźwiadków.

Jedno drewniane piórko musnęło kowala słów po głowie. Zalała go ciemność.

Umówili się pod stajnią Niebieskich. Mieściła się w dzielnicy pałaców, między murami Konstantyna a umocnieniami zewnętrznymi Byzantionu. W tej części miasta panował przepych nie mniejszy niż przy Hagia Sophii, ale tutaj był połączony z wygodą i sielanką. Poszczególne oikosy rozsiane były między ogrodami, otwartymi cysternami, świątyniami i klasztorami. Rzeka Lycus, która w centrum płynęła podziemnym kanałem, tutaj swobodnie wiła się między piątym a szóstym wzgórzem miasta. Nie stały tu drewniane chałupy ciżby, jakie spotykało się w pozostałych dzielnicach, a wolną przestrzeń między kamiennymi budowlami wypełniały sadzawki, fontanny oraz małe parki pełne sprowadzanych z najdalszych zakątków świata drzew, kwiatów i krzewów. Pałace lśniły marmurem i miedzią, urozmaicając otoczenie setkami kolumn, łuków i arkad. Nawet stajnie wyglądały na bogatsze niż niejeden kupiecki dom w pozostałych kwartałach, ponieważ należały do najznakomitszych rodów lub do demów. Trzymano w nich nie tylko szybkie i wytrzymałe wierzchowce z Serklandów, ale przede wszystkim najcenniejsze spośród koni – ogiery ułożone do jazdy w zaprzęgach wyścigowych.

Ali przybył pierwszy. Przystanął w cieniu rozłożystego platanu, który rósł tuż przy największej w okolicy stajni. Praca Blamada w skryptorium dobiegała końca, więc mógł sobie pozwolić na dzień wolnego, by wczesnym rankiem spotkać się ze Slavomirusem. Mieli zamiar w końcu dowiedzieć się czegoś więcej o trucicielu.

Odnalezienie pomocnika woźnicy nie było łatwe. Teofanes nie znał jego imienia, ale na szczęście wiedział, że młodzian służył Sofroniuszowi – najlepszemu powożącemu w błękitnym demie. Niestety stwarzało to nieoczekiwane trudności. W sezonie wyścigów kwadryg Sofroniusz był niedostępny dla obcych, strzeżony jak basileus i wielbiony przez ciżbę niczym obraz w grikklandzkim kościele. Banita z Wagadou próbował się do niego zbliżyć na różne sposoby, ale mimo iż nadal uważano go za pogromcę Zielonych, nie zdołał dostać się do pomieszczeń, którymi zarządzali Błękitni. Były dobrze strzeżone, nawet przed stajnią, do której mieli wejść, stało czterech uzbrojonych strażników.

– Pilnują się, jakby chowali tutaj Buraka, na którego grzbiecie Mahomet odjechał do nieba. – Ali przywitał w ten sposób trzebieńca, który zdyszany wycierał resztki snu z oczu.

– Nie dziw się temu, misiaczku. Wiesz, ile razy zdarzało się, że demy podtruwały sobie konie przed wyścigiem? Albo nawet je raniły? Najbardziej i tak jednak pilnują woźniców, nie tylko ze względu na ich bezpieczeństwo. Wrogie obozy często podsyłają im kochanki, które ciągnąc za ich baty, ciągną też za język, starając się poznać wszystkie sekrety faksji. No ale najgorsi są nieuczciwi kombinografowie.

– Kto?

– Tacy urzędnicy, którzy ustawiają gonitwy i przyjmują zakłady na zwycięzców. Zdarza im się kombinować na boku. Szukają wtedy dostępu do woźniców i nomismami próbują ich przekonać, że niekiedy warto jest umyślnie przegrać. Bo widzisz, misiaczku, uczciwość człowieka na tyle jest trwała, na ile pękata jest jego sakiewka. Woźnicom też zdarza się popaść w długi. Słynna jest historia powoźnika z zielonego demu, który...

– Chodźmy już wreszcie – Blamad przerwał wywód, ponieważ nakręcony trzebieniec potrafił gadać o rzeczach błahych nawet przez cały dzień.

Przy wejściu strażnicy zagrodzili im drogę i podstawili włócznie pod nos.

– Czego tu szukacie?

– Grzeczniej troszkę, misiu! Nie widzisz jego opaski?

Wartownik spojrział na umięśnione przedramię berserka. Od wczoraj Ali nosił na nim błękitną opaskę, którą osobiście podarował mu Nikefor Fokas. Dowódca Scholi niezwykle ucieszył się z decyzji wytatuowanego wojownika, który zgodził się nie tylko przystać do demu, ale i walczyć w Hipodromie w pokazowej bitwie. Blamad nie miał innego wyjścia, jeśli chciał zbliżyć się do truciciela. Usłuchał też ostrzeżeń oberżysty i przezornie nie wspominał przed Fokasem, że truciciel może mieć coś wspólnego z Niebieskimi i jakąś wysoko postawioną na dworze osobą. Nie mówi się ojcu, że jego dzieci nabroily, jeśli nie miało się co do tego

całkowitej pewności.

– Opaskę każdy może sobie uszyć – wcale przytomnie odburknął strażnik.

– Ale niewielu by się zdobyło na zabarwienie skóry na czarno, wytatuowanie sobie węża na ciele i spiłowanie zębów. Nie poznajecie Alego Czarnego Berserka, zwanego Czarnym Achillem, najnowszego siepacza demu Błękitnych?

Olbrzym uśmiechnął się życzliwie, nie pozostawiając wątpliwości, że jest tym, za kogo go przedstawiano. Poglaskał też rękojeść Ludożercy – lekko zakrzywionego saifa z damasceńskiej stali. Miało to swoją wymowę, choć wcale nie było groźbą. Obcy, który nosił w Mieście przypasaną broń, musiał mieć na to zezwolenie straży, a to znaczyło, że był godzien zaufania. Ali mógł paradować z orężem od niedawna – dzięki Fokasowi, który nadał mu dumnie brzmiący tytuł *spatharios*, czyli „ten, kto nosi miecz”. Z tym zaszczytnym mianem wiązało się zresztą o wiele więcej przywilejów, na przykład ten, że Blamad stał się zaufanym wojownikiem w świecie Nikefora, jego zbrojnym ramieniem, co otwierało mu wiele drzwi w mieście.

Przywódca strażników wciąż wydawał się nieprzekonany, ale zmienił zdanie, gdy jego ludzie potwierdzili słowa rzezańca.

– Wybaczcie – odburknął, ale nikt nie uwierzył, że szczerze. – Przez kilka ostatnich dni nie było mnie w mieście. Ale czego tu szukacie?

– Czarny Achilles ma walczyć w wielkiej bitwie, która poprzedzi główny wyścig biegaczy podczas luperkaliów. Uznał więc, że powinien zapoznać się z największym bohaterem areny, woźnicą Sofroniuszem.

– To prawda? – strażnik zwrócił się do Alego, który dotychczas milczał.

Ten kiwnął głową.

– Chcę złożyć uszanowanie najznakomitszemu przedstawicielowi naszego demu.

– Dobra. Możesz iść. Znajdziesz Sofroniusza przy boksie dla koni. W tym czasie przypilnujemy ci rzezańca.

– Misiaczku, misiaczku. Nigdy nie opuszczam mojego pana. Sam basileus nakazał mi o niego dbać.

– Wejście tylko dla Błękitnych, a u ciebie nie widzę opaski. Ale nic się nie bój. W środku nie ma żadnych mężczyzn bez brody. Nikt cię nie wyręczy w zaspokajaniu twojego Czarnego Achillesa.

Sowa nie pojawiała się już od trzech dni, ale teraz niespodziewanie przyleciała, siadła na ramieniu strażnika i dziobnęła go w głowę. Berserk widział, jak pęka czaszka, dziób wchodzi do mózgu, a ptasi, choć nienaturalnie długi, jęczyczek szarpie za żyłki, drażni nerwy i liże wewnętrzną stronę gałek ocznych. Blamad wzdrygnął się jak po kąpieli, strząsając wizję z rzęs. Nienawidził występku ludu Lota, a teraz sam został o niego oskarżony. Wiedział, że w Byzantionie eunuchowie byli wykorzystywani także do tego rodzaju lubieżności, ale nie potrafił wyzbyć się pogardy wobec takich ludzi.

Wygrał walkę z zaciśniętymi od gniewu szczękami i zwrócił się do trzebieńca, a może do nadal siedzącej na ramieniu strażnika hamy:

– Zostań!

Posłuchał go tylko ten pierwszy, albowiem biały ptak zerwał się do lotu i wleciał w czeluście wejścia do stajni. Ali ruszył za nim, odpychając strażników.

Nie musiał długo szukać. Już wcześniej rozpytali się ze Slavomirusem o zwyczaj woźnicy, więc wiedzieli, że ten skoro świt odwiedza stajnie, by osobiście karmić ogiery ze swojego zaprzęgu, a następnie wyprowadzać je na poranny rozruch. Kierunek wskazał mu teraz jeden ze stajennych, który wynosił w wiadrach gnój.

Blamad znalazł woźnicę w jednej z zagród, choć prawie go minął. Mężczyzna był wyjątkowo niski, szczupły i na dodatek ukryty za końską szyją, którą właśnie szczotkował. Wezwany po imieniu, rzucił szczotką i wyszedł z zagrody.

– Czego chcesz? – powiedział wściekle, odważnie i wyjątkowo głupio, bo sięgał Alemu ledwie do piersi.

– Sprawę mam.

– No widzę. Ale te tutaj to ogiery. Klacze znajdziesz po drugiej stronie zagrody!

Hama przysiadła na końskim grzbiecie, który przed chwilą szcztokował Sofroniusz. Ogier musiał coś wyczuć, bo podniósł ogon, zarżał i niespokojnie pokręcił głową. Wojownik z Wągadou pomyślał, że dawno nie jadł koniny, a sowa zahuczała w jego głowie, że lepszy byłby pieczony woźnica.

Olbrzym wyszczerzył się w uśmiechu i przejechał językiem po zaostzonych zębach. To ustawiło rozmówcę, który przestał się pnieć niczym zajechany wierzchowiec i już mniej pewnie spoglądał na przybysza.

– Nazywają mnie Alim Czarnym Berserkim i jestem nowym siepaczem Błękitnych. Mam wystąpić na arenie podczas zawodów w Hipodromie.

– Obiło mi się o uszy. Ale dlaczego przerywasz mi rozmowę z prowadzącym?

Świeżo upieczony *spatharios* znał się na wyścigach wystarczająco dobrze, by wiedzieć, o czym mówi Sofroniusz. Zaprzęgi w Hipodromie wykonywały okrążenia wokół spiny i zawsze skręcały w lewo. Dlatego najcenniejszym i najważniejszym koniem w kwadrydze był prowadzący, czyli ten biegnący najbardziej po lewej. Mówiło się, że woźniców łączyła z tymi zwierzętami wyjątkową więź, a niektórzy nawet tak dziwaczeli, że spali i rozmawiali do późnych godzin nocnych ze swoimi prowadzącymi.

– Szukam młodszego woźnicy, który ci pomaga.

– Którego?

– Tego od wina. Niedawno podarował dzban fouski oberżyscie pandokeionu „Słodkie Winogrona”.

Blamad postawił sprawę jasno, ponieważ sprowokowanie woźnicy było jedyną szansą, by go wy badać. Przyglądał się twarzy Sofroniusza, próbując na niej znaleźć choć ślad zdenerwowania czy niepewności. Niczego takiego nie zauważył. Grikkmad wzruszył tylko ramionami.

– Masz mnie za handlarza winem? Jeśli chcesz się napić, idź do

pandokeionu. Wynoś się już, bo moje koniki odpoczęły po jedzeniu i muszę z nimi trochę pobiegać.

– Wyjdę, jak powiesz, gdzie znajdę tego pomocnika.

– Wyjdiesz teraz, bo inaczej zawołam straż. Może i jesteś nowym pupilkiem Błękitnych, ale to ja jestem mistrzem wyścigów i najcenniejszym skarbem demu. Co to w ogóle za pomysł, by urządzać barbarzyńskie walki w Hipodromie? Sama jego nazwa wskazuje, że to miejsce dla koni, a nie tępych rębajłów.

Biała sowa zahuczała i podpowiedziała, co Ali powinien zrobić.

Sjaf wyskoczył z obitej lwią skórą pochwy. Berserk ciął szybko, od dołu, wkładając w uderzenie całą siłę i gniew. Półksiężycowe ostrze trafiło w końską szyję i poszło dalej, przecinając skórę, mięso i kręgosłup. Wyszło po drugiej stronie. Ucięty łeb prowadzącego zatoczył łuk i padł do stóp wrzeszczącego Sofroniusza, a krew z uciętej głowy siknęła tak wysoko i obficie, że poplamiła sąsiednie zagrody, sufit, wyłożoną słomą podłogę i całego Grikmada. Przerażone konie zaczęły bić kopytami, rzeć i stawać dęba. Blamada otoczyli zbrojni we włócznie strażnicy, lecz owładnięty berserkgangiem szalenciec ciął, rąbał, ucinał, ranił i zabijał, a skąpiana we krwi biała sowa huczała i śmiała się upiornie ludzkim głosem.

– Co tak sterczysz? Powiedziałem, żebyś się wynosił!

Czerwona wizja uniosła się na skrzydłach hamy i uleciała. Ptak powrócił, ale już nigdzie nie przysiadł, tylko latał między belkami powały. Ali wrócił ze świata ułudy i pojął, że jego miecz tkwi nadal w pochwie, a on stoi z rozdziawioną gębą niczym ludożerca przed posiłkiem. Widzenie było o wiele mocniejsze niż poprzednio, czuł nawet smak końskiej krwi w ustach.

Splunął i obnażył stal.

– Radzę ci to schować! – krzyknął woźnica. – Myślisz, że się przestraszę? Jedno moje słowo, a zjawi się tu pół demu.

– Ciii. – Wojownik dotknął zimnym ostrzem swoich warg. – Nic ci nie zrobię. Co innemu jemu.

Zamachnął się od dołu, zupełnie jak w wizji, ale w ostatniej chwili zatrzymał broń przy końskiej szyi. Zwierzę zarżało, potupało i cofnęło się, lecz Czarny Achilles był nieugięty i trzymał broń przy karej szyi prowadzącego.

– Tknij go tylko, a nie wyjdiesz stąd żywy.

– Spróbuj tylko krzyknąć. Przychodzę z ramienia Nikefora Fokasa – kłamstwo przyszło Alemu z trudem. – Myślisz, że domestyk Scholi zmartwi się utratą twojego prowadzącego? W pałacu mówią o Nikeforze, że przewodzi Błękitnym tylko z powodu swojego stanowiska, podczas gdy jego ród od pokoleń sprzyja Zielonym. Chcesz się przekonać, czy przedłożysz skargę błękitnego woźnicy nad dobro przyjaciela i ulubieńca?

Sofroniusz zazgrzytał zębami. Jakkolwiek odpowiedział sobie na te pytania, musiał uznać, że ryzyko mu się nie opłaci, gdyż oznajmił:

– Nazywa się Maksym. Jest poza miastem. Wysłałem go po nowe żrebacki, wróci nie wcześniej niż za dwa tygodnie.

– Jakże to wygodne.

– Jeśli mi nie wierzysz, porozmawiaj z jego kobietą. Wołają na nią Eirene czy jakoś tak. To tancerka i śpiewaczka Błękitnych. Popołudniami pozwalam jej nucić swoim zwierzętom. To je uspokaja po biegu. Przyjdź później, a ją tutaj spotkasz.

Wytatuowany przybysz schował miecz i poklepał zaniepokojonego konia po szyi.

– Dobre zwierzę – powiedział, patrząc wprost na woźnicę, a potem obrócił się i wyszedł.

Ranek minął na narzekaniach Slavomirusa. Eunuch wyrzucał sobie, że dał się tak łatwo zatrzymać przy wejściu, przez co Blamad popadł w tarapaty. Przepraszał towarzysza chyba tuzin razy i równocześnie błagał go, by zachowywał spokój. Przekonywał, że jeśli spór w stajni zakończyłby się jatką, właśnie on, jako opiekun berserka, odpowiadałby przed Numerami.

W południe zrobili się głodni, więc trzebieniec zabrał spathariosa na

Mese, gdzie u piekarza kupili chrupiące jeszcze boukellatony, a w przydrożnym ergasterionie miskę oliwek. Do stajni wrócili syci i gotowi do rozmów. Mówił głównie rzezaniec. Ali słuchał i starał się uspokoić. Tym razem mężczyzna bez brody uparł się, by to berserk zaczekał nieopodal stajni, a sam udał się do wejścia i tam czekał na Eirene.

Zbierało się na burzę, gdy dziewczyna pojawiła się wreszcie przy strażnikach. Eunuch od razu ją zagadnął. Blamad nie słyszał, o czym mówili, ale z miejsca, w którym stał, mógł się przyjrzeć Eirene. A było na co popatrzeć. Tancerka była młoda, wysoka, szczupła i krągła tam, gdzie powinna. Jasne włosy i blada skóra wskazywały, że nie urodziła się w Byzantionie. Zapewne trafiła do Miasta jako niewolnica. Chwilę gawędziła z mężczyznami, potem spojrzała na berserka, którego wskazał trzebieniec. Ali pomachał śpiewaczce, lecz przezornie się nie uśmiechnął. Po chwili podeszła do niego w towarzystwie Slavomirusa.

– Panie – powiedziała i skinęła głową. – Twój niewolnik twierdzi, że mogę ci w czymś pomóc.

Miała piękny melodyjny głos, który wpadał w ucho, rozgaszczając się w głowie i powodował chłopcę. Hama znów nadleciała, usiadła na dziewczęcej główce i oblizwała się długim ludzkim jęzorem, choć przecież w ptasim dziobie nie miał on prawa się znaleźć. Banita z Wagadou odrzucił prośbę, bo prowadziło do gniewu, a ten do mordy. Pomyślał o równych szeregiach liter stawianych na pergaminie i ten twórczy obraz natchnął go odrobiną spokoju.

– Eunuch minął się z prawdą. To ja chciałbym pomóc tobie.

– Słabe. Wiesz, ile razy dziennie to słyszę?

Urodziwa młódka wyższa o głowę od większości tutejszych mężczyzn? Oczywiście, że musiała być obiektem westchnień połowy grikklandzkich młodzieńców. Blamad zganił swoje otępienie.

– Źle mnie zrozumiałaś, dziewczyno. Chodzi o twojego przyjaciela, młodszego woźnicę, o którym do niedawna szeptało się w demie, że przeznaczona jest mu sława na torze. To już jednak przeszłość. Okazało się, iż jest trucicielem i mordercą. Lepiej trzymaj się od niego z daleka.

– Maksym? To jakieś nieporozumienie. On nie zrobiłby nikomu krzywdy. Lepiej już pójdę.

Odgarnęła spadające jej na czoło włosy i obróciła się ku strażnikom. Wyglądała jak łania spłoszona przez wilka. Slavomirus pokręcił głową z politowaniem, jakby chciał powiedzieć towarzyszowi: „Wszystko zepsułeś. Przecież wiadomo było, że złęknie się takich oskarżeń”. Jednak Czarnemu Achillesowi właśnie o to chodziło. Głupotą byłoby oczekiwać, że tancerka po dobroci wyśpiewa piosnkę obciążającą swojego kochaneczka, a bić jej nie zamierzał. Lepiej było delikatnie zastraszyć jasnowłosą i sprawdzić jej reakcję na niewygodne pytania.

– Poczekaj jeszcze chwilkę. – Ali zastawił jej drogę odwrotu. – Nas nie musisz się lękać. Z polecenia samego basileusa przyglądamy się pewnej delikatnej sprawie i podejrzewamy, że twój przyjaciel może mieć coś wspólnego z trucicielskim spiskiem wymierzonym w dobre imię domu autokratora. Powiedz, czy Maksym dostarcza Sofroniuszowi wino?

– To przecież żadna tajemnica – zaczęła niepewnie. – Ale to sprawdzony towar od oberżystów, których rody od pokoleń wspierają nasz dem. Jeszcze nikt się nim nie zatrzał, o ile pił rozsądnie.

– A czy dostajecie czasem dzbany z pałacowej winnicy?

– To... – zawahała się – ...czasem się zdarza. Ale tylko po wygranych wyścigach jako wyraz wdzięczności basileusa.

Blamad szybko kojarzył. W dzień ich przybycia do miasta Błękitni odnieśli wielkie zwycięstwo nad Zielonymi. Zaraz potem Ainar został otruty.

– Czy twój przyjaciel również odbiera to pałacowe wino?

– Tylko te dzbany, które są przeznaczone dla Sofroniusza. Każdy wam może to powiedzieć. Ale teraz naprawdę muszę już iść.

Spróbowała minąć berserka zgrabnym, tanecznym krokiem, ale noszący miecz był nieugięty i zapląsał z pieśniarką tak, by nadal zagradzać jej drogę.

– Nie uciekaj, dziecinko. Nic ci nie zrobimy – powtórzył, by sama

wyobrazila sobie to, co zrobic jej mogli. – Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy kilka tygodni temu, gdy do miasta przybyl wladca Vaeringow, ktos przyniosl wam wino z palacowej winnicy?

– Nie wiem. Wtedy jeszcze tak bardzo nie przyjaznilam sie z Maksymem. Musicie sami go zapytac. Powinien wrócic za kilka dni.

– Nie możemy tyle czekać. Ale może Maksym chwalił się swojej lubej o jakimś wysoko postawionym przyjacielu z otoczenia dworu?

– Ja nic nie wiem. Puśćcie mnie. Bo zacznę krzyczeć. Jestem tu bardzo lubiana i wszyscy strażnicy staną po mojej stronie.

– Oj, nieładnie. Przecież tylko rozmawiamy. – Olbrzym uśmiechnął się, a hama podsunęła mu myśl, by przerzucić dziewczynę przez kolano i tak długo obijać jej tyłek, aż wszystko mu wyjęczy. – Taka jesteś pewna ich obrony? Zaryzykują starcie z wysłannikami autokratora dla zwykłej dziewczki? A jeśli nawet rzeczywiście zdołają nas odeprzeć, co powstrzyma nas przed wyjawieniem basileusowi, że pewna tancerka jest zamieszana w trucicielski spisek?

– Co ja ci zrobiłam, czarny diable? Zostaw mnie w spokoju.

Eirene zbierało się na płacz. Blamad nie był z siebie dumny. Współczucie odeгнаło białą sowę, a w głowie zakolatała myśl, że zachowuje się jak ten parszywiec Skald. Nie było jednak innej rady, jeśli chciał poznać odpowiedzi na swoje pytania.

– Moim przyjaciółom nic już nie grozi, więc warto ze mną żyć w zgodzie. Ale za chociażby podejrzenie o twoim udziale w spisku stracisz pozycję w demie i z tancerki zostaniesz zwykłą pornaską, która „służy w piechocie” i daje każdemu w bramie za miskę kaszy. Warto tak ryzykować dla młodszego woźnicy?

Nic już nie mogło powstrzymać łez dziewczyny.

– Jesteście podli. – Otarła nos i oczy rękawem prostej niebieskiej sukienki. – Tylko raz Maksym chwalił się, że ma znajomości na dworze i czeka go świetlana przyszłość. No i kiedyś widziałam go w towarzystwie bogato odzianego zbrojnego.

– Wiesz, jak miał na imię?

– A niby skąd? – Zachlipała. – Jestem tylko tancerką. Nie znam się na bogaczach. Tego dobrze jednak zapamiętałam, bo miał brzydką plamę, jakby od oparzenia, na czole.

– I miał pewnie niebieski płaszcz.

– Niebieski? Niby czemu? Nie. Miał posrebrzaną kolczugę starannie okrytą prostą żołnierską chlamidą, tak by nie było widać jego zamożności, gdy szedł ulicą. Sama bym się nie zorientowała, że to człek zamożny, gdyby w domu Maksyma nie ściągnął płaszcza. Wtedy zauważyłam też, że ma na szyi *peritrachelion*. Wydaje mi się, że podobne złote kołnierze nosi Hetairia. Ale to może tylko takie wrażenie.

Trzebieniec rzucił Alemu pytające spojrzenie, a zaraz potem pokręcił z niedowierzaniem głową. Także berserkowi słowa pieśniarki wydały się dziwne. Hetairia była osobistą strażą basileusa i jego rodziny. Mógł zrozumieć, że ktoś z otoczenia autokratora chciał zabić Skalda teraz, gdy ten zdobył pewną pozycję, a wielu zdążyło się na nim poznać, ale wcześniej? Nikt go wtedy nie znał. *Spatharios* chciał jeszcze raz zapytać dziewczynę, czy aby nie pomyliła się w domysłach, ale ta wykorzystała zdziwienie rozmówców i przemknęła obok czarnego wojownika. Blamad pozwolił, by dobiegła do stajni, a potem znikła w wejściu.

14

Ocuciła go morska woda. Skald otworzył oczy i zobaczył pusty już cebrzyk w rękach uśmiechniętego Diarfa Nawlekacza. Poczul też, że dwóch mężczyzn podtrzymuje go za ramiona. Nie był związany, choć brakowało mu pasa z mieczem. Dostrzegł dziobnicę w kształcie zmijowego łba i uświadomił sobie, że znalazł się na pokładzie snekkji, którą wczoraj ścigał. Nie był pewny co do tego „wczoraj”, bo łeb bolał go jak po tygodniowej biesiadzie w skytringu. Pewne było natomiast, że statek

zakotwiczył w niewielkiej zatoczce, a obok dryfował uszkodzony „Niegrzeczny Niedźwiadek” ze swoją związaną załogą. Nigdzie nie było natomiast widać galeid kussarów.

– No wreszcie! Już myślałem, że za mocno połaskotałem cię piórkiem po głowie.

Ainar uniósł przekrwione oczy na Diarfa i uśmiechnął się prawie tak brzydko jak Ali Czarny Berserk.

– Daj wiosło, a pokażę ci, jak to prawidłowo robić.

Nawlekacz zwinął usta w dzióbek i przesłał mu całusa.

– Źle zaczęliśmy naszą znajomość. Od razu od męskich pieszczot. Wiesz chociaż, kim jestem?

– Psem najętym przez rodzinę pewnego opata.

– Sława kroczy przede mną. Pies to miłe zwierzę, bardzo wierne, wolę jednak, gdy nazywają mnie Diarfem Nawlekaczem. Wynajął mnie największy władca Wyspy Irów, potężny Domnall Ui Neill, bratanek kuzyna opata Maelruaina, którego zamordowałeś. Jego inni krewni też się dołożyli, a z rodu Ui Neill wywodzi się wielu lokalnych przywódców. Wspólnie obiecali mi kulę złota w zamian za twoją głowę i nie przeszkadzało im nawet, że w ich imieniu zemstę wyrze plugawy Vaering. Dokładnie tak powiedzieli: „plugawy Vaering”. Ich szczęście, że nie jestem tak czuły na słowa, jak jakiś zniewieściały pieśniarz.

Skald splunął resztką morskiej wody, którą miał w ustach. Skoro jeszcze żył, to znaczy, że wciąż mógł się z tego wykpić. Musiał tylko dowiedzieć się czegoś więcej o zamiarach łowcy nagród.

– Nie masz tyle siły, by ją odrąbać? Na co czekasz?

– Pośpiech jest matką berserków. Ja wolę działać rozważnie i dokładnie wypełniać powierzone mi zadania. Nakazano mi wyrzeć zemstę na tobie i twoim rodzie. Najpierw zajmę się więc tym drugim. Przyprawdźcie ją!

Dwóch Vaeringów przeszło na rufę i podniosło leżącą tam osobę. Spętaną i zakneblowaną dziewczynę, która nie miała jeszcze dwudziestu lat. Żeglarze przyprowadzili ją pod maszt i postawili obok Diarfa.

Zabłąkana na statku disa, a może jedna z fal, natchnęła saekonunga złym przeczuciem.

– Poznajesz Selę, swoją córeczkę? Minęło już trochę czasu, odkąd ostatni raz się widzieliście.

Pieśniarz przyjrzał się niebieskim oczom młodej kobiety, jej ciemnym włosom i szczupłej, umięśnionej sylwetce. Zaczął dostrzegać w niej trzyletnią Znajdę, z którą niegdyś spędził kilka tygodni w klasztorze. Wspomnienia sprzed lat wróciły. Noc z piękną Halfridą, zabójstwo niedoszęłego teścia, mała dziewczynka z ludzkim uchem w dłoni, która zastukała do jego drzwi i oznajmiła, że jest jego córką. Później zagadka tajemniczych morderstw, spalenie opata i podróż z dziewczynką, której nadał imię, po czym oddał na wychowanie kupcowi z Dyflinnu. Lata tułaczki, łotrostwa i pijaństwa skurczyły się do jednej nic nieznaczącej chwili.

– Norny każdemu osobno przędą tkaninę życia, nie odpowiadam więc za tę kobietę. Jest już dorosła.

– Czyli nie obejdziesz cię, jeśli ją zabiję?

Żmijowy język wzruszył ramionami. Wykorzystał przy tym wszystkie nabyte przez lata umiejętności oszusta i zesłaną mu przez boga Grimmira biegłość w przybieraniu masek, gdyż w środku palił się niczym kowalski piec. Może i nie odpowiadał za dziewczynę, ale czuł, że nie mógłby beczynnie patrzeć na jej śmierć. Była prawie dzieckiem, tak podobnym do swojej matki, dzielnej Halfridy.

Jeden z wojowników podał Diarfowi długą myśliwską włócznię z zadziorami poniżej grotu.

– Wiesz, dlaczego nazywają mnie Nawlekaczem?

– Bo w wolnych chwilach łatasz spodnie swoich wioślarzy?

Najemnik uśmiechnął się i podrapał grotem po płaskim nosie.

– Nie. Podczas napadu na pewne miasto w Vallandzie, którego nazwy już nie pamiętam, nabiłem na włócznię trzy niemowlaki. Potem pokazałem to trofeum obrońcom na murach, a ci poddali się bez walki. Ale równie

dobrze radzę sobie z dorosłymi.

Diarf wziął zamach i wbił włócznię w brzuch Seli. Dziewczyna zapiszczała, a jej niebieskie oczy wybuchły bólem i przerażeniem, po czym zmatowiały i zgasły. Nawlekacz bez trudu uniósł włócznię razem z ciałem ofiary i pomachał krwawym trofeum nad swoją głową, jakby bawił się chorągiewką. Grot z zadziornymi utkwiał głęboko w ciele, dzięki czemu zwłoki nie zsunęły się po drzewcu. Spłynęła za to krew – wprost na łysy, błyszczący łeb oprawcy.

Ainar rzucił się do przodu, pragnąc bić, zabijać i umrzeć. Wściekłość zawładnęła nim do tego stopnia, że zapomniał o trzymających go mężczyznach. Oni też nie byli gotowi na tak szybką reakcję pieśniarza. Kował słów wyrwał się im, doskoczył do Diarfa i uderzył go pięścią w twarz. Bardziej nie zdołał go skrzywdzić, bo został pochwycony i odciągnięty przez strażników. Nawlekacz zaś wziął zamach i cisnął martwą dziewczyną wprost w objęcia poety. Ciało zsunęło się z grotu i przewróciło Skalda na plecy.

Łysy wódz wybuchł śmiechem.

Östmad przytulił jeszcze ciepłe ciało córki. Krew z jego krwi plamiła mu ubranie i karmiła przenikającą go wściekłość. Zapach jasnych włosów przypominał mu o Pólnocy. Łzy nie chciały jednak płynąć, mimo iż smutek trzymał go za gardło niczym wilk sarnią szyję. Przełknął żal i przekuł gorący gniew w zimną nienawiść. Myślał i planował. Zabicie dziewczyny niechybnie oznaczało, że i jego zaraz spotka podobny los. Jeśli miał dokonać zemsty, musiał najpierw ujść z życiem. Ale ucieczka nie wchodziła w grę. Zbyt dobrze był pilnowany. Wciąż miał jednak swój język, dzięki któremu mógł sobie kupić trochę czasu. Zaczął wszakże nie od kłamstwa, ale od najbardziej oczywistej prawdy.

– Zabiję cię za to! Mieczem, toporem, włócznią lub gołymi rękami. Walcz ze mną!

Diarf przestał się śmiać i dotknął grotem pleców Seli. Po jego wcześniejszym pokazie siły nie było wątpliwości, że z łatwością przybiłby córkę do ojca.

– Najpierw musiałbyś wstać – powiedział groźnie, po czym znów się zaśmiał i cofnął broń. – Powtórz to więc na stojąco.

Poeta ostrożnie zsunął z siebie stygnące ciało, ułożył je na pokładzie i stanął na nogi. Poczł słabe ukłucie zadowolenia, że tak łatwo zwiódł najemnika. Znał dobrze takich ludzi i wiedział, że Nawlekacz nie oprze się pokusie, by wrócić do władcy Irskmadów nie tylko jako ten, kto zabił Ainara Skalda, ale też pokonał go w równej walce.

– Zabiję cię za to!

– Nie zrobisz tego. Co więcej, niebawem zostaniesz moim sprzymierzeńcem.

Hag był biegły w rzemiośle języka, ale nie mógł pojąć znaczenia słów Diarfa. Czy łysy Vaering był naprawdę tak głupi, że po swoim czynie oczekiwał pomyślnych układów?

– Została rozlana krew z mojej krwi. Myślisz, że o tym zapomnę?

– Wiem, wiem. Mówili mi, że mściwa z ciebie bestia. Tyle tylko, że twoja córka wciąż żyje.

W pierwszym odruchu pieśniarz spojrział na dziewczynę, ale ta wciąż pozostawała martwa. Jeśli Nawlekacz nie był szalony, musiało mu chodzić o coś innego.

– To nie ona?

– Tatuś chce mścić córeczkę, a nie umie jej nawet rozpoznać! Pewnie, że nie ona. Tę tutaj pojmałem podczas jednej z wypraw i wzięłem jako brankę. Nawet nie wiem, jak miała na imię, ale na sienniku była dobra. Cała załoga jest tego zdania.

Dopiero teraz poeta dostrzegł, że włosy martwej nie były jasne, ale szare, oczy raczej zielone niż niebieskie, a ona sama bardziej wychudzona z głodu niż smukła i umięśniona. Teraz nie był nawet pewny, czy pochodziła z Północy. Dziwił się, jak mogła mu przypominać córkę. Mimo wszystko było mu jej żal i w myślach złożył nieszczęsnej obietnicę, że kiedyś ją pomści, a jedno z pchnięć, które wymierzy Diarfowi, wykona w jej imieniu. Tyle tylko, że jeszcze nie teraz. Wszystko wskazywało bowiem na

to, że Nawlekacz miał rację – będą się układać.

– Czego chcesz?

– Twojego i mojego bogactwa. Na razie zapomnę o nagrodzie za twoją głowę, choć kula złota to ozdoba, która pięknie wyglądałaby w moim skarbcu. Dookoła jest jednak tyle wspaniałości... Byłeś przecież w Miklagardzie i na pewno wzięłeś już pierwszą rogę. Wiesz zatem, że w Grikklandzie wszyscy siedzą na złocie i chętnie się nim dzielą z najemnikami. Można się tu nieźle obłowić.

Nieźle! – pomyślał Skald. – Przez rok służby u basileusa można było zarobić więcej, niż dowolny konung z Północy przez dziesięć lat wyciskał ze swoich ziem.

Statkiem zakołysało i osłabiony Ainar byłby się przewrócił, gdyby nadal nie trzymało go dwóch strażników. Morze w zatoce nie było tak wzburzone jak wczoraj, ale nawet dla wilka lądowego było jasne, że letni okres żeglugi niebawem dobiegnie końca.

– To prawda. Dlaczego więc zaprzedałeś się Serklandczykom i porzuciłeś służbę u Grikkmadów?

– Porzuciłem? Zawodzisz mnie, Skaldzie. Kto jak kto, ale ty powinienesz mnie zrozumieć. Jeśli służę tylko sobie, żadnej przysięgi wierności nie łamię. Ale zresztą, kto mówi, że odstąpiłem od służby basileusowi?

– A galeidy, z którymi nas napadłeś? A statki, które spaliły Arkadię na Therze?

– Jaki spostrzegawczy. Rzeczywiście, zaciągnąłem się na służbę u Serklandczyków, ale to nie znaczy, że chcę zrezygnować z rogi autokratora. Nie bądź taki ograniczony, pieśniarzu. Co stoi na przeszkodzie, by brać złoto od obu stron i sprawiedliwie wywiązywać się z zobowiązań, łupiąc każdą z nich?

Już to przerabiałem – pomyślał Ainar i naszły go złe myśli. Kilka lat temu postępował podobnie, a i cztery tygodnie temu przyszedł mu do głowy bliźniaczy pomysł. W końcu nikt nie był lepszym oszustem niż pieśniarz nazywany konungiem kłopotliwym i węzowym językiem. Mijające lata,

choć nie odbiły wyraźnego piętna na jego wciąż młodzieńczej twarzy, przyniosły mu jednak nieco rozwagi. Gdyby chodziło tylko o złoto, postąpiłby jak Diarf. Chciał jednak czegoś więcej. Pragnął stworzyć vaerińskie państwo na grikklandzkich wyspach. Państwo, z którym wszyscy będą się liczyć. Na razie potrzebne mu więc było wsparcie i zaufanie basileusa, a także lśniący *tírr*, czyli niezabrudzona żadną zdradą sława. Propozycja Nawlekacza nie wchodziła zatem w grę, tyle tylko, że kowal słów nie był obecnie w sytuacji dobrej do prowadzenia targów.

Przywdział maskę chciwca, uniósł brew i zatańczył nią na szczycie czoła.

– Rzecz godna rozważenia. Trzeba było od tego zacząć, zamiast odstawiać to marne przedstawienie. Nakaz swoim ludziom mnie puścić i przynieść jakiś napitek, byśmy mogli go rozlać na cześć bogów i wypić na chwałę naszego przymierza.

– Nie tak szybko.

Jak na zacnego drenga przystało, najemnik dbał o oręż, zupełnie nie przejmując się, że sam był zalany zasychającą już krwią. Sięgnął po szmatę i zaczął wycierać włócznię. Zaczął od grotu, przeszedł do skrzydełek i skończył na drzewcu, a kiedy na broni nie było już śladu czerwieni, wrócił do żelaznej części i wypolerował ją na błysk. Wydawało się, że na chwilę zapomniał nawet o jeńcu, który czekał na odpowiedź i rozważał, w jaki sposób wytargować nowe warunki układu, ale z pozycji siły.

– Nie tak szybko – powtórzył Diarf, uniósł włócznię i ocenił swoją pracę. Musiał być zadowolony, gdyż oparł drzewce o pokład, a następnie powiedział: – Tak łatwo mnie nie oszukasz. Napadłem cię, ośmieszyłem w oczach twoich ludzi i niemal zatopiłem twój statek. Znam twoją sławę i wiem, że mi nie odpuścisz, nawet jeśli za chwilę przysięgniesz na Jednorękiego i zapewnisz o swojej przyjaźni.

Miał rację. Ainar był pamiętliwy niczym głowa Mimira, a ta przecież nigdy nie zapominała o rzeczach, które niegdyś się stały.

– Prawdę mówią o ludziach wysokich jak tyczka, że szybciej zając pokona milę, niż myśl z ich głowy dotrze do rąk. Zdecyduj się wreszcie!

Chcesz zawrzeć satt czy nie?!

– Oczywiście, że pragnę ugody z konungiem wszystkich Vaeringów. Ładny tytuł, tak przy okazji. Zanim ją jednak zawrzemy, muszę się upewnić, czy zdajesz sobie sprawę z następstwa zdradzenia mnie. Jeśli ośmielisz się zrobić to, co chodzi ci właśnie po głowie, zabiję twoją córkę.

Pieśniarz uniósł wargę niczym wilk i uśmiechnął się złośliwie. Łysol był dobry w zgadywanki, bo głodny konung myślał właśnie o rybie pieczonej na olbrzymich kościach Diarfa.

– Kolejną?

– Tym razem tę prawdziwą. Naprawdę jest w mojej władzy.

– I myślisz, że uwierzę ci po tym przedstawieniu?

– Tak. Bo z pewnością powiadomił cię o tym ten irski mnich. W końcu ująłem nie tylko Selę, ale i tę jego śniącą wywłokę. I daruj sobie zapewnienia, że nie obchodzi cię los córki. Po to właśnie urządziłem egzekucję, byś przypomniał sobie ojcowską miłość, a mnie pokazał, czy naprawdę ją czujesz. Zresztą wygrałem w ten sposób mały zakład z twoją wyszczekaną suczką. Bo widzisz, kiedy z nudów wyjaśniałem jej, że ma być przynętą na ojca, napluła mi w twarz, zaśmiała się w głos i powiedziała, iż jestem głupcem, bo jej rodzic jest „zimnym, samolubnym draniem, umiejącym tylko chlać, zabijać i kłamać za pieniądze”. Rzekłem jej na to: „Mylisz się, dziewczko. Nie ma tatusia, któremu los córki byłby obojętny. Nawet kundel dba o swoje szczeniaki”. Uczciwie jednak przyznam, że nieco zwątpiłem w twoje dobre serce. Niespieszno ci było ją ratować. Dlatego musiałem osobiście sprawdzić, czy zależy ci na córce.

Pyskata, zadziorna i trafnie postrzegająca ludzi. Skald nie wymarzyłby sobie lepszej córki. Przypomniał sobie odważną małą Znajdę, za którą zawsze kroczyły kłopoty, i uśmiechnął się w duchu.

– Ładna historyjka.

– Niedowiarek. – Nawlekacz ściągnął zawieszony na szyi przedmiot, który chował pod koszulą. – Łap!

Poeta wyciągnął dłoń i złapał rzuconą rzecz. Był to jego stary nożyk do

rzeźbienia, który wiele lat temu otrzymał od Halfridy, a potem podarował ich córce Seli. Poznał runiczne znaki, które niegdyś wyrył na rękojeści.

– Błagała – ciągnął najemnik – bym jej nie odbierał jedynej rzeczy, którą ma po matce. Głupia dziewczka myślała, że łyzy i przekleństwa pomogą. A ja tylko od tego stwardniałem.

Skald rzucił Diarfowi nienawistne spojrzenie.

– Po co mi rzucasz ten nożyk? Lepiej przyprowadź Selę, a potargujemy się o jej życie.

– Masz mnie za głupca? Nie przewozi się cennego towaru w tak niepewną pogodę. Zostawiłem ją na jednej z tutejszych bezludnych wysepek, razem ze śniącą i kilkoma strażnikami. Sam nigdy jej nie znajdziesz. A gdyby przyszło ci do głowy, by najpierw mnie zabić, a potem jej poszukać, wiedz, że w załodze mam seidmada. To potężny czarownik, którego duch co noc odwiedza jednego z ludzi pilnujących Seli. Jeśli przez dwa księżycy z rzędu kochankowie nie spotkają się we śnie, strażnicy zabijają obie kobiety. A wszeteczny czarownik przestanie sypiać, jeśli coś mi się stanie lub taka będzie moja zachcianka. Sam więc widzisz, że jakiegokolwiek nieposłuszeństwo z twojej strony będzie oznaczać jej śmierć.

– Truchleję na samą myśl o mocy, jaką nade mną posiadasz.

– I powinienes, choć wiem, że tylko drwisz. Twoje szczęście, że nie tak łatwo mnie zranić gadzim językiem. Dodam jeszcze, że gdybyś wzgardził moją hojną propozycją ocalenia ci skóry, śmierć poniosą również Niegrzeczne Niedźwiadki. Związane na pokładzie swego ukochanego statku będą zdychać z głodu i pragnienia, aż wzburzone wody zatoki rozbiją snekkję o przybrzeżne skały. Wtedy morze się o nich upomni.

– Zapytam więc po raz kolejny, wszechmocny władco życia i śmierci. Czego ode mnie oczekujesz?

– Byś przyjął mnie na służbę.

Hag musiał przyznać, że wysoki najemnik potrafił zaskakiwać.

– U mnie służą tylko najlepsi. Potrafisz zabić kogoś groźniejszego niż bezbronną dziewczynę?

– Przekonasz się o tym jeszcze nie raz. Obaj wiemy, że służba będzie tylko pozorna, bo to ja będę o wszystkim decydował. Ale tak będzie prościej, skoro przedstawiłeś się już całemu światu jako konung wszystkich Vaeringów. Użyjesz więc teraz swojego władczego miru i przekonasz głupców w Miklagardzie, że jestem wiernym najemnikiem basileusa i nie miałem nic wspólnego z tymi dwoma napadami na Therze.

– Z jednym napadem. Mój zastępca musi umieć liczyć.

– Z dwoma. Do drugiego dojdzie lada dzień. – Diarf wyszczerzył zęby. – Musiałem jakoś przekonać Serklandczyków z tamtych dwóch galeid, że opłaci im się wzięcie was na służbę. Bo w ich oczach to ja jestem władcą Vaeringów, a ty stałeś się właśnie moim zastępcą. Tak. Dobrze zgadujesz. Na wyspie nadal mam swoich ludzi, którzy donieśli mi, że zaraz po „Niedźwiadku” trzy okręty wypłynęły z Arkadii. Dzięki drugiemu atakowi na Therę Serklandczycy będą mogli odbić sobie straty wynikające z waszego uwolnienia. Bo przecież mogliście zostać cennymi vaerińskimi niewolnikami.

Pieśniarz miał ochotę zgrzytać zębami, miotać przekleństwa i złościć się na norny, które utkały mu taki los. Hamramirzy wspominali mu o tajemniczych donosicielach, ale nie zdążył należycie zająć się tą sprawą. Drengowie naciskali, aby zezwolił im na rychłą wyprawę, a i jemu spieszyło się do Miklagardu. Zapewne też właśnie dzięki szpiegom Diarf zdołał tak szybko odnaleźć go na tutejszych wodach. Poeta może i powinien wyrzucać sobie zaniedbania oraz toczyć pianę z ust niczym wściekły wilk, ale zamiast tego przybrał kamienną twarz i pozwolił, by tylko z jego niebieskich oczu biła nienawiść. Był kowalem słów, karmicielem kruków i gniewnym głosem Göllnira, ale choć jego twarz wyglądała młodo, na karku nosił brzemień niemal czterdziestu lat. Z wiekiem przyszła mądrość, iż nie warto wytykać sobie własnych błędów, lecz raczej pamiętać o przewinach innych wobec siebie. „Nie żałuj zadanych razów, ale tych, które sam otrzymałeś. Pierwsze świadczą bowiem o sile, a drugie o twojej słabości!” – krzyczał ojciec, lejąc go po pijaku. Była to jedna z niewielu mądrości, których się od niego nauczył.

– To co wybierasz? – Najemnik przełożył do lewej ręki broń, a prawicę wysunął przed siebie. – Włócznie czy przyjaźń?

Ainar splunął na pokład, spojrzął na związanych Niegrzecznych Niedźwiadków i chwycił przedramię łysego wojownika. Popatrzył mu prosto w oczy.

– Przyjaźń. Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

15

Georgios cieszył się odrobiną spokoju. Odpłynął Ainar, Magnolf, hamramirzy oraz dwie setki najbitniejszych i sprawiających największe kłopoty Vaeringów. Było już południe, a jeszcze żaden z Romejów nie przyszedł do niego poskarżyć się na ludzi z Północy. Święci wysłuchali jego modlitw i w końcu mógł spędzić dzień w swoim namiocie, dumając, jak najlepiej przysłużyć się basileusowi i upokorzyć dumnych najemników.

Rozejrzał się po swojej polowej siedzibie. Wygody, które tu sobie zapewnił, były niczym w porównaniu z bogactwami zgromadzonymi w jego oikosie w Byzantionie. Na zbitej z desek podłodze leżały sarakeńskie kobierce, ściany kwadratowego namiotu zostały uszlachetnione jedwabnymi tkaninami i uświęcone ikonami. Miał zaledwie pięć kufrów na stroje i dwie skrzynie na zbroję, broń i materiały do pisania. Za wygodę odpowiadały sprzęty sprowadzone ze stolicy – szerokie łóże oraz niski stół otoczony przez trzy leżanki ozdobione kością słoniową. Eunuch wybrał jedną z nich i wygodnie ułożył swoje pulchne ciało na poduszkach z gęsiego pierza w poszewkach wyszywanych złotą i srebrną nicią.

Złośliwi mawiali, że dla rzezańców najważniejsze są przyjemności stołu, bo nie mogą czerpać rozkoszy z ciał kobiecych. Georgios uważał tę opinię za krzywdzącą i poniżającą, ale nic nie mógł poradzić, że uwielbiał smacznie zjeść i wypić. Mimo iż wczesnym popołudniem nie przystało żołnierzowi spożywać posiłku, eunuch wezwał osobistego niewolnika

i kazał sobie przygotować coś lekkiego.

Przyniesiono winogrona, jabłka, daktyle, kozi ser i oliwki w occie. Oczywiście dobrze wiedział, że sekret *medicina* leży w *modus*, czyli umiarkowaniu, bo jak mawiał Izydor z Sewilli, „natura boleje przez nadmiar, ale raduje się z równowagi”. Nie lekceważył też rad Hipokratesa oraz Galena i by zrównoważyć chłód oraz wilgoć owoców, kazał przynieść chleb oraz gorącą i gęstą poltos – zbożową zupę. Był człowiekiem mądrym i uczonym, dlatego nie zapomniał o winie. O jego cudownych właściwościach przekonywał sam autokrator Konstantyn Porfirogeneta, który dla dobrego przykładu zwykł wypijać przynajmniej dwa dzbany trunku dziennie. Czerwony napitek przywracał równowagę humorów, zwalczał melancholię, przywoływał radość, łagodził ból i jako że lepiej mieszał się z jedzeniem niż woda, znakomicie rozprowadzał pokarm w najdalsze zakątki ciała. Georgios stanowił tego żywy przykład, bo nawet jego wystające z sandałów palce były tłuściutkie.

Poły namiotu rozchyliły się i do środka wpadł zdyszany żołnierz.

– Straszne wieści, topoteresie Gyrgirze! Gołąb przyniósł wiadomość, że...

– Ciii! – Trzebieniec przyłożył palec do ust, po czym spokojnie dokończył pić wino. Nie przeszkadzało mu, że podwładny, choć Romej, przekreślił jego imię na vaeriński sposób. Ludzie z Północy mówili tak z głupoty, która utrudniała im naukę prawidłowej wymowy, a żołnierze floty basileusa przejęli od nich to niemądre zachowanie. Przyzwyczaił się jednak do tego i dla wszystkich na Therze stał się Gyrgirem, czasem nawet w myślach sam siebie nazywał w ten sposób.

Przerwał posłańcowi, przeczuwając, że kielich wina będzie jego ostatnią przyjemnością tego dnia. Opróżnione naczynie postawił na stole i machnięciem ręki udzielił głosu żołnierzowi.

– Zauważono sarakeńskie galeidy na północy wyspy. Ludzie z Oia proszą o pomoc.

Oia była drugim co do wielkości osiedlem na Therze. Nie było tam miejsca na rozbicie obozu, dlatego miasto zostało obsadzone przez

zaledwie garstkę zbrojnych, którzy utrzymywali w Oia porządek i pilnowali portu. Większe siły nie były potrzebne, gdyż wyspa była tak mała, iż z łatwością dało się sprowadzić posiłki nawet z jej drugiego końca.

Gyrgir zachował spokój. Właśnie dzięki tak ważnym cechom jak spokój eunuchowie zajmowali wysokie stanowiska w armii. Brak drzewca i żelezca między nogami sprawiał, że rzezaniec słuchał rozumu, a nie nagłych męskich zrywów odwagi.

– Ile statków?

– Dwa, w tym jeden *musattah*.

Musattahy były ogromnymi dwurzędowymi galeidami o dwóch masztach. Obsługiwało je stu wioślarzy, a na pokładzie miały setkę żołnierzy. Zagrożenie było więc znaczne.

– Wezwij Skarda.

Skard był dzielny i dumny. A przy tym głupi, jak na prostego najemnika z Północy przystało, można więc go było łatwo kontrolować. Opatrzność czuwała nad Gyrgirem, gdyż pod nieobecność Magnolfa właśnie ten podstarzały łupieżca i sternik jednego ze statków został przez Krwawą Siekierę wyznaczony na dowódcę Vaeringów. Eunuchowi nie musiało się to podobać, ale Tauroscytowie mieli prawo wybierać spośród siebie wodzów poszczególnych oddziałów.

Gyrgir dolał sobie wina, ale tym razem napełnił drewniany kielich tylko do połowy. Dodał wody i zamieszał napój, zataczając naczyniem koła w powietrzu. Chłodny napój pomagał w zachowaniu zimnej głowy, ale tylko, gdy był spożywany w umiarkowanych ilościach.

Najemnik wpadł niczym wichur i niemal rozerwał poły namiotu, kiedy je rozchyłał. Był szczupły i wysoki, a długie miedziane i lekko siwe włosy nosił związane z tyłu rzemieniem. Za nim pojawili się w namiocie strażnicy, którzy nie zdołali zatrzymać Vaeringa i teraz niepewnie mierzyli w niego włóczniami.

– Nie przyjmuję od ciebie rozkazów! – Skard wrzasnął na powitanie. – Na drugi raz radzę mnie zapraszać na naradę, a nie wzywać.

Gyrgir został mianowany na dowódcę wyprawy przez samego basileusa, zatem miał prawo rozkazywać wszystkim Vaeringom. Dostał jednak nominację z tego powodu, że słynął z układości. Dlatego choć dobrze zapamiętał obraźliwe zachowanie Skarda, nie okazał złości. Gestem zapewnił strażników, że wszystko jest w należytym porządku i odesłał ich na zewnątrz.

– Poprosiłem o twoje przybycie, by dać ci szansę na łupy i sławę.

Najemnik zawahał się.

– Jak to?

– Nie męczy cię już życie w cieniu Magnolfa i Ainara? Nie czas napisać własną opowieść o czynach?

Mężczyzna bez brody chciał jeszcze dodać: „Latka lecą, a ty nadal pilnujesz tyłów”, powstrzymał się jednak, nie chcąc nazbyt drażnić porywczego wojaka. Ufał jednak, że ta myśl od dawna gryzła Vaeringa.

Skard zacharczał i splunął na drogi sarakeński kobierzec.

– Więc o to chodzi. Chcesz mnie kupić? Wiedz, że my na Północy nie zdradzamy swoich braci.

Romej uśmiechnął się dobrodusznie. Jakże przewidywalni byli ci ubodzy żeglarze o usposobieniu topora ciesielskiego. Nawet nie wspomniął o nomismach, a i tak głowa najemnika potrafiła myśleć tylko o monetach.

– Nie uraziłbym cię taką ofertą. Doniesiono mi po prostu, że na północy wyspy zauważono dwa serklandzkie okręty. Zapewne wiesz, że kussarowie przewożą na nich wiele dobra, a do ich wiosł przykuci są silni i drogocenni niewolnicy. Magnolf łupi na Krecie, a ty masz okazję wzbogacić się tutaj. Krwawa Siekiera będzie łaskawiej na ciebie spoglądać, jeśli pokażesz mu zdobycz większą niż jego. Poza tym basileus płaci wam rogo właśnie za ochronę griklandzkich terytoriów i z radością wysłucha wieści o twoich zasługach dla Romejów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Serklandczycy chcą ograbić Oia.

Gyrgir wiedział, iż żeglarz tylko udaje wahanie i umyślnie wydłuża ciszę, jakby się zastanawiał nad propozycją.

– A co z twoimi ludźmi? Dlaczego nie ruszysz lądem na odsiecz?

Trzebieniec rozważał i to, lecz marsz trudnym terenem zajęłby zbyt wiele czasu, a na widok oddziałów lądowych Sarakeni mogliby po prostu uciec na statki z łupami i odpłynąć. Znacznie mądrzej było wysłać długie łodzie, które zjawią się tam szybciej niż piesi i jeszcze zablokują ciężkie sarakeńskie okręty. Skoro jednak podstarzały rudzielec sam do tego nie doszedł, szkoda było czasu na rozjaśnianie mroku w jego głowie. Topoteretes powiedział więc tylko:

– A kto pilnowałby obozu?

– Zatem tu jest skarb pogrzebany. Na wojnie wszyscy Grikkmadowie są kobietami. Lękacie się i chcecie bezpiecznie siedzieć za wałami. Niech i tak będzie. Pokażemy wam męstwo Północy.

I jeszcze dorzucicie śmierć po vaerińsku – pomyślał eunuch, a na głos rzekł:

– Basileus nie płaciłby wam szczerym złotem, gdyby wątpił w waszą odwagę. Weź trzy statki. Powinno wystarczyć.

– Trzy? A dlaczego nie wszystkie?

– Zauważono tylko dwa okręty Serklandczyków. Może są i trochę większe niż wasze snekkje... – Rzezaniec zaśmiał się w duchu ze swojego kłamstwa. Galeidy może i nie były o wiele dłuższe od okrętów najemników, za to wyższe, szersze i dzięki temu znacznie liczniej obsadzone. – ...Ale wy przecież nadrobiecie to walecznością i przebiegłością. Ośmioma statkami zaatakujesz dwa? Nie przyniesie ci to sławy. Lepiej zostaw pięć łodzi w Arkadii. Popłyniemy ci na pomoc, gdyby sprawy przyjęły zły obrót. Przede wszystkim jednak musimy chronić Emporionu. Nie wiemy, czy atak na Oia nie ma na celu tylko wywabić nas z obozu.

– Wezmę trzy – powiedział Vaering z mieszanką wyniosłości, dumy i złości, po czym wyszedł.

Topoteretes sięgnął po winogrona. Włożył do ust dwa owoce i zacisnął dłoń na zawieszonym na piersi enkolpionie. Amulet w kształcie krzyża

zawierał relikwię świętego Sabbasa, która chroniła od zła i magii. Dowódca floty ufał, że potrafiła również chronić przed vaerińską głupotą i odpędzać demony fałszywej religii Sarakenów. Wzniósł też oczy ku ustawionej przy ścianie namiotu ikonie świętego Niketasa Patrikiosa. Przeżegnał się i na głos podziękował swojemu ulubionemu haciasowi, że dziś obdarzył go mądrością i opanowaniem. Dzięki temu mógł uzyskać to, czego chciał, nie wdając się przy tym w próbę sił z Vaeringami.

Wstał, przeciągnął się, po czym znów położył, tym razem na drugim boku. Zawsze jadał i odpoczywał w pozycji godnej Romeja, a nie siedział przy stole jak barbarzyńca. Ostatnio jednak szybko cierpnął mu łokieć od leżenia, musiał więc często zmieniać pozycję.

– Dostojny topoteretesie. – Posłaniec, który wszedł do namiotu, był tym samym, który przyniósł mu wieści o napadzie. Tym razem mandator cierpliwie czekał, aż Gyrgir pozwoli mu mówić. – Zauważono trzy sarakeńskie shalandie. Tym razem przy górnej Arkadii.

– Vaeringowie już wypłynęli?

– Tak, panie. Wzięli trzy statki, jak nakazałeś. Nie dopłynęli jednak do Oia. Wcześniej niż my musieli zauważyć nowe okręty i teraz trzymają się blisko brzegu, nie wiedząc chyba, co robić. Sarakeni zaczęli już ostrzeliwać ich z katapult i balist. Jak na razie bezskutecznie. Mam wysłać łódź z wiadomością do Skarda?

Może był to i dobry pomysł, gdyż najważniejsza pozostawała obrona Emporionu, a najłatwiej osiągnąłby ten cel, siedząc ze wszystkimi Vaeringami w obozie. Pulchny rzezaniec odrzucił jednak tę myśl, gdyż przejrzał zamysły przeciwników. Kussarowie chcieli zablokować port i zmusić ich do siedzenia za wałami, podczas gdy sami będą bezkarnie grabić Oia. Ruch godny mistrzów gry w szatrandż. Gyrgir nie mógł na to pozwolić, ponieważ brak odpowiedzi na zaczepkę Sarakenów nie wyglądałby dobrze w relacji składanej basileusowi. Poza tym dumnym Vaeringom przyda się nauczka, a nawet jeśli wielu najemników zginie w walce, to... tym lepiej. Dowódca nie ufał ludziom Północy. Jaką mógł mieć pewność, że ludzie Magnolfa i Ainara nie zdradzą basileusa tak samo,

jak najpewniej uczynił to Diarf Nawlekacz? O wiele lepiej by było, gdyby Væringjalið był mniejszy, a przez to uleglejszy wojsku Romejów.

– Nie. Natychmiast przyślij tu protomandatora.

Protomandator, czyli dowódca wszystkich posłańców, zjawił się szybciej, niż archanioł Michael gromił piekielne zastępy. Wszedł do namiotu, uklonił się i zastygł w oczekiwaniu.

– Wyślij mandatorów do obu Arkadii, do Emporionu i rozstaw ich na całym wybrzeżu. Jeśli brak ci ludzi, weź do tego żołnierzy. Macie meldować o sytuacji co dwadzieścia *Pater Noster*.

– Tak, potężny panie.

– I przyślij do mnie sterników vaerińskich snekkji.

Posłaniec uklonił się i wyszedł. Georgios skorzystał z chwili spokoju i ukroił sobie kawałek sera. Ten okazał się za słony, więc eunuch przywrócił równowagę smaków słodką gruszką.

Vaeringowie wpadli do namiotu wzburzeni, warcząc już na strażników stojących przed wejściem. Nie wykazywali jednak dużej pewności siebie.

– Czego chcesz? – zapytał jeden z nich.

– Sławy i bogactwa dla ludu Północy. Wasz dzielny druh Skard wypłynął stawić czoło serklandzkim okrętom. Radziłem, by wziął wszystkie statki, ale on uparł się, że wystarczą mu tylko trzy jednostki, ale za to obsadzone jego najlepszymi ludźmi.

Topoteretes założył, że dumny Skard nie pochwali się rozkazem od Romeja, tylko będzie udawał, iż wszystko to jest jego planem. Zawistne miny sterników kazały rzezańcowi myśleć, że miał rację.

– Miarkuj się ze słowami, Grikkmadzie. Jesteśmy tak samo dobrzy w zabijaniu Serklandczyków jak inni nasi bracia.

Trzebieniec uniósł ręce w pojednawczym geście.

– Tak też właśnie sobie pomyślałem. Wielkie to marnotrawstwo trzymać tak wspaniałych wojów z dala od bitwy. Zapewne doszły was już słuchy, że na Oia napadli Serklandczycy. Podłe i podstępne sługi Mahometa wymyśliły sobie, że flotą zablokują nasz obóz i będą do woli grabić wyspę.

Nie spodziewają się jednak, że mamy w armii wspaniałych piechurów, którzy w trudnym terenie potrafią się przemieszczać szybciej niż niejeden konny. Weźcie swoich ludzi i ruszcie na odsiecz Oia. Łupy, które tam zdobędziecie, będą wasze, tak jak i sława. Nikt już nie będzie mówił, że zostajecie na tyłach, kiedy inni idą w bój. Dam wam przewodników.

Sternicy nie byli już młodzi i wykazywali pewną rozważę. Wahali się.

– Skard nakazał, byśmy czekali na rozwój sytuacji. Gdyby nadpłynęło więcej okrętów kussarów, mamy mu ruszyć na pomoc.

Oto właśnie chodzi, głupi Vaeringu, byście nie popłynęli na pomoc – pomyślał trzebieniec. Wiedział, że wcześniej czy później Skard będzie miał problemy z Sarakenami, a wtedy niechybnie z odsieczą ruszyliby mu pozostali najemnicy. Georgios nie potrzebował jednak przekonującego zwycięstwa ludzi Północy, bo to umocniłoby ich pozycję na wyspie i podniosło wartość najemników w oczach autokratora. Lepiej więc było odesłać część wojowników, by bronili mieszkańców wyspy i odparli sarakeńskich łupieżców. Była szansa, że im się to uda, o ile wcześniej wyznawcy Allaha nie uciekną. Wiązało się to z pewnym ryzykiem, gdyż bez najemników obóz był słabo obsadzony. Ufał jednak, że mając pod sobą półtora setki karnych i wyćwiczonych żołnierzy floty basileusa, zdoła obronić Emporion, gdyby Sarakeni pokonali statki Skarda i dobili do brzegu.

– O to się nie martwcie. W odwodzie mamy jeszcze trzy ousiakony basileusa. Popłyniemy Skardowi na odsiecz, jeśli zajdzie taka potrzeba. Choć na pewno poradzi sobie bez nas. Galeidy kussarów są może i większe niż wasze statki, ale znaczna część ich załóg to wioślarze, którzy nie walczą w bitwach.

Sternicy wymienili się spojrzeniami, po czym ich przedstawiciel oznajmił:

– Pójdziemy.

– Niech święty Makary ma was w opiece.

Gyrgir przemawiał życzliwym głosem i był pewny, że Vaeringowie nie zrozumieli tej złośliwości. Ubogi mnich zapewne przebywał w Królestwie

Niebieskim, ale na pewno nie opiekował się wędrowcami. Sam bowiem większość życia spędził w jednym miejscu – na pustyni, gdzie umarł z dala od ludzkich siedzib.

Po wyjściu najemników topoteretes nalał kolejną porcję wina, zmieszał z wodą i obiecał sobie, że będzie to jego ostatni kielich. Czymś przecież musiał uczcić własną przebiegłość. W myślach podziękował swoim rodzicom, którzy w młodzięcym wieku oddali go do rzeźni, słusznie zakładając, że w ten sposób będzie miał większą szansę na dworskie stanowiska. Wysokie pochodzenie w połączeniu z brakiem pożądania – tego cielesnego, bo monety i władza były mu nad wyraz miłe – sprawiły, że ceniono jego zimny osąd i talent do układania się z każdym rozmówcą. Jeśli dodać do tego dogłębne wykształcenie oraz zmysł do planowania i pisania traktatów wojennych, jego szybka kariera nie mogła nikogo dziwić. Miał zaledwie trzydzieści cztery lata, a już zajmował zaszczytne stanowisko topoteretesu floty autokratora, dzięki czemu poza samym basileusem miał nad sobą tylko drungariusza morskiego temu Kivyrhaiótai. Wszystko to za cenę małego ciachania i wyzbycia się cielesnej miłości. Świat bez kochania był o wiele prostszy do zdobycia.

Do namiotu wpadł mandator. Nie był zbyt zmęczony, co znaczyło, że nie przybył z daleka. Pewnie z nabrzeża Górnej Arkadii.

– Jaka sytuacja?

– Skard ze swymi trzema okrętami uderzył na Sarakenów. Na razie obie strony tylko wiosłują, próbując się staranować. To znaczy, sztuczki tej bardziej próbują shalandie, bo najemnicy unikają zderzenia, a za to usiłują otoczyć jedną z galeid i dostać się na jej pokład. Mało skuteczny jest też ostrzał z katapult. Długie łodzie są za szybkie dla latających kamieni. Pozostali Vaeringowie wyruszyli z obozu na odsiecz Oia.

– Dobrze. Możesz wracać.

Topoteretes wrócił do rozważań o wyższości rzeźni nad pożądaniem. Gdyby jego pan ojciec w swojej mądrości nie zadbał o bezdzietną przyszłość syna, Gyrgir nie miałby swojego bogactwa i stanowisk. Nie byłby też tak dobrym kochankiem. Żaden nieciachany mężczyzna nie

przyznałby mu racji, jednak znudzone żony posyłały właśnie po eunuchów. Namiestnik basileusa miał skórę gładką, bez choćby śladu twardego zarostu, młodzieńczy wygląd i spore łózkowe umiejętności. A choć sam nie mógł czerpać przyjemności ze spółkowania, swoimi dłońmi i ustami świetnie umiał ją dostarczyć kobietom. Był cenionym kochankiem, bo nie rzucał się na niewiastę po to, by zaspokoić swoje żądze, ale by dać jej rozkosz. Dawał też coś więcej – pewność, że nie pozostawi jej bękarta. Nie wstydził się przed sobą, choć ukrywał przed innymi, że stanowisko topoteretesza zawdzięczał w znacznej mierze żonie drungariusza floty, która często korzystała z jego pełnych ust oraz pulchnych dłoni.

Kolejny mandator był bardziej zziajany od poprzednika, więc musiał przybyć z dalszej części wybrzeża. Trzebieniec zachęcił go do mówienia.

– Meldunek z Dolnej Arkadii. Vaeringom udało się otoczyć jedną z galeid i dostali się na jej pokład. Pozostałe dwa okręty kussarów na razie nie atakują. Wstrzymały ostrzał z katapult i starają się zbliżyć do burt snekkji. Przychodzi im to z trudem, bo morze zaczyna się burzyć.

Mądrze. Zapewne czekają na rozwój sytuacji, a potem uderzą na słabo obsadzone vaerińskie statki – Georgios zwany Gyrgirem myślał szybko i rozważał, co zrobiłby na miejscu Skarda. Jego długie łodzie były zbyt kruche, by taranować nieprzyjaciół, ale za to zwrotniejsze od jednostek wyznawców Allaha. Pomysł skoncentrowania ataku na jednej z galeid był dobry, ale i ryzykowny. Jeśli wszyscy najemnicy wezmą udział w walce, ich statki pozostaną na łasce fal i będzie im grozić zatonięcie. Galeidy były pod tym względem lepsze, bo choć zakuci w kajdany wioślarze zajmowali miejsce, które mogłoby należeć do żołnierzy, dzięki niewolnikom sarakeńskie okręty miały możliwość manewru, nawet w zwarciu z nieprzyjacielem.

Wychodzący posłaniec minął się z kolejnym mandatorem.

– W Emporionie zauważono, że zbliża się jeszcze jedna sarakeńska galeida. Tym razem jest to niewielka shinia, która obrała kurs na walczących. Dwa okręty kussarów zdołały wreszcie zrównać się ze snekkjami najemników, które wcześniej otoczyły jedną z galeid. W zwarciu

jest już zatem sześć statków, po trzy z każdej strony.

Porażka Skarda wydawała się zatem pewna. Topoteretes uśmiechnął się z tak korzystnego obrotu sprawy i odprawił posłańca. Mężczyzna bez brody miał tylko nadzieję, że resztki Vaeringów potulnie uznają swoją porażkę i wrócą na brzeg, by w obozie bronić dostępu do Emporionu. W innym razie będzie im musiał wysłać na pomoc statki Romejów, gdyż druzgocąca porażka najemników również nie była mu na rękę.

Pomodlił się do Niketasa Patrikiosa, prosząc świętego o mądrość i rozwagę. Zawsze czuł bliskość z tym właśnie hagiosem, który podobnie jak on był eunuchem w służbie basileusa, a dzięki swojej mądrości, wytrwałości i pobożności został nawet strategiem.

Rozwodnione wino nie smakowało zbyt dobrze, ale jego chłód i kwaskowatość świetnie działały na rozgorączkowaną głowę. Pociągnął łyk i pozwolił mówić kolejnemu mandatorowi, który wszedł do namiotu, brudząc piaskiem i ziemią służące za podłogi kobierce.

– Gołąb z Oia przyleciał z wiadomością, że sarakeński musattah odpłynął i kieruje się na południe wyspy. Załoga drugiej galeidy dostała się na brzeg i obległa miasto.

Niedobrze – pomyślał rzezaniec. Jeśli Sarakeni skierują pięć statków w pobliże Arkadii, z łatwością zmiażdżą załogi trzech snekkji, a potem dobiją do brzegu i spróbują ograbić Emporion. A mając tylko swoich Romejów, topoteretes może nie zdołać się obronić. Brak broni między nogami miał też tę zaletę, że Georgios nie bał się przyznać do błędu.

– Wyślij najszybszego biegacza w ślad za Vaeringami. Ma im przekazać taką wiadomość: „Czwarta część ich sił niech maszeruje do Oia. Pozostali mają wracać do obozu. Skard w śmiertelnym niebezpieczeństwie”.

– Panie – zaczął niepewnie posłaniec. – Spod Oia odpłynęła tylko jedna galeida. Czy garstka najemników wystarczy, by obronić miasto? Mam tam żonę i dziecko.

Rodzina. Kolejny powód, by poddać się kastracji. Gyrgirowi nie mąciły w głowie myśli o domowych pieleszach, o bachorach i niewiastach. Wielce prawdopodobne, że Oia padnie, ale najważniejsze było bezpieczeństwo

Emporionu. Nikt nie mógł mu zresztą zarzucić, że nie próbował ocalić mieszkańców łupionej osady. Wieść o podjęciu próby odsieczy będzie ładnie wyglądać w raporcie, a niepowodzenie tej misji jeszcze dodatkowo osłabi vaerińskie siły na wyspie. Sztuka dowodzenia polegała przecież na wykorzystywaniu maksymalnych korzyści z nadarzających się okazji. Musiał być jednak wyrozumiały dla posłańca i dać mu nadzieję kłamstwem.

– obrońcy miasta i najemnicy wytrzymają tak długo, byśmy przybyli im na pomoc od strony morza. Najpierw jednak musimy roznieść flotę kussarów. Wykonać rozkaz.

Mandator skinął głową i odszedł.

Trzebieniec sięgnął po zawieszony na szyi amulet. Tym razem jednak nie po noszony na widoku enkolpion ze szczątkami świętego, ale ukryty pod tuniką woreczek ze sproszkowanymi jądrami bobrze. Namiestnik nie obnosił się z tym pogańskim talizmanem, który cieszył się dużą popularnością wśród pełnosprawnych mężczyzn. Wiadomo przecież było, że daje właścicielowi niemal magiczne zdolności w łóżnicy. Gyrgir nosił go z innego powodu – przypominał mu o najmądrzejszym ze zwierząt, bobrze, który miał w zwyczaju sprytnie radzić sobie z polującymi na niego myśliwymi. Wiedząc, że ścigający go mężczyźni pragną tylko jego niezwykłych jąder, sam je sobie odgryzał i za tę cenę ratował życie. Prawdziwość tej historii została potwierdzona w niejednym bestiariuszu.

Gładząc sproszkowane bobrze jądra, topoteretes upewnił się w przekonaniu, że dobrze zrobił, poświęcając Oia, by ratować zagrożony Emporion. Z niecierpliwością wyczekiwał kolejnego posłańca. Ten zjawił się, gdy gospodarz namiotu zdążył odmówić ledwie cztery *Pater Noster*.

– Zauważono trzy vaerińskie statki, które szybko zbliżają się do Emporionu.

– Nasze?

– Jeszcze nie widać, panie.

Oby były nasze – pomyślał eunuch, mocno ściskając bobrzy amulet.

Gaupa i Hedin zamruczeli z zadowolenia. Na statek wrócili naburmuszeni, a nawet źli, że muszą wracać na skalistą Therę. Potem spędzili noc pod gwiazdami, wsłuchując się w ohydny chlupot wody uderzającej o burty, w denerwujące chrapanie drzemiącej załogi oraz w nieco tylko bardziej miłe jęki i skomlenia pojmanych niewolników. Grikklandzcy przewodnicy zapewniali ich, że wody dzielące Kretę od Thery są wystarczająco bezpieczne na taką podróż, bo nie ma tu żadnych podwodnych skał. Ryś i Płaszcz wiedzieli jednak swoje, uważali zatem, że wszyscy, którzy lubią pływać na kłodach drewna przez wzburzone morze, mają źle poukładane w głowach. Ludzie, tak jak i zwierzęta, są stworzeni do lasu, łąk i pól. Na szczęście ich zły los miał się wkrótce odmienić. Na Therze czekała ich bowiem niespodzianka. Serklandzkie galeidy.

– Mocniej, mocniej, mocniej! – pokrzykiwał Magnolf. Strasznie lubił się rządzić, sprawiając, że jego wytatuowane na twarzy siekiery raz po raz unosiły się wraz z policzkami, jakby rąbały w nieprzyjaciela. Snekkje już od dłuższego czasu płynęły na samych wiosłach, szykując się do osaczenia galeidy. Za cel Magnolf obrał jedyny okręt kussarów, który nie dobił do platformy utworzonej z połączonych sześciu statków – trzech vaerińskich i trzech serklandzkich.

– Na bakburte! – krzyknął Magnolf.

Styrir „Bitewnego Żurawia” napał na ster, a pozostali snekkjamadowie pomogli mu wiosłami. Statek uniósł się na fali, opadł i w ostatniej chwili uniknął staranowania przez shinię. Kreteńska galeida wyglądała jak tur otoczony przez sforę wilków, a jej kapitan już od jakiegoś czasu próbował ugodzić dziobem któryś ze statków z Północy. Te jednak zwinnie umykały, same starając się kąsać cienkie odnóża kroczącego morskiego ogiera. Załoga galeidy była jednak dobrze wyćwiczona i zawsze na czas wyciągała wiosła z wody.

Pościg zaczął nużyć Gaupa i Hedina. Woleli zaczynać się na zwierzynę i atakować zniecka, niż bawić się z nią w pościgi. Magnolf musiał mieć w sobie coś z drapieżnika, ponieważ gdy ich statek zbliżył się do snekkji noszącej miano „Krwawej Mewy”, dowódca wspiął się na wyrzeźbioną na

dziobnicy głowę żurawia i krzyknął:

– Odciągnijcie tę galeidę! – Natychmiast szarpnął się w bok, dzięki czemu strzała wypuszczona z serklandzkiego pokładu wbiła się w oko drewnianego ptaka. Dowódca nie dał się jednak przestraszyć. – My i „Morski Wąż” pomożemy naszym!

Ta radosna wieść wlała ożywienie w serce Rysia i jego człowieczego brata. Podniecenie mieszało się jednak z pewną obawą, że będą musieli walczyć na morzu. Hamramirzy dodali im jednak otuchy, wyjąc, kwicząc, mucząc i rycząc.

„Bitewny Żuraw”, podobnie jak „Morski Wąż”, wziął kurs na platformę bitewną i szybko oddalił się od shinii, którą nadal próbowała dziobać „Krwawa Mewa”.

– Wolniej! – polecił Magnolf.

Snekkja nie mogła pędzić, jeśli miała się zatrzymać przy wysokiej burcie galeidy o dwóch rzędach wiosel. Okręt nieprzyjaciela nie był dłuższy od ich własnych jednostek, ale był od nich dwukrotnie wyższy i bardziej pękaty. Również „Morski Wąż” zaczął pełzać wolniej po falach, zbliżając się do innego nieprzyjacielskiego statku.

– Wiosła z wody! – krzyknął Krwawa Siekiera, gdy „Bitewny Żuraw” osiągnął już właściwy kurs.

Snekkja powoli zbliżyła się do burty galeidy, która też miała schowane wiosła i opuszczone żagle. Całe szczęście, bo gdyby Serklandczycy mieli zajęcze serca, z łatwością mogliby odepchnąć ich statek drągami.

– Teraz!

Vaeringowie byli przezorni i gotowi na wszystko. Gaupa i Hedin zastanawiali się wcześniej, po co żeglarze wożą ze sobą harpuny na wieloryby. Teraz stało się to jasne. Snekkjamadowie przywiązali liny do drewnianych, zakończonych żelaznym hakiem harpunów i cisnęli je ponad burtą nieprzyjaciela. Była dwukrotnie wyższa od ich własnej, więc tylko najbardziej zwinni drengowie potrafiliby się po niej wspiąć bez pomocy liny. Harpuny jednak wbiły się we wrogi pokład lub zahaczyły

o wioślarskie ławy – dzięki czemu wypełniły swoje zadanie. Snekkja zwolniła i zatrzymała się przy galeidzie, obijając się o jej burtę. „Bitewny Żuraw” wyglądał jak łabędź płynący pod opiekuńczym skrzydłem matki. Tyle tylko, że to była zła matka.

Ze statku muhammadan posypały się kamienie i strzały. Na szczęście niezbyt liczne, bo zapewne większość załogi przeszła na zaatakowane wcześniej inne vaerińskie jednostki, gdzie panowała najbardziej zażarta walka.

Gaupa i Hedin rozpędzili się, odbili od pleców któregoś snekkjamada i przeskoczyli nad dziwną burtą, która zakończona była zębami przypominającymi blanki na murach zamku. Wylądowali na pokładzie i zamiauczeli z bólu, jaki odezwał się w ich kolanach. Przykuci do ławek czarni wioślarze patrzyli na nich obojętnie. Ryś i Człowiek zostawili ich w spokoju, bo co to za przyjemność zabijać było, gdy można było wadzić się z wilkami. Skrzyżowali toporki, blokując cięcie zakrzywionego miecza. Kopnięciem odepchnęli napastnika, rozwarli pazurki i znów je połączyli, tym razem na owiniętej białą płachtą głowie kussara. Ostrza wbiły się na wysokości uszu i pół śniadego łba zostało podane Göllnirowi na dwóch żelaznych tackach, podczas gdy reszta ciała zwała się na pokład.

Poczuł ból na plecach, jakby ktoś smagnął ich dębową witką. Strząsnęli krwawe czapeczki z pazurków i obrócili się. Maumentsanin, który najwyraźniej dbał o gorliwe wykonywanie obowiązków przez wioślarzy, po raz drugi zamachnął się długim biczem. Nie zdążył zadać ciosu, bo na pokład wskoczyli pozostali hamramirzy, a Ulfhedin uciął człowiekowi z batem rękę w łokciu.

Ryś i człowiek o imieniu Płaszcz pochyłili się, unikając zderzenia z głazem. Część kussarów porzuciło wcześniejsze zajęcie – zrzucanie kamieni na głowy wchodzących na pokład Vaeringów – i teraz ciskało pociskami w tych, którzy zdołali już wejść. Gaupa i Hedin pozwolili, by zawładnął nimi hamask. Człowiek, tak lubujący się w rzeziach, niechętnie schował się w ich wspólnej głowie. Wiedział, że w zażartej bitwie Ryś lepiej poradzi sobie sam, a Hedina zacznie potrzebować dopiero wtedy,

kiedy będzie trzeba dobijać rannych.

Gaupa mruknął groźnie i rzucił się w wir walki.

Georgios zwany Gyrgirem z żalem wpatrywał się w pusty kielich. Miał ochotę na więcej, ale jako rzeźniczek potrafił się opanować i wyzbyć męskiej chęci picia na umór. Zamiast po wino, sięgnął po winogrono, przedkładając świeży, soczysty i dający młodzieńczą werwę owoc nad dojrzały trunek przynoszący roztropność. Należało zachować czystą głowę na wypadek, gdyby musiał przywdziać swoją pyszną, wysadzaną klejnotami zbroję i osobiście poprowadzić ludzi do walki.

Spojrzał na marmurową rzeźbę zrobioną jeszcze w czasach, gdy cała Ekumena tworzyła jedność, a jej siedziba mieściła się w Rzymie. Figura stała w rogu namiotu i przedstawiała nagą Wenus w pozie *pudica* – bogini lewą dłońią zasłaniała piersi, a prawą łono. Teżefalszywie wstydlivej pozy używały czasem pornaski, a wtedy większości mężczyzn twardniał oręż. Eunuch zawsze woził ze sobą tę rzeźbę, bo przypominała mu, iż prowadzenie bitwy jest jak spółkowanie z kobietą. Uzbrojony, targany namiętnościami mężczyzna potrafi zawzięcie walczyć i czasem nawet odnosi zwycięstwa. Zwykle jednak dąży tylko do ugaszenia swojego pożądania w objęciach bitwy i skupia się na własnej przyjemności, czyli na sławie. Trzebieńcem nie kierowały podobne męskie pobudki. Chłodno myślał, gdzie popieścić nieprzyjaciela podczas bitwy, gdzie dać mu klapsa, gdzie go ukłuć, a gdzie wycofać się, dając wrogowi wrażenie pozornego zwycięstwa. Wygrana była dla niego wszystkim i nie było ważne, że jego złamany przez kastratora miecz nie brał czynnego udziału w bitwie. Wystarczyły umysł, usta i dłonie, którymi planował, rozkazywał i pociągał za odpowiednie sznurki.

Poły namiotu znów się rozchyliły i do środka wszedł mandator. Topoteretesowi wystarczyło jedno spojrzenie na twarz posłańca, by poznać, że przyniósł dobre wieści. Skinieniem głowy pozwolił mu mówić.

– Przybyłe statki są nasze. Dwa okręty Magnolfa dobiły do burt

shalandii. Trzeci statek najemników odciąga shinię od pozostałych galeid.

Znakomicie – pomyślał Gyrgir. Trzy sarakeńskie jednostki walczyły teraz z pięcioma snekkjami. Wciąż niebezpieczna była jednak galeida uganiająca się za długą łodzią najemników oraz ogromny musattah, który według zapewnień posłańców wyruszył spod Oia w kierunku Emporionu. Równowaga została więc przywrócona i wszystko mogło się jeszcze wydarzyć. Rzezaniec postanowił wstrzymać się z wysłaniem posiłków i dać Vaeringom więcej czasu, by pokazali, jak pięknie i bohatersko potrafią ginąć w boju.

Oczyszczenie pierwszej serklandzkiej galeidy poszło im sprawnie. Trudności pojawiły się tylko na dziobie i wokół głównego masztu, gdzie mieściły się małe, obsadzone przez najbitniejszych kussarów zameczki, które szybko stały się platformami ofiarnymi na cześć bogów rzezi. Gorzej, że morze się gniewało i coraz mocniej targało złączonymi ze sobą statkami. Kilka lin, które łączyły okręty, pękło lub zostało przeciętych, więc utworzone z ośmiu statków pole bitwy zaczęło się rozjeżdżać.

Ryś zeskoczył, lądując na jednym z vaerińskich statków, którym przy płynęli na pomoc. Trwała tu walka – i to taka, jaką lubił. Zazarta. Człowiek we wspólnej głowie przestał mu już szeptać o okrucieństwach, więc kot mógł się skupić na boju. Drapieżnik stawał przeciw drapieżnikowi do szlachetnej walki na śmierć i życie. Zabijał szybko i zwinnie. Jednego podrapał po plecach, drugiego po brzuchu, a trzeciego po kolanach. Zrobiło się koło niego tłoczno, więc chwycił się liny i przeskoczył nad głowami napastników. Znalazł się u boku swoich braci, którzy też dali się zawładnąć hamaskowi. Wspólny szal dodawał sił każdemu z osobna.

Dzik nie zdążył się rozebrać i tylko w pośpiechu rozdarł swoje ubranie. Jego włócznie nie nadawały się do walki w ciasnocie, więc wyrwał oszczepy z rąk kussarów, złamał je i zostawił sobie tylko długie na łokieć drzewce zakończone grotami. Niedźwiedź też zrezygnował ze swojej

maczugi na rzecz krótkiego młotka ciesielskiego, a Tur owinał łańcuchy swoich rogów na przedramionach i walczył samymi trzymanymi w dłoniach kulami. Wilk radził sobie mieczem we wszystkich warunkach, podobnie jak Ryś swoimi dwoma toporzymi pazurkami.

Gaupa stanął tyłem do Ulfhedina i drapieżnymi zmysłami ocenił sytuację. Jak zawsze w stanie hamasku, widział świat na czerwono, a zapach krwi utrudniał jasne myślenie. W przeciwieństwie do braci z natury był wycofanym drapieżnikiem, który lubił obserwować, planować atak, poznawać słabości nieprzyjaciela i oceniać przydatność otoczenia. Doszedł więc do wniosku, że sytuacja nie wyglądała dla najemników najkorzystniej. Nie ze względu na liczebność i umiejętności, bo te były po stronie Vaeringów, ale ze względu na pogodę i zły plan bitwy. Trzy galeidy może i były otoczone przez snekkje, ale zamykały między sobą dwie długie łodzie, na których toczyło się główne starcie. On i jego bracia znajdowali się właśnie na jednej z nich, a obu jednostkom groziło zgniecenie przez dużo wyższe okręty kussarów. Wprawdzie w pewnej chwili zgrupowanie statków zaczęło się rozluźniać, ale teraz, przez coraz wyższe bałwany, galeidy znów silnie napierały na stojące w środku łodzie ludzi Północy. Jedna z fal wdarła się na pokład i Ryś z obrzydzenia wzdrygnął się, gdy zimna słona woda zmoczyła go od łba do zadu. Umiał co prawda pływać, ale nie miał zamiaru moczyć futerka ani wiosłować łapami aż do brzegu.

Koci umysł działa prędko, tak samo jak pazurki. Gaupa oderwał się od pogrążonych we wspólnym szaleństwie braci i pobiegł do sterburty. Ciachnął kogoś przez plecy, innego kopnął i odepchnął. Lubiał zabijać, ale nie tak jak okrutnik w ich wspólnej głowie, którego podniecał strach innych stworzeń.

Plaskając łapami w jusze i przemykając między walczącymi, ciął nie tylko mięso, ale i sznury. Przecinał każdą napotkaną linę, nieważne, co podtrzymywała i co wiązała. Przeszedł tak od dziobu do rufy, a potem zawrócił, tyle że tym razem kroczył przy bakburcie. Wysiłek nie poszedł na marne i statki rzeczywiście zaczęły się od siebie oddalać. Nie trwało to jednak długo. Wielki bałwan i potężny podmuch wiatru rzucił ogromną

galeidę na snekkję. Potężny statek kussarów zaczął pchać vaeriński okręt, a w końcu przycisnął go do wysokiej burty kolejnej shalandii. Trzask pękającego drewna uciszył walczących. Niskie burty wąskiej snekkji zbliżyły się do siebie. Pokład zapadł się, a w górę wyskoczyły łamiące się wioślarskie ławki. Poszycie, tak starannie przywiązane do wręg świerkowymi korzonkami, popękało i odpadło od szkieletu. Drengowie i śniadzi wojownicy przestali się zabijać, a zaczęli walczyć o życie. Jedni rzucili się do morza, inni zapadli się wraz z pokładem, a nieliczni zdołali przedostać się na sąsiednie statki.

Ryś już po pierwszym trzasku drewna przewidział, co się wydarzy, dlatego dostał się na dziobnicę i przeskoczył na sąsiednią długą łódź. Ta była jeszcze bezpieczna, ale załoga, pomna losu swoich braci, sama rzuciła się do przecinania lin. Pomagali im nawet walczący tu Serklandczycy. Nikt nie był jednak tak gorliwy w cięciu lin jak Ryś, który nienawidził wody.

Zacząło padać. Topoteretes usłyszał odgłos kropel bębniących o namiot. Wilgoć sprawiała, że ciało potrzebowało więcej suchości, dlatego eunuch sięgnął po chleb i kozi ser. Dodatkowo trudy bitwy zawsze sprawiały, że robił się głodny.

Jedząc, dumiał o deszczu. Woda była jak rzezaniec: bezpłciowa, przynajmniej jeśli chodziło o smak. Brakowało jej charakterności wina, goryczy piwa i kwaskowatości fouski. Mimo to była doskonała w swojej pośredniości, w symbolizowaniu rozwagi oraz umiarkowania. Potrafiła poić i niszczyć, a robiła to z wyrachowaniem godnym trzebieńca. Źródłana leczyła, deszczówka pobudzała rośliny do wzrostu, a morska potrafiła podstępnie zabić, udając ciszę przed burzą. Za wodę i pomyślne żeglowanie odpowiadał w tych stronach święty Spyridon, więc Georgios pomodlił się do niego, prosząc, by deszcz tym razem przyniósł mu coś dobrego.

Hagios przysłał kolejnego mandatora. Mokry posłaniec grzecznie czekał na przyzwolenie, a kiedy je dostał, powiedział niezbyt błyskotliwie:

– Burza idzie, panie. Morze szaleje. Zatonęła jedna ze snekkji. Potem okręty oddaliły się od siebie.

– Czyli kussarowie wygrywają.

– Nie sądzę, panie. Dwie z galeid zostały chyba zdobyte przez Vaeringów, gdyż dryfują bezwładnie. Trzecia, która była w platformie, ucieka na wiosłach. Dotarł też kolejny statek kussarów. Mamy więc teraz trzy galeidy przeciwko pięciu długim łodziom.

– Zatem najemnicy są górą.

– Wydaje się, że nic nie odbierze im już zwycięstwa, dostojny topoteretesie.

Tak. Rzezaniec już widział oczami wyobraźni pyszniącego się Magnolfa, który nie dość, że złupił Kretę, to jeszcze wygrał morską bitwę podczas burzy. Po takim triumfie Vaeringowie – i tak już we własnych oczach wielcy jak giganci z pogańskich opowieści – urosną jeszcze dwukrotnie. Georgios nie mógł tego zaakceptować. Jeśli bitwa ma się zakończyć naprawdę pomyślnie, decydujący cios muszą zadać Romejowie.

– Zwycięstwo będzie nasze. Każ wysłać dwa ousiakony i przekaz kapitanon, że za wszelką cenę mają zniszczyć jedną z galeid.

Człowiek wrócił do ich wspólnej głowy. Gaupa i Hedin płynęli na snekkji, kapali się w deszczu i dobijali wijących się u ich stóp Serklandczyków oraz śmiertelnie rannych Vaeringów. Martwili się o braci. Ulfhedin siedział przy maszcie i lizał rany, ale on był bezpieczny, bo śladem Gaupahedina przeskoczył z tonącego okrętu na drugą z uwięzionych długich łodzi. Jednak innych hamramirów stracili z oczu.

Podrzynając gardło śniademu wojownikowi, Ryś i Płaszcz rozejrzeli się dookoła. Na wzburzonym morzu, do którego spadało coraz więcej ciężkich kropel, pięć vaerińskich statków próbowało osaczyć trzy uciekające galeidy. Dwa okręty Serklandczyków nigdzie nie uciekały, bo najemnicy z Północy wyrzucili do wody znajdujące się tam wiosła i na razie zostawili

statki w spokoju. Zapewne nie na długo, bo wciąż znajdował się tam cenny łup w postaci zakutych w łańcuchy niewolników. Z nabrzeża oderwały się dwa grikklandzkie stateczki, które teraz kierowały się ku jednej galeidzie, odciętej od pełnego morza przez dwie snekkje. W stronę okrętów basileusa poleciały przekleństwa i wyzwiska. Gaupa i Hedin dołączyli kilka słów od siebie, bo mieli podobne zdanie o tchórzach, którzy dołączają do wygranej już bitwy. W przeciwieństwie do hamramira najemnicy wykazali jednak więcej zrozumienia, bo bardziej przekonujące zwycięstwo oznaczało przecież dla nich większe łupy. Snekkjamadowie szybko zorientowali się w sytuacji i umiejętnie blokowali drogę próbującej uciec shalandii. Została w końcu zmuszona do płynięcia wzdłuż brzegu, co nie było złym pomysłem, tyle że spóźnionym. Wcześniej bowiem zdążył się do niej zbliżyć jeden z grikklandzkich stateczków. Teraz pędził wprost na jednostkę maumentsan.

Gaupa i Hedin z pewną sympatią pomyśleli o poddanych basileusa, widząc, że mają ochotę zderzyć się z galeidą. Tak się jednak nie stało. Grikklandzki statek zaczął hamować wiosłami i zatrzymał się kilkadziesiąt kroków od burty serklandzkiego okrętu. A potem go opluł.

Na dziobie ousiakona znajdował się grzywiasty kotek z brązu, z którego paszczy wystrzelił strumień ognia. Pożoga popędziła przez wodę, jakby to była sucha leśna ściółka, i uderzyła w platformę wzniesioną na środku wrogiego okrętu. Shalandia w jednej chwili stanęła w ogniu. Niektórzy śniadzi wojownicy zostali błyskawicznie pochłonięci przez czerwień, inni, płonąc, wskakiwali do wody. Przypominali iskry wypadające z ogniska. Ci, którzy zdołali umknąć stosowi, biegli na tył okrętu i stamtąd zeskakiwali do wody. Jednak i tam odnalazła ich śmierć. Do rufy galeidy zbliżył się bowiem drugi ousiakon i plunął kolejną falą gorącej czerwieni. Pochłonęła ciała rozbitków, po czym dotarła do statku.

Vaeringowie, widząc szybko rozprzestrzeniający się ogień, który trawił nawet wodę wokół serklandzkiej jednostki i nic sobie nie robił z padającego deszczu, zwałiej chwycili za wiosła. Odpłynęli jak najdalej od straszliwej morskiej pochodni. Szerokim łukiem ominęli też czarodziejskie grikklandzkie stateczki, których załoga nie bała się

przewozić na pokładzie żywego ognia. Z całego zamieszania skorzystały dwie pozostałe galeidy – zdołały postawić żagle, dzięki czemu umknęły niezdecydowanym i oszołomionym najemnikom z Północy.

Gaupa i Hedin stali w deszczu, obserwowali dziki ogień tańczący na falach i chłonęli zapach krwi, soli, spalenizny. Dzień był dla nich udany. Powrót na Therę mógł się okazać nie taki zły, skoro mieli służyć potężnemu i szalonemu gardskonungowi zdolnemu władać płomieniami.

Głośne okrzyki dobiegające z zewnątrz były wystarczającym posłańcem. Zaraz potem zjawił się również mandator, by oznajmić to, czego mężczyzna bez brody już się domyślił. Mokry żołnierz wszedł do namiotu i z radości zapominając, że nie powinien odzywać się niepytany, wykrzyknął:

- Bitwa wygrana, panie!
- Jakie straty?
- Vaeringowie stracili jeden okręt. Dwie serklandzkie galeidy zostały przejęte, kolejna spłonęła.
- Jakież wieści z Oia?
- Żadnych. Wysyłaliśmy gołębie, ale nikt nie odpowiada.

Georgios nie łudził się. Cisza oznaczała, że miasto zostało zdobyte. Oby łupieżcza galeida zatoneła w drodze powrotnej na Kretę – pomyślał mściwie, nie zmąciło mu to jednak radości. Kilka spalonych domów było niczym w porównaniu z klęską, którą zadał sarakeńskiej flocie. A na dodatek pokazał wszystkim Vaeringom, jaka potęga drzemie w grikklandzkiej armii. Odprawił posłańca, po czym nalał sobie kielich wina. Ulewa i panująca wilgoć nie sprzyjały upijaniu się, ale ten jeden raz postanowił zrezygnować z umiarkowania. W końcu sam Kristus przemienił wodę w wino, więc nie wypadało dziękować mu za zwycięstwo samą deszczówką.

Opowieść o miłości 3

Nastało późne popołudnie, gdy pustelnik wciągnął na górę kosz z jedzeniem i posilił się chlebem. A że dzień był święty, napił się też wina podarowanego przez przybyszy z Byzantionu. Zgromadzonych ludzi ubywało, bo co mądrzejsi, zamiast słuchać o miłości, poszli jej szukać. Pozostały życiowe niedorajdy, co to *ars amatoria* nie mieli z kim uprawiać, oraz strojni obcy, którzy tkwili na swoich miejscach, jakby kto ich przybił kołkami do ziemi.

– Nudzisz, Słupniku! – zawołał młody, gruby rybak. – Podniośle prawisz, ale nic przydatnego jeszcze nie powiedziałaś.

– Nic? Może i racja. Bo co przydatnego jest w miłości? To przecież nie krowa, którą można wydoić, ani ryba, którą można zjeść. A jednak tak jak bez jedzenia, tak i bez miłości obyć się nie można, zarówno w tym życiu, jak i w następnym. Powiedz mi zatem, drogi bracie, co przydatnego mógłbym ci powiedzieć?

– No... Jak, tentego... chętną dziewczkę znaleźć.

Święty mąż pokręcił głową i zrezygnowany pociągnął z dzbana. Być może przez wino, a może przez dawne, bardziej rozrywkowe usposobienie, uśmiechnął się przyjacielsko i z zapalem odpowiedział:

– To, co mówiłem wcześniej, wszyscy powinniście wziąć sobie do serca. Naprawdę nie potrzebujecie więcej rad. Ale skoro nalegacie... – Mnich zawahał się i znów łyknął wina. – No dobrze. A co mi tam! Młodzi jesteście i jeśli w miłości ciekawi was jeno zdobywanie, będą to wasze występki, od których ja ręce umyвам. Wiem jednak, że samotność nie jest miła mężczyźnie, a skoro sami w żaden sposób po bożemu nie umiecie znaleźć sobie żony, mogę wam zdradzić, co mistrz Owidiusz prawił

o miłości. Był to wielki czciciel Bachusa i kobieciarz, ale na poezji znał się jak mało kto.

Chrząknął, pociągnął z dzbana i wyrecytował:

Sztuką jest kierować okręt

przez oceanu otchłanie.

Sztuką – jazda na rydwanie.

Sztuką jest też miłowanie...

Ty, co kobiecej piękności

szukasz wśród ziemskich padołów,

naucz się znajdować miejsca,

gdzie obfity będzie połów^[10].

Zgromadzeni przez kilka uderzeń serca trwali w milczeniu, zdziwieni, że tak swawolne wersy wyszły z ust świętego męża. A potem wybuchli śmiechem. Nawet przybysze z Byzantionu wydawali się rozbawieni zmianą nastroju Słupnika.

– Czyli co? – zapytał nierozgarnięty gruby rybak, któremu najwyraźniej sam święty Walenty nie dałby rady pomóc.

– Czyli zamiast pić wieczorami piwo z chłopami, lepiej idź nad rzekę, gdzie dziewczki gawędzą! – odpowiedział ktoś z tłumu, co zostało przywitane wesołymi okrzykami zgody.

– Ale kiedy pojawiają się przy kobietach, te idą właśnie do innych zajęć!
– skarżył się brzydal.

– To ubranie w końcu wypierz! – Rzucona z tłumu złośliwość została nagrodzona przez tłum okrzykami.

– O wygląd mężczyzna dbać powinien. – Pustelnik próbował zachować powagę, ale wesołość udzielała się i jemu. – O tym poeta również mówi i dodaje:

Oddech musi pachnieć mile.

Inaczej – kochanka twoja
uciekać będzie o milę.

Kolejna salwa śmiechu zachęciła mnicha do ciągnięcia tematu.

– No dobrze. A kiedy już się wymyjecie, przywdziejecie świąteczny płaszcz, a do ust weźmiecie liście mięty, to wtedy:

Idź do walki ufny w siebie,
a wówczas – mogę ci przysiąc,
oprze ci się z pięknych kobiet
zaledwie jedna na tysiiąc...

– Ale czysty strój i pewność siebie to przecież nie wszystko. – Gruby rybak wydawał się jedynym, któremu nie było do śmiechu. – Ja już tego nieraz próbowałem!

– Masz rację, bracie. Jesteś jednak rybakiem, więc zacznij myśleć jak rybak. A jak ryby łowisz?

– Siecią lub na przynętę.

– No właśnie! Używaj więc podstępów, jako rzeczce mistrz Owidiusz:

Zdobędziesz każdą kobietę
na jaką uczujesz chrapkę,
tylko umiej, gdzie należy,
zręcznie zastawić pułapkę.
Ta, co ci się poddać nie chce,
ręczę, żeby się poddała,
ręczę, że miłością pała,
tylko... nie jest dosyć śmiała.

Młodzi rybacy zawołali na cześć Słupnika, a jako że święty mąż dawał

im przykład opilstwa, sami wyciągnęli dzbany z winem i zaczęli się nim raczyć. Wkrótce wszyscy mieli już zaczerwienione nosy, choć na nikogo trunk nie podziałał tak mocno jak na wyposzczonego hagiośa.

– Powiadam wam, że na kobiety sposobów jest tyle, co gwiazd na niebie. Ale najskuteczniejsze zawsze są podarunki.

Nawet dziki barbarzyńca,
nieogłodzony, nieczuły,
może być pewien tryumfu,
jeśli ma pełne szkatuły.

– Ale my jesteśmy biedni rybacy. My wiele nie mamy.

– Zatem okażcie kobiecie swoje umiejętności. I pocieszcie się tym, co mistrz Owidiusz prawil o najznakomitszych mistrzach *ars amatoria*:

Największa sztuka polega
na tym, aby nic nie dawszy,
otrzymać od ukochanej
dowód łaski najjaskrawszy.

– I pamiętajcie. Jeśli już uda się wam zaciekawic kobietę, a ta nie ucieka na wasz widok i jeszcze pocałunek pragnie złożyć na waszych ustach, to... No nie powinienem, nie powinienem wam tego mówić, bo przecież grzech tak bez ślubu, ale... skoro mnie tak za język ciągniecie... Niech ten występki na mnie nie spada, ale poeta tak radzi:

Kto po wzięciu pocałunku
i po dalszy ciąg nie sięga –
godzien stracić to, co zyskał,
stary, głupi niedołęga...

Zgromadzeni, których znów zaczęło przybywać, zawołali „Niech żyje

Słupnik” i wypili jego zdrowie. Było pewne, że po tym dniu hagios stanie się jeszcze sławniejszy, o ile wcześniej nie spadnie ze słupa i nie skręci sobie karku, bo trzymając się barierki, niebezpiecznie się kiwał.

Przybysze z Basilis Polis śmiali się od czasu do czasu, ale widać było ich rozdrażnienie. Dotychczas to oni wyśmiewali się z rybaków i pustelnika, a że teraz zgromadzeni bez ich pomocy śmiali się do rozpuku, obcy nie mieli nic do roboty. Jeden z nich, z czystej zapewne złośliwości, spróbował rozdrażnić Słupnika.

– W starych księgach pustelnik wyczytał, jak z dziewczkami obcować. A nauczył się może, jak taką dziewoję w łóżu zadowolić?

– Wyczytałem i to. Wyciągnij pouczenie z takich oto słów:

Powoli dążcie do celu,
moi kochankowie mili...
Opóźniajcie szczyt rozkoszy –
jeżeli was nic nie pili.
Przerywajcie słodką pracę,
aby trwała jak najdłużej.

Zgromadzeni tym razem zawyli jak psy i nagrodzili pustelnika oklaskami.

– Śmiałe to słowa – pochwalił jeden z przyjezdnych i uśmiechnął się wyzywająco. Mówienie w języku Romejów przychodziło mu z trudem. – A powiesz ty, jak podołać brzydkiej kobiecie, na której widok przechodzi ochota do miłowania?

– Nocą nie ma brzydkich kobiet.

Uciechom tłumowi nie było końca.

– Prawda to. A poradź, co zrobić, gdy dziewczka przyłapie mnie na zdradzie?

– Od zdrady małżeńskiej trzymajcie się wszyscy z daleka. Mojej zgody na to nie ma, choć Owidiusz prawi inaczej, przekonując, że nic tak nie ożywia miłości jak współzawodniczka. Wystrzegajcie się jednak tej

zwodniczej mądrości, bo sprowadzić na was może tylko ból i cierpienie. – Podpity hagos przerwał i zadumał się, a nawet przez chwilę wyglądał na naburmuszonego, lecz poprawił sobie nastrój resztką wina z dzbanu. – Na gniew kobiety, ze słusznego – lub nie – powodu, radę dać jednak mogę:

Jeżeli pomiędzy wami
zapanuje stan wojenny –
Ułagodzisz jej zawziętość
po onym okrutnym boju,
bylebyś umiał na łożu
podpisać traktat pokoju...

Młodzieńcy znów zgodnie zaklaskali i zawołali niezbyt obyczajnie, a z pewnością mało świątobliwie. Wszyscy wyczuwali, że przybysz chciał Słupnika ośmieszyć lub chociaż rozdrażnić, ale pustelnik wyszedł ze starcia górą.

– Muszę przyznać, że prawicie o miłości ładnie i macie wiele słuszności. Porzućmy jednak te głupoty i przejdźmy w końcu do prawdziwych pytań. Poradź, co zrobić, gdy pokocha się kobietę, której należałoby się raczej wystrzegać. Podłą, należąca do innego, taką, co to na mężczyznę sprowadza jeno ból i nieszczęścia. Jak pozbyć się tej miłości?

Zebrani wyczekiwali kolejnej błyskotliwej odpowiedzi, która zmaże złowieszczy uśmiezek z twarzy bogacza z miasta. Mnich zasępił się jednak, rzucił na ziemię pusty dzban i smutnym głosem odpowiedział:

– Na to rady nie mam. Możemy tylko starać się trzymać jak najdalej od takich występnych potomkiń Ewy.

Księga III
LUPERKALIA

Zima,
6467 rok po stworzeniu świata
wedle rachuby Grikkmadów

16

Lato, trwające według vaerińskiej rachuby czasu pół roku, dobiegało końca. W Byzantionie zrobiło się zimniej, dzień stawał się coraz krótszy, a pogoda bardziej deszczowa. Do stolicy zjeżdżali możni panowie, bo każda szanująca się rodzina miała swoją zimową siedzibę w Basilis Polis, mieście autokratora. Dzielnica pałacowa ożywała po zmroku, a korowód strojnych bogaczy wędrował od oikosu do oikosu, co noc zmieniając miejsce zabaw i uczt. Ali dobrze o tym wiedział, bo sam uczestniczył w wielu z tych biesiad. Zabierał go tam Nikeofor Fokas, który choć nie lubił przyjęć i zabaw, poważnie traktował obowiązki towarzyskie płynące ze swego wysokiego urodzenia. Ród Fokasów organizował zresztą dużą część tych uczt, bo im kto bogatszy, tym lepiej i obficie powinien karmić swoich zawistnych rywali.

„Pani, poznaj Czarnego Achillesa, naszego błękitnego wojownika, który będzie bohaterem najbliższych luperkaliów” – przedstawiał go zwyczajowo domestyk Scholi. Ali kłaniał się wtedy dwornie. Nauczył się nawet pełnego proskynesis, który przysługiwał rodzinie basileusa. Starał się być miły, grzeczny i lekko gburowaty, by nie musieć się uśmiechać w towarzystwie. Skutecznie ignorował hamę, która lubiła krążyć nad zrządzającymi, strojnymi w klejnoty i jedwabie staruchami. Błamad miał ochotę zmiażdżyć im głowy własnymi rękami, byle tylko przestały mleć ozorem o czasach swojej młodości, smaku wczorajszej zupy i dolegliwościach pomarszczonego ciała. Biała sowa przysiadła też często na pyszniących się pozłacanymi napierśnikami kogucikach, z dumą pieszczących bursztynowe, srebrne lub perliste główce swoich nienadających się do prawdziwej walki mieczy. Powstrzymywał się jednak przed wybebeszaniem i rąbaniem, co przychodziło mu z trudem, bo im

mocniej odrzucał od siebie gniew, tym częściej nawiedzał go duch Tirusa Wielkiego. Na szczęście jego myśli dla osób postronnych pozostawały nieodgadnięte, a z wyglądu nie różnił się zbytnio od gromady cudaczných strażników, których zatrudniały do obrony bogate rody. Podarowany przez basileusa biały skaramangion świetnie na niego pasował: zakrywał naznaczone bliznami i tatuażami ciało, a przy tym był tak znakomitą szatą, że wystarczyło przepasać go niebieską szarfą, a do niej doczepić miecz, by prezentować się dostojnie i bogato.

Berserk najchętniej zaszyłby się w skryptorium razem z Finlogiem, ale ostatnio denerwowała go nawet bezczynność. Miał zresztą dwa powody, by robić z siebie tresowanego niedźwiedzia ku uciechu griklandzkich możnych. Po pierwsze, udawał przywiązanie do błękitnego demu, co cieszyło Nikefora i pozwalało zdobyć jego ograniczone zaufanie. Po drugie, bywanie w posiadłościach możnych dawało mu możliwość przyglądania się członkom Hetairii, którzy zawsze towarzyszyli rodzinie autokratora. Sam basileus rzadko uczestniczył w uroczystościach, woląc, jak wieść niosła, pić wino w zaciszu własnych komnat, ale dworskiego życia nie skąpili sobie jego bliscy i krewni. Jednak tajemniczy zbrojny z blizną po oparzeniu na czole nigdzie się nie pojawił, więc Ali zaczął podejrzewać, że młoda tancerka wszystko zmyśliła, by odsunąć podejrzenia od swojego chłopaka. Kiedy już miał zrezygnować z poszukiwań i wrócić do szukania pomocnika woźnicy, domestyk Scholi wziął go na ucztę w domu Romana, syna Konstantyna Porfirogenety.

Następca tronu, który już od dziesięciu lat nosił tytuł basileusa i współrządził krajem, posiadłości miał wiele, a przyjęcie wyprawiał w ogromnym oikosie mieszczącym się w dzielnicy pałacowej. Na zewnątrz fontanny, kolumny i sadzawki, wewnątrz marmury, posągi oraz rzeźby nagich panien i chłopców. Zwyczajowy przepych.

Biesiada odbywała się w Sali Dwunastu Łóż, zbudowanej na wzór Tryklinosu Dziewiętnastu Łóż, który mieścił się w Wielkim Pałacu. Wbrew nazwie znajdowało się tam więcej niż dwanaście leżanek, bo jeden zestaw do ucztowania składał się z trzech półokrągłych, wysłanych poduszkami

łóżek, które otaczały okrągły stół. Pojedyncze *akkoúbita* było tak rozległym łóżem, że mieściło się na nim pięć osób, które póływały, wspierając się na lewym boku. Każdy taki zestaw dla piętnastu osób ustawiono w odrębnej absydzie, które przypominały Blamadowi wykute w ścianie grotty. Łatwo było policzyć, że sala mogła pomieścić niemal dwie setki gości, a gromadzący się tłum wskazywał, że każde miejsce zostanie zajęte.

Berserk wychował się na twardej, czarnej ziemi Wagadou, a i w swoim wojowniczym życiu częściej niż pod dachem wylegiwał się na słomie lub trawie. Dlatego gdy usadowiono go na stercie poduszek, czuł się jak słoń na wydmach pustyni. Razem z nim na leżankę wciśnięto błękitnie i białe odzianych mężczyzn, na szczęście żaden nie chciał się przytulać ani bratać. Wręcz przeciwnie – na tyle, na ile umożliwiała to szerokość akkubity, inni goście starali się siedzieć jak najdalej od niego. Zwycięzcą tej rywalizacji okazał się nie kto inny jak woźnica Sofroniusz, który zajął miejsce z samego krańca leżanki. Ali pozdrowił go szerokim uśmiechem. Pozostałe trzy miejsca zajmowali najznakomitsi powożący demów białego i błękitnego. Na dwóch sąsiednich łóżach w ich absydzie spoczęli przedstawiciele zielonej i czerwonej facji oraz kilku mniej znaczących, lecz niezwykle strojnych kogucików.

– Wygodnie, misiaczku?

Slavomirus próbował poprawić mu jedną z poduszek, ale berserk burknął na niego i odgonił machnięciem ręki. Trzebieniec, który z polecenia Nikefora nigdy go nie opuszczał, posłusznie stanął za akkubitą, gotów nieść pomoc na każde skinienie.

Uczta zaczęła się jeszcze przed zmrokiem, choć lampki w zwisających z sufitu polykandelonach były już co do jednej zapalone. Znak do rozpoczęcia biesiady dał Roman, kiedy wraz z małżonką wszedł do sali. Pojawili się jako ostatni, przyjęli powitania i czołobitne ukłony, wysłuchali pochwał o swojej pobożności, hojności i cnotliwości. Zajęli całą usłaną złotymi poduszkami akkubitę, a przy ich stole położyło się jeszcze kilka najznakomitszych osobistości.

Środek komnaty uczt wyznaczała ogromna mozaika, która przedstawiała chłopca grającego na flecie. Właśnie to miejsce upatrzyli sobie muzykanci, którzy weszli do sali, trzymając w rękach piszczałki, gitary, cymbały, liry i flety. Dźwięki, które zaczęli wydawać za ich pomocą, okazały się całkiem miłe dla ucha i pomagały Alemu zachować spokój.

Muzyka idzie w parze z winem. Berserk nauczył się tego już w Serklandach. I rzeczywiście wraz z pierwszymi dźwiękami wesołej melodii służba zaczęła wnosić dzbany z trunkami oraz, co niespodziewane, bydlęce rogi. Część gości niepewnie, z dozą zażenowania, choć i z ciekawością, spoglądała na naczynia, które miały im służyć zamiast kielichów.

– Mamy pić jak barbarzyńcy z Północy? – oburzył się jeden z woźniców, jakby co najmniej był nieślubnym synem autokratora.

Blamad wzruszył ramionami, chwycił za róg i go obejrzał. Brzegi, środek i dolny koniec były ujęte w srebrne, ozdobione kwiecistymi wzorami obręcze. Grikkmadowie byli głupcami, jeśli myśleli, że na Północy pito z tak wspaniałych naczyń. Pozwolił, by niewolnik napełnił mu róg i spróbował trunku. Wino było wyborne w swojej słodko-kwaśności, zwłaszcza dla kogoś, kto wychował się na krowim mleku. Inni też szybko przełamali początkową niechęć, słusznie przedkładając zawartość naczynia nad jego kształt.

Prędko okazało się, że rogi były tylko zapowiedzią istic byczej uczt. Do stołów podano bydlęce ozorki w miodzie i z orzechami w towarzystwie nieodłącznych miseczek z oliwkami, dzbanuszków z olejem oraz półmisków z różnorakim pieczywem. Wniesiono również wątróbki zapiekane z owocami mela, w których berserk rozpoznał gruszki i jabłka. Na końcu zrobiło się biało-zielono: ustawiono na stolikach cielęce mózdzki w sosie kolendrowo-pietruszkowym oraz bycze jądra na liściach sałaty. Te ostatnie wywołały chichoty pań, które od razu wzięły się do ich pałaszowania, chwając tak smak, jak i rozmiar, a czasem złośliwie wciskając je do ust mężom, mając zapewne nadzieję, że przejdzie na nich bycza jurność.

– Najzdrowiej na początku. – Slavomirus nachylił się Blamadowi do ucha. – Te dania świetnie równoważą humory, co przyda się tak porywczemu wojownikowi. Tylko jąder unikaj, gdyż po sobie wiem, że ich brak najlepiej łagodzi obyczaje.

Ali, któremu zdarzyło się nawet zjeść pieczonego kagana, nie wybrzydzał. Nie uchybił też dobrym obyczajom i zanim wziął się do jedzenia, obmył ręce w podanej przez niewolnika misce. Dobrze wiedział, że wyczekiwano tu jego błędu, ale współbiesiadnicy nie wiedzieli, że w przeszłości, jako przybrany syn Alego ibn Ibrahima ibn Rahina, bywał na niejednej uczcie w Bagdadzie, gdzie bawiono się całkiem podobnie jak w mieście basileusa. Wiedział więc również, jak używać deseczki do krojenia, nożyków i łyżki, a również i to, że na razie należało je zostawić w spokoju. Spróbował wszystkiego, ale najbardziej zasmakował w mózdkach. Z nudów spróbował też zagadać do jedynej znajomej twarzy na leżance.

– Jak żrebaki, Sofroniuszu?

– Wciąż ich nie dostałem – burknął woźnica. – Mój pomocnik się ociąga, a ulubiona tancerka, która śpiewała moim koniom, przestała nas odwiedzać. To twoja sprawka?

– Chyba nie chcesz mnie obrazić, władco zaprzęgu? W moich stronach miłujemy prawdę ukrytą w słowach i tej prawdy słowami, nie siłą, próbowałem się dowiedzieć od tancerki.

– Obyś zdechł na piachu Hipodromu.

Słowa. Niegdysiejszy ofiarnik Wertragny bardzo je szanował, wyciągał z nich znaczenia i zapamiętywał. Dlatego z taką łatwością przychodziło mu uczenie się obcej mowy. Również z tego powodu nie umiał pozostać wobec słów obojętny. Grikklandzkie zgłoski rozgrzały żelazne okowy pętające ukrytego w nim Odyńca, który zaczął kwiczeć i przywoływać aesmę – uświęcony przez boga Wertragnę gniew. Żelaznobokiego dzika zachęcała swoim piskiem biała sowa, która przysiadła na stole, między wątróbkami i ozorkami. Na szczęście dla powożącego w sali rozległy się również wesołe dźwięki piszczałek i fletów, a do muzykantów dołączyły półnagie

tancerki oraz aktorzy. Slavomirus, który nauczył się już rozpoznawać zmienne nastroje swojego podopiecznego, nalał berserkowi wina. Muzyka, smak i widowisko podziałały kojąco i Ali zdołał stłumić gniew.

Przedstawienie zaczęło się od płaśów młodych dziewczyn w wiankach, które trzymały się za ręce i kręciły w kółku. Ku uciechu gości, w rytm podskoków kilku pannom osunęły się sukienki, uwalniając jędrne piersi. Lubieżne dziewoje zostały jednak szybko rozgonione przez parę kolorowo odzianych i umalowanych aktorów, którzy nosili na głowach złote laury. Blamad domyślił się, że udawali władców. Para dostojnie przeszła wokół sali, raz po raz zatrzymując się, by otrzymać od innych tancerzy pełen proskynesis. Wykonując te czołobitne pokłony, przewróciło się kilku aktorów, którzy nosili wyrzeźbione w drewnie hełmy z okularami, podobne do tych, jakie były na wyposażeniu Vaeringów. Biesiadnicy zachichotali, a Czarny Achilles mimowolnie uśmiechnął się, przypominając sobie wizytę Ainara w Magnaurze.

Spacer władców został przerwany przez mężczyznę z widłami, który na złotym postronku prowadził idącego na czworakach aktora z rogami przyczepionymi do głowy. Gdy dziwaczna para dotarła do króla i jego żony, uzbrojony aktor podał postronek władcy i palcem pokazał gest podrzynania gardła. Małżonkowie ochoczo pokiwali głowami, z przesadną wylewnością dziękując przybyszowi za podarunek i żegnając go ze łzami w oczach. Gdy aktor z widłami wyszedł z sali, król wyjął zza pasa nóż i przyłożył go do gardła klęczącego człowieka. Zaraz jednak cofnął broń, po czym znów ją przyłożył i ponownie cofnął z wahaniem. Poniżany mężczyzna był nagi od pasa w górę i niebywale przystojny, przez co znajdujące się w pobliżu tancerki zanosiły się płaczem za każdym razem, gdy więźniowi grożono nożem. W końcu władca zaprowadził rogatego więźnia do grupki klęczących aktorów, zamienił go na brzydkiego mężczyznę w sile wieku i to jemu zadał nożem udawaną śmierć. Tancerz przewrócił się na plecy i zatrząsł, jakby w przedśmiertelnych drgawkach, czym wywołał sporadyczny śmiech wśród uczujących gości.

– To najgłupsze przedstawienie, jakie widziałem. – Ali odwrócił wzrok

i napił się wina.

– Nic nie rozumiesz, mój ty nieobeznany w świecie misiaczku. – Mężczyzna bez brody zachichotał. – Aktorzy przywołują nam historię o królu Minosie i jego żonie Pazyfae. W czasach, gdy jeszcze świat nie słyszał o prawdziwej nauce Krisotosa, rządili oni olbrzymią i bogatą wyspą Kretą. Według starych opowieści odwiedził ich bóg Posejdon, który podarował im najdorodniejszego byka, jaki kiedykolwiek pasł się na greckiej ziemi. Był to jednak zwodniczy dar, bo para miała go złożyć w ofierze bogu mórz. Król i królowa złamali obietnicę i zamiast zarznąć to wspaniałe zwierzę, zabili inne, a to zatrzymali w swoich stajniach.

– Mądrze.

– A właśnie że głupio. Oglądaj dalej.

Okazało się, że mężczyzna z widłami z powrotem wemknął się do sali i oglądał całą egzekucję zza pleców dwójki innych aktorów. Teraz, rozłoszczony oszustwem, pogroził małżonkom widłami, po czym na stałe opuścił pomieszczenie.

Władczyni zaczęła się dziwnie zachowywać. Odbiegła od męża, zaczęła podskakiwać, ukradkiem zbliżyła się do udawanego byczka i zaczęła się do niego zalecać. Głaskała go po rogach i po plecach, a nawet próbowała dać mu całusa, ale będący na czworakach mężczyzna nie mógł sięgnąć jej ust. Biesiadnicy zaśmiali się z tej nieporadności, a zrozpaczona królowa pobiegła do grupki tancerzy, którzy zaczęli ją pocieszać. Jeden z nich uniósł palec i podskakując dookoła kobiety, dawał jej znak, że wpadł na znakomity pomysł.

– To Dedal – wyjaśnił Slavomirus. – Zaraz powie królowej, jak może zaspokoić swoją nietypową miłość, będącą klątwą Posejdona za brak posłuszeństwa.

I rzeczywiście, mężczyzna jął szeptać coś kobiecie do uszka i w tym samym momencie do sali wniesiono skrzynię z przytwierdzonymi nogami, ogonem oraz rogami i krowim łbem wymalowanym na przedniej ścianie. Dedal nakazał królowej schować się w środku, a gdy to uczyniła, podprowadził pod skrzynię rogatego aktora. Byczek, widząc malowaną

krowę, powąchał jej ogon, po czym wskoczył na skrzynię i zaczął z nią kopulować. Robił to oczywiście nieporadnie i raz po raz z niej spadał, wywołując salwy śmiechu i jęki uwięzionej kobiety. W końcu kochającą się parę otoczył wianuszek bardziej niż półnagich tancerek, które poczęły płaszać i rozrzucać płatki kwiatów, jakby jeszcze dostatecznie nie pachniało na sali olejkiem różanym. W tym czasie z pomieszczenia wychodzili pozostali aktorzy, a ze skrzyni wydostała się królowa. Wraz z byczkiem dołączyła do zmierzającym ku wyjściu. Gdy zniknęła w nim ostatnia tancerka, na salę wkroczyli chłopcy w maskach byków, którzy na półmiskach nieśli pieczone bycze łby. Spotkało się to z brawami i ogólną wrzawą.

– Rozumiesz? – Nawet wyważonemu w swoich nastrojach Slavomirusowi trudno było powstrzymać śmiech. – Z tego związku zrodził się Minotaur! Potwór o ciele człowieka i głowie byka! Stąd te dania.

Blamad pojmował, ale wciąż uważał historię za głupią. Nie lubił przedstawień, bo zazwyczaj drwiły z prawdy, każąc na przykład człowiekowi udawać byka. W jego rodzinnych stronach żyły plemiona, które co prawda odgrywały sceny z dawnych opowieści, ale nie były one kłamstwem. Gdy ktoś pełnił w nich funkcję ofiary dla boga, rzeczywiście zostawał zabijany, a potem zjadany.

Do stołu banity z Wągadou również przyniesiono jeden z łbów, a trzebieniec pełniący funkcję krajacza ciął nożem byczą głową od uszu do dołu. Ze środka wysypały się białe i czerwone robaki, które w sąsiednich absydach zostały powitane dziewczęcymi piskami. W towarzystwie Alego nikt tak strachliwy nie był, ale dwóch ludzi skrzywiło się z obrzydzenia. Berserk spróbował jednego robaczka, który okazał się słodkawą chlebową pałeczką uformowaną w kształt owada. Inni też nabrali odwagi i szybko dokopano się do właściwego przysmaku. Pasztetu z byka.

– Zabawy dla dzieci – mruknął Blamad.

– Uczta winna być przyjemna nie tylko dla podniebienia, ale i dla oka. – Slavomirus, który przyjął na siebie rolę podczaszego, wskazał na pusty już róg wojownika.

– Lepiej mi powiedz – berserk zamknął naczynie dłonią – kim jest strojny grubasek siedzący naprzeciwko basileusa i augusty.

– To oczywiście parakoimomen Bazyli.

Czarny Achilles domyślał się już tego. Wiedział, że parakoimomen to strażnik basileusowej sypialni i tym samym najwyższy urzędnik w pałacu autokratora. Chodziły głosy, że właśnie on na spółkę ze starszą augustą Heleną rządili krajem zamiast rozkochanego w winie i księgach Konstantyna. Wydawało się to tym dziwniejsze, że Bazyli był rzezańcem.

– Prawda to, że płynie w nim krew autokratorów?

– Nie inaczej. Jest nothosem, czyli nieślubnym synem Romana Lekapena, autokratora, który kilkadziesiąt lat temu uzurpował sobie władzę kosztem naszego ukochanego Konstantyna. Na szczęście w 944 roku po narodzinach Kristosa Konstantyn odzyskał, co jego, a Romana zesłał na wygnanie. Nasz odcytany basileus dostrzegł wtedy ogromne zalety Bazylego i wywyższył go nad innych trzebieńców.

– I wtedy poddano go rzezaniu?

– Nie. Jeszcze w dzieciństwie. Sam ojciec, widząc jego mądrość, a zarazem lękając się, by w przyszłości nie zagroził jego synom z prawego łoża, kazał go wykastrować. Za jednym ciachnięciem noża oddał krajowi mądrość nothosa i zabezpieczył, jak wtedy myślał, dziedzictwo swoich dzieci. Dziś Bazyli jest potężny. Zdobył nie tylko wysokie stanowiska, ale też ogromny majątek. Młodszy basileus Roman i jego augusta Teofano mogą sądzić inaczej, lecz to Lekapenos jest najpotężniejszym człowiekiem na tej sali.

Slavomirus nie umiał ukryć swojego podziwu. Nic dziwnego. Bazyli musiał być wzorem dla wszystkich eunuchów, choć pewnie i obiektem zawiści.

– A ten ładniutki wojskowy, który siedzi obok Fokasów?

– To Jan Tzimikes, obiecujący...

Rzezaniec nie zdążył dokończyć, gdyż rozległ się dźwięk rogów. Na ten znak wierzeje do sali otwarły się i do środka wkroczył prowadzony przez

dwóch ludzi złoty byk. Blamad domyślił się oczywiście, że zwierzę nie zostało wykonane z kruszcu, a jedynie pomalowane, bo z pewnością było żywe, choć nad wyraz spokojne dzięki przepasce na oczach. Nie skupiał się jednak na byku, ale na jeźdźcy. Aktorka, która nieco wcześniej grała rolę Pazyfae, miała na sobie tylko wieniec laurowy i ufarbowane na złoto włosy – zarówno te na głowie, jak i na łonie. Była piękna, choć na grikklandzki sposób. Niewysoka, szczupła, o jędrnych udach i niewielkich piersiach, których sutki przypominały czarne oliwki. Dłonie miała przywiązane do rogów, co nie przeszkadzało jej więc się na byczym karku i pojękiwać z rozkoszy. W Bagdadzie Ali nauczył się szacunku dla kobiecej nagości i teraz wezbrało w nim oburzenie, jednak nie potrafił odwrócić wzroku od piękności. Wstał i wziął zamach do oklasku, ale powstrzymał go trzebieniec, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Spokojnie, misiaczku. Nie rozumiesz?

Berserk zaczął pojmwować. Nikt nie okazywał chutliwej radości czy nawet życzliwego zaciekawienia, a większość gości z nienawiścią spoglądało na niewolników, którzy prowadzili byka. Mężczyzn o śniadych skórach, z owiniętymi płachtą głowami, w szarawarach, prostych kaftanach i z drewnianymi zakrzywionymi mieczami przy pasie. Bez wątplenia byli to Serklandczycy, prawdziwi lub udawani. Wojownik z Wagadou przypomniał sobie, iż Minos z żoną władali niegdyś Kretą i zrozumiał, że całe to przedstawienie nie było tylko głupią zabawą ku ucieście znudzonych Romejów, ale miało ukryte znaczenie dla biesiadników. Oto ziemia ich ojców, skąd wywodziła się ogromna część grikklandzkiej tradycji, pozostawała poza Ekumeną, bo rządili nią maumentsanie.

Nie był to koniec przedstawienia. Oto do sali wbiegł gruby, łysy eunuch w lichym przyodziewku udającym barwny strój pałacowy. Mężczyzna bez brody w jednej ręce dzierżył drewniany mieczyk, a drugą trzymał umieszczoną między nogami drewnianą figurkę statku. Rzezaniec zaatakował Serklandczyków, ale ci szybko go pokonali i pogonili, dając na pożegnanie kopniaka. Eunuch przewrócił się, fiknął koziółka i z płaczem opuścił pomieszczenie, ale nikt z biesiadników się nie zaśmiał. Tylko na

jednej twarzy zagościła odrobina wesołości.

Ali dostrzegł ją na obliczu młodszej augusty. Teofano obejrzała się nagle i berserkowi zdało się, że na jedno uderzenie serca ich spojrzenia się spotkały. Wtedy jednak Slavomirus szepnął mu do ucha:

– Siadaj, Czarny Achillesie. Ludzie zaczynają na ciebie patrzeć.

Blamad posłuchał.

– Kim był ten śmieszny rzezaniec?

– Udawał Gongyliosa, który dziewięć lat temu z polecenia naszego basileusa Konstantyna wyprawił się z wielką flotą na Krete. I doznał sromotnej porażki. Ale można mieć wątpliwości, w kogo naprawdę celowały te złośliwości.

Berserk zrozumiał prawdę ukrytą w słowach i zerknął na Bazylego Nothosa. Strażnik pałacowej sypialni nie dał po sobie poznać zdenerwowania, choć właśnie on był teraz pierwszym eunuchem w kraju i zdarzało mu się również dowodzić armią. Z tego, co słyszał berserk, całkiem udanie. Najważniejsza i tak była wymowa, że obaj trzebieńcy służyli jednemu władcy – Konstantynowi. Blamad znał kaganów i emirów, którzy za mniejsze urazy ścinaли głowy. Musiał uważać, z czego się śmieje, choć miał przynajmniej tę przewagę, że jego uśmiech rzadko brano za przejaw radości.

Niewolnicy w turbanach nadal oprowadzali byka po środku sali i, o dziwo, szydzili z Grikkmadów, wskazując ich drewnianymi mieczami. Rozległy się buczenia i wyzwiska, najpierw nieliczne, potem coraz częstsze, rzucane przez rozgrzane winem młode głowy. Nie trzeba było długo czekać, aby wyzwanie byczych pastuchów zostało przyjęte. Z przeciwnych stron komnaty wyszło dwóch aktorów, dotychczas skrywających się w absydach za akkubitami. Jeden był pyszniącym się swoim strojem pięknym młodzieńcem z wieńcem laurowym na głowie, drugi skromnie odzianym żołnierzem, noszącym zawieszoną na szyi deskę z malunkiem głowy. Basileus Roman i domestyk Nikefor – domyślił się berserk. Obaj natarli na Serklandczyków, wywijając prawdziwymi mieczami. Niewolnicy próbowali się rozpaczliwie bronić zakrzywionymi

sjafami, ale ich broń została szybko pocięta, a oni sami rzucili się na kolana i grzmotnęli czołami o mozaikową podłogę, błagając o litość. Zwycięzcy schowali broń, a udawany Fokas zdjął z szyi deseczkę, która musiała być magiczna, bo gdy zbliżył ją do niewolników, ci dostali drgawek niczym w przedśmiertelnej agonii. Po chwili znieruchomieli na plecach, tak dobrze oddając śmierć, że nawet ich oczy wypełniły się bielmem.

Biesiadnicy nareszcie wyzbyli się wątpliwości, jak należy się zachować. Wszyscy wstali i całkiem pospolicie zaczęli krzyczeć oraz wołać z radości. Tymczasem po żołniersku odziany aktor chwycił byka za rogi, kazał mu uklęknąć na przednich nogach i pozwolił, by strojniejszy tancerz odwiązał nagą Pazyfae, ściągnął ją ze zwierzęcego grzbietu i wziął na ręce. Udawany Roman pocałował dziewczynę w usta i zaczął ją obnosić dookoła sali. Przekaz był prosty. To, co nie udało się staremu basileusowi, dokonał ten młody przy pomocy nieustraszonego i pobożnego Nikefora Fokasa. By nikt nie miał co do tego żadnych wątpliwości, z leżanki podniósł się prawdziwy Roman, podszedł do aktora, wziął od niego brankę i pocałował w oba policzki. Napięcie jego szaty wskazywało, że sama myśl o zdobywaniu wyspy zahartowała jego miecz do walki. Zachęcany przez pożytecznych głupców, którymi się otaczał na dworze, wziął dziewczynę do basileusowej akkubity i rzucił ją na poduszki, tuż obok młodej żony. Augusta Teofano wcale się nie pogniewała, tylko zaśmiała wraz z innymi widzami i nawet klepnęła aktorkę, sprawdzając jędrność jej ud. Długo nie wytrzymała jednak obok męża, który kazał Pazyfae paść na czworaka, tyłem do siebie i zaczął wtykać winogrona między jej pośladki. Grupa potakujących kogucików, która zgromadziła się za oparciem leżanki, chichotała i robiła głośne zakłady, ile owoców zmieści się w miłośniczce byków, ale większość gości z zażenowaniem odwróciła wzrok od nowego przedstawienia i zajęła się jedzeniem.

Teofano wstała i po przyjęciu grzecznościowych ukłonów od biesiadników udała się do swoich komnat. Berserk syknął ze złości, gdy na czole jednego z jej strażników dostrzegł bliznę.

– Tam, przy auguście – odezwał się do Slavomirusa. – Znasz go?

Trzebieniec ostrożnie spojrział we wskazanym kierunku.

– Zatem wojownik z blizną naprawdę istnieje. Widzę go pierwszy raz w życiu. Widocznie to ktoś nowy.

– Pójdę za nim.

– Gdzie? Nikt nie ma wstępu do sypialni basileusa i jego żony. Zginiesz przy próbie wejścia na schody. Musimy czekać. Może strażnik zejdzie, gdy odprowadzi swoją panią.

Nie zszedł, za to weszła służba z kolejnym daniem. Niespodzianki nie było – znów wołowina zwana tutaj *kréas boeíon*. Tym razem padło na pieczeń z byczych ud.

W rządzonej przez boskiego ghana Wągadou istniały dwa największe skarby. Niewolnicy i bydło. Pierwszy pozwalał na dostatnie życie bogaczom, drugi umożliwiało przetrwanie pozostałym. Ali znał się na obu tych skarbach, więc umiał docenić, iż soczyste mięso pochodziło z dorodnych sztuk, nie takich, jakie widział w pobliżu miasta. Na pieczeń tej jakości nie mogło być stać większości rozmiłowanych w rybach i chlebie Grikkmadów. Blamad stęsknił się za porządnym mięsem i z tym większą ochotą chciał po prostu wbić w pieczeń spiłowane w groty zęby, ale powstrzymał głód – podsycony przez zjedzone wcześniej mózdzki, wątróbki i inne smakołyki – czekając, aż specjalnie do tego wyznaczony krajacz poćwiartuje mu mięso na deseczce i poda do łoża wraz z małym nożykiem. W tym czasie przyglądał się niewolnikom pracującym przy stołach i stwierdził, że byli towarem świetnej jakości, wartym pewnie nie mniej niż klejnoty na szyjach bawiących tutaj panien. Rzezańcy o chłopięcych rysach twarzy pachnieli piżmem i nosili białe, obszyte złotą nicią tuniki.

Gdy w końcu dostał swoją porcję, tak ochoczo zajął się jedzeniem, że nie zauważył strażnika, który do niego podszedł.

– Spathariosie, którego zwą Czarnym Achillesem!

Berserk spojrział w bok i niemal zakrztusił się mięsem. Miał przed sobą członka Hetairii z blizną na czole. Ali machnął ręką, by strażnik mówił dalej.

– Augusta, którą do świętości wiezie sama Bogarodzica Maria Theotokos, która z matczyną troską opiekuje się swoimi poddanyymi i wspiera małżonka z niezłomnością, jaką niegdyś Atlas podtrzymywał sklepienie niebieskie, postanowiła uczynić ci zaszczyt. Pozwoliła się odwiedzić w swoich komnatach.

Wojownik z Wagadou nie zerwał się z miejsca, by nie dać po sobie poznać, że zaproszenie jest mu bardzo na rękę. Spokojnie dokończył porcję mięsa, popił ją trzema łykami wina i wstał, dołączając do niewzruszonego, czekającego w milczeniu żołnierza.

Razem przeszli przez salę i udali się na górę. Po drodze berserk przyjrzał się strażnikowi. Zbrojny miał na sobie popularny wśród gwardzistów klivanion, napierśnik z żelaznych łusek. Do tego nosił wykonane z pikowanej tkaniny cheiromanikony oraz podopsella, które osłaniały ręce i nogi. Szyję chronił mu peritrachelion – wspomniana przez śpiewaczkę Eirene złota obroza. Uzbrojony był w noszony na ramieniu *spathovaklion*, będący dziwaczną krzyżówką miecza i włóczni. Sina skóra, kędzierzawe włosy, grube czarne brwi oraz niewysoki wzrost wskazywały, że mężczyzna pochodził z Chorezmu, co wcale nie było dziwne, bo do Hetairii najchętniej przyjmowano wojowników z obcych ludów.

– Byłem w Chorezmie. Piękna kraina. – Ali zaczął od prostych sideł, którymi chciał pochwycić strażnika i skłonić go dalszej rozmowy.

Żołnierz wyminął pułapkę w najlepszy możliwy sposób. Milczał.

– Znam tam paru kupców. Może spotkamy się później, by powspominać przy winie?

Nadal nic. Minęli kilka par wartowników, a więc zbliżali się do komnat augusty. Jeśli Blamad chciał się czegoś dowiedzieć, musiał sięgnąć po nauczony od Ainara sposób. Powinien zdenerwować rozmówcę.

– Milczek z ciebie. Ciekawe, co powie twoja pani na wieść, że kradniesz wino z pałacowej winnicy i sprzedajesz je woźnicom.

Posługując się słowami bocznymi i tylnymi, próbował odnaleźć choćby cień *So day* – jasnego słowa prawdy, którego pełną istotę znali tylko

bogowie Wagadou. Oskarżenie o potajemne wynoszenie dzbanów było niczym rzut tępym, źle wyważonym oszczepem w grzywiastego kota. Taka broń rzadko wyrządzała drapieżnikowi krzywdę, ale niemal zawsze drażniła go i podniecała do ataku. Tym razem nie było inaczej.

– Licz się ze słowami, czarny dżinie. – Szept ten pośród wypowiedzianych półgłosem słów byłby krzykiem, lecz w istocie okazał się na tyle cichy, by nikt poza berserkiem go nie usłyszał. – Teraz możesz być pieskiem Błękitnych, ale łaska kibiców na pijanym ośle jeździ. Nikomu nie rozdaję wina, chyba że przegram je w kości.

– I pewnie też nikomu nie dolewasz jadu do kielicha?

– Zabijam tylko mieczem.

– Za samo podejrzenie o trucicielstwo możesz stracić miejsce w straży.

– Karą za bezpodstawne oskarżenie członka Hetairii jest śmierć. Dotarliśmy na miejsce. Wchodź, tylko nie zapomnij powiedzieć auguście o swoich śmiesznych oskarżeniach.

– Przemysł to sobie jeszcze. Mam nadzieję, że będziesz mnie odprowadzał.

Stanęli przy pilnowanych przez dwóch strażników wierzejach z brązu. Człowiek z blizną zastukał i drzwi natychmiast się otworzyły. Odźwiernym okazał się kolejny zbrojny, który z pewnością należał do Manglabitai, gdyż za pasem miał różgę zakończoną złotą kulą.

– Ali Ibn Ibrahim Ibn Rahin, *spatharios* Nikefora Fokasa zwany Czarnym Berserkiem, zwany Czarnym Achillesem, zwany Blamadem z odległego Wagadou – rozbrzmiała zapowiedź gościa.

Ali wszedł w półmrok sypialni oświetlonej zaledwie jednym zwisającym ze sklepienia świecznikiem o połowie zapalonych lampek. Pomieszczenie było ogromne i pełne marmurowych posągów, mozaik i ściennych malowideł. Na środku znajdowało się podwyższenie z czterema kolumnami, pomiędzy którymi rozciągnięto zasłony, choć tylko jedna z nich, przednia, była opuszczona.

– Podejdź bliżej – odezwał się dziewczęcy głos.

Blamad zrobił kilka kroków i zatrzymał się tuż przed jedwabną tkaniną. Przypomniawszy sobie wszystko, co Slavomirus i inni mówili mu o Teofano. A właściwie o Anastazo, bo pod takim imieniem narodziła się jako córka Kraterosa, który był... No właśnie, nie do końca wiadomo kim. Złośliwi szeptali, że oberżystą, lecz źródła zbliżone do augusty zapewniały, że jej ojciec pochodził z dobrego, choć niezbyt majątnego rodu, i tylko dla dobra córki zniknął z Byzantionu. Pewne było natomiast, że basileus Roman zakochał się w dziewczynie i nie bacząc na sprzeciw ojca, ożenił się z nią dwa lata temu. Wtedy ta zaledwie piętnastolatka wyrzekła się przeszłości i przybrała nowe imię na cześć Teofano, świętej augusty rządzącej w Byzantionie kilkadziesiąt lat wcześniej. Był to też ukłon w stronę rodu jej teścia, ponieważ święta była pierwszą żoną ojca Konstantyna. Młoda, ładniutka i głupiutka augusta miała wzorem swojej imienniczki całe dni spędzać na modlitwie za Romejów i nie wtrącać się w sprawy Wielkiego Pałacu.

– Odchyl zasłonę i podejdź do łoża. Chce ci się przyjrzeć.

Pokonał trzy schodki, rozchylił jedwabny materiał i wszedł z opuszczoną głową. Grzecznie wykonał pełen proskynesis, choć nie wiedział, czy przysługuje on młodszej auguście. Nie był też pewny, jak się do niej zwracać, ale przyjął, że tak jak do grikklandzkiego władcy, czyli pośrednio.

– Zostałem wezwany przez pobożną małżonkę basileusa Romana. Jestem gotowy, by służyć.

– Na początku unieś głowę. Wąż na twojej czaszce jest piękny, ale chciałam ujrzeć i twarz.

Usłuchał i zaraz odwrócił głowę w bok. Usłyszał słodki chichot siedemnastolatki.

– Cóż. Wielu już onieśmieliłam swoją urodą, ale chyba jeszcze nigdy tak szybko. Spokojnie. Udzielam ci zgody na patrzenie.

Nie czuł onieśmienia, tylko podniecenie zmieszane z odrazą. Posłuchał jednak i dokładniej przyjrzał się młodej mężatce. Włosy miała czarne, a skórę znacznie jaśniejszą niż większość tutejszych kobiet. Siedziała na łożu, wsparta na stercie poduszek. I nie sama, bo w towarzystwie dwóch

przystojnych eunuchów w samych przepaskach. Byli nie do odróżnienia. Jeden znajdował się za plecami augusty i masował jej nagie piersi, drugi klęczał przodem do żony basileusa i nachylał się nad jej łonem. Na pieszczoty zjawiała się również hama, która zespoliła się z jednym z trzebieńców, zmieniała głowę chłopca w sowi łeb i piła wodę z gniazda.

– Wydajesz się zdziwiony. Nie słyszałeś plotek?

Nawet bez nadstawiania uszu – pomyślał Ali. Większość sprowadzała się do tego, iż augusta była pornaską wyuczoną zawodu przez najznakomitsze sprzedawczynie ciała w Byzantionie i tylko dzięki swoim łózkowym zdolnościom usidliła Romana, a teraz ma na zawołanie każdy miecz, jaki znajduje się w pałacu.

– Jestem tu obcy. Nikt nie dzieli się ze mną nowinami.

– A czarną skórę masz od tarzania się w błocie. Zresztą nieważne. Wszystkie pogłoski na mój temat są kłamliwe, co nie znaczy, że kobieta po urodzeniu pierwородnego nie ma swoich potrzeb. Już dwa miesiące temu powiłam mojego małego Bazylego, a ciało jest świątynią, które domaga się uwagi. Mówię ci to z własnej zachcianki, bo zaciekało mnie twoje obruszenie. To dosyć osobliwe w tym miejscu.

– Tam, skąd pochodzę, to mąż wielbi swoje żony.

– Ależ mój ukochany basileus mnie wielbi, a ja jego. To wspaniały wojownik, który już niebawem będzie znakomitym władcą zdolnym gnębić Sarakenów i poszerzać granice Ekumeny! Tymczasem jednak oddaje się na dole głupim zabawom, a mnie historia o Pazyfae nastroiła do miłości. Ci dwaj rzezańcy to jednak tylko zabawki, choć przyjemne. – Teofano jęknęła z rozkoszy, gdy sowa głowa między jej nogami zaczęła poruszać się w górę i w dół. – Sami nie domagają się uwagi, a wszelkie swoje działanie podporządkowują pragnieniom kochanki lub kochanka. Są przy tym bardzo cisi i świetnie zbudowani. Chcesz zobaczyć?

Blamad nie zdążył odmówić. Na znak augusty eunuchowie zdjęli przepaski i pokazali swoją męską wygoloną nicość i szczupłe, choć umięśnione, uda.

– Mogę ci użyczyć jednego ze swoich sług, choć nie będą to ci bracia.

Więcej żołnierzy korzysta z uciech rzezańców, niż przyznaje się do tego towarzyszom broni.

Czarny wojownik schował ręce do tyłu i zacisnął je w pięści. Nie był chutliwy niczym Vaering, ale w sprawach łóżkowych nie pozostawał obojętny. Mógł albo pożądać, albo żywić odrazę. Wychował się na opowieściach, w których ghan plemienia był zdolny zapłodnić krowę, więc nie obchodziło go, kto kogo bierze sobie do łóżka. Niezwykle się jednak denerwował, gdy odraza chciała wleźć i pod jego derkę. By choć trochę się uspokoić, spojrzął na ścianę i widniejące tam malowidło.

– Prawdę mówili, że dziwaczny z ciebie człek. Pomaga mojemu drogiemu ojcu pisać księgi, biegle walczy, zna mowy wszystkich ludów oraz pałacowe ceremoniały. A teraz zamiast oglądać najpiękniejszą kobietę w Basilis Polis, woli wpatrywać się w malowidło. Podoba ci się chociaż?

Obraz przedstawiał uspokajającą sielankę. Starzec w białej tunice siedział wsparty o drzewo i doglądał pasących się owieczek. Jedną ręką trzymał kielich z winem, a drugą bawił się wierzbową wtką.

– Jest przyjemne.

– I niewarte barwników, których użyto do jego wykonania.

– Proszę o wybaczenie synową autokratora Konstantyna. W moich stronach również maluje się na skale, ale nigdy nie miałem do tego cierpliwości. W Bagdadzie nauczyłem się, że sztuka może być przyjemna dla oka, ale jej przecenianie prowadzi do bałwochwalstwa. To malowidło wydaje mi się jednak równie piękne, jak ten pałac i wcale nie przeszkadza mi, że są na nim postacie. Nie rozumiem też, dlaczego to, co brzydkie, miałyby widnieć na ścianie posiadłości należącej do najbogatszego rodu na świecie.

– Nie będziesz chyba wszczynął na nowo ikonoklazmu? Skończyliśmy z tym ponad sto lat temu, a Sarakeni niech się o tę sprawę spierają u siebie. Rzeczywiście, nie znasz się ani na sztuce, ani na kobiecych potrzebach. Malowidło jest ohydne i widnieje tu tylko dlatego, że jest prezentem ślubnym własnoręcznie wykonanym przez mojego wspaniałego teścia, autokratora Konstantyna. Ten pastuch ma nawet jego twarz! Stary zboreźnik

chciałby mnie pilnować nawet w moim własnym łóżu!

Ali wcale nie widział podobieństwa między pastuchem a Konstantynem, ale nie wyjawiał tego. Przestał się wpatrywać w obraz, tylko spuścił wzrok.

– Zostałem wezwany, by służyć.

– Zatem chcesz przejść do konkretów. Niech i tak będzie. – Na jej znak eunuchowie stanęli za łóżem, a ona sama narzuciła na siebie jedwabną narzutę, która jednak więcej odkrywała, niż zakrywała. – Posłałam po ciebie, bo wzbudziłeś moją ciekawość. Widzę w tobie wielkie możliwości. W Byzantionie jesteśmy otwarci na utalentowanych ludzi z całego świata. Mógłbyś być wspaniałym członkiem Manglabionu lub szanowanym żołnierzem Hetairii, a kto wie, po kilku latach służby może nawet jej dowódcą. Miałbyś więcej złota niż większość barbarzyńskich władców krajów, które odwiedziłeś. No i mieszkałbyś w najwspanialszym mieście świata.

Już niegdyś dostał podobny wybór. Jako syn Alego ibn Ibrahima mieszkał w Bagdadzie, jedynym mieście, które wielkością, ludnością i wspaniałością mogło się równać z Basilis Polis. Wtedy zaprzepaścił wszystko przez szarą, który w nim zamieszkiwał, ale teraz rządząca przeznaczeniem bogini Manat lub nawet sam Allah dawali mu drugą szansę. Czy jednak na pewno? Lata spędzone na wędrówkach, a nade wszystko znajomość z przebiegłym Skaldem nauczyły go, że należy dobrze przyglądać się rękom, które niosą dary.

– Mam już swojego króla.

– I właśnie dlatego cię zaprosiłam. – Młodsza augusta wydawała się nie rozumieć odmowy lub nie przejmować się nią. – Masz zdumiewającą umiejętność przebywania z ciekawymi ludźmi. Jesteś podobno jak brat dla konunga Vaeringów, który tak barwnie odmalował swoją potęgę, a zgodził się nam służyć za niezbyt wygórowaną roge. Rzeczywiście jednak przyprowadził cennych żołnierzy, którzy pomogą nam odbić Krete. A Nikefor Fokas, wspaniały mężczyzna, prawdziwy pogromca Sarakenów i jeden z najbardziej wpływowych ludzi w Byzantionie, wprowadza cię do towarzystwa i określa mianem przyjaciela. Bardzo mnie te wszystkie

osobistości ciekawią i chciałabym być jak najbliżej nich.

Ali z rozmysłem się uśmiechnął. Młoda augusta robiła dotychczas wszystko, by w tym szatrandżu na słowa zabić jego pewność siebie, więc teraz on zbijał jej lubieżnego pionka swoją podejrzaną sympatią. Na widok ust wypełnionych spiłowanymi w groty zębami eunuchowie zrobili krok w przód, gotowi nie tylko pieścić, ale i bronić swojej pani. Ta jednak uspokoiła ich gestem dłoni.

– Chyba nie chcesz, bym poczuła się zawiedziona rozmową? Wiesz, co pani robi z psem, który zamiast lizać jej dobrotliwą rękę, warczy i szczyrzy kły?

– Nie śmiałbym obrazić młodej augusty. Skromny czarny wojownik czuje się jednak przeceniony przez pobożną Teofano, która kocha Boga. Jestem prostym człowiekiem o wyglądzie diabła z kristiańskich wierzeń. Umieć pisać, co mi podyktują, i walczyć z tym, z kim mi polecą. Nie mam wszakże zdolności do szeptania, podglądania ani donoszenia.

– Mnie nie nabierzesz na tę minę głupka. Dobrze zrozumiałeś, o co chodzi, więc i ze swoich powinności świetnie się wywiążesz. To przecież nic trudnego. Co jakiś czas, powiedzmy raz w tygodniu, będziesz przychodził do mojego pałacu i opowiadał, co słyhać u naszych przyjaciół. Jeśli zajmiesz mnie ciekawą rozmową, odwdzięczę się swoją przychylnością. I jeszcze jedno. Wszystko, co tu zobaczyłeś i usłyszałeś, było przeznaczone tylko dla twoich oczu i uszu. To będzie taka próba, czy jesteś rozważny i godzien mojej troski. A pamiętaj, że ja miewam tylko stronników lub wrogów.

Skinął głową, bo cóż innego mógł uczynić? Cała jego nadzieja w tym, że augusta z czasem o nim zapomni. Zastanawiał się jeszcze, czy nie rzec o sprawie trucicielstwa. Po tym, co zobaczył na uczcie, zaczął podejrzewać, iż to młoda augusta mogła wysłać człowieka z jadem, by ośmieszył gościnność jej znienawidzonego teścia. Nie miał jednak co do tego pewności i tym bardziej nie mógł tego dowieść, a nie łudził się, by jego słowo mogło stanąć do równej walki ze zdaniem Teofano. Nie byłoby też mądrze zdradzać się ze swoich podejrzeń przed młodszą augustą.

Strażnik z blizną miał rację. Na razie należało milczeć i zachowywać pozory przyjaźni.

– Skromny wojownik nie jest godnym uwagi rozmówcą dla augusty błogosławionej przez Trójkę Świętą. – Nie do końca wiedział, co znaczą te słowa, ale zasłyszał je podczas dworskich ceremoniałów i zauważył, że były miłe dla mieszkańców pałaców. – Będzie jednak unizenie stawał przed mądrą żoną basileusa Romana i prawił to, z czego będzie rada.

– Wyśmienicie. Możesz już... – Przerwała, po czym zwróciła się do eunuchów: – A cóż to za hałasy?

Ali słyszał je już wcześniej, choć nie były tak głośne jak teraz. Brzmiały, jakby ktoś stukał taranem do drzwi, a kucharze urządzili sobie wojnę na dzbany. A potem usłyszeli ryk.

Hama wyczuła krew. Wyleciała z głowy rzezańca i zniknęła za drzwiami. Berserk pospieszył za nią nie tylko dlatego, że do sypialni wbiegli strażnicy z Hetairii, wycelowali w niego broń i kazali mu się wynosić, a potem zamknęli za jego plecami wierzeje, gotowi bronić augusty w obliczu możliwego zagrożenia.

Jeszcze na schodach zobaczył, co jest przyczyną zamieszania. Drzwi prowadzące do Sali Dwunastu Łóż były wyłamane, a byk, który niedawno spokojnie dawał się dosiadać przez nagą tancerkę, teraz nie miał opaski na oczach i w komnacie biesiadnej gonił postać ubraną w szykowny czerwony skaramangion. Blamad zaklął szpetnie w mowie swoich ojców, rozpoznając mężczyznę, za którym zawsze kroczyły kłopoty. Ainara Skalda.

Zwierz był rozszalały i ślepy na jedno oko. W drugim tkwił kozik do rzeźbienia, co z pewnością nie łagodziło byczych obyczajów. Pieśniarz uciekał ukosem, robiąc częste zwroty. Na szczęście nie próbował wbiec między stoły, zapewne przeczuwając, że znalazłby się w pułapce. Płasał więc pośrodku sali, gdzie jeszcze niedawno odgrywano przedstawienia, a śmiejący się i wiwatujący tłum był przekonany, że ogląda kolejną rozrywkę przygotowaną przez gospodarza.

W końcu poeta doskoczył do któregoś ze strażników, zdzielił go w pysk i wyszarpnął mu miecz z pochwy. Tak uzbrojony stanął naprzeciw

nacierającego byka.

Berserk mógłby przysiąc, że konung Vaeringów źle ocenia odległość, a mieczem mierzy nie w łeb zwierzęcia, ale gdzieś po jego prawej stronie. Podczas gonitwy też jakoś tak nieporadnie skręcał i kilka razy poślizgnął się na płatkach róż, jakby niedowidział w świetle lampek. Blamad już wcześniej zauważył jego problemy ze wzrokiem, choć sam pyszny rzemieślnik słowa za nic nie chciał się do nich przyznać.

Czarny Achilles zszedł po schodach, odepchnął dwóch strażników i wyrwał jednemu z nich *spathovaklion*. Dziwaczna krzyżówka miecza z włócznią nie była stworzona do rzucania, ale ciśnięta ogromną mocą czarnych ramion całkiem sprawnie ułożyła się w powietrzu, zatoczyła zgrabny łuk i aż po drzewiec wbiła się w byczy bok. Zwierzę ryknęło żałośnie, padło na kolana i siłą rozpędu prześlizgnęło się do stóp Ainara, ciągnąc za sobą krwawą smugę na mozaice.

Pieśniarz dokończył dzieła. Rąbnął mieczem w byczy kark, a potem jeszcze dwa razy. Wreszcie udało mu się oddzielić od tułowia rogaty łeb, który następnie uniósł nad głowę w geście zwycięstwa. Uczujący zawołali z zachwytem, choć nie wszyscy dali się nabrać, iż było to zaplanowane przedstawienie.

Nikefor podszedł do poety, a po chwili dołączyli do nich żołnierze, którzy wbiegli na salę. Ali również zbliżył się do przyjaciela i rzucił mu karcące spojrzenie. Do zgromadzenia nie przystąpił natomiast basileus Roman, który w ogóle nie przejął się całą sytuacją. Poza tym i tak był odgradzony od sceny walki strażnikami, którzy wraz z wpadnięciem byka do sali otoczyli władcę szczelnym kordonem.

– Kim jesteś i co tu robisz? – zaczął bez pięknych wstępów domestyk Scholi.

– Ja być konung Vaeringów. Zejść mi z oczu, obwiesiu, i prowadź do Pokasa.

Nikefor, jak zawsze, ubrany był prosto, niemal jak żołnierz, więc nawet pałacowi gwardziści nosili bogatsze stroje. W porównaniu z czerwonym skaramangionem Skalda, nawet poplamionym krwią, błękitna tunika

domestyka wyglądała jak upierzenie kury przy barwnym ogonie fanfary. Wszyscy w pałacu wiedzieli o skromności dowódcy i nikt nie śmiał z niej żartować, przynajmniej w jego obecności. Nikefor nie obraził się jednak, tylko uważnie obejrzał Ainara.

– Fokasa, nie Pokasa – winien to wiedzieć każdy, kto gości w oikosie basileusa. Jam jest Nikefor, a tyś zapewne Ainarem, którego najęliśmy do tępienia sarażeńskich kussarów. Miło cię w końcu widzieć. Wciąż nie rozumiem wszakże, skąd ten cały teatr dla ubogich?

– To ja powinienem spytać. Drugi raz przy... wy... – zawahał się, szukając słów, po czym przeszedł na mowę Vaeringów. – Ali. Mówili ci już, że wyglądasz w tym białym przyodziewku niczym węgiel w śmietanie? Przydaj się w końcu na coś i tłumacz. Powiedz temu śmiesznemu człowieczkowi, co udaje wielkiego wodza, a na porządny strój go nie stać, że po raz drugi chcą mnie zabić, gdy tylko przybywam do Miasta. Kiedy wieść się rozniesie, że tak traktują gości, nawet moja babka tu nie zawita, by suszonym łososiem handlować.

– Też cię dobrze widzieć. – Blamad uśmiechnął się przyjacielsko, spoglądając na sowę, która siedziała na ramieniu pieśniarza i wydziobywała mu mózg przez ucho. – Widzę, że obcowanie z eunuchami wcale cię nie zmiękczyło. Jeszcze nawet zhardziałeś.

– No. Tylko bez pyskowania swojemu konungowi, moja ty czarna zarazo. Później opowiesz mi o swoich przygodach z trzebieńcami, a teraz tłumacz, co mówię.

Nikefor zaczął się już niecierpliwić tą wymianą zdań, więc Ali wziął się do wyjaśnień.

– Konung prosi o wybaczenie dostojnego basileusa, ukochanego przez Kristosa. To był wypadek i zapewne straszliwe niedopatrzenie ludzi, którzy mieli pilnować byka. – Zrobił przerwę, wysłuchując dalszej opowieści pieśniarza, którą następnie ubrał w bardziej odpowiednie słowa. – Przyplłynął w południe i od razu powitał go mantador z Wielkiego Pałacu – czyli, zdaniem Ainara: „posłaniec z dziwacznej twierdzy, w której więcej jest złota niż wałów obronnych” – który zaprosił go na spotkanie

z dostojnym Nikeforem Fokasem. Konung, zaszczycony propozycją, niewiele czasu zmitrężył na oporządzenie się po podróży i zadbanie o stosowny ubiór, by tuż po zmroku przybyć na ucztę, na której, według zapewnień posłańca, miał gościć domestyk Scholi.

– Zapomniałeś przetłumaczyć – wtrącił Skald, który coraz lepiej rozumiał mowę Grikkmadów – iż nie jestem psem, by przybiegać na każde jego gwizdnięcie. Czas od południa do wieczora spędziłem na picciu i wypoczynku w naszym starym pandokeionie, który czekał puściutki akurat na nasze przybycie.

– Później mi podziękujesz, że nie tłumaczę wszystkich twoich bezczelności.

– Czarna masa z ciebie. Jeszcze się nie nauczyłeś, że jeśli sam uznajesz innych za lepszych od siebie, rzeczywiście jesteś od nich gorszy? Tłumacz więc dokładnie, a mnie zostaw myślenie. Powiedz mu, że gdy przybyliśmy do tego domu, natknęliśmy się na byka, który na widok mojego czerwonego skaramangionu zerwał się z powrozu. Musiałem więc wziąć sprawę w swoje ręce i niczym gorliwy ofiarnik zarznąć to zwierzę na cześć Göllnira.

– Konung Północy mówi, że musiał zgładzić to rozszalałe, choć piękne zwierzę w trosce o bezpieczeństwo rodziny autokratora i zgromadzonych tutaj matron. Nie było w tym jego winy, że byk zaatakował właśnie Skalda, który nosił podarowaną przez samego basileusa czerwoną szatę.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Nawet tak charakterystyczny dla biesiad gwar nieco ucichł, bo i goście starali się wyłapać treść prowadzonej rozmowy.

– W imieniu basileusa Konstantyna chciałbym wyrazić najszczersze ubolewanie z powodu niedogodności, których doświadczył konung Vaeringów – oświadczył Nikefor. – Winni niedopatrzeń zostaną niezwłocznie ukarani. – Domestyk wydał rozkazy swoim ludziom, a ci zaraz zniknęli za drzwiami. – Jeszcze tej nocy zostanie pojmany opiekun byka, dowódca straży i ci dwaj żołnierze, którzy dali sobie wyrwać broń podczas służby. Osobiście zadbam, by autokrator skazał całą czwórkę na

śmierć, a ich głowy zostały wystawione w Hipodromie jako przestroga dla wszystkich sług i wojów, którymi rządzi niedbalstwo. A walecznego konunga zapraszam na uciechy tej biesiady.

Wyrok ten wydał się Alemu nazbyt surowy. Morski władca tylko wzruszył ramionami i skinął głową w geście „przeprosiny przyjęte”. Gdy już wszyscy mieli się rozejść, do Nikefora podszedł strażnik i szepnął mu coś do ucha. Dowódca Scholi zmarszczył czoło i oznajmił:

– Podobno na zewnątrz czeka człowiek, który domaga się wejścia na ucztę i powołuje się na znajomość z konungiem Vaeringów?

– A tak. To mój nowy zastępca. Już o nim zapewne słyszeliście. Nazywa się Diarf Nawlekacz, choć najwyraźniej nie byki zwykł przebijać włócznią, bo przed jednym dopiero co schował się za drzewem. Możecie go wpuścić.

Blamad pomyślał, że chyba się przesłyszał. Od Finloga wiedział przecież, że Diarf był najemnikiem, który chce zgładzić Skalda. Nie zdążył jednak zapytać o to przyjaciela, bo konung kłopotliwy odwrócił się na pięcie i korzystając z zaproszenia domestyka, ruszył ku leżankom. Zgodnie z przewidywaniami berserka wybrał tę, na której pólężały najpiękniejsze dziewczyny. Rzucił się na miękkie poduchy, wyrwał jakiemś Grikmadowi róg z winem, napił się i objął najbliższą ślicznotkę, nie pytając nikogo, czy to przypadkiem nie mężatka. Kobiety zaszczebotały i zachichotały, Ali zaś po raz kolejny przekonał się, że im gorzej zachowywał się pieśniarz, tym większą przychylnością niewiast się cieszył.

17

„Na Południu żyją ludzie o parszywym wzroście i umyśle”. Ainar znów się przekonał o prawdziwości tego vaerińskiego powiedzenia, słuchając kłamliwych grikkladzkich opinii, jakoby mieszkańcy Północy z rzadka się myli. Prawda był natomiast taka, że Skald jeszcze nie spotkał ludzi czystszych od mieszkańców Lodowej Wyspy, którzy uwielbiali

wysiadywać w łaźniach parowych i gorących źródłach. Również w Noregu miłowano kąpiele, czy to w morzu, rzekach czy jeziorach, a nawet w zimie nurkowano w przeręblach. Dlatego gdy Östmad usłyszał o działających w mieście łaźniach, od razu postanowił się do nich wybrać. Zresztą każdy powód był dobry, by wyrwać się z obozu Vaeringów. Mieścił się on bowiem poza murami miasta, w dzielnicy świętego Mamasa, gdzie trudno było o inne uciechy poza rozwodnionym piwem i tanimi pornaskami.

Niestety, nie zdołał opędzić się od towarzystwa. Odkąd przybył do Miklagardu, Diarf nie opuszczał go na krok i pieśniarz musiał się zgodzić również na tę wspólną wyprawę, wyobrażając sobie, jak Nawlekacz poślizguje się na śliskim marmurze i rozwała łeb o podłogę. W rzeczywistości nie mógł nawet o tym marzyć, gdyż śmierć Vaeringa oznaczała wyrok dla Seli, ale sama myśl o zgonie dwulicowego najemnika sprawiała mu przyjemność.

Termy Zeuksipa mieściły się nieopodal świątyni wielbiącej mądrość kristiańskiego Boga oraz wejścia do Wielkiego Pałacu, w którym ulubieniec tegoż Boga mieszkał. Łaźnie były zespołem połączonych budynków, podłużnych dachów, kopuł, półokrągłych przybudówek, nadbudówek, kolumn i wieżyczek, a wszystko to było tak ogromne i zrobione z takim rozmachem, że sprawiało większe wrażenie niż niektóre świątynie Kristosa czy oikosa bogaczy. Eunuch, który im towarzyszył – ten sam, który włóczył się za poetą przed wypłynięciem z Miasta – wyjaśnił im, iż niegdyś w całym tym przybytku działały termy dostępne odpłatnie dla wszystkich mieszkańców Basilis Polis, ale obecnie większość miejsca zajmowało więzienie Numerów i warsztaty wytwórców jedwabiu. Ostatni istniejący tu *balaneion* przeznaczony był dla mieszkańców na tyle biednych, że nie mieli własnych kąpielisk w swoich posiadłościach, ale na tyle bogatych, by stać ich było na korzystanie z najlepszej spośród nielicznych dostępnych do otwartego użytku łaźni.

Trzebieniec z dumą wyjaśnił, co znajdują w środku. *Gymnasion* oraz *apodyterium* to pomieszczenia, gdzie można było, a nawet należało, spocić się, oczyścić, a potem przebrać w wygodne białe tuniki. Do *tepidarium*

wchodziło się, by zażyć ciepłej kąpieli, a *frigidarium* odwiedzało, by ochłodzić ciało w lodowatej wodzie. Szczególnie polecał *caldarium*, gdzie było sucho i gorąco, za to z otworów w podłodze i ścianach wydostawała się para.

– A gdzie znajdę kobiety? – Od powrotu do miasta Ainar zdążył już odwiedzić kilka *mastropeionów*, ale po tygodniach spędzonych na morzu i na Therze wciąż czuł się nienasycony. Jego obsesją nadal była Kallirroe, na której trop starał się natrafić w każdej *grikklandzkiej* świątyni miłości.

– W końcu mówisz jak prawdziwy dreng z Północy, co to ogrzać potrafi się tylko w walce i między udami dziewczoi. – Nawlekacz klepnął poetę w plecy. Konung kłopotliwy, który tym razem sam był w kłopotach, obdarzył go wymuszonym uśmiechem. Nie chciał zdradzać, jak bardzo nienawidził być dotykany, bo takie wyznanie oznaczałoby lawinę kolejnych szturchańców.

– Zaczne mężatki i córki przychodzą tu w porach, które są niedostępne dla mężczyzn – odpowiedział eunuch o imieniu Ouranos. – Upadłe dziewczeczki Wenus, a także odpowiednio wyszkolonych trzebieńców można tu spotkać w każdym pomieszczeniu.

Zaczęli od apodyterium, gdzie niewolnik za pośrednictwem Ouranosa polecił im się rozebrać, a następnie starannie poskładał ubrania gości i obiecał ich pilnować za cenę swojego życia. Zazwyczaj robił to taniej, ale jego gorliwość została wymuszona przez nieokrzesanego Diarfa, który chwycił go za gardło i obiecał połamać mu wszystkie kości, jeśli choć jedna nić zniknie z jego *kyrtillu*.

Następnie polecono im rozłożyć się na marmurowych skrzyniach. Po chwili zjawili się niewolnicy z olejkami. Ainar grzecznie odmówił nacierania męskimi dłońmi, wykręcając jedną z nich i domagając się od jej właściciela kobiety. Nawlekacz tylko wzruszył ramionami i oznajmił szyderczo:

– Konung Vaeringów ma tak delikatną skórę, że dotknąć jej mogą tylko dziewczęce dłonie.

– Za to mój zastępca nie boi się dotyku żadnego mężczyzny, nawet

w swoim łożu.

– Tylko wtedy, gdy dzieli nas twoja córka.

Pieśniarz zagotował się, jakby już był w caldarium. Ostygnąć pomógł mu zimny marmur, dłonie niewolnicy i myśl o jelitach najemnika powieszonych na słupie hańby, który Skald zamierzał mu postawić. Mimir i Göllnir, którzy dotychczas zawsze podsuwali mu ostre i krzykliwe odpowiedzi, teraz radzili milczeć. Diarf musiał wiedzieć o walce toczącej się w głowie zuchwałego władcy, gdyż uśmiechnął się pobłaźliwie i spokojnie leżał, masowany przez niewolnika.

Gdy obaj świecili się niczym ogary po kąpieli w smalcu, przeszli do gymnasionu, gdzie niewolnik podał im proste tuniki bez rękawów i polecił im się spocić. Ouranos, wyczuwając wrogość między dwoma Vaeringami, próbował ratować sytuację, tłumacząc, że można tu biegać dookoła kolumn, podskakiwać i rzucać ciężkimi dyskami, tak jak inni ćwiczący tu Grikkmadowie, ale przybysze z Północy zbyli go i odprawili do apodyterium.

– Czuję, że mój konung ma ochotę na porządną glimę.

– Do porządnej potrzebowałbym równorzędnego przeciwnika. Ty mi wystarczysz do zwykłej.

– Zobaczymy, czy potrafisz coś więcej niż syczeć, węzowy języku!

– Chętnie ci pokażę, tylko potem nie płacz przed swoimi ludźmi, że zламаłem naszą ugodę.

Glima była ulubioną rozrywką drengów z Północy. W tym braniu się za bary dozwolone było niemal wszystko poza gryzieniem i używaniem broni.

Skald stanął w rozkroku, pochylił się i rozchylił ramiona. Niegdyś pokonał w zapasach żywego trupa, więc ufał, iż poradzi sobie także z Nawlekaczem, choć ten był od niego wyższy. Wiedział, że w każdej walce najważniejszy był atak i zmuszanie przeciwnika do obrony, bo ten, kto tylko się broni, wcześniej czy później przegrywa. Skoczył więc do przodu, uderzył Diarfa barkiem, chwycił go w pasie, uniósł i wypuścił. Tego ostatniego nie planował. Wyobrażał sobie, jak niesie bezwładnego

najemnika i uderza nim o ścianę, ale oliwa okazała się tak tłusta, że mimo tuniki oddzielającej ręce Skalda od ciała przeciwnika ten z łatwością się wyslizgnął, a potem sam zaatakował.

Wysoki dreng nie był głupi. Widział, że unoszenia są w tych warunkach niezwykle trudne, więc postawił na przytulanie. Ainar poczuł, jak długie ręce oplatają go na wysokości barków i zaciskają się niczym szczęki wilka Fenrira na prawicy Jednorękiego boga. Tym razem to jego uratował olej.

Poeta uniósł nogi, przez co samym swoim ciężarem osunął się o kilka palców w dół, a następnie odbił od kamiennego podłoża i wychylił ku przodowi. Diarf był zawzięty i nie puścił, by odzyskać równowagę, więc obaj runęli na posadzkę.

Uderzenie złuzowało uchwyt. Skald uwolnił się i stoczył z leżącego na plecach zapaśnika, po drodze chwytając jego rękę i próbując ją wykręcić. Zastępca konunga z łatwością wyrwał naoliwione ramię. Kował słów zerwał się na nogi i dostrzegł, że ćwiczący tu Grikkmadowie porzucili swoje zajęcie i przyglądają się im z zaciekawieniem.

– To głupie – powiedział do podnoszącego się z ziemi łysego wojownika.

– Rzeczywiście. Głupotą jest mierzenie się z takim siłaczem jak ja. Nie sądziłem jednak, że tak szybko będziesz chciał czmychnąć.

– Nadejdzie czas, kiedy nasze przymierze się skończy, a wtedy potnę cię w prawdziwej walce, twoimi jelitami obwiążę drzewo, wątrobę zjem, a resztki zostawię bitewnym żurawiom, które, przyodziane w żalobną czerń, krakaniem oznajmią twoją śmierć. Teraz nie mam ochoty na łapanie węgorzy umazanymi masłem dłońmi. Rozejrzyj się. Jesteśmy niczym dwaj żonglerzy zabawiający gawieź sztuczkami. Nie tak winien zachowywać się konung i jego zastępca.

Nawlekacz myślał przez chwilę, po czym skinął głową i wyprostował plecy.

– Nie pojmuję, skąd w tobie tyle wrogości. Przecież jesteśmy niemal tacy sami, a łączy nas więź mocniejsza niż przyjaźń. Góra złota.

Im bardziej łyсы najemnik przypominał Ainarowi o przeszłości, tym mocniej poeta go nienawidził. Władca bez ziemi zdobył się jednak na pojednawcze skinienie, które wyraźnie zawiodło kibiców. Ci zapewne nic nie rozumieli z rozmowy, ale podniesione głosy zapaśników mogli wziąć za obelgi. Skald odwrócił się do nich, napiął mięśnie i zapraszająco otworzył ramiona, co z miejsca skłoniło Grikkmadów do powrotu do ćwiczeń.

Obaj ludzie Północy byli już dostatecznie spoceni, więc wrócili do apodyterium. Tam doskoczyli do nich czyściciele z drewnianymi skrobaczkami, którzy zaczęli od zdjęcia im brudnych tunik. Diarfem zajął się trzebieniec, Skaldem całkiem ładna i piersiasta niewolnica, które jeła zeskrobywać mu skorupę utworzoną przez oliwę, pot i pył. Nieczystości lądowały prosto na posadzce i zawsze dbający o czystość rzemieślnik słowa nie bez wstydu dostrzegł, iż utworzył się tam okazały kopczyk, choć zaledwie w połowie tak wysoki, jak przy stopach Nawlekacza.

Po czyszczeniu zjawili się słudzy z nożyczkami i szczypcami, ale żaden z Vaeringów nie pozwolił, by ktoś obcy zbliżył do jego gardła ostrze ani tym bardziej wyrwał mu futro z piersi. Połączeni pogardą dla usuwających swe owłosienie Grikkmadów, za wskazaniem Ouranosa wkroczyli do tepidarium.

Sala była ogromna, czworoboczna, ocieplana parą wydostającą się przez dziury w ścianach i podłodze. Wszędzie stały kamienne rzeźby przedstawiające nagie kobiety wstydliwie zakrywające łono dłońmi lub przeciwnie, podpierające się rękami w pasie i pokazujące wdzięki swojej marmurowej kobiecości. Gorzej, że byli tam i nadzy kamienni chłopcy o umięśnionych sylwetkach i z mało okazałymi, ale jednak widocznymi przyrodzeniami, czasami stojącymi do boju. Na ścianach widniały malowidła, które Ainar, jako rzeźbiarz i miłośnik wszelkiego rękodzieła, uznał za najwspanialsze osiągnięcie tutejszych rzemieślników. A przy tym całkiem pouczające. Przedstawiono na nich pary w miłosnych pozach: z kobietą na górze, na dole, z boku, odwróconą tyłem, klęczącą, stojącą, zarzucającą nogę lub nogi na męskie ramiona, a nawet zwiniętą w kłębek. Nie wpatrywał się jednak długo w malowane dziewczeczki, bo prawdziwe

przechadzały się wzdłuż ścian lub nago pluskały się w kamiennej sadzawce.

Basen był długi i szeroki na dziesięć kroków, a schodziło się do niego po dwóch stopniach czy raczej kamiennych ławach, które były zespolone z każdym brzegiem. Z tych siedzisk korzystało właśnie kilku siwiejących, łysiejących i obwisłych mężczyzn, którzy byli zanurzeni po pępek i rozmawiali w grupkach. Po wejściu nagich, umięśnionych i naznaczonych bliznami wojów zrobiło się jakby ciszej, a część Grikmadów wyszła z wody i udała się do innych pomieszczeń.

Konung i jego udawany zastępca weszli do sadzawki. Skald zanurzył się po pas, przysiadł na znajdującym się pod wodą stopniu i z radością przyznał, że woda była ciepła, choć nie gorąca. Przyjemność zniszczył mu Nawlekacz, który zajął miejsce tuż obok, a na dodatek zaczął mówić:

– Ciepło zabija wolę walki i z wojownika robi się taki pomarszczony starzec, jak ci tutaj. Ja lubię kąpiele w wodzie, która mrozi jaja.

– Nadchodzi zima. Wkrótce będziesz mógł pieścić się ze śniegiem i nabijać się na sople lodu, a póki co, możesz sobie darować pluskanie. Nikt cię nie zmuszał, byś tu przychodził.

Najemnik wcale się nie obraził, tylko głośno roześmiał. Wyglądało na to, że szczerze.

– Sam mówiłeś, że musimy się zachowywać jak konung i jego zastępca. Powinniśmy się razem pokazywać, a poza tym nie mam zamiaru dawać ci okazji, byś spiskował za moimi plecami.

– Z kim? Z trzebieńcami i pornaskami? Rzeczywiście musisz na nich uważać.

– Na ciebie muszę. Dobrze wiem, że w ustach masz jad, który nim zabije, omamia twoje ofiary.

– Skoro przy jadach jesteśmy, po co ci była ta próba trucicielstwa?

– O czym ty mówisz?

Poeta wykręcił głowę i przyjrzał się twarzy rozmówcy. Łysol wyglądał na zaskoczzonego, ale pieśniarz sam był mistrzem przybierania masek, więc

nie dał się tak łatwo nabrać. Ali opowiedział mu o wszystkich swoich podejrzeniach i obaj zgodzili się, że właśnie Diarf mógł stać za próbą morderstwa podjętą przez wciąż nieodnalezionego pomocnika woźnicy. Choć z drugiej strony berserk upierał się, że zamach był raczej wynikiem sporów w obrębie rodziny autokratora.

– Nie udawaj. Teraz, kiedy już wyjawiliś wszystkie swoje zamiary i zawarliśmy umowę, możesz powiedzieć prawdę. Człowiek, który chciał mnie otruć i podrzucił mi ucięte dłonie, był jednym z twoich ludzi. Pozostawiłeś go w Byzantionie, by czekał na moje przybycie.

– Masz mnie za kobietę? Tylko one tak atakują.

– Do porywacza i zabójcy dziewczynek pasuje każdy *níðingsverk*.

– Ostatnio słyszałem to słowo w odniesieniu do ciebie. Na Północy mawiają, że popełniłeś niejedną nikczemność niegodną mężczyzny.

– Kłamią.

– Czyżby? Ale mniejsza o to. Nie ja chciałem cię otruć, a już tym bardziej nie kazałem ucinać nikomu dłoni. Zabić i odebrać nagrodę za twoją głowę? Tak. Przekształcić w sojusznika? Również. Po cóż jednak miałbym cię podstępnie mordować i rezygnować z twojej głowy w moim worku? Zresztą wierz sobie, w co chcesz, byle to nie zmąciło naszej wspianale zapowiadającej się łupieskiej przyjaźni.

W słowach najemnika panował zaskakujący i denerwujący ład, którego władca bez ziemi na razie nie potrafił zmącić swoimi podejrzeniami. Postanowił więc zarzucić prowadzącą donikąd rozmowę. Odbił się od stopnia i popłynął na drugi koniec sadzawki. Na szczęście tym razem najemnik nie ruszył jego śladem.

Ainar przepłynął kilka razy tam i z powrotem. Ciepło odprężyło go i pozwoliło choć na chwilę zapomnieć o podłym Diarfie. Pieśniarz był świetnym pływakiem oraz nurkiem, a mimo iż nie przepadał za pracą na morzu, w dzieciństwie ojciec zmuszał go do łowienia ryb, a babka zawsze mu powtarzała, że „dobry pływak sprawdzi się tak w łożu, jak i w bitwie, bo do kochania ćwiczy giętkość, a do walki – siłę ramion”. Teraz zamierzał wykorzystać tę pierwszą umiejętność i płynąc, wybierał ofiarę. Szybko

zauważył, że pluskające się dziewczyny brzydkie może nie były, ale daleko im było do tych stojących na brzegu i odzianych w cieniutkie sukienki, które nie musiały pokazywać nagości, by wabić mężczyzn.

Nawlekacz taki spostrzegawczy nie był. Widać ciepło podziałało i na niego, gdyż przyciągnął ku sobie grubiotką pornaskę i bawił się jej wielkimi piersiami. Nie zwracał w ogóle uwagi na poetę, któremu opiekun oszustów Lopt szepnął do ucha pomysł na psotę. Kowal słów upatrzył sobie nagiego, długowłosego eunucha, który siedział przy brzegu. Podpłynął do niego.

Trzebieniec uśmiechnął się zalotnie i Skald zmusił się, by odwzajemnić uśmiech.

– Ty być ładny chłopiec. – Ainar z dumą pomyślał, że grikklandzka mowa idzie mu już całkiem dobrze, nie bardzo więc pojmował, dlaczego rzezaniec marszczy czoło i nadstawia ucha. – Ja dać złotą nomismę, a ty odprężyć mego przyjaciela. – Ukradkiem kiwnął w stronę Diarfa, ale nie musiał tego robić, bo i tak wszyscy wiedzieli, z kim przyszedł do łaźni.

Rzezaniec przytaknął.

– Ty zanurkować, podpłynąć niespodziewanie i dać mu pocałunek taki jak tam. – Wskazał odpowiednie malowidło, na którym kobieta klęczała między nogami kochanka. Więcej nie musiał mówić, więc popłynął w róg sadzawki, schował się za dziewczynami, zanurzył głowę aż po nos i obserwował. Córy Wenus zachichotały, myśląc zapewne, że podpatruje ich biodra. On jednak patrzył pomiędzy ich brzuskami.

Prośba poety nie była zbyt niezwykła, gdyż rzezaniec zwinnie przepłynął sadzawkę, po czym zanurkował dwa kroki za plecami dziewczyny, z którą zabawiał się najemnik.

Początkowo nic się nie działo. Diarf zanurzał twarz w piersiach pornaski, a ta masowała mu ramiona. Po chwili lekko się wzdrygnął i spojrzał w dół, ale tylko się uśmiechnął i wrócił do damskich obfitości. Zgodnie z przewidywaniami pieśniarza uznał, iż długowłosa osoba o delikatnej urodzie była kolejną pornaską. Swój błąd dostrzegł dopiero wtedy, gdy rzezaniec wynurzył się po oddech.

– *Helvíti!* – zaklął szpetnie w mowie Pólnocy, odepchnął grubaskę i rzucił się do przodu, rozbryzgując wodę. Chwycił rzezańca za szyję, podniósł go niczym worek siana, a kiedy przekonał się, iż jego kochanek w istocie był mężczyzną bez brody, cisnął nim z wielką mocą. Charczący chłopiec przeleciał bezwładnie w powietrzu, upadł na posadzkę, prześlizgnął się po niej jeszcze kilka kroków i uderzył o posąg młodzieńca niosącego włócznię. Dało się słyszeć trzask łamanych kości, a eunuch znieruchomiał z nienaturalnie wykrzywionym grzbietem.

W tepidarium wybuchło szaleństwo. Nieliczni uśmiechali się, zdając sobie sprawę z natury pomyłki Vaeringa, ale większość podniosła głosy oburzenia, choć nie z powodu martwego rzezańca, ale zakłócania im spokoju podczas kąpieli. Skald, widząc miotającego błyskawice oczami i rozglądającego się Diarfa, przezornie zanurkował, bynajmniej nie ze strachu, ale by wzmocnić niepewność i mętlik w głowie Nawlekacza.

Ludzie zaczęli wychodzić z sali, a po chwili wybiegł z niej także porywacz córek, być może zażenowany swoją nadal stojącą męskością, a może w przekonaniu, że pieśniarz wykorzystał jego nieuwagę i wymknął się z łaźni.

Ainar wynurzył się, położył plecami na wodzie i uśmiechnął. Zniesławienie Diarfa było tylko początkiem jego zemsty na najemniku. Postara się, by każdy Vaering w Grikklandzie usłyszał tę opowieść. Gorzej, że wraz z gośćmi balaneionu zniknęła większość dziewczyn. Dla części z nich szansa na zarobek była jednak silniejsza niż współczucie dla trzebieńca, którego ciało zostało zresztą szybko uprzątnięte przez niewolników.

Karmiciel kruków wybrał dwie dziewczyny z brzegu i obiecał im po jednej nomismie, czyli całkiem sporo, ale rozrzutność przychodziła mu łatwo, bo za wszystko płacił Ouranos monetami basileusa. Kazał im się rozebrać, wejść do wody, oprzeć się ramionami o brzeg i wypiąć. Już od samego wybierania panien nabrał ochoty. Wszedł najpierw w jedną, potem w drugą i tak na zmianę, a choć każda starała się, jęczała i wzdychała, nie dała mu nic więcej poza odprężeniem. Już od dawna, będąc z kobietą, nie

czuł niczego poza ulotną cielesną przyjemnością, a wraz z każdą uwiedzioną dziewczką powiększała się tkwiąca w nim pustka, której żadne miłosne rozgrywki w *hnefatafl* nie były w stanie zapełnić. Przestał już nawet oczekiwać tego po niewiastach, które tak łatwo zdobywał błyskiem monety, zalotnym uśmiechem, bezczelnym słowem czy zgrabną strofą.

Skończył, każdej dał klapsa i kazał im się wynosić, a sam położył się na stopniu i pomyślał, że na starość robi się ckliwy niczym baba. W końcu miał złoto, władzę, poetycki dar *skáldskapr*, tyle walki, ile zapragnął, oraz więcej chętnych kobiet niż bohaterowie niejednej sagi. Postanowił się zdrzemnąć, a potem ponownie wziąć jakąś dziewczkę, by pozbyć się jadu, który mącił mu osąd i skłaniał do bezwartościowych rozważań.

Woda przyjemnie chlupotała. Usiadł w basenie, oparł się o ścianę i zjadł kilka winogron z miski przyniesionej przez niewolnika. Zamknął oczy i niemal natychmiast przyszła czerwień.

Najpierw pojawiły się krople. Niewielkie, smoliste i lepkie niczym posoka skapująca z miecza. Błyskawicznie rozprzestrzeniły się po sadzawce, barwiąc całą wodę purpurą. Ainar pomyślał, że może Diarf wrócił i poderzwał mu gardło, więc sięgnął do szyi, ale ta nadal była gładka i nieuśmiechnięta. Śnił więc dalej. Czerwień nie poprzestała na wodzie – wynurzyła się z niej fala, która wspięła się na niezamoczoną pierś Skalda, a potem na jego głowę, przelała się z jednego ucha do drugiego i wpełzła na włosy. Płyn w sadzawce zaczął bulgotać, a na powierzchni niczym na bagnie pojawiły się bąble. Zaczęły pękać, rozbryzgując krew na marmurową posadzkę i ujawniając swoją zawartość: końskie, ludzkie i wilcze łby z otwartymi ustami, paszczami bez jęzorów oraz oczami zasnutymi bielmem. Z największego pęcherza, znajdującego się dokładnie pośrodku basenu, wyłoniła się trupia głowa drauga, a potem gnijąca szyja, pierś z odsłoniętymi żebrami i wyżarty przez robactwo brzuch. Stwór, który niegdyś był wojownikiem Brianem mac Congalachem z rodu Ui Neill, wlepił w pieśniarza niebieskie, wypełnione tęsknotą i nienawiścią ślepie, wskazał go palcem bez paznokcia, a samym swoim obrzydliwym widokiem przypomniał poecie słowa własnej klątwy:

Nienawiść, nie miłość, jest mu przeznaczona,
lubą jego będzie czyjaś cudza żona.

Tęsknota za słońcem, za swą ukochaną
przekleństwem poety, klątwą się staną.

Przekazawszy groźbę bez otwierania ust, potwór nadął się i wybuchnął niczym garniec z grikklandzkim ogniem, rozrzucając po całym tepidarium swoje wnętrzności, mięso i ochłapy skóry. Z tego, co było martwe i brzydkie, wyłoniło się żywe i piękne. Dziewczyna. Naga, cudowna i cała umazana krwią. Podeszła do kowala słów, kołysząc biodrami i uśmiechając się zalotnie, a potem przytuliła go do swej piersi. Tuliła i tuliła, i tuliła, aż poecie zabrakło oddechu. Począł się miotać, bić ją pięściami, ale nie puszczała, tylko tuliła, tuliła i kochała, a on się dusił, charczał i umierał.

– Może wina?

Wzdrygnął się i otrząsnął ze snu. Znów widział przejrzystą wodę, nadzwyczajnej urody pornaski, lśniące jak śnieg marmury i niewolnika, który podawał mu kielich. Odtrącił puchar, wyrwał z rąk sługi cały dzbanek i opróżnił go kilkoma łykami. Odstawił naczynie i wyszedł z sadzawki. Stracił ochotę na dalsze igraszki z córuchnami Gefny i na kąpiel w ogóle. Chciał wrócić do apodyterium, odnaleźć Diarfa i dać mu po mordzie, tak dla poprawy nastroju, ale wrodzona przekora oraz chęć odkrywania tego, co zasłonięte, skusiła go do wybrania okrężnej drogi powrotnej.

Przeszedł do caldarium, najgorętszego pomieszczenia w balaneionie, gdzie oprócz małego baseniku znajdowało się sporo marmurowych stołów do leżenia. Komnatę wypełniały kłęby pary, która niemal parzyła. Poeta nie miał pojęcia, czy to kristiańskie czary, czy grikklandzkie maszyny, a może trzymane pod podłogą stwory wytwarzały tę całą parę, a następnie odciągały ją przez kominy, ale umiał docenić zamysł konstrukcyjny.

Nie był sam. Bokiem do niego stała kobieta w kosztownej sukni, która choć zapewne była pornaską, to biła od niej duma, pewność siebie i wdzięk, jakie zwykle przynależały najpiękniejszym z dobrze urodzonych

dziewczyn. Skald nie pragnął jednak towarzystwa.

– Zjeżdżaj stąd. Nie mieć ochoty na szturm.

– To ja decyduję, na co i kiedy będzie miał ochotę konung Vaeringów! Podobno mnie szukałeś?

Rzuciła mu śmiałe spojrzenie smolistych oczu. Ich źrenice były odrobinę za bardzo przesunięte w kierunku nosa, co jednak dodawało kobiecie tajemniczości i zdradzało drzemiącą w lędźwiach namiętność. Właśnie ta niedoskonałość, obok pieprzyka na lewym policzku, stanowiła o sile jej urody.

– Kallirroe?

– Zamknij się i siadaj.

Harde odpowiedzi zdziwiły Ainara. Niewiele dziewczyn z jego przeszłości śmiało używać wobec niego tak władczego głosu. Jedną z nich była Halfrida, matka Seli, która dla Skalda potrafiła zabić własnego brata. Kallirroe, jeśli rzeczywiście nią była, trochę ją przypominała, choć tylko zdecydowaniem i bezczelnością, bo wyglądem nie mogłaby się bardziej różnić. Grikklandka miała gęste, czarne włosy, dziewczęce rysy twarzy, kształtną kibić i co najważniejsze, duże cycki.

Rozbawiony i zaciekawiony pieśniarz usłuchał. Usiadł na marmurowej skrzyni i z zadowoleniem spostrzegł, że znów staje się gotowy do walki.

– Sama wybieram sobie mężczyzn, a za moje towarzystwo każę sporo płacić. Klejnotów, pierścieni i wisiorków nie będę żądać od barbarzyńcy z Północy, ale masz mi dać sakiewkę wypełnioną nomismami.

Nic nie wskazywało, by dziewczyna zadawała pytania. Każde jej słowo było poleceniem, które należało wykonać. Östmad pomyślał, że jej wszechstronność objawiała się również w handlu. Skinął głową.

– Zamknij oczy.

– Za droga jesteś, bym nie mógł patrzeć.

Nie śmiał się uchylić. Dłoń kobiety wylądowała na jego policzku, ale ten nie zmienił koloru, bo i tak był już czerwony od gorąca. Po takim upomnieniu usłuchał i zacisnął powieki.

Spodziewał się szalonych wygibasów, które odmalowano na ścianach tepidarium, krzyków, jęków, pchnięć, ucieczek i wystrzałów rozkoszy, a zamiast tego poczuł delikatny dotyk dłoni na uchu. Czy ja wyglądam na trzynastoletnią dziewicę? – zakpił w myślach, ale się nie odezwał, bo z lekkim zażenowaniem stwierdził, iż masaż jest całkiem przyjemny.

Kallirroë Wszechstronna nachyliła się nad nim i szepnęła mu do ucha dwa słowa w jego ojczystej mowie:

– *Fjörðar í Noregr.*

I zobaczył, co zostało powiedziane. Północne fiordy w swojej ojczyźnie. Pieniące się fale przy skalistych brzegach, zatoczki wcinające się w ląd, morskie odnogi wijące się wokół dziesiątek wysp. Usłyszał łamiące się lody, poczuł zapach budzących się po zimie bukowych lasów, doświadczył młodzieńczego podniecenia na wieść o zbliżającej się wyprawie łupieskiej. Zawładnęła nim dawno nieodczuwana tęsknota za Północą.

Otworzył oczy, mocno skołowany.

– Czym jesteś?

– Ciii – szepnęła, tym razem łagodnie, a następnie delikatnie zamknęła mu powieki.

Ujęła jego dłoń, położyła ją na swoim kolanie i ostrożnie wprowadziła pod sukienkę. Gdy jednak chciał sięgnąć dalej, stanowczo zatrzymała rękę poety. Z łatwością mógł złamać ten opór, ale z niezrozumiałych dla siebie samego powodów nie chciał.

Ugryzła go w ucho, a potem ostrożnie wylizała bolące miejsce. Jej dotyk czasem był jak powiew wiatru od morza, a niekiedy jak cięcie rozgrzanego bitwą żelaza. Lubieżność zespajała się ze skromnością, władczość z uległością, a przemoc z łagodnością.

Miał ochotę ułożyć pieśń, lecz nie bezczelną, obśmiewającą i zachęcającą kobiety do bezwstydnosci, ale piękną i bzdurną piosnkę o miłości, jedną z takich, jakie śpiewali bardowie. Nie mógł tego jednak zrobić, bo w ustach miał pierś z nabrzmiałym sutkiem. Całował więc, pieścił językiem, ssał i nadgryzał, dusząc się i prosząc o więcej.

„Dość” – wyjęczała w końcu i dała mu odetchnąć. Odruchowo uniósł powieki, ale tym razem nie spotkał się z naganą, tylko uśmiechem i pieszczotliwym pogrożeniem palca. Widok Kallirroe prawie doprowadził go do wybuchu, a ona nawet nie była rozebrana. Tylko jej sukienka była wyzywająco opuszczona poniżej piersi. Położyła się plecami na ziemi i rozchyliła nogi.

„Wchodź” – szepnęła kusząco i Skald zrobił, co kazała, bo nigdy nie dał się w tej grze prosić dwa razy. A bogini Var pobłogosławiła kochankom, łącząc to, co męskie, z tym, co żeńskie, ze sprzeczności czyniąc jedność.

Spojrzał Kallirroe w oczy. Zwykle oglądał ciekawsze miejsca na kobiecym ciele, ale tym razem źrenice pornaski przyciągały go niczym dzban piwa pijaka, a złota obręcz złodzieja. Był leniwym węglózercą, więc żarł wzrokiem jej czarne oczęta, choć to pożeranie nie miało nic wspólnego z beczynnością, bo czynił jej rzecz męską, jęczącą i przyjemną. A kiedy tak zatapiał się w oczach i lędźwiach kochanki, czuł, jakby miał pod sobą dzielną Halfridę, śniącą Hvitę, rudowłosą Ingigerdę, piegowatą Czuryłowiczównę, bezimienną córkę rybaka, szatynkę z Gardariki, grubaskę z Bjarkamal i dziesiątki kobiet, które brał do łóża. I gdy spełnił się w jej kobiecości, wszystkie one były Kallirroe, a ona była nimi wszystkimi.

Zsunął się z niewiasty i zleął na rozgrzanej mozaice, ciężko oddychając. Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od bardzo dawna po zbliżeniu czuł nie tylko cielesną pustkę, ale dziwaczną mieszankę przywiązania, żalu, radości i tęsknoty. Wspomniał słowa drauga o przeznaczonej mu miłości do cudzej żony. Odkurzył też powiedzenie swojej babki: „Dziewka Gefny jest jak świątynia. Należy do wszystkich, którzy się w niej modlą”. Czy zatem mogła istnieć bardziej cudza żona niż pornaska?

18

Wzgórze leżące na wschód od Emporionu ponownie zaczęto nazywać

Górą Kallikantzarów. Dawna nazwa trwała w uśpieniu przez kilkadziesiąt ostatnich lat, ponieważ kapłani Krista zabraniali wierzyć w istnienie złośliwych stworów o ludzkich tułowiach, lecz zwierzęcych pyskach, łapach i ogonach. Starcy nadal jednak opowiadali przy ognisku o *kallikantzaroi*, które przez większą część roku siedziały pod ziemią, piłując podtrzymujące świat drzewo, a w niektóre noce wychodziły na powierzchnię, by psocić i czynić ludziom szkodę. Ich obecność dawało się poznać po szaleńczym chichocie słyszonym w najciemniejsze noce roku oraz po błysku długich białych zębów, które wypełniały ich czarne jak węgiel mordy. Szczególnie niebezpieczne były dla dzieci, bo lubiły je porywać i przemieniać w sobie podobne kreatury, oraz dla młodzieńców, gdyż swoim śmiechem i lubieżnymi jękami sprowadzały na nich głupotę, chuch oraz szaleństwo. Wiedza o potworach, choć w głowach dorosłych zamieciona w kącie niepoważnych bajd, przetrwała w babcinych opowieściach, którymi straszono dzieci, ale wobec dziwnych zdarzeń na wyspie wszyscy przypomnieli je sobie i wiara w kallikantzary odżyła ze zdwojoną mocą. W historiach jasno przecież stało, że pokraki wyłażą na świat w okolicach święta narodzin Krista, a im bardziej zbliżał się ten dzień, tym więcej przeraźliwych rzeczy działo się na wzgórzu nieopodal Emporionu. Krzyki i dzikie wrzaski były tam na porządku dziennym, a raczej nocnym, natomiast ktokolwiek wybrał się w te okolice, albo zostawał tam na zawsze, albo wracał z opowieściami o grasujących po stokach ludzko-zwierzęcych potworach, które biegały nago, wyły do księżycy i zabijały zwierzęta. Najprzeraźliwsze były jednak krzyki wydobywające się jakby spod ziemi oraz codzienny widok setek węży, które nieustannie pełzły w kierunku góry.

Ludzie zaczęli się bronić. Nie gasili ognia w paleniskach, obwieszali dom czosnkiem i ziołami, na drzwiach malowali czarne krzyże i palili stare, śmierdzące sandały, których odór miał odganiać stwory od ludzkich siedzib. Niektórzy wystawiali za próg misy z zepsutym winem, by lubujące się w pijaństwie kallikantzary potruły się i zdechły lub przynajmniej zapadły się pod ziemię.

Gaupa i Hedin wiedzieli o tym wszystkim, bo z polecenia Berrhedina musieli co kilka dni pojawiać się w obozie Vaeringów i stawać przed Magnolfem Krwawą Siekierą. A skoro już tam bywali, słuchali też obozowych opowieści i zaciągali języka o wszystkim, co działo się na wyspie. Najemnicy, tak jak ich przywódca, zdawali sobie sprawę, że to hamramirzy byli owymi stworami z grikklandzkich opowiastek, ale strach i obyczaje prostych mieszkańców Thery tak ich bawił, iż nie bardzo przejmowali się skargami wyspiarzy. Tylko nudny i poważny Gyrgir ciągle naciskał Magnolfa, by zrobił porządek ze swoimi ludźmi. Dowódca najemników od czasu do czasu karcił więc słowem Gaupa i Hedina, ale oni zbywali wszelkie napomnienia mruzeniem.

Na księżycu najlepiej znał się Ulfhedin, bo jak każdy wilk co noc marzył, by go pożreć. Ale Ryś oraz Płaszcz także lubili polowanie w mroku i nazywali siebie przyjacielem boga Maniego. Co noc się w niego wpatrywali, więc potrafili bezbłędnie wskazać, w której kwarcie się znajdował i ile nocy brakowało do pełni. Z niecierpliwością odliczali dni do Yule, gdyż hamramirzy byli gorliwymi blotmadami i jak na ofiarników przystało, zawsze hucznie obchodzili święto środka zimy. Napitków mieli pod dostatkiem, bo zbierali misy z winem, które rybacy wystawiali nocami za próg. Trunki zwykle były kwaśne i zepsute, ale i tak o wiele smaczniejsze niż piwo, do jakiego przywykli w Odainsaku. Picie, choć ważne, nie było jednak najważniejszym blotem, jaki składano bogom Północy w Yule. Tym razem ofiara zostanie złożona z człowieka, a towarzyszyć jej miała przemiana młodzieńca w Ormhedina.

Przygotowania do przemiany trwały od trzech miesięcy. Najpierw dla dziewięciu młodzieniaszków z Krety wykopano dziewięć dołów, które stały się ich pieczarami. Przez pierwsze trzy tygodnie ludzkie młode były w nich więzione i karmione chlebem oraz wodą. Miauczały, wyły i krzyczały, budząc strach rybaków przed kallikantzarami. Po upływie tego czasu przestano dawać im jedzenie, ale zaczęto je wypuszczać nocami. Musiały same zdobywać pożywienie, co czyniły, okradając pobliskie wioski, zabijając zwierzęta i polując na Grikkmadów, którzy z ciekawości

zapuścili się w okolice góry. Najodważniejsze człowiecze szczeniaki próbowały również zabić swoich oprawców, ale te wysiłki były żałosne, bo w głowach młodzików nie pomieszkiwała jeszcze żadna bestia. Przed świtem nadchodziła pora, kiedy bezimienni chłopcy powinni wracać do swoich jam – i wtedy następowała ulubiona część szkolenia Gaupa i Hedina. Wraz z braćmi łapali te koteczki, które same nie chciały wracać do domku, po czym łoilili im porządnie skórę. Dwóch bezimiennych nie przeżyło tych braterskich napomnień, kolejny nie podołał trudom zimna, głodu i pragnienia. Pozostała szóstka była jednak obiecująca, przynajmniej na tyle, by mogła dostąpić kolejnej próby. Dano im noże i kazano walczyć między sobą o skóry, które miały ich ogrzać w zimowe miesiące. Okryć starczyło tylko dla czterech, dwaj chłopcy zostali zatem na zawsze pozbawieni troski o zimno, bo noże napełniły ich śmiertelnym chłodem. Ocalała czwórka zapracowała sobie na imię, bo nie byli już tchórzliwymi dziećmi, ale człękami o głowach otwartych na przyjęcie bestii. Stali się Hedinami.

Na miesiąc przed Yule młodych Hedinów ponownie zamknięto w jamach, ale nie skazano ich już na samotność. Hamramirzy zebrali do worków okoliczne węże i wrzucili je do dziur w ziemi. Wystarczyło zrobić to raz i poprosić Arnhöfdiego o pomoc, by węże z całej wyspy same zaczęły ściągać do Góry Kallikantzarów, wabione wstawiennictwem boga i syczącymi nawoływaniem pobratymców. Niektóre były jadowite bardziej, inne mniej albo wcale, ale wszystkie się przydawały, dostarczając chłopcom jadu, pożywienia i odzienia.

Do nocy rozpoczynającej Yule przetrwało dwóch śniadych chłopców o rysach tak podobnych, że musieli pochodzić od jednej matki. Inni nie wytrzymali wstrzykiwanego przez węże jadu, co oznaczało, że ich ciała nie były godne nosić w sobie Orma. A że tylko jeden mógł zostać bratem hamramirów, obu najwytrwalszych Hedinów wrzucono do wspólnej jamy. Wolną przestrzeń w dole zapełniły jadowite węże, których zgromadziło się tak wiele, iż ich poplątane cielska zakrywały młodych wojowników aż po piersi.

Równy ze wschodem księżyca wokół dziury w ziemi zebrali się wszyscy hamramirzy, by podzielić się swoją mądrością.

Gaupa i Hedin przynieśli trzepoczącą skrzydełkami kurę. Siedząc na skraju jamy, skubali ją na żywca i wrzucali piórka do węży, by rozwścieczyć pełzające smocze pomioty. Ryś i Płaszcz chcieli rozpocząć opowieści, a Berrhedin pozwolił im na to. Kot i jego ludzki brat zdecydowali, że wygłoszą wielce nieobyčajny poemat skaldyczny, który usłyszeli niegdyś od pieśniarza Jachowicza, ale sami nieco go ulepszyli.

Koteczek był chory i leżał w łóżeczku.

I przyszła dziewczeczka: jak się masz koteczku?

Rysiaczek ją za to pazurkiem drapnął

i języczkiem posoczkę z gardziółka chlapnął.

Bracia pochwalili ich wyciem, rykiem, muczeniem i kwiczeniem za prostotę i mądrość płynącą z opowieści. Bestia, nawet ranna, potrzebuje mordy, nie litości.

Obudził się ze stanu podobnego do snu, choć przecież od wielu dni nie zmrużył oka. Ból. Ból był wszędzie, a on jakby się w nim kąpał, jakby obmywał się nim przed modlitwą w meczecie. Ledwo widział przez oczy opuchnięte od jadu, ale uniósł ręce, by obejrzyć dłonie. Były napuchłe, czerwone i miękkie, jakby zaraz miały pęknąć. Skupił się na bólu, zaczął nim oddychać i nie czuł już nic więcej, aż w końcu cierpienie wybuchło w nim niczym ognista góra i spłynęło parzącą lawą na ręce. Ciało było wolne, dłonie wzięły na siebie całą mękę. Teraz wystarczyłoby odrąbać sobie ręce w łokciach, by pozbyć się bólu. Coś syczało mu jednak w głowie, by tego nie robił, bo choć ręce są pokraczne i przeceniane przez ludzi, jednak bywają przydatne w zabijaniu. Zacisnął więc dłonie w pięści, a potem je rozluźnił i delikatnie zaczął formować ból w kształt podobny do pajęczej sieci albo materii na turban. Kiedy widmowy materiał był gotowy,

obtarł sobie nim twarz, dokładnie wytarł dłonie, a potem rozgarnął węże, zanurkował w ich splecione cielska i obmył sobie stopy. Nogi, które wkraczały do meczetu, ręce, które składały się do modlitwy, i twarz, którą dotykało się świętej posadzki, musiały być czyste podczas spotkania z Bogiem. Nie miał pojęcia, skąd to wiedział. Nie pamiętał niczego przed bólem. W tygodniach męki docierały do niego tylko słowa w obcej mowie, którą z trudem rozumiał, choć jej pojmowanie postępowało wraz z jadem, który był w niego wstrzykiwany. Rozumiał, że nazywa się teraz Hedin i że musi słuchać okrutnych bestii, które nad nim siedziały i z niego szydziły. Nienawidził ich i marzył, by opasać ich swoim cielskiem i wycisnąć z nich życie. Zdziwił się, że taka sycząca myśl przyszła mu do głowy. Przecież kochał tych ludzi. Opiekowali się nim, odwiedzali go, czasem dawali jeść, a czasem bili jak starsi bracia. Nie mógł pozwolić, by stało im się coś złego. Powinien pięć razy w ciągu dnia odmawiać za nich salat, powinien troskliwie owinać ich swym gadzim tułowiem i wygrzewać niczym jaja. Będzie ich bronić. Tylko ich znał, a poza bólem tylko ich pamiętał. Byli dla niego wszystkim, bez nich czuł się nikim. Słuchał więc, słuchał i starał się zrozumieć.

Następny był Berrhedin, który jak zwykle prawił o miodzie i pszczołach.

– Pewien miś był głodny, więc poszedł do niedźwiedzicy, z którą w zeszłym roku miał młode, i spytał, czy nie ma miodu do pożyczenia. Nie miała. Pożarł więc niedźwiadki, a kiedy zjadł ostatniego, użądliła go pszczoła. Pomyślał, że to bogowie dają mu znać o znajdującej się w pobliżu pasiece. Udał się za brzęczącym stworzeniem i odnalazł budy z poukrywanym w środku miodem. Łapami rozwalił ule, zjadł cały miód i podziękował niedźwiedzim bogom, że dali mu słodycz, która zabiła gorzki smak jego własnych dzieci.

Ryś i Płaszcz zamruczeli z zadowolenia, a reszta braci zamuczała, zawyła bądź zakwiczała. Mądrość tej sagi przyda się Ormhedinowi, bo musi wiedzieć, iż nagroda czeka tych, którzy przed niczym się nie cofną, by

przeżyć. Przyda mu się też druga nauka: hamramirzy nie miewają dzieci. Od dzikiej bestii różniło ich jednak to, że tańczący wojownicy mieli braci i watahę.

Przed kolejną opowieścią zrobili sobie przerwę. W końcu było święto, więc nie należało obrażać bogów siedzeniem o suchym pysku. Rozpalili mały ogień i w kociołku zagrzali zabrane ludziom wino. Svinhedin wyjął ze swojego tobołka garść zasuszonych kapeluszy słonecznych grzybów i wrzucił je do bulgoczącego wywaru. Była to ostatnia porcja wróżebnych smakołyków zebranych jeszcze w Odainsaku. Gdy napój był gotowy i ostudzony, puścili kociołek w obieg i zasmakowali krwi oraz mięsa boga. Od razu zrobiło się świętecznie.

– Nasza opowieść będzie dłuższa – uprzedził braci Urrhedin. – Pewien mąż był dzielny i poważany przez wszystkich drengiem. Żonę miał, synów miał, miecz dobry miał, a w przystani na wodzie kołysała się jego znakomita snekkja, którą co lato wypływał za morze. Podczas tych wypraw łupił, zabijał i gwałcił, jak na zacnego woja przystało, więc co roku wracał z wielkim bogactwem, powiększając i tak już znaczny majątek. Wkrótce stał się najzasobniejszym i najbardziej cenionym mężem w okolicy, tak że inni wybrali go na swojego hersira i słuchali niczym władcy. On jednak dalej jeździł na wyprawy, słusznie mniemając, iż tylko stałe ćwiczenie się w mordach, grabieżach i gwałtach pozwoli utrzymać jego ciało i ducha w młodości. Mimo iż każda dziewczka na Północy zazdrościła żonie owego człowieka, jego kobieta nie dostrzegała zalet swego męża i podczas jego nieobecności zdradzała go z marnym pieśniarzem. Hersir zaczął coś podejrzewać, a wtedy jego żona, zwiedziona lękiem, nakłoniła kochanka, by podstępnie zamordowali dzielnego drenga. Tak też uczynili. Dziewka otruła go, a poeta wbił mu nóż w plecy. By nikt nie dowiedział się o ich zbrodni, ciało wodza spalili, a jego prochy rozrzućili na pobliskiej łące. Ludziom rozpowiedzieli natomiast, iż hersir samotnie wyruszył na kolejną wyprawę, by w obcych krajach znaleźć chwałę na polu bitwy. Kobieta przejęła w imieniu męża władzę nad gospodarstwem i całym regionem, do pomocy biorąc sobie podłego pieśniarza. Rządzili przez lat wiele, aż

w końcu nikt już nie wierzył w powrót wielkiego władcy. Mordercom mało było jednak niecznych czynów i zapragnęli, by swoje własne dzieci wywyższyć nad synów zabitego hersira. Wysłali więc chłopców w obce kraje, zabraniając im wracać bez ojca. A że ten dawno już nie żył, chłopcy na wyprawach okrzepli, mężczyznami się stali, ale po ojcowiznę wrócić nie mogli. Tymczasem w miejscu, gdzie rozrzucono prochy władcy, jego żona kazała wypasać bydło. Jedna z krów stała się po tym wielce niespokojna, bo choć nikt o tym nie wiedział, przez przypadek zjadła szczątki hersira. Krowa wkrótce ocieliła się i wydała na świat czarnego byczka, który od małego był bardzo dziki i nie pozwalał się nikomu do siebie zbliżyć. Ludzie radzili podłej kobiecie i pieśniarzowi, by zabili narwane zwierzę, póki młode. Stworzenie było jednak bardzo piękne, silne i wielkie, więc mordercom żal było pozbawiać się widoku na przyszły zysk. I rzeczywiście, gdy byk dorósł, nie było od niego bardziej dorodnego zwierzęcia na całej Północy. Jego futro lśniło, a olbrzymie rogi dumnie wyginały się ku przodowi jak u tura. Pewnego dnia, gdy pieśniarz sam jeden udał się do stajni, na zwierzę spadł taki szal, że uwolniło się z zagrody, przebiło ścianę i zaatakowało marnego skalda. Poeta nie miał szans. Rogi przebiły go na wylot, a kopyta wdeptały w ziemię. Krzyki przywołały ludzi. Widząc śmierć pieśniarza, mężczyźni wzięli do rąk włócznie oraz żerdzie, by osaczyć i zabić rozszalałego byka. Ten uciekł im jednak i pobiegł na łąkę, gdzie niegdyś rozsypano prochy hersira. Tam zwierzę stanęło i zaczęło uderzać racicami, aż rozkopało pod sobą ziemię. Ludzie, którzy za nim przybiegli, dziwili się takiemu zachowaniu, tym bardziej iż po chwili byk się uspokoił, odstąpił od rozoranej ziemi i zaczął popas. Zdziwieni mężczyźni podeszli i znaleźli kość z ludzkiego palca, na której widniał przypalony złoty pierścień. Bez trudu poznano, iż ozdoba należała do dawno zaginionego wodza i zrozumiano, że to żona wraz z pieśniarzem zabiła męża swego. Pochwycono więc niewierną kobietę i wbito jej byczy róg w miejsce, które sama nadstawiała przed rogami innych mężczyzn, swojemu mężczyźnie rogi przyprawiając. Tak zmarła w krzykach i mękach, wydana na śmierć przez tego, który w łonie krowy został stworzony przez prochy zdradzonego hersira.

Po wysłuchaniu opowieści zaległa cisza. Gaupa i Hedin dobrze wiedzieli, co było jej powodem, choć oni sami chcieli mruczeń i ryczeń na znak zgody. Mimo iż historia zawierała wiele mądrości, jedna rzecz była w niej bardzo drażliwa, zwłaszcza dla Berhedina. Podłym, niegodnym zaufania mordercą był skald. Wszyscy zrozumieli, że znany ze swojej upartości Urrhedin pije do Ainara, na którego władzę wielu braci potajemnie narzekało.

Przywódca hamramirów wziął do rąk kociołek i opróżnił go do czysta. Svinhedin wetknął kij w dogasające ognisko, pobawił się chwilę żarem, a potem dołożył kilka lichych patyków i stary sandał. Uniósł się dym i rozniósł smród, drażniąc węże w dole. Świński hamramir sięgnął po pusty już kociołek, napełnił go wodą i nastawił nad ogniem.

– Jaka mądrość kryje się w tej opowieści? – zapytał w końcu Berrhedin.

– Nie ufaj kobiecie – odpowiedział Hedin, w którego głowie zamieszkiwał Dzik.

Kwik, ryk, muczenie, wycie i miauczenie potwierdziło tę mądrość.

– Dlatego hamramirzy nie miewają żon. – Niedźwiedź podrapał się po owłosionej piersi. – I wiedzą, że najważniejsze są więzy krwi. Zawsze należy stać po stronie rodu i mścić każdą przelaną kroplę krwi. A kto tworzy związany przysięgą krwi ród hamramirów?

– Bracia, bracia, bracia – odpowiedzieli wszyscy razem.

– I jaką jeszcze mądrość chciał nam przekazać Urrhedin?

Berrhedin spojrzał wyzywająco na turzego brata, ale ten milczał i drapał się po skaleczonym nosie.

– Z tej ciszy też płynie dla nas mądrość. – Niedźwiedzi hamramir mruknął z zadowolenia. – Mówi nam, że młodszy bracia muszą okazać uległość wobec przywódcy watahy. A komu jeszcze winniśmy posłuszeństwo?

– Naszemu konungowi – odpowiedzieli wszyscy, choć w niektórych głosach dało się wyczuć niechęć.

– Nasz przyszły wężowy brat powinien o tym posłuchać coś więcej,

a i niektórym z was przyda się przypomnienie. Pora na Svinhedina.

Wywołany tańczący wojownik zakwiczął i chrząknął. Cały czas żuł jak świnia wcześniej wygrzebane z ziemi robaki.

– Było to w czasach, kiedy zwierzęta rządziły światem, a ludzie byli tak przestraszeni, że bali się nawet iść samotnie po drzewo do lasu. W najciemniejszym borze na Północy narodził się dzik, który był potomkiem dumnego i potężnego rodu. Na imię miał Sonargöltr i nie miał sobie równych pośród innych dzików, a nawet wielkie brązowe niedźwiedzie wołały schodzić mu z drogi. Ufny we własną potęgę pogonił swego ojca, wziął siostry za lochy i osiadł w mateczniku, siejąc wokół grozę i kwicząc pieśni o swojej potędze. W utworach tych obrażał władcę lasu, olbrzymiego białego niedźwiedzia o imieniu Bjalki, zarzucając mu brak waleczności, wysługiwanie się sforą wilków, a przede wszystkim to, iż konungiem jest z urodzenia, a nie z odwagi. Obelgi te dotarły do niedźwiedzia i ten gotów był własnymi łapami dać nauczkę dzikowi, ale w swojej mądrości pojął, że w ten sposób nie pokazałby zwierzętom prawdziwej natury władzy. Zwołał więc althing wszystkich istot lasu, na którym miano rozsądzić, co stanie się z niepokornym poddanym. Sonargöltr również został wezwany, by mógł się bronić, ale tylko wyśmiał posłańca, mówiąc, że nie dba, co słabi myślą o silnym. Na wiecu radzono więc bez niego i większość zwierząt zgodziła się, iż najwłaściwszą karą dla buntownika będzie śmierć. Konung przekonał jednak poddanych, że lepiej będzie pozbawić dzika opieki władcy i skazać go na banicję. Tak uczyniono. Jeleń zaniósł skazańcowi wyrok althingu, a Sonargöltr rzekł mu w odpowiedzi, iż orzeczenia wiecu znaczą dla niego tyle, co bzyczenie much ciągnących za jego zadem. Dzik nie ruszył się nawet na piędź z legowiska, lekceważąc wyrok banicji, na mocy którego każdy mógł go bezkarnie zabić. I niektóre drapieżniki rzeczywiście próbowały go poskromić, ale Sonargöltr przeganiał je wszystkie, orając szablami i kłami wilcze, turze i niedźwiedzie futra. Zdumiewający opór dzika nie pozostał bez echa wśród innych zwierząt, które zaczęły robić się krnąbrne i dumały, czy potrzebują tak nieudolnego konunga, który nie potrafi wdrożyć w życie

postanowień althingu. Wkrótce także inne drapieżniki odrzuciły zwierzchnictwo białego niedźwiedzia i ogłosiły się panami własnego losu. Potem posłuszne przestały być nawet sarny, bo nie mogły liczyć na opiekę władcy przed panoszącymi się wilkami i niedźwiedziami.

Svinhedin zamilkł. Opowieść była długa i zawsze gdy hamramirzy ją sobie opowiadali, robili przerwę w tym miejscu, by przemyśleć sobie świat bez władcy. Dla Gaupa i Hedina taka myśl nie była zła, ale nie śmieli jej wymruczeć w gronie rodziny.

Ryś i Płaszcz podkręcili swojego kociego wąsa, podrapali się po futrzastym łbie i zastrzygli szpiczastymi uszami. Spojrzeli na braci i dostrzegli ich prawdziwy hamr – kształt, który nadawały ciału połączone ze sobą duchy. Zwierzęta wzięły we władanie głowy Hedinów i przy wężowym dole siedzieli Płaszcz z łbem Niedźwiedzia, Płaszcz z łbem Dzika, Płaszcz z łbem Wilka, Płaszcz z łbem Tura i Płaszcz z łbem Rysia.

– Dokończy nasz wilczy brat – postanowił Berrhedin.

Ulfhedin zawył do księżycy, pozdrawiając wilka Hatiego, który gonił po niebie srebrzysty, nadgryziony już placek. Posłusznie przerwał jednak skowyt i podjął opowieść:

– Bjalki nie zmartwił się buntem. On go oczekiwał. Zrezygnował z władzy, zrzucił niedźwiedzią skórę i pod postacią człowieka poszedł między ludzi. Ponieważ miał wielką wiedzę, zdołał wszystkich przekonać, iż jest głosem boskiego rodu Vanów, który pragnie wywyższyć potomków Aska nad bestiami. Należało tylko złożyć w ofierze najpotężniejsze zwierze zamieszkujące lasy. Blot powinien zostać dokonany w święto Yule, dokładnie w środku zimy, w zamian za co bogowie mieli zesłać latem obfite plony, które napełnią ludzi nową siłą. Gdyby zaś zabrakło ofiary, nadeszłaby wieczna zima. Najmężniejsi mężowie lękali się wyprawy do boru, ale zostali natchnięci słowami przybysza i podjęli się zadania. Sam Bjalki poprowadził w las najlepszych myśliwych ze swojego nowego plemienia. Kierowali się ku matecznikowi, zostawiając za sobą krwawy ślad z wilczych łbów, niedźwiedzich łap, jelenich rogów, rysich ogonów i turzych serc. Zwierzęta pozbawione opieki swojego konunga były bowiem

słabe i zdane tylko na siebie, natomiast Bjalki miał dzielnych wojów, którzy byli dla siebie niczym bracia, osłaniali się nawzajem i atakowali w watasze. Wojownicy szybko dotarli do matecznika i osaczyli Sonargöltra, który po odejściu białego niedźwiedzia był najpotężniejszym mieszkańcem boru. Dzik walczył zaciekle i położył tuzin wojów, ale w końcu, naszpikowany włóczniami niczym jeź, zarył ryjem w błoto i dał się związać ludziom, jakby był zwykłą domową świnia. Myśliwi dumnie powrócili do domu i urządzili huczne Yule, na którym piwo przelewało się w rogach, a stoły uginały się od upolowanej zwierzyny. A w noc taką jak dzisiaj, która rozpoczynała świętowanie, wybrali Bjalkiego na swojego władcę, położyli Sonargöltra na stosie drewna i jęli składać przysięgi. Obiecywali wierność bogom, plemieniu i konungowi aż po kres rodzaju ludzkiego.

– Auuu... muuu... hrrr... kwi...

Wszyscy zgodzili się, iż była to mądra opowieść, ale wyjaśnienia należały się jeszcze Hedinom, którzy siedzieli w jamie.

– Po cóż nam konung? – Berrhedin wskazał do odpowiedzi Svinhedina.

– Opiekuje się nami i daje nam siłę. Jeśli wystąpimy przeciwko niemu, złamiemy daną mu przysięgę, a wtedy sami bogowie odwrócą się od nas, utracimy jedność grupy i polegniemy każdy z osobna.

– Dobrze powiedziane. – Pochwała wyszła z pyska Niedźwiedzia. – Nie ma na świecie wojowników potężniejszych od hamramirów, ale nawet my potrzebujemy opieki konunga, który może nie dorównuje nam siłą i odwagą, ale ma inne przymioty. Jego wola nadaje cel naszym działaniom, a jego przebiegłość pozwala mu dogadywać się z ludźmi, a z tym słabo sobie radzimy. Nie do mówienia nas bowiem powołano! Jakie są zatem trzy święte zasady hamramirów?

– Wierność bogom, wierność braciom, wierność konungowi! – zawołali wszyscy.

– To cała mądrość, jaką możemy przekazać naszemu przyszłemu bratu. Gaupahedinie!

Ryś i Płaszcz czekali na to cały wieczór. Wzięli z paleniska kociołek

i nie zważając, że gorące żelazo pali im dłonie, wylali bulgoczącą wodę do dołu. Mieli połać tylko węże, by jeszcze mocniej je rozsierdzić, ale Hedin z czystej złośliwości chlusnął też wodą na głowy serklandzkich kociaków. Po chwili do jamy powędrowały dymiące gałęzie drzewka oliwnego, a także nóż. Nadeszła pora, by młodzi Hedinii zdecydowali, który z nich chce zostać im bratem, a który ofiarą na cześć Arnhöfdiego.

Nóż wolno opadał. Mógł go z łatwością chwycić, ale pozwolił, by ostrze wbiło się w łeb jednej ze żmij. Inne smocze pomioty zasyczały wściekle i ukąsiły go w zemście, że nie obronił ich siostry. Wciąż jeszcze nie rozumiał. Gorąca woda spływała mu po twarzy, ale przyjął ten ból z obojętnością, jakby był ukłuciem komara. Obok niego spadła dymiąca i żarząca się gałąź, wprawiając pełzacze w jeszcze większą wściekłość. Niektóre zagotowały się żywcem i dało się poczuć zapach pieczonego węża. Wziął jednego z nich, popatrzył na kołyszący się łebek, odgryzł go, a następnie zatopił zęby w wijącym się cielsku. Mięso było smaczne. Żmije kąsały go, ale miał już tyle jadu we krwi, że był jak puchar pełen wina, którego nie da się już dopełnić, a każda dodatkowa kropla tylko przelewała jego zawartość. Plunął więc, a jego ślina była tak pełna trucizny, że przepaliła skórę dwóch węży.

Ręka bez wiedzy jego umysłu wystrzeliła w górę. Dłoń zacisnęła się na przegubie człowieka, który siedział z nim w jamie i właśnie zamachnął się na niego nożem. Człowiek ten wydał mu się znajomy. Przypominał jego samego. Nie miał pojęcia, czy to jego duch wyszedł z ciała, czy była to wizja zesłana przez jady, a może nawiedzał go ktoś z przeszłości? Ciało wiedziało, co robić, mimo iż w głowie nadal panował mętlik. W łapie miał straszliwą siłę, więc z łatwością odgiął uzbrojoną rękę. Druga dłoń zacisnęła się na szyi swojej podobizny. Usłyszał charczenie, a pod palcami poczuł chrzęst łamanej krtani. Wypuścił zwłoki i pozwolił, by zapadły się w morzu wijących się ciał.

Został sam w jamie. Znajdujący się na górze ukochani oprawcy polewali

go ciepłą wodą i ogrzewali żagwiami. Znienawidził swoją samotność. Zapraǳnął mieć brata, który wzmocni go w chwili słabości oraz sprawi, że bestie nad jego głową nie będą już nim pogardzać, ale przyjmą go i ukochają jak równego sobie. A kiedy zaczął rozumieć i stał się gotowy, by podzielić się miejscem w swojej głowie, usłyszał syk głośniejszy niż inne i zobaczył przed sobą olbrzymiego węża, dłuższego niż rybacka łódź. Wąż wypełznął znikąd, a może wcale go tam nie było, jego cielsko zaś utworzyły wszystkie zgromadzone w jamie pełzacze? Spojrzał w wielkie żółte oczy o pionowych źrenicach i usłyszał syk w swojej głowie: „Czy zechcesz być mi bratem, który nigdy nie będzie pode mną ani nade mną, ale zawsze ze mną?”. „Chcę” – odpowiedział i od tej pory obaj już chcieli, bo głowa nie była już jego, ale ich. Dwa duchy zamieszkały w jednej głowie. Nadali sobie imię Ormhedin.

„A ja?” – usłyszeli trzeci głos. „Kim jesteś? – zasyczeli, choć przecież wiedzieli, więc dodali: – Nie ma tu dla ciebie miejsca”. Hedin w ich głowie sprzeciwił się jednak wężowemu bratu. Czuł dziwną więź z duchem tego, którego przed chwilą sam zabił. Orm wiedział, iż nie złamie tej woli, a i łamać woli brata nie zamierzał. Zasyczeli więc zgodnie: „Wejdz zatem, duchu drugiego człowieka, tylko się schowaj i nigdy nie wychodź”. Drugi Hedin wlaźł więc do ich czaszki i skrył się za uchem rodzonego brata. Dwa Płaszczki i jeden Orm zamieszkali w jednej ludzkiej głowie.

Gaupa i Hedin od razu zauważyli przemianę. W dole nie było już wątłego młodziana, tylko mężczyzna o gibkim ciele i nienawistnym spojrzeniu, które uwodziło niczym gadzie ślepie. Zyskali nowego brata, a drugi Hedin, ten niedopełniony imieniem bestii, został złożony w ofierze ku czci Arnhöfdiego – boga przemiany.

Ormhedin podskoczył, chwycił się brzegu jamy i zwinnie podciągnął. Ziemia wyrzuciła go ze swojego łona, a on podpełzł do braci i zasyczał do nich po serklandzku. Gaupa i Hedin powitali go pierwsi. Poczekali, aż wstał, a następnie uścisnęli i szepnęli do ucha:

– *Hail, Arnhöfdi, hail, Göllnir.*

Pozostali hamramirzy zrobili podobnie, a po wymianie czułości wszyscy stanęli dookoła dołu, chwycili się za bary i zaczęli płaść. Znów było ich dwunastu. Tańczący wojownicy tworzyli jedność.

19

Ali się nudził. Zima w końcu nadeszła, sztormy zapanowały nad morzem, a w mieście zrobiło się ciszej i pobożniej. Nastał czas postu oraz przygotowań do kristiańskiego święta narodzenia Boga. Wszelkie zawody w Hipodromie zostały odwołane, nie organizowano również żadnych hucznych uczt ani zabaw, co nie znaczyło, że Grikkmadowie nie bawili się wcale. Kiedy nie wolno było okazywać hucznej radości, Romejowie w swoich domach, w gronie rodziny i przyjaciół, świętowali *broumália*. Było to jedno z najdziwniejszych świąt, z jakimi berserk zetknął się podczas swoich podróży, ale jego ogólny zamysł mu się spodobał. Każdy dzień świątecznego okresu poświęcony był jednemu znakowi grikklandzkiego alfabetu, a osoba, której imię zaczynało się na czczoną w danym dniu literę, urzędzała przyjęcie w swojej posiadłości. Szczęśliwie Blamad nie miał przyjaciół ani krewnych wśród Grikkmadów, więc nie musiał uczestniczyć w tych spotkaniach.

Prace w skryptorium, przynajmniej te z udziałem czarnoskórego obieżyświata, dobiegły końca, a Finlog wyruszył w jakąś religijną misję, podobno zleconą mu przez samego basileusa. Ali miał więc mnóstwo wolnego czasu, choć co kilka dni musiał pojawiać się w pałacu młodszej augusty Teofano, by wyznaczonemu przez nią eunuchowi opowiadać szczegóły z życia Ainara i Nikefora. Na razie udawało mu się udawać głupka i mówiąc dużo, zdradzać mało. Miał nadzieję, że jego usługi wkrótce znudzą się władczyni, ale na razie to nie nastąpiło, mimo iż nie wyjawiał jeszcze żadnej wartościowej tajemnicy. Miał z tych wizyt przynajmniej taki pożytek, że w pałacu zawsze dawali mu dobrze zjeść.

Dużo czasu zajmowały mu ćwiczenia w błękitnym demie. Nie, żeby musiał sobie przypominać, jak robić Ludożercą, ale życzeniem Nikefora Fokasa pozostawało, by podczas luperkaliów zorganizowano pozorowaną bitwę z udziałem vaerińskich najemników. Blamad musiał więc kilka razy pokazać się w Hipodromie, by przeciwżyć szyk bojowy wojowników z Północy. Resztę czasu wolnego poświęcał na włóczenie się po mieście i szukanie młodszego woźnicy, który jako jedyny mógł rzucić nowe światło na trucicielski spisek. W przeddzień powtórnego narodzenia Krista w końcu mu się to udało, nie bez pomocy Slavomirusa. Czarny Achilles pojmał młodzieńca, ale nie przepytał go od razu. By złamać jego hardość, zamknął pomocnika Sofroniusza na noc w podziemnej cysternie i następnego poranka udał się po Skalda.

Nie zastał konunga w pandokeionie, a znając jego umiłowanie do uciech wszelakich, nie spodziewał się, by pieśniarz przebywał w mieszczącej się poza murami miasta dzielnicy świętego Mamasa, gdzie obozowali i nudzili się niemal wszyscy najemnicy z Północy. Czarny Berserk udał się więc do domu niejkiej Zoe, z którą poeta spędzał ostatnio wiele czasu. Östmadowi wydawało się oczywiście, że nikt tego nie dostrzega, ale Blamad wiedział o tym wszystkim od Slavomirusa, który był w niezłej zażyłości z trzebieńcem Ouranosem – przewodnikiem morskiego władcy bez ziemi. Banita z Wagadou wiedział też, że dziewczyna mieszka ze starą matką. Nie trzeba było słuchać plotek sąsiadów, by nabrać podejrzeń, iż musi być bękartem jakiegoś bogacza, który łożył na jej utrzymanie. Dziwne było tylko to, że tajemniczy ojciec nie wydał jej jeszcze za mąż.

Dom Zoe był skromny w porównaniu z tutejszymi oikosami, ale z pewnością nie należał do biednych. Nie był wielki, ale murowany i zwieńczony jakże popularnym w mieście czerwonym dachem. Ali wszedł bez pukania. Na dole nikogo nie zastał, więc schodami wszedł na piętro i zajrzał do izby sypialnianej.

Dolna szczęka opadła mu jak po cięciu topora. Bardziej spodziewałby się zobaczyć imama ściskającego się z kristiańskim kapłanem lub słonia przechadzającego się z grzywiastym kotem po sawannie, niż przyłapać

Ainara w tak dziwnym położeniu. Zachciało mu się śmiać, ale powstrzymał się, by nie przeszkadzać kochankom.

Skald leżał rozciągnięty na łożu i uśmiechał się przez sen jak niemowlę na widok cycka, natomiast dziewczyna klęczała u wezłowia łoża, trzymała pieśniarza za rękę, głaskała go po głowie i głośno się modliła. Jakby tych cudowności było mało, wszędzie na ścianach wisały krzyże oraz malunki na drewnie, które błyszczały złotą farbą i z pewnością przedstawiały kristiańskich hagiośw.

Zoe była odwrócona tyłem do berserka i tak pochłonięta modłami, że w ogóle go nie zauważyła. Blamad stał więc chwilę, słuchając grikklandzkiej mowy, aż w końcu się znudził i rzekł swoje ulubione słowo w religijnych obrzędach miklagardczyków:

– Amen.

Dziewczyna obróciła się, ale nie wystraszyła. Uśmiechnęła się, a był to grymas szczery i, jak wydało się Alemu, zalotny. Była piękna, czarnowłosa i choć zupełnie biała, jednak w jakiś sposób podobna do jego żony, którą wiele lat temu podobno sam zabił w szale za małżeńską zdradę.

– Czego tu szukasz? – Przebudzony hałasem Skald usiadł na łóżku i rzucił bratu krwi gniewne spojrzenie.

– Tylko patrzę. Miło widzieć, że w końcu znalazłeś troskliwą kobietę, która się za ciebie modli. Kto wie, może bramy kristiańskiego Raju jeszcze nie są dla ciebie zamknięte?

Hag przeniósł wściekłe spojrzenie na kochanicę.

– Mówiłem ci, byś przestała z tymi religijnymi bredniami.

– Ależ Konstancjuszku! Przecież zostałeś ochrzczony, a modlitwa jest obowiązkiem każdego wyznawcy Kristosa.

– Może i nie jestem gorliwym blotmadem, ale też nie zaprzańcem, który wyrzeknie się Göllnira. Skończ z tym albo spalę ci te wszystkie obrazy.

Czarne sarnie oczy Zoe zaszklily się łzami. Pociągnęła nosem.

– Możesz zrobić krzywdę mnie, ale nie moim ikonom. Drzemie w nich boża moc i łaska naszego Zbawiciela. Jeśli nie będą mnie strzegły, znowu

nawiedzi mnie Kallirroo.

– Liczę na to.

– Jesteś okropny! – wrzasnęła i wybuchnęła płaczem.

Składacz strof przez chwilę uśmiechał się przebiegle, ale w końcu przytulił dziewczynę, pogłaskał ją po głowie i łagodnie oznajmił:

– Już dobrze, dobrze. Przedstawienia hagiośów mogą sobie tu wisieć, tylko nie próbuj mnie już więcej nawracać.

Czarny Berserk oglądał z niedowierzaniem przedstawienie, które naiwnością i ckliwością mogło konkurować z popisami aktorów na Uczcie Minotaura. Nawet biała sowa, która zwyczajowo usiadła na głowie Skalda, nie próbowała wydziobać mu oczu, tylko ze zdziwienia kręciła łbem.

Ali chrząknął.

– Nie chciałbym przeszkadzać, ale konung Vaeringów musi zająć się pewną niecierpiącą zwłoki sprawą.

Pieśniarz odsunął dziewczynę i przybrał minę, jakby Blamad przyłapał go na czymś wstydlwym.

– Zaletą bycia konugiem jest to, że on niczego nie musi. A jeśli już coś robi, to z własnej chęci, a nie cudzego musu.

– Gdzie nasze dobre obyczaje? – Zoe wstała, otarła łzy i ręką wygładziła suknię. – Może i nie jesteśmy w pałacu, ale u mnie ceremoniał też jest ważny. Witaj w moim skromnym domostwie, czarny przyjacielu Kon... to znaczy Ainara. – Gospodyni poprawiła się, widząc karcące spojrzenie kowala słów. – Zamoczysz może spierzchnięte usta w winie, a zmęczonym kulasom dasz odpocząć przy stole? Gospodzina Maryja uczy przecież, iż podróźnych należy podejmować z wielką dbałością, bo nigdy nie wiadomo, czy do wierzei nie puka sam Zbawiciel szukający miejsca, by się narodzić.

– Ta czarna masa z pewnością nikogo nie zbawi, choć już wielu zgubiła. Przez niego nawet śnieg zgubił drogę z nieba do ziemi, bo uznał pewnie, że Grikkland to Blaland, a na Czarnym Łądzie padać mu nie przystoi. Zamilcz więc, kobieto, i daj mu powiedzieć, z czym przyszedł, bo gotów tu sterczeć do wieczora.

Ali uśmiechnął się, słysząc, że jego stary przyjaciel znów jest sobą. Wąż odwróciłby bieg rzeki Niger, a góry stanęłyby wierzchołkiem ku ziemi, gdyby poeta przestał być bezczelnym, denerwującym łotrem.

– Jest jeszcze jedna osoba, którą gotów jestem zgubić. Maksyma, młodszego woźnicę z błękitnego demu. Twojego truciciela. Złapałem go ze Slavomirusem i przychodzę po ciebie, byś go sam podpytał. Tak jak prosiłeś. – Wojownik położył nacisk na „prosiłeś” z czystej złośliwości. To słowo bowiem nigdy nie przeszłoby wężowemu językowi przez gardło.

– Czemu od razu nie powiedziałaś? Idziemy!

Skald, dotychczas odziany w samą koszulę, nałożył niebieskie spodnie, wciągnął przez głowę czerwony kyrtill, przepasał się i wzał skórzane trzewiki. Następnie nachylił się w stronę Zoe, jakby chciał ją pocałować w czoło na pożegnanie, ale widząc podwójną piłę w uśmiechniętych ustach Alego, zrezygnował i tylko klepnął kochanicę w tyłek.

Zeszli na dół i opuścili dom. Wcześniej ulice były wyludnione, gdyż większość mieszkańców przebywała w świątyniach, gdzie odprawiano *orthros*, czyli – jak wyjaśnił Alemu Slavomirus – rodzaj porannych świątecznych modłów. Teraz tłumy wyległy z kościołów, by uczestniczyć w procesji lub tylko ją oglądać. Idąc przez miasto, Blamad ze Skaldem szybko się zorientowali, że pochód wyruszył z Hagia Sophia i wędrował przez całe Basilis Polis, nie bez udziału właściciela tego polis. Samego autokratora ani nikogo z jego rodziny dostrzec im się jednak nie udało, lecz wielu widzów twierdziło, że Konstantyn był widziany, choć spierano się co do szczegółów jego bogato zdobionego stroju. Większość ludzi mogła co najwyżej podziwiać zgromadzenie dworzan i strażników, którzy szczerze otaczali przedstawicieli panującej rodziny.

– Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że się zakochałeś – zaczął Ali, gdy w końcu przepchnęli się przez rozmodlony tłum. Jakaś poszkodowana staruszka krzyknęła za nimi, iż nie szanują siwej głowy.

– Zoe? Ależ kochałem ją wielokrotnie i na każdy możliwy sposób. Ale co ty możesz wiedzieć o kobietach? Nie panujesz nad gniewem w bitwie, to pewnie i w łożu za szybko się gotujesz.

Blamad wiedział więcej, niż pieśniarzowi się wydawało, kobiety zaś, również te o mleczej skórze, często chwaliły sobie tak przystojny wygląd czarnego wojownika, jak i gibkość jego ciała. Nie zamierzał jednak wadzić się z Ainarem na przechwałki.

– Och, nie udawaj przede mną. Skaczesz koło niej jak mysz dookoła sera. To ona popędza wasze bydło.

– Nie bawią mnie te twoje powiedzonka z Blalandu. Ale z dobroci, z której zbudowane jest moje serce, zdradzę ci, że czasem dobrze jest zadbać o kobietę, obdarzyć ją łagodnością i troską. Wtedy rośnie w niej duch łożkowy.

– Rozumiem. Skoro to nie miłość, mogę ją odwiedzić, kiedy już ci się znudzi?

– Trzymaj się od niej z daleka!

Grikkmad w zielonym płaszczu odwrócił się do nich i pokazał im palcem swoje zamknięte usta. Berserk odebrał mu odwagę szerokim uśmiechem. Jego rozbawienie było szczere, gdyż niezwykle bawił go widok rozłoszczonego poety. Teraz wojownik z Wagadou był pewny, iż jego brat krwi tylko udaje bezczelność i obojętność wobec Zoe, a w rzeczywistości darzy uczuciem tę pobożną białogłową. Czarnoskóry olbrzym postanowił na razie nie drążyć tematu, choć obiecał sobie, że przy pomocy Slavomirusa dowie się czegoś więcej o Zoe.

Unikali największego tłumu, idąc wąskimi i mniej uczęszczanymi uliczkami, ale że pochód podążał w tę samą stronę co oni, mogli mu się przyglądać. Procesja była obstawiona przez pałacowe gwardie Ekskubitów i Scholów, które oprócz pilnowania rodziny Porfirogenety miały za zadanie wyznaczać trasę uroczystego marszu. Ta była zawiła, więc wędrujący nieustannie zatrzymywali się przy kolejnych kościołach, by uświęcić dzień następnymi pieśniami oraz składać pokłony autokratorowi i jego bliskim, których jednak nikt nie dostrzegał za kordonem żołnierzy i pałacowych strojnisiów. Wielu rozmodlonych kristmadów niosło w wyciągniętych rękach ikony, a kilku – tych otoczonych wianuszkiem zbrojnych – złote, srebrne i wysadzone klejnotami skrzynki.

– Relikwiarze – wyjaśnił Ainar ze świecącymi się z chciwości oczami, choć berserk dobrze wiedział, czym są te przedmioty. – Widziałem podobne na Wyspie Irów. Dziwny zwyczaj, by szczątki świętych mężów obnosić w złotych skrzyniach. My na Północy palimy zwłoki drengów lub przynajmniej zostawiamy je, aby zgniły głęboko w ziemi, a duch mógł łatwiej pozbyć się ciała i dotrzeć w zaświaty. Ale tobie musi się tu podobać. Czujesz się pewnie jak na ucztach i zrobiłeś się już głodny na widok tych smakołyków.

Żart spodobał się nawet hamie, która przestała krążyć nad głową Skalda, tylko przysiadła na jednym z relikwiarzy i zaczęła go opukiwać.

– Sam wiesz, że rozsmakowuję się tylko we władcach. Pieczonego kagana już próbowałem, kolejny będzie chyba wędzony konung Vaeringów.

Biała sowa przestała się wygłupiać i natychmiast wróciła do pieśniarza, by widmowymi pazurami orać mu plecy, odginać żebra i wyciągać płuca na zewnątrz.

– Czarne żarty się ciebie trzymają. Lepiej ostrz zęby na mojego zastępcę.

– Diarfa? Myślałem, że to twój nowy przyjaciel. Pasujecie do siebie.

– Jak miecz do tarczy. To zdrajca, okrutnik i wszetecznik. Nie słyszałeś?

Ali nie mógł zaprzeczyć. Wszyscy Vaeringowie mówili, jakoby Diarf otworzył się na rozkosze trzebieńców, choć nikt nie odważył się tego powiedzieć przy Nawlekaczu. Blamad słyszał też niejednokrotnie, jak Ainar ze śmiechem na ustach ogłaszał swoim ludziom, że zdzieli w pysk każdego, kto odważy się językiem obrabiać tyłek jego zastępcy.

– Wciąż mi nie wyjaśniłeś, dlaczego przekazałeś dowództwo nad oddziałem mającym walczyć w Hipodromie tej gnidzie.

– Bo twój przyjaciel Fokas prosił mnie o najlepszych ludzi, postanowiłem więc dać Diarfowi okazję, by w końcu wykazał się męstwem. Jestem przecież mądrym i wyrozumiałym konungiem.

– A nie wyznaczyłeś go do walki po to, by uwolnić się od jego ciągłego towarzystwa?

Berserk od początku czuł, że obu Vaeringów łączy jakaś tajemnica,

o której nie zechcieli mu wspomnieć. Musiał być przecież jakiś powód, iż niegdysiejsi wrogowie zawiązali sojusz i nie odstępowali się na krok. Nawlekacz przestał się włóczyć za Östmadem dopiero niedawno, co zbiegło się z jego przydzieleniem do walk w Hipodromie i opowieściami o rzekomej niemęskiej hańbie najemnika.

– Nie bez powodu zawiązałem z tobą braterstwo krwi. – Pieśniarz uniósł brew i postukał się palcem po głowie. – Zaczynasz myśleć jak ja.

– Są łatwiejsze i skuteczniejsze sposoby pozbywania się niechcianego towarzystwa. Nie trzeba od razu z wroga robić bogatyra areny.

– To mój sojusznik. Na razie musi tak pozostać.

– Jak możesz mu ufać? Finlog wszystko mi opowiedział. Nawlekacz przybył tu, zwabiony nagrodą za twoją głowę. Nawet jeśli nie on stał za trucicielem, wbije ci nóż w plecy, gdy tylko będzie miał okazję. I jeszcze pogłoski, które docierają do Byzantionu. Mówi się, że jacyś Vaeringowie przeszli na stronę Serklandczyków. Jesteś pewny, że nie o niego chodzi?

– Słuchaj. Mnie też nie podoba się ten wszeteczny syn kłaczy. Ale on chce się tylko wzbogacić, a pod sobą ma dobrych, bitnych ludzi. Jest cennym sojusznikiem. A poza tym mam swoje powody.

– Jakie?

– Swoje.

Tym razem złość przyszła nagle. Ali wrzasnął i pchnął na ścianę pobliskiego domu młodzieńca, który spieszył się na procesję. Chłopak zderzył się z murem i padł nieprzytomny na bruk. Biała sowa przysiadła przy jego głowie i całkiem ludzkim jęzorem zaczęła zlizywać krew ciekącą ze skroni. Zsyłana przez Żelaznobokiego Odyńca aesma już dawno nie władała Blamadem i teraz tylko czekała na uwolnienie. Świat zaczął przybierać czerwoną barwę. Czarny Berserk doskoczył do pieśniarza, chwycił go za kyrtil i uniósł.

– Powiniennem cię zabić! – zawył konungowi do ucha.

Vaering uśmiechnął się wyzywająco, jakby tylko na to czekał.

– Nadstawiam za ciebie karku – berserk krzyczał dalej – tropię

człowieka od jądów, a ty drwisz ze mnie albo zbywasz milczeniem! Nawet nie wiesz, jak wiele zawdzięczasz mojemu opanowaniu!

Wojownik z Wagadou obnażył zaostrome zęby i ugryzł przyjaciela w szyję. Rozrywał żyły, przegryzał grdykę, przeżuwał mięso, a biała sowa pohukiwała w szaleńczej radości i wydziobywała oczy kowala słów.

Ali potrząsnął głową, pozbywając się majaków. Nadal trzymał kłamliwego konunga, lecz jeszcze nienadgryzionego.

– Moim powodem jest córka.

– Czyja córka? Diarfa? – Czarny Achilles, sam nie wiedząc kiedy, zetknął się czołem z bratem krwi i krzyczał mu prosto w twarz.

– Moja.

Berserk poczuł, jakby ktoś przywalił mu maczugą w tył głowy, a szął został z niej wypchnięty przez szpary w spiłowanych zębach. Oszołomiony puścił pieśniarza.

– Właściwie nie powinno mnie dziwić, że masz dzieci, bo w końcu nieustannie próbujesz je robić. Zdumiewa mnie jednak to, że do któregoś się przyznajesz.

– To długa historia.

– Znów chcesz mnie zdenerwować?

– Po prostu mam córkę, a Diarf ją porwał jako zabezpieczenie naszego sojuszu.

– Brzmi jak jedna z pieśni Północy.

– Żaden skald by tego nie wymyślił, ale norny to kiepskie pieśniarki i jeszcze gorsze tkaczki.

– Życie jest jak spacer nocą po stajni. Zawsze w coś wdepniesz. Powiedz mi coś więcej o tym twoim dziecku.

– Wiesz tyle, ile musisz. Nie jesteś mi babką, tylko czarnym postrachem na nieprzyjaciół. I zapamiętaj sobie, że jeśli jeszcze raz podniesiesz rękę na swojego konunga, wbiję ci kozik do rzeźbienia pod pachę. Myślisz, że mnie na to nie stać?

Ciemnoskóry olbrzym wiedział, że tak. Właściwie dziwił się, że poeta jeszcze nie próbował skrobnać go nożem po żebrach, a zamiast tego zdradził mu ze swojej przeszłości rzecz ważną, a nie przechwałkę na temat własnego męstwa i umiejętności poetyckich.

– Dobra. Chodźmy, zanim ten Grikkmad zawoła straż.

Ali wskazał na rzuconego o ścianę młodzieńca, który właśnie się ocknął i obmacywał głowę. Biała sowa była zawiedziona, ale Blamad cieszył się, że w szale nie zabił kolejnego człowieka.

Poszli okrężną drogą, by ominąć procesję. W milczeniu dotarli do cysterny Czterdziestu Męczenników mieszczącej się nieopodal kościoła pod tym samym wezwaniem oraz obok targu niewolników, który w okresie świątecznym był zamknięty. W przeciwieństwie do węzowego języka, który pobyt w mieście marnował na kobiety i wino, Czarny Achilles zaciekał się systemem rozprowadzania wody w mieście, więc dowiedział się paru rzeczy na ten temat od Slavomirusa. Wodę z odległych miejsc sprowadzały do polis kamienne akwedukty. Źródłanka trafiała do *castella aquae* i do nimfeów, czyli miejsc zbiorczych, które często miały kształt ogromnych, kamiennych, zdobionych rzeźbami wodospadów, skąd woda była dostarczana do całego miasta. Mimo tak doskonale działającego systemu, na wypadek suszy przezorni Grikkmadowie gromadzili wodę w cysternach, które mogły być otwartymi sadzawkami lub podziemnymi zbiornikami. W Miklagardzie było ich ponad sto, choć nikt nie podałyby Blamadowi dokładnej liczby, ponieważ część z nich była ukryta i stanowiła własność poszczególnych rodów.

Przy wejściu czekał uśmiechnięty i pachnący piżmem oraz olejkiem różanym Slavomirus, który na ich widok zgiął się wpół.

– Przez moje misiaczki opuściłem wizytę w kościele. Ale nic to. Jestem po to, by służyć.

– Co on tu robi? – Ainar uniósł prawą brew, a lewe oko zmrużył, gniewnie spoglądając na berserka. – Z wołem się na łby pozamieniałeś? Przecież ten trzebieniec na pewno donosi do pałacu. Trzeba było go zgubić, jak ja swojego.

– Spokojnie. To człowiek Fokasa, a Nikefor mi sprzyja. Skoro nie przywitała nas Schola, domestyk zezwala nam działać. Poza tym bez Slavomirusa w ogóle nie pojmałbym truciciela. Rzezaniec mi pomagał, kiedy ty sobie żeglowałeś i bawiłeś się w konunga.

Kowal słów zgniótł spojrzeniem eunucha, wykrzywił się i w końcu rzucił:

– Dobra. Wchodzimy.

Od zewnątrz cysterna była niskim, jak na Miasto, budynkiem pokrytym potrójną kopułą, która przypominała kształtem koniczynę. Do środka prowadziły duże wierzeje z brązu. Berserk odryglował je i uchylił, wpuszczając najpierw władcę Północy, potem trzebieńca, a na końcu siebie.

Wojownik z Wagadou po raz kolejny zachwyił się urokiem tego miejsca, dobrze oświetlonego przez rząd znajdujących się na samej górze okien, dzięki którym wewnątrz było przewiewne, a woda świeża. Zbiornik był ogromny, o wiele większy, niż wskazywałyby na to budynek. Ze znajdującej się kilkadziesiąt łokci pod ziemią sadzawki wyrastało osiem rzędów wysokich na trzech chłopa kolumn, które były ze sobą połączone łukami i podtrzymywały kamienne sklepienie. W nim dało się zauważyć otwory, przez które wpadało światło, więc Ali domyślił się, że tędy wpuszczano deszczówkę, by uzupełniać zapasy wody.

– Jedno trzeba przyznać: ci karłowaci miłośnicy oliwek potrafią budować. – Skald podzielił się z nimi swoją mądrością, po czym ruszył w dół schodów.

Do poziomu wody prowadziły dwadzieścia cztery kamienne stopnie. Na dole, wzdłuż części ścian, zbudowano kamienne chodniki, a między niektórymi kolumnami znajdowały się drewniane trapy, z których można było łowić pływające w zbiorniku ryby. Teraz Ali zajął się przewodzeniem i poprowadził ich do końca jednego z podestów.

– No i gdzie on jest? Zjadłeś go? – Poeta jak zwykle nie mógł sobie odmówić złośliwości, ale przyjaciel mu ją darował, ciesząc się myślą, że będzie mógł zaskoczyć brata krwi.

Blamad uklęknął, sięgnął ręką pod deski, wyciągnął zawieszony na linie worek i rzucił go do stóp pieśniarza. Przerośnięta sakwa poruszyła się i zajęczała.

Skald, jak każdy Vaering, umiał docenić zmyślną mękę. Uśmiechnął się przebiegle, unosząc tylko lewy kącik ust, po czym wyciągnął zawieszony na szyi kozik i przeciął powróż zawiązujący worek. W środku znalazł młodzieńca z rękami związanymi pod kolanami, skulonego niczym żrebak w brzuchu kłaczy. Poczuli zapach moczu i odchodów.

– Po raz drugi chce mnie zabić. – Ainar przyłożył sobie dłoń pod nos. – Tym razem swoim smrodem.

– Nie godzi się tak postępować w dzień narodzin Kristosa. – W głowie rzezańca można było usłyszeć zarówno strach, jak i obrzydzenie. – Wszyscy pójdziemy za to do piekła.

– I po co wzięłeś tego wszetecznika? – Saekonung nawet nie starał się ukryć zadowolenia, że może wytknąć berserkowi błąd. – Męskości nie ma, to i męskich spraw nie pojmuje.

– Przestań kpić, bo nasz Maksym przestanie się bać.

– Dobra. Zaczynj go w końcu wypytywać, bo nie mam zamiaru spędzić tu całego przedpołudnia.

Blamad wyciągnął więźniowi knebel i zapytał, płynnie przechodząc na mowę Romejów:

– Jak spałeś?

– Jes-jes-jesteś diabłem, czarny po-po-potworze. – Chłopak drżał z zimna, bo Ali zostawił go częściowo zanurzonego w wodzie.

– No, no. Tylko nie zapominaj o dobrym wychowaniu. Chyba że chcesz spędzić tu kolejną noc.

– Nie... nie... panie.

– No widzisz. Nie było to wcale trudne. A wczoraj mówiłeś mi takie brzydkie rzeczy. Że doniesiesz na mnie do pałacu, że naślesz na mnie pałkarzy Błękitnych, że zgwałcisz moją matkę. A ponad wszystko zarzekałeś się, że nic nie powiesz takiemu zniedołężniałemu miłośnikowi

owiec. Zmieniłeś może zdanie?

– Ta... tak... tak, panie. W-wszy-wszystko powiem.

– Wspaniale. To owiń się tym, bo mamy do pogadania, a jeśli będziesz tak dygotał, za długo to potrwa.

Czarny Achilles dał znak Slavomirusowi, a ten narzucił na ramiona więźnia przyniesiony przez siebie koc. Pomocnik woźnicy się rozplakał. Alego wcale to nie zdziwiło, bo nie pierwszy raz widział człowieka załamującego się nie po największej męce, ale po okazaniu mu dobroci. Nie był dumny, że po raz kolejny skorzystał z tej wiedzy. Niekiedy, by dostać się do prawdy ukrytej w wykradzionych bogom przez lisa Jurugu jajach, należało się przebić przez twardą skorupę kłamstw.

– Mężniejsze podlotki mamy na Północy. – Östmad zadrwił w swojej mowie, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Wytatuowany wojownik odczekał chwilę, dając czas młodszemu woźnicy, by trochę się ogrzał i przestał mazać.

– Jeszcze możesz z tego wyjść cało. Powiedz nam tylko, kto dał ci truciznę.

– Jaką truciznę?

– Oj, nieładnie tak odwdzięczać się za okazaną dobroć. Truciznę znajdującą się w dzbanie, który ponad trzy miesiące temu zaniósłeś do pandokeionu „Słodkie Winogrona”.

– „Słodkie Winogrona”? Ach tak. Przypominam sobie. Chodzi o ten dzban z fouską? Nie wiedziałem, że napój był zatruty. Ktoś zginął?

– Jeszcze nie. Ale niebawem może. – Czarny Berserk wskazał więźnia palcem.

– Przysięgam na Krista, że nic nie wiem o żadnym jady! Chociaż... Rzeczywiście, jak o tym dłużej pomyślę, coś mi się obiło o uszy, że ktoś się tam czymś zatrzał. Ale na pewno nie tym trunkiem. On pochodził z pałacowej piwnicy!

– No widzisz. Wreszcie do czegoś dochodzimy. A skąd ty, biedny pomocniku woźnicy, miałeś taki znakomity napitek?

– Zatem o to chodzi? Jesteście z pałacu? Przysięgam, że nic nie ukradłem! On sam mi to przyniósł!

– Ja słyszałem co innego. Że to ty stoisz za kradzieżami wina dla błękitnego demu.

– To nieprawda, panie! Czasem kupuję wino z polecenia Sofroniusza, a niekiedy ludzie z winnicy basileusa Porfirogenety sami przynoszą dzbany w nagrodę za zwycięstwo woźnicy w wyścigach.

– Zatem kto przyniósł ci ten dzban fouski?

– Nie znam jego imienia.

– Ale możesz go chyba opisać? Nie był to czasem członek Hetairii o śniadej skórze i z blizną na czole?

– Nie, panie. Nie znam nikogo takiego. Ten człowiek był gładko ogolony i z pewnością nie miał ramion żołnierza. Właściwie wyglądałby całkiem zwyczajnie, gdyby nie jeden szczegół.

Znów zadygotał, wykończony przemową. Zdawało się, jakby zaraz miał zemdleć.

– No mówże w końcu, bo znów wylądujesz w wodzie.

– Ręka, która wręczyła mi ten dzban, nie miała trzech palców.

Berserk poczuł, jakby ktoś wbijał mu pod żebra zimną stal. Znał tylko jednego człowieka, który miał dwa palce u jednej z dłoni. Finloga Barda, którego uważał za przyjaciela. Pomyślał, że to nie może być prawda, ale pieśniarz ubiegł go w wypowiedzeniu na głos tych podejrzeń.

Ainar chwycił więźnia pod pachy, podniósł go sobie na wysokość oczu i krzyknął:

– Kłamiesz!

– Na Krista, przysięgam, że nie. Mówił, że tym znakomitym napojem z pałacowej piwnicy chce zrobić niespodziankę przyjacielowi z dawnych lat. Tak jak prosił, zostawiłem dzban właścicielowi „Słodkich Winogron” z wyraźnym nakazem, że fouska przeznaczona jest tylko dla przywódcy bawiących tu kupców.

Przez dłuższą chwilę wszyscy stali w milczeniu. Pierwszy odezwał się

poeta, jak zawsze kalecząc mowę Grikkmadów:

– Zatem ty przyznawać się do winy?

– Winy?

– Ty przynieść trunek, którym mnie otruć. W moich stronach tacy nidingowie zasługiwać tylko na jedno.

Nim Ali zdążył zaprotestować, wspomnieć, że Maksyma trzeba dostarczyć Nikeforowi w celu ostatecznego wyjaśnienia sprawy zahaczającej o spisek dworski, Skald poderznął trucicielowi gardło swoim kozikiem do rzeźbienia, a ciało wrzucił do kamiennej sadzawki.

Rybki rozpląły się na boki, na tafli pojawiły się odchodzące od ciała kręgi, a z szyi dławiącego się pomocnika woźnicy wyciekła czerwień, rozchodząc się w krystalicznie czystej wodzie niczym połączone purpurowego jedwabiu rzucone na lód. Ktokolwiek popijał wodę z tej cysterny, w dzień narodzin Krista miał posmakować krwi.

20

Georgios zwany Gyrgirem modlił się. Zwykle robił to w swoim namiocie, gdzie zgromadził pokaźną liczbę świętych ikon, ale w *dies Iovis*, nigdy poświęconemu pogańskiemu Jowiszowi, wybrał się do Emporionu, by w murach kościoła podziękować Bogu za łaski i prosić o więcej. Świątynia nosiła imię hagiosa Nikolaosa, opiekuna okolicznych wód. Warto się było do niego modlić w okresie zimowych sztormów i planowanej wojny z kussarami.

Topoteretes klęczał na zimnym marmurze i dziękował hagosowi świątyni za zwycięską bitwę u wybrzeży Thery. W jej wyniku Vaeringowie nabrali szacunku do grikklandzkiej floty i odrobinę niżej nosili swoje głowy. Te wciąż jednak były uniesione zbyt wysoko, gdyż dumni i pewni siebie najemnicy okrzyknęli zwycięzcą bitwy Magnolfa. Na całej wyspie rozgłaszali też pogłoskę, że Krwawa Siekiera uratował wszystkich

Therańczyków przed ograbieniem i pójściem w niewolę. Wydawało się to niepojęte, ale niektórzy miejscowi uwierzyli w przechwałki i nieco życzliwiej patrzyli na obcych, przymykając nawet oczy na szybko rosnącą liczbę brzuchatych panien. Gyrgir z trudem godził się z tą jawną nieprawdą, bo przecież niemal w pojedynkę po mistrzowsku rozegrał całą bitwę, choć żaden sternik najemników nie chciał się przyznać, że to od trzebienia przyjmował rozkazy. W ogólnym rozrachunku opinia Vaeringów, a nawet tutejszych ludzi, nie miała jednak większego znaczenia, bo przecież sam topoteretes pisał sprawozdania dla basileusa, zadbał więc, by jego wkład w wygranie bitwy został w oficjalnym piśmie uczciwie podkreślony.

Rosnąca pozycja Magnolfa miała jednak znaczenie dla kogoś innego. Dla Ainara Skalda. Namiestnik potarł złożone do modlitwy ręce na myśl o nieuchronnym konflikcie między dwoma pysznymi Vaeringami. Pod nieobecność konunga Magnolf zyskał wielkie poważanie wśród najemników i obecnie właśnie jego traktowali jak swojego władcę. Skald zrobił błąd, pozostawiając na wyspie tak sprawnego i przebiegłego dowódcę. Kiedy wróci na Therę, będzie musiał ponieść konsekwencje tej nieprzemyślanej decyzji. Gyrgir nie postawiłby złamanej nomismy na to, kto wyjdzie zwycięski z próby sił między tymi wojownikami.

Nawykle do poduszek kolana zaczęły boleć. Przeżegnał się i wstał, dając znać Magnolfowi, że pora zakończyć modły. Przyprowadził ze sobą do świątyni Krwawą Siekierę, choć pobożność wodza budziła pewne wątpliwości. Do domu bożego nie powinno się przecież przychodzić z dzbanem wina, a podczas modlitwy opierać się o ścianę i drzemać. Najemnik zarzekał się jednak, że był chrzczony, i to zanim jeszcze przybył do Basilis Polis. Podobno na nową religię nawrócili go władcy Gardariki. Znając kłamliwość ludów Północy, trzebieniec mógłby podważyć prawdziwość tej historyjki, tylko dlaczego miałby to robić? Wolał uznać, że prostych Gotów z Północy stać tylko na taki rodzaj pobożności.

Wyszli z kościoła. Gyrgir podziękował mnichowi opiekującemu się świątynią za wpuszczenie i wcisnął mu do ręki złotą nomismę. Magnolf przeciągnął się leniwie i rzucił między skały pusty już dzban. Razem ruszyli

przez kamienne miasto.

– Powiesz mi w końcu, dlaczego mnie tu ściągnąłeś?

– Chciałem zobaczyć, jak się modlisz – odpowiedział po vaerińsku rzezaniec. Krwawa Siekiera, w odróżnieniu od Ainara, nie przejawiał żadnych chęci do nauki mowy swoich mocodawców. – Dużo mówi o człowieku sposób, w jaki rozmawia z Bogiem.

– I czego się o mnie dowiedziałeś?

– Że nie lubisz przed nikim klękać i przedkładasz wino nad wodę.

– I po to mnie tam od rana trzymałeś? Sam bym ci to powiedział.

– Skoro jesteś taki chętny do zwierzeń, to powiedz, co z hamramirami?

Najemnik spojrzał na niego niechętnie, bo dla żadnego z nich nie był to miły temat.

– Po staremu – odpowiedział ponuro.

– Czyli dalej nie masz nad nimi żadnej władzy?

– Po prostu niektórzy Vaeringowie potrzebują więcej swobody.

– Rozmawialiśmy już o tym i myślałem, że doszliśmy do porozumienia. Swawola hamramirów musi się skończyć. Do Świąt Narodzenia Krista było źle, a teraz jest jeszcze gorzej. Therańczycy boją się wychodzić z domów, wierząc, że kallikantzary lub sam diabeł chce ich zaciągnąć żywcem do piekła! I mają sporo racji. Ktoś nocami poluje na nich jak na zwierzynę łowną, podrzuca pod drzwi krwawe ochłapy ludzkiego mięsa, skrada się w ciemności, kradnie żywność i wodę. A jeszcze te dzikie wycia, ryki i syczenie.

Gyrgir szczerze okrył się płaszczem. Zapinana na lewym ramieniu niebieska chlamida zakrywała go od skórzanych sandałów aż po obwieszoną złotym łańcuchem szyję. Zima była na wyspie łagodna, mieszkańcy od dawna nie widzieli śniegu, a nocami nie pojawiały się nawet przymrozki. Rzezaniec lubił jednak ciepło, więc mocno doskwierał mu chłodny sztormowy wiatr od morza. Co innego Magnolf. Wielki niczym starożytny tytan najemnik odziany był w samą koszulę i spodnie. Podobnie nosili się pozostali Vaeringowie, którzy chwalili się, że u nich na Północy

w lecie bywa niedużo cieplej niż podczas zimy na Therze. Codziennie pływali też w morzu, śmiejąc się z tutejszych fal i słabych prądów. Gyrgir podejrzewał, że tak naprawdę szukali zatopionych skarbów, bo strwożeni o własny majątek miejscowi naopowiadali im głupot o bogatych statkach, które zatoneły u wybrzeży wyspy.

– Rybacy lubią gadać. Przyznaję, że hamramirzy są dziwni, ale bez przesady, by odpowiadali za te wszystkie strachy. Ale będzie, jak chciałeś. Wysłałem już do nich człowieka z poleceniem, że mają się stawić na jutrzejsze sądownictwo pod Kamieniem Prawa. Wysłuchamy skarg i podejmiemy decyzję, jak rozwiązać ten problem.

– Znakomicie. Cieszy mnie, że mądrość przyświeca twoim poczynaniom. Nim jednak zejdziemy do obozu, chciałbym ci jeszcze coś pokazać. Moi ludzie znaleźli rano coś niezwykłego.

Podeszli właśnie pod mieszczący się na skraju miasta dom, gdzie stało dwóch grikklandzkich żołnierzy. Mężczyźni pilnowali dużego kosza. Na znak dany przez Gyrgira otworzyli jego wieko.

– Zechcesz spojrzeć? – Topoteretes wskazał pojemnik.

Magnolf zechciał, a kiedy zajrzał do środka, splunął, zaklął i przewrócił kosz na ziemię. Na kamienie wypadła ludzka głowa z wyciągniętym językiem, który na końcu został rozdwojony nacięciem noża. Do głowy doczepiony był ogon, a może raczej tułów utworzony z powiązanych ze sobą par ludzkich rąk i nóg. By nie było wątpliwości, że ten ohydny twór miał przypominać węzowe ciało, gdzieniegdzie obwinięto go pierścieniami ze skóry żmii.

Eunuch podziękował świętemu prorokowi Eliasowi, że obdarzył go wytrwałością w porannym poszczeniu, albowiem znów zrobiło mu się niedobrze. Krwawa Siekiera nie bez przyczyny nosił swój przydomek, gdyż na jego twarzy dało się dostrzec złość, ale nie obrzydzenie.

– Czemu nie pokazałeś tego od razu?

– Chciałem, by modlitwa uspokoiła nas obu i święci obdarzyli nas mądrością, co uczynić w tej sprawie. No i nie pozwoliłem zanieść tego do naszego obozu w Arkadii w obawie o reakcje twoich ludzi. Wolałem, byś

najpierw sam to zobaczył i spróbował rozpoznać tego biedaka. Bo jego jasne włosy i niebieskie oczy niechybnie wskazują, że to jeden z twoich ludzi.

– Tak. Właśnie jego wysłałem do hamramirów. Ale tego już się domyśliłeś. Inaczej byś mnie tutaj nie ściągał i nie podpytywał o bestialskich wojowników.

Bystrość wodza Vaeringów ograniczała się zwykle do wymyślania sposobów na zdobycie złota i srebra, niekiedy jednak zdarzało mu się użyć głowy do czegoś pożyteczniejszego. Nawet Gyrgir musiał przyznać, że niepiśmienni barbarzyńcy z Północy potrafią być przebiegli i prędcy w myśleniu.

– Rzeczywiście przeszło mi przez myśl, że to może być twój posłaniec. Kilka dni temu sam wysłałem dwóch mandatorów do naszych kłopotliwych przyjaciół, ale żaden z nich nie wrócił. Sprawa jest więc chyba jasna. Hamramirzy nie słuchają ani moich, ani twoich poleceń i nie stawiają się na żaden sąd. Musimy ich ogłosić banitami.

Krwawa Siekiera spochmurniał. Zmarszczył czoło i wpatrzył się w uciętą głowę swojego rodaka, jakby czekał na jego radę. Z martwych oczu nieszczęśnika nie dało się jednak wyczytać nic ponad wyrzut wobec żyjących, iż nikt jeszcze nie pomścił jego śmierci

– To ludzie Skalda. Nie spodoba mu się, jeśli wyjmemy ich spod prawa.

– Zapewne. Ale czy zamiast tego wolisz stracić posłuch wśród swoich żołnierzy? Wkrótce wszyscy się przecież dowiedzą, że hamramirzy zabili twojego człowieka, a ty nie masz nad nimi żadnej władzy. A jak to u nas mawiają: „Nieposłuszeństwo nie znosi samotności”. Lepiej więc zająć się problemem, póki jeszcze dotyczy garstki twoich ludzi, gdyż zaraza krnąbrności lubi się szybko szerzyć.

Najemnik podrapał się po czarnej bródce i potarł wytatuowane na policzkach siekierki. W końcu wyjął miecz z pochwy, wymierzył jego zaokrąglony sztych w słońce i uważnie przyjrzał się ostrzu.

– O broń należy dbać, zwłaszcza gdy zimą leży beczynnie pod futrami. Niech zatem będzie po twojemu. Od dziś szaleni wojownicy są wilkami

w świętej ziemi i każdy może ich bezkarnie zabić. Moim ludziom przyda się odrobinę rozrywki, by nie pordzewieli od zimowej beczynności. Urządzimy sobie polowanie na vargi.

21

Muzyka była ogłuszająca. Dobywała się naprzemiennie spod trybun Błękitnych i Zielonych, gdzie ukryte były srebrne organy demów. Gwizdy piszczałek wydobywały się spod ziemi, odbijały echem od wszystkich trybun i wypełniały nieckę Hipodromu o kształcie podkowy. Zanim wybrzmiała ich pieśń, pojawiła się następna, choć tym razem jej źródłem nie był żaden instrument, ale gardła pięćdziesięciu tysięcy wiwatujących kibiców. Pięćdziesięciu tysięcy. Ainar pokręcił głową z niedowierzaniem, gdy trzebieniec podał mu tę orientacyjną liczbę, a pieśniarz po raz pierwszy w życiu zobaczył, ile to jest w ludziach. Cała Lodowa Wyspa liczyła najwyżej tylu zasiedleńców, a nawet koczownicy z Tattarariki nie potrafiliby wystawić równie wielkiej armii do boju. Wszyscy ci Grikkmadowie nie przyszli jednak na wojnę, ale na luperkalia, zawody wieńczące cały rok wyścigów w Hipodromie.

Skald miał nadzieję, że muzyka i krzyk zapowiadały nastanie czegoś ciekawego. Już od świtu sterczał w łoży gardskonunga, a jak do tej pory wysłuchał tylko dziesiątków pieśni na cześć wciąż nieobecnego autokratora i jego rodziny oraz wygłaszanych przez demowych krzykaczy przechwałek i zapowiedzi niezapomnianych wyścigów. Siedzący obok Slavomirus wyjaśnił mu, że ceremonie rozpoczęcia trwały od wczoraj. To wtedy autokrator przyznał *perator*, czyli zezwolenie na organizację zawodów, a wysokiej rangi pałacowy eunuch, *praepositus*, spotkał się z zarządem demów oraz kombinografami i razem ustalili *kombinan* – program zawodów. Już nie rzezaniec, ale boląca głowa przypomniały pieśniarzowi, że wczoraj wieczorem urządzono też ucztę w Wielkim Pałacu, w której udział wzięli przedstawiciele największych demów – zielonego

i błękitnego.

Mistrz miodowych mów już dawno nauczył się, że chorobę dnia następnego najlepiej zwalczać trunkiem dnia poprzedniego. Uniósł pusty już kielich, co wystarczyło, by podszedł do niego niewolnik i nalał wina. Bycie gościem gardskonunga Miklagardu i zasiadanie w jego łoży miało swoje dobre strony. Na razie był w niej jedynym mężczyzną, bo w pobliżu krzątali się sami eunuchowie, którzy czynili ostatnie przygotowania do przybycia najważniejszego gościa. Właściwie poety nie powinno tu być, gdyż jako konung Vaeringów powinien oczekiwać na basileusów w środku Kathismy, ale uparł się, że przed zawodami chce dokładnie obejrzeć Hipodrom.

Kathisma była w zasadzie kolejnym pałacem autokratora, którego przednia część została tak wbudowana w Hipodrom, by służyć za łożę władcy. Budynek składał się z głównego gmachu oraz dwóch skrzydeł, a łączył się z Wielkim Pałacem, by gardskonung nie musiał wychodzić z domu, gdy miał pokazać się ludowi podczas zawodów. Sama łoża znajdowała się w centrum wschodniej trybuny i miała dwa poziomy. Na dole mieścił się rozległy, podłużny taras, oddzielony od znajdujących się niżej miejsc kamienną balustradą i rzędem podtrzymujących sklepienie kolumn. Góra przeznaczona była dla tych, które chciały oglądać, ale nie mogły być oglądane, czyli dla żon władców i innych wysoko urodzonych kobiet. Mogły obserwować widowisko jedynie przez okna z przyciemnionymi szklami.

Poniżej łoży znajdowały się miejsca dla wojska. Cztery pałacowe gwardie już tam stały, pyszniąc się bogatymi zbrojami, tarczami i sztandarami. Po lewej stronie od Kathismy znajdowała się trybuna Błękitnych, a za nią Białych, natomiast miejsca po prawej stronie od łoży zajmowali kolejno Zieloni i Czerwoni. Wszystkie siedziska były wypełnione kibicami ubranymi w barwy swoich facji. Niższe miejsca, przeznaczone dla biedoty, nie miały zadaszenia. O to, by kibicom z wyżej położonych rzędów nie doskwierało słońce czy deszcz, dbał dach wsparty na dwóch rzędach masywnych kolumn.

Czerwony, zielony, niebieski i biały. Skaldowi przypomniła się Kallirroe Wszechstronna, która lubiła nosić suknie w tych właśnie kolorach. Barwę morza przywdziewała, gdy chciała przypomnieć Ainarowi o tęsknocie za Północą, kolorem liści okrywała się, gdy miała go odpoczynkiem i zapomnieniem. Wyglądała krwiście, gdy miała ochotę rozgrzać go jak żelazo w kuźni, upodabniała zaś swoją suknię do śniegu, gdy o coś prosiła i pragnęła go ułagodzić. Pieśniarz dobrze wiedział, że dziewczyna próbuje go omotać, bo przecież taka była natura każdej kobiety, która pierwiej o usidleniu męża myśli, a później o rodzeniu bachorów. Jego babka nie raz i nie dwa mawiała o dziewczynach: „Bo na wrzecionie kołowrotka serca ich stworzone, zwodniczość włożono im w pierś”. A mimo wszystko poeta nie potrafił się wyrzec tej królowej wśród pornasek, wcielenia bogini Gefny, kobiety na wskroś upadłej, choć nad wyraz religijnej. Kallirroe. To nawet nie było jej prawdziwe imię. Nazywała się Zoe i mieszkała ze starą jędzą, którą nazywała matką. Kim był jej ojciec, tego sama dokładnie nie wiedziała, ale zarzekła się, że zmarł kilka lat temu, pozostawiając ją oraz matkę bez środków do życia. Cóż miała wtedy zrobić? Ponieważ była piękna, a przy tym obyta w ceremoniale dworskim, została kochanką wpływowych pałacowych kogucików. Wkrótce usłyszała od nich opowieść o słynnej Kallirroe Wszechstronnej, której wszyscy pożąдали. Wpadła więc na pomysł, by przybrać jej imię, dzięki czemu potroiła swoje dochody. Gdy dotarła do niej wieść, że szuka jej również konung Vaeringów, nie mogła przepuścić okazji na dodatkowy zarobek. Po kilku tygodniach znajomości opowiedziała Ainarowi o sobie, choć niechętnie i tylko dlatego, by ulżyć zgryzocie pieśniarza. Miała bowiem zdumiewające umiejętności wpływania na nastrój mężczyzny – nie tylko strojem, ale i słowem, zapachem czy nawet muśnięciem dłoni. Ponadto morski konung wyczuwał w niej coś jeszcze. Zdawało mu się, że kobieta naprawdę go pokochała, co nie było przecież niczym dziwnym, bo świat pełen był kobiet, które marły z tęsknoty za jego objęciami. Zdumiewające było jednak to, że i poeta zaczynał darzyć ją uczuciem, o którym myślał, że dawno już w nim umarło. Martwił się też o nią, bo jej nastrój zmieniał się tak często jak pogoda

w miesiącach między zimą a latem. Kiedy była sobą, czyli Zoe, nosiła się na biało lub zielono i przez większość czasu modliła się, matkowała mu, tuliła go i kochała się z nim w ciszy. Gdy jednak kazała na siebie mówić Kallirroie i przywdziewała niebieskie lub czerwone szaty, rzeczywiście coś w nią wstępowało. Stawała się kłótniwa, lubieżna, podstępna i władcza. W takie dni należało się z nią spierać tylko w łóżu, bo w nim była nienasycona, szalona i głośna niczym sam Göllnir powołujący świat do życia. Poza siennikiem należało jej unikać niczym rannej niedźwiedzicy, bo skora była do kłótni oraz rozbijania dzbanów na łbie pieśniarza. Bywało i tak, że jej nastroje zmieniały się w ciągu jednego dnia, a nawet jednego nocnego spółkowania, co okazywało się nader przyjemne, choć i niebezpieczne dla wyposażenia domowego Zoe.

– Już czas, dostojny basileusie Vaeringów – oznajmił Slavomirus, wyrrywając samozwańczego władcę Północy z rozmyślań o kochance.

Skald niechętnie wstał i wycofał się do środka pałacu, do *triklínon tou kathísmatos*, gdzie już inni goście oczekiwali na autokratora. Rzezany opiekun wyjaśnił Ainarowi, że obaj basileusi Grikkmadów odbyli już długą i uroczystą procesję od osobistych komnat przez szereg pałaców, kościołów, schodów i tajnych przejść aż na drugie piętro Kathismy, skąd przez okna obserwowali przygotowania do zawodów, a następnie udali się do sali wypoczynkowej, gdzie *vestitores* nałożyli im na ramiona płaszcze, a *praepositus* założył im korony.

Nadejście władców zapowiedział rzezaniec w poślacanej chlamidzie. Wielkie spiżowe drzwi otwarły się i do sali wkroczyli Konstantyn Porfirogeneta oraz jego syn Roman, również Porfirogeneta. Kowal słów zapytał niegdyś Alego, co właściwie znaczył ten przydomek, więc berserk opowiedział mu o niedostępnej komnacie w Wielkim Pałacu, gdzie jedwabne tkaniny zakrywające ściany i wszelkie wyposażenie wnętrza było w kolorze purpury. To właśnie w tej sali na świat przychodziły dzieci autokratora, które rzeczywiście były porfirogenetami lub porfirogenetkami, czyli „zrodzonymi w purpurze”. Dla pieśniarza cała ta otoczka urodzinowa równie dobrze pasowała mężczyźnie jak sukienka, co więcej, tłumaczyła,

dlaczego tutejsi władcy są karłowaci i miękcy niczym masło, a urodzeni na Północy konugowie, którym śnieg był pierzyną, a mróz matczynym dotykiem, wyrastali na silnych i dumnych mężczyzn. A jednak teraz to władca z Noregu musiał się kłaniać strojnisiowi z Południa.

Proskynesis był obowiązkowy, choć jego wykonanie okazywało się różne. Trzebieniec zwany ostiariosem przedstawiał każdego gościa, a ten wykonywał ceremonialny gest poddańczy, który przybierał formę ukłonu o różnej głębokości, przyklęknięcia lub pocałunku w stopę, dłoń bądź pierś obu basileusów. Skald, który został zaprezentowany jako trzeci, korzyć się nie zamierzał, do całowania zaś byłby skory, gdyby chodziło o paluszki, rączki i piersi augusty, a i to tylko tej młodszej, bo starsza Helena była szpetna jak żona trolla. Ponieważ przed sobą miał jedynie podstarzałego Konstantyna i strojnieszego od fanfary młodego Romana, skłonił tylko głowę i pozdrowił władców uniesionym kielichem z winem. Gardskonung, który do tej pory przyjmował hołdy z miną niewzruszoną jak postacie z tutejszych posągów, lekko się uśmiechnął, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Ainar. Konung Vaeringów przypomniał sobie powiedzenie babki: „Pijak zawsze rozpozna pijaka”.

Hag, rzemieślnik sprawny w strof składaniu, miał dobrą pamięć, bo w końcu w głowie chował niezliczone pieśni i kenningi, ale do stadek słów nie zamierzał dokładać imion zgromadzonych w sali gości. Zwrócił więc uwagę tylko na trzy osoby: Bazylego Nothosa, który choć rzezany, miał w pałacu więcej do powiedzenia niż wielu mężczyzn pod bronią, oraz Nikefora Fokasa i Jana Tzimiskesa, którzy zajmowali wysokie stanowiska w armii, zatem z tej racji należało mieć z nimi dobre układy.

Po zabawie w „kto tu kim rządzi” wszyscy udali się do łoży. Najpierw basileusowie w towarzystwie mężczyzn bez brody, a za nimi reszta. Dla autokratora i jego syna przygotowano obite jedwabiem i wyściełane poduszkami trony, przy których stali uzbrojeni członkowie Hetairii. Na gości czekały stołki, leżanki lub kamienne ławy z drewnianymi siedziskami. Pieśniarzowi przydzielono miejsce nieopodal samego autokratora, a tuż obok Nikefora Fokasa, co zdaniem Slavomirusa stało się na specjalne

życzenie dowódcy Scholi.

Skald pozwoliłby straży uciąć rękę swojego zastępcy w zamian za ciszę i coś ciekawego do oglądania, ale złośliwe norny nie dały mu żadnej z tej rzeczy. Znów zagrały organy, a kiedy umilkły, wołacze błękitnego demu krzyknęli:

– W glorii niech wzrasta potęga boskiego imperatora!

Słowa te trzykrotnie powtórzyli, niczym najzdolniejsze fanfary, wszyscy z niebieskiej trybuny. Zieloni nie pozostali dłużni i ich krzykacze wrzasnęli:

– W glorii niech wzrasta Wybraniec Trójcy Świętej!

W razie gdyby ktoś nie dosłyszał, trybuna o barwie trawy trzykrotnie powtórzyła zawołanie.

Dalszym okrzykiem nie było końca, a towarzyszyły im pokłony przedstawicieli wszystkich czterech demów, wędrówki członków faksji dookoła toru i pokaz uczestników nadchodzących zawodów. Chwalono pobożność, wojowniczość i łaskawość władców, a także dobroć i wspaniałomyślność obu august. Ostrzegano, że „ten, kto nie kocha imperatorów, będzie zgubiony jak Judasz”, i życzone, by „w chwale wzrastała potęga ortodoksji”. Lud miał Konstantyna za ulubieńca Boga, za trzynastego wojownika boskiego oddziału, którego członkowie nazywani byli apostołami.

Wężowy język zdążył wychylić trzy kielichy wina, wcale się przy tym nie spiesząc, nim demowi parobkowie zaczęli przygotowywać arenę do właściwych zawodów. Ścigano się tu kwadrygami – dwukołowymi lekkimi wozami, które zaprzęgano w cztery konie. Saekonung nigdy wcześniej nie widział równie niepraktycznych pojazdów, ale musiał przyznać, że pasowały do tutejszego przepychu i grikklandzkiego umiłowania rzeczy pięknych, choć zbędnych.

Przed wyścigiem kwadrygi schowały się w kamiennych *carceres*, które mieściły się w północnej ścianie Hipodromu, tej najwęższej i płaskiej, z wieżyczkami wyrastającymi z jej krańców. Pomieszczenia przypominały kamienne łuki, a były zamykane na kratowane wierzeje z miedzi. Zaledwie cztery spośród dwunastu końskich poczekalni było zajętych, bo w gonitwie

każda fakcja mogła wystawić po jednym zaprzęgu.

– Wśród nas, Romejów, panuje zwyczaj, że urozmaicamy sobie wyścigi, czyniąc zakłady, kto zwycięży. – Nikefor Fokas siedział wyprostowany, jakby zamiast pleców miał tarczę. Nawet nie obrócił głowy, ale nie było wątpliwości, że zwracał się do Ainara, bo machnął dłonią na Slavomirusa, każąc mu tłumaczyć na mowę Północy.

Ainar zrozumiał od razu, ale w skupieniu poczekał, aż eunuch skończy mówić. Jako wytrawny gracz nie okazywał, jak bardzo ucieszyły go te słowa. Na walkach koni i psów, na zawodach strzelniczych, na wyścigach pływackich, biegowych i konnych wygrał więcej srebra, niż sam ważył.

– Doprawdy? Ja nie znać dobrze tutejszych obyczajów. A na czym polegać ten wyścig i zakład?

Nikefor Fokas obrócił głowę w kierunku pieśniarza, zapewne zdziwiony, że słyszy mowę Grikkmadów.

– Konung Vaeringów robi postępy. Dobrze. Jeszcze zrobimy z ciebie prawdziwego Romeja.

Musiałbym do tego skarlec, spaść brzuch oliwkami i zacząć ubierać się jak kobieta – pomyślał Östmad i powiedział:

– W naszym kraju ja uchodzić za wielkiego skalda, znaczy się pieśniarza. Lubię nowe słowa.

– Zatem zwać cię będę Orfeuszem. U nas też mamy znakomitych wędrownych pieśniarzy paflagońskich, którzy sprzedają swoje pieśni, ale nie słyszałem, by któryś z tych rapsodów miał królewskie pochodzenie.

– Na Północy władcą zostawać ten, kto dobrze rąbać mieczem i umieć gromadzić wokół siebie bitnych drengów.

– Bardzo mądrze. Ale mylisz się, że u nas wszystko otrzymuje się z racji urodzenia. Najznakomitsi autokratorzy Romejów wywodzili się spośród wojskowych. A wracając do wyścigów...

Poeta był mile zaskoczony, że Nikefor chciał mu cokolwiek tłumaczyć. Inni Grikkmadowie traktowali Skalda raczej jako ciekawostkę, misia na pokaz, którego można pooglądać, ale przecież nie rozmawiać z nim, bo co

do powiedzenia może mieć nieokrzesa bestia. Całe szczęście, że przynajmniej żony miklagardczyków były innego zdania.

– Widzisz ten szereg budynków, posągów i fontann, który przecina arenę? To spina. Wokół niej jeżdżą zaprzęgi, zakręcając przy tych dwóch słupach. Pierwszy, po naszej prawicy, zwany jest metą Błękitnych, a drugi, bliższy *sfendóne*, to meta Zielonych. Kwadrygi robią siedem okrążeń.

Hag, czyli biegły w rzemiośle, nie tylko ręce miał sprawne, ale i umysł. Wszystko to już wiedział, ale przy zakładach dobrze jest udawać głupka.

– Sfendon?

– Tak nazywamy tę zaokrągloną ścianę Hipodromu. Są tam najgorsze miejsca, dla biedoty, ale właśnie stamtąd najlepiej widać, gdy jakiś zaprzęg rozbije się na zakręcie przy mecie Zielonych.

Nikefor był naprawdę grzeczny, Ainar zaś nie potrafił dostrzec, czy kryła się za tym szczerłość, czy tylko udawanie. Fokas różnił się znacznie od innych Grikkmadów. Ubrany był najskromniej ze wszystkich mężczyzn w loży, gorzej nawet od połowy trzebieńców, choć strój ten i tak byłby przedmiotem zazdrości każdego władcy Noregu. Domestyk nosił prosty, błękitny skaramangion bez zdobień, a z szyi zwisał mu złoty krzyż na łańcuchu. Wódz Romejów wyglądał na silnego, choć nie był zbyt wysoki. Miał szeroką pierś i ramiona wyrobione od miecza, a do tego pewne siebie ruchy, tak że z daleka było widać, iż ten mężczyzna bardziej pasował do bitwy niż do pałaców. Tylko pachniał mało męsko – nie potem i winem, ale olejkiem różanym.

– Wszystko już rozumieć. O co się zakładać?

– Rozrzutność nie jest miła Kristosowi, który zaleca raczej jałmużnę, więc nie będziemy przesadzać z monetami. Nie jest też moim celem opróżnianie skrzyni ze skarbami Vaeringów, choć wiem, że *roga* została wam już wypłacona, a i sam władca tego ludu hojnie korzysta z gościnności autokratora, nie nadwątlając własnej sakiewki.

Wiedza Nikefora wcale nie zaskoczyła Skalda. Dobrze wiedział, że Slavomirus i jego własny eunuch donoszą o wszystkim możnowładcy, a pewnie też każdemu zaciekawionemu mieszkańcowi Wielkiego Pałacu.

Aż go korciło, by zapytać, czy nie wie czasem, gdzie swoją rogę ukrył Diarf, który na kilka dni zniknął z miasta razem z paroma zaufanymi ludźmi oraz skrzyniami zawierającymi wypłacone mu monety, a wrócił z pustymi rękami. Ainar część swego złota rozdał ludziom, a resztę ukrył w ziemi, bo nikt jeszcze nie wymyślił lepszego skarbcza niż ten, który znajdował się pod skórą bogini Jörd.

- Rzeczywiście, jestem przy monecie. Czekam na propozycje.
- Stawiam dziesięć nomisma na wygraną błękitnego woźnicy.
- Przyjmuję. Ja stawiam dziesięć na czerwonych, bo to być kolor mojego skaramangionu.

Östmad usłyszał za plecami ciche parsknięcie. Wiedział dlaczego. Z reguły nikt nie stawiał na nikogo spoza dwóch najpotężniejszych facji, czyli Zielonych i Błękitnych. Czasem należało jednak przegrać pierwszy zakład, by zachęcić przeciwnika do kolejnych.

- Zatem ustalone – zakończył rozmowę Fokas.

Uгода przysłała w samą porę, bo zapowiadało się, iż w końcu rozpocznie się wyścig – wszyscy zamilkli, a z tronu podniósł się basileus Roman. Zataczając się lekko, podszedł do kamiennej poręczy łoża i wyciągnął przed siebie dłoń z purpurową chustą.

- To, mój biały misiu z Północy, jest *mappa* – szepnął do ucha poety Slavomirus. – Można się było domyślić, że właśnie młodszy basileus postara się o zaszczyt rozpoczęcia zawodów, bo zaiste nie ma sobie równych w okazywaniu swojej dostojności i urody, a w uwodzeniu kobiet chyba tylko konung Vaeringów może się z nim równać.

Pieśniarz nie odpowiedział na to jawne smarowanie tyłka masłem. Nie patrzył też na Romana. Całą uwagę skupił na chuście, która wypuszczona z ręki, została porwana przez wiatr i opadła na trybunę zajmowaną przez gwardię oraz niżej urodzonych gości autokratora. Jeszcze gdy była w powietrzu, rozległ się krzyk, potem kolejny słabszy i jeszcze jeden. Musiał to być sposób na przenoszenie wieści – na wypadek gdyby z odległości dwustu kroków nie zauważono przy *carceres* trzepoczącej chusty. Czy jednak sprawił to krzyk, czy grikklandzka magia, wszystkie

boksy otworzyły się jednocześnie. Zaprzęgi wypadły na tor.

Podniósł się kurz, a z nim ogłuszająca wrzawa tysięcy męskich gardeł.

Już przy pierwszych krokach woźnice zaczęli zaciekle walczyć o jak najlepszy tor. Spina przecinająca arenę ustawiona była nieco ukośnie, co trochę wyrównywało szanse, ale i tak każdy chciał jechać po wewnętrznym torze. Na pierwszej prostej żaden z zaprzęgów nie wysforował się jednak do przodu, a wszystkie szesnaście koni biegło łeb w łeb.

Prędkość, jaką w tak krótkim czasie osiągnęły kwadrygi, była zdumiewająca, więc pieśniarz był gotów przyznać, że te nieużyteczne na polu bitwy wozy były przynajmniej szybkie i piękne. Pojazdy pokryte były brązowymi blachami i pomalowane w kolorach faksji. Te same barwy znajdowały się również na krótkich tunikach woźniców i kitach sterczących spomiędzy końskich uszu, łatwo więc było poznać, że jadąca przy samej spinie kwadryga należała do Błękitnych, ta obok niej do Czerwonych, kolejna do Białych, a na zewnętrznym torze powożona była przez Zielonego.

Pierwszy zakręt przyniósł zmiany. Błękitny zaprzęg zgrabnie zawinął wokół zielonej mety, ale gorszym woźnicą okazał się Czerwony, który poszedł po zbyt szerokim łuku i zajechał drogę Białemu. Ten musiał zwolnić i odbić w prawo, a na zamieszaniu skorzystał Zielony, który przyspieszył na zakręcie i wyszedł z niego drugi. To wywołało jeszcze głośniejsze okrzyki tłumu, zwłaszcza na trybunie Zielonych, gdzie wołano:

– *Nika, nika, nika!*

Ainar nie znał tego słowa, ale Slavomirus wyjaśnił, że oznaczało po prostu: „zwyciężaj”.

Powoli stawało się oczywiste, że wlokąca się na końcu czerwona kwadryga nie ma szans na zwycięstwo, jednak pieśniarz wcale się tym nie przejął. Zamiast tego wziął dolewkę wina i zapytał swojego eunucha w mowie Północy, by nikt ich nie mógł zrozumieć:

– Dlaczego woźnica Błękitnych ma złoty hełm, a pozostali srebrny?

– Och, mój dzielny misiaczek powinien zadać to pytanie znacznie

wcześniej, a nie straciłby swojego miódka. W pierwszej gonitwie Błękitni wystawili swojego mistrza, Sofroniusza, który jest *hoi faktionárioi*, a jako faktionariusz przewodzi innym woźnicom w demie. W tym roku wygrał już czternaście wyścigów, a teraz pewnie zmierza po kolejne zwycięstwo.

Wszystko na to wskazywało. Zaprzęgi zrobiły już cztery okrążenia i Sofroniusz znajdował się o trzy długości kwadrygi przed swoim zielonym rywalem. Trzeci jechał wóz Białych, a na samym końcu zaprzęg Czerwonych. Wtedy jednak dał o sobie znać olbrzym Snaer, który z Północy przydmuchał niepogodę. Z czarnych chmur, od dłuższego czasu zbierających się nad Hipodromem, zaczął padać śnieg z deszczem. Arena stała się śliska i błotnista.

Woźnica w złotym hełmie wyraźnie zwolnił.

– Bardzo sprytnie. Konie szybciej się męczą na takim podłożu, więc oszczędza je na ostatnie okrążenie – wyjaśnił trzebieniec, gasząc nadzieję Skalda, że Czerwony może jeszcze wygrać.

Kolejność utrzymała się do szóstego okrążenia, ale wtedy Sofroniusz wyprzedził najgroźniejszego rywala już tylko o długość półtorej kwadrygi. Zielony nie poluzował bowiem koniom, tylko jeszcze mocniej smagał je batem po zadach, tak że teraz jego ogiery wyglądały na o wiele bardziej zmęczone niż zwierzęta ciągnące pozostałe wozy.

Ludzie wokół kowala słów westchnęli, a on sam przyłapał się na tym, że wstrzymał oddech i ze skupieniem wpatrywał się w metę Błękitnych.

Prowadzący Sofroniusz wziął bezpieczny zakręt po szerokim łuku, jednak na tyle blisko mety, by goniący go zaprzęg musiał jechać po zewnętrznej. Tak przynajmniej wydawało się faktionariuszowi, albowiem woźnica Zielonych dostrzegł w tym manewrze swoją ostatnią szansę. Choć miejsca było mało i widzowie wręcz krzyczeli, że za mało, on w swoim szaleństwie postanowił się wcisnąć między wóz Błękitnych a kamienny słupek wyznaczający metę. Nawet mu się to udało. Kwadrygi zrównały się ze sobą, a baty śmignęły w powietrzu i spadły nie tylko na zady zwierząt, ale też na ręce, brzuchy i głowy wrogich powożących. Wtem jednak, czy to przez mokrą ziemię, czy na skutek jakiejś nierówności, wozem Zielonych

zarzuciło, nieznacznie co prawda, ale wystarczająco mocno, by wpadł na sąsiedni zaprzęg, odbił się od niego i uderzył w mijaną już kolumnę. Ośka pękła, a lewe koło wozu odpadło. Uszkodzona dwukołowka przechyliła się na bok i zahaczyła o podłoże. Szarpnęło. Konie zarżały, jakby darto z nich pasy, ale nadal biegły, przez co pozbawiony równowagi pojazd przekręcił się na bok i uderzył w zaprzęg Sofroniusza. Odgłosy łamanych desek i dyszli, dartych blach, pękających lin, wrzasków ludzi i kwików zwierząt wypełniły nieckę Hipodromu. Została złożona krwawa ofiara dla dawnych bogów i jednego obecnie panującego w świątyniach, a wiwaty, przekleństwa oraz jęki zawodu wskazywały, że przyklaskuje jej większość widzów. Nikt nie był zaskoczony wypadkiem, przez co pieśniarz doszedł do wniosku, że podobne zdarzały się często.

Sofroniusz dychał jeszcze, choć leżał przygnieciony wozem. Woźnica Zielonych też się ruszał, ale mniej żwawo, bo ciało miał powykrzywiane jak po upadku z dużej wysokości. Noga w kolanie zgięta była w przeciwną stronę, a ręce wyglądały niczym kije stracha na wróble po przejściu wichury. Dwóm koniom udało się wyrwać ze śmiertelnego ścisku i galopowały dalej, cztery inne też wyszły ze zderzenia obronnym kopytem, po czym stanęły, unieruchomione resztkami pojazdów. Mniej szczęścia miały dwa skrajne w zaprzęgu ogiery, które na siebie wpadły i teraz, poranione deskami, wierzgały na ziemi, bijąc kopytami w powietrze.

Jadąca dotychczas na trzeciej pozycji kwadryga Białych przejechała z pełną prędkością obok roztrzaskanych wozów. Na jej nieszczęście w jedno z kół wplątała się lina z kawałkiem deski, przez co zaprzęg gwałtownie zwolnił, a w końcu się zatrzymał. Woźnica zeskoczył na tor i rzucił się do oczyszczania koła.

Skald pomyślał, że nie bez powodu czerwony jest barwą władców i zwycięzców. Ostatnia kwadryga ostrożnie ominęła wszystkie przeszkody i spokojnie pojechała dalej. Siódme okrążenie wykonała samotnie, po raz drugi bezpiecznie mijając roztrzaskane wozy. Linie wskazującą koniec wyścigu pokonała przy głośnych okrzykach z trybun Czerwonych i z tych, gdzie siedzieli niezrzeszeni kibice, którzy docenili sprytną jazdę zwycięzcy.

Nie taki był plan, ale kowal słów nie umiał się smucić ze zwycięstwa. Wygrał zakład, a jak mawiała jego babka: „Zawsze lepiej mieć pełną sakiewkę, gdyż bogaty ma miskę pełną strawy, a biedak tylko kij żebraczy”.

– Okazuje się, że opatrność czuwa nad konungiem Vaeringów. – Nikefor mówił spokojnie, jakby w ogóle nie przejął się porażką. – Nasz Krist w niebie musi patrzeć łaskawie na swojego nowego wyznawcę.

– Szczęście początkującego. Ale następny wyścig ja zmienić barwę. Podobać mi się ten Zielony. On być odważny i szalony jak wojna. To jego kolor wybierać. Dwadzieścia sztuk złota?

– Zieloni? Jest tam wielu młodzieńców z najznakomitszych rodów Romejów. Z pewnością to bardziej rozważny wybór niż Czerwoni. Tylko czy należy nadal drażnić Kristosa naszą rozrzutnością? Lepiej przeznaczyć te nomismy dla jakiegoś ptocheionu czy gerokomeionu. Biedni i starcy bardziej ich potrzebują niż my, a dobrze jest uczcić święto solidną jałmużną.

Mężczyzna zasługuje na tyle złota, ile zdoła zarobić, złupić lub ukraść. Każdy na Północy znał tę zasadę i dlatego było tam mnóstwo twardych, dzielnych drengów, którzy z łatwością łupili rozmiłowanych w jałmużnie kristmadów. Saekonung nie był jednak babką domestyka, by udzielać mu rad.

– Wspaniały pomysł. Nie trzeba jednak rezygnować z zakładów. Zwycięzca przekazać wygraną na wybrany przez siebie dom opieki nad biedotą i starcami lub przepić ją w pandokeionie, zaleźnie, jak Krist natknął jego ducha.

Nikefor zmrużył oczy i spojrzał na pieśniarza spod czarnych krzaczastych brwi. Wojskowy z pewnością potrafił wzbudzać u swoich żołnierzy zarówno miłość, jak i strach.

– Słusznie prawią, że Vaering nigdy nie rezygnuje z szansy na złoto. Ale to lubię w najemnikach, bo przynajmniej zawsze wiadomo, o co walczą. Zanim się jednak założymy, podzielę się wieściami, które gołębie przyniosły z Thery. Georgios donosi o niepokojach i zamieszkach w obozie Vaeringów. Dużego zamętu dokonują podobno ulubieni wojowie konunga

Ainara, którzy zachowują się jak opętani przez złe duchy. Georgios był zmuszony wyjąć ich spod prawa za mordy i gwałty na ludności wyspy. Od kilku tygodni przysyła też ciągle to samo ostrzeżenie: „Nie ufać Diarfowi. Diarf zdradził”. A jednak gościmy go w mieście jako zastępcę konunga Vaeringów.

– Gyrgir to, jak na bezbronnego wojownika, być mądry wódz. Ja sam podsunąć mu podejrzenie o możliwej zdradzie Diarfa. Tak się po prostu nam wydawać, gdy my nie zastać go na wyspie. Trzebieniec zostawał z tym przeświadczeniem, gdy odpływałem z wyspy, jednak ja później spotkałem Diarfa na morzu, gdy on zdobywać statek kussarów. Nie może być więc po ich stronie, a sam wyjaśnił mi, że on przez całe lato łupić serklandzkie ziemie, zamiast chować się na Thera. Tak jak obiecać gardskonungowi. Ja połączyć więc z nim siły, bo ma pod sobą bitnych i mężnych ludzi. Takich, jacy są potrzebni do zdobycia Krety.

– Nikt nie myśli o zdobywaniu. Chcemy tylko ochronić kristiańską Ekumenę.

– A konung Vaeringów walczyć dla uśmiechu młodszej augusty. Żołnierza nie oszukasz. Skoro wy nie pojmac Diarfa, a mnie zaprosić do loży basileusa, to tylko dlatego, że gdy ustaną sztormy, wy potrzebować bitnych najemników. Wy tak naprawdę chcecie atakować, a nie bronić. Ale ty się nie martwić. Nim nastanie pora na wypłynięcie, sprawa Diarfa być rozwiązana. Już podporządkowałem sobie jego ludzi, a sam Nawlekacz niebawem przestać mi być potrzebny.

Fokas przyglądał mu się przez chwilę, gładząc dłonią zwisający na piersi złoty krzyż, jakby u Kristosa szukał rady.

– Niech i tak będzie. Dwadzieścia nomism na woźnicę Błękitnych. Jako dowódcy Scholi nie wypada mi inaczej obstawiać.

Ainar przyjął zakład skinieniem głowy. Powiedział domestykowi więcej, niż powinien, ale był konungiem, więc powinnościami obdarzał innych, nie siebie. Rozsiadł się wygodniej na siedzisku, sięgnął po jedną z mela, która wyglądała całkiem jak gruszka, i pomyślał, że postąpił niczym ofiarnik Mimira. „Kapłan”, jak powiedzieliby tutaj, najmądrzejszej istoty znanej

bogom i ludziom. Nie wysilając się, otrzymał zezwolenie na pozbycie się Diarfa. Nie żeby potrzebował na to zgody domestyka, ale miło było wiedzieć, że gdy zabije Nawlekacza, nie usłyszy niewygodnych pytań. A los najemnika jeszcze dziś miał zostać przypieczętowany. Do pełni szczęścia brakowało saekonungowi tylko informacji, gdzie znajdował się Finlog. Podły mnich musiał zapłacić za swoją zdradę, ale zapadł się niczym beczka piwa w śniegu. Nikt nie widział go od wielu tygodni, choć przecież zostawił cały swój dobytek w Wielkim Pałacu.

Kolejny wyścig odbył się znacznie później, niż poeta oczekiwał, należało bowiem oczyścić i przygotować tor. Ludzie z demów wynieśli resztki wozów, opatrzyli woźniców, a ranne konie dobili na arenie, ucinając im łby siekierami ku uciechu tłumów. By jeszcze bardziej rozerwać gawieź, między trybunami a spiną rozwieszono liny, na których zaczęli pisać tancerze. Młodzi chłopcy biegali po sznurach, żonglowali owocami i stroili miny, które dla Grikkmadów były zabawne, a dla pieśniarza głupie i dziecinne. Bardziej zainteresował go jeździec Błękitnych, który wyjechał z *carceres* na rączym koniu, po czym stanął na jego grzbiecie, dobył dwa miecze i zaczął nimi kręcić jak skrzydłami wiatraka. Popisując się tą sztuczką, zrobił okrążenie wokół spiny, po czym schował miecze, stanął rękami na końskim siodle i w takiej pozycji zrobił kolejne okrążenie. Największą radość sprawił jednak ludziom jeden z kibiców. Wybiegł z trybuny dla biedaków i wspiął się na słup, który znajdował się nieopodal Kathismy, a stanowił część spiny.

– Co on tam krzyczy? – Skald zwrócił się do Slavomirusa, gdyż z trudem wychwytał grikkländzkie słowa z powstałej wrzawy.

– Twierdzi, że jest wcieleniem Ikara, bohatera z czasów, gdy jeszcze nie znaliśmy Kristosa. Zapewnia, że zaraz uniesie się w powietrzu, by oddać hołd naszemu autokratorowi i pokazać, że prawdziwy Romej nie zna lęku.

Grikkländzki czarownik przykuł uwagę konunga, który widział już w tym mieście latające siedzisko i inne dziwy, ale szybujący w przestworzach człowiek byłby dla niego nowością.

Kibic na słupie rozpostarł szeroki płaszcz, zastanawiał się chwilę,

sprawdzając palcem kierunek wiatru i wsłuchując się we wrzawę, bo cały Hipodrom krzyczał: „Skacz!”. W końcu przykucnął jak do robienia kupy i wybił się do góry. Unosił się tylko przez pół uderzenia serca, a potem zaczął spadać niczym ofiarny topór rzucony do jeziora. Rozbił się o ziemię, żegnany gwizdami oraz wyzwiskami. Skonał z kośćmi zmiażdżonymi jak u szalonych wyznawców Valfuda, którzy na Lodowej Wyspie rzucali się z klifów w nadziei szybszego spotkania z bogiem umarłych.

– Nie wiedział, głupiec, że blask chwały naszego autokratora stopiłby skrzydła każdego Ikara. – Uśmiech na twarzy Slavomirusa wskazywał, że jego słowa miały być zabawne, ale pieśniarz nie miał ochoty dociekać powodów tej wesołości.

Gdy w końcu uprzątnięto wszystkie szczątki, a demowi aktorzy przestali się wygłupiać, do zawodów stanęły kolejne wozy. Tym razem zwycięski okazał się woźnica Błękitnych. Nikefor przyjął wygraną z taką samą obojętnością jak przegraną, ale zgodził się na kolejny zakład. Stawkę pozostawili bez zmian, lecz obstawiać musieli inaczej, bo kolejny wyścig został urozmaicony o losowanie zaprzęgu. Domestyk wybrał powożącego Białych, któremu los przydzielił kwadrygę Zielonych, a Ainar znów postawił na woźnicę Czerwonych, który miał powozić zaprzęgiem Białych.

– Cała trudność polega na tym – wyjaśnił Östmadowi mężczyzna bez brody, gdy już było po zakładach – że woźnice nie znają przydzielonych im koni, więc muszą się wykazać tym większymi umiejętnościami powożenia. Lepiej jest zatem stawiać na sprawnego *auriga* niż na zwierzęta.

Tym razem żaden z nich nie wygrał, bo końcową linię pierwszy pokonał aurig w błękitnych szatach, który smagał batem zady koni z wplecionymi w grzywę czerwonymi czubami.

Po trzecim wyścigu nastąpiła przerwa, ale nie na zabawy, tylko na wymianę uprzejmości, prężenie piersi, szczodrość i sławę. Przed lożę wyszli zwycięzcy woźnice, którzy przed odebraniem nagród musieli pokajać się przed wielkością autokratora. Wielbili więc, jak mieli nakazane, obu basileusów i ich rodziny, powtarzając to samo, co wołano na początku luperkaliów. Upierali się również, że autokrator jest prawdziwym

zwycięzcą zawodów, a oni swoje skromne wygrane zawdzięczają jedynie łaskowości Kristosa i władcy, który w swojej dobroci podarował ludowi te wspaniałe wyścigi. W zamian powożący otrzymali złote wieńce laurowe i sakiewki złota, osobiście wręczone im przez Romana, który zstąpił z Kathismy w otoczeniu Hetairii i przedstawicieli wszystkich gwardii miasta. Po wszystkim zwycięzcy dostali prawo do jeszcze jednego okrążenia, co też uczynili, odbierając od kibiców krzykliwe słowa uznania. Gdy wreszcie wyjechali na kwadrygach z areny, z bramy pośrodku *carceres* wyszli wystrojeni wysłannicy czterech demów, którzy zatrzymali się przed lożą i rozpoczęli wygłaszać nowe pochwały rodziny autokratora. Mówili coś o rychłym nadejściu wiosny, więc pieśniarz nawet posłusznie spojrzął w niebo, czy aby na pewno czegoś nie przegapił, ale zobaczył tam tylko gęstniejące chmury, które zapowiadały zamieć śnieżną.

– Zima w pełni, a oni prawią o kwitnących pączkach – burknął.

– Mój misiaczek niczego nie rozumie. Chodzi o Wielką Noc, o Zmartwychwstałego Kristosa, który niebawem odwiedzi świątynie naszych ciał.

Czyli kolejne święto. W tym jednym Grikkmadowie łechtali umiłowanie poety do węglóżerstwa, choć samym sobie psuli przyjemność nicnierobienia ciągłymi wizytami w świątyniach.

Ostatni przedpołudniowy wyścig miał być już bardziej zabawą niż poważną rywalizacją między demami. Tym razem losowano bowiem poszczególne konie i do jednego wozu zaprzęgano po jednym zwierzęciu z każdej faksji. Gomitwę wygrał woźnica Błękitnych, a Nikefor wzbogacił się o dwadzieścia nomismów. Zielony aurig, na którego postawił Ainar, dojechał drugi, co mistrz w układaniu strof uczcił kolejnym kielichem wina i skierowaną do Magniego prośbą, by bóg walnął piorunem przegranego nieudacznika.

Oglądanie wysiłku innych ludzi i ciągłe picie nie mogło zmęczyć prawdziwego drenga, jednak wzbudziło w nim głód. Na szczęście norny nie przewidziały dla pieśniarza głodówki – Grikkmadowie zaprosili wszystkich z loży na obiad. Gośćmi tej uczyty mieli być również

przedstawiciele ludu, którzy wcześniej wyciągnęli szczęśliwe losy. Dzięki nim mogli zasiąść przy niższych stołach sali biesiadnej w Kathismie i jeszcze dostać *apokombion* – sakiewkę z jedną złotą nomismą i kilkoma miedziakami. Pieśniarz dowiedział się o tym wszystkim od Slavomirusa na kilka dni przed luperkaliami i informację tę skrzętnie wykorzystał. Przy pomocy Alego udało mu się bowiem zdobyć kilka żelaznych losów i rozdać je wśród swoich ludzi. Uznał, że do tego, co planuje, warto mieć przy sobie kilku zaufanych Niegrzecznych Niedźwiadków.

Przezorność go nie zawiodła. By na luperkaliach ostatecznie pozbyć się problemu Diarfa, musiał najpierw odnaleźć jego seidmada, gdyż według zapewnień Nawlekacza czarownik miał zlecić zabójstwo Seli, jeśli tylko jego przywódcy stałoby się coś złego. Do tej pory Skaldowi nie udało się odszukać śniącego, gdyż Diarf rozkazał swoim ludziom, aby trzymali się z dala od pieśniarza. Obozowali więc poza miastem, w dzielnicy hagiosa Mamasa. A poecie wydawało się, że wymyślił naprawdę świetny sposób na odnalezienie seidmada. Dzięki Slavomirusowi i Ouranosowi znalazł kilka męskich pornasek i wysłał tych dobrze opłaconych trzebieńców do ludzi Nawlekacza. Miał nadzieję, że wszeteczny czarownik skusi się na słynących z niegodziwych umiejętności rzezańców, nie przewidział tylko, że odzew będzie tak duży. Wprawdzie większość rzezańców została poobijana i wyrzucona z obozu, jednak kilku znalazło podłe zatrudnienie. Z ich późniejszych opowiadań konung wywnioskował, że o bycie śniącym mógł podejrzewać aż pięciu Vaeringów. Z pomocą Niegrzecznych Niedźwiadków ustalił, którzy to byli. Przez ostatnie dni jego zaufani ludzie mieli zbliżyć się do tych nidingów na tyle, by udało im się odszukać seidmada. Dał swym drengom czas do luperkaliów. I ku jego radości właśnie na ucztę w Kathismie pojawili się z nieznanym pieśniarzowi Vaeringiem.

Poeta jako gość autokratora miał prawo zasiadać przy najwyższym stole. Stole, bo na tę okazję zrezygnowano z leżanek, na jakich bogacze biesiadowali we własnych pałacach. Kiedy jednak Skald opuścił szacowne towarzystwo dostojników i przeszedł do miejsc zajmowanych przez mniej

majątnych, nikt nie zaprotestował. Dla większości wpływowych osobistości Ainar był przecież lepszy od tutejszego biedaka wyłącznie dzięki zasobności sakiewki, ale już nie z powodu pochodzenia, bo nawet konung był w grikklandzkich oczach tylko barbarzyńcą.

Hag wyciągnął z zawieszanej na szyi sakiewki kilka miedziaków i rozdał je ubogim. Miał nadzieję, że w blasku świec monety mienią się wystarczająco mocno, by siedzący przy odległym stole bogacze uznali je za złote. Chciał przynajmniej w oczach Fokasa uchodzić za szczodrego władcę.

Dosiadł się do czwórki Niegrzecznych Niedźwiadków, którzy podobnie jak przyprowadzony przez nich Vaering ubrani byli po tutejszemu – w tunikopodobne chitony i zarzucone na ramiona żołnierskie płaszcze zwane sagionami.

– Jak bawicie się na wyścigach?

– Przednio, przednio – odpowiedział jeden z drengów. – Siedzimy na sfendonie, gdzie może i kiepsko widać, za to po trybunach przechadzają się wcale niebrzydkie i rozsądnie drogie pornaski. Olaf zaliczył już trzy i czeka właśnie na ten cały apokombion, by mieć środki na czwartą.

Czwórka Niedźwiadków się roześmiała, a wraz z nimi Skald. Obrzydła mu już ta grikklandzka poprawność i stęsknił się za prostym śmiechem wojaków. Siedzący przy ich stole Romejowie, którzy nie rozumieli północnej mowy, popatrzyli na nich nieprzyjaźnie. Najemnicy musieli im się wydawać piątką groźnie wyglądających drabów, którzy być może właśnie z nich rechotali.

– Tylko nasz nowy przyjaciel Pal Gautrekson słabo się bawi i odmawia najpiękniejszym córkom Gefny. – Tharbrand, styrir „Niegrzecznego Niedźwiadka”, mrugnął do Ainara porozumiewawczo. – Twierdzi, że chce dochować wierności żonie, która czeka na niego w Noregu.

Poeta znał się na żonach i wiedział, że rzadko bywają wierne podczas długiej nieobecności męża. Nieraz z tego korzystał. Nie spotkał też Vaeringa, który na wyprawie odmówiłby wzięcia branki. Jak mawiała jego babka: „Prędzej Jednoręki bóg skłamię, niż chłop będzie wierny jednej

babie”.

– Okażmy zrozumienie – zadziwił wszystkich pieśniarz. – Może się z was naśmiewa? Pewnie przegrał wszystkie monety w *hnefatafl* i wymyślił sobie wierność, by ukryć swoją nieudolność.

– Ale kiedy on gra bardzo dobrze – wyjaśnił rudobrody sternik. – Wygrał od nas spory kopczyk złota i jeszcze ten los na ucztę.

– W takim razie może wino odebrało mu siły?

– Nie. Na sfendonie podają tylko słabe, rozwodnione piwo.

– Może zatem ktoś go wymęczył przed luperkaliaми? Diarf Nawlekacz mówił mi, że tutejsi rzezańcy słyną ze sprawnych rąk i ust.

Tym razem nikt się nie odezwał, za to wszyscy wlepili spojrzenia w Pala. Gautrekson jakby w ogóle nie słyszał ich rozmowy, tylko obojętnie zajadał potrawkę z baraniny w oliwie i ziołach. Gdy przełknął ostatni kęs, odsunął miskę i popił posiłek winem.

– Nie śmiesz mnie te wasze żarty. Nawlekam na włóczęgę, kogo chcę i kiedy chcę, a wam nic do tego. Zbrzydły mi już wasze gęby. Idę odebrać mieczek z monetami i wracam do obozu.

Stroniący od kobiet Vaering już wstawał, gdy Östmad sięgnął po leżący na stole nożyk i zamasyście wbił go w bochen chleba leżący tuż obok dłoni chcącego odejść mężczyzny.

– Siedz. Niegrzecznie tak wychodzić przed końcem biesiady.

– Chcesz tu urządzać bijatykę? Konung Vaeringów, który wszczyna rozróby przy stole dla biedaków! Co na to powiedzą twoi przyjaciele z pałacu?

– Na twoim miejscu nie o moje dobre imię bym się martwił. Seidmadzie.

– Seidmadzie? O co wam chodzi?

Ainar dokładnie przyglądał się Palowi, badając każdy jego grymas. Był to człek w średnim wieku, niemal już trzydziestoletni, ale nadal urodziwy. Twarz miał gładko ogoloną, włosy starannie przystrzyżone i zaczesane do tyłu, oczy duże, niebieskie, brwi równe, a w obu uszach tkwiły po trzy złote kolczyki. Płatki nosa Gautreksona nieznacznie drgnęły, jak

u wyczuwającego zagrożenie zająca.

– Wystarczy tych obrzędów na cześć Grimnira. Skończ udawać, bo wiemy, że jesteś czarownikiem.

– Nie wiem, o czym mówicie.

– Doprawdy? – włączył się Tharbrand. – A kto przyjął, a może raczej wszedł w rzezańca, którego przysłaliśmy? Wtedy jeszcze nie byliśmy pewni, czy jesteś tylko nidingiem, czy również wszetecznym czarownikiem lubującym się w ergi z mężczyznami. Dałeś się jednak nabrać także na nasz kolejny podstęp. Otóż rozgłosiliśmy po obozie, że Olaf ma wielkie problemy z zaśnięciem, przez co tak rozrabia. To ostatnie jest akurat prawdą, bo w końcu należy do Niegrzecznych Niedźwiadków.

Olaf, młody żeglarz bez nosa, uśmiechnął się zawadiacko.

– I co z tego? Ja o tym nic nie słyszałem.

– Doprawdy? Ale jeden z ludzi Diarfa słyszał, że obiecaliśmy piętnaście sztuk złota za pomoc w walce z bezsennością i przyniósł nam pewne ziele. Gdy daliśmy je Olafowi na próbę, spał przez dwa dni. Zanim wypłaciliśmy mężczyźnie od Nawlekacza nomismy, zadaliśmy mu dwa pytania. Jak nazywa się to zioło i skąd je ma, bo nie widzieliśmy, by rosło w tych okolicach. Na żadne z pytań nie umiał odpowiedzieć, ale monety wziął. Śledziliśmy go więc i zgadnij, do kogo się udał, by podzielić się nagrodą?

– No i co z tego, że znam się trochę na ziołach? Moja babka była völwą i trochę mnie poduczyła.

– I dlatego tak się z tym kryłeś? Nie, nie. Za dużo nam się tu rzeczy zgadza, seidmadzie.

Skald postukał palcami w stół i zatańczył brwiami. Dobrych ludzi sobie wybrał do tego zadania i po raz kolejny przekonał się, że jego sternik ma we łbie nie tylko szaleństwo, ale i mądrość godną olbrzymów.

– Dobrze jest być konungiem. Można sobie ucztować w pałacu, dogadzać tutejszym mężatkom, popijać najlepsze wino, a twoi ludzie robią wszystko za ciebie. Z moim węgłóżerstwem jestem urodzonym władcą. Każdy z Niegrzecznych Niedźwiadków dostanie podwójną roge.

– Niech żyje konung Vaeringów! – zakrzyczała cała czwórka, znów wzbudzając niepotrzebne zaciekawienie i oburzenie innych biesiadników.

– Z czego się tak cieszyacie, zapijaczone koniojeby? – rzekł pięknotlicy czarownik, a zabrzmiało to niemal jak warczenie psa. – I tak nie możecie mi nic zrobić. Nie wiecie, że seidmadowie mają złe oko? Wystarczy jedno moje spojrzenie, a spadnie na was taka klątwa, że już nigdy nie ucieszyacie się na widok nagiej dziewoi.

– Na szczęście Ali poznał mnie z tutejszym kristiańskim czarownikiem. Ma piękny ergasterion z talizmanami, tuż przy Mese, i sprzedał mi sposób, jak radzić sobie ze złym okiem. Otóż takie oko trzeba na żywca wydłubać z czarownika, namoczyć je w occie z czosnkiem, a następnie zjeść. To nie tylko złamie wszelkie przekleństwa seidmada, ale i raz na zawsze pozbawi go wiedźniej mocy.

– Okpił cię ten sprzedawczyk. To nie podziała, bo jak śpię, i tak oczy mam zamknięte.

– Chcesz się przekonać? Jako znany miłośnik mądrości, zawsze jestem gotów wprowadzić w czyn nową wiedzę.

– Wiesz dobrze, że jeśli mnie tkniesz, ona zginie. O ile w ciągu dwóch najbliższych nocy nie przyśnię się mojemu lubemu, on poderżnie jej gardło.

– No widzisz. Nie było tak trudno się przyznać. Ale nieładnie zaczynać znajomości od gróźb. Źle mnie chyba zrozumiałeś. Ja cię nie chcę tknąć, co więcej, chcę zostać, jak to w Noregu mówimy, twoim *mikill vinr*!

– Ty moim najlepszym przyjacielem? Wolałbym zaufać wilkowi. Wszyscy wiedzą, jak traktujesz nidingów, więc nie mam zamiaru skończyć w morzu z przywiązaniem do pleców wiosłem. Lepiej pozwól mi odejść, zaszyj sobie gębę dratwą i wypłać mi trzydzieści nomism, bym nie powiedział Diarfowi, że próbowałeś do mnie dotrzeć. Już samo to wystarczy, by ona straciła głowę.

– Dostaniesz trzy razy więcej.

Niegrzeczne Niedźwiadki wytrzeszczyły oczy ze zdziwienia, ale najgłupszą minę zrobił sam Pal.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Wszystko dla moich przyjaciół. Ja i moi ludzie będziemy milczeć w sprawie twoich umiejętności, a ty będziesz żył jak dawniej i nawet od czasu do czasu odwiedzać cię będą przysłani przeze mnie urodziwi rzezańcy. W zamian będziesz mi posłuszny.

Czarownik nakropił sobie trochę wina na dłoń i przeczesał włosy, by lepiej leżały. Nie był już tak pewny siebie jak na początku rozmowy, a pieśniarz poczuł, że wbił klin między chciwość wszetecznika a jego wierność wobec Nawlekacza.

– Diarf i tak daje mi tyle złota, ile zechcę, a zadzieranie z nim jest dla mnie zbyt niebezpieczne. Jeśli się dowie o zdradzie, zginę nie tylko ja, ale i moja męska połowica.

– Nie dowie się. Najpewniej jeszcze dziś polegnie, a ty zostaniesz bez pana i co najwyżej będziesz mógł zabić kobietę, na której mi zależy. Jeśli jednak doprowadzisz do jej śmierci, sam zginiesz i to wcale nie z mojej ręki. Diarf może przymykał oko na zachowania ergi, ale teraz to ja jestem konungiem i już zdołałem sobie podporządkować większość ludzi Nawlekacza. Nie dziwi cię, że Niedźwiadki tak łatwo cię podeszły? Moi drengowie są wszędzie. Wystarczy, że rozgłoszę, że jesteś nidingiem, a bez względu na to, co stanie się dziś z Diarfem, zostaniesz osądzony według północnego prawa wojny. A sam już rzekłeś, co zwyczaj przewiduje dla takich jak ty.

Skald był pewny, że przekonał już Pala. Mimo to Gautrekson zwlekał z odpowiedzią, jakby miał jakiś wybór. Czarownik wydłubał sobie brud z paznokcia i podrapał się po gładkich policzkach.

– Mam jeden warunek. Z góry dostanę dziewięćdziesiąt monet i co miesiąc będę dostawać kolejne dwadzieścia. I ostrzegam, że jeśli Diarf jednak przeżyje i dowie się o zdradzie albo któryś z was zacznie szeptać, że jestem seidmadem, od razu znikam, a ona straci życie.

– Zgoda. Uczcijmy to kielichem.

Nikogo nie trzeba było namawiać do sięgnięcia po cynowy kubek. Pieśniarz zauważył również, że naczynie ciągle ubywało, a tuniki

najemników dziwnie się wybrzuszyły w kilku miejscach. Niedźwiadki jak zwykle były niegrzeczne.

– Olafie! – Ainar rozsiadł się wygodnie i wysączył puchar wina, który wcześniej wziął ze stołu dla bogaczy. – Pójdiesz po uczcie na plac Diipion i wejdiesz do pomieszczeń błękitnego demu. Odnajdziesz tam Alego i powiesz mu: Haukrhedin wylądował.

– Ten Jastrząb z Odainsaku? Myślałem, że on nie żyje.

– Nie myśl, tylko powtarzaj. Ali będzie wiedział, co to oznacza.

22

Ali jadł przed bitwą, tak jak robił to przed każdym starciem. Wielu wojowników tego unikało, bojąc się, że mając pełny brzuch, mogą skalać spodnie podczas walki, przez co ukażą swój brak męstwa, ale berserk widział już zbyt wiele krwi i flaków, by rzeź robiła na nim wrażenie. Wolał więc być najedzony i w pełni sił. Natomiast w przeciwieństwie do innych wojowników unikał przed walką trunków, bo przez nie zbyt szybko zdarzało mu się wpadać w świętą aesmę, szłał chichoczących psów, bohaterską lysę, wilczy amok czy też w berserksgang – obojętnie, jak się nazwie morderczą wściekłość, która zbyt często towarzyszyła mu w walce.

Siedział samotnie w małej izdebce nad *carceres*, która służyła za przebieralnię błękitnego demu. Nie uczestniczył w obiedzie w Kathismie ani nie skusił się na ryby i chleb, które wozami przywieziono do Hipodromu, by rozdać wszystkim chętnym. Nie dołączył też do barwnego, rozśpiewanego i zapitego tłumu, który w czasie przerwy obiadowej wylewał się z cyrku, po czym płynął po ulicach Byzantionu czterema rzekami – korowodami prowadzonymi przez demowych tancerzy i nawoływaczy. Radość, podniecenie oraz smutek, na arenie zamknięte przez sztywne zasady ceremoniału, na mieście brały górę. Kibice nie wielbili już basileusów, ale woźniców, tancerzy, zapaśników i kuglarzy,

którzy zabawiali ich podczas luperkaliów i zabawiać mieli dalej, podczas popołudniowych występów.

Nie. Ali Czarny Berserk siedział i rozmyślał.

Haukrhedin wylądował. Wiadomość przyniesiona przez Niegrzecznego Niedźwiadka była krótka, ale nie musiała być dłuższa. Oznaczała, że należy wdrożyć plan, który Czarny Achilles uknuł z pieśniarzem kilka dni temu. Blamad miał zadbać, by Diarf nie wyszedł cało z zawodów. Nie mógł go bezpośrednio zabić, bo choć Skald powinien już mieć w garści czarownika, jednak śmierć Nawlekacza mogłaby wywołać bunt wśród jego ludzi. A dobrzy wojowie byli potrzebni konungowi. Sytuacja była więc trudna, gdyż najemnik powinien polec z ręki któregoś z Zielonych. Mało tego. W swojej niepohamowanej chciwości poeta chciał upolować dwie zwierzyny jedną włócznią i na całej walce zamierzał się jeszcze wzbogacić. Przewidział, że wszyscy w loży będą obstawiać zwycięstwo Błękitnych, polecił więc Alemu, by pokazał się z jak najlepszej strony, ale przegrał. Berserk nie chciał się na początku na to zgodzić, ale w końcu ustąpił, bo co go obchodził los demów? Poza tym łatwiej będzie uśmiercić Diarfa, jeśli Zieloni wezmą w starciu górę.

Przyszli po niego, gdy nadeszła pora. Zszedł i udał się na plac Diipion, który mieścił się tuż przed Hipodromem. Oba oddziały już czekały, ustawione w kolumny marszowe. Oddział Zielonych tworzyli gwardziści Ekskubitów, w skład Błękitnych wchodziły dwa tuziny Vaeringów i tyle samo Grikkmadów ze Scholi. Wszyscy najemnicy z Północy mieli kolczugi i hełmy. Część dzierżyła miecze i okrągłe tarcze, a część najbardziej widowiskową broń znaną w tej części świata – dwuręczne topory na długich styliskach. Z kolei Grikkmadowie nosili się pysznie, jakby przyodziali się do pałacowych ceremoniałów, a nie do bitwy. Mieli lśniące, łuskowate klivaniony w kolorze swojej faksji, żelazne hełmy ze skórzanymi, nabitymi ćwiekami ochraniaczami karku, a w rękach trzymali tarcze, miecze i włócznie. Ali, który ustawił się na przedzie błękitnej kolumny, uzbrojony był najskromniej, mimo iż ludzie Fokasa obiecali mu dostarczyć wszystko, czego sobie zażyczy. Poprosił tylko o niebieskie

szarawary i najdłuższy miecz, jaki mieli na składzie. Żaden oręż nie mógł się równać z jego własnym Ludożercą, ale za nic w świecie nie dałby go stępić tutejszym kowalom, a broń walczących nie mogła być ostra. Zbroi nie założył żadnej, bo o wiele mocniej niż w żelazne płyty wierzył w opiekę, jaką roztaczał nad nim wytatuowany na jego ciele wąż Bida.

Obydwie kolumny przeszły przez ogromną łukowatą bramę Hipodromu i dotarły do stamy, jak zwano obszar przed lożą autokratora. Stojąc tam, żołnierze oddali pokłon, choć nie pełen *proskynesis*, bo jego wykonanie w zbrojach wyglądałoby bardziej na kpinę niż gest szacunku. Następnie wojownicy z Grikklądu zaczęli wykrzykiwać zawołania wielbiące władców. Potem się rozdzielili. Vaeringowie oraz gwardziści z niebieskimi opaskami na ramionach zawrócili pod metę Błękitnych, a reszta poszła dalej i zatrzymała się przy mecie Zielonych. U celu każda ze stron wbiła w ziemię przy kolumnie swój sztandar, o który miał toczyć się bój.

Zasady bitwy były proste. Każdy dem bronił swojej chorągwi, a by wygrać, musiał zdobyć *merki* przeciwnika. Siły były wyrównane, przynajmniej w liczbach i uzbrojeniu. Obie strony miały po pięćdziesięciu ludzi.

Błękitnymi dowodził młody komes o imieniu Aretes, ale choć sam mógł uważać inaczej, jego rzeczywista władza ograniczała się do trzech dziesiątek Grikkmadów, ponieważ Vaeringom przewodził Diarf. Ali nie miał pod sobą ludzi, lecz pełnił funkcję harcownika, więc właśnie na nim skupiała się uwaga tłumu.

Skald siorbnął wino z kielicha. Wszyscy wrócili już do łoża i z niecierpliwością przypatrywali się operacji rozstawienia poszczególnych dziesiątek żołnierzy, co z wysokości trybun przypominało układanie figur do gry w szatrandż.

– Sieroty i starcy dziś się ucieszyć – zwrócił się Ainar do Nikefora. – Domestyk wygrać już ode mnie trzydzieści sztuk złota.

– Dobrze jest pomagać, jak nakazał nam Kristos.

– Nie powinniśmy więc przestawać, skoro opiekunowi pokrzywdzonych dopisywać szczęście. Może kolejny zakład? To będzie już ostatni, więc my podnieść stawkę. Trzysta nomisma?

Wódz gwardii zmarszczył brwi.

– Nie jest to mała suma. Ale czy jest się w ogóle o co zakładać? Jako domestyk Scholi muszę obstawić Błękitnych, a i konung Veringów z pewnością ma ufność w swoich ludzi, więc wybierze podobnie.

– Tam na dole być dobrzy drengowie z Północy. Ale dowodzić nimi Grikkmad, który nie znać ich zalet. Ja gotów być obstawić Zielonych, bo tamtejszy dowódca lepiej znać swoich ludzi.

Fokas nie odpowiedział od razu. Zrobił znak krzyża i wymamrotał pod nosem modlitwę.

– Jeśli wygram, konung straci niemal połowę swojej rogi. Jego ludzie podniosą bunt, gdy nie dostaną zapłaty.

– Ja już ich opłacić. Domestyk zdaje się zapominać, że ja być konung Północy i mieć własne środki. Trzysta nomisma wezmę z własnej sakwy, nie z wypłaty dla moich ludzi.

Kłamał. Nie liczył się co prawda z porażką, ale gdyby ta nastąpiła, zamierzał odszukać złoto Nawlekacza, by spłacić dług. Albo tak długo zwlekać z zapłatą, aż dobra pogoda umożliwi mu wypłynięcie z miasta.

– Niech i tak będzie, choć szkoda mi opróżniać skarbiec gościa autokratora. Uczynię to jednak na wyraźne życzenie konunga Vaeringów.

Ainar uśmiechnął się szczerze i miło, jakby uwodził męzatkę.

– Chyba już zaczynają.

– To tylko popisy harcowników.

Przed szereg Błękitnych wyszedł nie kto inny jak Ali Czarny Berserk. Nawet poeta musiał przyznać, że jego przyjaciel wyglądał znakomicie, bo przede wszystkim groźnie i walecznie. Gdy szedł, zgrzytał zębami, wywijał ogromnym mieczem oraz prężył ciało, tak że wąż na jego plecach i łysej głowie kołysał się w rytm kroków. Naprzeciw niemu wyszedł harcownik Zielonych, schowany za okrągłą żelazną tarczą i solidną zbroją, a uzbrojony

we włócznię. Przeciwnicy zatrzymali się w połowie długości spiny, tuż przed lożą Kathismy.

Berserk uśmiechnął się i lekceważąco zarzucił miecz na ramię. Grikkmad czekał na ugiętych nogach. Czarny wojownik ryknął śmiechem na widok tej ostrożności i zawołał coś w języku Blamadów, a potem zaczął głośno krzyczeć:

– Mniam, mniam!

Skald rozejrzał się po gościach loży i zauważył, że byli na równi zniesmaczeni, jak zachwyceni niezwykle zachowaniem przybysza z Wagadou. Powinni go zobaczyć przy jedzeniu kagana – pomyślał, po czym łyknął wina na poprawę i tak już przedniego nastroju.

Odwaga pomieszkiwała jednak w lędźwiach Zielonego, bo odpowiedział na zaczepki w najlepszy sposób, na jaki zdobyć się może mężczyzna. Atakiem. Wyprowadził szybkie pchnięcie włócznią, mierząc w szyję. Berserk z łatwością się uchylił, chwycił drzewce lewą ręką i grzmotnął mieczem w żelazną tarczę. Zadzwonilo jak na wezwanie do modlitwy w kristiańskiej świątyni.

Tarcza wytrzymała uderzenia, ale w trzymającej ją ręce pękła kość. Okrągłe żelastwo upadło z brzdękiem na ziemię, odsłaniając bok włócznika. Ali rąbnął właśnie tam – gdyby miecz był ostry, gwardzista zostałby przecięty na pół, a tak wykpił się pękniętymi żebrami. Zachwiał się, ale nie upadł, bo Czarny Achilles chwycił go wolną ręką, a następnie podniósł i odrzucił w bok. Żołnierz w zielonym klivanionie poleciał szerokim łukiem, by z pluskiem wpaść do basenu wchodzącego w skład spiny. Utrącił przy tym pyszczek kamiennej rybie, która rzygała wodą do zbiornika.

Podniosła się wrzawa.

Biała sowa szalała. Latała nad głową Alego i kręciła głową o mściwej ludzkiej twarzy. Przysiadła na żołnierzu pływającym w basenie, wyjadała

mu język z ust i chłonęła odgłosy dławiącego się, prychającego wodą gwardzisty.

Czarny Berserk liznął przez chwilę szczęścia, zatracając się w gniewie, ale zaraz zdołał się pohamować, bo wiedział, że nie nastał jeszcze właściwy czas na bitewną aesmę. W myślach odmówił jasztę na cześć Wertragny, która pozwoliła mu uspokoić rozszalałe serce. Zakręcił nad głową mieczem, dając znak swoim, by przystąpili do ustalonego planu bitwy.

Miało to być niezapomniane widowisko, więc berserk robił, czego od niego oczekiwano. Uniósł dłonie i okręcił się dookoła, zachęcając widzów do dalszych okrzyków. Na chwilę jego wzrok zatrzymał się na łoży autokratora. Od razu dostrzegł Skalda w czerwonym skaramangionie, który wśród strojnych kogucików wyróżniał się postawą i wzrostem. Ainar sącył wino, a nogi opierał o kamienną poręcz łoży. I uśmiechał się. Sowa przysiadła na ramieniu Blamada, polizała go całkiem ludzkim językiem po uchu i wyszeptała: „Zabij, zabij, zabij”. Odegnął ptaka wolną ręką, ale nie potrafił wyzbyć się rosnącej wściekłości. Po raz kolejny nadstawiał karku dla pieśniarza, a ten tylko spijał piankę z piwa, które nawarzył. *Hama* znów nadleciała, usiadła na głowie Alego i puknęła go w czoło. „Co cię obchodzą jego monety?” – zahuczała. Tym razem nie potrafił już odegnąć sowych myśli. Diarfa należało zabić, gdyż był parszywcem krzywdzącym kobiety. A Czarny Achilles bardzo tego nie lubił. „Zdobądź merk, zdobądź merk” – podpowiedział mściwy duch Tirusa i berserk się z nim zgodził, choć wygrana oznaczała stratę dla poety.

Za plecami Blamada stanęło dwudziestu Vaeringów ustawionych w *svinfylkja*, czyli w szyku, gdzie pierwszy szereg tworzyło dwóch wojów, kolejny trzech, następny o jednego więcej i tak dalej aż do rzędu piątego. Pysk tego łba świni stanowił Ali i trzy znajdujące się za nim szeregi wojów uzbrojonych w długie topory, a resztę głowy tworzyli drengowie z tarczami i mieczami.

Spatharios zwany Czarnym Berserkiem poprowadził Vaeringów do boju.

Naprzeciw nim wyszło trzydziestu Zielonych ustawionych w sześciu

rzędach. Był to głęboki i przypominający czworobok szyk, dokładnie taki, jaki należało przeciwstawić atakującym najemnikom. Tyle że Grikkmadowie nie wiedzieli, ile potrafi zdziałać Ali mieczem, a drengowie toporami.

Trzydzieści kroków od nieprzyjaciela zaczęli biec.

Żołnierze zielonego demu zatrzymali się, zaparli nogami i schowali za ścianą tarcz.

Atakowanie najeżonych mieczami szeregów, kiedy samemu nie nosiło się zbroi, wiązało się z pewnym ryzykiem – jak mawiali odważni, lub pewną śmiercią, jak przekonywali tchórze. Ali miał na to własny sposób, wyćwiczony w dziesiątkach bitew i potyczek. Siła oraz strach. Pięć kroków przed nieprzyjacielem krzyknął „mniam!” i obnażył zęby, by wróg nie miał wątpliwości, co berserk zje dzisiaj na kolację. Długie ramiona i olbrzymi miecz sprawiały, że mógł uderzyć, nim dosięgną go obrońcy. W biegu wziął potężny zamach zza głowy i dwa kroki od celu grzmotnął nim z góry na dół, nie po to by zabić, ale zrobić wyłom.

Ktoś zawsze nie wytrzymał. Tym razem był to największy spośród Grikkmadów, który widząc opadający miecz, cofnął się o pół kroku i uniósł tarczę, odsłaniając nogi, a jednocześnie łamiąc szereg. Tyle Blamadowi wystarczyło. Jego *spathion* uderzył w tarczę, łamiąc ją na pół, a w powstałą lukę rąbnął topór Diarfa, który biegł za plecami berserka. Ali poczuł za uchem świst kolejnych siekier drwali z Północy i metaliczny odgłos ścinania grikklandzkich drzew.

– Wchodzą gładko jak w tłustą pornaskę – oznajmił Skald w mowie Północy, by zrozumiał go tylko Slavomirus.

– Nie wiem, z czego tak się cieszy nasz wspianiały konung. Przecież obstawił Zielonych.

– Ale zawsze kibicuję swoim.

Ainar zatańczył brwiami, unosząc najpierw prawą, potem lewą,

a następnie nimi falując. Jeszcze się nie denerwował, bo przecież nakazał Alemu, by Vaeringowie pokazali się z dobrej strony. Bądź co bądź w oczach wszystkich gości Kathismy walczący najemnicy byli najlepszymi wojami konunga kłopotliwego, lepiej więc, by sam autokrator był przekonany, że wojowie z Północy są warci rogi, którą im płacił. Najbardziej pasowało poecie, by o klęsce błękitnego demu zdecydowało nieudolne dowództwo Grikkmadów ze Scholi. Ci jednak jak na razie stali i, podobnie jak widzowie na trybunach, przyglądali się starciu.

Pieśniarz w niejednej bitwie czerwienił miecz, więc szybko się zorientował, jakie drogi prowadziły do zwycięstwa. Spina przecinała arenę na dwie części, więc należało pilnować obu kierunków możliwych natarć. Teraz potyczka trwała od strony wschodniej, tej bliższej łoży, ale że nie brali w niej udziału wszyscy żołnierze, atak od drugiej strony wciąż był możliwy. Dlatego Zieloni i Błękitni pilnie strzegli swoich met. Część gwardzistów rozproszyła się jednak po całym Hipodromie, by w małych grupkach albo nawet pojedynczo odważną szarżą zdobyć merk przeciwnika, gdyby któraś ze stron wysłała ludzi w bój i zostawiła słabiej obsadzoną metę. Ci samodzielnie operujący żołnierze przeprowadzali pozorowane ataki lub wdawali się ze sobą w pojedynki po zachodniej stronie spiny, gdzie znajdował się Trybunał, czyli łoża dla sędziów.

Tymczasem Vaeringowie przedarli się już do piątego szeregu Grikkmadów i tam utknęli, choć wcześniej zniwelowali liczebną przewagę przeciwnika.

- Niektórzy chyba oszukują – zauważył Slavomirus.
- Po prostu drenga z Północy trudniej powalić, aby zaś zabić Romeja, wystarczy byle skaleczenie.

Podstawą zabawy tęnym orężem była zasada, że każdy trafiony ciosem, który w bitwie okazałby się śmiertelny, miał porzucić broń i wycofać się z walki. Wierzono w uczciwość i honor żołnierzy. Najemnicy musieli jednak pojąć tę regułę opacznie, bo bili każdego, kto utrzymywał się na nogach, a sami walczyli tak długo, aż ktoś ich powalił. W ten sposób już dwunastu żołnierzy Zielonych się poddało, podczas gdy tylko dwóch

Vaeringów leżało na ziemi z połamanymi nogami. Widząc ten niekorzystny obrót sprawy, dowódca Ekskubitów posłał w bój jeszcze ośmiu ludzi, pozostawiając tylko pięciu żołnierzy do obrony własnej mety.

Trybun Aretes nie był dziewicą pola bitewnego, toteż gdy zobaczył nadarzącą się sposobność, natychmiast posłał piętnastu swoich ludzi, by okrążyli spinę od zachodu i uderzyli na strażników zielonej mety.

– Orfeusz z Północy ma dzielnych wojów, którzy przyniosą chwałę jemu, ale napełnią skarbiec ubogich. – Chyba pierwszy raz tego dnia Nikefor wyglądał na ucieszonego, a jego zazwyczaj strapiona twarz rozjaśniła się słabym uśmiechem.

Pieśniarz nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w walczących i krzyczał w myślach: Na co jeszcze czekasz, czarna maso?! Berserk z Vaeringami mieli tkwić przed lożą i popisywać się przednią walką przed autokratorom, ale zupełnie nie przejmować się, gdy ktoś zechciałby ich okrążyć i zdobyć chorągiew Błękitnych! Blamad sam ustalił taki plan. Tymczasem Ali walczył tak, jakby w pojedynkę chciał wygrać bitwę, i pokrzykiwał jeszcze w mowie Północy, by nikogo z wrogów nie przepuszczać w kierunku własnej mety!

Czarny Berserk ciął zamazyście, łamiąc komuś nogę uderzeniem tępego miecza.

– Skjaldborg, skjaldborg! Musimy stanąć w murze tarcz, by nikt się nie przedarł! – Ali wywijał mieczem i wściekle rzucał polecenia, ale choć jego głos był na tyle donośny, by dotrzeć do przysłoniętych żelaznymi hełmami uszu wojowników, nikt jednak go nie słuchał. Drengowie byli wierni Nawlekaczowi. Jeśli Blamad miał przejąć dowodzenie, musiał się pozbyć Diarfa, co zresztą i tak było mu na rękę.

Kątem oka dojrzał stojącego nieopodal przywódcę najemników, zbliżył się do niego, wziął zamach znad prawego ramienia i wymierzył tak, by miecz trafił w tarczę brodatego Ekskubity, ale po drodze zahaczył sztychem o szyję Vaeringa. Nawet tępe żelazo może zmiażdżyć ludzką grdykę. Takie

wypadki zdarzały się często, zwłaszcza w walce u boku berserka. Diarf uchylił się jednak, zawinął toporem, po czym uderzył Alego trzonkiem. Ból w piersi tylko podniecił sowę do głośniejszego pohukiwania i sprawił, że Żelaznoboki Odyniec naprężył okowy oraz zakwiczał w głowie wytatuowanego wojownika pieśń o gniewie.

– Wiedziałem, że ten pies będzie mnie chciał zdradzić! – syknął Nawlekacz.

– Padniesz tu nie z jego woli, ale dla mojego kaprysu!

Najemnik roześmiał się, a śmiech ten przebił się nawet przez wrzawę walczących.

– Mieszasz się do spraw, których nie pojmujesz, mój czarny przyjacielu. Służ mi, a moja pani cię ozłoci.

– Nigdy! – krzyknął Blamad i uświadomił sobie, że ową panią Diarfa mogła być młodsza augusta, której sam też częściowo służył. Odrzucił tę myśl i zaatakował.

Dreng z Północy nie przyjął jednak walki. Skrył się za najbliższym Grikmadem i zawołał:

– Odwrót!

Zaskoczeni byli nawet Ekskubici, którzy wyraźnie przegrywali starcie. Vaeringowie zaczęli się cofać, a niektórzy odrzucili nawet broń, udając trafionych.

– Trzymać szereg! – próbował ratować sytuację Ali, ale nikt go nie słuchał.

Żołnierze w zielonych napierśnikach szybko odzyskali pewność siebie i ze zdwojoną siłą natarli na najemników. Dołączyła do nich również ósemka gwardzistów przysłanych im na odsiecz. Z wysokości trybun musiało się wydawać, jakby drengowie wystraszyli się okrążenia i zaczęli się cofać. A zaraz potem uciekać.

– Co to ma znaczyć, na święty mandylion Kristosa?! – Nikefor nie był

jedynym oburzonym w Kathismie. Denerwowała się większość zasiadających w łoży, bo niemal wszyscy z otoczenia basileusów kibicowali Błękitnym. – Twoi Vaeringowie ośmieszają naszą faksję!

Skald również nie wiedział, co się dzieje. Diarf na czele swoich ludzi otwarcie uciekał i żegnany gwizdami kierował się ku *carceres*. Większość Grikkmadów, którzy dotychczas walczyli z Vaeringami, uderzyła na obrońców błękitnej mety, a reszta wróciła wspomóc obrońców swojego sztandaru.

– Albo twoi Tauroscytowie są tępyimi nieudacznikami niewartymi połowy rogi, jakie pobierają, albo wszystko to ustawileś, by wygrać ode mnie nomismy!

– Przegraliście, bo Błękitnymi dowodził nieudacznik. Powinien wyznaczyć najemników do obrony, a nie do natarcia.

Wytlumaczenie było naciągane, ale Ainar na razie nie znalazł lepszego. Zaczynał podejrzewać, że Nawlekacz celowo się wycofał, by ośmieszyć swojego konunga, tyle że głupiec nie wiedział, iż dzięki temu pieśniarz wygra pokaźny stos monet. Brzęczące złoto zawsze poprawiało poecie nastrój, więc był gotów znieść tę rysę na wojowniczej sławie ludu Północy.

– Uważaj, bo łaska autokratora i rodu Fokasów nie jest dozgonna! Hojnie nagradzamy służbę, ale z mocą archanioła Michaela mścimy się na zdrajcach i diabelskim pomioce!

– Nie tacy wielcy mi grozili. I nie jestem sługą gardskonunga, tylko jego sprzymierzeńcem! Baczcie więc i wy, Romejowie, bym sobie nie musiał szukać innych przyjaciół!

Domestyk Scholi poczerwieniał, a jego czarne brwi złączyły się nad czołem i wykrzywiły w gniewnym grymasie. Po chwili zdołał się jednak uspokoić i powiedział chłodno:

– Dostaniesz monety, które wygrałeś. Wszakże o waszej zapłacie za kolejny rok porozmawiam z autokratozem.

Ainar skłonił głowę i uśmiechnął się bezczelnie, tak jak mu to najlepiej wychodziło.

Bitwa na arenie była już rozstrzygnięta. Jedynym walczącym pozostał Ali, choć w zasadzie i on nie miał się już z kim potykać. Owładnięty szalem tkwił przed Kathismą i bił Grikkmadów, aż tym przeszła ochota do walki i tylko krążyli wokół niego z wyciągniętymi włóczniami. Sztandar Błękitnych został zdobyty i dwóch Ekskubitów dumnie biegało z nim po arenie. Walka przy mecie Zielonych też ustała, bo choć gwardziści ze Scholi osiągnęli tam sporą przewagę, wobec utraty swej chorągwi nie mieli już o co się bić. Trybuny wrzeszczały, chwaliły, ganiły, gwizdały i klaskały, zależnie od upodobań widzów.

Po Vaeringach nie zostało na arenie śladu. Wkrótce znikli też inni przegrani, a zaraz potem i wygrani, gdyż bitwa nie była ostatnią zabawą dnia, należało więc uprzątnąć tor. Tradycyjnie luperkalia kończyły się wyścigiem pieszych biegaczy, a wcześniej czas kibicom miała umilać słynna pieśniarka i tancerka.

Ainar nawet nie pytał Fokasa, czy ma ochotę na kolejny zakład. Po raz... no, nie pamiętał już który, nakazał napełnić sobie kielich i wypił go na jeden raz, oddając cześć zwycięzcy, czyli sobie.

Ali nie rozumiał i zrozumieć nie chciał, co tak naprawdę się wydarzyło. Wiedział tylko, że Błękitni przegrali, ale władający nim szal był przyjemny, prosty i niewymagający myślenia. Blamad uwielbiał i zarazem nienawidził tak się zatracać. *Hama* w końcu została zaspokojona i mogła do woli zlizywać krew z poranionych żołnierzy. Bitewny zapał począł mijać i berserk zauważył, że na arenie nie został już nikt, z kim mógłby walczyć. Ostrożnym łukiem omijali go chłopcy demowi, którzy znosili rannych, zbierali porzuconą broń i wyrównywali grabiami tor. Dostrzegł, że jego miecz jest nie tylko tępy i wyszczerbiony, ale i złamany w połowie. Rzucił go na ziemię i powolnym krokiem ruszył ku *carceres*. Żegnały go brawa i okrzyki, ale jemu było wszystko jedno. Cóż znaczyła dla niego opinia prostego ludu? Przeszedł pod łukiem głównego wyjścia i wtedy, podążając za wzrokiem dziwnie pohukującej sowy, spojrzął na mijaną kobietę.

Rozpoznał w niej tancerkę Eirene, kobietą nieżyjącego już młodszego woźnicy.

Skald zamknął oczy, zamierzając popaść w pijacką drzemkę i obudzić się dopiero na wyścig biegowy. Z niebytu wyrwał go jednak dziewczęcy głos, który przypomniał mu o śniegach w górach Noregu i o uczcie w halli konunga. Dziewczyna śpiewała po vaerińsku, a słowa układały się w sprawny i miły dla ucha rytm skaldycznego utworu. Bez trudu rozpoznał miarę *ljóðahátt*, której sam najchętniej używał. Skąd tu wzięli pieśniarkę z Noregu? – zapytał sam siebie. Spojrzał na śpiewaczkę i po raz pierwszy w życiu wypuścił z ręki kielich z winem.

Rozpoznał dziewczę ze swoich snów. Tę całą we krwi, która tuliła go do piersi lub topiła, pozbawiając oddechu. Była młoda, piękna i miała w sobie całą dzikość oraz surowość Północy.

*W Noregu narodzony
Niezawodny łamacz ugód;
Kłopotliwy od kołyski.
Psoty węgłożerca
Wyczyniał i wstydem
Ojca swego okrywał.*

Piękność stała tuż pod lożą Kathismy, tak by najważniejsi kibice w Hipodromie mogli ją usłyszeć. O to, by ją także zrozumieli, dbał grikklandzki chór. Dziewczyna przerywała po każdej strofie, dając mu czas, by odśpiewał jej słowa w języku basileusów. W ten sposób pieśń docierała w najdalsze części trybun, choć jej grikklandzka wersja nie była nawet w połowie tak miła dla ucha, jak dźwięki wydobywające się z ust prawdziwej skaldmaer, panny pieśni.

*Miód pił miast mleka,
Od młodości mordował,
Kradł kupcom i konungom.
Rodziny zaprzedaniec,
Imienia zaparł się ojca;
Wygnaniec własnego rodu.
Przemierzał świat griðníðingr –
Pokoju gwałciciel,
Mistrz marnych miar i mów.
Hersira Haralda – jarla,
Halfridy ojca i swego pana –
Zdradził, znieważył i zabił.*

Niewolnik uprzętnął już rozlane wino i wręczył Ainarowi nowy kielich. Skald odruchowo go przyjął, ale nie podniósł do ust. Nie mógł oderwać oczu od dziewczyny i powoli docierała do niego wiedza tak niedorzeczna, że musiała być prawdziwa. Kobieta śpiewała o nim! Dziewiętnaście lat temu, jeśli pamięć go nie zwodziła, dla skrzyni ze srebrem zabił jarla Haralda. Wiedział, że na Północy wciąż krążyło o nim wiele opowieści, ale nie przypuszczał, że sława akurat o tym czynie dogoni go aż tutaj. Kto by chciał rozpamiętywać jedno z jego najmniej znanych dokonań? Sam popełnił od tego czasu tyle innych łotrostw, że niemal zapomniał o pierwszym jarlu, któremu służył. Wydawało mu się, jakby wtedy był innym człowiekiem, choć dziś nie wyglądał dużo starszej od młodzieńca z tamtych lat.

*Kruki wszędzie karmił,
Aż wygnaniem został
Na Północy pokarany.
Gardariki, Glaesir*

*Czy Grikklandzkie ziemie
Nawiedzał, niosąc niepokój.*

*Konungiem kłopotliwym
Kował słów się obwołał,
Panem Północy całej,
Gdzie wężowym językiem
Wszyscy wołają varga,
Niemęskiego nidinga.
Przybył do pałaców
Basileusa polis
Służbę swoją sprzedając.
Rogę wziął i rozkaz
Rychłego rozgromienia
Kussarów na Krecie.*

*Zapłatę zabrał, zaś
Zamiast zdobywać, zaprzedał
Służbę Serklandczykom.
Dwa dwory dreng odwiedza,
Dwie zapłaty dostaje
Skald Ainar sprzedawczyk.*

Niepokój, który narastał w Östmadzie z każdą zwrotką, osiągnął swój szczyt, po czym zniknął. Morski konung ponownie nabrał ochoty, by się napić. Opróżnił cały kielich, przeczuwając, że nieprędko będzie miał okazję raczyć się tak znakomitym napitkiem, w czym utwierdzały go niechętnie spojrzenia kibiców z łoży. Skaldmaer chciała go zniesławić w oczach gardskonunga, osłabić pozycję pieśniarza na dworze i być może pozbawić go szansy dalszej służby u boku autokratora. Konung Północy nie

przejął się tym jednak zbytnio, bo wiedział już, kim była śpiewaczka. Miał przed sobą Selę Ainarsdottir, własną córkę. Pomyślał, że wyrosła na piękną i sprawną pieśniarkę, a na dodatek nie mniej kłopotliwą niż jej ojciec.

Opowieść o miłości 4

Po ostatnim pytaniu przybysza z Byzantionu Słupnik stracił dobry nastrój i przestał przywoływać mądrości dawnych poetów. Siadł tylko na szczycie pała, ukrył twarz w dłoniach i zaczął mamrotać pod nosem. Niektórzy pomyśleli, że pustelnik popłakiwał, inni, że gorliwie się modlił. Rybacy rozeszli się więc do domów, bo i ciemno się zrobiło, i w brzuchach zaczynała doskwierać pustka.

– Pora już chyba zejść, Słupniku? – zapytał najbardziej wygadany i najgorzej wysławiający się obcy.

Mnich nie odpowiedział.

– Siedź tam sobie zatem. Moi ludzie nie na darmo taszczyli ze sobą siekiery.

Na dany przez przybysza znak dwóch żołnierzy podeszło do pała, ustawiło się po jego przeciwnych stronach i wzięło zamach toporami.

– Stójcie! Sam zejść. Nim to jednak uczynię, muszę coś wyjaśnić. Bez względu na to, co myślicie, nie ukrywam się przed wami. To moja pokuta, którą sam sobie nałożyłem. Zarówno ty, Ainarze, jak i ty, drogi Ali, jesteście moimi przyjaciółmi i nimi pozostaniecie, nawet jeśli przyjdzie mi dać gardło za to, co wam uczyniłem.

Pieśniarz gestem nakazał wojom, by wstrzymali się z drwalską robotą.

– To zejdź do mnie, mój ty *mikill vinr*, i uściśnij starego towarzysza. – Mistrz szyderstw przeszedł na mowę Vaeringów, która jemu bardziej pasowała, a innym nie wadziła.

Pustelnik chwycił linę, przełożył nogi przez barierkę i powoli się zsunął. Nie było to łatwe zadanie, bo u prawej dłoni brakowało mu trzech palców. Na dole otrzepał się z ziemi, wyprostował i umocniony pijacką odwagą

śmiało spojrzął najpierw na pieśniarza, potem na Alego.

– Dobrze widzieć was w zdrowiu. Ciebie też, Slavomirusie. Tamci dwaj to zapewne ludzie konunga Północy? Zatem i ich pozdrawiam. Dziękuję też za cierpliwość, jaką okazaliście w dniu Naszego Pana, choć wiem, że nie z dobrej woli czekaliście do wieczora, ale chcieliście, abyśmy zostali sami. Znam od złej strony mojego przyjaciela Ainara, domyślam się zatem, że chciał w ten sposób wzbudzić we mnie strach. Miałem tkwić na słupie i przez pół dnia lękać się chwili, gdy się ze mną rozmówicie. Ale jestem pogodzony z Bogiem oraz światem, więc śmierć mi niestraszna. Nie łudzę się, że wzbudzający trwogę na całej Północy karmiciel kruków okaże przebaczenie, a i o gniewie Alego Czarne Berserka słyszałem straszliwe opowieści.

– Za dużo gadasz. – Skald wyjął zza koszuli nożyk do rzeźbienia i przystawił jego ostrze pod nos Słupnika. – Skoro tak dużo wiesz, pewnie i to poznajesz, Finlogu Bardzie?

– Słynny nożyk do rzeźbienia? Dałeś go niegdyś Seli. Tak. Dobrze go pamiętam i wiem, że potrafisz nim równie pięknie tworzyć, jak niszczyć, a bez względu na to, czy twoim materiałem jest drewno, czy ciało, obie te czynności śmiało zwiesz rzeźbieniem. Nie musisz mi grozić. Odpowiem na wszelkie pytania. Właściwie to na was czekałem.

– Jak na kogoś, kto wcale się nie chowa i jeszcze nas oczekuje, długo dałeś się szukać – wtrącił Blamad. – Jeszcze trzy tygodnie, a musielibyśmy wypłynąć w morze bez rozmówienia się z naszym drogim przyjacielem.

– Sam przybyłbym do miasta, gdybyście mnie nie odnaleźli. Pragnę wam wszystko wyjaśnić.

– To wyjaśnij! – Składacz strof pogroził nożykiem, a następnie wskazał nim kierunek, w którym winien spoglądać Słupnik. – Widzisz to ognisko? Ali opowiadał ci, co stało się z kaganem, z którym kilka miesięcy temu rozmówiliśmy się na osobności?

– Nie.

– Oj. To niedobrze. Czarny Berserk ma jednak to szczęście, że podróżuje z pieśniarzem, od którego wymaga się przecież, by opiewał sławę

towarzyszy. Otóż twój uczony przyjaciel, z którym z taką lubością pisałeś książki, czasem zjada ludzi. I coś mi mówi, że dziś ma ochotę na pieczonego mnicha.

– Byłego mnicha.

Östmad wziął zamach i uderzył Finloga otwartą dłonią. Policzek Barda od razu pokrył się czerwienią.

– Nie poprawiaj mnie. Nie słyszałeś, że teraz jestem konungiem? Władza nie znosi sprzeciwu.

Pustelnik posłusznie skinął głową.

– Tak lepiej – pochwalił go hag. – Powiedz zatem, dlaczego w Miklagardzie powitałeś mnie śmiertelnym jadem?

– Śmiertelnym? W żadnym razie. Przecież dodany do fouski wywar tylko usypiał.

– Tylko usypiał? Po nim Slavomirus tygodniami leżał bez ducha, a i ja chorowałem przez dzień i noc, choć Ali pięścią wycisnął ze mnie większość jadu.

– No cóż... – Pustelnik się zawahał. – Wiązało się to z pewnym ryzykiem, ale naprawdę bardzo rzadko zastosowany przeze mnie wywar wywołuje śmiertelne skutki. Slavomirus też szybciej doszedłby do siebie, gdyby nie był taką mizerotką i nie wyżłopał tyle fouski. Musisz mi uwierzyć, że nikt nie chciał cię otruć. Miałem cię tylko uspić, a potem wywieźć z miasta, zanim zaczniesz sprawiać kłopoty i dotrzesz na dwór gardskonunga.

– Z polecenia Diarfa?

– Nie Diarfa. To znaczy niezupełnie jego. On jest za głupi na takie plany i myśli jak typowy Vaering. Zabić, zrabować, odebrać zapłatę. To ona wszystko wymyśliła. Sela, niegdyś zwana Znajdą. Twoja córka.

Ainar cofnął nożyk, który od dłuższej chwili znów trzymał przy twarzy rozmówcy. Wyglądał na lekko zaskoczonego, ale i zadowolonego, jakby właśnie usłyszał, że jego dziecko wyrosło na wspaniałego człowieka.

– Nie mogła tego sama załatwić? Przecież miała dostęp do tego Maksyma, młodszego woźnicy.

– Jest bardzo zdolna, ale nawet ona nie potrafi uwarzyć odpowiedniego naparu nasennego. I nie знаła miejscowych, którzy mogliby podrzucić ci dzban z napitkiem. Do Maksyma dotarła znacznie później, gdy dowiedziała się ode mnie, kto mi pomógł. Dzięki niemu wkupiła się w łaski błękitnego demu, a chłopaka dodatkowo wykorzystywała, by nakierować Alego na zły trop. Nie wiem jednak, dlaczego chciała, byście winnych szukali w otoczeniu augusty Teofano.

– Przynajmniej dużo za mnie zapłaciła?

– Myślisz, że zdradziłem przyjaciela dla pieniędzy? Wciąż pamiętam, że uratowałem mi życie, co więcej, głęboko wierzę, że gdzieś tam w środku ciebie kryje się dobry człowiek.

– A jednak wbiłeś mi nóż w plecy.

Twarz Słupnika posmutniała, wyrażając prawdziwy żal.

– Nie ma dla mnie przebaczenia. Sela mówiła jednak, że nic ci się nie stanie, że tylko chce się z tobą rozmówić i podziękować za wszystko, co jej uczyniłeś. Ale mimo tych zapewnień i tak bym się nie zgodził, gdyby nie zagroziła, że zabije Hvitę.

– Tę czarnowłosą córuchnę Gefny, która niegdyś zgwałciła pół klasztoru? Coś wspominałeś, że przez ostatnie lata wypinała się przed tobą za darmo.

– Nie mów tak o niej! – Bard hardo spojrział na poetę. – Jest mi żoną od czternastu lat!

– Mnich i wiedźma, która we śnie daje. Kto by pomyślał? Zdziwi cię, że i mnie twoja Hvita czasem nawiedzała?

– Wiem, że to robiła. Musiała. Twoja córka jej kazała.

– Kochane jest dziecko, które dba o potrzeby tatusia.

– Czy dla ciebie wszystko jest żartem?!

Skald podrapał się nożykiem po policzku i zafalował brwiami. Bardzo się starał wyglądać na bezczelnego drenga, ale w środku targały nim sprzeczne uczucia. Tęsknota, miłość i chęć mordy.

– Jesteśmy żartem Göllnira, który krzykiem powołał nas do życia. Jak

inaczej niż śmiechem odpowiadać na te pohukiwania losu?

– Choćby pokorą i wyrozumiałością dla drugiego człowieka.

– Zbaczasz ze ścieżki, Siedmiopalczasty Mniczu. Mów dalej o Seli. Skoro wspólnie z Diarfem chcieli mnie otruć, czy też ukatrupić, dlaczego poprzestali na pierwszej próbie? – Poeta nie ufał wyjaśnieniom mnicha, więc dla większego efektu gróźb postanowił trzymać się wersji, że podano mu śmiertelny jad.

– Bo wszystko zepsułeś swoją umową z autokratozem. Początkowo plan był prosty. Wiosną, kiedy Diarf z Selą pojawili się w Miklagardzie, Nawlekacz najął się na służbę do gardskonunga, a twoja córka wraz z kilkoma swoimi ludźmi została, by oczekiwać na twoje przybycie. A że przybędziesz, tego byli pewni. Uwięzili przecież moją Hvitę, nakazali jej śnić o tobie i przywoływać cię do Basilis Polis. Wystarczyło poczekać.

– Rację miała moja babka: kobieta jest wierna, dopóki jej płacisz. I pomyśleć, że wtedy, przed laty, uratowałem tej seidkonie życie.

– Nie miej jej tego za złe. Musiała to zrobić, a nie mogła cię ostrzec we śnie, uwięzili ją bowiem na wyspie, z dala ode mnie, i zagrozili, że jeśli nie przybędziesz do zimy, to mnie zabiją. Oboje zmuszali nas do posłuszeństwa, wykorzystując miłość, którą się darzymy, troskę, jaka...

– Jeszcze słowo o miłości, a nie doczekasz końca swojej opowieści.

– Nie tylko twoja twarz, lecz i gwałtowność wciąż nosi piętno młodości. Ale dobrze. Wracając do opowieści... Ostrzegałem ich, że wszystko, co się z tobą wiąże, lubi się plątać niczym nić w rękach pijanej tkaczki. Nie słuchali. Oczekiwali, że przypłyniesz jako rapsod śpiewający za monety, a ty wkroczyłeś do miasta niczym wasz bóg Magni do krainy olbrzymów, z hukiem rozwalając łeb buntowi zielonego motłochu i od razu przykuwając uwagę władz miasta. Należało działać szybko, więc Sela wysłała mnie z lekiem Morfeusza.

– Z czym?

– Z lekiem nasennym, który ty uparcie, acz błędnie nazywasz jadem. Mniejsza zresztą o nazwę, bo i tak wyszedłeś cało z tej opresji. A kiedy

spotkałeś się z autokratozem i przedstawiłeś jako konung Vaeringów, stało się jasne, że nie uda się cię po cichu usunąć. Twoja córka zmieniła więc plany. Za cel obrała zniszczenie twojego dobrego imienia. No, może „dobrego” to w twoim przypadku za dużo powiedziane, ale przynajmniej chciała splamić, jak wy to mawiacie u siebie, twój tign i tir, byś stracił wiarygodność jako najemnik i by żaden konung nie przyjął cię więcej do swojego otoczenia. Kazała więc Nawlekaczowi przystać do serklandzkich kussarów, a następnie zawrzeć z tobą sojusz, by piętno zdrady naznaczyło i cię. *Roga*, którą dzięki tobie otrzymali ze skarbcza basileusa, była dla nich tylko dodatkiem.

Finlog ściągnął kaptur i pokornie spuścił niemal łysą głowę. Wyglądał, jakby zamierzał płakać.

– Jeśli Sela cały czas była obecna w Miklagardzie, w jaki sposób wszystko to mogła zaplanować, mój ty nieszczęsny misiaczku? – wtrącił się do rozmowy Slavomirus. – Przecież od Diarfa oddzielało ją morze.

Poeta wzruszył ramionami, jakby uważał pytanie za głupie, ale wyręczył Barda w udzieleniu wyjaśnień.

– Diarf miał na usługach seidmada, którego duch odwiedzał Skaldmaerę i przyjmował od niej rozkazy.

Finlog kiwnął głową na znak potwierdzenia.

– A co z uciętą dłonią? – Ali wyjął z ogniska płonącą żagiew i zbliżył ją do mnicha. – Ją też podrzuciłeś?

– Nic o tym nie wiem. W życiu niczego nikomu nie uciąłem.

– Tym bym się już nie przejmował. – Ainar prychnął lekceważąco. – Już jakiś czas temu domyśliłem się, że to musiał być któryś z hamramirów. Z Thery dochodzą wieści o podobnych wydarzeniach.

– Jak miło, że konung wreszcie podzielił się z nami mądrością. – Tym razem berserk przesunął żagiew ku twarzy pieśniarza. – Mógł o tym wspomnieć trochę wcześniej, na przykład gdy prowadziłem śledztwo w tej sprawie.

Hag uniósł lewą wargę, na wilczy sposób odsłaniając kiel. Przełożył

między palcami swój stary nożyk do rzeźbienia, po czym sprawdził jego ostrość, wodząc nim po przedramieniu.

– Skoro wszystko mamy już wyjaśnione, wróćmy do naszego bogobojnego mnicha. – Karmiciel kruków wskazał Finloga ostrzem. – Podobno jesteś niezłym poetą. Chcę usłyszeć coś twojego.

– W obliczu śmierci przychodzi mi do głowy tylko jedno:

*Óuius est Deus
et ubi est Deus
et cuius est Deus
et ubi habitaculum eius?*

– Nawet ładne. A jak to będzie w mowie Pólnocy?

*Kim jest Bóg,
Gdzie jest Bóg,
Czym jest Bogiem
i gdzie jest jego siedziba?[\[11\]](#)*

– Wieczny problem z wami, Kristmadami. Tyle o tym swoim Bogu prawicie, a nawet nie wiecie, gdzie pomieszkuje.

– Wiem, że podąża za ręką, która odważnie broni jego imienia. Powiedziałem już wszystko, co chciałem. Jestem gotowy.

Irskmad złożył dłonie do modlitwy, klęknął i z pochyloną głową czekał na śmierć.

– Przed laty w klasztorze opowiadałeś mi o złotym cielcu. Czy ja wyglądam jak jeden z nich, że zostałeś moim ofiarnikiem? A może przypominam ci drewniany słup o trzech twarzach, przed którym żercy padają na kolana?

Siedmiopalczasty Mnich uniósł głowę i podejrzliwie spojrział na konunga Vaeringów.

– No nie patrz tak, tylko wstawaj. Rano chcę być w Miklagardzie.

Słupnik nie ruszył się z miejsca.

– Nie zabijesz mnie?

Władca Północy nadal bawił się nożykiem, stukając jego czubkiem o paznokcie. Przez kilka uderzeń serca napawał się niepewnością uczonego męża.

– Zawsze spełniam swoje groźby, ale śmierci nigdy ci nie obiecałem. Sam w swojej wszechwiedzy to założyłeś. Za kogo mnie masz? Nie zabijam przyjaciół, a już zwłaszcza pieśniarzy.

– Od kiedy? – dodał Ali.

– Od jutra, jeśli nie zamilkiesz, czarny trollu. Finlog jest mi przyjacielem z dawnych lat, który zawinił tylko kochaniem śniącej kobiety. Wszystkim nam zdarza się popaść w kłopoty z miłości. Zresztą dla naszego mnicha lepszą karą niż śmierć będzie świadomość, że tylko ja mogę odnaleźć Hvitę i uratować jego lubą.

Bard, dotychczas tak dzielny, rozpląkał się jak małe dziecko. Łzy obficie spadały na ziemię, mieszając się z błotem, a twarz wykrzywiła się w grymasie pełnym bólu, ale też niespodziewanej radości, nadziei oraz ulgi. Po chwili trochę się uspokoił i wciąż łamiącym się głosem oznajmił:

– Zaprawdę powiadam wam: Jedyne potrafi okazać łaskę nawet rękami najbardziej krnąbrnego ze swoich dzieci.

Skald uśmiechnął się od ucha do ucha, by nikt nie miał wątpliwości, kogo uczoney miał na myśli, a następnie kazał ludziom się zbierać.

Slavomirus pomógł wstać mnichowi, po czym zarzucił mu na ramiona przyniesiony przez siebie płaszcz. Żołnierze zagasili ognisko i wzięli pochodnie.

– Musisz mi jeszcze opowiedzieć, drogi Finlogu, jak to się stało, że moja córka popadła w tak podłe towarzystwo, oraz wyznać, dlaczego ty i Hvita również pojawiliście się w Miklagardzie.

– To długa historia.

– Mamy czas. Przed nami długa droga.

Skald wysłał żołnierzy przodem, a sam z płonącą żagwią w dłoni ustawił się między Bardem a Alim, jakby bał się samotnie iść w ciemnościach. Niedbałym machnięciem ręki zachęcił irskiego duchownego do mówienia.

– Ostrzegam, że moje słowa ci się nie spodobają.

– Lubię słowa.

– Dobrze więc. Zacznę od tego, że Sela świetnie się chowała i była dobrym dzieckiem do czasu, aż postanowiła odszukać swojego dziadka, a twojego ojca.

Ainar zatrzymał się w pół kroku i splunął na ziemię. Jego twarz wykrzywiła się w strasznym, nawet jak na niego, grymasie. Uważnie przyjrzał się wyłysiałemu przyjacielowi, jakby chciał zbadać, czy były duchowny go nie okłamuje. Pozostali też stanęli, nie wiedząc, co się dzieje.

– Ten stary cap jeszcze dycha?

– Żyje, ma się dobrze i z tego, co zdradziła mi twoja Skaldmaer, przesyła pozdrowienia.

Hag biegły w stref składaniu sięgnął do swojego tobołka i wyciągnął dzban wina. Odpieczętował go z wosku, opróżnił do połowy i dał znać ludziom, by szli dalej.

Wędrowcy ruszyli w noc. Nad nimi wisiało gwiaździste niebo.

Słowniczek nazw własnych, terminów i trudnych wyrażeń

Aegir (staroskandynawskie *Ægir*) – dosłownie: Ocean. W nordyckiej mitologii naczelne bóstwo (lub olbrzym o boskich prerogatywach) sfery wód morskich. Jego żoną była bogini Ran (Morze), a córkami fale (córki Aegira). Jego braćmi były olbrzymy: Logi (władca ognia) i Kari (pan wiatrów).

aesma (awestyjskie) – bitewna wściekłość, uświęcony przez boga Wertragnę szal bitewny.

akker (stskand. *akkeri*) – kotwica.

akkubita (grec. *akkoúbita*) – łożo. Leżanka, często półokrągła, na której ucztowali bizantyjscy arystokraci (przejęli od starożytnych Rzymian zwyczaj jedzenia w pozycji półleżącej). Na pojedynczej, wyścielonej poduszkami akkubicie mogło się pomieścić pięć osób, które odpoczywały wsparte na lewym boku. Zwykle trzy akkubity otaczające stół tworzyły pojedynczy „zestaw bawialniany”.

aktaumar (stskand.) – szoty, czyli przywiązane do dolnych rogów żagla liny, które umożliwiały manewrowanie żaglem. Zwykle mocowano je do burt, ale żeglarz mógł je trzymać na stojąco i ręcznie nastawiać żagiel na wiatr. Mówiło się wtedy, że „powozi ręcznie”, co odnosiło się do popularnego nazywania statku rumakiem, a szotów – cugłami w rękach jeźdźca/żeglarza.

althing (stskand. *alþingi*) – wiec powszechny całego kraju w odróżnieniu od wiecu lokalnego (thingu).

Arnhöfði (stskand.) – Głowa Orła. W mitologii nordyckiej jedno z imion Odyna nawiązujące do jego zdolności zmiany postaci. W *Skaldzie* to patron zmiennokształtnych, który według różnych wierzeń jest albo bratem Göllnira, albo jednym z jego wcieleń.

att (stskand. *átt*) – by ułatwić sobie nawigację, wikingowie dzielili horyzont na osiem części zwanych attami. Każda z nich odpowiadała 45 stopniom. Północno-zachodni kurs odnosił się więc do północno-zachodniego attu, czyli określonej płaszczyzny horyzontu.

Aurgelmir (stskand.) – olbrzym, który według jednej z wersji mitów o stworzeniu świata był praprzodkiem (choć hermafrodytą) wszystkich olbrzymów.

aurig (greckie *auriga*) – woźnica.

autokrator (grec.) – tytuł cesarza bizantyjskiego, będący greckim tłumaczeniem łacińskiego słowa „imperator”. Od IX wieku zarezerwowany wyłącznie dla głównego rządcy kraju, by odróżnić go

od współcesarzy. W czasach opisanych w powieści autokratozem był Konstantyn VII Porfirogeneta (Zrodzony w Purpurze), podczas gdy basileusów (cesarzy) było dwóch: tenże Konstantyn i jego syn Roman (basileus od 948 roku).

balaneion (grec.) – łaźnia. W spuściznie po Imperium Rzymskim Bizantyjczycy odziedziczyli tradycję łaźni publicznych. Wraz z rozpowszechnianiem się chrześcijańskiej moralności łaźnie publiczne zaczęły zanikać, a na ich miejsce pojawiały się prywatne łaźnie, które budowali na własny użytek arystokraci w swoich pałacach.

bandon (grec.) – oddział. Ogólny termin wojskowy używany w Bizancjum na oznaczenie jednostki liczącej zwykle około 200 ludzi, choć w różnych okresach historii i w różnych regimentach jej wielkość mogła się znacząco różnić.

bard – celtyckie określenie pieśniarza.

basileus (grec.) – główny tytuł cesarza. Często praktyką w Bizancjum było, że panujący powoływał do współrządzenia swojego syna i następcę, także nadając mu tytuł basileusa (cesarza).

Basilis Polis (grec.) – Miasto Basileusa, jedna z nazw Byzantionu, od końca starożytności zwanego Konstantynopolem (czyli Miastem Konstantyna). Patrz też: Carogród, Miklagard.

baptysterium (grec. *baptismatos oikos*) – budynek, w którym dokonywano chrztów, niekiedy zbiorowych. Często przylegał do kościoła. Od końca VI wieku zwyczaj chrzczenia w baptysteriach zanikał na korzyść chrztów w obrębie kościoła, gdzie umieszczano chrzcielnice.

berserk (stskand. *berserkr*) – wojownik walczący w bitewnym szale, stąd w *Skaldzie* berserków czasem nazywa się szaleńcami.

berserksgangr (stskand.) – amok bitewny.

Bida – mityczny wąż rzeki Niger, czczony w państwie Wagadou jako bóg.

Bitewny Krzyk – zob. Göllnir.

Blaland (stskand. *Bláland*) – Czarna Ziemia, skandynawska nazwa ogólna na Czarną Afrykę.

Blamad (stskand. *blámaðr*) – czarnoskóry człowiek, skandynawska nazwa na Murzyna, mieszkańca Blalandu.

blot (stskand. *blót*) – ofiara dla bóstwa.

blotmad (stskand. *blótmaðr*) – człowiek ofiar, jak w Skandynawii nazywano gorliwego czciciela bogów, który często składał im ofiary i wierzył w moc ich ziemskich interwencji.

bogatyry (staroruskie *bogatyry*) – zaczerpnięte z języków turko-tatarskich (*bagatur* – śmiałek) ruskie określenie na młodego wojownika, śmiałka, herosa, bohatera.

borg (stskand.) – miejsce umocnione, gród.

brumalia (grec. *broumália*) – bizantyjskie święto prywatne na cześć greckiego alfabetu. Obchodzono je od 24 listopada do 17 grudnia – w okresie tym każdy dzień poświęcony był innej literze alfabetu. Bizantyjczyk (nawet ten biedny) w dniu poświęconym literze, na jaką zaczynało się jego imię,

organizował przyjęcie dla rodziny i przyjaciół.

Burak (arab. *al-Burak*) – koń proroka Mahometa. Według muzułmańskiej tradycji rumak ten miał zabrać proroka do nieba.

Byzantion – patrz: Basilis Polis.

carceres (grec.) – „bramki startowe” w Hipodromie. Był to rząd dwunatu kamiennych boksów w kształcie łuków, z których podczas wyścigów startowały zaprzęgi. Boksy były zamykane żelaznymi bramkami. *Carceres* mieściły się na północnej ścianie Hipodromu, naprzeciw sfendonu.

Carogród – ruska nazwa Konstantynopola, stolicy Bizancjum. Patrz też: Basilis Polis, Miklagard.

Chandax – dziś znane jak Heraklion. W X wieku było to największe miasto na Krecie. Powstało już w starożytności, jednak dopiero Arabowie uczynili z niego najznacześniejszy ośrodek na wyspie.

Chazarowie – lud turko-tatarski, który we wczesnym średniowieczu stworzył imperium (Chazarię) na terenach nadkaspijskich i na Przedkaukaziu, uzależnił też słowiańskie ludy południoworuskie. Stolicą ich państwa było bogate miasto handlowe Itil nad ujściem rzeki Itil (Wołgi) do Morza Kaspijskiego. W czasach powieści Chazarowie wyznawali judaizm.

cheiromanikon (grec.) – drewniana, skórzana lub metalowa osłona przedramion żołnierza.

chelandion (grec.) – wojenny statek bizantyjski średniej wielkości, niekiedy traktowany jako odmiana dromonu. Stosowano na nim napęd wiosłowo-żaglowy. Używany również do transportu. Jego załogę stanowiło 130–160 ludzi.

chiton (grec.) – tunika.

chlamida (grec. *chlamys*) – długi płaszcz zapinany fibułą na lewym ramieniu, by prawa ręka pozostawała odkryta.

Chorezm – historyczna kraina leżąca na obszarze dzisiejszego Iranu, Turkmenistanu i Uzbekistanu. W X wieku kraj ten znajdował się pod kontrolą Arabów.

Cieśnina Grikklandzka – skandynawska nazwa Bosforu.

córki Aegira – fale, zob. Aegir.

Danpar (stskand.) – Dniepr.

demy (od grec. *démos*, czyli lud) – facje, stronnictwa kibicowskie, które organizowały zawody sportowe w Hipodromie. We wczesnym Bizancjum demy pełniły funkcję swoistego rodzaju partii politycznych, ale w X wieku ich rola sprowadzała się już tylko do organizowania zawodów sportowych i ceremonii w Hipodromie. Najpopularniejsze były cztery stronnictwa powiązane organizacyjnie z gwardiami imperialnymi: Błękitni (którym przewodził domestyk Scholi), Biali (którym przewodził domestyk Numerów), Zieloni (którym przewodził domestyk Ekskubitów) i Czerwoni (którym przewodził komes Teichistów, czyli Murów). W czasach opisywanych w powieści stronnictwa Błękitnych i Białych były w sojuszu przeciw Zielonym i Czerwonym.

disy (stskand. l. mn. *disir*) – duchy zmarłych kobiet, które mogły stać się boginiami albo istotami

demonicznymi przynoszącymi szczęście lub pecha. Niekiedy *disami* nazywano też kobiety z potężnych rodów.

domestyk (łac. *domesticus*, a stąd grec. *domestikos*) – dowódca, generał. Najwyższy stopień oficerski w cesarskich gwardiach. Domestyk Scholi był też głównodowodzącym całej armii Bizancjum. We flocie i w gwardii Vigla oficer tej rangi nosił miano *drungariusza*.

draug (stskand. *draugr*) – żywy trup, upiór lub ogólnie: istota demoniczna.

dreng (stskand. *drengr*) – wojownik.

dromon (grec. *drómon*, a stąd stskand. *drómundr*) – największy typ statków używanych we flocie bizantyjskiej. Dromony miały napęd wiosłowy i żagłowy. W opisywanym okresie jego załogę stanowiło zwykle około 220 ludzi (w tym 50 żołnierzy).

drungariusz (grec. *droungarios*, od łac. *drungarius*) – wysoki oficer w armii Bizancjum, mający rangę równą domestykowi. Tytuł noszony przez dowódcę gwardii Vigla i dowódcę floty imperialnej.

Dyragard – fikcyjna stolica kraju Glaesir.

dżin (arab. *dżinn*) – w mitologii arabskiej (przed islamem) rozumny demon zrodzony z płomienia albo obłoku pary. Zwykle reprezentował siły natury.

Ekskubici (grec. *Exkoubitoi*, od łac. *Excubitors*) – jedna z gwardii pałacowych i część tagmaty. Jej przywódca był również zwierzchnikiem demu Zielonych.

Ekumena (grec. *Oikoumene*) – w starożytności pojęcie oznaczające cały świat. W Bizancjum zostało zawężone do świata poznanego i cywilizowanego – czyli do terenów dawnego Imperium Rzymskiego, do których dumni Bizantyjczycy rościli sobie prawa. Wraz ze wzrostem roli Kościoła termin ten zaczął również oznaczać wszystkie kraje chrześcijańskie.

emporion (grec.) – w świecie greckojęzycznym obszar przeznaczony do handlu, ulokowany na wybrzeżu lub szlaku handlowym. Często towarzyszył mu port. W *Skaldzie* Emporiom jest bizantyjską osadą kupiecką położoną na Therze. Dzisiaj na Santorini (obecna nazwa Thery) można odwiedzić wioskę Emporio, znajdującą się w pobliżu fikcyjnej osady, która została opisana w powieści.

Englismad (stskand. *Englismaðr*) – mieszkaniec Anglii, Anglosas.

enkolpion (grec.) – amulet często zawierający relikwię świętego lub cytat z Pisma Świętego. Bizantyjczycy nosili go w obronie przed złem i magią.

ergasterion (grec.) – sklep połączony z zakładem rzemieślniczym, w którym wytwarzano, magazynowano i sprzedawano określone towary.

ergi (stskand. *ergi*) – lubieżność lub homoseksualizm bierny. Pojęcie powszechnie używane w przekleństwach i łączone z pogardą dla niemęskich zachowań.

fakcja (łac. l. mn. *factiones, partes*) – dawna nazwa stronnictwa lub koterii dworskiej. W książce

znaczy tyle samo co „dem”, czyli odnosi się do kibicowskiej organizacji cyrkowej. Zob. demy.

fanfara – średniowieczna nazwa papug. W Europie tego okresu znano kilka gatunków papug, ale wszystkie były określane tym jednym wspólnym mianem.

festr (stskand.) – cuma.

flokkr (stskand.) – dosłownie: „stadko”. Skaldowie nazywali w ten sposób zbiór wersów lub strof, które tworzyły jeden utwór.

follis (łac.) – miedziana moneta bizantyjska wywodząca się z czasów starożytnego Rzymu.

fouska (grec. *foúska*) – woda z dodatkiem octu winnego. Popularny w ciepłym klimacie (gdzie kwaskowaty, a dzięki temu orzeźwiający) napój, często aromatyzowany mięta, tymiankiem, anyżem, koprem włoskim lub innymi ziołami.

fylgja (stskand. *fylgja*, l. mn. *fylgjur*) – dosłownie: towarzysząca. Duch o kobiecym kształcie, który opiekował się człowiekiem aż do jego śmierci.

galeida (stskand. *galeið*, od grec. *galea* – galera) – typ statku wiosłowego używanego przez Arabów i Bizantyjczyków.

Gardariki (stskand. *Garðariki*) – Królestwo Grodów, skandynawska nazwa Rusi. Stolicą Gardariki był Kaennugard – Kijów. Bizantyjczycy nazywali mieszkańców Gardariki (tak Słowian, jak Vaeringów) Rhosami.

gardskonung (stskand. *gardskonungr*) – król grodu (w domyśle: Miklagardu), jak wikingowie zwykli tytułować cesarza greckiego (bizantyjskiego).

Gefna (stskand. *Gefn*) – dosłownie: Dawczyni. W mitologii nordyckiej jedno z imion bogini Frei. W ujęciu tej książki (i niektórych badaczy) Gefna jest oddzielną boginią związaną z kultem płodności i seksem.

gerokomeion (grec.) – znany też jako *gerotropheion*. Dom starców. Jedna z licznych instytucji charytatywnych w średniowiecznym Konstantynopolu.

Gestumblindi (stskand.) – Ślepy Nieznajomy. W mitologii skandynawskiej jedno z imion Odyna. Według Ainara to kolejny brat Göllnira, który jest boskim mistrzem zagadek i czasem zjawia się wśród ludzi, by mierzyć się z nimi w turniejach wiedzy.

ghan (z języka ludu Soninke: *ghana*) – władca, tytuł królów Wagadou. Później stał się nazwą całego państwa.

Ginnungagap (stskand.) – w mitologii nordyckiej przedwieczna pustka, która istniała przed stworzeniem świata.

Glaesir (uproszczona forma stskand. nazwy *Glæsisvellir*) – legendarna kraina opisywana w skandynawskich sagach. Nie wiadomo, czy miała jakiś historyczny pierwowzór. Niektórzy tłumaczą tę nazwę jako Ziemia Bursztynów lub Ziemia Radości.

glima (stskand.) – wikingi zapasy. Popularny sport w ówczesnej Skandynawii, często opisywany

w islandzkich sagach.

Gmaszysko Zarzniętych – niebiańska halla dla poległych w boju wojowników. W mitologii nordyckiej znana jako Walhalla (stskand. *Valhöll*).

Goci – znany od czasów starożytnych odłam Germanów. W Bizancjum nazwy tej używano na określenie wszystkich Germanów, także Vaeringów.

Göllnir (stskand.) – dosłownie: Bitewny Krzyk. W mitologii nordyckiej – jedno z imion Odyna. W świecie *Skalda* jest naczelnym bóstwem, stwórcą świata, patronem skaldów, berserków, szaleńców, władców i pijaków.

grid (staroruskie) – stosowana na Rusi nazwa drużyny zbrojnych.

grid (stskand. *grīð*) – pokój, rozejm lub łaska okazywana pokonanemu wrogowi.

gridniding (stskand. *grīðníðingr*) – dosłownie: łamacz uгод, gwałciciel pokoju. Osoba, która łamie przysięgi i jest niegodna zaufania.

Grikkland (stskand.) – Grecja, a także ogólna nazwa na całość Cesarstwa Bizantyjskiego.

grikklandzki ogień – ogień grecki. Substancja zapalająca stworzona na bazie ropy, oleju i saletry, której sekret był najpilniej strzeżoną tajemnicą państwową. Jej dokładny skład nie jest dziś znany, choć Arabowie już w IX wieku umieli wytwarzać podobną substancję. Ogień grecki był wykorzystywany zarówno w ręcznych miotaczach, jak i w wyrzucanych katapultami pociskach, jednak najbardziej śmiertcioną bronią były umieszczane na specjalnych statkach rury, które bluzgały płomieniami na znaczną odległość.

Grikkmad (stskand. *Grikkmaðr*) – Grek, ale też ogólnie: poddany cesarza bizantyjskiego.

Grimnir (stskand. *Grímnir*) – dosłownie: Zamaskowany. W mitologii nordyckiej jedno z imion Odyna, znanego z przybierania różnych masek (czyli zmieniania wyglądu). W świecie *Skalda* to brat Göllnira, tajemniczy bóg, o którym wiadomo tylko tyle, że jest opiekunem oszustów, przedrzeźniaczy i wszystkich tych, co ukrywają swoją tożsamość.

hafgufa (stskand.) – potwór z opowieści wikingów, najwcześniej opisany w norweskim źródle *Królewskie zwierciadło* i islandzkiej *Sadze o Oddzie Strzale*, które powstały w XIII wieku. Obraz powieściowej hafgufy bazuje właśnie na tej relacji. Według islandzkiego folkloru był to wielorybopodobny stwór żyjący w Morzu Grenlandzkim. Jego powstanie w wyobraźni Islandczyków jest – według jednej z teorii – związane z wpływem irlandzkich opowieści o wyprawie świętego Brendana, który miał dopłynąć do tego „wieloryba” (myśląc, że jest to wyspa) i na jego grzbiecie odprawić mszę świętą. Hafgufę utożsamiano później z krakenem.

hag (stskand. *hagr*) – biegły, zręczny. W ten sposób często określano rzemieślników i skaldów (rzemieślników słowa).

hagios (grec.) – święty.

halla (stskand. *höll*) – dwór konunga lub rozległa, podłużna sala, w której władca ucztował ze swoimi wojami.

hama (arab.) – w wierzeniach arabskich (przed islamem) duch zabitego człowieka, przybierający zwierzęcą postać (zwykle sowy). Przylatuje na własny grób i nawołuje do zemsty za swoją śmierć.

hamask (stskand.) – szal przemienienia. Stan bitewnej furii, w którym walczyli hamramirzy.

hamingja (stskand.) – zwierzęcy duch opiekuńczy, który przystaje do człowieka i często jest „dziedziczony” w obrębie danego rodu. W mitologii świata *Skalda* duch ten wpływa na „kształt człowieka” i niektórzy czarownicy czerpią z niego moc, dzięki której potrafią zmieniać się w zwierzę.

hamramir (stskand. *hamramr*, l. mn. *hamramir*) – dosłownie: silny kształtem. Człowiek, o którym mówiono, że nie ma „jednego kształtu”, czyli jest zmiennokształtny. W świecie *Skalda* to wojownik, który wierzy w silną więź łączącą go z wybranym zwierzęcym duchem, bestią, dlatego w powieści zwani są też bestialskimi wojownikami.

Hati (stskand.) – w mitologii nordyckiej wilk, który ścigał po niebie Księżyc.

Hel (stskand.) – bogini śmierci i zaświatów w mitologii wikingów, która była personifikacją Hel – „królestwa zmarłych”.

hersir (stskand.) – dosłownie: pan okolicy. Jeden z wikingich tytułów mniej znaczących władców, którzy byli lokalnymi naczelnikami.

Hetairia lub **Hetaireia** (grec.) – osobista gwardia cesarza odpowiedzialna za pilnowanie jego rodziny. Żołnierze tej formacji często rekrutowali się spośród obcych – Germanów, Chazarów i Słowian. Hetairii nie należy mylić z gwardiami pałacowymi.

Hipodrom (grec. *hippodrom*) – cyrk w kształcie wydłużonej podkowy, w którym organizowano wyścigi zaprzęgów konnych (kwadryg).

hnefatafl (stskand.) – skandynawska gra planszowa. Tylko jeden z graczy miał króla, którym musiał uciec z planszy. Drugi gracz starał się otoczyć króla swoimi pionami, co kończyło grę.

höfudbenda (stskand. *höfuðbend*) – wanta, czyli lina stabilizująca maszt na okręcie. Wanty wiązały maszt do obu burt.

Holmgard (stskand. *Holmgarðr*) – Gród na Wyspie. Siedziba Waregów, założona przy wypływie rzeki Wołchow z jeziora Ilmeń. Później ten ośrodek (zwany też Gorodiszcze) przekształcił się w miasto Nowogród Wielki.

hunna (stskand. *húnn*) – szczyt masztu pełniący niekiedy funkcję bocianego gniazda. Często wchodził tam obserwator, który wypatrywał lądu.

Indialand (stskand. *Indíaland*) – Ziemia Indów (czyli Hindusów). Choć pojęcie to w znaczeniu dosłownym odnosiło się do Indii, nie do końca dotyczyło do krain Półwyspu Indyjskiego. Nazwą tą wikingowie określali wszystkie bardzo egzotyczne i nieco legendarne krainy Wschodu – zwłaszcza te, które leżały jeszcze za Ziemiami Arabów (Serklandami), czyli rozległe tereny ciągnące się od Iranu (ówcześnie będącego częścią składową imperium Chorezmu) aż po krańce

Indii.

Irowie – mieszkańcy dawnej Irlandii.

Irskmadowie (stskand. *Írskmaðr*) – skandynawska nazwa Irów z Irlandii.

Islandingowie (stskand.) – mieszkańcy Islandii.

Itil (także: Atil lub Rzeka Saglabów) – arabska nazwa Wołgi.

Jaguga i Maguga, lud – inaczej lud Goga i Magoga. Wspomniani w *Biblii* dzicy najeźdźcy z północy są dziś utożsamiani przez naukowców ze starożytnymi Kimmerami lub Scytami. W średniowieczu uważano ten lud za legendarny, a jego ojczyznę chrześcijanie umieszczali daleko na wschodzie, Arabowie zaś od IX wieku widzieli ich siedzibę w Skandynawii.

jaszty (awest.) – pieśni pochwalne na cześć bogów.

Jednoręki (stskand. *Einhendr*) – przydomek boga Tyra. W świecie *Skalda* to bóg sprawiedliwości, rękojmia umów.

Jezioro Grikklandzkie – skandynawska nazwa morza Marmara.

Jezioro Muwatas – arabska nazwa Morza Azowskiego.

Jörd (stskand. *Jörð*) – dosłownie: Ziemia. Bogini ziemi, żona Göllnira. W poetyckiej przenośni skóra tej bogini oznacza powierzchnię Ziemi.

Jörmungand (stskand. *Jörmungandr*) – dosłownie: Wielki Potwór. Według mitów ogromny wąż otaczający świat. Zwano go też Midgardsormem, czyli Wężem Midgardu. Jako że był najpotężniejszym gadopodobnym potworem z wierzeń Skandynawów, Ainar widział w nim praojca wszystkich smoków.

Jurugu – zwany Płowym Lisem, podstępny bóg z wierzeń afrykańskiego ludu Dogonów. Trickster, który ukradł bogom ziarna słów.

Kaennugard (stskand. *Kænnugarðr*) – skandynawska nazwa Kijowa.

kagan (języki turko-tatarskie) – władca. Określenie używane (wymiennie z tytułem chan) przez koczownicze ludy azjatyckie, głównie o pochodzeniu turskim. Pod wpływem koczowników tytuł ten przejęli władcy słowiańscy i warescy z terenów Rusi.

kalendarz bizantyjski – w Bizancjum kontynuowano tradycję kalendarza juliańskiego. Lata liczono od stworzenia świata, natomiast początek roku przypadał na 1 września. Akcja pierwszych dwóch ksiąg niniejszej powieści rozgrywa się w roku 958 wedle rachuby gregoriańskiej, choć bizantyjscy kronikarze napisaliby o lecie 6466 roku (I księga) i jesieni 6467 roku (II księga).

kallikantzary (grec. *kallikantzaroi*) – stwory z greckiego folkloru. Przybierały różną postać, zależnie od wierzeń danego regionu. Najczęściej były to czarne, złe, diabelskie potwory, które mieszkaly pod ziemią i podcinały korzenie drzewa świata. Na powierzchnie miały wychodzić zwłaszcza w okolicach Bożego Narodzenia.

kandidat (grec. *kandidatos*) – tytuł, często honorowy, oznaczający członka gwardii imperialnej,

którego wyróżniał biały strój.

kenning (stskand.) – rodzaj rzeczownikowej przenośni, będącej rozbudowanym określeniem zastępczym na często używany wyraz, np. słowo „poeta” zastępowano kenningiem „kował słów”.

klivanion (grec.) – najpopularniejszy pancerz gwardii cesarskiej. Zwykle była to zbroja lamelkowa lub krótki łuskowy napierśnik wykonany z zazębiających się płytek z brązu, żelaza, skóry lub rogu. Klivanion bywał połączony z oddzielnymi ochronami ramion i nóg.

knattleikr (stskand.) – wikińska gra w piłkę, którą odbijało się pałkami.

knörr (stskand.) – wikiński statek kupiecki.

kolbitr (stskand. *kólbitr*) – dosłownie: węgłozerca. Osoba leniwa, próżniak, który nie uczestniczy w pracach na gospodarstwie, tylko wyleguje się przy palenisku.

kombinografowie (grec.) – bizantyjscy urzędnicy, którzy spisywali program wyścigów w Hipodromie i pilnowali porządku gonitw.

komes (grec. z łac. *comes*) – oficer w armii i flocie bizantyjskiej. Na przestrzeni lat ranga ta zmieniała swoje kompetencje, ale w czasach opisywanych w powieści komes był zazwyczaj dowódcą jednego bandonu, czyli oddziału około 200 ludzi.

komes Teichistai (grec.) – gwardziści strzegący murów Konstantynopola (i stąd zwani Teichistami – Murami) mieli inny system rang od pozostałych regimentów tagmaty. U nich komes był dowódcą całej gwardii.

konung (stskand. *konungr*) – skandynawskie określenie w pełni niezależnego władcy.

Krist, Kristos (stskand. *Kristr*, od grec. *Christós, Kristos*) – Chrystus.

Kristlandy (stskand. *Kristland*) – Krainy Chrześcijan.

kristmadowie (stskand. l. poj. *kristmadr*, l. mn. *kristmenn*) – chrześcijanie.

kussar (stskand. *kussari*) – korsarz. W taki sposób Skandynawowie określali arabskich piratów działających w rejonie śródziemnomorskim.

kwadryga – rydwan zaprzęzony do czterech koni. Wywodzi się ze starożytnych rydwanów, ale w X wieku nie miał już zastosowania na polu bitwy. Używano go natomiast do organizowanych w cyrkach wyścigów.

kyrtill (stskand.) – tunika albo długa koszula nakładana na spodnią koszulę. Stać było na nią tylko bogatszych, dlatego często miała wycięcie na piersi i rękawy krótsze od rękawów spodniej koszuli, by pokazać, że właściciela stać na dwie warstwy ubioru.

Laerad (stskand. *Læraðr*) – w mitologii nordyckiej drzewo świata, na którym ofiarę z samego siebie złożył Odyn (w świecie *Skalda*: Góllnir). Jego inna i bardziej znana nazwa brzmiała Yggdrasill.

ljodahatt (stskand. *ljóðaháttir*) – dosłownie: metrum pieśni. Jedna z miar wierszowych używanych przez skaldów. Dopuszczała różną liczbę sylab w wersie. Utwory tworzone w tym metrum składały się zwykle z sześciowersowej strofy, w której wers „a” i „b” wiązała wspólna aliteracja,

natomiast wers „c”, zwany pojedynczym, tworzył oddzielną aliterację. Dwa takie trzywersowe segmenty tworzyły strofę o wspólnym temacie.

Lodowa Wyspa (stskand. *Island*) – Islandia.

lögberg (stskand.) – dosłownie: skała prawa. Miejsce, gdzie na islandzkim Althingu ogłaszano prawa ustalone podczas wiecu.

logotheta (grec. *logothetes*) – ogólna nazwa wysokiego urzędnika dworskiego. Podczas przyjmowania posłów w Magnaurze logotheci prowadzili rozmowę w gościeniu cesarza, wymieniając z nim grzecznościowe powitania.

Lopt (stskand. *Loptr*) – w świecie *Skalda* bóg kłamstwa i oszustw. W mitologii nordyckiej to jedno z imion Lokiego.

Lot i jego lud – w tradycji arabskiej, podobnie jak żydowskiej, ludem Lota (Loota) nazywano mieszkańców biblijnych miast Sodoma i Gomora, którzy za swoje dewiacje seksualne zostali straszliwie ukarani przez Boga. Stąd na Bliskim Wschodzie homoseksualizm jest nazywany grzechem ludu Lota.

luperkalia (łac. *Lupercalia*) – wywodzące się z czasów starożytnego Rzymu święto na cześć nadchodzącej wiosny, które w czasach pogańskich obchodzono 15 lutego. W Bizancjum święto zostało schryścianizowane i wciągnięte w system uroczystości sakralnych oraz w kalendarz wyścigów kwadryg. W X wieku obchodzono je zwykle tuż przed Wielkim Postem, kiedy można było spożywać mięso i ucztować. W luperkalia organizowano w Hipodromie zawody, które kończyły cały sezon wyścigowy.

lyssa (grec.) – wilczy gniew. Stosowane w starożytnej Grecji określenie szału bitewnego.

lokieć – średniowieczna miara długości, zróżnicowana zależnie od czasów i regionu. W Bizancjum X wieku liczył około 45 cm.

Magni (stskand.) – dosłownie: Mocny. W mitologii nordyckiej syn Thora lub jedno z wcieleń pana burzy. W świecie *Skalda* – bóg fizycznej siły, patron wojowników i władca burzy, który kamienną maczugą lub żelaznym młotem rozbija łby olbrzymów.

al-magus (arab.) – magowie. Tym mianem Arabowie określali nie tylko czarowników, ale też innowierców – np. pogańskich Normanów – a zwłaszcza wyznawców zaratusztrianizmu (zwanego przez arabskich uczonych religią ognia), mieszkających na terenach dzisiejszego Iranu (ówczesnego Chorezmu).

Manat (arab.) – w czasach przedmuzułmańskich naczelné bóstwo arabskie. Bogini przeznaczenia i sprawiedliwości. Jej kult, choć tępiący przez islam, był znany jeszcze długo po rewolucji religijnej Mahometa.

mandaton (grec.) – rozkaz upoważniający dygnitarza do działania w imieniu władcy.

mandator (grec.) – posłaniec, ale też człowiek do zadań specjalnych.

mandylion z Edessy – odbicie twarzy Chrystusa na chuście, jedna z najważniejszych relikwii

Kościół bizantyjskiego. W 944 roku została odzyskana z rąk Arabów z Edessy i uroczyście przewieziona do Konstantynopola.

Manglabion (grec.) – oddział gwardzistów, który początkowo był częścią Hetairii. Z czasem przynależność do tego korpusu stała się rangą honorową. Manglabici pełnili prestiżowe funkcje w pałacu autokratora – otwierali drzwi i poprzedzali władców podczas ceremonii.

Manglabici (grec. *Manglabitai*) – członkowie Manglabionu. Ich cechą wyróżniającą były manglabiony – pałki, różgi lub krótkie bicz, którymi oczyszczali drogę cesarzowi.

Mani (stskand.) – Księżyc czczony jako bóg. Brat Słońca i syn Mundilfarego. W świecie *Skalda* jeździ po nocnym niebie wozem ciągniętym przez dwa konie, Pełnię i Nów, uciekając przed wilkiem Hatim.

martyrion (grec.) – budowla sakralna poświęcona męczeńskiej śmierci świętego. Zwykle skrywała jego grób lub relikwie. Często wznoszono ją w miejscu śmierci męczennika.

masdżid (arab.) – meczet. Świątynia arabska, miejsce odmawiania modlitw. Nazwy tej muzułmanie używali również na określenie świątyń innych religii.

mastropeion (grec.) – dom publiczny w średniowiecznym Bizancjum.

Mauments (stskand.) – wikińskie zniekształcenie imienia proroka Muhammada (Mahometa).

maumentsanie (stskand.) – muzułmanie, skandynawska nazwa utworzona od imienia Mauments.

mela (grec. *méla*) – ogólna nazwa okrągłych owoców, które rosną na drzewach. Do tej grupy zaliczano między innymi jabłko, gruszkę, brzoskwinie, pigwy i granaty.

merk (stskand. *merki*) – sztandar lub znak bojowy używany w bitwie.

meta – walcowaty słup znajdujący się z każdej z dwóch stron spiny. Słup od strony sfendonu zwany był metą Zielonych, słup od strony *cerceres* nazywano metą Błękitnych. Wokół tych słupów zawracały zaprzęgi konne.

Midgard (stskand. *Miðgarðr*) – według mitycznych wyobrażeń pogańskich Skandynawów kraina człowieka, ziemie zamieszkane przez ludzi, centrum świata.

Miklagard (stskand. *Miklagardr*) – Wielki Gród, skandynawska nazwa Konstantynopola, stolicy Bizancjum. Patrz też: Carogród.

miles (łac.) – żołnierz.

miliaresion (grec.) – srebrna moneta bizantyjska.

Mimir (stskand.) – olbrzym i najmądrzejsza istota w mitologii nordyckiej. Jego głowa zanurzona jest w źródle wytryskającym spomiędzy korzeni Laerada, drzewa świata.

Miðjarðarhaf (stskand.) – Morze Śródziemne.

mordvarg (stskand. *morðvargr*) – morderca, który zabija podstępnie: z ukrycia lub za pomocą trucizny albo czarów.

morski król, morski konung – zob. saekonung.

Morze Grikklandzkie (stskand. *Grikklandshaf*) – skandynawska nazwa Morza Czarnego.

mund (stskand. *mundr*) – suma, za jaką w Skandynawii pan młody wykupywał pannę młodą. Kwota ta mogła pozostawać w rękach rodziny kobiety, mogła też zostać jej przekazana po zawarciu małżeństwa i stanowiła jej prywatny majątek, z którego mąż nie mógł czerpać bez zezwolenia żony.

munk (stskand. *munkr*) – mnich.

musattah (arab.) – największy statek w arabskich flotach. Odpowiednik greckiego dromonu. Zwykle był długi na 35–40 metrów i szeroki na 4–5 metrów.

niding (stskand. *níðingr*) – nikczemnik, a w kontekście seksualnym obelga oznaczająca homoseksualistę.

nidingsverk (stskand. *níðingsverk*) – czyn haniebnny, niegodny mężczyzny; uczynek nidinga.

nidstöng (stskand. *níðstöng*) – słup/pał hańby. Szyderczy postument, który stawiano na „cześć” nikczemnika oskarżonego o niemęskie zachowania. Na jego szczycie często umieszczano podobiznę łotra, a na powierzchni ryto runy i magiczne zaklęcia mające sprowadzić klątwę na tego, komu stawiano słup.

nomisma (grec.) – złota moneta bizantyjska, w innych krajach Europy znana (i bita w niektórych państwach) jako solid.

Noreg (stskand. *Noregr*) – skandynawska nazwa Norwegii; forma skrócona pierwotnego terminu Norveg (*Norvegr*) – Północny Szlak, jak nazywano ziemie skandynawskie położone nad Morzem Północnym.

norny (stskand. l. poj. *norn*, l. mn. *nornar*) – boskie szwaczki. Przędły tkaninę życia każdego człowieka, decydując o jego losie. Odpowiadały za przeszłość, teraźniejszość i przyszłość wszystkich ludzi, a nawet bogów.

Numerowie (grec. *Noumeroi*, *Noumera*) – jedna z formacji gwardii imperialnej, zaliczana do tzw. młodszej tagmaty (piechoty). W Konstantynopolu Numerowie pełnili głównie funkcje policji, straży miejskiej i strażników więziennych. Podlegali domestykowi Scholi. Dowódca Numerów przewodził demowi Białych.

Ocean – jako imię własne boga: zob. Aegir.

Odainsak (stskand. *Odainsakr*) – legendarna kraina znana z islandzkich sag. Nie wiadomo, czy miała historyczny pierwowzór. W powieści została powiązana z wareskimi ośrodkami handlowymi zakładanymi wzdłuż Wolgi.

oikos (grec.) – pałac arystokracji, bogaty dom.

Oikoumene – zob. Ekumena.

Olga (ur. między 923 a 927, zm. 969 r.) – władczyni Rusi Kijowskiej. Źródła podają, że odwiedziła

Konstantynopol i tam została ochrzczona. Historycy spierają się, kiedy doszło do tego wydarzenia – podaje się różne daty między 946 a 958 rokiem. Właśnie tę wizytę wspomina cesarz Konstantyn w rozmowie z Ainarem.

öndvegi (stskand.) – dosłownie: wysokie siedzisko, czyli odpowiednik łacińskiego tronu. Miejsce na podwyższeniu, na którym zasiadał władca, przywódca rodu lub gospodarz domu.

Ormuzd (inaczej: Ahura Mazda) – naczelnny bóg panteonu irańskiego (w zaratusztranzimie, manicheizmie i zurwanizmie). Bóg światła i ognia, dobro wcielone.

orthros (grec.) – w Kościele wschodnim rodzaj porannych modlitw odprawianych w dni świąteczne.

Östland (stskand.) – Wschodni Kraj. Nazwa historycznej krainy w południowej Norwegii.

Östmad (stskand. *Östmaðr*) – mieszkaniec Östlandu. Östmadem jest tytułowy bohater książki.

ousiakon (grec.) – lekka jednostka bizantyjskiej floty. Obsadzona przez *ousia*, czyli załogę 108 ludzi (w tym około 50 żołnierzy).

pandokeion (grec.) – gospoda, oberża. Przybytki takie odpłatnie oferowały nocleg i wyżywienie podróżnym. Zakładano je wzdłuż dróg Bizancjum oraz w samych miastach.

papier bagdadzki – wełnisty gatunek papieru barwiony purpurą. Importowany z krajów arabskich, stąd jego nazwa. Powszechny w kancelarii bizantyjskiej od X wieku.

parakoimomen (grec. *parakoimomenos*) – dosłownie: śpiący przy boku (domyślnie: cesarza). Strażnik sypialni basileusa. Najwyższy urząd, jaki mógł sprawować eunuch, a zarazem najważniejszy urząd w państwie. Początkowo władza parakoimomenosa wynikała z dostępu do cesarskiego ucha i ze zwierzchnictwa nad pałacowymi eunuchami. Z czasem strażnik sypialni zyskał jeszcze na znaczeniu i otrzymał realny wpływ na politykę państwa, a niekiedy potrafił rządzić całym imperium zza pleców panującego basileusa. Zdarzali się również parakoimomenosi dowodzący armiami.

peritrachelion – okrągły kołnierz pokryty łuskami albo pierścieniami, który był częścią zbroi gwardzisty. Hetairia nosiła kołnierze ze złota.

Perun – słowiański pan wojny, burzy, władzy, prawa, a w efekcie zapewne naczelnny bóg słowiańskiego panteonu. Odpowiednik zarówno wikingińskiego Thora, jak i Odyna.

Płowy Lis – zob. Jurugu.

podopsella (grec.) – drewniane lub metalowe osłony nóg żołnierza.

polykandelon (grec.) – rodzaj oświetlenia używanego głównie w kościołach, ale i w pałacach, zwłaszcza podczas ceremoniałów dworskich. Polykandelon składał się zwykle z okrągłej metalowej podstawy, w którą wkładano szklane lampki oliwne.

pornaska (grec. *porne*) – najpopularniejsze bizantyjskie określenie prostytutki, używane już w starożytnej Grecji. Współczesny termin „pornografia” wywodzi się właśnie z tego pojęcia.

Pólnoc – geograficzno-kulturowe określenie ojczystych krain Skandynawów. Z punktu widzenia

Bizantyjczyków mogło określać też tereny Rusi, zwłaszcza te, które znajdowały się pod wpływem Waregów (Vaeringów).

praipositos (grec.) – początkowo najwyższy urzędnik na cesarskim dworze, odpowiednik europejskiego szambelana. W X wieku praipositosami określano eunuchów, którzy odpowiadali za ceremoniał dworski.

praitor (grec. *praitor*, od łac. *praetor*) – urzędnik bizantyjski o zmieniających się kompetencjach. W X wieku praitorzy byli cywilnymi zarządcami prowincji, a podlegali zwierzchnictwu strategów. Pełnili funkcje administracyjne i sądowe.

primsigna (stskand.) – znak krzyża. Rytuał „wstępnego chrztu” stosowany we wczesnym średniowieczu na poganach, by chrześcijańscy kupcy mogli z nimi handlować.

proskynesis (grec.) – gest „oddania czci”, stosowany w bizantyjskim ceremoniale dworskim. Pełen proskynesis oznaczał uroczysty ukłon wraz z padnięciem na twarz przed obliczem cesarza. Mógł też przybierać inne formy, w zależności od rangi tego, kto go składał: przyklęknięcie, ukłon (o różnej głębokości) lub pocałunek (w pierś, dłoń lub stopę basileusa).

protomandator (grec.) – dowódca mandatorów, czyli posłańców.

ptocheion (grec.) – znany też jako *ptochotropheion*. Dom dla biednych. Jedna z licznych instytucji charytatywnych w średniowiecznym Konstantynopolu.

Ran (stskand. *Rán*) – skandynawska bogini, która była personifikacją morza. Żona Aegira (oceanu) i matka fal. Władczyni podwodnego królestwa, w którym przebywali topielcy.

Rhosowie – przedstawiciele ludu Rhos. Pod taką nazwą w źródłach wczesnośredniowiecznych znani byli Rusowie. Grecy tym mianem określali wszystkich przybyszy z Rusi, tak Słowian, jak Vaeringów.

roga (grec.) – żołd dla najemników i żołnierzy, a także comiesięczna pensja wypłacana urzędnikom dworskim.

Romejowie (grec. *Romai*, od łac. *Romani*) – Rzymianie. Tym mianem, nawiązującym do wspomniałej przeszłości imperium, Bizantyjczycy nazywali samych siebie. Określenie to przejęły inne ludy: w źródłach arabskich Greków określano mianem *Rum*, a w skandynawskich *Rómverjar*. Ludzie Północy nazywali Romverjarami także mieszkańców Italii.

saekonung (stskand. *sækonungr*) – morski król, czyli władca bez ziemi. Taki tytuł przyjmowali kapitanowie statków albo wodzowie całych wikingich flot, którzy nie mieli własnych ziem, ale dysponowali znaczną siłą militarną.

sagion (grec.) – ogólna nazwa na różne rodzaje płaszczy.

sagnamad (stskand. *sagnamaðr*) – twórca i opowiadacz sag.

saif (arab.) – arabska nazwa miecza, zwykle odnoszona do zakrzywionej broni typu scimitar (sejmitar). Saify były znakomitym i kosztownym orężem wytwarzanym ze stali damasceńskiej.

saks (stskand. *sax*) – germański nóż bojowy, dłuższy od zwykłego noża, a krótszy od miecza. Czasem nazwę tę rozciąga się na każdy rodzaj noży bojowych i mieczy.

salat (arab.) – muzułmańska modlitwa.

Saraken (grec. l. mn. *Sarakenoi*) – Saracen. W Bizancjum w X wieku mianem tym określano nie tylko Arabów, ale wszystkich muzułmanów. W ten sposób często określano też piratów grasujących po Morzu Śródziemnym.

satanodrom (grec. *satanodromion*) – szatański teatr, szatański cyrk. Tak duchowni i ludzie pobożni nazywali Hipodrom w Konstantynopolu ze względu na panujące tam luźne obyczaje i gorszące widowiska – zwłaszcza te związane z występami scenicznymi i frywolnymi tańcami.

satt (stskand. *sátt*) – ugoda, pojednanie, rozejm.

sattarmad (stskand. *sáttarmaðr*) – człowiek ugody, rozejmca. Jedną z ważnych funkcji, które sprawował każdy wódz w wikingów Skandynawii.

Schola (grec. *Scholai*, od łac. *Scholae*) – najważniejsza spośród gwardii imperialnych. Jej dowódca, domestyk, był głównodowodzącym całej armii Bizancjum i zwierzchnikiem demu Błękitnych.

seidkona (stskand. *seiðkona*) – czarownica, specjalistka od magii *seiðr*.

seidmad (stskand. *seiðmaðr*) – czarownik obeznany z magiczną sztuką *seið*, która ogólnie rzecz biorąc, wiązała się z właściwymi aspektom kobiecym czarami płodności, stąd w Skandynawii traktowano *seidmadów* dość niechętnie i kojarzono z homoseksualizmem. Niczym szamani posiadli umiejętność oddzielania swojego ducha od ciała.

seireina (grec. *seirēn*) – znana z mitologii greckiej syrena, która według różnych wyobrażeń była pół kobietą, pół rybą lub pół kobietą, pół ptakiem. Stworzenie popularne w opowieściach śródziemnomorskich żeglarzy przez cały okres średniowiecza.

Serklandy (stskand. *Serkland*) – Ziemia Saracenów. Skandynawska nazwa krain arabskich.

sfendon (grec. *sféndone*, od *sféndon* – pierścień) – północna ściana Hipodromu o kształcie półksiężyca. Mieściły się tam trybuny dla biedaków, choć atrakcyjność tych miejsc podnosił dobry widok na wypadki, do których dochodziło na zakręcie przy mecie Zielonych.

shalandia (arab. *shalandi*) – statek arabski wielkością odpowiadający greckiemu *chelandionowi*: jedno- lub dwurzędowa galera długa na blisko 30 metrów. *Shalandie* stanowiły podstawę floty muzułmańskiej.

shinia (arab. *shini*) – arabska galera wojenna. Jeden z najmniejszych typów statków na wyposażeniu kretańskiej floty. Odpowiednik bizantyjskiego *ousiakona*.

silentium (łac.) – rada dygnitarzy, która ustalała porządek audiencji cesarskich.

silentusz (łac.) – osoba odpowiedzialna za ciszę, czyli dbająca o odpowiednie zachowanie i ceremoniał podczas audiencji w Magnaurze.

skald (stskand. *skáld*) – skandynawski poeta i pieśniarz, uważany też za człowieka mającego dzięki

poezji i alkoholowi bliższy kontakt z bogami.

skaldmaer (stskand.) – dosłownie „panna pieśni”, „panna skald”. Wikińska nazwa poetki. Równocześnie jest to przydomek Seli, stąd pisany jest czasem dużą literą.

skaldskap (stskand. *skáldskapr*) – sztuka układania poezji, sztuka skaldyczna.

skaramangion (grec.) – długa, przepasana tunika z rękawami. Wykonana z drogocennych materiałów i bogato zdobiona. Była strojem dworskim noszonym przez cesarza i jego otoczenie. Skaramangiony uznawano za jedno z najcenniejszych darów, jakimi autokrator mógł obdarzyć zagranicznych posłów i władców.

skjaldborg (stskand.) – mur tarcz. Formacja bitewna wikingów, która polegała na utworzeniu szeregu wojowników osłaniających się zachodzącymi na siebie tarczami. Kolejne rzędy wojowników mogły dokładać swoje tarcze do przodu lub układać z nich „dach”, tworząc tak zwaną twierdzę tarcz.

Skylla (gr. *Skýlla*, łac. *Scylla*) – jeden z najsławniejszych potworów morskich greckiej mitologii, który miał zatapiać statki i zabijać żeglarzy. Starożytni żeglarze byli zgodni, że jego leże znajdowało się gdzieś na Morzu Śródziemnym (najpewniej u wybrzeży Grecji lub Sycylii), ale spierali się co do jego dokładnej lokalizacji.

skytning (stskand. *skytningr*) – wikiński szynk.

Snaer (stskand.) – dosłownie: Śnieg. W mitologii nordyckiej legendarny król lub lodowy olbrzym władający królestwem na dalekiej Północy. Uważany za personifikację śniegu.

snekkja (stskand. *snekkja*) – dosłownie: długi, cienki przedmiot wystający z wody. Była to popularna nazwa długiej łodzi wojennej wikingów. Największe statki tego typu zwano też czasem drekami (l. poj. *dreki*), które w polskiej literaturze są znane pod mianem drakkarów, czyli smoków.

snekkjamad (stskand.) – żeglarz, wiosłarz lub wojownik płynący na snekkji.

spatharios (grec.) – dosłownie: noszący miecz. Bizantyjska godność dworska nadawana zaufanym ludziom cesarza. Własnych spathariosów mogli mieć też niektórzy bogacze, a wtedy ich „noszący miecze” stawali się rodzajem elitarnych strażników.

spathion (grec.) – miecz. Zwykle oznaczał długi miecz (85–115 cm) noszony przy pasie albo na szarfie przewieszanej przez pierś.

spathovaklion (grec.) – rodzaj broni używanej przez bizantyjskich gwardzistów pałacowych. Źródła podają, iż była to paradna krzyżówka miecza (*spathion*) i włóczni.

spina (grec.) – zespół budowli, rzeźb i fontann, który tworzył oś Hipodromu i przecinał tor wyścigowy na pół. Wokół spiny ścigały się zaprzęgi konne.

stag (stskand.) – sztag. Część olinowania stałego stabilizująca omasztowanie. Wyróżniano sztag przedni (ciągnący się od dziobu do masztu) i sztag tylny (ciągnący się od masztu do rufy).

strateg (grec. *strategos*) – oficer w armii lub zarządca/gubernator prowincji (temu).

stýri (stskand.) – ster. Na statkach wikingów było to duże wiosło umieszczone przy rufie prawej burty, dlatego burtę tę nazywano sterburtą. Żeglarz, który sterował tym wiosłem, stał tyłem do lewej burty, dlatego zaczęto ją nazywać bakburtą (tylną burtą).

styrir (stskand. *stýrir*) – sternik statku, który był często także jego kapitanem.

svinfylkja (stskand.) – świński łeb. Szyk bojowy wikingów przypominający rzymski klin.

szatrandź (arab. *shatranj*) – wczesnośredniowieczna wersja gry w szachy.

tagmata (grec. *tagma*) – trzon armii Bizancjum, który dzisiaj nazwalibyśmy wojskiem zawodowym. W jego skład wchodziły cztery regimenty jazdy (tzw. tagmata starsza), które były zarazem gwardiami imperialnymi (*Scholai*, *Exkoubitoi*, *Vigla*, *Hikanatoi*) oraz regimenty piechoty (tzw. tagmata młodsza: *Noumeroi*, *Optimates*, *Teichistai*). W czasach pokoju obozowali nieopodal Konstantynopola, pełniąc funkcje gwardzistów, strażników i policjantów.

Tanais (grec.) – starożytna nazwa rzeki Don, używana również w źródłach skandynawskich okresu średniowiecza.

Tattarariki (stskand.) – Kraina Tattarów.

Tattarzy (stskand. *Tattarar*) – dosłownie: Tatarzy, ale tego określenia nie należy łączyć tylko z tym konkretnym odłamem plemion mongolskich, gdyż we wczesnośredniowiecznej Europie Zachodniej mianem Tattarów nazywano wszystkie ludy pochodzenia turko-tatarskiego.

Tauroscytwie – greckie określenie ludów zamieszkujących tereny na północ od Morza Czarnego lub na północ od Morza Kaspijskiego; Taurowie i Scytowie mieszkali na północnych wybrzeżach Morza Czarnego w starożytności, ale ich połączone nazwy służyły potem Grekom przez wiele stuleci na określanie wszystkich przybyszów z tamtych rejonów. Dlatego dla Bizantyjczyka Tauroscytem mógł być zarówno Chazar z nad Morza Kaspijskiego, jak i Vaering z dalekiej Północy.

Teichistai (grec.) – inaczej *Teicheon*: gwardia piechoty zajmująca się pilnowaniem murów Konstantynopola (stąd ich nazwa: Teichistowie znaczy Mury). Jej komes przewodniczył demowi Czerwonych.

tem (grec. *theme*) – prowincja, region, jednostka organizacji terytorialnej w Bizancjum. Imperium było podzielone na temy, co miało znaczenie zarówno w administracyjnym (cywilnym) zarządzaniu państwem, jak i w organizacji wojskowej. Temy wystawiały własne wojska, które dziś moglibyśmy nazwać „armią obrony terytorialnej”. Temy, które miały dostęp do morza, wystawiały też flotę temową.

thraell (stskand. *þræll*) – niewolnik.

tign (stskand.) – honor. Jedna z podstawowych cech etosu skandynawskiego wojownika.

tir (stskand. *tírr*) – sława, chwała. Wartość, do której dążył każdy szanujący się wojownik.

topoteres (grec.) – wysoki oficer w armii Bizancjum. W gwardii imperialnej był po domestyku drugim najważniejszym oficerem, który dowodził dwoma tysiącami ludzi.

troll (stskand.) – jedna ze skandynawskich nazw olbrzyma.

trybun (łac.) – wywodząca się z czasów rzymskich nazwa oficera. W wojsku temowym był dowódcą pięćdziesięciu żołnierzy, jednak w niektórych gwardiach tagmaty (Numerowie, Teichistowie) miał pod sobą dwustu ludzi i odpowiadał randze komesa innych gwardii pałacowych.

Trzynasty Apostoł – jeden z tytułów cesarza Bizancjum.

Tysdag (stskand. *týsdagr*) – dosłownie: dzień Tyra, czyli wtorek. Podobne znaczenie wtorek miał w wielu językach germańskich, w tym w staroangielskim i saksońskim, gdyż wśród Anglów i Sasów Tiu/Tyr był popularnym bogiem. Tyr był patronem sprawiedliwości.

Ui Neill (stirl. *Uí Néill*) – królewski ród celtycki, którego korzenie sięgały początku V wieku. Doczekał się wielu rozgałęzień, a jego przedstawiciele zasiadali na tronach wielu irlandzkich i szkockich państw.

Vaering (stskand. l. poj *væringi*, l. mn. *væringjar*) – Wareg. Mianem Vaeringów/Waregów określano zbrojne grupy Skandynawów działających i osiedlających się na terenie Rusi. W Bizancjum nazwa ta odnosiła się do wszystkich ludzi Północy, a także Rusów.

Valfud (stskand. *Valfuðr*, *Valföðr*) – Ojciec Poległych. W mitologii nordyckiej jedno z wcieleń Odyna. W świecie *Skalda* – bóg, który jest gospodarzem Gmaszyska Zarzniętych i gości w nim poległych wojowników.

Valland (stskand.) – skandynawska nazwa Francji, a zwłaszcza Normandii.

Var (stskand. *Vár*) – mało znana bogini mitologii nordyckiej. Symbolizowała przeciwieństwo męczyzny i kobiety. Patronka relacji damsko-męskich, bogini małżeństw i miłości.

varg (stskand. *vargr*) – wilk, banita, łotr, zwany niekiedy wilkiem w świętej ziemi.

völva (stskand.) – wiedząca kobieta, czyli wiedźma, a zarazem wieszczka i uzdrowicielka, często posługująca się czarami.

Wagadou (z języka ludu Soninke: Kraj Ludzi) – państwo bardziej znane jako imperium Ghany, od VII lub VIII do XI wieku panujące nad dużymi obszarami zachodniej Afryki (zach. Mali i wsch. Mauretania). Potęgę zawdzięczało m.in. transsaharyjskiemu handlowi, w którym było ważnym partnerem kupców arabskich. Ainar, jako Skandynaw, nic nie wiedział o tym państwie i – podobnie jak wszystkie inne afrykańskie krainy – nazywał je Blandem.

Wertragna (wed., awest.) – bóg mitologii awestyjskiej (perskiej) i wedyjskiej (indyjskiej), uznawany za obrońcę niebian. Jednym z dziesięciu jego wcieleń był Szalony Odyniec, który w szale miażdżył wrogów kopytami. Bóg ten pojawia się w wielu mitologiach z kręgu indo-irańskiego i we wszystkich jest pogromcą zła. W podaniach awestyjskich broni Mitry. W Iranie po reformie zaratusztrańskiej stał się pomocnikiem (jako Bahram) jednego z Amszaspandów o imieniu Ardibeheszt. Natomiast w *Skaldzie* Wertragna jest oddzielnym bogiem, Szalonym Odyńcem, znanym już tylko nielicznym kapłanom i kupcom z Indialandu.

węgłozerca – zob. kolbitr.

Wyspa Irów, Wyspa Irskmadów – Irlandia, po celtycku Eriu.

Yule (stskand. *jól*) – święto śródka zimy. Hucznie obchodzone w krajach germańskich święto, podczas którego palono ogniska, składano ofiary bogom, uczutowano i pito. Pogańska nazwa święta została zaadaptowana przez chrześcijan i w krajach skandynawskich „przechrzczona” na Boże Narodzenie.

Złoty Róg – wąska zatoka Bosforu, którą wpływało się do Konstantynopola od północnej strony miasta.

Zrodzony w Purpurze – zob. autokrator.

Przypisy

[1] Słowniczek nazw własnych i terminów znajduje się na końcu książki (przyp. red.).

[2] Słowa zaczerpnięte z *Pieśni nad Pieśniami*, którą tradycja żydowska, a potem chrześcijańska uznawała za dzieło króla Salomona (przyp. autora).

[3] Gryźć węgiel – w języku staroskandynawskim wyrażenie oznaczające lenistwo, próżność. „Nie gryźć węgla” znaczy więc „nie próżnować”. Porównaj słowo „węgłożerca” w słowniku na końcu książki (przyp. autora).

[4] Najsłynniejszy arabski astrolog z IX wieku. Ali odwołuje się do jego dzieła *Wstęp do astrologii (Kitab al-mudkhal al-kabir)* (przyp. autora).

[5] Galen był słynnym rzymskim lekarzem (żył w II w.), jego prace stworzyły podwaliny średniowiecznej medycyny (chrześcijańskiej, arabskiej i żydowskiej). Z kolei Ar-Razi (IX–X w.) to jeden z najwybitniejszych średniowiecznych lekarzy w świecie islamu, autor *Księgi obejmującej* (przyp. autora).

[6] Sztuczka z latającym tronem była często wykorzystywana w bizantyjskim ceremoniale przyjmowania zagranicznych posłów. Do dziś nie do końca wiadomo, w jaki sposób tron był podnoszony (przyp. autora).

[7] *Heilsan* (stskand.) – pozdrowienie, które można przetłumaczyć „niech żyje” (przyp. autora).

[8] Oba dzieła rzeczywiście odcisnęły olbrzymie piętno na naukach

ścisłych. *Stoicheia*, czyli *Elementy* (spisane przez greckiego filozofa Euklidesa w IV w. p.n.e.), stały się podstawą geometrii, a *Arithmetica* (napisana przez greckiego matematyka Diofantosa w III w. n.e.) znacząco wpłynęła na późniejszą algebrę (przyp. autora).

[9] Przekleństwo do dziś używane na Islandii. Wypowiadane w podobnych okolicznościach co polskie „kurwa”, choć dosłownie znaczy „idź do diabła” lub „idź do piekła”, także w rozumieniu Hel – staronordyckiej krainy zmarłych (przyp. autora).

[10] Ten i kolejne cytaty w rozdziale pochodzą z dzieła Owidiusza *Sztuka kochania* (*Ars amatoria*, *Ars amandi*) w przekładzie Juliana Ejsmonda (przyp. autora).

[11] Fragment anonimowej irlandzkiej (ale napisanej po łacinie) pieśni powstałej około 600 roku. Przekład autora powieści.